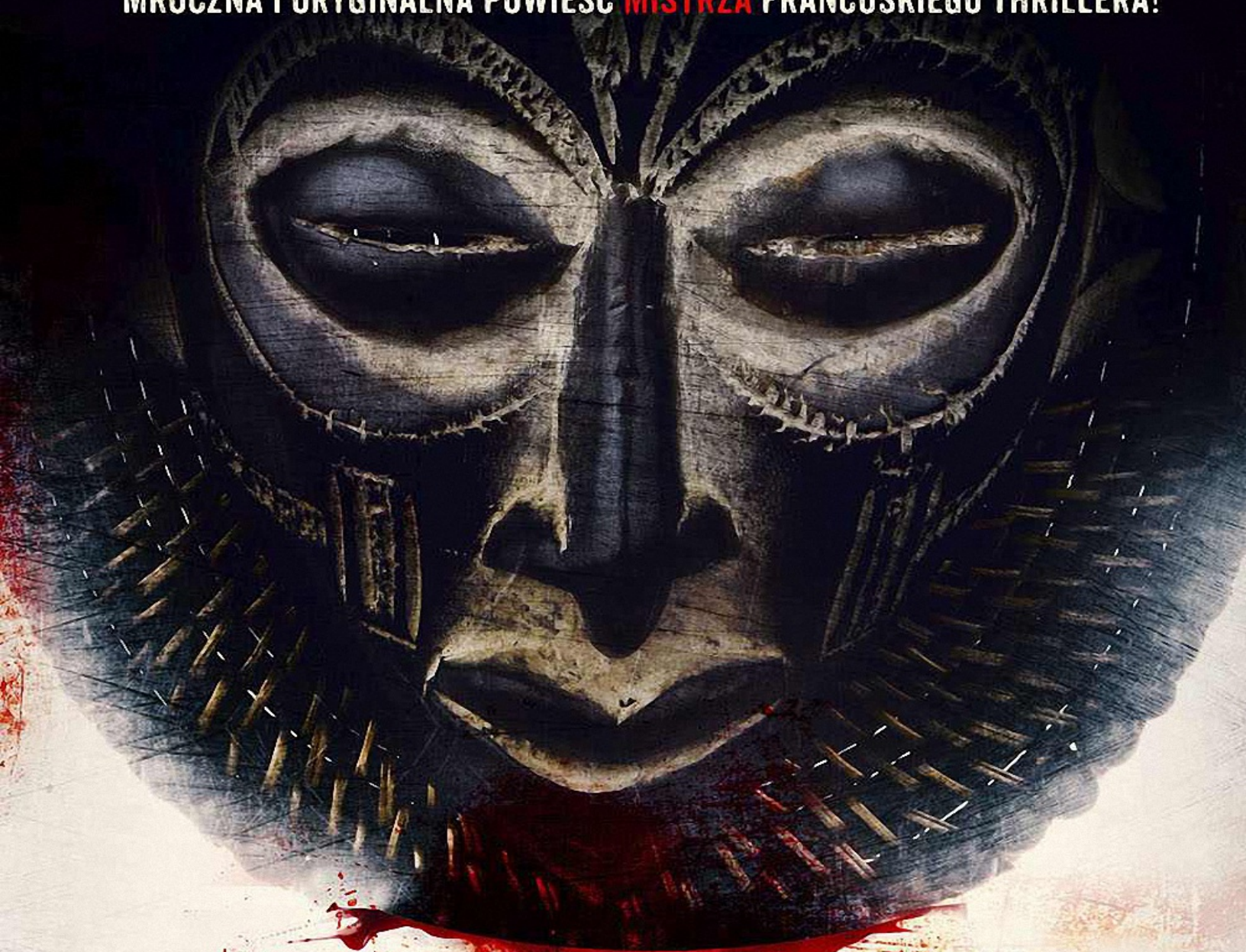


MROCZNA I ORYGINALNA POWIEŚĆ **MISTRZA** FRANCUSKIEGO THRILLERA!



LONTANO



Jean-Christophe Grangé

Jean-Christophe Grangé

LONTANO

Z języka francuskiego przełożyła
Krystyna Szeżyńska-Mačkowiak



Tytuł oryginału:
LONTANO

Copyright © Editions Albin Michel - Paris 2015
Copyright © 2016 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga
Copyright © 2016 for the Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga

Projekt graficzny okładki: Mariusz Banachowicz
Zdjęcie autora: © Richard Dumas
Redakcja: Jacek Ring
Korekta: Iwona Wyrwisz, Marta Chmarzyńska, Edyta Antoniak-Kiedos

ISBN: 978-83-7999-786-2

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione i wiąże się z sankcjami karnymi.

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!
Polska Izba Książki

Więcej o prawie autorskim na www.legalnakultura.pl

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.
Pl. Grunwaldzki 8-10, 40-127 Katowice
tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28
e-mail: info@soniadraga.pl
www.soniadraga.pl
www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga

E-wydanie 2016

Skład wersji elektronicznej:

virtualo
konwersja.virtualo.pl

SPIS TREŚCI

Część pierwsza. Morvan ojciec i syn

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

28

29

30

31

32

33

34

35

36

37

38

39

40

41

42

43

44

45

46

47

48

49

50

51

52

53

54

Część druga. I w proch się obrócisz

55

56

57

58

59

60

61

62

63
64
65
66
67
68
69
70
71
72
73
74
75
76
77
78
79
80
81
82
83
84
85
86
87
88
89
90
91
92
93
94
95
96
97
98

99

100

101

102

106

104

105

106

107

108

109

110

111

112

113

114

115

116

117

118

119

120

121

122

123

124

125

126

127

128

129

Część trzecia. Tamten

130

131

132

133

134

135

136

137

138

139

140

141

141

143

144

145

146

147

Przypisy

Dla Ysé i Kaïto

Rozpalone do białości słońce, powietrze czerwone od pyłu.

Katafalk w pełnym blasku i ponadczterdziestostopniowym upale.

Politycy, oficerowie, notable czy szefowie przedsiębiorstw podchodzili kolejno, by przystanąć w skupieniu na kilka sekund, a potem oddalali się miarowym krokiem, oślepieni słońcem w zenicie i błyskami fleszy. Z tyłu, powstrzymywani przez żołnierzy FARDC¹, przedstawiciele ludu w swych najlepszych ubraniach machali małymi plastikowymi chorągiewkami z herbem zmarłego.

Erwan Morvan raz po raz zadawał sobie pytanie, co tu właściwie robi. Choć urodził się w Kongu, nic nie łączyło go z tym krajem i z tymi ludźmi. W wieku dwóch lat wyjechał do Francji i nie zachował stąd żadnych wspomnień. Jego ojciec, Grégoire, postanowił zabrać go na pogrzeb generała Philippe'a Sese Nseko – „starego przyjaciela” z Lubumbashi, stolicy prowincji Katanga. Erwan zgodził się mu towarzyszyć. Po trosze z posłuszeństwa, po trosze – powodowany dziwną ciekawością.

Znalazłszy się w drugiej grupie – wśród białych – ojciec i syn Morvanowie czekali na swoją kolej. Baldachim osłaniający trumnę, kwiaty i purpurowe draperie składały się na całość, która wyglądała jak łoża diwy operowej. Portret Nseko w złożonych ramach umieszczono nad trumną okrytą flagą Demokratycznej Republiki Konga – turkusową z biegnącymi po przekątnej pasami czerwonym na szerszym żółtym i również żółtą gwiazdą. Karawaniarze i członkowie orkiestry ubrani byli w cynobrowe uniformy. Klasa!

Jednak patrząc uważniej, dostrzegało się pewne niedoskonałości. Zapyłone uniformy były źle uszyte. Kolumny krzywo ustawione. Orkiestra fałszowała, kończąc każdą frazę dzikim kwikiem. A cymbały zrobiono z pokrywek.

Ale najgorszy z tego wszystkiego był upał. Wypalał każdą żywą komórkę,

sprawił, że skwierczała jak boczek na patelni.

Erwan rozluźnił krawat. Koszula oblepiała mu ciało. W ustach czuł smak ziemi. Pod powiekami wirowały mu fioletowe kręgi. Po raz pierwszy w życiu bał się, że zemdleje.

Stojący obok niego Grégoire – metr dziewięćdziesiąt wzrostu, sto dwadzieścia kilo wagi, dopasowany garnitur szyty na miarę przez Ermenegilda Zegnę – zdawał się całkowicie odporny na ten skwar. Trzymając pod pachą wieniec pogrzebowy, podawał rękę, uśmiechał się, powściągał łyzy – grał swoją rolę bez cienia wstydu.

Erwan obserwował go w akcji – ojciec miał wygląd bretońskiego marynarza: surowy klimat zaczerwienił jego twarz o rysach jakby ciosanych nożem – grecki nos na głowie bawołu. Czapka kędzierzawych, siwych włosów otaczała jego czaszkę jak odlana ze stali. Erwan był do niego podobny, był jego mniej monumentalną i mniej groźną wersją.

– Ali Bongo, syn Omara – szepnął Grégoire, gdy do trumny zbliżał się niski mężczyzna.

Erwan zupełnie nie znał się na afrykańskiej polityce, tyle jednak wiedział – Omar Bongo, przez z górą czterdzieści lat prezydent Gabonu, był jednym z najgroźniejszych przywódców państw afrykańskich, a także „niezawodnym przyjacielem” Francji, zaopatrującym Heksagon w ropę naftową. Jego syn Ali przejął pałeczkę.

– Ten za nim to Moïse Katumbi Chapwe, gubernator Katangi...

Erwan pomyślał, że wszyscy wyglądają tak samo – na szczęście ten był Metysem i pojawił się w teksańskim stetsonie. Jak słyszał, Katumbi był lokalną osobistością. Milioner, filantrop, prezes klubu piłkarskiego, był jednym z najpopularniejszych przedstawicieli rządu Kabili.

– Richard Muyej, minister spraw wewnętrznych Demokratycznej Republiki Konga. Bardzo groźny.

W przededniu, przy kolacji, Grégoire Morvan opowiadał o najnowszej historii kraju. Erwan niewiele z tego zrozumiał, ale zapamiętał kilka faktów. Po ludobójstwie w Rwandzie Tutsi ścigali milicję Hutu aż do Konga. Wykorzystali sytuację, żeby odsunąć od władzy Mobutu i uderzyć w Laurenta-Desiré Kabilę, prezydenta, który zwrócił się przeciwko swoim sprzymierzeńcom, wywołując drugą wojnę w Kongu – między regularną armią, wojskowymi Tutsi, uchodźcami Tutsi, zbuntowaną milicją, Błękitnymi Hełmami... W roku 2001 Kabila został zamordowany, a władzę

przejął jego syn Joseph. Po dziesięciu latach wojna wciąż trwała na wschodzie kraju, a Demokratyczna Republika Konga była, według klasyfikacji ONZ, najsłabiej rozwijającym się krajem świata.

– Ten to...

Erwan już nie słuchał. Od przyjazdu *odczuwał*. Zapachy, kolor, upał. Wylądowali w Kinszasie wczoraj o piątej rano. Wsiadając z samolotu, zwrócił uwagę na barwy stopionego ołowiu i woń rozkładu o świcie.

Zanim dotarli do stolicy „autostradą” (czyli zwyczajną drogą), słońce wstało. I nagle poczuł atmosferę całkowitej suszy, nasyconej wyziewami cegieł i źle oczyszczonej benzyny. Niegdyś zwana Piękną, Kinszasa wyglądała dziś jak gigantyczny, wywrócony śmietnik, w którym roilo się od czarnych głów i tunik w żywych barwach.

W hotelu Erwan wpadł do swojego pokoju, ustawił klimatyzację na maksymalne chłodzenie i wziął prysznic. Po kilku godzinach wytchnienia wrócił na patelnię – aperitif i obiad nad basenem, w towarzystwie ojca. Potem trzeba było odbyć dalszą podróż miejscowymi liniami. Kiedy jechali na lotnisko, zaczęło padać. Pył zamienił się w maź, kolory roztopiły się w purpurową rzekę, która zalała ulice, lśniła na dachach, chlapała mury. „Pora deszczowa trochę się pospieszyła”, stwierdził Morvan, przybierając ton lekarza, który rozpoznał raka.

Po czterech godzinach Lubumbashi, „stolica miedzi”, powitała ich taką samą ulewą. Erwan miał wrażenie, że zanurzył się w płynie owodniowym świata. A jego ojciec bez cienia ironii zakrzyknął, klepiąc go po ramieniu: „Oto kolebka naszej rodziny, chłopcze!”. Te słowa brzmiały dziwnie, zwykle bowiem Morvan szczycił się raczej przynależnością do bretońskiego rodu arystokratycznego Morvan-Coätquen. W hotelu czekała ich już niemal rutyna: aperitif, kolacja, basen. Wieczór był poświęcony Sese Nseko, nieodżałowanemu zmarłemu. Ten człowiek kierował Coltano, kompanią górniczą założoną przez Morvana.

Erwan obserwował. Słyszał komary smażące się na neonówkach pośród nocy pełnej niepokojących głosów. Oświetlony staromodnie basen był pełen suchych liści i pijawek. Erwan zdążył już zrozumieć, że w Afryce życie białych przypominało egzystencję ropuch skrzeczących nad sadzawką.

Nazajutrz, kiedy się obudził, powietrze znów parzyło. Padła klimatyzacja. Zdążył tylko wskoczyć w czarny garnitur i dołączyć do ojca, który czekał już, trzymając pod pachą wieniec, jakby to było koło ratunkowe. Zamówił go

rano w pobliskiej kwiaciarni.

– ...Kengo Buluji...

– A Kabili nie będzie?

Ojciec pokręcił głową, patrząc na niego z dezaprobatą:

– Nie słuchałeś mnie wczoraj, kiedy ci to wyjaśniałem. Kabila i Nseko nie należą do tego samego ludu. To tak, jakby zaprosić papieża na kongres striptizerek.

Nadeszła kolej składania zmarłemu hołdu przez białych.

– Pomóż mi – polecił Grégoire.

Podnieśli wieniec i zajęli miejsce w kondukcji. Morvan nadal komentował, zniżając głos do szeptu. Teraz skupił się na Francuzach i Belgach.

– Ten jest masonem. Był ministrem współpracy i ...

Erwan widział tylko cętkowane albo łyse głowy, pomarszczone szyje, krzaczaste brwi. Średni wiek między siedemdziesiątką a osiemdziesiątką. Ociężałe słonie, które ściągnęły tu, żeby się upewnić, że biznes będzie się dalej kręcił. Chińczycy i Hindusi zamykali ten korowód drapieżników. Zmiana...

Kiedy byli już prawie przed trumną, olbrzymia ręka spadła na ramię Morvana.

– Jak leci, kochanieńki?

Za nimi stał Afrykanin wzrostu jego ojca. Erwan cofnął się o krok. Śmiech czarnego zagłuszył orkiestrę, klawiatura lśniących zębów rozdarła maskę twarzy. Zawtórował mu głośny śmiech Grégoire'a. Dwóch starych wygów padło sobie w ramiona.

– Tylko mi nie mów, że przemierzyłeś taki kawał drogi dla tego starego łotra!

– W końcu jestem mu winien wdzięczność.

– Ty łajdaku! Wszyscy wiedzą, że tylko ty tu rządysz!

– Nseko był naszym kapitanem pośród zawieruchy.

– Owszem, psem stróżującym. Pokój jego duszy. – Zwrócił przekrwione oczy na Erwana. – Nie przedstawiś mnie?

– Mój syn, Erwan. Generał Trésor Mumbanza.

Dłoń olbrzymia ścisnęła jego rękę z siłą kruszarki.

– Cieszę się, że mogę cię poznać! – Przesunął rękę po ogolonej głowie Erwana. – Żołnierz?

- Gliniarz. Lubię mieć chłodną głowę.
 - Tutaj będzie ci trudno! Lepiej noś kapelusz!
- I znów się roześmiał.

Mumbanza stał tyłem do słońca. Widać było tylko jego biało-czarne oczy. Erwan pomyślał o *Zaklinaczce węży* Henriego Rousseau zwanego Celnikiem.

– Nasz przyjaciel dowodzi regularną armią w Katandze – wyjaśnił Morvan. – Jest kimś w rodzaju lokalnego Pinocheta.

– Po co te pochlebstwa...

– Gdyby nie on, wojna w Kiwu ogarnęłaby już Lubumbashi.

Generał – ubrany w ciemny garnitur bez żadnych insygniów wojskowych – wskazał trumnę i powiedział konspiracyjnym tonem:

– Wiesz, na co umarł?

– Powiedziano mi, że miał zawał.

– Ale afrykański zawał. Wyrwali mu serce!

– Kto?

– Tutsi. Hutu. Mai Mai... Wybieraj. A może nawet Banyamulenge albo dzieci-żołnierze. Albo wy, biali, zleciliście to komuś. Kto wie?

– Gdzie to się stało?

– W jego willi. Rozpłatali mu tors piłą mechaniczną i wzięli, co chcieli. Moim zdaniem zjedli je, zanim jeszcze znaleźli się poza terenem rezydencji. (Mumbanza mlasnął jak parowóz, patrząc na Erwana). Tak, dzieciaku, to prrrrawdziwa Afryka!

– Skończ z tymi wygłupami – przerwał mu Morvan. – Jeszcze go wystraszysz.

Za ich plecami podniosła się wrzawa – blokowali przejście. Erwan szybko złożył wieniec. Jeśli chcieli się pomodlić, musieli wrócić tu, kiedy przejdą inni.

– Kto zajmie miejsce Nseko? – zapytał Grégoire, kierując się do namiotu, w którym urządzono bufet.

– Głosujemy po obiedzie. Zgromadzenie ogólne!

– Masz duże szanse.

Stary kabotyn Mumbanza scenicznym gestem dał wyraz znużeniu i westchnął.

– Nie mogę łączyć wszystkich funkcji, ale jeżeli uprzejmie mnie poproszą... – Gwałtownie odwrócił głowę, zauważywszy kogoś w tłumie. – Spotkamy się później. Muszę uścisnąć szpony temu i owemu.

Morvanowie wśliznęli się do namiotu, gdzie stały nakryte białymi obrusami stoły. Alkohole, soki owocowe, szaszłyki wołowe, ryby smażone w cieście... Woń grilla unosiła się pod płótnem.

– Morderstwo – szepnął Erwan, popijając ciepławy sok pomarańczowy – to dlatego przyjechałeś?

– Skądże. Nawet o tym nie wiedziałem.

– Zbierzesz informacje?

Grégoire splunął na ziemię – w okamgnieniu przypominał sobie, jak być Afrykaninem.

– A co mnie to obchodzi? To sprawy czarnuchów.

– A on? – zapytał Erwan, wskazując Mumbanżę.

– Zajmie miejsce Nseko. Nie jest najgorszy. To miłośnik dobrych win i białych cipek.

Erwan nigdy nie wiedział, czy ojciec żartuje, czy mówi serio.

– Wiesz, co uratowało Francję przed tym bajzlem w Maju '68? – podjął Morvan, chwytając z tacy szklanekę pastisa.

– Nie – skłamał Erwan.

Znał tę historię na pamięć.

Stary uniósł alkohol ku światłu słonecznemu, wdzierającemu się nieco w głąb namiotu.

– Ricard. Kiedy Francja niemal już wpadła w łapy lewicy, Pasqua i jego klika z SAC² zorganizowali manifestację poparcia dla de Gaulle'a. Wszyscy o tym wiedzą. Dwieście tysięcy ludzi na Champs-Élysées i rewolucja zduszona w zarodku! Ale nie wszyscy wiedzą, że żeby ściągnąć manifestantów ze wszystkich stron Francji, Korsykanin wykorzystał sieć Ricarda. Był kiedyś przedstawicielem handlowym marki. Włączyli się wszyscy dystrybutorzy i wynajęto autokary. Po przyjeździe do Paryża uczestnicy manifestacji dostali darmową kolejkę, a do tego po kawałku kiełbasy, a potem w drogę, panowie! – Wzniósł toast za wspomnienia. – Jak Mao miał pokonać pastis we Francji?

Odstawił szklanekę na inną tacę, bo nigdy nie pił alkoholu, i odpowiedział wreszcie na pytanie, którego Erwan nie zadał:

– Powiem ci, dlaczego tu jesteśmy. – Mrugnął do niego. – Żeby dopilnować twojego dziedzictwa.

CZĘŚĆ PIERWSZA
MORVAN OJCIEC I SYN

1

– Hollande to dureń, dupek, gość bez jaj! – klął Morvan. – Boże drogi, czy ten kraj doczeka się kiedyś prezydenta, który ma jaja?

Trzy dni po powrocie Erwan wpadł na obiad do rodziców, w aleję de Messine, do ich wielkiego mieszkania urządzonego przez Mobilier national. Był to jeden z tych niedzielnych obiadów, których nie opuszczał nigdy żaden z członków rodziny, jednak nie dlatego, że udział w nich był tak dużą przyjemnością, ale z poczucia obowiązku.

– Nigdy nie był dość dobry, żeby kierować Partią Socjalistyczną, a powierzają mu stery państwa? Czego się spodziewali? Francuzi to banda kretynów, więc w pewnym sensie zasłużyli sobie na to!

Erwan westchnął. Święte oburzenie ojca było stałym elementem niedzielnego menu, podobnie jak dania przygotowane przez jego matkę, Maggie, z tofu i komosy.

W rzeczywistości jednak te diatryby były tylko wybuchem werbalnym, bo stary przeszło czterdzieści lat służył władzy, jakakolwiek była, i nie przeżywał z tego powodu wewnętrznych rozterek. Zwykł mówić: „Kornika nie obchodzi, co jest za drzwiami”.

– Dołożyć ci *taboulé*? – zaproponowała Maggie, patrząc na Erwana.

– Nie, dziękuję.

Dobrze przynajmniej, że kiedy stary pomstował na rządzących, nie obrażał matki. I dopóki jego złość nie zwracała się na problemy małżeńskie, wszyscy byli zadowoleni. Erwan pamiętał takie czasy, kiedy Grégoire kładł na stole spluwę, dopiero potem próbował dania, albo groził żonie, że wyrzuci ją przez okno, jeżeli będzie się tak gapiała.

Obserwował osoby siedzące przy stole – rodzina była w komplecie. Gaëlle, najmłodsza, dwudziestodziewięciolatka, z zapalem wymieniała SMS-y. Młodszy z braci, trzydziestosześcioletni Loïc, przysypiał nad talerzem. Na końcu stołu jego dzieci – pięcioletnia Milla i siedmioletni Lorenzo – siedziały grzeczne jak aniołki. Puste krzesło czekało na Maggie, która z oddaniem obsługiwała najbliższym.

To była doskonała iluzja – godna szacunku mieszczańska rodzina przy

wspólnym niedzielnym obiedzie. Ale kulisy były mniej radosne. Loïc – dawny alkoholik, a obecnie finansista milioner – uzależnił się od koki i szukał ratunku w buddyzmie. Gaëlle marzyła o karierze aktorskiej, więc sypiała, z kim popadło, żeby „wyrobić sobie pozycję na rynku”. Co do Maggie, dawniej hipiski, potem nadopiekuńczej matki, to przez całe życie zbierała razy od męża, nigdy się nie skarżąc ani nie decydując się na rozwód.

– A gdzie to pobudzenie gospodarki kraju? – perorował Morvan, nie tykając jedzenia. – Gdzie te elektryzujące posunięcia? Słowa, zawsze tylko słowa, żadnych konkretów! Wszyscy składają obietnice, wszyscy łąą i robią głupoty.

Erwan kiwał głową, mając nadzieję, że po tej tyradzie przyjdzie czas na deser. Morvan był kluczową postacią tego zgromadzenia. Sześćdziesięciosiedmioletni olbrzym o sile byka i żelaznym zdrowiu w kręgach wtajemniczonych długo uważany był za pierwszego glinę Francji. A zarazem za najbardziej dyskretnego.

Samouk, żarliwy lewicowiec, po wydarzeniach roku '68 został „zesłany” do Afryki. Wydawało się, że jego kariera została przedwcześnie złamana, ale w Zairze aresztował sam, niemal nieuzbrojony, seryjnego zabójcę, który nosił przydomek Człowiek Gwóźdź i atakował białą społeczność górniczego miasta Katangi. Morvan wrócił do Francji jako bohater. Za Giscarda piął się po szczeblach kariery, triumfował za Mitterranda. Jako komisarz w „36”, dyskretnie kierował tajnymi misjami dla Wujaszka, stopniowo zyskując status nietykalnego. „Nie mam przyjaciół ani stosunków, mawiał, mam akta”.

Erwan nigdy nie przeprowadził prywatnego śledztwa, żeby dowiedzieć się więcej o pracy ojca, ale nie robił sobie złudzeń co do jego tajnych działań. Morvan zabijał, kradł, knuł, szpiegował, szantażował – zawsze dla dobra republiki. I to odróżniało go od pospolitego łotra.

Mianowany prefektem bez przydziału do regionu, za czasów Chiraca kontynuował wcześniejszą aktywność gdzieś w gmachu na placu Beauvau. Nie wymienia się zwycięskiej ekipy. Sarkozy go zatrzymał, a choć Morvan dawno osiągnął wiek emerytalny, pracował dalej za Hollande’a, tym razem w roli doradcy w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych. Nie figurował w strukturze instytucji. Od dawna nazywany Pasqua lewicy, dziś przypominał jedną z tych spoczywających pod ziemią bomb, których lepiej nie dotykać, bo mogą eksplodować.

Nagle Erwan uświadomił sobie, że rozległ się sygnał alarmowy:

– Do kurwy nędzy, i ty nazywasz to jedzeniem?

Lodowaty pot spłynął mu po karku. Obelgi ojca błyskawicznie przenosiły go w lata dzieciństwa. Już drżał. Serce skoczyło mu do gardła.

– Tato, zamknij się!

Morvan warczał coś pod nosem. Erwan popatrzył na twarze innych – nikt nie zwrócił uwagi na słowa ojca. Loïc drzemał, Gaëlle wciąż coś pisała, dzieciaki wsadziły nosy w talerze. Nawet Maggie nadal usługiwała rodzinie, obojętna na złorzeczenia męża.

– Mogłabyś na chwilę odłożyć ten telefon – rzucił patriarcha, zwracając się do Gaëlle. – Siedzimy przy stole.

Młoda kobieta nawet nie uniosła głowy. Z profilu wyglądała jak dobra uczennica. Miała jasne, niemal białe włosy, owalną twarz, wydatne kości policzkowe, zjawiskowo bladą cerę. Tak jak Loïc, odziedziczyła urodę po matce. Ubierała się w markową, piekielnie drogą odzież, ale nosiła ją niedbale, ze swobodą i nonszalancją, które podkreślały, że gwizdze na wszystko.

– Ejże, mówię do ciebie!

– Co?

– Mogłabyś uszanować tę chwilę, którą spędzamy razem i ...

– To w sprawie pracy.

– W niedzielę?

– Nie masz pojęcia o tym, co robię.

– Na pewno mam większe doświadczenie w show-biznesie!

Wzgardliwie powtórzyła staromodne słowo.

– „Show-biznes” ...

– Ci wszyscy aktorzy i producenci to banda pieprzonych zбочeńców seksualnych i ...

– Kochanie, nie przy dzieciach!

Oburzona Maggie szczoteczką zbierała okruchy z obrusu.

– Nie jestem już głodna – mruknęła Gaëlle, odsuwając krzesło.

– Siedź!

Wstała, ignorując go. Nie miała czego się bać – Morvan nigdy nie podniósł ręki na dzieciaki. Obelgi i razy spadały wyłącznie na ich matkę.

– Gaëlle, uprzedzam, że jeśli...

Pokazała mu środkowy palec i wyszła. Loïc przymknął oczy i śmiał się bezgłośnie, jakby stał za przyciemnianą szybą. Maggie wróciła do kuchni.

Wciąż milczące dzieci wydawały się zaintrygowane grą zagadkowych gestów.

Erwan zacisnął palce na oparciach krzesła. Nic się nie zmieniło – znowu tylko on wzmógł czujność, on jeden obserwował i szykował się do reakcji za wszystkich. Zawsze gotów interweniować, walczyć ze złymi mocami we własnej rodzinie. Był Cerberem, psem Piekieł.

Jakby na potwierdzenie, Morvan rozkazał:

– Erwan, do mojego gabinetu.

Jaskinia starego pełna była egzotycznych mebli i niepokojących przedmiotów, które w większości pochodziły z Konga. Były tu wkleśłe taborety, oparcia ze skórzanej plecionki, lampy oliwne, które nabijano na drzewce dzid. Maski, rzeźby, bibeloty na półkach wydawały się pochodzić z tego samego koszmaru. Głowy o wypalonych oczach, wyszczerzone zęby w rozchylonych ustach, kobiety ze zmasakrowanymi piersiami.

Ale prawdziwej pikanterii dodawała tej kolekcji seria figurek przeбитych metalowymi ostrzami, szyjkami butelek, oplątanych łańcuchami, włóknami, zakrwawionymi piórami. To były *minkondi* pochodzące z Mayombe w Dolnym Kongu. Posążki miały chronić przed czarownikami i ich zaklęciami. Morvan wiele razy tłumaczył synowi, na czym to polegało: *nganga*, czyli uzdrowiciele, wydobywali z nich moc, wbijając gwóźdź albo kawałek szkła.

Z figurkami wiązała się prawdziwa historia – zainspirowały seryjnego zabójcę, którego Grégoire aresztował w 1971 roku. Morderca przeobrażał swoje ofiary w posągi wotywnie nabite setkami gwoździ, odłamków lustra, żelaznych wiórów. Erwan był pewien, że ojciec ukradł te rzeźby z kryjówki bandyty.

Grégoire zdjął marynarkę. Nawet w niedzielę ubierał się jak zwykle: w błękitną koszulę marki Charvet (zawsze z białym kołnierzykiem), czarny krawat, staromodne szelki w kształcie odwróconego Y. Usiadł za biurkiem w fotelu z wysokim oparciem zwieńczonym dwiema antylopimi głowami.

– Słyszałeś kiedyś o Kaerverec?

– Nie.

– To wioska pod Brestem.

– Jeszcze jedna kolebka rodziny?

– Nie wygłupiaj się. Jest tam szkoła sił lotniczych marynarki wojennej.

Sprawa z otrzęsin.

– Chyba żartujesz?

– Otrzęsiny i śmierć człowieka.

Erwan przysunął sobie krzesło. Ojciec otworzył szufladę i wyjął z niej teleks.

– Student ukrył się w bunkrze na wyspie, żeby nie przechodzić prób. Spędził tam noc z piątku na sobotę. Pech chciał, że rano to miejsce było celem ćwiczebnych strzałów. Bunkier zamienił się w kupę gruzu.

– Chcesz powiedzieć, że ten dzieciak oberwał pociskiem?

Stary podał mu kartkę:

– Na razie nie wiemy nic więcej.

Erwan szybko przeczytał depeszę. Nie lubił historyjek ojca. A ta z daleka cuchnęła kłamstwem.

– Nic o tym nie słyszałem.

– Nawet AFP o tym nie wie. Wszyscy uważamy, że należy utrzymać sprawę w tajemnicy, dopóki nie będziemy mieli wersji nadającej się do przedstawienia.

– I liczysz, że ja ci napiszę taką wersję?

– Właśnie.

– A dlaczego nie SRPJ³ z Brestu?

– Ponieważ sprawa jest delikatna. Otrzęsiny, które kończą się tragedią. Rafale, który zabija rekruta. Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Obrony domagają się obiektywnego śledztwa przeprowadzonego przez brygadę kryminalną. Nie chcą, żeby podejrzewano władzę o tuszowanie sprawy.

– Znajdę się między młotem a kowadłem?

– Słuchaj, pojedziesz tam, zbierzesz fakty, napiszesz raport i basta.

– Jaki status ma misja, którą mi powierzasz?

– To misja specjalna. Jakoś to załatwię z biurem centralnym. Zostaw mi takie kwestie. Wyjeżdżasz jutro rano, a w środę masz być z powrotem. Potrzeba tam solidnego policjanta, wybrałem ciebie. Kiedy wojskowi zobaczą twoje CV, zamkną gęby.

To była oczywista aluzja do jego przeszłości człowieka czynu: za czasów BRI⁴ Erwan trzy razy sięgał po broń. Zabił. I był ranny. To mogło zrobić wrażenie na żołnierzach.

– Znasz przynajmniej sprawę?

– Żadnych szczegółów. Ale zdaniem pułkownika Vincę, dyrektora szkoły, to był wypadek. Idiotyczny, ale jednak wypadek. Co wcale nie musi okazać się dobrą wiadomością, bo z daleka cuchnie mi tu chlewem, a gównem obryzga wszystkich. Twój raport umożliwi określenie, kto za co odpowiada.

Erwan przypatrywał się figurce z szeroką, płaską głową i bardzo długimi rękami. Była najeżona gwoździami. Ojciec opowiadał mu, że miała moc wywoływania u czarowników konwulsji, a nawet śmiertelnego wychudzenia. Erwan zawsze zastanawiał się, czy nie spowodowała anoreksji Gaëlle.

– A co z miejscowymi żandarmami?

– Masz współpracować z sekcją śledczą z Brestu, ale ty wszystkim kierujesz. Prokuratura mi to zagwarantowała.

W pokoju rozległ się szmer. Nowy teleks. Erwan przywykł do tego, że ojciec wyczekuje na depesze ze sztabu głównego. Kiedy był dzieckiem, myślał o nim jak o naczelniku dworca, który pilnuje pociągów i rozkładu jazdy, tylko że tu zamiast pociągów pojawiały się morderstwa, gwałty i wszelkie inne przestępstwa.

Morvan oderwał papier, wsunął na nos okulary, omiół tekst spojrzeniem i dodał:

– Dziś wieczorem każę przesłać ci akta. Wyjeżdżasz o świcie. Weź kogoś ze sobą i dokumentuj wydatki.

Erwan szybko to sobie przetłumaczył: „Możesz odejść”. Wstał, ale ojciec znowu sięgnął do szuflady.

– Zaczekaj. Chcę z tobą pomówić jeszcze o czymś.

Położył przed nim formularze DCRI.⁵ Anonimowe informacje – bez autorów, niewiadomego pochodzenia. Kiedy ojciec wpadał w liryczny nastrój, mówił: „To drobne źródełka, które zlewają się w potężne rzeki”. Bo dzięki kilku słowom na kartce nieraz spowodował, że rząd drżał w posadach.

Erwan usiadł i chwycił fiszki. Nazwiska. Paryskie adresy. Daty i godziny.

– Co to?

– Wyjścia i powroty twojej siostry z kilku ostatnich dni.

– Kazałeś ją śledzić?

Grégoire z irytacją machnął ręką i zaczął recytować dane z pamięci:

– Piątek, godzina siedemnasta, spółka STMS, ulica Lincoln, godzina. Tego samego dnia, dwudziesta, Patrick Blanc, ulica Dauphine trzy, kolejna godzina. Nazajutrz, godzina szesnasta, Hervé Leroy, ulica Spontini dwadzieścia dwa. Wieczorem poszła do Plaza Athénée, a potem do Fouquet's Barrière.

– Co z tego?

– To, że twoja siostra ma schadzki za schadzki.

– Może to spotkania w sprawach zawodowych.

Morvan pochylił się nad biurkiem. Erwanowi wydawało się, że słyszy, jak drewno trzeszczy na łączeniach. Zapach *Eau d'Orange vert* Hermès podrażnił jego nozdrza.

– Czyżbyś był aż takim durniem? Leroy i Blanc to producenci.

– No właśnie.

– Czasami zastanawiam się, co ty masz w tej głowie. Pierwszy urządza orgie w Wersalu, drugi jest stałym klientem agencji towarzyskich. – Z całej siły uderzył ręką w blat biurka. – Do diabła, twoja siostra to kurwa! I trzeba przyznać, że szybko obciąga!

Erwan cofnął się, jakby ktoś napluł mu w twarz. Przywykł do brutalnych zachowań ojca, ale zaszokowało go coś innego.

– Kazałeś DCRI śledzić własną córkę? Na koszt państwa?

– Muszę chronić rodzinę.

– Gaëlle ma dwadzieścia dziewięć lat. Wolno jej żyć, jak chce.

Grégoire wzruszył ramionami i wcisnął się między podłokietniki fotela.

– Kiedy płaciłem za najlepsze szkoły, wspaniałe podróże, kiedy zapewniałem szansę znalezienia dobrej pracy, nie przewidywałem, że twoja siostra robi z siebie call girl i będzie obciążać producentom filmowym.

– Nie mów tak. Gaëlle chce zostać aktorką, próbuje się przebić...

– Jak dotąd występuje głównie goła w pismach pornograficznych.

– Nie pornograficznych, tylko erotycznych. Przesadzasz. To sposób, żeby dać się zauważyć. Powinieneś szanować jej wybory. Mówisz o niej, jakby była kryminalistką!

– Jesteś nieodrodnym dzieckiem swojej epoki. Mniejsza o sedno sprawy, liczy się sposób, w jaki się o niej mówi. Wykończy was ta poprawność polityczna. – Znow uderzył pięścią w biurko. – Cholerna banda popaprańców! – W jego ustach nie było gorszej obelgi. Człowiek lewicy wielkiej epoki, pałał nienawiścią do ugodowych socjalistów, ekologów, antyglobalistów – zawsze stał po jasnej stronie mocy. Z jego punktu widzenia ci władcy serc i sumień uosabiali zło absolutne: burżuazję, która przyjęła własną kontrkulturę przetrwioną przez jej najgorszego wroga – rewolucję. Pewnego dnia porównał wszystkich tych zielonych i do nich podobnych ze szczurami, które przeżyły mimo pożarcia śmiertelnej dawki trutki i dały początek uodpornionej rasie. Nie żartował.

Wstał i podszedł do okna, splótłszy ręce na plecach jak Bonaparte.

– Chcę, żebyś z nią porozmawiał.

– Już próbowałem. Im mocniej będziemy naciskali, chcąc jej przemówić do rozsądku, tym bardziej będzie się upierała. Choćby po to, żeby nam dopiec.

– W takim razie postaraj się, żeby zrobiło się wokół niej pusto. Przyciśnij tych gachów. Dam ci listę.

– Co ty bredzisz? Przecież nie posunę się do zastraszania tych...

Ojciec podszedł do biurka już spokojniejszy.

– Nie jest ich tak wielu. Gaëlle bawi się w to od czasu do czasu, to dla niej przerywnik. Jeśli nikt nie będzie do niej dzwonił, uspokoi się.

– Albo znajdzie sobie nowych.

– Wtedy uznam, że jest prawdziwą kurwą i nic nie mogę na to poradzić.

Erwan stawał w obronie siostry, ale był na nią równie wściekły jak ojciec. Rozpieszczona panienka, która postanowiła nurzać się w rynsztoku. On też wstał.

– Mam zastraszyć tych filmowców czy odebrać szczątki żołnierza?

– Bretania to nagląca sprawa. Resztę załatwisz po powrocie.

Erwan bez słowa wyszedł z gabinetu, przepełniony niezwykłą czułością wobec tego starego drapieżcy. Ojciec, mimo brutalności wobec żony, mimo przeszłości zabójcy, darzył dzieci bezwarunkową miłością.

– Czego od ciebie chciał?

Erwan drgnął: matka czekała na niego w półmroku korytarza.

– Czego od ciebie chciał? – powtórzyła szeptem, wpatrując się w niego wylęknionymi oczyma.

Wciąż jeszcze miała na sobie fartuch.

– Właściwie nic – Erwan machnął ręką. – Chodziło o pracę. Mógłbyś odwiedzić dzieci do ich matki?

– A Loïc?

– Zasnął na kanapie.

Wszystkie niedziele były do siebie podobne.

– Sofia jest w domu?

– Zadzwoń do niej. Ucieszy się, jeśli ją odwiedzisz.

Milla i Lorenzo czekali już gotowi w przedpokoju. Na plecach mieli plecaki – brzemień dzieci, których rodzice się rozwiedli. Maggie otworzyła drzwi. Wtedy zsunął jej się rękaw, odsłaniając posiniaczoną rękę.

– Co to takiego?

– Nic. Upadłam.

Przelotna fala życzliwości wobec ojca przeistoczyła się w gwałtowną nienawiść – uczucie dobrze znane, wygodne, oswojone. Nie potrafił się nawet dziwić, że stary, dobiegając siedemdziesiątki, nadal bił żonę. Poprzestał na znacznie banalniejszym spostrzeżeniu – z wiekiem matka miała coraz większą skłonność do siniaków. Jej krwiaki były bordowe i przypominały znamiona wrodzone.

Wyszedł za próg i wesoło zachęcił dzieciaki:

– Kto pierwszy do windy?

Ruszyły biegiem, zapominając uściskać babcię.

Erwan chciał je zawołać, ale Maggie go powstrzymała:

– Daj spokój, to nieważne.

– Do niedzieli, mamo.

Dzieci piszczały przy windzie. Uśmiechnął się do nich, a potem pogrążył się w rozmyślaniach. Nie potrafił przywołać żadnych radosnych, beztroskich wspomnień z dzieciństwa. Zawsze żył w lęku, obawie, strachu przed tym, że rodzice skoczą sobie do oczu.

Kiedy drzwi windy się otworzyły, doszedł do wniosku, że to, co chodziło mu po głowie przy obiedzie, było błędne: ani Loïc, ani Gaëlle nie wyszli z tego bez szwanku. Narkotyki, po które sięgał brat, i łąjdactwo siostry były reakcją na traumę z najmłodszych lat.

Przed oczyma stanął mu bolesny obraz czteroletniej dziewczynki i jedenastoletniego chłopca, którzy schronili się w ramionach najstarszego brata. Cała trójka schowała się pod kuchennym stołem, a obok bili się ich rodzice. Erwan do dziś czuł na skórze dotyk zimnej posadzki i drgania ścianki, w którą walił Pasqua lewicy.

Wszedł do kabiny z głębokim, dodającym otuchy przekonaniem, że nie jest sam, bo Loïc i Gaëlle wciąż się go trzymali, przerażeni i zagubieni pod tym kuchennym stołem.

Gaëlle nauczyła się wymiotować po wyjściu od rodziców.

Tym razem też pobiegła do kawiarni, w której kibel nie był zbyt odrażający – na rogu ulic Monceau i de Lisbonne, i dopełniła rytuału. Jako nastolatka przećwiczyła wszystkie techniki wywoływania wymiotów – od solonej wody po wpychanie szczoteczki do zębów głęboko do gardła. Dziś potrafiła to zrobić na zawołanie. Wystarczyło, że pomyślała o paskudnym żarciu matki, i było po sprawie.

Na dworze od razu poczuła się lepiej. Wrzesień próbował nadgonić to, czego dotąd nie dał – między pochmurnym latem a przedwczesną jesienią to jedno czy dwa słoneczne popołudnia stawały się prawdziwym luksusem. Szła aleją de Messine, delektując się widokami. Cienie pni drżały na asfalcie. Plamy światła błyskały pomiędzy liśćmi. Ta aleja była kwintesencją haussmannowskiego Paryża – kamienic z balkonami, altanami i kariatydami na każdym piętrze, ponad bujną zielenią platanów. Gaëlle czuła się tu jak królowa w alejach Wersalu.

Minąwszy skrzyżowanie z Miromesnil, skręciła w lewo w Penthièvre i zatrzymała się przed swoim domem. Okolica wydawała się wyludniona. Mimo słońca w tych wąskich ulicach panowała posępna atmosfera. Długo wahała się, czy kupić tę kawalerkę, usytuowaną o kilka kroków od placu Beauvau – bastionu bestii. Ostatecznie postanowiła zignorować to sąsiedztwo. Nie myśleć o wrogu to pokonać wroga. Poddasze, okna dachowe, parkiet z szerokich desek, tak miłych i gładkich pod bosymi stopami – wystrój był skromny, bo nie chciała żadnych ozdób, pragnąc, aby ta przestrzeń przypominała jej życie – czysta karta, którą miała dopiero zapisać. Jediną rzeczą, do której czuła się przywiązana, była biblioteka: żywe kolory serii PUF, brązowe, zielone i złote paski Pléiade, eseje Freuda w kolorze cygar... Poniżej biografie – pstrokacizna grzbietów odzwierciedlająca rozmaitość jej pasji. Gaëlle nie potrafiła się oderwać od Nietzschego i Wittgensteina, ale połykała też żywoty Shakiry, Mylène Farmer, Annette Vadim... Czuła się zarazem rewolucjonistką i kobietą – przedmiotem,

intelektualistką i gąską. To wszystko było dość zagmatwane.

Japońska palona herbata. Gliniana maska na twarzy. Biurko. Po niedzielnym obiedzie i szybkich wymiotach pozostawał jeszcze trzeci rytuał: porządkowanie świata zawodowego. Aktualizacja sieci społecznościowych, lektura maili, tweetowanie... Dla aktorki ważne jest utrzymanie stałego kontaktu z fanami, nawet jeśli ci nie gromadzą się pod drzwiami. Wysłała SMS do agentki, żeby uprzedzić, że wpadnie nazajutrz po południu – już od tygodni Gaëlle nie była na żadnym castingu.

Potem skoncentrowała się na swoim arsenale wojennym: CV, fotosach, wycinkach prasowych. Uwielbiała pracować przy blacie, jak dobry rzemieślnik. Szlifowała biografię, retuszowała zdjęcia, kserowała prezentacje, pisała do reżyserów. Jej karierę dawało się ująć w kilku liniijkach. Była prezenterką w internetowych programach dla pokerzystów, grywała drugoplanowe role w filmach telewizyjnych. Raz zagrała w filmie długometrażowym wampa, ale jej scenę wycięto.

Niewiele tego było, zwłaszcza biorąc pod uwagę jej wysiłki – setki castingów, kolacji, nocy spędzonych w klubach z producentami i reżyserami na tak zwanym topie. A tymczasem nie zdołałyby się z tego nawet utrzymać, nie mówiąc już o zdobyciu Graala aktorów – pięciuset siedmiu godzin pracy rocznie, dających prawo do ubiegania się o zasiłek dla bezrobotnych. Dlatego radziła sobie w inny sposób.

Kiedy ktoś ją prowokował, poruszając tę kwestię, odpowiadała twardo: „Feminizm jest dobry dla lesbijek i burżujek. A kobiety, te prawdziwe, te bez grosza przy duszy, są gotowe na wszystko, byle utrzymać się na powierzchni i mają gdzieś parytety w parlamencie i to, jak stworzyć żeńską formę słowa *minister*”. A jeśli ktoś przypominał jej, że dorastała jako pupilka tatusia, dodawała: „Jestem, kim sama postanowiłam być. Zaczęłam od zera”.

Nie kłamała. Od ukończenia osiemnastego roku życia nie wzięła od ojca ani euro. Zlikwidowała nawet swoje konto bankowe i otworzyła inne, na nazwisko koleżanki – dzięki temu tyran nie mógł przelewać jej pieniędzy.

Owszem, była kurwą, ale z charakterem.

Nie uważała zresztą, żeby ten biznes ją kalał. Jej artystyczne powołanie nie osłabło. Za wzorce obrała sobie Brigitte Bardot, Marilyn Monroe, Scarlett Johansson. Zmysłowe aktorki, ale też wybitne artystki. Ciało było atutem każdej z nich, ale co z tego? Wyobrażała sobie siebie w roli Camille leżącej na tarasie willi Mallaparte w *Pogardzie*, albo jako Sugar Kane uwodzącą

Tony'ego Curtisa na pokładzie jachtu w *Pół żartem, pół serio*. Tak, to była sztuka, ale o konkretnych kształtach.

W planach dnia znalazł się wniosek o wizę i pozwolenie na pracę w Stanach Zjednoczonych. Prędzej czy później aktorka myśli, że za Atlantykiem uśmiechnie się do niej szczęście. Gaëlle nie zamierzała się łudzić, ale chciała wierzyć, że tak się stanie, a przede wszystkim – spróbować. Jeśli poniesie porażkę, nie będzie żałowała.

Sięgnęła po teczkę i zaczęła przeglądać dokumenty, przygotowując się do rozmowy w konsulacie. Wszystko było w porządku. Zebrała referencje, które potwierdzały jej zdolności, odpowiedzialność i wiarygodność zawodową. Listy polecające zdobyła dzięki doświadczeniu erotycznemu i darmowym numerkom. Miała też obiecaną pracę w Stanach – to nie było takie trudne, ponieważ producenci, których znała, także tam mieli firmy. Ci sami ludzie pisali jej referencje na oba kontynenty.

Patrząc na te świadectwa i fikcyjne kontrakty, smutno się uśmiechnęła. Dokumenty wiernie odzwierciedlały jej życie – kłamstwo i grę pozorów. Wolą jednak tę fikcję od otchłani, która się przed nią otworzy, jeśli choćby przez ułamek sekundy zgodzi się przyznać, że snuje beznadziejne plany. Gdyby wyrzekła się marzeń, wyrzekłaby się życia.

Jej spojrzenie zatrzymało się na ściennym zegarze – filmowym klapsie, do którego przymocowano tarczę ze wskazówkami. Przywiozła tę pamiątkę z jedynej podróży do Los Angeles. Piętnasta czterdzieści pięć. Poderwała się. Zupełnie zapomniała o „castingu”, już za chwilę, o szesnastej. Tak nazywała schadzki po osiemset euro.

Pobiegła do łazienki i zmyła maseczkę mineralną z Morza Martwego. Pamiętała, że ten facet to chiński finansista. Kontakt podrzuciła jej cicha stręczycielka z alei Hoche. Uniosła głowę i spojrzała na swoje odbicie. Zobaczyła owalną twarz, mongolskie policzki i oczy syberyjskiego husky. Odetchnęła, zaciskając ręce na brzegu umywalki.

Chińczyk. Doskonale pasuje do tego, co wpadło jej do głowy.

Sofia umówiła się z nim w Ogrodzie Luksemburskim.

Erwan zaparkował na ulicy Bonaparte i wszedł bramą od ulicy Vaugirard. Trzymając dzieci za ręce, minął teren do gry w bule, a potem korty tenisowe. Włoszka miała czekać trochę dalej, przy placu zabaw. Drżał z podniecenia na myśl o spotkaniu z nią.

Kiedy zobaczył ją po raz pierwszy, poczuł dreszcz. Za drugim razem udawał obrażonego. Za trzecim zaczął się jąkać. Dopiero przy czwartym czy piątym spotkaniu zachowywał się normalnie. I dopiero wtedy mógł się jej przyjrzeć. Sofia nie była piękna – była doskonała. Taką urodę należało pokazywać na lśniących okładkach pism, na ekranach kinowych, ale Sofia wyśmiałaby takie propozycje. Była milionerką i ta uprzywilejowana pozycja wzmacniała jej naturalną władczość.

Kiedy Loïc przywiózł ją w roku 2013 z Nowego Jorku, Erwan zachodził w głowę, jak ten skrajny dureń zdołał uwieść taką boginię. Ojciec też się nad tym zastanawiał, toteż jak przystało na gliniarzy z krwi i kości, przeprowadzili dyskretnie śledztwo i niemal zaniemówili, odkrywwszy, że Sofia jest znacznie bogatsza od Loïca. Była córką handlarza żelastwem z przedmieścia Florencji. Jej ojciec zbił majątek na handlu metalem i ożenił się z hrabiną Balducci – zrujnowaną, ale jednak daleką krewną wielkiego rodu Aldobrandeschi. Sofia odziedziczyła urodę po ojcu (wielkopańska gęba), a elegancję po matce. Spoglądała na świat z góry jak Balducci, była twarda jak złomiarz. Reszty dokonała edukacja. Dzieciństwo spędziła w Sankt Moritz z niemiecką guwernantką, w Mediolanie uczyła się w prywatnych szkołach, potem wstąpiła na Uniwersytet Luigi Bocconi i ULM (Università di lingue e comunicazione). Szlifu nabierała na Wall Street, a w końcu poznała miłość w objęciach Loïca.

Morvanowie nie mogli w to uwierzyć. Byli mężczyznami, a przede wszystkim policjantami. Nie potrafili zrozumieć, w czym tkwi magnetyczny czar Loïca. Nie dostrzegali, że ma ładną twarz, delikatne dłonie, rozbijający uśmiech. Niepojęte było dla nich zauroczenie dziewcząt narkomanami. To

zło fascynuje kobiety, ponieważ instynkt samic podpowiada im, że właśnie ono zawsze będzie najbardziej pociągające. Nie zapominajmy też o zniewalającej mocy tych śmiałków, którzy igrają ze śmiercią.

Po kilku miesiącach zaczęły się przygotowania do ślubu. Erwan delektował się cichą rywalizacją dwóch ojców. Po prawicy stał stary lis z Afryki, cwany superglina mający tajemniczy majątek w Kongu. Po lewicy Giovanni Montefiori zwany Kondotierem, powiązany z klanem Berlusconi i z pewnością z różnymi strukturami mafijnymi. Te dwa drapieżne samce pały do siebie instynktowną nienawiścią, wyczuwając, że uosabiają dwa oblicza tego samego zepsucia.

Młoda para wzięła ślub w Zermatt, w śniegu, i odjechała saniami. Wygłupy rozpieszczonych dzieci bogaczy. Montefiori wynajął wszystkie dostępne domki, Morvan zapłacił za bankiet w jednym z luksusowych hoteli kurortu.

Erwan, który wylądował w domku stróża, tej nocy postanowił, że weźmie pod opiekę te dzieciaki, które nie wiedziały nic o życiu. Stopniowo uzyskał przy nich status ochroniarza, czyli właściwie jednego ze służących. Lubił tę rolę: muskularne ramię wciśnięte w tani garnitur, prostak, który nie potrafi prowadzić konwersacji i nie zna się na elegancji, stał się człowiekiem, z którym księżniczka dogadała się dla dobra „młodego”, chcąc go ochraniać.

I od tej chwili Erwan i Sofia zostali sprzymierzeńcami. Ona pilnowała męża, ograniczając mu dostęp do kokainy (nie tykał już ani heroiny, ani alkoholu). Erwan znajdował brata, kiedy ten zniknął na całą noc, a czasem nawet na tydzień.

Z biegiem lat zyskiwał przekonanie, że dobrze zna Włoszkę. Uroczyste kolacje, weekendy w Portofino, rejsy imponującymi jachtami pozwoliły mu odkryć ograniczenia młodej kobiety. Kochała Loïca, ale jej uczucie mieściło się w ramach wytyczonych przez klasę społeczną, do której należała. Małżeństwo stanowiło tylko jeden z etapów łatwego życia. W rzeczywistości nie była ani wyniosła, ani protekcyjna – była standardowym wytworem włoskiej burżuazji, kobietą przywiązaną do przywilejów i konwenansów swojego świata, zaprogramowaną maszyną – doskonałą i czarującą, ale przez zapomnienie pozbawioną głównej części – serca.

Pomylił się. Narodziny Lorenza odkryły jej prawdziwą twarz. Wielką miłością Sofii okazały się jej dzieci. Loïc był tylko preambułą, nieodzownym elementem. Dlaczego jednak wybrała na ojca swego potomstwa narkomana?

Bo był przystojny? Bo miał piękny uśmiech? A może ze względu na inteligencję? Sofia ostatecznie zrzuciła maskę, kiedy oczekiwała na narodziny Milli. Darła koty z Loikiem, ale nie martwiła się tym. Odegrał już swoją rolę. Jeśli okazałoby się, że nie potrafi sprostać zadaniu, przepędziłaby go. Albo zniszczyła. Jak pajęczycza, która spółkuje z samcem, a potem go uśmierca.

– Tam jest mama!

Siedziała na ławce przed placem zabaw. Milla i Lorenzo puścili ręce wujka i pobiegli do niej. Wstała, żeby przywitać dzieci, potem zaczęła się rozglądać, szukając Erwana. Skinęła mu ręką, zapłaciła za wstęp dzieci na plac zabaw i odwróciła się do niego.

I nagle panujący wokół gwar, przechodzący obok spacerowicze, wir pierwszych suchych liści stały się tylko tłem. Sofia pojawiła się przed nim jak w kinie, kiedy kamera skupia się na bohaterce, a scenografia zamazuje.

Jej twarz zdawała się opromieniona złotym blaskiem, który podkreślał perfekcję tego dzieła. Czoło, brwi, nos, policzki – to była harmonia linii, cudowna gładkość. Biała cera przypominała delikatną powierzchnię wypieszczonego przez rzeźbiarza alabastru i aż nasuwało się pytanie, jak oddycha ta skóra. Usta, leciutko podkreślone szminką, były niczym fałda wykuta w kamieniu. Nie zamierzając korygować bladości twarzy, Sofia nie robiła makijażu i z dezynwolturą prezentowała naturalne rysy. Zwieńczeniem tego wizerunku były długie czarne włosy z przedziałkiem pośrodku, jak na starych zdjęciach Davida Hamiltona. Sofia miała w sobie więcej z wiejskiej kobiety amiszów niż z włoskiej ślicznotki.

Jednak dwa szczegóły łagodziły ten ascetyczny portret. Piegi na policzkach sprawiały, że wyglądała młodo i figlarnie. A drugi znak szczególnie – lekko opadające powieki – kazały domyślać się eurazjatyckich korzeni i przydawały tajemniczości. Może dlatego wydawała się nieco znużona, melancholijna, chwytająca za serce.

– Co u ciebie?

– W porządku – powiedział, jak zwykle niezbyt elokwentny w jej obecności.

– Masz chwilkę?

Skinął głową jak żołnierz składający meldunek.

– Chodź, chcę mieć dzieci na oku.

Erwan poszedł za nią na plac zabaw i potulnie pozwolił kasjerowi

ostemplować sobie rękę. Szumiało mu w uszach, tętniło w skroniach. W parku ziemia zaczęła się kołysać. Pomyślał, że to skutek napięcia. Dopiero potem zauważył, że podłóże wykonano tu ze specjalnej pianki, żeby dzieci nie raniły się, upadając.

Do diabła, wyluzuj, chłopie – powiedział w myśli. – Odpręż się!

Sofia znalazła wolną ławkę.

– Loïc nie mógł przyjść?

Zapytała tylko dla satysfakcji, jaką dawało jej podkreślanie nieodpowiedzialności byłego męża.

– Ma sporo pracy.

– Oczywiście, musi wciągać kokę.

Niezły początek! Erwan usiadł obok niej, nie odpowiadając. Skoncentrowana, patrzyła na zamieszanie na placu zabaw.

– Nie mam pojęcia, kto wymyślił niedzielne popołudnia w parku, ale uważam, że to jedna z rzeczy, która popycha część kobiet do rodzenia anonimowo i zostawiania dzieci.

Sofia – wzorowa matka – lubiła prowokować. Przejęła tę cechę paryżanek: rozkwitała, prawiąc złośliwości, raz po raz wypowiadała poglądy sprzeczne z tym, co naprawdę myślała, a wszystko dla przyjemności popisania się dowcipem albo dla niezrozumiałej satysfakcji, jaką przynosiła jej pewność, że inni uważają ją za złą.

– Rozwód ma przynajmniej jedną dobrą stronę: dzielisz się udręką.

Miała dźwięczny głos, który nie współgrał z obliczem piety.

– A co u ciebie? – zapytała jak dobry kumpel.

Rzucił parę banalnych słów na temat podróży do Afryki. Kręciła uroczą główką, wcale go nie słuchając. Zresztą nawet jego nie obchodziło to, co mówił. W jakimś zakątku mózgu wciąż dźwięczało mu jedno pytanie: czy domyśla się, co do niej czuje?

Dopóki była z Loïkiem, zachowywał dystans. Teraz, kiedy małżonkowie się rozstali, pozwolił sobie na to, by się w niej zakochać. Jego szanse nie wzrosły, a może nawet zmały, ale właśnie to sobie cenił – desperacką namiętność, która do niczego nie zobowiązywała.

– Wiesz, że mieszkałam w Afryce? – zapytała od niechcienia.

Jej czarne włosy połyskiwały w słońcu przedzierającym się między zielonymi liśćmi kasztanowców.

- Pierwsze słyszę.
- Ojciec prowadził tam interesy.
- Jakie?
- Jak zwykle – metale.
- A gdzie?
- W dawnych włoskich koloniach – Etiopii, Somalii, Erytrei.

Próbował wyobrazić sobie małą dziewczynkę błąkającą się po laterytowych ścieżkach u stóp olbrzymich migdałowców, ale zaraz się otrząsnął. Zmyślała, przecież doskonale wiedział, gdzie się wychowała i gdzie chodziła do szkoły.

I znów roześmiała się jak stara kumpelka.

– Wyglupiam się – przyznała. – Nigdy tam nie byłam. Ale przecież na pewno masz moje akta, co?

Uśmiechnął się. Kiedy była tak blisko niego, popadał w swoiste rozleniwienie – brakowało mu energii i inwencji, mimo potwornego napięcia, które wprawiało go w drzenie.

Milla i Lorenzo nagle przerwali zabawę, żeby przybiec i poprosić o podwieczorek. Erwan grzebał w kieszeni, szukając drobnych na lody, ale Sofia już wyjęła z torebki w stylu *vintage* od Balenciagi herbatniki i buteleczki actimelu, które pochłonęli w kilka sekund. Zniknęli tak, jak się pojawili. Nareszcie mogli odżyć po ponurym obiedzie u dziadków.

– Kiedy byłam w ciąży – powiedziała Sofia, wodząc za nimi wzrokiem – czułam to, co wiele ładnych kobiet, chciałam, żeby to się jak najszybciej skończyło i żebym znów wyglądała jak przedtem. Nie chciałam przytyć o choćby jeden zbędny kilogram, nie zamierzałam rezygnować z przyjęć. A przede wszystkim pragnęłam mieć nad wszystkim kontrolę. Ale dziecko już w brzuchu zaczyna o tobie decydować. A może nawet decyduje, że się urodzi?

Przypaliła papierosa. To było ostatnie miejsce, gdzie wypadało palić, ale za to ją lubił – za tę beztroskę i naturalność, z jaką narzucała innym swoją wolę.

Niemal natychmiast dopadła do nich jakaś mamuśka i wykrzywiając się, zaciskając pięść, rzuciła:

– Oszalała pani czy co?

Erwan wyciągnął trójkolorową odznakę, nawet nie wstając z ławki.

– Policja. Proszę odejść.

Kobieta na chwilę zamarła, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

– Proszę odejść albo przeprowadzę kontrolę w całym parku!

Megiera spłoszyła, odwróciła się i odeszła bez słowa.

– Widziałeś jej minę?! – parsknęła Sofia.

Erwan uśmiechnął się do niej. Cieszył się tym małym popisem, ale wolałby zabawiać ją rozmową. Kiedy podrywał barmanki i sprzedawczynie, był nie do pokonania, ale przy niej palił się jak pizza w zbyt gorącym piecu.

– Kiedy wreszcie przedstawiś nam narzeczoną? – zapytała, czytając w jego myślach.

– W tej chwili nikogo nie mam.

– Czasem zastanawiam się, czy jesteś gliną, czy księdzem.

I znów nie wiedział, co odpowiedzieć, więc udawał, że obserwuje gromadę dzieciaków, które biegały i wirowały w obłądnym tempie. Milla i Lorenzo zwisali z rozpiętych w górze drabinek linowych.

Sofia, widząc, że Erwan nie zamierza reagować na jej zaczepki, zaczęła opowiadać o wakacjach w Toskanii, a potem o podróżach między Paryżem a Mediolanem. Zamierzała zająć się projektowaniem i otworzyć firmę – wyrób i dystrybucja włoskich mebli. Erwan wiedział, że przejdzie w końcu do jedyne go tematu, który ją interesował: wojny, jaką wydała Loïcowi, żeby uzyskać rozwód i wyłączną opiekę nad dziećmi. Z jakichś niejasnych powodów jego brat nie godził się na oficjalne zakończenie małżeństwa.

– Coś ci przyniosłam.

Wyjęła z torby szarą kopertę formatu A4, a z niej zdjęcia Loïca w kompanii podejrzanych typków. Erwan nie musiał się w nie wpatrywać, żeby zrozumieć, co dokumentują – jego brat kupował narkotyki od dealerów. W rogu każdej fotografii wpisana była data i godzina.

– Kazałaś go śledzić?

– Tylko kiedy jest z moimi dziećmi.

– Zwariowałaś?

– To on zwariował. To chory człowiek. Według moich obliczeń dochodzi do pięciu gramów dziennie. – Wyjęła mu z ręki jedno ze zdjęć i podsunęła mu pod nos. – Widzisz to? Kupuje towar na parkingu przy Hałach o jedenastej wieczorem. Przyjrzyj się uważnie, a zobaczysz, że dzieci śpią w wozie.

Erwan oddał jej zdjęcia. Sofia znów zapaliła papierosa. Trzymając go w ustach, nerwowo wsunęła zdjęcia do koperty i znów mu ją wcisnęła.

– I niby co mam z tym zrobić? – zapytał.
– Przeprowadź śledztwo w sprawie Loïca.
– Pracuję w kryminalnej – odparł lodowatym tonem.
– To poproś kolegów z antynarkotykowego. Pięć gramów to już nie na użytek osobisty, to ilość handlowa. Może za to posiedzieć...
– Zapomniałaś chyba, że mówisz o moim bracie.
– I o ojcu moich dzieci. O facecie zepsutym do szpiku kości, który twierdzi, że jest w stanie opiekować się co drugi tydzień dziećmi, odwozić je do szkoły, przygotowywać posiłki, troszczyć się o nie w różnych okolicznościach i...

Poderwał się z ławki.

– Nie licz na mnie.
– Trzymacie się razem, tak?
– Loïc ma swoje wady, ale...
– I ty to nazywasz wadami? To wrak człowieka. Nie mogę zmrużyć oka, kiedy są u niego. Na Boga, przecież to jedyne rozsądne rozwiązanie!

Strach zniekształcił rysy twarzy jego szwagierki. Światło wokół nich także się zmieniło. W koronach drzew pomiędzy liśćmi tańczyły stalowe blaski. Nadciągała burza. Miał wrażenie, że grunt usuwa mu się spod stóp.

– Rób, co chcesz – powiedział stanowczo. – Masz zdjęcia, prawdopodobnie również świadków. Daj to adwokatowi. Będzie wiedział, jak postąpić.

– Ten klan Morvanów – kiedy jest źle, zwieracie szyki.

– Twoje dzieci także są Morvanami. Powtarzam: nie licz na mnie.

Ona też wstała, nerwowo wciskając kopertę do torebki od Balenciagi. I właśnie wtedy rozległ się huk tak potężny, że zadrżały bramki. Dzieci zaczęły krzyczeć, wiele z nich rzuciło się biegiem w stronę mam.

Erwan rozglądał się, szukając bratanka i bratanicy, żeby się z nimi pożegnać, ale nie znalazł ich. Trudno. Nabrzmiałe chmury z ulgą zrzuciły z siebie ciężar, zalewając ziemię ścianą wody. To była wyjątkowo gwałtowna burza.

– Jeżeli będziesz mnie potrzebowała, dzwoń – powiedział do Sofii – ale nie z takimi świństwami.

Wyrzuciła papierosa i popatrzyła na niego. Kiedy się na czymś koncentrowała, można było zauważyć, że lekko zezuje. Przez krótką chwilę widział ją taką, jaka naprawdę była, odartą z poezji, nieupiększoną jego

wizjami. Była córeczką tatusia, wychowaną pośród wygod, miłości i beztroski, a teraz wpadła w bajoro prawdziwego życia.

Przeszedł ledwie parę metrów, a już przemókł. I bardzo dobrze, bo musiał zmyć z siebie całe to łajno. Najpierw ojciec, który każe śledzić własną córkę, żeby wiedzieć, z iloma facetami się puszcza, potem bratowa, która szpieguje męża, bo chce ustalić, ile bierze kokainy.

Wsiadając do samochodu, doszedł do wniosku, że wyjazd do Bretanii dobrze mu zrobi.

Powietrze! Przesączone jodem nadmorskie powietrze!

Lubił tu przychodzić. Pod ten butwiejący most, gdzie cuchnęło szczynami i palonym tłuszczem.

On, Loïc Morvan, cudowne dziecko finansów, dyrektor jednego z renomowanych paryskich funduszy hedgingowych, ubierający się wyłącznie w garnitury po pięć tysięcy euro, jeżdżący astonem martinem V12 vanquish za ponad trzysta tysięcy, czuł się jak w domu w takich kloakach, w kryjówkach rozmaitych wykolejeńców i wyrzutków.

To było jak powrót do źródeł. Identyfikował się tylko z jedną tradycją – upodlenia. Dziś udało mu się z niego jako tako dźwignąć – „jako tako” to trafne określenie, ponieważ właśnie teraz czekał na dealera pod mostem kolejowym, na rogu ulic Crimée i d’Aubervilliers. I nie zapomniał mrocznych lat młodości.

Kiedy po obiedzie ocknął się z ciężkiej drzemki, dopadł go atak paniki – stary znajomy. Czuł, że piersi przywalił mu kamień, że ma rozpaloną głowę, ręce zimne jak sople lodu. Z niepokojem zapytał o Millę i Lorenza, ucałował matkę i ojca, a potem uciekł.

Zadzwoił, umówił się na spotkanie. W takich chwilach obawiał się tylko jednego – wyczerpania zapasów. Zdaniem psychoterapeuty był to już pewien postęp – Loïca dręczył już tylko jeden lęk, a ten lęk, mimo że bezpodstawny (zawsze nosił kokę w kieszeniach, trzymał ją w schowku w samochodzie, a przede wszystkim w domu), można było błyskawicznie uciszyć, a to oznaczało wielką ulgę.

Pod mostem nadal nie było żywego ducha.

Zablokował drzwi i wtulił się w fotel. Deszcz osłabł, ale woda wciąż przelewała się przez krawędzie mostu kolejowego nad jego głową i skapywała niczym kroplówka olbrzymów. Ustawił klimatyzację na silne chłodzenie – chciał, żeby było mu zimno – i wpatrzony w znajome pejzaże, poddał się fali wspomnień.

Grégoire’owi Morvanowi zależało na tym, żeby wychować synów na

prawdziwych Bretończyków, czyli na żeglarzy. Zapisywał ich do Glénans w wieku sześciu lat. W każde wakacje intensywnie ćwiczyli. Uparty Erwan w pewnym momencie sprzeciwił się ojcu. Ale on, wzorowy syn, stał się najlepszy w swojej kategorii. Jachty żaglowe. Regaty. Katamarany. Lata mijały, a on gromadził puchary.

Stary był zachwycony – doczekał się dziecka, które wiedziało, jak utrzymać ster rodziny! Bretończyka, który pruł fale. Loïc triumfował, ale był skromny. Zwycięzał w regatach z lekkim uśmiechem na ustach, odbierał trofea z pokorą, nieśmiało przyjmował zaloty rozpieszczonych jedynaczek, które krążyły wokół niego. Poważne życie toczyło się jakby równolegle.

Ten, kto spędza całe dnie, żeglując, wieczorem ląduje w barze. Loïc bardzo szybko zaczął wyróżniać się w innych kategoriach – został najmłodszym pijakiem wybrzeża (mając dwanaście lat), miał najmocniejszą głowę w całym Finistère (jako trzynastolatek), pobił rekord w nieprzerwanym chlaniu (siedemdziesiąt dwie godziny w wieku piętnastu lat)...

Z tymi przywarami wrócił do Paryża. Sytuacja wciąż się pogarszała, zaczęły się problemy. Opróżniał puszki, butelki, kufle i upijał się w ciągu paru minut. Wieczory zamieniły się w długie godziny upojenia alkoholowego, przerywanego wymiotami. I wtedy odkrył kokainę – cudowny środek, który niweluje niepożądane skutki picia alkoholu. Dzięki proskowi mógł w ciągu nocy wlewać w siebie znacznie więcej. I dotrwać do rana, w pełni ciesząc się długimi godzinami pijatyk.

Jakimś cudem zdał maturę, kiedy miał siedemnaście lat, i zapisał się na ekonomię. Ojciec marzył dla niego o Sciences Po, a może nawet ENA⁶. A Loïc chciał zarabiać dużo i szybko. Wtedy doszedł do paru litrów dziennie, jak prawdziwy kloszard, ale raczej wódek niż win. Obracał się wśród podobnych do siebie – ludzkich wraków z legitymacją studencką, snujących się po omacku, z rozwaloną wątrobą i gąbczastym mózgiem.

W Bretanii bardziej znano go w tym okresie z pijackich wybryków niż z żeglarskich triumfów. Twierdził, że kiedy pływa, nie pije, ale kłamał – ukrywał butelki i kokę pod pokładem, żeglował samotnie, pozbawiony refleksu i rozwagi. Oczywiście zwycięzał coraz rzadziej, więc sponsorzy się od niego odwrócili – znalazł się za burtą w każdym tego zwrotu znaczeniu.

Gwizdał na to. Miał dwadzieścia lat, narkotyki go fascynowały. Crack, haszysz, oddech diabła, poppersy, buprenorfina, tri. Tak dużo było do poznania! Na swój sposób wciąż był poszukiwaczem. Łowcą sztucznych

rajów.

Na imprezach zaczął sięgać po ecstasy. Zmierzył się z nowym typem kaca, po dwóch dniach w transie lądowanie było twarde – na pograniczu depresji i skłonności samobójczych. I znowu znalazł lek: klin z heroiny w poniedziałkowe ranki. Hera eliminowała odrętwienie i mógł zaczynać nowy tydzień. Ale hera nie była łagodną damą. Po kilku tygodniach uzależnił się od narkotyku. Po paru miesiącach balansował na granicy życia i śmierci.

Nie było już mowy ani o studiach, ani o pracy. Konto bankowe Loïca świeciło pustkami, ojciec przestał płacić czynsz za mieszkanie. Loïc zaczął sypiać, z kim popadło – z kobietami i mężczyznami, bez różnicy, byle zdobyć kasę na kolejną dawkę.

Pewnego dnia bez żadnego logicznego uzasadnienia nikt nie miał dla niego towaru. Wszystko wyglądało jak w filmie *Stracony weekend*, kiedy Ray Milland rozpaczliwie szuka alkoholu, ale wszystkie sklepy są zamknięte. I wtedy Loïc uświadomił sobie, że jest Jom Kippur, a Żydzi nie pracują w ten świąteczny dzień. Dla niego jednak ten Jom Kippur ciągnął się dzień za dniem, a on nie mógł pojąć, co się dzieje. Wyjaśnienie usłyszał później z ust ojca.

Obserwacja pijaństw syna nie stanowiła większego problemu dla policjanta, który rozbił siatkę zamachowców z ulicy Rennes⁷, i aresztował członków Action directe. Przez pierwsze lata pozwalał mu się wyszumieć – młodość ma swoje prawa. Ale kiedy był już pewien, że Loïc sięga po narkotyki, kazał szepnąć słówko dealerom: ktokolwiek odważy się sprzedać proszek jego synowi, wyląduje w więzieniu. Albo na cmentarzu.

Loïc dosięgnął dna. Agonia przeplatała się z fazami głodu, kompulsywną potrzebą zażycia narkotyku, alkoholu, leków. Wtedy faszerował się czymkolwiek. Pewnego dnia spotkał kumpla ćpuna w takim samym stanie jak on. Tamten powtarzał w kółko: „Wiem, jak to załatwić”. Zabrał Loïca do siebie, wciąż mamrocząc: „Wiem, jak to załatwić”. W dużym rodzinnym mieszkaniu w pobliżu Trocadéro Loïc dowiedział się, jak tamten zamierzał „to załatwić” – z ojcem, który nie chciał dać mu złamanego grosza. Chłopak błagał i groził. W końcu przyniósł młotek i roztrzaskał ojcu głowę. Przetrasnął jego kieszenie, potem rozwalił szuflady sekretarzyka, żeby zabrać więcej pieniędzy.

Drząc, zmagając się ze skurczami, Loïc przyglądał się wszystkiemu i nawet się nie ruszył. Wszędzie było pełno krwi, mózg na parkiecie, odłamki

kości na ścianach. Morderca wybiegł, a Loïc ukrył się w pokoju jego młodszej siostry (działo się to podczas wakacji szkolnych). W końcu tamten wrócił z towarem. Siedząc między lalkami Barbie i wózekkami, ćpali, a potem zasnęli na bladoróżowym dywanie.

Kiedy Loïc się obudził, czuwał przy nim Morvan.

– Wszystko będzie dobrze, synku.

Ludzie w białych kombinezonach czyścili dywan, sprząтали każdą powierzchnię, usuwali każdą drobinę pyłu. Inni zajmowali się jego nieruchomym kompanem. Zanim Loïc zemdleł, dotarło do niego, że mordują tamtego chłopaka.

– Wszystko będzie dobrze.

Nazajutrz Morvan zaproponował synowi układ: zatarł ślady jego zbrodni, wyczyścił – bardzo dosłownie – teren. Ale przyszedł czas, żeby syn udał się na odwyk i wrócił do zdrowia na Antylach. Loïc zgodził się na wszystko, nie stawiając warunków.

Tym razem to gliniarz okazał się naiwny. Stary Morvan utożsamiał jeszcze tropikalny raj ze zdrowym, prostym stylem życia. Tymczasem w portach i przystaniach dla jachtów panoszyło się zepsucie. Loïc – żeglarz, przystojny chłopak i biseksualista – był idealnym uczestnikiem pewnego rodzaju rejsów. Dawał sobie w żyłę, wachał, łajdaczył się w kajucie i pluskał w morzu.

Znów zmierzał ku bramom piekieł, ale tym razem poza zasięgiem władzy ojca. Zapuścił się aż na Andamany, potem do Zatoki Bengalskiej. Znalazł się w Kalkucie, znów na dnie, gotów zrobić wszystko, byle wciągnąć resztki proszku.

I wtedy ocalił go inny człowiek.

Ktoś zapukał w szybę. Pogrążony we wspomnieniach Loïc podskoczył na siedzeniu. Pociągła, szczurza twarz zaglądała do środka. Dredy, żółta ospowata cera, marne pieńki zębów... Przy swoich pieniądzach i kontaktach Loïc mógłby znaleźć dealera o znacznie przyzwoitszym wyglądzie, ale on chciał zadawać się z najgorszymi śmieciami. Narkotyki to mroczna kraina. W tym tkwi ich istota. Nie można nadawać im pozorów szlachetności.

Otworzył okno i podał szczerowatemu rulonik – trzysta euro w małych nominałach. Tamten podsunął mu plastikową torebkę. Kiedy Loïc chciał zamknąć okno, zombi je zablokował:

– Niezła fura.

– Puszczaj.

– Zabierzesz mnie na przejazdzkę, gruby?

Loïc był największym tchórzem, jakiego nosiła ta ziemia. Jednak czując, że chroni go powłoka z blachy i stali, rzucił agresywnym tonem:

– Spadaj.

Handlarz chwycił go za kołnierz i wyciągnął nóż. Loïc miał wrażenie, że spływa po skórzanym fotelu jak gorąca sraczka, jednak lewą nogą wcisnął pedał. Odruchowo wrzucił dwójkę. Prawą nogą wcisnął gaz. Samochód gwałtownie ruszył z rykiem silnika, który potęgował się odbijany przez mury. Dealer odskoczył, wyjąc z bólu.

Na bulwarze Macdonald Loïc wychylił głowę przez okno i z ulgą odetchnął powietrzem, które po deszczu wydawało się świeższe. Porte de Clichy. Porte d’Asnières. Jechał w strumieniu samochodów do bulwaru Malesherbes, a zatrzymał się na opustoszałym placu Wagram.

Wyciągnął z plastikowej torebki narkotyk i usypał na wierzchu dłoni kreskę, tak jak robią spieszący się ludzie. Potem zauważył, że proszek cuchnie uryną, a co gorsza – jest skamieniały i suchy. Dobre znaki.

Wdech. Raz. Dwa. „Prawdziwe życie przenika przez nos – powiedział kiedyś reżyser porno gonzo z jednego z nocnych klubów. – Cała reszta to tylko sentymentalne marzycielstwo”.

Poczuł się lepiej. Jego mięśnie się rozluźniły, spadł ciężar duszący klatkę piersiową. Cały organizm wpadł w hiperwentylację. Klimatyzowane powietrze, wciąż lodowate, przenikało przez wszystkie pory skóry niczym podmuch od bieguna północnego. Zadrżał i znów głęboko odetchnął. Koszula przylgnęła mu do zlanego potem ciała. Odkleił ją i potrząsnął kołnierzykiem. Przykra woń potu przemieszana z wodą toaletową i zapachem kokainy wypełniła kabinę.

Z pewnym opóźnieniem zauważył, że płacze rzewnymi łzami. Ciekło mu też z nosa, z którego spływał wciągnięty niedawno proszek. *Cholera*. Otarł łzy i nos. Jego palce były czerwone. Obrócił lusterko wsteczne, żeby się przejrzeć i zobaczył bladą gębę błazna – upačkaną białym proszkiem, krwią i łzami.

Łokciem – nie chciał wyświnić aluminiowej tablicy rozdzielczej – otworzył schowek i chwycił paczkę chustek ligninowych. Wyciągnął jedną i przytknął ją do nosa. Potem siedział przez kilka minut z głową odchyloną do tyłu.

Kiedy uznał, że krwawienie ustało, znalazł w kieszeni żel do dezynfekcji, skropił nim ręce i umył się, jak mógł – jak wtedy kiedy matka słuwała na chusteczkę, żeby wytrzeć mu umazaną buzię.

A potem wziął jeszcze jedną porcję – na drogę – i wyruszył w lepszej kondycji.

„Prawdziwe życie przenika przez nos...”

Jak długo pociągnie w tym rytmie?

Erwan mieszkał w dwupokojowym mieszkaniu na drugim piętrze nowoczesnego budynku przy ulicy Bellefond w 9 dzielnicy. Jednak dzielnica była mu obojętna. Nie oczarowała go ani ulica Martyrs, ani plac Saint-Georges, ale też nie przeszkadzały mu ani posępne arterie wokół dworca Saint-Lazare, ani plac Clichy. Ważne było, że ulica jest spokojna, że prawie nie widuje sąsiadów, a parking jest wliczony w czynsz.

Urządził tych siedemdziesiąt metrów kwadratowych jak typowy glina: w salonie miał biuro, sypialnia służyła tylko do tego, żeby wchodzić do niej nocą, a wychodzić tuż po przebudzeniu, kuchnia była otwarta, w stylu amerykańskim, a on jadł w niej na stojąco. Mebli było mało, ścian nie ozdobiło nic, nawet żadne zdjęcie. Miał jedną obsesję: czystość. Sowiecie opłacał sprzątaczkę, która przychodziła dwa razy w tygodniu, a sam poświęcał sporo czasu w weekendy na porządki. Mieszkał tu od pięciu lat i już dwa razy malował ściany na biało. Lubił zapach farby, który czuło się przez całe miesiące – zapach nowości, odrodzenia.

Kiedy obrócił klucz w zamku, zapomniał o Sofii i zaczął się zastanawiać nad rzeczywistymi powodami wyjazdu do Bretanii. Dlaczego stary go tam wysłał? Żeby uzyskać „możliwą do przyjęcia” wersję o wypadku podczas otrzęsin? A może chciał go zmusić do powrotu do ich „rodzinnego” Finistère? Albo na pewien czas pozbyć się go z Paryża?

Morvan utrzymywał, że Bretończycy współpracują z Paryżem i śledztwo uda się zamknąć w ciągu dwóch dni. Brednie. Wojskowi z sił lotniczych marynarki zamkną się jak ostrygi – Erwan był tego pewien – a żandarmi będą w nim widzieli rywala. W dodatku, gdyby na cokolwiek wpadł, prokurator zrobi, co się da, żeby chronić swoich. Żeby zmierzyć się z tym wrogim światem, potrzebował mistrza papierkowej roboty. Philippe Kriesler, alias Kripo, jego zastępca, doskonale się do tego nadawał. W ich zespole zajmował się procedurami, pisał raporty i ustalenia, protokoły z przesłuchań, wiedział o każdej zmianie przepisów, drobiazgowo przedstawiał i dokumentował wydatki, przygotowywał wnioski proceduralne. Pisanie

wymaga talentu, a Kripo miał lekkie pióro.

Erwan połączył się z nim, ale trafił na automatyczną sekretarkę. Nagrał wiadomość, przypomniawszy sobie, że jego zastępca właśnie dziś wraca z urlopu. Czy w porę odbierze wiadomość? Erwan postanowił poczekać kilka godzin i dopiero potem skontaktować się z kimś innym.

Kawa. W panującej w mieszkaniu ciszy zaczęły wracać migawki z tego niemiłego dnia. Sine ramiona matki, pąsowa twarz ojca, zdjęcia Sofii. Szurnięta rodzinka!

Uważał się za jedyne rozsądnego przedstawiciela tego klanu. A w każdym razie – najmniej odchylonego. Był kawalerem, zarabiał cztery tysiące euro miesięcznie, jego życie było poukładane jak druki podatkowe. Nosił garnitur Celio, czytał „L'Équipe”, a jego jedyną słabostką było to, że czasem pił piwo. Miał inne pasje, znacznie bardziej wysublimowane – muzykę klasyczną, malarstwo, filozofię... ale nie potrafił rozmawiać o nich w towarzystwie. A poza tym nie chciał takich dyskusji, bo to były jego prywatne sprawy. Dbał o oficjalny wizerunek: najlepszego komendanta brygady kryminalnej z rekordowym odsetkiem wyjaśnionych spraw i wieloma wyróżnieniami za strzelanie z broni sportowej.

Czy ktoś taki mógł marzyć o Sofii Montefiori?

Erwan zawsze łączył piękne kobiety z pieniędzmi, a każdy dzień pracy w policji potwierdzał powiedzenie Frédéric Beigbedera: „Kobiety nie są kurwami, ale nie znam żadnej pięknej dziewczyny, która jest z biedakiem”. W kinie żony miliarderów sypiają z bohaterskimi gliniarzami, którzy pracują za grosze. Ale w realnym świecie te damy wolą opalać się nad własnym basenem.

Musiał zadowolić się zdobyczami nie tak olśniewającymi, ale sympatycznymi: kelnerkami, fryzjerkami, ekspedientkami, kosmetyczkami. Nie traktował tych swoich wyborów lekceważąco, przeciwnie – starał się podchodzić do tych kobiet z szacunkiem i uprzejmością, jakby chciał nagrodzić im wzgardę, z jaką stykały się na co dzień. Irytowało go, gdy mówiono o „skromnych zawodach”, a ich wszystkie nazwy, kończące się na -erka czy -arka przyprawiły go o dreszcz. Lubił uważać się za obrońcę tych prostych dziewcząt.

Niestety, takie związki nigdy nie trwały długo. Bo było jak w piosence: „O czym mówi markiza, kiedy spotka markizę?”. Kasjerki opowiadały mu historyki kasjerek, szczerze mówiąc, niezbyt pasjonujące, a on rewanzował

się anegdotami z życia policjantów, ciekawszymi, ale paskudnymi, a czasem przerażającymi. I nigdy nie udawało się zbudować na tym niczego trwałego.

Nie przejmował się tym. Wolał swoje marzenia. Wolał Sofię. W głębi ducha wierzył, że miłość, ta prawdziwa, powinna być nieosiągalna, a seks wcale go nie interesował.

Pod tym względem przypominał ojca. Stary lew, mistrz manipulacji, był purytaninem. Kochał tylko młodziutkie dziewczyny, ale wyłącznie platonicznie. Nieliczne sytuacje, kiedy Erwan widział go podnieconego, zdarzały się właśnie w obecności nastolatków, prawie dzieci. Zawsze go fascynowały. Widok tego brutalnego olbrzyma przeistaczającego się w Świętego Mikołaja, tak troskliwego i serdecznego, był dość obrzydliwy. Alfonsi, którzy wpychali dziwki do łóżek większości polityków, dealerzy koki zaopatrujący uzależnionych, szantażyści, z którymi wciąż miało się do czynienia, pracując w obyczajówce, BRI i brygadzie kryminalnej, w zetknięciu z tą czystością wolną od skrywanych intencji, odzyskiwali wiarę w prawość człowieka.

Mimo to Morvan, podobnie jak syn, był głęboko przekonany, że seks rządzi tym światem. Pierwsza lekcja policyjnego rzemiosła: dupa jest wszędzie i zawsze. Pod maską kultury, dyskusji, religii, munduru kryje się ciało. Potrzeba dotykania cycków, wsadzania członka w wilgotną, rozpaloną szparę. Cała reszta to literatura.

Erwan przerwał te podniosłe rozważania i usiadł przy biurku, stawiając na nim kubek i dzbanek. Włączył komputer i zaczął przeglądać maile od starego. Pierwszy dotyczył bazy wojskowej, w której doszło do „przypadkowej śmierci elewa”. Szkoła pilotażu nazywała się Kaerverec 76, od nazwy pobliskiej wsi na zachodnim wybrzeżu Finistère, czyli na najdalej wysuniętym krańcu Francji; liczba oznaczała rok otwarcia ośrodka.

Ojciec załączył internetowe linki o szkole. EOPAN (elewowie oficerskiej szkoły pilotów lotnictwa marynarki wojennej) uczyli się tu przez dwa lata, następnie na rok kierowani byli do Stanów Zjednoczonych, gdzie kończyli szkolenie na myśliwcach. Po powrocie mogli już zasiąść za sterami rafale'i, które startowały z lotniskowca „Charles de Gaulle”. Ostatnią promocję nazwano Condor 2012.

Co roku na początku sierpnia do bazy przybywało dwudziestu kandydatów, których podania przyjęto. Przez miesiąc byli obserwowani.

Zdawali egzaminy z teorii, selekcjonowano ich podczas lotów, oceniano psychikę, wyniki pracy na symulatorach. Pozostawało tylko dwunastu i właśnie ci w pierwszy wrześniowy weekend przechodzili otrzęsiny.

Erwan jeszcze raz przeczytał teleks, który Morvan dostał ze sztabu. Pułkownik żandarmerii Jean-Pierre Verny z wydziału śledczego w Breście w kilku liniijkach przedstawił przebieg zdarzeń. W piątek 7 września, w południe, bazę zamknięto dla odwiedzających, a oficerowie i wykładowcy musieli ją opuścić. Szkoła zamieniła się w gigantyczny teren zabaw. Cel był jeden – dać w kość nowym elewom. O siedemnastej dwunastka elewów zebrała się na apelu na płycie lotniska. Zaczęło się nurzanie w błocie, ćwiczenia fizyczne, obelgi, ponizanie. To trwało do dwudziestej. Potem chłopaków rozpędzono – nagich i brudnych – po terenie, żeby podjęli polowanie na człowieka, ale nie ustalono zasad tej „gry”. Nazajutrz rano jeden nie stawiał się na apelu: Wissa Sawiris, dwudziestodwulatek z Mans. Kilka godzin wcześniej, podczas manewrów wojskowych, wystrzelono pocisk w cel na wyspie Sirling oddalonej o kilka kilometrów od brzegu. W południe eksperci wojskowi z dziedziny balistyki zbadali ruiny trafionego bunkra i znaleźli wśród nich szczątki ludzkie. Bardzo szybko zorientowali się, że to zaginiony elew. Jego oderwaną głowę, mimo znacznego zwęglenia, udało się zidentyfikować.

Erwan wypił łyk kawy i potarł oczy. Ta sprawa była wręcz niewiarygodna. Już fakt, że wystrzelono pocisk w cel położony o kilka kilometrów od bazy, gdzie elewów wypuszczano jak bazanty przed polowaniem, był dziwny, ale niepojęte wydawało się, że pocisk trafił właśnie w bunkier, w którym ukrył się jeden z nich. Czy za tą historią kryło się coś innego?

Zadzwoił telefon. Kripo.

- Wróciłeś z urlopu?
- Właśnie wszedłem. Wypoczywałem w Nadrenii. Dzwoniłeś?
- Wyjeżdżamy jutro rano.
- Dokąd?
- Do Finistère. Chodzi o otrzęsiny, które źle się skończyły.
- Cruchoty⁸ sobie z tym nie poradzą?
- Doszło do tego w bazie wojskowej, proszą o współpracę brygadę kryminalną.
- Wojskowi się zgodzili?
- Ponoć.

– A co z mediami?

– Jeszcze o niczym nie wiedzą. Naszym zadaniem jest przygotować wersję oficjalną.

Erwan już widział tytuły w gazetach: „Kolejna wpadka armii”, „Otrzęsiny: i znów tragedia”. W parlamencie podniesie się krzyk, z szaf wyciągną projekty ustaw, będą się mnożyć programy publicystyczne o wojsku. Maskarada, jak zawsze.

Kripo westchnął.

– Pojechałbym z przyjemnością, ale we wtorek o dwunastej mam spotkanie.

– Nie możesz go przesunąć?

– Robiłem to już dwa razy.

– A z kim jesteś umówiony?

– Z IGS.⁹

Erwan nie wyobrażał sobie, żeby jego zastępca mógł mieć problemy z „policją policji”, a tym bardziej żeby mógł zeznawać przeciwko któremuś z kolegów. Pięćdziesięciodziesięcioletni Kripo był zatwardziałym kawalerem, do emerytury zostało mu kilka lat, a do świata podchodził z życzliwym dystansem. Mimo licznych dyplomów nigdy nie awansował powyżej stopnia porucznika. Może dlatego, że pracę w policji traktował jak hobby, pasjonując się także tym, co pozwalało mu zapełnić czas: grą na lutni, muzyką renesansu (należał do chóru, który śpiewał pieśni z tej epoki), dynastiami późnego średniowiecza.

– Czemu zawdzięczasz ten zaszczyt?

– Znowu chodzi o tę broń.

Pół roku temu Kripo zgubił broń służbową. W brygadzie wybuchła panika. W końcu spluwa znalazła się w etui na lutnię. Sprawa wywołała sporą wrzawę i trzeba było napisać raport, a ten, jak widać, trafił do glin nad glinami. Rozsądek podpowiadał, żeby w tej sytuacji zadzwonić do kogoś innego, ale Erwan chciał mieć przy sobie „swojego” człowieka.

– W takim razie we wtorek przylecisz na trochę do Paryża.

– Na koszt firmy?

– Zajmę się tym. Na pewno znajdzie się coś, co trzeba będzie oddać do analizy w Paryżu.

– Jak chcesz. O której wyjeżdżamy?

– O świcie. Musimy tam dotrzeć przed południem.

– Twoim samochodem czy moim?

– Moim. Będę czekał pod twoim domem o piątej. A tymczasem przesyłam ci to, co mam na temat sprawy.

Kolejna kawa. Erwan postanowił poszukać w internecie informacji o otrzęsinach. Z zewnątrz dobiegał zgłuszony warkot samochodów, deszcz chłostał szyby. Erwan poczuł dreszcz. Radości.

Uświadomił sobie, że wspomnienia z wakacji już się zatarły. Nie chciał jechać z Morvanami na wyspę Bréhat, wahał się, czy wykupić w ostatniej chwili wycieczkę do Turcji. W końcu wyjechał na dwa tygodnie do małego hotelu w Gaskonii, zabierając książki i DVD. Jediną przygodą podczas tych wakacji była dziewczyna z wypożyczalni desek surfingowych na plaży w Bidard. Nie pamiętał już, jak miała na imię. I kto tu mówi o szacunku...

Wystarczyło wpisać „otrzęsiny”, żeby pojawiły się tysiące linków. Ogólne definicje sprowadzały się do tego: tradycja polegająca na zmuszaniu do wkupienia się każdego nowego w szkole czy korporacji. Szyderstwa, poniżanie, obelgi, tortury, pastwienie się pod pozorem zabawy. Ta praktyka powodowała reakcję łańcuchową, bo ofiary czerpały radość z wejścia w następnym roku w rolę katów i tak dalej.

Problem nie był nowy. Według historyków zwyczaj wywodził się z rytuałów inicjacyjnych prymitywnych plemion oraz starożytnego rytuału przejścia. Była to tradycja uniwersalna. W angielskich szkołach nazywano ją *fagging*, w Stanach Zjednoczonych *hazing*, we Włoszech *nonnismo*. Głupota nie zna granic.

Przeszedł do wydarzeń drobnych i ze zdziwieniem dowiedział się, jak często dochodziło do wypadków podczas takich zabaw. W roku 2011, podczas „weekendu integracyjnego”, jak to dziś nazywano, w Bordeaux sytuacja wymknęła się spod kontroli – poniżano rozebrane do naga dziewczęta, wypalono im krzyże na skórze. Dwa miesiące później na uniwersytecie Paris-Dauphine na ciele pierwszorocznika wycięto inicjał grupy organizatorów. Rok wcześniej w szkole handlowej w Nancy doszło do gwałtu. W roku 2009 wykorzystywanie seksualne stwierdzono w liceum w Poitiers. W roku 2008 pisano o „poniżeniu o charakterze seksualnym” na wydziale medycznym w Amiens. Każda jesień zaczynała się jak sezon w piekle.

Najgorsze było to, że przemocy dopuszczano się z błogosławieństwem kierujących instytucją. Erwan wyobrażał sobie administrację, wykładowców

i resztę kadry, gdy zamykają drzwi budynków, spuściwszy bestie z łańcuchów – trochę jak członkowie gangu, którzy stoją na czatach, gdy inni gwałcą dziewczynę.

Erwan, który mimo lat pracy wciąż potrafił odczuwać głęboką odrazę, skrzywił się ze wstrętem. Nie był w tym osamotniony. Obecnie takie praktyki były zakazane. Ustawa z roku 1998 uznawała wszelkie formy otrzęsin za nielegalne. Stowarzyszenia i komitety utworzyły zwarty front. Zarządzenia Ministerstwa Edukacji Narodowej co roku przypominały o tym zakazie. W efekcie nową tradycją otrzęsin stało się karmienie tymi dokumentami „nowych” – to była próba. Bez komentarza.

Wyłączył komputer i postanowił przespać się kilka godzin. Wrzucił do torby podróżnej koszulę, skarpety i slipy. Kiedy mechanicznie wykonywał te czynności, wciąż miał przed oczyma tę samą scenę: nadzy chłopcy na płycie lotniska, drżący, obrzucani zgniłymi jajami, mąką i gównem, a do tego obelgami, które padały z ust zamaskowanych ludzi.

Zastanawiał się, czy to śledztwo naprawdę da mu oddech, na jaki liczył.

Grégoire Morvan szedł po plaży po ciemnych otoczakach pod czarnym jak marmur niebem. W rzeczywistości nie były to otoczaki, ale jaja wielkości piłek do rugby, kryjące prawdopodobnie jakieś ohydne gadzie istoty. Stąpił ostrożnie, żeby ich nie rozdeptać. Ale znowu się pomylił – to nie były jaja, tylko głowy. Ogolone ludzkie głowy. Przyklęknął – był jeszcze młody – żeby spróbować wydobyć je z wulkanicznego pyłu.

Te głowy żyły: ogolone kobiety ze swastykami wyciętymi na czołach, zakopane po szyję. Niektóre miały wielkie, białe oczy bez źrenic i tęczówek. Inne miały skośne oczy ludzi z zespołem Downa. Jeszcze inne wyciągały szare języki najeżone drobnymi zębami.

Kobiety jego życia.

Kobiety jego śmierci.

Kiedy jedna z nich próbowała go ugryźć, gwałtownie się przebudził i natychmiast zerwał na równe nogi, jakby chciał uporać się ze skurczem. Przez chwilę się zataczał i musiał oprzeć się o ścianę sypialni. Kręciło mu się w głowie. Zaschło mu w gardle. Zawsze uważał, że podświadomość mści się we śnie za cenzurę, która w ciągu dnia nie dopuszcza jej do głosu. Ale ta teoria go nie dotyczyła, bo koszmar, który go obudził, nie był snem, ale wspomnieniem.

Spojrzał na zegarek: szósta rano. Wiedział, że już nie zaśnie. Po omacku chwycił antydepresanty. Pigułki. Łyk wody evian. Nie wiedział już, czy trzyma się dzięki tej chemii, czy wystarcza znajoma czynność połykania leku.

Przeszedł się po ciemnym pokoju. Od tak dawna sypiał sam, że nawet nie pamiętał, jak to jest dzielić z kimś sypialnię. Wszedł do łazienki po krem nawilżający. Długo, nie włączając światła, smarował nim twarz. Gdyby kiedyś ktoś mu powiedział, że pewnego dnia będzie wcierał w gębę coś takiego...

Podszedł do okna i rozsunął zasłony. Trudno było znaleźć równie puste, opuszczone miejsce jak aleja de Messine o tej wczesnej porze. Przypatrywał się swojemu odbiciu w szybie. To wszystko przypominało mu Hoppera.

Niebieska wrześniowa noc. Blask latarni. Twarde szkielety chodników. I on, stojący w prawym rogu obrazu, ubrany w dres Calvina Kleina, który ledwie mieścił ciężki brzuch.

Jego nocni kompani już tu byli. Śmieciarze. Czarni, którzy zbierali miejskie odpady, nic przy tym nie mówiąc, nie wykonując żadnego zbędnego ruchu. Tylko jęk podnośnika i zgrzyt hamulców śmieciarki zakłócały ciszę pod platanami. Co roku mieszkańcy prosili, żeby odbiór śmierci odbywał się późniejszym rankiem. A on zawsze czuwał, żeby ich nie posłuchano. Nie mogli przecież zapomnieć o własnych brudach i o tym, że komuś płacono za ich usuwanie.

Kiedy zaczynał karierę, nadano mu przydomek Czyściciel i ten tytuł przylgnał do niego na długo. Wymiatał rejon République. Przypalał zadki łajdakom. Zawsze po cichu. Dziś tego żałował – powinien był robić jak najwięcej hałasu, żeby wybuchały skandale, żeby notable, politycy i inni wpływowi obywatele musieli spojrzeć sobie w twarz. I właśnie dlatego w okolicy jego domu duchy brzasku, ludzie podobni do niego, mogli robić tyle zgiełku, ile chcieli.

Usiadł przy sekretarzyku – meblu zaprojektowanym przez Jeana Prouvé, zabranym z miejsca zbrodni – i włączył komputer, żeby sprawdzić skrzynkę pocztową. Nie przyszło nic nowego o Kaerverec. Nie spodziewał się żadnych sensacji, dopóki sprawą nie zajmie się jego syn.

Sam nie potrafił jej wyczuć. Albo wersja oficjalna będzie się trzymała kupy, albo otworzy się puszka Pandory. Tak czy inaczej, spadnie na nich lawina kłopotów. Najbardziej niepokoiło go źródło tej sprawy. Nie powiedział Erwanowi całej prawdy. Przed teleksem odebrał telefon od admirała di Greco i samo brzmienie głosu wojskowego rozbudziło w nim najgorsze wspomnienia.

Morvan absolutnie nie powinien powierzać tego śledztwa własnemu synowi, ale jak zawsze uległ intuicji. Od czterdziestu lat uchodził za człowieka, który kalkuluje i obmyśla pokrętne strategie. To była błędna opinia – prawie wszystkie decyzje podejmował w jednej chwili, bez wahania. A poza tym był to winien staremu oficerowi, musiał wysłać mu najlepszego człowieka – Erwana, swojego syna.

Przeszedł do spraw poważnych – do tajnych informacji. W najlepszych czasach wystarczyło podnieść słuchawkę czerwonego telefonu albo przeczytać kilka linii wiadomości dostarczonej przez tajniaka. Dzisiaj

musiał przez Skype'a nawiązywać zaszyfrowane połączenie z komputerem, którego IP wskazywało na Czechy, a potem wpisywać wiele kodów, które podawał mu mały kalkulator, kiedy już się zalogował. W ciągu kilku lat jego zawód stał się niezrozumiałą gałęzią inżynierii informatycznej i elektronicznej – agenci wywiadu poświęcali większość czasu na szkolenia i wizyty w sklepach z telefonami.

Wszedł do swojej czarnej skrzynki. Tylko jedna wiadomość, ta, na którą czekał: „Koniec gry”. Lakoniczne zdanie, które znaczyło wykonanie zadania. Od miesięcy dziennikarzyna, którego znał od lat, Jean-Philippe Marot węszył wokół francuskiej Afryki, a szczególnie interesował się nim. Morvan wydał rozkaz. Mieszkanie dziennikarza zostało wywrócone do góry nogami, twardy dysk komputera wyczyszczony, ludzie, z którymi mógł się spotykać, „sprawdzeni”; Marot był na najlepszej drodze do wyciągnięcia na światło dzienne ponurych tajemnic. Morvan mógł go zastraszać, ale to by go tylko zachęciło. Mógłby spróbować go kupić, ale tamten by się nie dał – Marotowi nie zależało ani na pieniądzach, ani na prawdzie, raczej na sławie i uznaniu w środowisku. Grégoire mógłby go też zdyskredytować, ale to by nic nie dało, bo nikt nie potrafi zdemaskować człowieka nieuczciwego lepiej niż ten, kto sam sprzeniewierza się wszelkim wartościom.

Ostatecznie postanowił więc załatwić tę sprawę, „stosując wszelkie niezbędne środki”. Lubił to wyrażenie Malcolma X, wolał jednak inne: „Spokojnie, chłopaki”, jak powiedział czarnoskóry przywódca do zabójców, którzy wpakowali w niego dwadzieścia kul.

Wiadomość „Koniec gry” oznaczała, że zagrożenie zostało zlikwidowane. Nieszczęśliwy wypadek albo samobójstwo uprawdopodobnione listem, w którym desperat tłumaczy swój czyn: problem zniknął na zawsze. Pernaud, jego specjalista od brudnej roboty, na pewno uporządkował także notatki i rękopisy, zatarł wszelkie tropy informatyczne. Nawet gdyby wydawca, ktoś z bliskich albo adwokat wiedzieli o projekcie, nikt nie zdołałby już niczego udowodnić. Poza tym każdą z tych osób sparaliżowałyby strach.

Morvan nie zamierzał zresztą o nic pytać swojego człowieka – minęły już te lata, kiedy chciał znać szczegóły. Odkrył natomiast jeden z podświadomych powodów wysłania Erwana do Bretanii: dzięki temu jego syn nie będzie miał okazji niczego wywęszyć w sprawie śmierci dziennikarza.

Wrócił do łóżka, żeby położyć się jeszcze na chwilę. Zamknął oczy. Piekiły

go powieki, czuł narastającą od potylicy migrenę, a poza tym bolały go plecy. Na myśl, że ktoś miałby grzebać w jego życiu, robiło mu się niedobrze. Wyobrażał sobie, co znalazłoby się w rozdziale poświęconym latom młodości, gdyby sam zechciał napisać swoją biografię.

Wszystko zaczęło się od przemocy. Oczywiście – lewicowej przemocy.

Rok 1966. Dwudziestojednoletni Grégoire Morvan był żarliwym maoistą o krwawych skłonnościach. Pracował w służbach porządkowych podczas wieców, kolportował ulotki, tłukł po pyskach wszystkich, którzy mieli inne zdanie. Morvan nie był utopijnym rewolucjonistą, wolał pałkę od długich mów i dyskusji. Prawdę mówiąc, już wtedy pałał nienawiścią do całego świata. Do faszystów, którzy byli popaprańcami. Do gaullistów, którzy cuchnęli starą Francją. Do burżuazji, która szerzyła zepsucie swoimi pieniędzmi. Do robotli, którzy niczego nie rozumieli. A nawet do swoich lewicowych towarzyszy, którzy potrafili tylko ujadać, a nie mieli za grosz odwagi.

Ale najbardziej nienawidził siebie. Przyszedł znikąd, bez pieniędzy i bez dyplomu, wstąpił do policji jako zwykły stójkowy. Rewolucjonista w kepi, z gwizdkiem i w pelerynie – to nie wróżyło nic dobrego.

Maj '68 stał się dla niego szansą. Zwierzchnicy, którzy słyszeli o jego lewicowych skłonnościach, zachęcali go do przeniknięcia do organizacji trockistowskich i maoistycznych. Kazał im się odchrzanić, ale ta propozycja podsunęła mu pewien pomysł. Szybko zapisał się do SAC – równoległej policji gaullistowskiej. Była to zbieranina różnych osiłków, byłych żołnierzy i złoczyńców, którym dano trójkolorowe legitymacje.

Przyjęto go bez najmniejszych problemów. Fakt, że był policjantem, zapewniał mu doskonałe referencje. W ciągu paru dni wszystkiego się dowiedział. Operacje z użyciem siły, fałszywe ambulanse (zbiry SAC w białych kitlach zabierający rannych studentów, a potem katujący ich w swojej siedzibie przy ulicy Solferino), infiltracja (przebrani tak, żeby wyglądać na studentów, szli na barykady, a tam dokonywali prowokacji, żeby doprowadzić do tragedii).

Po tygodniu tej roboty zdecydował się na spotkanie z Bennym Lévyem, przywódcą Lewicy Proletariackiej, i zaproponował mu przekazywanie informacji. Lévy przyjął go entuzjastycznie, jednak Morvan chciał forsy. Przywódca nie krył rozczarowania, a policjant odpowiedział mu cytatem z Mao: „Krowie łajno jest bardziej użyteczne od dogmatów: można z niego

zrobić nawóz”. Lévy coś tam burknął, ale w końcu wycedził przez zęby jakąś kwotę. Zawarli układ.

Przez następne tygodnie przykładał się do swoich zadań, czyli głównie podpalania samochodów i wypisywania zabawnych sloganów: „Społeczeństwo to drapieźny kwiat”, „Kochajcie się jedni na drugich”, „Mam gdzieś społeczeństwo, a ono odpłaca mi z nawiązką”. W ciągu dnia patrolował 5 dzielnicę w mundurze, a wieczorami biegł na uczelnię przebrany za hipisa. Potem znowu zmieniał strój na biały kitel i brał ze sobą garotę. O świcie sprzedawał informacje maoistom i ruszał do pracy.

Przestał sypiać. Od uczestników rozruchów, którzy koczowali na Sorbonie, dostał narkotyki. Którejś nocy grupa SAC otrzymała pilne zadanie: przenieść biura generała de Gaulle’a. Znalazł się w niej Morvan. Opróżniał szuflady, nosił pudła i ładował je do ciężarówek. A po drodze wykradał dokumenty.

Innej nocy jego grupa trafiła na bójkę uliczną. Prawicowcy napisali na murze: „Zabijajcie każdego komunistę, gdziekolwiek go spotkacie!”. Tym razem komuniści byli całkiem blisko. Banda lewaków rzuciła się na malujących. Bójka. Rzezimieszki z SAC rzuciły się na nich. Morvan nie wytrzymał. Ruszył na faszystę, który katował studenta, i powalił łotra, bijąc go łańcuchem. Jego koledzy z SAC nic już nie rozumieli. Chwycili go, ale się wyrwał, zaczęli bić, więc uciekł.

Zaszył się w swoim komisariacie, udawał, że nic się nie wydarzyło, ale o sprawie dowiedzieli się jego przełożeni. Sytuację pogarszało to, że człowiek, którego pobił, to Pierre-Philippe Pasqua, syn Charles’a – wiceprezesa SAC. Korsykanin zażądał głowy zdrajcy, ale uzyskał przeciwny efekt – gliniarze, z których wielu należało do SFIO¹⁰, nie znosili, kiedy SAC wydawał im rozkazy. Ostatecznie Morvan uratował skórę, ale musiał odejść z policji.

Właśnie wtedy przypomniał sobie o dokumentach – tych, które wykradł od de Gaulle’a. Roilo się w nich od szczegółów dotyczących operacji „pomarańczowe światło”, jak wówczas mówiono. Negocjował. Pozostał w policji, jednak wysłano go do Gabonu, gdzie miał szkolić gwardię osobistą prezydenta Bongo. A przede wszystkim miał się nie rzucać w oczy.

Grégoire wstał i poszedł do łazienki. Światło. Znowu ta mordą starego krokodyla. Nie miał już siły przypominać sobie, co było dalej. Jak związał się w Afryce z dawnymi wrogami. Jak ta prawicowa hołota – OAS-owcy,

zmuszeni do opuszczenia kraju szpiedzy, bandy łajdaków, którzy za dużo wiedzieli – nauczyła go nowego fachu. Jak zatrzymał Człowieka Gwoźdźcia i stanął oko w oko z samym diabłem...

Wskoczył pod prysznic. Po powrocie do Paryża już nigdy nie działał z pobudek politycznych. Pracował na rzecz ładu, to znaczy chronił swoisty odwieczny porządek.

Koszula. Szelki. Garnitur. Jak co rano, dotyk delikatnych tkanin wzbudził w nim poczucie niezniszczalności. Czy to za sprawą pieniędzy, czy też władzy? A może po prostu przyzwyczajenia? Czuł to, co powinien czuć zawsze każdy generał, gdy ubierze się w mundur.

Pomyślał o krótkiej podróży swojego syna do Konga. Jak zwykle Erwan dowiedział się od ojca zaledwie małej części prawdy. Morvana nic nie obchodziła śmierć Nseko – zapewne skutek rywalizacji między czarnuchami. Mumbanza, jego prawdopodobny następca, wcale mu nie przeszkadzał. Morvan fatygował się tam tylko po to, żeby się upewnić, czy jego projekty nie wyszły na jaw. Nie wykluczał, że Nseko był torturowany i że próbował się ratować, zdradzając informacje. Jednak z tego, co słyszał, nikt nie wiedział o jego kombinacjach. A zatem wszystko grało, natomiast śmierć Afrykanina w sumie była mu nawet na rękę – pozbył się jednego wtajemniczonego w sprawę. Wykorzystał też pobyt w Lubumbashi, żeby wykonać kilka telefonów do ekip terenowych. Wyglądało na to, że na Północy wszystko przebiega zgodnie z jego oczekiwaniami.

Wiążąc krawat, włączył radio. France Info. Wczoraj prezydent François Hollande obiecał spadek bezrobocia w ciągu najbliższego roku. Bezprecedensowy szok budżetowy. Bomby spadają na Aleppo. Siedmioletnia Zajnab, która zdołała przeżyć masakrę w Chevaline, wybudziła się ze śpiączki. Bernard Arnault zapewniał w drodze do Belgii, że zamierza płacić podatki we Francji. Dziennikarz, wolny strzelec, Jean-Philippe Marot, zabił się, skacząc z okna swego mieszkania na dziewiątym piętrze.

Morvan wyłączył radio i zapiął marynarkę. Dwie dobre wiadomości – żadnej wzmianki o Kaerverec i tylko kilka słów o śmierci dziennikarza.

Włożył macbooka do teczki i zapiął jej chromowane zamki. W progu sypialni zastanawiał się, jakimi podniosłymi słowami mógłby podsumować krótkie rozważania nad przeszłością.

Nic nie przychodziło mu do głowy.

Trzeba kontynuować robotę, i tyle.

– Gdzie jesteście?

– Minęliśmy Saint-Brieuc. Zostało nam jeszcze ze sto pięćdziesiąt kilometrów.

– O kurwa!

Erwan nie mógł się doczekać końca tej podróży. Prowadził od piątej do siódmej rano, potem za kierownicą usiadł Kripo, a on drzemał, nie mogąc jednak naprawdę usnąć. Dziewiąta rano. Alzatczyk nastawił cicho odtwarzacz, z którego sączyły się dźwięki lutni – muzyka Anthony’ego Holborne’a, angielskiego kompozytora, żyjącego chyba w XVI wieku. Nawet miłe te niby-kołysanki, jednak trochę piskliwe.

Przez myśl przemknęło mu wspomnienie. Finistère, *Finis terrae*: koniec ziemi. Trudno o celniejsze określenie, bo czuł się, jakby jechali tak od trzech dni.

– Tam jest stacja benzynowa.

Kripo zjechał i zatrzymał się przy dystrybutorze. Kiedy napełniał bak volvo, Erwan wszedł do barku. Czekaając na kawę, uświadomił sobie, jak ponura panuje tu atmosfera. Opary tłuszczu pod plafonem. Kierowcy ciężarówek, którzy wychodząc z kibla, zapinali rozporki. Przy barze pijacy, którzy już zdążyli wlać w siebie kilka szklaneczek. Mimo tak deprymującego otoczenia z przyjemnością wypił kawę. Czuł przyjemne ciepło. Smak espresso, zbolące ciało, powrót do pracy.

Po chwili dołączył do niego Kripo. Zamówił cappuccino. Położył na ladzie akta i bez zbędnych wstępów zaczął opowiadać o Wale Atlantyckim:

– W tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim roku Niemcy zamienili duże porty Bretanii w fortece, żeby stawić czoło anglosaskiemu zagrożeniu. Saint-Malo, Brest, Lorient, Saint-Nazaire.

Erwan z wysiłkiem przypomniał sobie, że ofiarę, a raczej to, co z niej zostało, odnaleziono w bunkrze. Opowieść Kripo przypomniła mu przede wszystkim o pewnym szczególe – pochodzeniu przezwiska. Kiedy koledzy z brygady kryminalnej dowiedzieli się, że Philippe Kriesler był Alzatczykiem, natychmiast zaczęli go nazywać Kripo, jak w skrócie

mówiono o Kriminal Polizei, niemieckiej policji kryminalnej. Erwan ich wtedy zwymyślał, bo przecież ta służba okryła się złą sławą, prowadząc między innymi eksterminację chorych umysłowo i Żydów. Ale głupotę nie tak łatwo wykorzenić z „36”. Przewisko zostało, a kiedy już wszyscy do niego przywykli, niemal zapomnieli, jak naprawdę nazywa się ich kolega.

– To przypominało czasy wielkich katedr – ciągnął z zapałem Kripo. – Architekci, inżynierowie, rzemieślnicy z organizacji Todta jeździli po wybrzeżu i błyskawicznie budowali.

Alzacyjny żywił atawistyczną i irracjonalną nienawiść do Niemców, równocześnie jednak pasjonował się historią Trzeciej Rzeszy. Jego poranny wykład był tego dowodem – nie zdążyłby zgromadzić tych informacji przez kilka godzin nocy, mówił z pamięci.

– Zobacz, co znalazłem w domu – oznajmił, rozkładając mapę. – To topografia budowli na Sirling!

Erwan zobaczył osamotnioną wyspę nad Ouessant, w odległości pięciu kilometrów od wybrzeża, na wprost wsi Kaerverec. Na tym skrawku ziemi oznaczono budowle wzniesione przez ludzi Todta. Co najmniej trzydzieści. Każdemu znakowi odpowiadał rodzaj budowli: kazamaty, schron, wieża, mur przeciwpancerowy, wieżyczka. Mapę uzupełniały zdjęcia. Niektóre twory były naprawdę dziwne: gwiazdy o stalowych końcówkach nazywały się „czeskimi jezami”, studnie zamykane żelaznymi wiekami, zamaskowane trawą, nazwano „tobrukami”.

– Te zdjęcia nie oddają ich wyglądu za tamtych czasów. Wszystko było zamaskowane. Kamuflaż pokazywał niskie białe płoty, namalowane okna. Beton, dzięki szarym tkaninom, wyglądał jak skały.

Liczba budowli na wyspie sprawiała, że ten tragiczny zbieg okoliczności wydawał się wręcz niesamowity: pocisk trafił właśnie w to jedyne miejsce, w którym schronił się człowiek.

– Dobra – mruknął Erwan, odstawiając filiżankę. – Jedziemy?

– Zaczekaj, poproszę o rachunek.

Wygląd Kripo zwracał uwagę: bardzo wysoki, barczysty, z siwymi włosami związanymi w koński ogon, był ubrany w śliwkową marynarkę ze sztruksu, do tego pomarańczowy szalik i wysokie buty z cielęcej skóry, tak wytarte, że oblażyły jak stary fotel. Można go było wziąć za podstarzałego motocyklistę albo za profesora sztuk plastycznych tuż przed emeryturą.

Zamiast wziąć zwykły rachunek, kazał nieszczęsnej kasjerce wypełniać

formularz wydatków. Erwan obserwował go z uśmiechem na ustach. Alzacyjny był formalistą, a równocześnie marzycielem. Intelktualistą z alergią na działanie. Typem gliniarza, który mógłby stać przez pięć minut nad plamą krwi, starając się ją rozszyfrować, jakby chodziło o plamę atramentu testu Rorschacha.

Erwan znów usiadł na fotelu pasażera i wykorzystał to, żeby przejrzeć maile. Pułkownik Verny przekazał mu nowy raport. Potwierdzono tożsamość ofiary. Porównanie żuchwy, względnie dobrze zachowanej, z dokumentacją stomatologiczną Wissya Sawirisa pozwoliło uzyskać co do tego pewność. Verny przekazał także dokumenty złożone przez młodego człowieka wraz z podaniem o przyjęcie do szkoły. Erwan przyglądał się jego zdjęciu: śniady, o regularnych rysach, pulchnych policzkach, Wissa wyglądał na łagodnego chłopaka, a w wyrazie jego twarzy było coś kobiecego.

Erwanowi przemknęło przez myśl, że trzeba być świetnym matematykiem, żeby zostać pilotem myśliwca. Wissa Sawiris miał tylko maturę z przedmiotów ścisłych, następnie ukończył pomaturalną szkołę pilotów. Zapisał się w biurze informacji zawodowej marynarki morskiej, składając podanie do Kaerverec. Trafił do pierwszej grupy selekcyjnej w lipcu, a pod koniec sierpnia, po ostatnich egzaminach z latania, został przyjęty. Dopiero od tej chwili był żołnierzem: OSC, oficerem kontraktowym.

– Dojeżdżamy.

Erwan otworzył oczy. Zasnął, czytając CV. Spodziewał się zobaczyć zieloną równinę upstrzoną granitowymi skałami, tymczasem przed jego oczyma rozpościerały się pola uprawne, farmy wyglądające jak podmiejskie domki i pawilony handlowe w jaskrawych kolorach. Tak mogła wyglądać miejscina w dowolnej części Francji.

Poczuł się rozczarowany, chociaż od zawsze nie znosił Bretanii. Od tych obozów w Glénans, kiedy jako ośmiolatek starał się nic nie rozumieć, nic nie robić, niczego nie polubić, zawsze uciekał przed tym regionem, nawet kiedy ojciec kupił w latach 80. dom na wyspie Bréhat. To, co teraz zobaczył, utwierdziło go w przekonaniu, że niewiele stracił. Banalny wiejski pejzaż, ziemia nafaszerowana pestycydami, podporządkowana prawom przemysłowej wydajności.

I oczywiście padało. Wilgoć sprawiała, że wszystko wyglądało tu jak zrobione z pumeksu i przyprawiało o dreszcz. Jedyłą oznaką celtyckiej

kultury były dwujęzyczne tablice. Od Brestu dzieliło ich już zaledwie kilka kilometrów.

– To mi przypomina młodość – rzucił Kripo.

– Gdzie?

– W Alzacji. Należałem do celtyckiego zespołu muzycznego, Armorykanie. Nieźle się bawiliśmy. Lutnia i harfa celtycka mają ze sobą bardzo wiele wspólnego...

Erwan już nie słuchał. Zastanawiał się, co właściwie tu robi w towarzystwie tego podstarzałego barda. Po jakiego diabła ojciec wpakował mu tę pieprzoną, durną sprawę?

Bombardowany podczas drugiej wojny światowej Brest ucierpiał tak bardzo, że został zbudowany od nowa, zgodnie z nowoczesnym, uwzględniającym zasady higieny planem. W efekcie powstało miasto kątów prostych, na wzór Nowego Jorku, a wiatr od morza wdzierał się do niego, nie natrafiając na żadne przeszkody. Jeśli chodzi o architekturę, to podporządkowano ją trendom dominującym w latach pięćdziesiątych: nagie fasady, tarasy na dachach, zaokrąglane rogi budynków. Wtedy wydawało się, że to dobry pomysł, jednak dziś Brest cieszy się sławą najbrzydszego miasta Bretanii, a nawet całej Francji.

Im dłużej jechali, tym bardziej pewien szczegół drażnił Erwana – niemal na każdym kroku widać było tablice wskazujące drogę do szpitala Morvan. Własne nazwisko powtarzane tak często pod czerwonym krzyżem było dla niego jak zły omen.

Kostnica mieściła się w drugim tutejszym szpitalu: Cavale blanche – Gazeg Wenn w wersji oryginalnej. Kilkakrotnie pomylili drogę, bo Kripo nie chciał użyć GPS-u, w końcu jednak znaleźli placówkę wznoszącą się na wzgórzu, nad blokami socjalnymi. Teren szpitala przypominał wielką sypialnię – budynki stały na pylonach, otoczone rozległymi trawnikami. Wydawało się, że te klocki, z których każdy oznaczony był dużym numerem, kryją choroby miasta, przypisane do poszczególnych działów medycyny.

Mieli zgłosić się do numeru 1. W głębi holu czekało na nich trzech facetów w czarnych kurtkach i pelerynach. Siedzieli w kafejce La Brioche dorée. Uściski dłoni. Prezentacja. Jean-Pierre Verny, pułkownik żandarmerii z wydziału śledczego w Breście, nadawca maili; Simon Le Guen, kapitan instruktor sztabu dowodzenia Kaerverec 76; Luc Archambault, porucznik żandarmerii lotnictwa, odpowiedzialny za bezpieczeństwo wojskowe bazy. Czarne fałdy zroszonych deszczem peleryn przydawały im wyglądu grabarzy, których obowiązkiem jest towarzyszyć trumnom, choćby nad wybrzeżem szalał najpotężniejszy sztorm.

Zamówiono kawę. Gospodarze wierzili się na krzesłach. Erwan

obserwował ich kątem oka. Verny, żandarm, wyglądał posepnie. Krótkonogi, poruszał się jak ciężarowiec i chyba bił się z czarnymi myślami. Simon Le Guen, instruktor, był odlany z tej samej formy, ale czerwony. Z jego przekrwionej twarzy spoglądały niebieskie oczy mrugające kurzymi powiekami. Podgolone włosy tworzyły na jego głowie jasny kask, tak jasny, jakby facet był albinosem. Wydawał się równie spięty jak jego kolega, tyle że przypiekany na różnie. Archambault był jego przeciwieństwem – jego pociągłą twarz przecinały cienką metalową oprawką okulary, przypominające te, których używają piloci. Na pozór niegroźny, miał w oczach jakiś blask – strach, może szaleństwo. Jego spojrzenie przypominało niegdysiejszych nauczycieli – cherlawych okularników, w których skórze kryli się anarchiści zdolni podkładać bomby pod samochody.

Podano kawę. Erwan obawiał się natrafić na mur wrogości, okazało się jednak, że tych trzech spryciarzy odetchnęło z ulgą, mogąc liczyć na pomoc policjantów ze stolicy. Najwyraźniej nie mieli pojęcia, jak zabrać się do tej sprawy.

– Komendancie, czy dostał pan moje wiadomości? – zaczął Verny.

– Tak, dziękuję.

– Pomyślałem, że te informacje mogą się panu przydać przed spotkaniem z rodzicami.

– Z rodzicami?

– Z rodzicami ofiary. Będą tu lada chwila.

– I to ja mam ich przycisnąć?

– Skoro przekazano panu śledztwo...

– W chwili śmierci za Wissę Sawirisa odpowiadały siły powietrzne marynarki.

– Śledztwo powierzono brygadzie kryminalnej z Paryża. Na panów spada więc obowiązek...

Erwan gestem ręki pokazał, że się poddaje.

– Proszę opowiedzieć mi o otręsinach w tej szkole – powiedział dobitnie.

– My wolimy nazywać to weekendem integracyjnym – skorygował go Le Guen.

– Niech będzie. Jakie zabawy planowano w tym roku?

Archambault rozsiadł się wygodnie na krześle:

– Czołganie w błocie, zadania sportowe, podchody...

– Jak długo miało to potrwać?

- Do sobotniego wieczoru.
- Pańskim zdaniem w szkole styl jest łagodny czy raczej ostry?
- Ostry.

Erwan nie pytał o szczegóły, uznając, że jeszcze będzie na to czas.

– Otrzęsiny zaczęły się w piątek o siedemnastej na płycie lotniska. Czy Wissa tam był?

– Owszem. Wszyscy go widzieli.

– Po dwudziestej studenci rozproszyli się po terenie, prawda?

– Prawda. Szczury...

– Co takiego?

– Tak nazywa się tu nowych. Ruszają pierwsi, a godzinę później Lisy, czyli ci, którzy prowadzą otrzęsiny, rozpoczynają pościg.

Szczury, Lisy – musiał szybko dostosować się do tego środowiska.

– W jakim celu?

– Nie było mnie przy tym, ale przypuszczam, że kiedy któregoś dopadną, chcą mu napędzić strachu. Chodzą z pochodniami, dmą w rogi, ale nie robią nic strasznego.

– Podczas tego polowania nikt już nie widział Wissy?

– Nikt.

– Czyli uciekł nocą?

– Na pewno.

– Czy zdołałby dopłynąć na wyspę Sirling?

– Wykluczone – stwierdził czerwony jak homar Le Guen. – To trzy mile, a we wrześnieu na tych wodach są silne prądy.

– Czyli musiał mieć łódź?

– Tak.

– Skąd ją wziął?

Archambault szybko odparł:

– Baza dysponuje flotą zodiaców, które cumują u wybrzeża w odległości kilometra od szkoły. Są tam głównie hurricany, potężne, ponadtrzystukonne maszyny. Tutaj nazywa się je ETRACO, „jednostki szybkiego transportu komandosów”.

Niemal każda odpowiedź wprowadzała jakieś nowe słowo – ci trzej podchodzili do sprawy z pełną powagą.

– Tych łodzi nikt nie pilnuje?

– Nie. Tam nikomu nie przysłoby do głowy dotykać sprzętu wojskowego.

– Ale żeby uruchomić silnik, trzeba wziąć klucz?

– Wissa urodził się w świecie aeronautyki, jego ojciec pracuje w aeroklubie – wyjaśnił Verny. – Chłopak na pewno potrafił uruchomić każdy silnik.

– Czy brakowało jakiegoś zodiaca?

– Nie – powiedział żandarm.

– Czy znaleziono jakąś łódź w pobliżu wyspy?

– Też nie, ale na pewno ją znajdziemy, to kwestia najbliższych godzin.

Erwan ogarnął całą trójkę spojrzeniem:

– Mimo że nie skradziono żadnego zodiaca i nie odnaleziono żadnej łodzi, utrzymują panowie, że Wissa odpłynął łodzią, żeby się ukryć i uniknąć nękania?

– „Utrzymujemy”? – obruszył się Le Guen. – Do diabła, przecież taka jest prawda!

Rzucił te słowa z wielką wściekłością. Jego przywiedłe powieki raz po raz mrugały.

Erwan wolał nie ciągnąć tego wątku.

– Kto wiedział o planowanych na sobotni poranek manewrach lotniczych?

– Nikt.

– Nawet wasi dowódcy?

Verny wstał, grzebiąc w kieszeniach.

– Może jeszcze kawy?

Wojskowi pokiwali głowami. Wszyscy potrzebowali krótkiej przerwy. Nie spodziewali się, że od razu zostaną poddani ostremu przesłuchaniu. Kripo poszedł z Vernym do barku.

– O takich manewrach nikt nie może wiedzieć, ponieważ są tajne, a decyzje zapadają na bardzo wysokim szczeblu – podjął ściszym głosem Archambault.

Rozpiął kurtkę. Jego podkulone pod plastikowe krzesło długie nogi nie przestawały podrygiwać.

– Skąd przyleciały samoloty, które strzelały? – zapytał Erwan.

– Oddano tylko jeden strzał. Rafale wystartowały z lotniskowca „Charles de Gaulle”.

– Gdzie on stacjonuje?

– W tej chwili znajduje się na północ od naszych wybrzeży, w odległości około dziesięciu mil.

- Czy między Kaerverec i lotniskowcem istnieje jakiś związek?
 - Łączy je tylko osoba admirała di Greco.
 - Kto to?
 - Dowódca sztabu K 76. Pełni także funkcję na CDG. Przemieszcza się pomiędzy tymi dwoma siedzibami.
 - Gdzie teraz przebywa?
 - Na pokładzie.
- Erwan musiał więc odwiedzić jedną z najpotężniejszych jednostek marynarki wojennej na świecie. Nie potrafiłby określić, czy ta perspektywa go podnieca, czy też przytłacza.
- Czy urządzenie takich manewrów w pobliżu regionu, który ściąga tylu turystów, nie jest niebezpieczne?
 - Do Sirling nie wolno się zbliżać. To ostatni taki poligon w Bretanii. Wszystko jest pod kontrolą, panie komendancie.
 - Prosiłbym, żeby się pan do mnie tak nie zwracał. Po pierwsze, nie jestem pańskim przełożonym. Po drugie, nie mam nic wspólnego z wojskiem.
 - Rozumiem, panie ko... – Archambault ugryzł się w język. – Warunki bezpieczeństwa zostały zachowane. W przeciwnym razie nie odpalono by pocisku.
 - Przed rozpoczęciem operacji wszystko sprawdzono?
 - Oczywiście. Śmigłowiec przeprowadził zwiad.
 - Proszę mi opowiedzieć o miejscu zbrodni.
- Trzej wojskowi aż podskoczyli, słysząc to słowo. Erwan szybko się poprawił:
- O miejscu zdarzenia.
 - Jak pisałem – powiedział Verny – ekipa balistyczna odnalazła... szczątki. Pracownicy zakładu pogrzebowego przybyli po dwóch godzinach i zebrali to, co dało się zebrać. Mówiono mi, że było tego pięć czy sześć... części.
 - Pobrano próbki?
 - Oczywiście.
 - Ściągnięto ekipę z wydziału kryminalistyki?
 - Nie było takiej potrzeby. Eksperci wojskowi zebrali wszelkie ślady. To ich fach.
 - Ich fach polega na oględzinach gruzów, a nie szczątków ludzkich.
- Żandarm nie odpowiedział. Sięgnął po teczkę i wyjął z niej fotografie.

– Proszę rzucić na to okiem. Przekona się pan, czy wykonali dobrą robotę.

Ślad uderzenia pocisku był dziurą o średnicy pięciu metrów, wypełnioną wodą. Ze struktury bunkra nie zostało absolutnie nic, a szczątki budynku zostały rozrzucone w promieniu wielu metrów. Technicy oznaczyli ich położenie żółtymi chorągiewkami. Na spalonej trawie widniały niebieskie znaczniki, zapewne wskazujące szczątki ciała. Na żadnym zdjęciu ich nie utrwalono.

– Ustalono z całkowitą pewnością, że były tam tylko jedne zwłoki?

– Jak to?

– Nie mogły to być szczątki dwóch osób?

Z ust Le Guena wyrwał się śmiech. Nerwowy, wzgardliwy, zdający się mówić: „No i macie pomysły gliniarza!”.

– Co pan ma na myśli? – warknął.

– Nic. W mojej pracy należy brać pod uwagę różne możliwości.

– Jeżeli przyjechał pan tu po to, żeby babrać się w gównie, którego nie ma, to nie będziemy panu w tym pomagali.

Erwan patrzył mu prosto w oczy. Cisza przeciągała się, paląc jak rozżarzony metal.

– Lekarz sądowy nie wysunął takiej hipotezy – włączył się Verny, żeby rozładować napięcie – ale może go pan o to zapytać.

– Wróćmy do nocy wypadku: czy przed zniknięciem Wissa nie wrócił do pokoju?

– Nic na to nie wskazuje.

– Sprawdzono jego telefon komórkowy, kartę płatniczą, komputer?

– Czekaliśmy z przeszukaniem na pana, wydaje się jednak, że wszystko jest na miejscu.

To była pierwsza dobra wiadomość – mogli sami zbadać sprzęt elektroniczny i informatyczny ofiary.

W drzwiach pojawił się pielęgniarz.

– Przyszli rodzice.

Trzej oficerowie jak na komendę poderwali się z miejsc. Ich peleryny zaszeleściły.

– Lepiej byłoby im nie pokazywać tych...

– Wiem, co mam robić. Kripo, zaczekaj na mnie w samochodzie. Zadzwoń do ciebie, kiedy skończę z rodzicami.

Nie zamierzał dopuścić, żeby jego zastępca wdawał się w rozmowę z trzema muszkieterami.

– A wy – dodał – nie ruszajcie się stąd. Razem pójdziemy pogadać z lekarzem sądowym.

– Ale...

– Rodziców biorę na siebie, ale lepiej, jeśli będziecie przy innych czynnościach.

Erwan dawno oswoił się z kostnicami. W takich miejscach rzadko dbało się o estetykę. Betonowe ściany najczęściej malowano tylko farbą olejną, rury kanalizacyjne biegły na wierzchu. Ta w Cavale blanche wyglądała podobnie, ale pewien element sprawiał, że panowała tu jeszcze bardziej przytłaczająca atmosfera: na ścianach sutereny jakiś artysta wypacykował jednobarwne freski. Pierwszy, czerwony, wyobrażał plamy krwi. Niezbyt szczęśliwy pomysł. Dalej, w poczekalni, stała kanapa i fotele obite tkaniną w drobne motywy w stylu Paula Klee. Obok ekspres do kawy i akwarium. Rodzice Wissy Sawirisa zatrzymali się przy złotych rybkach. Szedł, wyciągając do nich rękę. Uśmiechnąć się czy nie uśmiechać? Ile takich spotkań miał już za sobą? Jak znaleźć słowa, które niczemu nie służą? Okazywać pozorowaną empatię? *Cholera*.

Ponieważ Wissa Sawiris był ciemnoskóry, Erwan sądził, że rodzina wywodzi się z Afryki Północnej. Pamiętał też, że ojciec chłopaka pracuje w aeroklubie. Krótko mówiąc, spodziewał się zobaczyć maghrebskiego mechanika w czarnym, źle skrojonym garniturze, a u jego boku żonę z zasłoniętą twarzą. Ojciec Sawiris był wysoki i elegancki. Nosił czarną marynarkę, spod której widać było lazurowe polo Lacoste'a. Smagły, o głębokim spojrzeniu, wyglądał na tego, kim był – inżyniera lotnictwa w żałobie. Jego żona była niemal równie wysoka jak on. Miała mocno zarysowane brwi, skórę barwy miedzi i długie rude włosy, które opadały falami na ramiona. Nie była ładna, ale rasowa i szykowna. Erwan uświadomił sobie, jak stereotypowe było jego nastawienie – wyobrażał sobie, że spotka kobietę, która pod tradycyjną abają kryje stukilogramowe ciało.

Przedstawił się i złożył im kondolencje. Podając mu rękę, wpatrywali się w niego. Ten, kto znalazł się blisko potężnej eksplozji, na chwilę traci zdolność posługiwania się zmysłami. Sawirisowie tkwili w czarnej dziurze. Na rumowisku, z którego musieli wolno wrócić, żeby poczuć, jak cierpienie rozdziera ich ciała. Ten chroniczny ból miał się odtąd stać częścią ich samych – nie mieli już syna.

Erwan próbował sobie przypomnieć, jak przebiega muzułmański pochówek. Zwłoki należało pogrzebać w ciągu dwudziestu czterech godzin od śmierci. A śmierć uważano za przejście, toteż kremacja była zabroniona, podobnie jak balsamowanie zwłok i pobieranie narządów. Trumna powinna być zwrócona w kierunku Mekki.

W przypadku Wissy wszystko to traciło sens.

– Zwykle – zaczął – krewnych prosi się o identyfikację zwłok, jednak w tej sytuacji lepiej z tego zrezygnować. Weryfikacja stomatologiczna potwierdziła toż...

– A gdybyśmy chcieli go zobaczyć? – weszła mu w słowo matka.

Smutny, głęboki głos. Lekko przeciągający, w stylu Fanny Ardant. Ani śladu maghrebskiego akcentu.

– W tej chwili to niemożliwe – odparł. – Jeszcze nie przeprowadzono sekcji. Należy jak najdokładniej ustalić okoliczności wypadku.

Czy przyjmą tę wersję? Pozwolą bez protestów zamknąć trumnę? A może zechcą szukać odpowiedzialnych za ten wypadek? Wniosą oskarżenie? Na razie nie reagowali. Być może nie słyszeli nawet, co mówił.

– Rozmawialiśmy przez telefon z pułkownikiem Vernym – odezwał się w końcu ojciec. – Mówił coś o „weekendzie integracyjnym”. Czy to taka forma otrzęsin?

Erwan wdał się w mętne wyjaśnienia, zasłaniając się dobrem śledztwa, obowiązkiem zachowania ostrożności w ferowaniu osądów, przesłuchaniami świadków. W duchu przeklinał wojskowych, którzy zmusili go do dopełnienia tych idiotycznych rytuałów. Chcąc zmienić temat, skoncentrował się na problemach związanych z pogrzebem.

– Kiedy sekcja zostanie zakończona, prokuratura w Rennes wyda zgodę na pochówek. Wtedy będą państwo mogli zwrócić się do imama i...

– Nie jesteśmy muzułmanami.

– Proszę wybaczyć, sądziłem...

– Pochodzimy z Egiptu. Jesteśmy Koptami.

Kobieta wyraźnie oddzielała każdą sylabę. Erwan zacisnął zęby – naprawdę nie miał dziś szczęścia.

– Jeśli państwo sobie życzą – zaproponował, znów chcąc zmienić temat – wskażemy państwu radcę lub adwokata, który pomoże w załatwieniu spraw ubezpieczeniowych i...

– Jestem adwokatem – przerwała mu kobieta. – Prowadzę sprawy

dotyczące wypadków w pracy, jestem ekspertem sądu pracy w Sarthe.

Dowództwo bazy w Kaerverec miało poważne problemy, podobnie jak Ministerstwo Obrony. Pani Sawiris nie wyglądała na osobę skłoną komukolwiek puścić płazem to, co się stało. On też musiał postępować nienagannie.

– Wnieśliśmy już pozew przeciwko dowództwu – powiedziała, potwierdzając jego domysły. – Armia była odpowiedzialna za naszego syna, odkąd znalazł się w bazie. Zwłaszcza ostatnio, ponieważ w zeszłym tygodniu Wissa został żołnierzem.

– Nikt nie uchylił się od odpowiedzialności, proszę pani. Właśnie po to tu jestem. Chcemy dokładnie wyjaśnić tę tragedię.

– Ma pan dzieci? – wtrącił się ojciec.

– Nie.

Inżynier pokiwał głową, jakby chciał powiedzieć, że w takim razie Erwan nigdy nie zdoła stanąć na wysokości zadania.

– Pragnął „służyć Francji”. – Uśmiechnął się smutno, obserwując rybki.

– Jakim typem chłopaka był Wissa?

– Bohaterem – szepnęła matka.

– Przepraszam?

– Bohaterem, oczywiście dopiero raczkującym. Nie zależało mu na pieniądzach, nie miał nawet większych ambicji zawodowych. Chciał odnosić sukcesy dzięki brawurze. Czytał książki o francuskim ruchu oporu, o walkach powstańczych w dwudziestym wieku. Wciąż zadawał sobie pytanie, jak zachowałby się w takiej sytuacji. Czy chwyciłby za broń? Czy dowiodłby odwagi?

Słuchając jej, Erwan znalazł w sobie empatię, na którą początkowo nie mógł się zdobyć. Przeżywał podobne rozterki, zadawał sobie podobne pytania. Jednak jemu praca w policji przyniosła odpowiedzi – wiele razy musiał zmierzyć się z uzbrojonym przeciwnikiem.

– Czasami – wtrącił pod wpływem impulsu – życie nam nie wystarcza. Mam na myśli banalne życie, które sprowadza się do oddychania i szukania wygodnego miejsca na ziemi. Niektórzy potrzebują piękniejszej, czystszej, bardziej heroicznej treści.

Natychmiast pożałował wygłoszenia tej empatycznej tyrady. To naprawdę nie były słowa, które mogły pomóc rodzicom po tym, jak stracili syna z powodu idiotycznych otrzęsin.

Milczeli. Zanotował w pamięci: „Dzieciak obsesyjnie pragnący zostać bohaterem nie ucieka, kiedy oberwie jednym cuchnącym jajkiem”.

Erwan zmienił temat:

– Czy syn miał przyjaciół, dziewczynę?

– Nie – odparła ponuro matka. – Najpierw chciał zadbać o swoją przyszłość.

– Nawet żadnego bliskiego przyjaciela?

Zorientował się, że to pytanie mogło zabrzmieć dwuznacznie, ale było już za późno, żeby się wycofać – zło się stało. Pani Sawiris podeszła do niego. Teraz jej twarz wyglądała jak oblicza wielkich aktorek dramatycznych, zdolnych wcielić się w bohaterki greckich mitów – Marii Callas, Ireny Papas, Silvii Monfort.

– Proszę rozwinąć tę myśl.

– Zapewniam, że za tym pytaniem nie kryje się żadna myśl.

Kłamał. Podświadomie dostrzegł zniewieściałość twarzy Wissy, a fakt, że w pobliżu wyspy nie znaleziono łodzi, mógł oznaczać tylko jedno – chłopak nie popłynął tam sam. Dwóch mężczyzn w bunkrze? Para kochanków?

Panią Sawiris dzieliło od niego zaledwie kilka centymetrów. Czuł zapach jej włosów, jak czuje się ciepło bijące od ognia palącego się w kominku.

– Niech pan się wynosi, zanim i pana oskarżę o zniesławienie i znęcanie się psychiczne – syknęła.

Pożegnał ich szybko, wydukał kilka formułek i wycofał się jak wystraszony smarkacz.

Do holu wrócił blady i wycieńczony. Zmęczenie po niemal bezsennej nocy nagle dało o sobie znać. W dodatku był wściekły na tych wojskowych. Nie mógł się zdecydować, czy najpierw obić im mordy, czy od razu się położyć – tu, choćby na podłodze, zwinąć się w kłębek i uciec w sen. Kiedy zobaczył w holu te trzy kruki, zrozumiał, że słuszna byłaby pierwsza opcja, musiał jednak zadowolić się siłą wyobraźni.

Le Guen miał teraz zawieszony na szyi aparat fotograficzny.

– Po co to panu?

A ten wolno wyrecytował:

– Autopsję należy przeprowadzać w obecności oficera policji śledczej oraz technika kryminalistyki. Nie mamy technika. Dlatego ja zajmę się robieniem zdjęć.

Erwan wyciągnął z kieszeni telefon i zadzwonił do Kripo.

– Rusz tyłek. Wyciągamy mięso z chłodni.

– A czego się spodziewaliście? – zdziwił się Michel Clemente. – Tylko tyle mogę wam zaproponować. To jak rozkręcona na części maszyna, a właściwie gorzej, bo tu mamy rąbankę.

Anatomopatolog ściągnął płótno osłaniające pierwszy stół sekcyjny – szczątki Wissy ułożone były na dwóch. W świetle lamp bezcieniowych widać było rękę, fragment torsu i kawałek poszarpanej, spalonej kończyny.

Przełamując odrazę, Erwan uważnie przyglądał się szczątkom. Wybuchający bunkier dosłownie zlał się z ciałem mężczyzny. Niektóre kawałki mięśni były odcięte przez odłamki metalu, inne najeżone okruchami gruzu. Erwana przeraził pewien szczegół: na wewnętrznej stronie odciętej dłoni zauważył wytatuowany krzyż. Przypomniał sobie, że był to symbol ortodoksyjnych Koptów. Prawdopodobnie takie same tatuaże mieli rodzice Wissy.

– Mamy tu mniej więcej wszystko – powiedział Clemente – ale tych szczątków nie da się poskładać – za dużo tkanek uległo spaleniu, zniszczeniu, trochę zżarły kraby i ptaki.

Ten konował wyraźnie lubił zgrywać cynika. Jego wygląd nie pasował do miejsca – facet miał szpakowate włosy, miłą twarz, ale władcze zmarszczki, a pod rozpiętym kitem widać było eleganckie ubranie – welurowe spodnie, sweter Ralphi Laurena w serek, błękitną koszulę w prążki, krótko mówiąc: dojrzał do roli uwodzicielskiego szefa kliniki z telenoweli.

– Moim zdaniem pocisk eksplodował wewnątrz bunkra. Siła wybuchu spotęgowała się w zamkniętej przestrzeni.

Nikt nie odpowiedział. Przebrani w fartuchy, papierowe czepki i w rękawiczkach chirurgicznych, stali wypłoszeni. Tylko Le Guen krążył wokół stołu, fotografując. Wyglądał na najmniej zdenerwowanego. Skoncentrowany na robieniu jak najlepszych ujęć, zapominał, co ma przed oczyma.

– Fragmenty ciała zostały ponumerowane na miejscu – kontynuował Clemente.

Wyciągnął rękę do stojącego obok komputera i wcisnął spację. Na ekranie

pojawił się obraz: dziura po pocisku, a wokół liczby – położenie nieszczęsnych szczątków Wissy na wyspie. Kolejny obraz: zarys ludzkiej sylwetki na plecach i na brzuchu. Na razie wpisano w ten kształt tylko kilka liczb.

– Nasi ludzie zdołali odnaleźć dwanaście fragmentów, nie licząc tych drobnych, które wbiły się w ruiny. Jestem w trakcie ich wirtualnego nanoszenia na schemat. Potem zobaczę, co da się zrobić z prawdziwymi szczątkami. Dziesięć lat temu uczestniczyłem w dwóch takich śledztwach. Dotyczyły eksplozji w zakładach AZF w Tuluzie i pożaru w tunelu pod Mont Blanc. Teraz należy przede wszystkim zadbać, żeby jego rodzice tego nie zobaczyli.

Erwan zadał nękające go pytanie:

– Czy wiadomo na pewno, że było tam jedno ciało?

– Nie rozumiem?

– Czy w tym gruzowisku nie mogło być drugich zwłok?

– Musiałoby się dobrać dwóch jednorękich i jednonogich, bo mam komplet rąk i nóg.

Erwan pokiwał głową. Palnął kolejne głupstwo. Ekstrapolacja w pracy policjanta była ryzykowna. Umysł zawsze wyprzedza postępy śledztwa.

Lekarz narzucił na szczątki płótno i Erwan wyraźnie poczuł, że wszyscy w tej sali odetchnęli z ulgą.

– Jakie w takim razie mogą być wnioski z autopsji?

– Nie dowiemy się zbyt dużo. Powtarzam: spróbuję tylko poskładać i scalić te strzępy przed pogrzebem.

– A co z przyczynami śmierci?

– Jeżeli chce pan poznać szczegóły, pozostaje przeczytać opis pocisku.

– Godzina zgonu?

Lekarz obrzucił Erwana gniewnym spojrzeniem.

– Znamy dokładny czas odpalenia pocisku. Potrzebuje pan czegoś więcej?

– Chciałbym być pewien, że Wissa Sawiris faktycznie żył w chwili wybuchu. Zlecił pan wykonanie analiz toksykologicznych?

– To jakiś absurd! Co pan sobie wymyślił? Że został otruty? Zresztą musiałbym mieć jego żołądek. Większość narządów uległa spaleni.

– A badania anatomopatologiczne?

– Zajęłyby trzy tygodnie.

– Czy ma pan możliwość ustalenia czasu śmierci?

– Nie. Ze względu na stan szczątków nie można ocenić niczego na podstawie stężenia pośmiertnego. Plamy opadowe też nie wystąpiły.

Erwan przeszedł do innych kwestii. Był zdeterminowany i to pozwoliło mu przełamać skrepowanie.

– Za dużo tu odłamków metalu.

– Słuszna uwaga, panie śledczy – rzucił sarkastycznym tonem anatomopatolog. – To nie tylko odpryski betonu. Myślę, że to był pocisk odłamkowy albo coś w tym rodzaju. Trzeba by poddać analizie odłamki metalu, ale nie wolno mi tego robić.

Lekarz skinął głową, patrząc na wojskowych, jakby im pozostawiał dalsze wyjaśnienia.

– Tajemnica wojskowa – powiedział Archambault. – W tej kwestii rozkazy są jasne.

– Żadne informacje o pocisku nie mogą się pojawić w moim raporcie – uzupełnił Clemente.

– Co to za bzdury? – uniósł się Erwan. – Muszę mieć dostęp do wszystkich informacji. Prawo jest dla wszystkich jednakowe!

– To niemożliwe – podjął Szparag, jak nazwał wysokiego oficera Erwan. – Zresztą raport zostanie przekazany w pierwszej kolejności ekspertom wojskowym. To oni zdecydują o stopniu poufności danych.

– Stracimy przez to wiele dni!

Archambault bezradnie rozłożył ręce. Erwan nie nalegał – problemy się piętrzyły.

– Tak czy inaczej proszę przeprowadzić autopsję i możliwie najdokładniejsze analizy.

– Rozumiem. Zrobię wszystko, co w mojej mocy.

– Proszę też oczekiwać wizyty techników kryminalistyki.

Clemente spojrział na Verny'ego, a Verny na Erwana.

– Sprowadzimy tu naszą ekipę techników – wyjaśnił policjant. – Pobiorą materiał spod paznokci i inne próbki.

– A co to za cyrk?

Erwan nie zamierzał odpowiadać na takie pytania.

– Poruczniku – dodał, zwracając się do Archambaulta – zostanie pan przy sekcji. Jako oficer bezpieczeństwa wojskowego jest pan do tego najlepiej przygotowany.

– Ale... a zdjęcia?

– Le Guen pożyczy panu swój sprzęt. Zajmie się pan też wyjaśnieniem sytuacji rodzicom. Powinni poszukać hotelu w najbliższej okolicy.

Homar z żalem rozstał się z aparatem i wytłumaczył Archambaultowi, jak go obsługiwać. Panowie wymienili uściski dłoni, nie zdejmując rękawiczek chirurgicznych. Erwan nie potrafił zrozumieć, dlaczego te lateksowe palce kojarzyły mu się z badaniem *per rectum*.

Gaëlle nie musiała dzwonić do agentki i prosić o wyszukanie castingu. Gra nazywała się *Przegrany wygrywa*. Nie zdołała zrozumieć jej reguł. Było tam jakieś koło, quiz, a kandydat, który uzyskał najmniej punktów, zostawał zwycięzcą. Szukano dziewczyny, żeby obracała kołem, rzecz jasna występowałyby w kostiumie kąpielowym.

Kolejny kretyński program telewizyjny. Co z tego? Najważniejsze, żeby ją widziano, za wszelką cenę. Dziewczyny takie jak ona miały głowy nabite nazwiskami i anegdotami, które wzmacniały ich motywację, o znanych dziś aktorkach, które debiutowały, wygrywając idiotyczne konkursy albo grywając drugoplanowe rôle w głupich filmach. Louise Bourgoïn, dawna Miss Meteo w Canal+, Helena Noguerra, była prezenterka M6, Aishwarya Rai Bachchan, była Miss Świata. Claudia Cardinale, niegdyś najpiękniejsza Włoszka z Tunisu, czy Miss Elegancji Sophia Loren.

Gaëlle rozejrzała się wokół. Składane krzesła, dystrybutor wody, postrzępiony dywan. Co do konkurencji, nie było niespodzianek. Te najstarsze znała, bo dziewczyny kręciły się przy Castelu, w VIP-ie i barze hotelu Plaza. Inne przyjechały z prowincji. Te nie miały wyglądu, ale coś znacznie ważniejszego – młodość.

Pomyślawszy o tym, powiedziała sobie, że dobiega do trzydziestki, więc jest skończona. Ale wtedy z pomocą pospieszyły przykłady: Cate Blanchett wypłynęła w wieku trzydziestu lat, podobnie jak Naomi Watts i Monica Bellucci. No i oczywiście królowa – Sharon Stone, która błysnęła talentem w *Nagim instynkcie*, kiedy miała już trzydzieści cztery lata. *Nie wolno tracić nadziei.*

O dziwo, choć młodość była jej jedynym kapitałem, wiodła życie, w którym lata liczą się podwójnie, a czasem nawet potrójnie. Zabawy. Alkohol. Seks. Nie potrafiła albo nie mogła odmawiać. Musiała się stosować do reguł nocy. Choćby dziś – poszła spać o szóstej rano. W VIP-ie udało jej się przysiąść do stolika ważnego producenta, który głośno perorował i pił jak woźnica. Kiedy wreszcie znalazła się bardzo blisko niego, spał jak

niedźwiedź, z głową wtuloną w poduchy fotela.

Wyjęła lusterko i uważnie się przejrzała, żeby zaraz potem pożałować tego gestu, który zdradzał przed innymi jej poczucie niepewności. Jednak spodobała się sobie. Mimo podkrążonych oczu jej twarz wyglądała jak u słowiańskiej laleczki.

Jako szesnastolatka nie uwierzyłaby, że będzie miała taką twarz, dobiegając trzydziestki. Prawdę mówiąc, nie wyobrażała sobie, że może dożyć tak późnego wieku. A ważyła wtedy najwyżej trzydzieści dwa kilogramy.

Gaëlle nabrała świadomości swego ciała dopiero w wieku dojrzewania i zaraz postanowiła je zniszczyć. Przestała jeść, popadła w totalną negację życia. I wtedy odkryła rozkosz postu. To przesywające uczucie głodu, któremu towarzyszą lekkie zawroty głowy. Do dziś pamiętała swoje omdlenia – upojne wrażenie, że zatraca się pośród ludzi. Ale było to złudne, bo po odzyskaniu zmysłów znów miała ciało – tę ohydłą górę mięsa, zbiorowisko narządów, które budziły w niej odrazę.

Jej kwaterą główną stała się łazienka. Wymioty, defekacja, znowu wymioty... Wciąż towarzyszyło jej pieczenie w ustach i brzuchu. Wypadały jej włosy, miała niskie ciśnienie. Zaczęły się problemy z krążeniem. Po najlżejszym uderzeniu pojawiał się krwihak, który nabierał dziwnego, amarantowego zabarwienia. Sypiała przy otwartym oknie, w przeciągu, ustawiała klimatyzację na najniższą temperaturę. Każda anorektyczka – i każda modelka – zna te sztuczki: zimno spala kalorie. Cieszyło ją tylko jedno – że ruszając się, oddychając, chudnie.

Pewnego dnia wzięła środki przeczyszczające, przesadziła z dawką i poczuła, że trzewia niemal wyrywają się z jej ciała. W ten sposób trafiła do szpitala. Po tej pierwszej hospitalizacji nastąpiło wiele kolejnych.

W klinice specjalizującej się w zaburzeniach odżywiania spotkała podobne do siebie zjawy – młode żywe trupy. Podziwiała ich duże, pełne żaru oczy i wychudzone sylwetki. Wydawały jej się piękne jak świetliki, które błyszczą najsilniej, zanim na zawsze zagasną.

Kiedy wracała do domu, matka płakała, a ojciec krzyczał. Gaëlle kajała się, obiecywała jeść, ale unikała kontaktu z talerzem, jak omija się ujście kanalizacji.

Mając dziewiętnaście lat, zapadła w śpiączkę. Była reanimowana i odżywiana przez kroplówkę. Ze szpitalnego łóżka doczołgała się do szafy,

żeby sięgnąć po lusterko, które ktoś zgodził się dla niej przemycić. Bo w tym szpitalu, jak w zamkach wampirów, nie wolno było się przeglądać. Policzyła sińce. Gładziła kości wyraźnie rysujące się pod skórą. I nagle odzyskała zdrowy rozsądek. No, może prawie. Przeszła ze skrajności w skrajność i jadła bez opamiętania.

Zaczęła włóczyć się po supermarketach, gdzie napełniała wózek stekami, chwytając w lot każdą promocję Granoli, żeby za cenę sześciu paczek kupić dwanaście. Lodówka stała się jej najbliższą przyjaciółką. Jadła, obżerała się, obrastała tłuszczem, osamotniona w żegludze po nieznanym morzu, gdzie za busołą służyła jej wskazówka wagi.

Odzyskała dawne ciało – krągłe ramiona, kształtne pośladki, bujne piersi. Ciało, które chciałoby się rzeźbić albo schrupać. Znowu regularnie miesiączkowała. Zaczęli się przy niej kręcić mężczyźni. Było w tym schlebające jej zainteresowanie, ale i zagrożenie.

Początkowo tego nie rozumiała. Jako podłotek praktycznie mieszkała w szpitalach. Poznawanie seksu, rozbudzanie żądz – przeoczyła to, tocząc obsesyjną walkę z własną wagą. Teraz zdobywała świadomość kobiecego ciała i zaczynała dostrzegać, jak reagują na nią mężczyźni. Pojawił się właściciel baru, w którym pracowała w weekendy, pchnął ją na kuchenny stół i pomrukując, zadarł jej spódnice. I przyjaciel ojca, prefekt czy deputowany, który z salonu poszedł za nią do sracza, żeby podsunąć jej pod nos swojego fiuta. Albo ten żonaty aktor z trójką dzieci, który nękał ją SMS-ami, nie licząc się z faktem, że każda z tych „wiadomości” wystarczyłaby, żeby go szantażować.

W końcu zrozumiała, że nie powinna się bać. Przeciwnie – to ona miała siłę. Postanowiła doprowadzać ich do szaleństwa i kontrolować ten obłąd. Zaczęła ubierać się stosownie do nowej roli, pracowała nad gestykulacją, dbała o makijaż. Początkowo popełniała sporo gaf, była niezręczna jak superbohaterowie tuż po odkryciu drzemiących w nich mocy, ale z czasem nauczyła się panować nad swoim magnetyzmem i wykorzystywać go. Dziś, wchodząc do restauracji, wyczuwała drżenie, jakie wywołuje pociąg fizyczny, który rozbudzała.

Była zarazem zwierzyną i łowczynią. Ciało, które tak znienawidziła, stało się jej bronią.

– Skoczmy zajarać?

Stał przed nią rachityczny gość, tonący w rozciągniętym, niedopranym T-shircie. Trzymał w ręku paczkę marlboro, jakby przedstawiał jej ofertę roku.

Gaëlle jednym rzutem oka oszacowała tego faceta: mieszanka geja z alfonsem.

– Nie palę.

Wciąż uśmiechnięty usiadł obok niej. Wyglądał na dwadzieścia pięć lat, ale w jego niedogolonej twarzy było już coś starczego.

– Moglibyśmy pogadać o robocie.

– A o jakiej robocie?

– Zabawna jesteś. – Zniżył głos. – Pracuję w produkcji. Mógłbym ci powiedzieć, czego szukają.

– Dla mnie to raczej jasne – powiedziała, wskazując inne dziewczęta.

Roześmiał się drwiąco i wyciągnął do niej wychudzoną rękę:

– Kevin.

Gaëlle poczuła się, jakby uścisnęła kurzą łapę. Zerknęła na krzesła, które zwalniały się jedno po drugim: jeszcze dwie kandydatki i przyjdzie jej kolej.

– Chyba chciałeś wyjść na papierosa? – Westchnęła.

– Wolę spróbować szczęścia z tobą.

– Już spróbowałeś, więc możesz iść.

Tym razem jego uśmiech wystrzelił jak petarda.

– No nie, ja naprawdę mogę ci pomóc. Mogę szepnąć słówko producentowi i...

– Mam gdzieś ten casting.

– Jesteś niesamowita! – powiedział ze śmiechem. – Mam coś, co na pewno cię zainteresuje!

– Nie mogę niczego podpisać, bo oficjalnie nie prowadzimy śledztwa – tłumaczyła przez telefon Muriel Damasse.

– A co by pani powiedziała na „zabójstwo nieumyślne” i „rażące zaniedbanie”?

– No, no, nie było mowy o zabójstwie... Chodzi o wojsko i...

– Bez takich podejrzeń nie możemy ściągnąć tu techników z kryminalistyki.

– Ale po co chce pan ich ściągnąć?

– Żeby pobrać próbki z ludzkich szczątków i dokładnie przeczesać miejsce zbrodni na wyspie Sirling.

– „Miejsce zbrodni”? Ostry początek!

Erwan mówił nie tylko do zastępczyni prokuratora, ta informacja była przeznaczona głównie dla Le Guena i Verny’ego, którzy siedzieli na tylnym siedzeniu samochodu. Zostawili swój wóz Archambaultowi. Prowadzący Kripo zdawał się świetnie bawić tą sytuacją.

– Sytuacja jest już wystarczająco skomplikowana – jęczała Damasse. – Powiedziano mi, że jedzie pan tam tylko po to, żeby ustalić fakty.

– Z największą starannością. Chciałbym też ustalić z panią szczegóły procedury.

Poczuła się chyba pewniej, przechodząc do papierologii. Rozmowa stała się bardziej ożywiona, padały wzmianki o postawieniu zarzutów, przejęciu śledztwa, przeszukaniach, nakazach itd. Każde z nich walczyło o swoje interesy. W końcu uzgodnili niemal wszystkie punkty planu współpracy.

– W innych sprawach muszę porozumieć się ze zwierzchnikami – zakończyła. – Zadzwoń do pana.

W samochodzie zapadła cisza. Jechali D 168 w kierunku Kaerverec. W deszczu utkanym z przejrzystych igiełek pejzaż nowoczesnego rolnictwa wydawał się jeszcze bardziej deprymujący.

Verny nie wytrzymał i przerwał ciszę:

– Jeżeli pan chce, żebym skontaktował się z ekipą techniczną, to trzeba...

– Później – przerwał Erwan. – O której mogę spotkać się z pilotem, który

wystrzelił pocisk?

– To Philippe Ferniot. Będzie w Kaerverec o szesnastej.

Le Guen wcisnął czerwoną twarz między dwa zagłówek.

– Muszę pana uprzedzić, że u nas to gwiazdor. Jeden z najlepszych pilotów swojego pokolenia. Walczył w Iraku i Afganistanie. Niech pan nie traktuje go jak podejrzanego.

Erwan nie odpowiedział. Le Guen przez chwilę się wahał, ale potem znów oparł się o drzwi.

– A co z grupą elewów?

– Których? – zapytał Verny.

– Tych „starych” i pierwszoroczników. Chciałbym przesłuchać ich do wieczora. Ilu ich jest?

– Dwudziestu starych i dwunastu nowych. To znaczy teraz jedenastu.

– Proszę zarezerwować dla mnie dwie sale. Ja i mój zastępca przesłuchamy ich pojedynczo.

– Jak pan sobie życzy, nie rozumiem jednak, jaki...

– Czy pozostają w swoich pokojach?

– Nie, a dlaczego mieliby siedzieć w pokojach?

– To znaczy, że mogą się ze sobą porozumiewać?

Znów zapadła cisza. Nikt nie nakazał elewom, by nie mówili o wypadku.

– Mam nadzieję, że nie wznowiono jeszcze zajęć?

– Dziś nie prowadzono żadnych zajęć – odezwał się Verny – ale nie możemy w nieskończoność czekać.

Le Guen znów się przysunął, a jego płaszcz zaskrzypiał. Kiedy jego głowa pokazała się między siedzeniami, Erwan wyobraził sobie, że to żółtko w ketchupie.

– Nie wiem, o co panu chodzi, ale odwraca pan role. Wissa Sawiris uciekł. Nie wypełnił obowiązków. Zginął i to jest bardzo smutne. Ale niech pan nie próbuje przerzucać odpowiedzialności na innych.

– Ja zawsze staję po stronie zmarłego – uciał Erwan. – Dla dobra śledztwa świadkowie nie powinni mieć ze sobą kontaktu.

– Ale o jakich świadkach pan mówi?

Erwan nie odpowiedział.

– Proszę skrócić w prawo – warknął Homar. – Jesteśmy dwa kilometry od celu.

Kripo ostro wszedł w zakręt i pojawiło się morze: czarna kipiela o szarych

grzywach, zlewająca się z ciemnym niebem i kamienną lawą. Nareszcie ujrzeli prawdziwą Bretanię. Zielony i biały klif rozdarty pionowymi szczelinami przypominał monstrualne zwierzęta o fosforyzującej sierści, gdy rozwierały olbrzymie paszcze, żeby ukoić pragnienie u źródeł świata.

Pośród tego pierwotnego pejzażu wznosiły się tradycyjne domy kryte dachówką, spoglądające zza niebieskich okiennic. Turyści jeszcze nie opuścili regionu. Ciemne sylwetki z parasolami, prążkowane bermudy i swetry zarzucone na ramiona – to był tutejszy, wakacyjny szyk. Ci ludzie mogli wnieść do sprawy ważne informacje.

Siedzący z tyłu Le Guen mamrotał, wydając przez telefon rozkazy. Padło między innymi „każdy w swoim pokoju” i „oddzielne stoliki przy obiedzie”.

Kripo przełączył wycieraczki na szybszy rytm i o mało nie wypadł z ostrego zakrętu. To były ich swoiste otrzęsiny na krańcu świata, gdzie morze zlewało się na horyzoncie z niebem. Tak, dotarli na koniec świata. Finistère. Koniec ziemi.

– Mógłbym pomówić z lekarzem z bazy? – zapytał Erwan.

Le Guen odpowiedział już nieco spokojniej:

– Od dawna nie ma tu lekarza – cięcia budżetowe.

– To jak sobie radzicie w razie problemów?

– Jedziemy do Morvan albo do Cavale blanche, jak wszyscy.

– A w czasie otrzęsin?

– Jeśli trzeba, wzywamy lekarza z Kaerverec, doktora Almeidę.

– Chcę się z nim spotkać.

– Nie rozumiem, przecież...

Ostatnie słowa zagłuszyło chluśnięcie – woda z kałuży uderzyła z wielką mocą w szyby. Le Guen zamilkł.

Wreszcie zobaczyli tablicę z napisem „Kaerverec 76”. Po kilkuset metrach pojawiła się brama szkoły. Tablice na murze i biało-czerwony szlaban broniły wejścia.

– Najpierw – powiedział Verny – musi się pan spotkać z pułkownikiem Vincqiem.

Erwan słyszał już to nazwisko, ale nie mógł sobie przypomnieć gdzie.

– Kto to taki?

– Dowódca szkoły.

– Myślałem, że nazywa się di Greco.

– Admirał jest szefem sztabu. Na miejscu szkołą kieruje pułkownik.

Wartownik w pelerynie podniósł szlaban. Za chwilę będą mogli schronić się przed deszczem, jednak Erwan czuł coś zupełnie innego: wychodzili z bezpiecznego świata zewnętrznego, żeby przenieść się do tego zamkniętego, cuchnącego więzienia.

Erwan spodziewał się ujrzeć potężną bazę. Tymczasem Kaerverec wyglądało jak podstawówka – kwadratowy dziedziniec, paskudne budynki o płaskich dachach, przy każdym bloku kryta galeria, trochę jak w małych miasteczkach Dzikiego Zachodu.

Zaparkowali, a potem schronili się pod daszkiem po prawej. Le Guen natychmiast poszedł powiadomić pułkownika Vincę. Erwan potrząsnął głową. Wiedział, że teraz wilgoć będzie mu towarzyszyła bez przerwy.

– W głębi dziedzińca znajdują się sale narad i biura administracji – wyjaśniał Verny, żeby wypełnić czas oczekiwania. – Na wprost – sale wykładowe, pokoje i łaźnie. Za nami – jadalnia, sala gimnastyczna i pomieszczenia wypoczynkowe.

– To niewielka baza?

– W Kaerverec szkoli się zaledwie trzydziestu elewów, do tego trzeba dodać instruktorów, wychowawców, sztab i oddział żołnierzy pilnujących sprzętu. Łącznie to niespełna sto osób. Za to wokół mamy ogromny teren – pas szerokości kilometra, ciągnący się na długości trzech kilometrów, dzieli nas od morza. Biorąc pod uwagę cenę metra kwadratowego na wybrzeżu, to wielki luksus.

– To na tym terenie wypuszczono EOPAN-ów?

Verny udął, że nie słyszy.

– Jeśli pan zechce, może pan obejrzeć hangary i pola manewrowe. Mamy w bazie dziesięć maszyn i...

Erwan już go nie słuchał. Flagi zostały opuszczone do połowy masztu, zapewne na cześć Wissy. Było ich tu cztery: francuska, europejska, bretońska i jeszcze jedna, z nieznanymi mu symbolami – łabędziem, szpadą i okrętem. To musiał być sztandar szkoły.

Czuł, jak ożywa w nim awersja do munduru. Nie znosił wojskowych i wszystkich zewnętrznych oznak przynależności do armii. W tych rzadkich chwilach, kiedy musiał pojawić się w mundurze – po ukończeniu ENSOP¹¹, podczas wręczania odznaczeń – przeżywał katusze. Na domiar złego jedyny

mundur, jaki miał, za każdym razem przypominał mu o zbędnych kilogramach.

– Co on tam robi? – zniecierpliwiał się nagle Verny. – Pójdę sprawdzić.

Żandarm odszedł. Kripo oparł się o kolumnę i przybierając pozę kowboja, zwinął sobie papierosa.

W tym momencie przez dziedziniec przeszli dwaj piloci. Na kombinezonach mieli rodzaj ochraniaczy na spodnie. Wyglądały, jakby były nadmuchiwane.

– Zupełnie jak ludziki Michelina – stwierdził Erwan.

– To ze względu na przeciążenia – wyjaśnił Kripo, przypalając papierosa.

– Co?

– Są ubrani w kombinezony przeciwprzeciążeniowe. W samolotach odrzutowych siła ciężenia w ciągu kilku sekund może osiągnąć osiem g. Przy takim przeciążeniu ważysz jakby osiem razy więcej. Krew gwałtownie spływa do nóg, dochodzi do niedokrwienia mózgu i mdlejesz. Stąd taki ekwipunek. Wewnątrz znajduje się ciecz, która przy wzrastającym ciśnieniu ściska nogi i nie dopuszcza, by gromadziła się w nich krew. Nazywają to „babygros”.

– Skąd wiesz takie rzeczy?

– Po prostu mam szerokie zainteresowania.

Deszcz wciąż dudnił miarowo o dachy i asfalt, czasami zagłuszany przez łopot sztandarów i krzyki mew. Wreszcie pojawili się Le Guen i Verny. Towarzyszył im mężczyzna średniego wzrostu, mniej więcej pięćdziesięcioletni. Miał na sobie panterkę. Wzór munduru doskonale harmonizował z krótko ostrzyżonymi, przetykanymi siwizną włosami.

Wymienili uścisk dłoni. Twarz tego człowieka wzbudzała sympatię. W szarym bretońskim pejzażu zaświeciło nagle słońce południa – był opalony na kolor złota, a jego niebieskie oczy pasowałyby do Lazurowego Wybrzeża.

– Bardzo mi przykro – uśmiechnął się, kiedy ich sobie przedstawiono – ale nie mogę zaprosić panów do mojego gabinetu. Remont miał się skończyć przed rozpoczęciem roku, jednak nic z tego nie wyszło.

– To bez znaczenia.

Erwan zastanawiał się, czy nie jest to wybieg mający zbić ich z tropu albo próba pokazania im, że są tu niepożądani. Oficer wygłosił mowę w języku zatwardziałego urzędasza, ubolewając nad „nieszczęśliwym wypadkiem”, tą

„tragedią”, ale raz po raz podkreślając, jak ważne jest, żeby jak najszybciej zamknąć śledztwo i umożliwić szkole normalne funkcjonowanie. Siekał zdania na słowa, mówił, jakby czytał stenogram, wspominał o regulaminach, wplatał w wypowiedź koszarowy żargon, wspominał coś o „belkach na ramionach”, „kotach”, „karierze oficerskiej” i rzucał zagadkowe słowa, jak „boost” czy „over-shooter”.

Erwan nie potrzebował dokładniejszych wyjaśnień, zrozumiał przekaz: „Rób, co masz robić, i wynoś się stąd”. Vincq stał przy nim, ani na minutę nie przestając się uśmiechać. Był przystojnym mężczyzną, pewnym swej uwodzicielskiej mocy. Wciąż jeszcze należał do grona pilotów, o których marzą dziewczęta.

– Ile czasu zajmie ustalanie faktów i zamknięcie sprawy? – zapytał w końcu.

– To zależy od tego, z czym się zetkniemy.

– Co pan chce przez to powiedzieć?

– Że jeszcze za wcześnie na takie pytania. Nie można przesądzać, co uda się odkryć.

Uśmiech zagaśł.

– Tu nie ma czego odkrywać. Żołnierz chciał uniknąć otrzęsin i uciekł do...

– To tylko hipoteza. Jedynym konkretem jest ciało znalezione w bunkrze po wybuchu pocisku. To punkt wyjścia, a nie meta.

Pułkownik spojrzał pytającym wzrokiem na Le Guena i Verny’ego, a potem splótł ręce na plecach i zaczął się przechadzać ze spuszczoną głową. Deszcz bębnił jak werble zapowiadające ryzykowny numer cyrkowy.

– Proszę zrobić, co w pańskiej mocy – powiedział, patrząc na zegarek – ale czas nagli. Co godzina dzwonią do mnie z SIRPA, pytając, co mogą powiedzieć, a czego nie.

SIRPA: Wydział Informacji i Relacji Publicznych Armii. Dziwne, że Vincq wymienił na początku właśnie ten organ.

– Nie wspominając o DRH marynarki narodowej i wydziale prasowym Ministerstwa Obrony! – dorzucił. – Za naszych czasów wszyscy panicznie boją się mediów! – Nagle uniósł palec. – I bardzo proszę, żeby nie używał pan w raportach słowa „otrzęsiny”! Powinien pan mówić o „przekazywaniu tradycji”, „weekendzie integracyjnym”, „postępach pedagogicznych”. Słowem – niech pan dba o formę. Te pieprzone stowarzyszenia

przeciwników otrzęsin dopadną pana jak sępy, kiedy tylko się dowiedzą.

– Rozumiem.

– Nic pan nie rozumie. Niech mi pan napisze raport na jutro rano, niczego więcej od pana nie wymagamy. Wypadek to wypadek. Nie będziemy sobie tym zawracać głowy przez całą jesień!

Skinął im na pożegnanie głową i odszedł.

– Pułkowniku, tylko jedno pytanie. Czy dziś odbywają się zajęcia?

– Nie. Dlaczego pan pyta?

– Przed chwilą widzieliśmy dwóch pilotów w kombinezonach.

– Zwyczajne loty ćwiczebne. Nasz rozkład lotów jest stały. Nie można go zmieniać. – Zaśmiał się ponuro. – Nie sądzę, żeby to, co się dzieje na dwóch tysiącach metrów nad ziemią, przeszkadzało panu w śledztwie.

Z oddali dobiegł ich warkot silników. Pułkownik zniknął. Le Guen i Verny odprężyli się i z trudem ukrywali zadowolenie – nareszcie ktoś pokazał temu glinie, gdzie jest jego miejsce.

– Pokój Wissy – rzucił Erwan, żeby odzyskać panowanie nad sytuacją.

– A może przedtem zostawi pan bagaż?

– Nie trzeba.

Czterej mężczyźni przeszli przez dziedziniec, kierując się w stronę kwater.

– Czy śmietniki zostały już opróżnione?

– Jakie śmietniki? – zapytał Le Guen.

– Z piątku, soboty i niedzieli. Chodzi mi o śmieci z otrzęsin.

– Zabrali je dziś rano, ale jakie to ma znaczenie?

Erwan nie odpowiedział.

Hol nie miał w sobie nic szczególnego: automat z napojami, tablica ogłoszeń, półki ze starymi czasopismami. Na pierwszym piętrze w korytarzu nie było żadnych dekoracji. Policjantowi podobał się ten ascetyczny wystrój wnętrza, chociaż ściany wyglądały tu jak kartonowe, a linoleum unosiło się i ugięło pod stopami. Zza drzwi dobiegały odgłosy telewizorów i radia – piloci musieli pozostawać u siebie. Erwan i Kripo popatrzyli na siebie porozumiewawczo – byli tu złowróbnymi ptakami. Verny zatrzymał się przed dużym żółtym krzyżem z taśmy, który zamykał wejście do pokoju.

– Ma pan zgodę prokuratora na zerwanie pieczęci?

– Żaden problem.

Erwan odstawił torbę i zerwał taśmę. Kripo rzucił mu lateksowe rękawiczki. Wsunął w nie dłonie, a potem wziął od Verny'ego klucz.

Dwanaście metrów kwadratowych powierzchni. W kącie umywalka. Dwa łóżka po dwóch stronach okna usytuowanego dokładnie na wprost drzwi. Dwie metalowe szafki, podobne do tych, które widuje się w szatniach klubów sportowych, pełniły tu funkcję szaf. Przy każdym łóżku biurko. Na jednym z nich sporo rzeczy: laptop, budzik, telefon komórkowy. Rzeczy osobiste Wissy.

– Niczego tu nie ruszono – zapewnił Verny. – Jego współlokator śpi gdzie indziej. Zabrał wszystkie swoje rzeczy.

– Powkładaj to wszystko do toreb, niech czeka na techników. – Erwan spojrział na idealnie czystą podłogę i opróżnione kosze na śmieci. – Pokój był sprzątny?

– Elewowie pełnią dyżury – wyjaśnił Le Guen. – Co rano dwaj z nich sprzątają pokoje. W sobotę też tak było. Nie wiedzieliśmy jeszcze o zaginięciu Wissy.

– Ci dwaj są ze starszych roczników, tak?

– Oczywiście. Przez czterdzieści osiem godzin Szczury... to znaczy nowi, nie mieli wstępu do budynku.

– Proszę ustalić, kto tu sprzątał.

– Ma pan jakiś problem ze śmietnikami – zadrwił żołnierz.

Erwan zignorował tę uwagę.

– Wybierz sobie dwóch świadków i bierz do przeszukania – powiedział do Kripo. – Ale nie studentów ani instruktorów, tylko sekretarki albo kogoś z administracji. Szukaj bardzo ostrożnie. Nie bardzo wierzę, żeby to coś dało, ale jednak poprosimy ekipę o sprawdzenie każdego skrawka tej nory.

– Nie bardzo rozumiem – wtrącił się Verny. – Absolutnie nie tego oczekiwaliśmy.

Policjant spojrział mu prosto w oczy:

– Pułkowniku, odnoszę wrażenie, że nie rozumie pan sytuacji, i nie wiem, jak to panu delikatnie wytłumaczyć, więc powiem krótko: zaczynamy wszystko od zera.

Pokój, który oddano im do dyspozycji, wyglądał dokładnie tak, jak pokój Wissy, ale dodatkowym luksusem była tu łazienka.

– Proszę usiąść.

Erwan poprosił Le Guena i Verny’ego, żeby do niego weszli. Kruki chwyciły krzesła stojące przy biurkach i nastroszone usiadły ramię przy ramieniu. Deszcz wciąż dzwonił o szyby, rozbijając czas na bardzo krótkie jednostki.

– Jeszcze nie czytałem waszych raportów, ale nie wątpię, że są czyściutkie. Kłopot w tym, że zginął człowiek. To był wypadek albo nie. Niczego nie należy wykluczać. Nawet morderstwa z premedytacją.

Le Guen poderwał się z krzesła.

– Skąd taki idiotyczny pomysł?

– Na tym polega moja praca. Wissa mógł już nie żyć, kiedy wsadzono go do bunkra. Ktoś mógł wiedzieć, że rafale weźmie na cel to miejsce. Doskonały sposób, żeby zatrzeć ślady zbrodni.

– Przed manewrami nikt nie mógł znać celu – odparł żandarm.

– Sprawdzimy to. A teraz potrzebujemy wsparcia. Gdzie stacjonują wasi TK?

– Nasi kto? – zdziwił się Homar.

– Technicy kryminalistyki – wyjaśnił Verny, a potem zwrócił się do Erwana. – W Rennes. Sądzę, że będą mogli przyjechać tu jutro.

– Dziś wieczorem. Chcę między innymi specjalisty od odlewów.

– Mamy takiego.

– Świetnie. Pobierzemy też próbki substancji organicznych. Niech zabiorą się do roboty dziś w nocy. Zaczynamy od pokoju Wissy. Jutro rano Sirling. Macie ekspertów, którzy potrafią pracować na mokrym gruncie, a nawet w wodzie?

– Technicy poszukiwań podwodnych.

– Proszę im powiedzieć, żeby zabrali pompę. Chcę wysondować wyrwę po pocisku.

Żandarm wodził za nim wzrokiem – Erwan krążył po pokoju z rękami splecionymi na plecach, mimowolnie naśladowując pułkownika Vincę.

– Kripo zajmuje się rozmowami Wissy, ale będzie potrzebował pomocy. Ilu żandarmów może pan zebrać do jutra rana?

– Dziesiątkę.

– Świetnie. Chcę mieć wszystkie połączenia w regionie, wszystkie dane z okolicznych stacji przekaźnikowych.

Verny gwizdnął. Erwan pokręcił głową:

– W tej okolicy nie powinno być wielu połączeń.

– A nakaz dla operatorów?

– Prokurator go wyda. Poza tym ze względu na rodzaj sprawy przez tydzień mamy swobodę działania, to czas zwłoki. Czy ma pan tu kogoś, kto poradzi sobie z jego komputerem?

– To najlepszy w Bretanii *n'tech*.

Czyli człowiek od nowoczesnej technologii. Erwan znał żargon żandarmów.

– Stacjonuje w Breście – podjął Verny. – Jeżeli nie wyjechał na urlop, ściągniemy go tu przed wieczorem.

– Gdyby się okazało, że wyjechał, proszę znaleźć innego. Analizę komputera trzeba zacząć w ciągu kilku najbliższych godzin. Odczyta dane, a jeden z pana ludzi je przejrzy, wynotowując wszystko, co może wskazywać na upodobania Wissy – seksualne i inne. Oczywiście interesują nas też jego znajomi.

– Dlaczego akurat seksualne? – zdenerwował się Le Guen.

– Ponieważ internet to największa maszyna do masturbacji, jaką kiedykolwiek wymyślono. Zadowolony?

– Nie widzę związku z ucieczką.

– Skończmy z tym – wasz scenariusz nie trzyma się kupy. Nie mamy żadnych podstaw, żeby uznać, że Wissa, którego pasjonowało latanie i który nie był specjalnie tchórzliwy, przepłynął kawał morza, żeby uniknąć robienia pompek albo jedzenia psiego żarcia. O pewnych konkretnych drobiazgach, których nie da się posklejać w spójną całość, nie będę nawet wspominał.

Oficerowie pokiwali głowami. Zrozumieli, że takich pytań nie warto zadawać.

Erwan pochylił się w ich stronę, opierając dłonie na kolanach, zupełnie jak trener drużyny sportowców.

– A teraz zadania dla każdego. Verny: wyśle pan ludzi w rejon przystani, żeby wyjaśnić kwestię łodzi. Czy ktoś tam mieszka?

– Turyści. No i rybacy, ale ci na pewno są na morzu.

– Proszę ich ściągnąć. Mają żony i dzieci?

– Większość tak.

– Chcę mieć raport do jutrzejszego wieczoru. Proszę też zadzwonić do kapitanatu w Kaerverec. Może są w stanie ustalić, kto wypływał tej nocy w morze.

– Nie sądzę.

– To proszę się upewnić! Potrzebna mi też prognoza pogody. Chcę wiedzieć, czy łatwo było dopłynąć na Sirling. Le Guen, weźmie pan dwóch ludzi i przejrzy z nimi nagrania z monitoringu bazy od piątku.

Bretończyk lekko się skrzywił, a potem dyskretnie spojrzał na Verny'ego.

– Jakiś problem?

– To taka tradycja. Przed otrzęsinami wyłączamy kamery.

– Nie wierzę własnym uszom – szepnął Erwan. – Przez czterdzieści osiem godzin nie ma tu monitoringu? Na terenie pełnym sprzętu wojskowego?

– Samoloty są bezpieczne w zamkniętych hangarach, oficjalnie zajęcia jeszcze się nie zaczęły. Odrobina tolerancji, przecież...

– Boicie się rejestrować draństwa waszych Lisów?

– Wręcz przeciwnie! – obrzucił się Le Guen. – Chcemy chronić godność nowicjuszy. Gdyby któryś pękł, lepiej nie zostawiać dowodów, jak było.

Zniechęcony Erwan machnął ręką.

– W takim razie proszę się zająć rozpracowaniem Wissy. Ma pan przegrzebać każdą sprawę, sprawdzić jego przeszłość. Chcę wiedzieć wszystko o jego rodzinie, zdrowiu, szkole, przyjaciółach, życiu codziennym w Mans, powiązaniach z Egiptem, osobowości.

– Ale do kogo mam się zwrócić?

– Niech pan coś wymyśli. Rodzice twierdzą, że był zatwardziałym samotnikiem, ale na pewno nie wiedzą o nim wszystkiego. Proszę ustalić, czy miał dziewczynę, hobby, jakieś obsesje, wrogów. Chcę też wiedzieć, czy miał doświadczenie w żegludze po morzu.

– Wydawało mi się, że nie wierzy pan w tę wersję.

– Ile razy mam powtarzać, że w nic nie wierzę? Jestem tu, żeby ustalić, co się wydarzyło. Kiedy Archambault wróci z sekcji, proszę go o wszystko wypytać. Niech sprawdzi kartoteki policyjne wszystkich elewów. Chcę mieć

informacje o każdym chłopaku, który wziął udział w tych cholernych otrzęsinach.

– A co z kosztami? – zapytał nagle Verny.

– Zrobi pan zestawienie wydatków po stronie żandarmerii, my zrobimy nasze, ponoszone przez brygadę kryminalną. Śledztwo jest prowadzone wspólnie. Wszystkie koszty pokryje TGI¹². Czy przygotowano dla nas gabinet?

– Prawdę mówiąc...

– Nie ma problemu – przerwał mu Erwan, otwierając torbę i kładąc komputer na jednym ze stolików. – Tu też będzie nam bardzo dobrze. Proszę dostarczyć nam stojaki, plansze, materiały biurowe. Wasi ludzie również zainstalują się w szkole. Do zakończenia śledztwa wszyscy nocują tutaj. Nie opuścimy tego budynku, dopóki nie poznamy całej prawdy. Zgoda?

Wstali bez słowa. Ich kamienne twarze być może mówiły „tak”.

– Jest szesnasta – rzucił Erwan, zerknąwszy na zegarek. – Czas na pilota, tak?

Zgodnie z informacjami, jakie im przekazano, kapitan Philippe Ferniot, trzydziestoosmioletni dowódca patrolu od 2009 roku, obecnie dowódca batalionu myśliwców Gascogne, miał za sobą dwadzieścia pięć misji bojowych, osiem tysięcy godzin w powietrzu, w tym tysiąc sto na rafale. Bohater czekał w pokoju, który oddano do dyspozycji paryskich śledczych. Była to pozbawiona charakteru sala z długimi stołami i tablicą ze zdzieranymi arkuszami papieru.

Siedzący w głębi, przy filiżance kawy, Ferniot pod marynarską kurtką miał jeszcze kombinezon z kolorowymi naszywkami i insygniami, toteż przypominał trochę starą walizkę. Erwan przywitał się z nim, usiadł naprzeciwko i włączył komputer. Zaczął pisać w milczeniu, jakby był tu sam. Dopiero po chwili poprosił pilota o przedstawienie jego wersji zdarzeń.

Już pierwsze odpowiedzi pozwoliły mu zrozumieć, że ma do czynienia z pozbawionym uczuć androidem. Ferniot nie okazywał ani żalu, ani nawet zasmucenia śmiercią tego dwudziestodwuletniego chłopaka, którego ciało rozdarł na strzępy wystrzelony przez niego pocisk. Można było odnieść wrażenie, że Ferniot nie ma w tej sprawie własnego zdania.

Jego relacja sprowadzała się do kilku słów. W sobotę 8 września o siódmej dziesiątce wystartował z „Charles’a de Gaulle’a”. Cel: wyspa Sirling. Obiekt nieznany. Wraz z dwoma innymi rafale’ami Ferniot, jako pilot i zarazem dowódca patrolu, wykonał kilka okrążeń nad wyspą, czekając na rozkazy. Po zidentyfikowaniu obiektu pozostało tylko rozpocząć zaprogramowane działania – do każdego potencjalnego strzału prowadziła odrębna sekwencja czynności. Pocisk trafił w cel. Rafale przeleciał na dopalaczu – jeśli Erwan dobrze zrozumiał – z gwałtownym przyspieszeniem. Lądowanie na CDG o siódmej trzydzięci osiem. Z zapisu komputerowego, danych z radarów i według dowództwa zadanie zostało wykonane.

– Nie mam nic więcej do powiedzenia – stwierdził pilot. – Jestem w tej sprawie tylko ogniwem łańcucha. Piloci dwóch pozostałych samolotów pilnowali tyłów, kontrola radarowa nadzorowała przestrzeń powietrzną

i lądową, inżynierowie analizowali wszystkie parametry. No i oczywiście moi dowódcy obserwowali w czasie rzeczywistym przebieg lotu. – Wstał i zasunął suwak kurtki. – Jeśli ktokolwiek ponosi odpowiedzialność za to, co się stało, to radzę szukać go na ziemi. Wśród durniów, którzy pozwolili temu biednemu kotu ukryć się na wyspie.

- Proszę nie wstawać.
- Obaj tracimy czas.
- Pan może stracić go bardzo dużo.

Pilot przechylił się nad stołem, patrząc na Erwana. Jego wygląd przystawał do sposobu wypowiedzania się: kanciaste skronie, kwadratowa szczęka, twarz absolutnie obojętna.

- Co pan insynuuje? – szepnął.
- Niczego nie insynuuję. W tej chwili jest pan podejrzanym o nieumyślne spowodowanie śmierci żołnierza, toczy się śledztwo. Powinienem tu i teraz zdecydować o pańskim tymczasowym zatrzymaniu do chwili zakończenia wstępnego śledztwa. Dlatego proszę spokojnie siedzieć, bo możemy zmienić ton tej rozmowy.

Pilot rozchylił usta, jakby chciał wrzasnąć, ale opanował się i uśmiechnął. Tym razem Erwan dokładnie widział, jak ten człowiek odzyskuje zimną krew.

- Świetnie. – Ferniot skinął głową. – Niech pan pyta.
- W ramach jakiej operacji wykonywał pan to zadanie?
- Piloci raz w roku przechodzą kwalifikacje powietrze-ziemia. To równocześnie test i trening. Jako dowódca patrolu również podlegam tej zasadzie.

- Nie wygląda pan na wstrząśniętego tym, co się stało.
- Powtarzam: to nie moja wina. Wykonywałem rozkazy w określonym kontekście. Jeżeli informacje, które mi podano, były niezgodne z prawdą, to nie mój problem. Nie mogę siedzieć za sterami i równocześnie być na ziemi, żeby sprawdzić, czy teren został zabezpieczony. Każdy ma swoją pracę.

Ferniot miał absolutną rację, jednak Erwan chciał go trochę przycisnąć.

- Robi pan swoje tam, gdzie panu każą, tak?
- Podobnie jak pan. Jeżeli chce się pan bawić w wolnego strzelca, to lepiej nie wybierać armii ani funkcji publicznej.
- To pan strzelił w bunkier, tak czy nie?
- Nie. Słucha pan, co się do pana mówi? Wszystko jest

skomputeryzowane, przecież to panu tłumaczyłem. I lot, i odpalenie. Po wskazaniu przez bazę celu komputery robią swoje.

– Kto decyduje, jaki cel zaatakować?

– Nikt. Specjalny program losowo wybiera cel. Informacja jest podawana w ostatniej chwili.

– A gdyby zorientowano się, że w bunkrze jest człowiek, mógłby pan przerwać operację?

– Oczywiście. Można wszystko zatrzymać, wciskając jeden guzik: Immediate EXIT. Można też wyłączyć automatycznego pilota.

– Proszę mi opowiedzieć o pocisku, który zniszczył bunkier.

– Niech pan przestanie mówić „bunkier”. Moim celem był „tobruk”.

– Jaki typ pocisku pan odpalił?

– Nie rozmawiał pan z moim przełożonymi?

– Jeszcze nie.

– Od tego powinien pan zacząć. Nie mogę nic powiedzieć. Tajemnica wojskowa. A poza tym nic nie wiem. Nigdy nie znamy dokładnie rodzaju OPIT.

– Czego?

– Pocisku kumulacyjnego smugowo-zapalającego.

Wracały wspomnienia. Erwan miał za sobą wiele misji w departamentach zamorskich Francji, gdzie zdarzały się podejrzane zgony. Poznał tam wielu żołnierzy sił elitarnych i nie mógł się nadziwić, że ludzie wykazujący się inteligencją w walce, znanstwem broni, w życiu cywilnym mogą być takimi głupcami. Ci faceci, którym wydano pozwolenie na zabijanie, którym wolno było okrutnie torturować innych albo odciąć sobie kończynę, żeby ratować życie, na co dzień zabawiali się, sikając koledze do butelki z szampanem i zaśmiewając się z debilnych filmików.

Ferniot nagle uderzył dłońmi o kolana i znowu wstał.

– No dobrze. Dość tych wygłupów. Zresztą wszystko odnotowałem w raporcie z lotu. Mogę pana tylko zapewnić, że dla nas wszystko było jasne. W przeciwnym razie nie doszłoby do strzału.

Erwan również wstał. W jego głowie zrodziła się właśnie pewna myśl.

– Gdyby ktoś ukrył się w tym „tobruku” w ostatniej chwili, zauważono by jego obecność?

– Oczywiście. Kiedy cel zostaje zdefiniowany, radary skupiają się na nim.

– Jakie radary?

– Georadary, termiczne – te, które informują nas przed atakiem, sprawdzają, czy wewnątrz nic się nie rusza, czy nie ma tam żadnego źródła ciepła.

Kiedy Ferniot wypowiadał te słowa, nagle zmienił się wyraz jego twarzy. Właśnie uświadomił sobie coś niezwykle istotnego: skoro instrumenty niczego nie wykryły, to zapewne Wissa był już martwy.

Erwan nie reagował. Zasada pierwsza: ukrywać przed świadkiem znaczenie informacji, którą mimowolnie podał. Zasada druga: nigdy nie zdradzać zaskoczenia.

– Znał pan Wisse Sawirisa?

– Nie.

– A innych elewów Kaerverec?

– Ani jednego. Nigdy się tu nie pojawiałem. Zostałem skierowany na CDG. Moja baza to Carcassonne.

– Przyjdzie pan na pogrzeb?

– Jak wszyscy. Musimy uderzyć się w pierś.

– Chyba nie bardzo się to panu uśmiecha.

– Żal mi tego dzieciaka, ale żadna ceremonia nie przywróci mu życia. To wszystko wina obsługi naziemnej. To, co się stało, świadczy o braku profesjonalizmu, a ja nie zamierzam płacić za czyjąś głupotę.

Po raz pierwszy okazał emocje i zdradził, że targa nim gniew.

Erwan postanowił zakończyć, przechodząc na neutralny grunt:

– Czy i pan miał kiedyś swoje otrzęsiny?

– Oczywiście.

– Gdzie?

– W ośrodku pilotażu w Salon-de-Provence.

– Jak to wyglądało?

Pilot mimowolnie się roześmiał. Podobnie jak komputer, potrafił przechodzić z programu na program: neutralność, gniew, rozbawienie.

– To były wygłupy, nic strasznego.

Erwan odprowadził Ferniota do drzwi, wymamrotał kilka standardowych formułek, uprzedził o dokumentach do podpisania, o poinformowaniu przełożonych.

Kiedy został sam, włączył telefon. Michel Clemente, lekarz sądowy z Cavale blanche, dzwonił podczas przesłuchania.

– Miał pan rację – zaczął lekarz, którego głos zdradzał wzburzenie. – Wissa Sawiris był już martwy, gdy doszło do eksplozji. Przeprowadziłem bardziej szczegółowe badania, które pozwoliły to ustalić. Po pierwsze, stężenie pośmiertne. Badając kąty złamania kończyn, zyskałem pewność, że w chwili wybuchu ofiara była już sztywna. Ciało, które jest wiotkie, nie łamie się w ten sam sposób, nawet przy tak silnej fali uderzeniowej. Obejrzałem też zdjęcia szczątków ciała na wyspie. Pomiędzy osmaleniami, śladami smarów i odłamkami metalu zauważyłem sinoczerwone plamy, które zniknęły, kiedy ciało trafiło do nas. To były plamy opadowe. Wie pan, że kiedy człowiek jest martwy, krew nie krąży i powstają plamy widoczne pod skórą.

– Wnioski?

– Zdjęcia wykonano w sobotę w południe. Plamy wyraźnie osiągnęły maksymalne przebarwienie, a to stadium następuje dwanaście godzin po zgonie. Proszę policzyć – chłopak zmarł w przededniu, około północy.

Erwanowi nasunęła się na myśl pierwsza hipoteza. Podczas „polowania na człowieka” Lisy za ostro obićy Wissę i dzieciak nie przeżył. W takiej sytuacji można było jeszcze mówić o nieumyślnym spowodowaniu śmierci. Fatalny upadek na kamień, zawał serca itp. Napastnicy wpadli w panikę. Wzięli z przystani zodiaca i popłynęli na Sirling. Ukrycie zwłok w „tobruku” było dobrym pomysłem – nie trzeba było kopać. Prawdopodobnie nieprędko by je znaleziono. Tylko że wybuch już nazajutrz wyrzucił je na zewnątrz.

– Jest jeszcze coś – ciągnął Clemente, już nie tak pewny siebie i wyniosły.

– Zauważyłem dwa rodzaje ran. Te, które nie krwawiły, czyli pośmiertne, i te, które krwawiły. Wissa był torturowany i okaleczony za życia.

I tak upadła hipoteza wypadku. Erwan od razu przeszedł do brutalniejszej wersji: Lisy pastwiły się nad ofiarą.

– Co pańskim zdaniem było przyczyną śmierci?

– Trudno powiedzieć, ale to, co wycierpiał, było potworne. Ma różnego rodzaju rany cięte i okaleczenia.

Okazało się, że ojciec miał rację – Erwan był właściwym człowiekiem na właściwym miejscu. Kiedy dawały o sobie znać najohydniejsze mordercze

skłonności, on był tym, który przychodził pozamiatać. Pomyślał o rodzicach chłopaka. Kto ma im o tym powiedzieć?

– Co może mi pan powiedzieć o metodach zabójcy albo zabójców?

– Na razie nic, ale zbadam każdą ranę i spróbuję, że tak powiem, odtworzyć jej historię. Ci, którzy to zrobili, to rzeźnicy. Zleciłem też toksykologię i badania anatomopatologiczne tego, co zostało z jego narządów. Nigdy nic nie wiadomo.

Clemente wydawał się znacznie bardziej zmotywowany niż podczas pierwszej rozmowy.

Erwan zamierzał już odłożyć słuchawkę, kiedy tamten dodał:

– Jest jeszcze jeden dziwny szczegół. Myślę, że ogolili mu głowę.

– Jest pan pewien?

– Prawie.

– To nie efekt eksplozji i ognia?

– Nie, widać ślady golarki. Być może to część rytuału.

– Jakiego rytuału?

– Tak mi się powiedziało.

Erwan wiązał to raczej z próbami, jakim poddaje się młodych podczas otrzęsin, ale musiał bliżej przyjrzeć się tej kwestii.

– Dobrze – powiedział. – Proszę dać mi znać, kiedy dowie się pan czegoś nowego.

– A co mam zrobić z tamtymi?

– Z jakimi tamtymi?

– Z oficerami z Kaerverec i ekspertami wojskowymi. Wydzwaniamy co dwie godziny, żeby się dowiedzieć, kiedy skończą.

– Zlecił panu szczegółową sekcję?

– Nie, ale muszę im przesłać raport. Taka jest procedura.

– Ale chyba zanim go pan napisze, będzie już jutro rano, prawda?

– Przeciągnę to do ostatniej chwili.

– W takim razie pogadamy o nich jutro.

Erwan odłożył telefon, wzburzony i podniecony. Nie wiedział jeszcze, jak wykorzystać te informacje i kilka godzin przewagi nad innymi. Zadzwoił do Kripo. Przeszukanie pokoju zostało zakończone – nic nie wniosło.

Podzielił się z nim nowinami. Jego zastępca nie okazywał emocji – nawet miłośnicy lutni po dwudziestu pięciu latach w policji robią się gruboskórni.

– Co powiemy naszym żołnierzom?

– Na razie nic. Przepytamy ich, jakby nic się nie stało.

– Masz już jakąś hipotezę?

– Śmierć Wissy to albo skutek linczu, albo egzekucja, która nie ma nic wspólnego z otręsinami. Torturowano go prawdopodobnie z innego powodu, a to, co działo się w weekend, tylko zmyliło tropy.

Nie przerywając rozmowy, podszedł do ścian, na których wisiały zdjęcia rafale'i, a także portrety elewów, którzy zdobyli tu swoje „skrzydła”. Na półkach stały puchary i odznaki.

– Skoro Archambault asystował przy sekcji, to chyba coś zwęszył? – powiedział Kripo.

– Zupełnie o nim zapomniałem. Zadzwoń do niego i każ trzymać język za zębami.

– To wszystko?

Erwan przyglądał się twarzom dyplomowanych pilotów. Uśmiechali się, jakby otwarło się przed nimi niebo.

– Nie. Skontaktuj się z Vernym. Niech przeszuka archiwa żandarmerii i policji w Bretanii i wynotuje ofiary, które zostały poważnie okaleczone.

– Nie zrozumie. Wciąż trzyma się wersji z otręsinami.

– Nie mów za dużo. Niech rozejrzy się po więzieniach i domach wariatów w zachodniej Francji. Nie można wykluczyć, że jakiś psychopata wyszedł na wolność albo uciekł i jest w okolicy.

– Coś w rodzaju wilkołaka?

– Nie wygłupiaj się. Clemente pisze nam raport, jaki rzadko się widuje. Teraz czas na ciebie i na mnie w starciu z elewami. Przygotuj mieszankę Szczurów z Lisami. Najpierw początkujący, potem najstarsi. Czekam na swoich w sali, gdzie przesłuchiwałem pilota.

– Powiedział coś ciekawego?

– Wiesz, kto jest głupszy od żołnierza, który maszeruje? Żołnierz, który lata.

- Zebraliśmy się wszyscy na płycie lotniska o siedemnastej.
 - Byliście ubrani?
 - Nie, tylko w slipkach.
 - Kto oprócz was tam był?
 - Lisy, to znaczy starsi.
 - W mundurach?
 - Mieli ufarbowane na czarno kombinezony.
 - Widzieliście ich twarze?
 - Nie. Nosili białe maski.
 - Proszę je opisać.
 - To były sztywne maski, jak w horrorach.
 - Czy zwracali się do was, używając nazwisk?
 - Nic z tych rzeczy!
 - Po numerach? A może używali przyzwisk?
 - Obelg.
 - Jakiego rodzaju?
- Żołnierz rzucił bez wahania:
- „Worek z gównem”, „worek łajna”, „kutas”, „cipa”... A jeden powtarzał jak katarynka: „Banda obszczańców! Parszywe wyskrobki... Powinniście spłynąć ze szczynami!”.
 - A te Lisy miały jakieś przyzwiska?
 - To było coś w rodzaju stopni. Był tam NK – naczelnny kat, WS – wielki samochwała, KA – „kick in the ass”.
- Młody żołnierz aż cmoknął. Mimo śmierci kolegi wspomnienia okazały się zbyt silne. Szczur przyszedł w nienagannym stroju – białej koszuli z czarnymi epoletami, na których srebrzyły się belki, wyprasowanych spodniach. Do kieszonki miał przypiętą metalową tabliczkę z nazwiskiem i stopniem. Wyglądał, jakby zszedł z planu filmowego *Top Gun*.
- A co się wydarzyło na płycie?
 - Zasłonili nam oczy i zaczęło się obrzucanie i oblewanie paskudztwami – śmierdzącymi jajami, serem, gnojówką, olejem silnikowym, ekskrementami.

A potem kazali nam się czołgać po asfalcie.

– Z zasłoniętymi oczami?

– Tak, przez cały czas.

– Jak długo?

– Nie umiem powiedzieć.

– A potem?

– Zapędzili nas do hangaru.

Erwan rozłożył plan terenu, który dostał od Verny’ego. Budynki ciągnęły się wzdłuż pasów. Podano liczbę samolotów w każdym z hangarów, a także ich typy i numery.

– Do którego?

– Nie mam pojęcia. Miałem opaskę na oczach.

– Kiedy pozwolono ci ją zdjąć?

– Dopiero w środku. To było straszne. Zasłonili okna czarnymi płachtami. Znaleźliśmy się w świetle pochodni. Na ścianach widziałem graffiti. Przekleństwa, swastyki. I wiszące ścierwa – świńskie łby, barany nadziane na tyczki. Smród był nieznośny.

Nie warto było pytać, czy zdążyli wszystko wyczyścić – Erwan był pewien, że tak.

– Jakie padały polecenia?

– Początkowo nic nie dało się zrozumieć. Wrzeszczeli jeden przez drugiego. Kazali nam znowu robić pompki, ale tym razem siadali na nas. Kiedy się czołgaliśmy, kopali nas, wyrzucali śmiecie na głowę. Nazywali to „kręgiem potu”.

Nawiązanie do kręgów piekła w *Boskiej komedii*. Te Lisy wyglądały na zaskakująco wykształconych ludzi. Zanotował.

– Jak długo to trwało?

– Nie mam pojęcia. Nie mieliśmy już zegarków. Ale wydawało nam się, że całą wieczność.

– I nikt się nie buntował? Nikt nie odmówił wykonania polecenia?

– Nie mieliśmy wyboru.

Jasne, przecież byli w wojsku.

– W końcu znowu wyszliśmy na zewnątrz. Musieliśmy iść na kolanach przez basen pełen wnętrzości, trzymając ręce na karku jak więźniowie. A potem ustawialiśmy się w szeregach i czekaliśmy na ognie bengalskie.

– Co to było?

– Gipsowe granaty, które wybuchwały nam pod nogami.
– Ktoś został ranny?
– Nie, ale wszyscy byliśmy zasypani pyłem, który oblepił gównem i resztę świństw.
– Co dalej?
– Zaczął się akt drugi: krąg polowania.
Erwan zapisał w rogu ekranu: „Uważnie przejrzeć Dantego”.
– Jakie były zasady polowania?
– Dali nam godzinę na ukrycie się w okolicy. Potem wyruszyli na poszukiwanie z pistoletami do paintballa.
– O której to było?
– Nie wiem, już mówiłem. Zapadła noc. Wszyscy ruszyliśmy biegiem. – Zaśmiał się drwiąco. – Przynajmniej się rozgrzaliśmy.
– Pobiegniesz sam?
– Rozdzielili nas, zanim nas puścili.
– Gdzie się schowałeś?
– Pobiegłem na plażę, znalazłem zatoczkę i wcisnąłem się między dwie skały. Osłaniały mnie przed wiatrem. Po pewnym czasie mnie dopadli. Mieli rogi i dzwonki. Uciekałem ile sił w nogach, ale plaża była kamienista. Skręciłem nogę, upadłem, a oni zaczęli do mnie strzelać. – Rozchylił kołnierzyk czystej koszuli – na szyi i prawej łopatce wciąż miał niebieskie i czerwone ślady. – Ta obrzydliwa farba nie schodzi.
Lekarz sądowy nie wspominał o śladach farby na szczątkach Wissy.
– Mieliście coś, co ułatwiało poruszanie się w ciemnościach?
– Nic.
– Jak znalazłeś wybrzeże?
– Wiał wiatr od morza, słychać było szum fal.
– Czy kiedy się rozbiegaliście, Wissa był z wami?
– Powinien być, ale trudno się było rozpoznać, byliśmy umazani gównem.
– A myśliwi? Czy kiedy cię złapali, nadal mieli te maski?
– Nie. Mieli amplifikatory światła szczątkowego.
– Gdzie je zdobyli?
– Na pewno wzięli z arsenału.
Jeżeli K76 dostarczyła sprzęt do tych idiotycznych zabaw i jeżeli uda się wykazać, że tak wyposażeni żołnierze zabili Wissę Sawirisa, armia pośrednio stanie się współwinna tej zbrodni. Kolejna „dobra” wiadomość dla

pułkownika Vincę!

– Czy poza strzelaniem farbą uderzyli cię?

– Nie. Kiedy zostałem naznaczony, grupa wepchnęła mnie do hangaru. Czekałem tam do wschodu słońca.

– Sam?

– Nie. Co pewien czas przyprowadzali kolejnego Szczura. Wrzucali chłopaków do środka jak worki z kartoflami.

– A potem?

– O świcie przygotowali nam śniadanie.

– Podejrzewam, że nie serwowali wam kawy ani rogalików.

Elew znowu się zaśmiał: nie panował nad własną głupotą.

– Psie chrupki i koci pasztet. A do tego ostre przyprawy. A potem ani wody, ani niczego innego. Paliło mnie w gardle.

– O której oficjalnie ogłoszono zniknięcie Wissy?

– Zaczęło się jakieś zamieszanie. Lisy wracały, odchodziły, znowu wracały. Rozmawiały szeptem. Coś było nie tak. Kogoś brakowało.

– Wcześniej tego nie zauważyliście?

– Nie. Byliśmy za bardzo zmęczeni.

Erwan wiedział, co było dalej. Poszukiwaniami objęto cały teren, zameldowano o zaginięciu dowództwu szkoły, powiadomiono żandarmerię. Sztab dowodzenia z „Charles’a de Gaulle’a” zabrał głos i poinformował o odnalezieniu zaginionego na wyspie Sirling. W kawałkach.

Zwrócił oczy na monitor komputera i podsumował: jeśli hipoteza linczu była słuszna, to zbrodni dokonano w rejonie bazy, między dwudziestą drugą a drugą w nocy. Potem grupa starszych elewów wypłynęła w morze i ukryła zwłoki na wyspie Sirling. Nawet gdyby zdążyli wrócić na poranny apel, to inne Lisy musiałyby zauważyć ich nieobecność. Czy wszyscy byli współnikami?

Zainteresował go pewien szczegół.

– Czy na otrzęsinach któremuś z was ogolono głowę?

– Nie.

– Co powiedziałybyś o tych otrzęsinach?

– Nic szczególnego, nawet ich nie dokończyliśmy.

– Wolałybyś przejść wszystko do końca?

– Tak. Ten weekend był dla nas wszystkich jak chrzest bojowy.

– A Wissa, pomyślałeś o nim?

– Oczywiście. – Żołnierz zniżył głos. – Ale to nie ma nic wspólnego. Po prostu miał pecha.

– Co ci powiedziano o jego śmierci?

– Że uciekł na wyspę i rozerwał go wybuch pocisku.

– Uważasz, że to wiarygodne?

– Nie. Ta historia z ostrzałem to jakiś obłąd. Ale przede wszystkim Wissa nie był tchórzem. Prawdę mówiąc, facet miał jaja jak mało kto.

– A masz inne wyjaśnienie?

– Nie.

Następny.

– Jak po tym wszystkim odnosisz się do nauki w tej bazie?

– Będę musiał się z tym uporać. Nie zapomnimy o Wissie, ale nasz rocznik musi stawić czoło trudnej sytuacji.

– Uważasz za normalne, żeby znosić takie prostackie żarty przed rozpoczęciem nauki?

– To nie są prostackie żarty. Dobrze nam to zrobiło.

– Zwłaszcza Sawirisowi.

– Nie to miałem na myśli.

– A co? – zapytał ostro Erwan.

– Integracja jest dla żołnierza bardzo ważna. To szczególnie istotny etap.

To...

– Wiesz, jakie jeszcze próby planowano?

– Nie.

– Możesz odejść.

Zaczynał rozmawiać z nimi jak dowódca z podkomendnymi. Kot wstał i sięgnął po kurtkę. Odszedł, starając się poruszać sprężystym, marszowym krokiem, ale nie potrafił wykrzesać z siebie zapału.

Inni nie wnieśli nic nowego. Dwóch było nieśmiałych, trzeci agresywny, czwarty milczący. Wszyscy przeżyli szok, zachowywali się jak lunatycy, których obudzono, gdy chodzili we śnie. Zatrzymani nagle w połowie inicjacji, nie wiedzieli, co się dzieje ani kim są.

Hipoteza, że sprawca jest wśród nich, nie dawała się obronić. Erwan mimo wszystko pytał każdego z nich o doświadczenie żeglarskie. Grupa katów – zamaskowanych i rzucających obelgami – była bardzo jednolita, pomijając tego, który powtarzał, że wszyscy są obszczańcami i powinni spłynąć ze szczytami. Opinie o Wissie też były zgodne: odważny chłopak, który traktował otrzęsiny jako pierwszą próbę w długiej serii stojących przed nim wyzwań. Jako przedsmak wojny. Nikt nie potrafił natomiast powiedzieć, w jakim kierunku poszedł, kiedy zaczynał się krąg polowania.

O godzinie 19. Erwan odesłał ostatniego z elewów i wyszedł na werandę. Wciąż padało, ale Bretania sprawiła mu niespodziankę: przez mgłę przebijało się srebrzyste światło, które zalało dziedziniec, a dachy otoczyła złocista aura o konturach mieniących się jak masa perłowa.

– Ładnie, prawda?

Odwrócił się – Kripo dwoma palcami zwijał papierosa. Cudowna wprawa lutnisty.

– Masz coś? – zapytał Erwan.

– Niewiele. Wszyscy powtarzają to samo, tylko że jedni z uśmiechem na ustach, a inni ze łzami w oczach, ale żaden nie ma niczego za złe ani Lisom, ani armii. I żaden z nich nie dostrzega związku między tymi wygłupami a śmiercią chłopaka.

Erwan podzielał jego odczucia – tym chłopakom urządzono pranie mózgu.

– Przed chwilą przyjechała ekipa techników – powiedział Kripo.

– Gdzie są?

– Komputerowiec czeka na ciebie u Verny’ego. A kryminalistka pracuje już w pokoju Wissy.

– Zacniemy od informatyka – zdecydował Erwan, opuszczając werandę.

Udali się do sali zajęć, gdzie wciąż jeszcze stały stare szkolne krzesła o żelaznych nogach. Obok żandarma zobaczyli niskiego mężczyznę o głowie ropuchy. Nie pomógł regulaminowy sweter z galonami na ramionach – na sto kilometrów cuchnęło od niego kontrkulturą. Cherlawy, przygarbiony, niedogolony, o wyłupiastych, przekrwionych oczach, wyglądał, jakby wypalił o jednego skręta za dużo.

– Nazywam się Branellec. – Powtórzył głośniej, wciskając ręce do kieszeni: – Bra-nel-lec! Po bretońsku to znaczy „który chodzi o kulach”.

Raczej marna wróżba.

– Proszę się nie przejmować. – Zachichotał, widząc minę Erwana. – Poradzę sobie z tą pana maszynką, to dla mnie zwykła zabawa.

– Ile czasu zajmie pełna analiza?

– Zależy, co tam jest. Za dwadzieścia cztery godziny będzie można powiedzieć coś dokładniejszego.

– Daję ci dwanaście od tej chwili.

Branellec parsknął śmiechem.

– Mam pracować tutaj?

– Nikt nie opuszcza bazy.

– Mogę sprowadzić sprzęt?

– Uzgodnij to z Vernym. Nie kontaktuj się z innymi żołnierzami. Nocą oczekuję pierwszego raportu.

Informatyk zsalutował, patrząc na niego ironicznie, a potem usiadł w rogu sali z komputerem Wissy pod pachą.

– Chodźmy do techników – polecił Verny’emu Erwan.

Pierwsze piętro. Pod postrzępionym linoleum trzeszczał beton. Deszcz chłostał szyby. Można było się poczuć jak żeglarz dryfujący na pełnym morzu.

W pokoju Wissy faceci w papierowych kombinezonach, rękawiczkach, kapturach i maskach na twarzy uwijali się przy pracy. Znajomy widok. Teraz nikt nie mógł tu już wchodzić, mimo że pokój dawno został „skażony”.

Jeden z nich wstał i podszedł do drzwi.

– Thierry Neveux – powiedział, ściągając maseczkę. – Analityk kryminalistyki i koordynator grupy.

– Do czego doszliśmy? – zapytał Erwan, przedstawivszy się rozmówcy.

– Do niczego. To miejsce jest zimne jak zamrażalnik. Upłynęło za dużo czasu, za dużo było tu ludzi. Według mnie ta klatka służyła im za palarnię.

Prawie wszędzie znajdujemy drobiny konopi. Musieli co wieczór ćmić tu skręty.

– Brawo, piloci! – rzucił pod adresem Verny’ego Erwan.

Ciężarówiec zrobił urażoną minę:

– Wypytam... Pomówimy z jego współlokatorem.

Neveux, którego twarz nawet nie drgnęła, podjął beznamiętnym tonem:

– Podobnie jest ze śladami organicznymi. Trzeba będzie zbadać DNA wszystkich studentów z bazy, no i oczywiście oficerów, żołnierzy, obsługi i tak dalej. Jest pan pewien, że mamy iść na całość?

– Chcę mieć wszystko. Dysponuje pan własnym laboratorium?

– Mam w Quimper ludzi, którzy pracują dobrze i szybko.

– W takim razie do dzieła.

– Kto za to zapłaci?

Pytanie wymknęło się Verny’emu, który miał chyba obsesję na punkcie rachunków. Erwan pomyślał, że słusznie postąpił, zabierając ze sobą Kripo, najlepszego skarbnika „36”.

– Nie będzie z tym problemów.

– Poszukiwania w FAED możemy zacząć już wieczorem, ale z FNAEG¹³ trzeba poczekać do jutra rana.

Wśród śledczych policjant czuł się o wiele lepiej – co prawda byli żandarmami, ale tak jak on tropili zabójców.

– Czego dokładnie szukamy?

– Dowiemy się, kiedy to znajdziemy.

Neveux wykonał gest, który znaczył: pan decyduje i założył kaptur.

– Podsumowanie o północy.

Zostawili koordynatora i wrócili do sypialni-komisariatu. Kripo zdążył już zainstalować komputery, rozłożyć dokumentację, przypiąć do ściany mapy i arkusze papieru. Portret Wissy zajmował centralne miejsce, żeby każdy pamiętał, że puzzle do ułożenia to młody człowiek o brzoskwiniowej cerze i stalowej woli.

Krótkie uzgodnienia z Vernym: żandarm nie znalazł niczego w dawnych i ostatnich doniesieniach z regionu.

– A szpitale psychiatryczne?

– Czterdzieści kilometrów stąd znajduje się placówka dla trudnych pacjentów.

Placówki te to ośrodki psychiatryczne dla przestępców: na pół szpitale, na

pół więzienia, całkowicie przerażające. W jakimś zakątku umysłu Erwana zrodziła się nowa hipoteza – zabójca krąży po okolicy, nie ma nic wspólnego z tą szkołą.

– Kontaktowałem się z nimi: nic się nie wydarzyło – dodał Verny.

– Jak nazywa się ten szpital?

– Instytut Charcota.

– Proszę drażyć ten wątek.

Ramiona oficera nagle drgnęły, jakby gryzł go sweter.

– Jaki wątek? Chyba coś przeoczyłem, bo o ile mi wiadomo, prowadzimy śledztwo w sprawie elewa, który zaszył się w ...

– Rozmawiałem z lekarzem sądowym. Wissa już nie żył, kiedy doszło do eksplozji.

– Nie żył? Umarł? Co mu się stało?

– Był torturowany, został okaleczony.

Verny wsunął palec pod kołnierzyk swetra. Z niedowierzaniem patrzył to na jednego, to na drugiego policjanta, czekając na wyjaśnienia.

– Na razie zachowamy tę informację tylko dla siebie – powiedział kategoriycznym tonem Erwan.

– Torturowany, okaleczony...

– A co z przystanią?

– Słucham? Nic nowego. Nasi ludzie rozmawiali z mieszkańcami, przeczესali całe nabrzeże. Pukali do wszystkich drzwi. Kontaktowaliśmy się także z kapitanatem, ale nic nie wiedzą.

Mówił głuchym głosem, oszołomiony tym, co usłyszał.

– A Le Guen?

– Skupił się na przeszłości i otoczeniu Wissy – odparł zandarm. – Wkrótce będziemy wiedzieli coś więcej.

– Archambault?

– Jest w drodze powrotnej. Torturowany i okaleczony... Trzeba powiadomić sztab dowodzenia.

– Nie. Raport z sekcji nie został jeszcze napisany. Mamy całą noc, żeby ustalić jak najwięcej.

– Ale... czemu to ma służyć?

– Nie chcę, żeby ktoś rzucał mi kłody pod nogi, żeby wchodzili mi na głowę, a przede wszystkim nie życzę sobie, żeby jacyś generałowie udzielali mi rad i wygłaszali nadęte przemówienia. Proszę szukać dalej w całym

regionie wszystkiego, co wiąże się z przemocą o podobnym charakterze. Trzeba koniecznie znaleźć łódź, która płynęła na Sirling!

Verny wyszedł bez słowa. W progu przystanął, odwrócił się i zapewne chcąc dodać sobie otuchy, zasalutował im.

Erwan nie zareagował. Ta sztywna atmosfera zaczynała go przytłaczać. Za mała baza, obcisłe mundury, za wąskie horyzonty... No i od rana nie widział żadnej kobiety. Nawet w brygadzie kryminalnej, która nie była salonem fryzjerskim, można było zerknąć na jakiś tyłeczek.

Spojrzał na zegarek i skinął na Kripo.

– Wracamy do przesłuchań.

Od Lisów też niczego się nie dowiedział. Wcale nie wyglądali na antypatycznych faszyzujących gnojków, jakich spodziewał się zobaczyć. Wstrząśnięci jak ich młodszy koledzy, kurczowo trzymali się wartości, jakie wpajały im szkoła i armia. Zwarli szeregi, ale nie w imię solidarności czy poczucia winy, tylko po to, by chronić własną tożsamość.

Nie dało się wykryć wśród nich jednego czy kilku oprawców, zdolnych torturować młodego człowieka i doprowadzić go do śmierci. Erwan odrzucił też „klasyczne” dla każdego policjanta motywy zbrodni: kradzież, przestępstwo na tle rasistowskim, rywalizację kochanków, mroczne skłonności seksualne. Nie potrafił jeszcze wyjaśnić tego przeczucia, ale instynkt podpowiadał mu, że to zabójstwo ma coś wspólnego z czystym cierpieniem... i duchem domu, to znaczy szkoły.

Udało mu się tylko dowiedzieć, jakie jeszcze „atrakcje” planowano i co działałoby się, gdyby śmierć Wissy nie przerwała otrzęsin. Jeśli chodzi o sadyzm i bezsensowne okrucieństwo, poprzeczkę ustawiono naprawdę wysoko. Po kręgu polowania – kolorowe plamy po zabawie w paintball przesądzały o wymaganiach, jakie miały być stawiane przez cały rok nowym – rankiem miało nastąpić przejście do kręgu morza. Planowano wyścig Szczurów – kilometr do przepłynięcia przy obciążeniu kamieniami, w „naszyjnikach” z glonów i meduz. Erwanowi stanęli przed oczyma wycieńczeni chłopcy, usiłujący pokonać ten dystans w lodowatej wodzie, z kamieniami na plecach i meduzami, które boleśnie parzyły ciało.

Zwieńczeniem popołudnia miała być tajemnicza próba – *no limit*, zwana też kręgiem krwi. Brzmiało obiecująco, jednak w tej sprawie Lisy okazywały dużą powściągliwość. Według niektórych ta próba była fakultatywna, zdaniem innych to sami nowicjusze określali, jak daleko chcą się posunąć. Erwan przypuszczał, że była to jakaś skala cierpienia, służąca sprawdzeniu własnych granic. Lisy zgodnie powtarzały jedno: krąg krwi obmyślał i przygotowywał sam KN (kat naczelny), czyli niejaki Bruno Gorce, lider Lisów pastwiących się nad tym rocznikiem. Jego koledzy twierdzili, że jest

najbardziej energiczny – czytaj: największy twardziel – i najbardziej autorytarny – czytaj: okrutny. Erwan domyślił się, że chodziło o tego, który wykrzykiwał: „Obszczańcy!”. Przypadek chciał, że Gorce był ostatni na liście przesłuchiwanym.

Policjant musi zawsze wystrzegać się pochopnych ocen, ale gęba Gorce’a przystawała do opinii, jaką sobie o nim wyrobił. Postawny jak inni, również ostrzyżony na jeża, jak oni miał kamienną twarz i ogień w oczach, które błyszczały pod zrastającymi się brwiami. Ubrany w dres w panterkę, z pomarańczową chustą na szyi, podszedł do stołu. Wyprężony jak struna uniósł rękę do skroni, stukając obcasami.

– Porucznik Bruno Gorce, EOPAN trzeciego roku w bazie lotniczej marynarki wojennej Kaerverec 76, Szef BDE Biura Elewów i stowarzyszenia oficerów kontraktowych w...

– Siadaj.

Gorce zmarszczył brwi, zdziwiony, że ktoś zwraca się do niego per ty. Po dwóch godzinach oglądania krótkich języków i dziwacznych poglądów Erwan dojrzał do ostrego przesłuchania. Lis-przywódca był do tego wymarzonym obiektem. Usiadł na krześle, zachowując postawę tak wyprostowaną jak wtedy, kiedy stał. Wydawało się, że usztywnia go gorset niewzruszonych przekonań.

– A więc to ty jesteś tym sławnym KN?

– Co pan ma na myśli?

– Powinienem powiedzieć: katem naczelnym. A chciałbym: wielkim świrem.

Wytrącony z równowagi Gorce wykrztusił:

– To ja.

– Opowiedz mi o *no limit*.

Żołnierz zerknął z ukosa na Erwana. Prawdopodobnie spodziewał się przesłuchania o bardziej formalnym charakterze, skupionego na Sawirisie i jego „wypadku”.

– Nie muszę o tym mówić.

– Dlaczego?

– Ponieważ w tym roku nie było *no limit*.

– Ale mógłbyś mi powiedzieć, co planowaliście.

– Nie ma żadnych ustalonych reguł – wyjaśnił głosem, w którym wyczuwało się napięcie. – Proponujemy, Szczur decyduje. To on ustawia

poprzeczkę, jak chce.

– Poprzeczkę cierpienia?

Cisza.

– Gdzie mieliście przeprowadzić *no limit*?

– Na „Narvalu”.

– Co to?

– Wrak krążownika, niedaleko od brzegu.

– Przygotowaliście wystrój miejsca?

– Nie trzeba. Miejsce jest... doskonałe.

Erwan wyobraził sobie pokryty rdzą kadłub, zwisające łańcuchy i haki. Widział bicze, deski nabite gwoździami, kleszcze... Wzdrygnął się i przepędził te wizje rodem z filmów grozy, żeby skupić się na realiach.

– Kiedy nowicjusze mieli się zdecydować na *no limit*?

– Po kręgu morza.

– Na ogół elewowie przechodzą tę próbę?

Na ustach Gorce’a pojawił się uśmiech.

– Większość tak.

– A ty ją przeszedłeś?

– Oczywiście.

– Poprzeczka była ustawiona wysoko?

– Nawet bardzo.

– Myślisz, że Wissa byłby chętny?

– Nie mam pojęcia.

– Czy kot, który godzi się na *no limit*, nosi jakiś szczególny znak?

– Nie.

– Nie goli mu się głowy?

– Nie. Po co?

Krok do tyłu.

– O ile dobrze zrozumiałem, otrzęsiny w K76 należą do najcięższych we Francji.

– Tak jest.

– Czym to tłumaczysz?

Gorce wziął głęboki wdech. Jego słowa, podobnie jak jego myśli, wydobywały się z klatki piersiowej, a dokładniej – z miejsca, w którym kiedyś przypną mu medale.

– To szkoła wojskowa. Mamy usiąść za sterami myśliwców, siać

zniszczenie. Nasza praca to zabijanie, niszczenie, zwyciężanie. A z tym wiąże się także ryzyko – można zostać jeńcem, być torturowanym, pokonanym. Jeśli kiedyś któryś z nas stanie się zakładnikiem szyitów albo trafi do niewoli u talibów, będzie trochę za późno, żeby szlochać, wołając na pomoc mamę. Skoro elew nie jest w stanie znieść dziś paru prób, to niech lepiej zabiera manatki i wraca do domu.

Maszyna poszła w ruch.

– Nasze otrzęsiny nie mają nic wspólnego z tym, co robi się w szkołach cywilnych. Te dwa dni to swoisty test. I inicjacja. Większość pilotów przychodzi tu z głową pełną wiedzy. Uczyli się matematyki, zdobywali dyplomy, znają tylko lotnictwo cywilne. Tu sprowadza się ich na ziemię. Muszą umrzeć, żeby narodzić się na nowo, bo dopiero wtedy są gotowi stać się pilotami myśliwców.

Gorce był poetą. W jego ustach pokrętne wyznanie wiary wpajanej w tej szkole nabierało wymiaru mistycznego, niemal szamańskiego.

– Kto jest dla ciebie wzorcem?

Elew wolno pokiwał głową, jakby chciał powiedzieć: „Nareszcie porozmawiamy o czymś poważnym”.

– My tutaj mamy tylko jednego mistrza: admirała di Greco.

Erwan już drugi raz słyszał o tym oficerze. Prawda wyglądała inaczej, niż mu mówiono – pułkownik Vincq załatwiał bieżące sprawy, zajmował się kwestiami logistycznymi. Prawdziwym szefem był niewidzialny admirał, demiurg, który pływał na „Charles’u de Gaulle’u”, wiele kilometrów od brzegu.

– To znaczy, że di Greco kryje wasze draństwa?

– Proszę się liczyć ze słowami.

– Godzi się na torturowanie i poniżanie nowych?

– Nic pan nie zrozumiał.

– To ty nic nie rozumiesz. Podniecasz się ideałami, żołnierzyku, ale tym razem zginął człowiek.

– Nie zapomniałem o śmierci Wissy, ale to nie miało żadnego związku z naszym weekendem.

– Skąd możesz wiedzieć?

– Wissa uciekł. Ogień go dopadł. Takie jest prawo wojny. Nie był godny, by zostać pilotem.

Gorce posunął się w interpretacji oficjalnej wersji stanowczo za daleko,

choć z pewnością był zbyt bystry, żeby wierzyć w to, co powiedział. Zwłaszcza jeśli był zamieszany w egzekucję chłopaka.

– Z zeznań wyłania się inny profil Wissy.

– Z jakich zeznań? Nikt nie może ocenić odwagi kolegi, którego zna tylko ze szkoły, to sprawdza się dopiero na froncie.

Tym razem Erwan zgadzał się z jego opinią. Miał ochotę wyjawić mu najnowsze informacje, żeby zobaczyć jego minę. Jednak wolał wrócić do okoliczności zaginięcia Wissy.

– Opowiedz mi o kręgu polowania. Było pięć grup myśliwych. Którą dowodziłeś?

– Numerem dwa.

– Czy nocą wydarzyło się coś szczególnego?

– Nie. Szczury zawsze ukrywają się w tych samych miejscach.

– Żadna grupa nie zniknęła na kilka godzin?

– Co to za pytania?

– Odpowiedz.

– Żadna. Każda grupa przyprowadziła nocą jednego albo dwa Szczury, mniej więcej w równych odstępach czasu.

Gliniarz natychmiast zaatakował:

– Masz doświadczenie żeglarskie?

Gorce poderwał się z miejsca. Erwan odruchowo cofnął się z krzesłem.

– Podejrzuwa pan, że wywozłem Wissę?

– Siadaj i odpowiedz na pytanie – powiedział, odzyskując zimną krew.

– Mam wszystkie uprawnienia i patenty. Urodziłem się w Wandei i pływam od szóstego roku życia. Byłem skipperem na znanych jachtach, wiele razy wygrywałem w regatach. Pasuje?

Policjant zapisał w komputerze parę słów. Przedłużał milczenie.

– Co panu chodzi po głowie? – nie wytrzymał oficer.

– Tamtej nocy ty i twoi ludzie mogliście dopaść Wissę i urządzić przyspieszony *no limit*.

– Bzdury.

– Może przyszło wam do głowy torturować go, aż zamęczyliście go na śmierć.

– Brednie! Wissa zginął w „tobruku”.

– Mogliście załadować ciało i zostawić je na wyspie. A teraz kumple was kryją.

Gorce znów poderwał się z miejsca i wrzasnął:

– Stek bzdur!!!

Lis ociekał nieokiełznaną, chorą brutalnością. Erwan ponownie odruchowo cofnął krzesło, ale postanowił zachować kategorię tonu i sprowadzić reakcję przesłuchiwanego na nieoczekiwaną wiadomość. Rzucił mu ją prosto w twarz:

– Wiemy już, że kiedy pocisk uderzył w bunkier, Wissa nie żył. Wiemy, że był torturowany, że został okaleczony. Ogolono mu głowę, prawdopodobnie, żeby jeszcze bardziej go poniżyć. Jego męki trwały przez część nocy. Z pewnością konał w potwornych cierpieniach.

Porucznik już się nie ruszał, wciąż pochylony nad Erwanem. Kropelki potu zrosiły jego czoło. Szczęki drgały pod skórą. Policjant czuł jego palący oddech o lekkim zapachu mięty. Jeżeli facet udawał zaskoczonego, to grał przekonująco.

– Nie masz mi nic do powiedzenia? – rzucił Erwan, narażając się na atak.

– Pieprz się.

Gorce wyszedł, z całej siły trzaskając drzwiami. Erwan spoglądał, jak drgają. Uświadomił sobie, że w pokoju słychać znajomy dźwięk – zgrzytanie zębami. To był jeden z jego tików nerwowych – kiedyś musiał nawet sypiać w aparacie.

Zerknął na umywalkę w rogu pokoju, wstał i wsadził głowę pod zimną wodę. Kiedy zakręcił kran, zorientował się, że znów leje. Dudniący o szyby deszcz materializował upływającą noc.

Sięgnął po telefon i wybrał numer Verny'ego.

– Może pan zorganizować mi wyjazd na „Charles'a de Gaulle'a”?

– Chce pan pomówić z dowodzącym manewrami?

– Mam gdzieś manewry i strzelanie. Chcę przesłuchać admirała di Greco.

Fotele obite czerwonym welurem, złocenia plafonu. Siedząc dokładnie pod ogromnym żyrandolem, który dawał zbyt jasne światło, Grégoire Morvan czekał w jednym z salonów Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Przybył na pilne wezwanie sekretarza stanu w rządzie Hollande'a, Érica Deplezainsa. Miał być o godzinie osiemnastej.

Początkowo obawiał się, że to wezwanie ma związek z samobójstwem dziennikarza Jeana-Philippe'a Marota, ale Deplezains nie zajmował się tą sprawą – Quai d'Orsay zachowywało dystans w stosunku do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Nie było też żadnego powodu, żeby łączyć jego, Grégoire'a Morvana, z tą śmiercią. O ile dokładnie posprzątało. Deplezains prawdopodobnie chciał się z nim skonsultować w jakichś sprawach afrykańskich, bo była to specjalność Morvana.

Tak czy inaczej to, co miało być pilne, dziwnie się dłużyło.

Tkwiał tu już ponad pół godziny. Mógłby zacząć się użerać z personelem, ale nie chciał dawać Deplezainsowi tej satysfakcji. Poznał go jako dzieciaka, kiedy tamten był lambertystą i bawił się w skrajnie prawicowego bojówkarza. Obserwował, jak się bogaci i zyskuje silną pozycję w MNEF¹⁴. Kiedy wybuchł skandal i okazało się, że socjaliści żyli jak pączki w maśle na koszt studentów, zatuszował sprawę i uratował tyłki tej bandy oszustów.

Każąc mu czekać, Deplezains dawał mu do zrozumienia, że to on dziś rozdaje karty. Cóż z tego: Morvanowi nie spieszyło się, żeby ujrzeć gębę tego wypomadowanego dupka, w jego zespole nazywanego Lakierowanym Łajdakiem.

Cierpliwie znosząc tę próbę, przeglądał notes oprawiony w moleskin. Zapiski do książki, którą zamierzał napisać o najbardziej absurdalnych albo najbardziej niesprawiedliwych zgonach w historii. De Gaulle nazwałby to „szeroko zakrojonym projektem”. Kiedy Morvan znajdował kilka wolnych minut, dopisywał przykłady, które przysły mu do głowy, albo przeglądał już zapisane kartki, co pozwalało mu uświadomić sobie marność losu.

W listopadzie roku 1918, podczas pogrzebu Wilhelma Apollinaire'a,

ludzie na trasie konduktu krzyczeli: „Śmierć Wilhelmowi!”. Oczywiście mieli na myśli Wilhelma II, niemieckiego cesarza, który abdykował tego samego dnia. W roku 1958 Ruben Um Nyobé, rewolucyjny przywódca kameruński, został zabity i zmasakrowany przez francuskich żołnierzy, którzy długo tropili go w dżungli. Przy jego zwłokach znaleziono tylko mały tornister, a w nim jedynie zeszyt, w którym spisywał swoje sny. Morvan lubił też historię Sida Viciousa, basisty Sex Pistols, podejrzanego o zamordowanie narzeczonej, a zmarłego na skutek przedawkowania w wieku dwudziestu jeden lat w Nowym Jorku. Legenda głosiła, że matka muzyka przyszła odebrać jego prochy z Heathrow, ale tak sobie popiła, że upuściła urnę w barze na lotnisku. Prochy punka zmyto mokrą ścierką. *Such a life, such a death...* Inne przykłady: kula, która zabiła Gandhiego, została znaleziona po kremacji w jego prochach. Anegdota o Rinaldzie di Capua, osiemnastowiecznym twórcy oper, który przez całe życie pieczołowicie przechowywał wszystkie swoje partytury, głosi, że gdy zmarł, jego syn sprzedał je jako makulaturę; mózg Einsteina ukradziony przez lekarza, który miał przeprowadzić sekcję, albo mózg Walta Whitmana, który wypadł z rąk asystentowi w kostnicy, rozpryskał się po posadzce i wylądował na śmietniku.

Morvan zamknął notes i patrzył na plafon: sztukaterie, złocenia, akademizm malowideł. Po dwóch stuleciach prawa do strajków i demokracji jedno nie uległo zmianie – wciąż żywy był ten nadęty styl, ta królewska pompa. Przypomniała mu się historyjka Tontona¹⁵, który grzmiał na przepych, jakim otaczali się prezydenci, ale gdy został wybrany, nie potrafił nawet wsiąść do samolotu bez asysty ustawionych w szpaler gwardzistów, którzy oddawali mu honory.

Wspomniawszy Mitterranda, pomyślał o Marocie, który chciał odgrzebać jego przeszłość. Ciekawe, co właściwie odkrył. Czy warto było za to umierać? I znów zaczął sobie wyobrazać epizod z własnej biografii. Z drugiej części, która nastąpiła po niejasnej młodości i afrykańskich dokonaniach.

Po powrocie do Francji Morvan został policjantem o doskonałej reputacji i skutecznym szpiegiem. Wbrew pozorom te dwa zajęcia dawało się połączyć. Co więcej, często mógł sam zacierać własne ślady.

Za Giscarda oddał władzy spore przysługi. Wyeliminował architekta z Var, który popełnił głupstwo, sypiając z małżonką pewnego afrykańskiego prezydenta. Zdusił – a przynajmniej znacznie wyciszył – skandal

z diamentami Bokassy. Afera kosztowała Giscarda drugą siedmioletnią kadencję, ale najgorszego udało się uniknąć – nie ujawniono prawdziwego przemytu między Francją a Republiką Środkowoafrykańską.

Kiedy do władzy doszedł Mitterrand, Morvan zadbał, żeby nikt nie węszył na quai Branly, wokół nieślubnej córki prezydenta. W roku 1985 poszedł „przekonać” Charles’a Hernu, ówczesnego ministra obrony, żeby wziął na siebie odpowiedzialność za zatopienie „Rainbow Warrior”. W 1994 pobiegł do domu Grossouvre’a, tuż po samobójstwie tegoż, żeby pomóc jego kochance w pakowaniu manatków. Załatwił też wszystkie podsłuchy dla Pałacu Elizejskiego, a Bóg mu świadkiem, że za Tontona było tego sporo. Po dwóch kadencjach trzeba było wypożyczyć potężne piece spalające, żeby zniszczyć wszystkie akta, dokumenty i inne paskudztwa przed oddaniem kluczy Chiracowi. Morvan obserwował wzbijający się pod niebo dym, myśląc o tym, który w Watykanie obwieszcza wybór nowego papieża. W pewnym sensie obowiązywała tu ta sama zasada.

Za Chiraca dalej był w tym biznesie. Wziął na siebie „zagubienie” kasety Méry i postarał się, żeby media mówiły wyłącznie o jednym: gdzie podziała się taśma? Kto ją zgubił? Tymczasem wszyscy zapomnieli o informacjach na temat finansowania RPR¹⁶, które zawierała. Kiedy Chirac gratulował mu tak zręcznego zmylenia tropów, odpowiedział, parodiując Harpagona z Molierowskiego *Świętoszka*: „Szkatułka! Kto ukradł moją szkatułkę?”. Odpowiedział mu wymuszony śmiech prezydenta.

Były też inne sprawy, czasem krwawe. Dawno przestał liczyć pożary, które stłumił w zarodku, ryszutki, które wyszorował. O jego najpiękniejszych zwycięstwach nikt nigdy nie słyszał.

Morvan nigdy nikomu nie dał się przekupić. Nie głosował, nigdy nie przyjął żadnej funkcji politycznej ani choćby centyma od rządu. Jak jego wzorzec, Jacques Foccart, zachował niezależność, pobierając normalną policyjną pensję i czerpiąc zyski z interesów w Afryce.

Ale pod jednym względem przegrał – chciał być zimny i obojętny, zachować pełną neutralność, a żył w gniewie i nienawiści. To się zaczęło w ’68 i nigdy się nie uspokoiło. Jego wewnętrznym motorem nie były ani patriotyzm, ani cynizm, tylko wściekłość.

Nienawidził wysokich urzędników, tych wszystkich absolwentów ENA, białych kołnierzyków. Wszystkich tych, którzy zapomnieli, że historia – zanim zapełni kolejne rozdziały podręczników – ma swoje gorące okresy,

walki uliczne, knowania i wielkie świństwa.

Nienawidził grup, klanów, korporacji. Wszystkich, którzy musieli być wśród wielu, żeby być kimś. Partie polityczne, masoni, rasiści, antyrasiści, ekolodzy, związkowcy, lobbyści, sędziowie, policjanci, wojskowi, a do tego żydzi, katolicy, muzułmanie i geje... Wszyscy za jednego – bandy wariatów.

Nie znosił także spadkobierców, którzy znaleźli się tam, gdzie byli, niczym się nie wykazując, a jeszcze bardziej parweniuszy, którzy osiągnęli sukces za szybko, za gwałtownie. Nie lubił również tych, którzy do niczego nie dążyli, żerując na kimś – „dworzan”, dupowłazów i lizusów wszelkiej maści.

Ale nade wszystko nienawidził dziennikarzy. Byli najgorsi, ponieważ się nie angażowali. Wytykali błędy politykom, a sami nigdy nie podejmowali decyzji. Pokazywali palcami korupcję, a sprzedaliby własną matkę za sensacyjną wiadomość. Krytykowali każdego, kto zdradził swoją partię, a sami z dnia na dzień zmieniali zdanie i wypisywali to na pierwszych stronach swoich szmatławców. Pismaki dobrze wiedziały, że mają się nie zbliżać do Morvana. Czasami ktoś próbował zbierać o nim informacje albo obrzucić go błotem. Ci najpotężniejsi – doradcy do spraw komunikacji – usiłowali go nawet zniszczyć. Jak dzieci we mgle! W dziedzinie lobbingu, gry o wpływy i linczu to on był mistrzem.

Przede wszystkim jednak bano się go, bo nie cofał się przed przemocą. Nie miał długich rąk, ale za to potężne pięści. Czym innym jest narazić się na kontrolę skarbową, czym innym stracić oko albo nogę.

Dziś nie było już potrzeby atakowania go czy grożenia. Sam czas zepchnął go na boczny tor jak starą, niepotrzebną alfę romeo. Pełen gniewu, brutalny, nie pasował do odmiennego świata. Był dzieckiem innej epoki, twardszej, bardziej zażartej, kiedy to de Gaulle musiał unikać zamachów na swoje życie, a Pompidou nosił w kieszeni listę ludzi, którzy chcieli mu wmówić, że jego żona uczestniczy w orgiach. Czasy szczerzenia kłów i brutalnych metod, gwałtownych starć, minęły. Teraz prezydenci udawali łagodnych i zwoływali gabinety, żeby naradzać się nad każdym ostrzejszym słowem.

– Panie Morvan?

Odźwierny we fraku stał przed nim.

– Pan sekretarz stanu przyjmie pana.

Wstał z trudem z wyściełanego fotela. Karuzela znów się kręciła.

Éric Deplezains był szczupły i tłuŝty zarazem.

Dziwnie to wyglądało.

Wysoki, smukły, wydawał się jednak oblany cienką warstwą galarety, jak mięsa na zimno w garmażerii. Regularne rysy twarzy, zawsze opalony, czoło wysokie, a włosy zaczesane do tyłu i mocno natarte żelem – czyli też tłuŝte. Aż chciało się strzelić tego gościa w pysk.

– Grégoire! – zawołał, otwierając ramiona. – Bracie, mój mentorze!

Stary gliniarz przyjął te hołdy, kiwając głową, ale uchylił się od uścisków.

– Siadaj. Jesteś tu u siebie.

– Nie wspominaj o nieszczęściu. Czego chcesz?

Deplezains nie od razu odpowiedział. Nadal stał z uśmiechem uczepionym ust jak łachman wieszaka. Morvan usiadł i obserwował go spod oka. Pomyślał, że dobrze robił, nie nosząc nigdy kraciastych garniturów, bo gospodarz spotkania w stroju Hugo Bossa wyglądał jak monstrualne origami.

Sekretarz stanu w końcu też usiadł. Oparł łokcie o biurko i złożył dłonie w dwuspadowy dach kościoła – prawdopodobnie długo ćwiczył ten gest przed lustrem, żeby dodawał mu autorytetu.

– Chciałem z tobą pomówić o Coltano.

– A co z Coltano?

– Agenci donoszą, że dyrektor firmy został zamordowany.

Morvan ironicznie gwizdnął.

– To ty masz agentów?

– Nie błażnij. Został zabity czy nie?

– To sprawy Murzynów. Nie mam żadnych informacji na ten temat.

– Byłeś na jego pogrzebie.

– Wyłącznie dlatego, że Cotlano jest dla mnie jak dom.

– Mówiono mi o kanibalizmie.

– Powtarzam: to sprawa Murzynów. Nseko miał wielu wrogów – nie można się go było pozbyć i na nic się nie przydawał.

– To nie ma nic wspólnego z kopalniami?

– Kontroluję kopalnie. Miejsce Nseko zajmie ktoś inny, i tyle.

– Kto?

– Najprawdopodobniej generał Mumbanza.

Deplezains otworzył kuferek ze szlachetnego drewna i wyjął z niego cygaro. Nie wyzbył się tych parweniuszowskich manier, których nabrał za swego panowania w MNEF.

– Znasz go?

– Bardzo dobrze.

– Można mu ufać? – zapytał sekretarz stanu, sięgając po dwuostrzowy obcinacz do cygar.

– Jak wszystkim – dopóki mu się płaci.

Urzędnik wprawnym ruchem przyciął cygaro.

– Czyli sytuacja pozostanie stabilna?

– Nikt nie postawiłby złamanego centa na przyszłość Konga.

– Prezydent nie chce tam żadnych problemów, i bez tego mamy już dość zwracania głowy.

– Nie wpadłbym na to. – Morvan uśmiechnął się.

Deplezains potarł długą zapałkę o brzeg pudełka i przypalił cygaro, wypuszczając potężne kłęby dymu.

– Jak wiesz – podjął po chwili – państwo francuskie inwestowało w Coltano.

– Deplezains, mówisz o mojej firmie, to ja wprowadziłem ją na giełdę. I to ja sprzedałem wam udziały!

– Nie chcemy zostać zamieszani w żadne machlojki, francuska Afryka to już przeszłość.

– W takim razie bierzcie kasę i wyńście się.

Coltano eksploatowało kopalnie koltanu, rzadkiego minerału wykorzystywanego do produkcji telefonów komórkowych i innych urządzeń elektronicznych. Udział Francji w tym biznesie nie był ani wyborem politycznym, ani decyzją ekonomiczną. Był to zwyczajny obowiązek: fizyczny i geograficzny.

– Zagwarantujesz mi, że Mumbanzie nie odbije i że nie zawrze sojuszu z Tutsi? – naciskał Deplezains, kopiąc jak stara ciuchcia. – W żadnym wypadku nie mogą paść na nas podejrzenia o finansowanie wojny w Kiwu.

Katapultowany do Ministerstwa Spraw Zagranicznych, wypomadowany urzędas nie miał pojęcia, co dzieje się na świecie. Wschód Demokratycznej

Republiki Konga był jak kłębowisko węży: toczyła się tam nieustannie wojna między regularną armią a Tutsi, Hutu, buntowniczymi milicjami. Większość frakcji finansowała się, eksploatując podziemne złoża regionu, jednak kopalnie Coltano, położone między Kolwezi a jeziorem Upemba, znajdowały się poza tym terytorium.

– Popatrz na mapę: z Kiwu do Katangi jest ponad tysiąc kilometrów. Powtarzam ci, że sytuacja jest pod kontrolą.

– Doskonale, doskonale – mamrotał, wciąż kopiąc.

Morvan obserwował jego miny. Nie znosił Deplezainsa, ani w ogóle lambertystów – ten trockistowski nurt unikał otwartej walki, a przenikał do innych partii, aby wpływać na ich doktryny. Nazywano to „entryzmem”. Morvan znał inne słowa na określenie takich metod, ale wszystkie kojarzyły się z praktykami analnymi.

– A może powiedziałbyś nareszcie, jaki jest prawdziwy powód mojej wizyty?

– Już mówiłem: nasz rząd kieruje się etyką, krycie twoich machlojek nie wchodzi w grę.

– Jakich machlojek?

– Jeżeli się dowiemy, że kombinujesz coś z formacjami zbrojnymi albo skorumpowanymi łajdakami, nie będziemy mogli cię kryć.

– Na razie to ja was kryję, durniu.

Deplezains wymierzył w niego cygaro.

– Grégoire, twój problem polega na tym, że stawiasz się ponad prawem.

Morvan poderwał się z miejsca i obszedł biurko. Sekretarz stanu cofnął się na swoim fotelu na kółkach.

– A teraz odświeżę ci pamięć, łajdaku. Kto uchronił was przed pierdłem, kiedy nadawaliście się tylko do mordobicia na ulicy d’Assas? Kto wam dał MNEF z kluczami do sejfu w komplecie i pozwolił, żebyście paśli się jak wieprze? Kto w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym piątym podcierał tyłek tobie, Cambadélisowi, DSK i innym, kiedy ten lukratywny interes wyszedł na jaw?

Urzędnik milczał, rozdygotany, wciśnięty w fotel. Cygaro wypadło mu z ręki, potoczyło się po garniturze i wylądowało na parkiecie tuż przy firankach.

– Cholera... zaraz się zapali.

Morvan rozgniół montecristo obcasem, a potem zacisnął dłonie na

poręczach fotela:

– Siedzisz tu dzisiaj tylko dzięki mnie, pieprzony trockisto!

– O kurwa, uspokój się – mruknął sekretarz stanu, poprawiając krawat. – Chciałem cię tylko ostrzec.

Grégoire ciężkim krokiem przechadzał się po pokoju. Sapał jak wół. Zmarnował już stanowczo za dużo czasu.

– A przed czym to chciałeś mnie ostrzec? Nie wezwałeś mnie tu ani po to, żeby się upewnić, że czarnuch, który zastąpi innego czarnucha, nie jest zły, ani żeby udzielić mi nauk moralnych. Wykrztuś to wreszcie!

Deplezains wstał, żeby uchylić okno. Zapach cygara nagle zaczął mu przeszkadzać.

– Jak wiesz, mamy dostęp do poufnych danych giełdowych. Możemy poznać przepływy akcji z większą precyzją niż...

– Do rzeczy.

– Zaobserwowano dziwne przepływy w Coltano.

Ta wiadomość zbiła Morvana z tropu: gdyby na rynku cokolwiek drgnęło, Loïc by go powiadomił.

– Nic dziwnego, że śmierć Nseko powoduje pewne ruchy – zaryzykował.

– Ale te ruchy, o których mówię, to nie tylko oscylacja. To wygląda na skoordynowane działanie.

– To znaczy?

– Nie znamy jeszcze nazwisk ani liczb, ale wydaje się, że kupione zostały całe pakiety.

– Chcesz powiedzieć, że podejrzewacie wrogie przejęcie?

– Dokładnie.

Przysunął krzesło i opadł na nie.

– To absurd – szepnął.

Tracił pewność. Tracił to, co zawsze było jego siłą: czujność.

– To wcale nie takie absurdalne. Kurs idzie w górę. Zmieniają się pozycje. Wiesz równie dobrze jak ja, że waszą piętą achillesową jest drobny akcjonariat. Jakaś grupa mogłaby zechcieć przejąć dominację w dziedzinie wydobywania koltanu. Albo inny kraj. Zagrożenie może być równie dobrze wewnętrzne: twoi „Murzyni”, jak mówisz, mogą chcieć nas wyrolować.

Morvan przełknął ślinę. Niewykluczone, że Deplezains ma rację. Coś się szykowało na terenie, którego nigdy nie brał pod uwagę: na giełdzie.

– To właśnie chciałem ci powiedzieć – oświadczył urzędnik znów pewnym

głosem. – Jeżeli Coltano przejdzie w inne ręce, wycofamy się. Nie pozwolimy sobie na spółki z Chińczykami albo mordercami i kanibalami.

– Skąd weźmiecie koltan?

– Z Australii, z Wenezueli.

– Będzie znacznie droższy.

– Ale zdrowszy. Jeśli chcesz mieć ekologiczne szczyny, musisz płacić.

Morvan ciężko dźwignął się z krzesła.

– Zorientuję się w sytuacji.

– O to chodziło. Daj mi znać.

Morvan wycofał się do drzwi. Kiedy wyszedł na ulicę, pot na jego czole zlodowaciał. Teraz to on był wołem w galarecie.

Kierowca czekał na niego na rogu alei du Maréchal-Gallieni. Morvan dał mu znak, że ma ochotę na krótki spacer. Przeszedł przez ulicę i przystanął, patrząc na Sekwanę.

W trudnych sytuacjach Paryż zawsze był z nim. Tylko na jego obecność mógł naprawdę liczyć. Oparł się o balustradę. W Coltano zawsze był udziałowcem mniejszościowym – miał zaledwie szesnaście procent akcji. Generałowie reprezentujący Kongo w każdej chwili mogli sprzymierzyć się z innymi i pozbyć się go, uosabiał przecież inną epokę – czasy Mobutu i jego dyktatury.

W najgorszym razie sprzeda wszystko i gdzieś wyjedzie. Nie to go niepokoiło. Zastanawiał się, czy Nseko przed śmiercią zaczął mówić. Informacja o nowych złożach wyjaśniałaby te zakupy akcji. Jeśli nie, wzrost ceny akcji mógł stać się iskrą zapalną. Inni zaczęli się zastanawiać, dlaczego Coltano stało się tak interesujące. I Morvan będzie musiał zapomnieć o swoim potajemnym projekcie.

Wyjął telefon i połączył z się z Loikiem. Musiał się na kimś wyładować.

Siedzący wraz z Le Guenem na pokładzie helikoptera Dauphin AS 365N (który wszyscy, nie wiedząc czemu, nazywali Pedro) Erwan miał głowę pełną kalek, mitów i dantejskich wizji. Wyobrażał sobie „Charles’a de Gaulle’a” wyłaniającego się z ciemności niczym pływające miasto migoczące światłami, trochę podobne do futurystycznego, jaśniejącego niczym gwiazda pośród nocy miasta w pewnym emiracie arabskim.

Korzystając z wolnej chwili, sporządzał bilans śledztwa. Działał w pośpiechu. Poszukiwania w przystani nic nie dały. Nikt nic nie widział, nie zniknęła żadna łódź. Żandarmi znali się na swojej pracy, sprawdzili zbiorniki paliwa na szkolnych zodiacach i porównali stan z rejestrem zużycia – wszystko się zgadzało. Żaden ETRACO nie wypłynął w morze nocą z piątku na sobotę.

Przejrzenie rzeczy osobistych i ciuchów Wissy nic nie wniosło do śledztwa. Jego nauczyciele i koledzy z Mans nie mieli o nim nic do powiedzenia. Kopt był wierzący, skromny, nie miał dziewczyny. Żadnych wad, żadnego skrywanego życia, skupił się bez reszty na przygotowaniach do egzaminu, żeby dostać się do lotnictwa marynarki wojennej. Udało się. Koniec. Jedno tylko warto było podkreślić – chłopak nigdy nie żeglował po morzu. Nie zdołałby dopłynąć nocą na Sirling. Zdaniem specjalistów umiejętności były konieczne, żeby trzymać się toru, czytać mapę morską, a w dodatku wiedzieć, gdzie w tym rejonie znajdują się podwodne skały, które należy omijać.

Wciąż wracała hipoteza okrutnego linczu, katów, którzy spanikowali i załadowali ciało na łódź. Ale na jaką łódź?

Zidentyfikowano odciski z pokoju – wszystkie należały do elewów z pierwszego roku. Współlokator się przyznał: w Kaerverec był królem skrętów. Co do śladów organicznych, to nie otrzymali jeszcze wyników, ale Erwan już na nic nie liczył.

Trwały analizy połączeń telefonicznych wykonanych i odebranych przez wszystkich żołnierzy z bazy między piątkowym rankiem a niedzielnym

wieczorem, sprawdzono też anteny przekaźnikowe w tej strefie. Materiału było stosunkowo niewiele, jakby Bretończycy nie pokochali komórek. W Kaerverec zakazano ich używania podczas otrzęsin.

Erwan dostał także karty opisujące wszystkich elewów. Profile pilotów były niemal identyczne, a drastyczna selekcja kandydatów do szkoły dawała oczekiwane efekty. Erwan poprosił Kripo, żeby dyskretnie przyjrzał się przeszłości Bruna Gorce'a, ale i tu nie znalazło się nic szczególnego.

Erwan chętnie zrekonstruowałby wyjścia i powroty każdego z elewów w ciągu ostatnich dni, ale przy braku zapisu z kamery jedynymi świadkami byliby sami podejrzani. Baza powietrzno-morska coraz bardziej przypominała czarną dziurę pochłaniającą wszelkie światło, wszelkie informacje.

– Dolatujemy! – wrzasnął Le Guen, wskazując palcem punkt za szybą.

Erwan wyteżył wzrok. Widział tylko mieniące się w ciemnościach łuski. Na tafli wody, aż po horyzont, szczyrzyły się w uśmiechu tysiące zębów. Uwięziony w kamizelce ratunkowej, dostrzegł wreszcie potężną masę „Charles'a de Gaulle'a”.

Żadnego światła, żadnego sygnału. Ogromny okręt-zjawa. Kontury tego olbrzyma widać było tylko dlatego, że były ciemniejsze i od morza, i od nieba.

Jednostka przekraczała ludzkie wyobrażenie o okrętach. Sześćdziesięciometrowa wieża stercząca nad wodą unosiła się jak za sprawą cudu. Tylko jedna pionowa konstrukcja wznosiła się na lewo od tej bryły, najeżona antenami i radarami. Erwan przypomniał sobie, że tę część nazywano „zamkiem”. Ta nazwa była bardzo trafna. Nie wiadomo tylko, czy nawiązywała do szaleństw Ludwika II Bawarskiego, czy do królowej z *Królewny Śnieżki*. Cytadela najeżona wieżyczkami, podziurawiona okienkami strzelniczymi. I ani śladu życia.

– Prawda, że robi wrażenie?

Archambault, który siedział obok pilota, odwrócił się do Erwana, a ten uśmiechnął się, żeby go nie rozczarować, ale noc, turkot wirnika i ogrom lotniskowca przypominały mu raczej koszmarne sen.

– Odbiorą nas żołnierze piechoty morskiej! – dodał Archambault.

Erwan pokiwał głową. Mimo hełmu świstało mu w uszach. Znaleźli się zaledwie kilka metrów od pokładu. Lądowisko skąpane było w czerwonym blasku. Zawiśli nad gigantyczną kałużą krwi.

– Po ciszy nocnej – wyjaśnił Le Guen – wszystkie światła mają barwę czerwoną. Nawet w przyjaznym otoczeniu lotniskowiec nie może używać żadnych widocznych białych świateł.

Podbiegli do nich ludzie w żółtych sztormiakach, pomarańczowych kamizelkach i niebieskich kaskach. Otwarto drzwi Dauphina. Erwan rozpiął pas bezpieczeństwa i wyskoczył na pokład.

Mimo zacinających w oczy kropli wody, uważnie popatrzył na niknący w ciemnościach pokład. Żadnego samolotu. Poczul się rozczarowany. Chętnie zobaczyłby rafale wyrzucane przez katapultę lub chwytane przez liny, żółte „psy” biegające wokół maszyn jak trenerzy przy bokserach pomiędzy rundami.

Podszedł do niego kapitan. Powitanie, prezentacja, postawa na bacność. Twarze kryły się pod kapturami. Erwan nie rozumiał ani słowa z tego, co mówiono. Wiatr porywał co drugie słowo, inne zagłuszał metaliczny szcęk.

Zdjęli kamizelki ratunkowe i ruszyli w stronę „zamku”. Metalowe drzwi otwarły się z postukiwaniem podkutych butów. Erwan spodziewał się, że wejdą do ogromnego hangaru pełnego myśliwców i helikopterów. A zobaczył labirynt wąskich korytarzy i schodów. Wszystko było czerwone. Nie tylko światła, ale i sygnalizacja, i sprzęt ratunkowy.

Wsiedli do jednej windy, potem do drugiej.

– Jednostka ma ponad dziesięć pięter – wyjaśnił kapitan.

Milczeli, a ich grupa miała w sobie coś z konduktu żałobnego, jakąś podniosłość. Kolejne drzwi otworzyły się z metalicznym zgrzytem. Wystrój w czerwonej poświacie nasuwał skojarzenie z niedokończonym szkieletem budowli, który ledwie wyszedł z pieca.

Potem znów zaczęły się korytarze, rury, drzwi. Mijali ubranych w kombinezony ludzi, którzy mówili coś do mikrofonów VHF. Padały słowa „patrol” i „tata Charly”.

Oficer zatrzymał się przed drzwiami, które niczym się nie wyróżniały:

– Admirał di Greco daje panu trzydzieści minut.

Jean-Patrick di Greco miał prawie dwa metry wzrostu. W ciasnej kajucie wyglądał jak orzeł uwięziony w klatce dla kanarków. Był nie tylko wysoki, ale też bardzo strzelisty – wąski w ramionach, z długimi rękami i nogami jak szczudła. Blisko sześćdziesięcioletni, przygarbiony, sprawiał wrażenie zużytego, wyczerpanego i aż żal było na niego patrzeć, mimo wciąż gęstych, kruczoczarnych jak u Indianina włosów.

Przez kilka sekund admirał bez słowa obserwował gościa, co pozwoliło Erwanowi na nieco głębszą analizę. Twarz oficera wyglądała jak czaszka obciągnięta skórą, tak mało miała mięśni, nie wspominając o tkance tłuszczowej. Wydatne kości policzkowe, garbaty nos, podkrążone oczy. A wszystko owinięte w żółtawą skórę niczym w stary pergamin.

Panowie przedstawili się sobie, Erwan powiesił kurtkę na wieszaku, wpadając po drodze na metalową szafę. Pomieszczenie oświetlała tylko lampka stojąca na biurku. Ostrożność obowiązywała wszystkich – kajuta miała okno, nie można więc było naruszyć reguł zaciemnienia.

– Przyszedł pan, żeby porozmawiać o tym pożarowania godnym wypadku.

Di Greco zręcznie używał eufemizmów.

– Proszę usiąść – dodał, poruszając długą ręką. – Zapraszam.

Erwan znalazł sobie miejsce w miniaturze saloniku: kilka metrów kwadratowych zajmowała kanapa o konstrukcji składanego krzesła i niski stół szerokości skateboardu. Wokół piętrzyły się dokumenty, segregatory, kartony, zupełnie jak w składziku.

Di Greco chyba dostrzegł zaskoczenie gościa.

– Na okręcie miejsce to rzecz niezwykle cenna.

– Wolę nie wyobrażać sobie kajut zwykłych żołnierzy.

– Nie są ani mniejsze, ani większe, tyle że kilkuosobowe. Poza tym żołnierze nie mają tego luksusu! – Wskazał kościstym palcem okno. – Tutaj to odpowiednik balkonu, a nawet tarasu. Przykro mi, ale nie mogę panu zaproponować nic do picia.

– To bez znaczenia. Nie przyszedłem tu na herbatkę.

Di Greco usiadł przy biurku, nie bez trudu wciskając pod nie nogi. Erwan zastanawiał się, czy admirał był pilotem, bo nie wyobrażał sobie, jak mógłby zmieścić się przy tym wzroście w kokpicie rafale'a.

Admirał zaczął od stereotypowej mowy, podobnej do wygłoszonej przez Vincqą, ale bardziej podniosłej. Jego głos był niski, rytm mowy powolny, a słowa spoza żargonu wojskowego. Nie powiedział jednak nic nowego – to była kolejna banalna, pusta wypowiedź.

Erwan przerwał mu ruchem ręki – miał już dość banałów, więc przedstawił admirałowi dotychczasowe wyniki śledztwa. Sadystyczny mord na elewie dokonany na terenie jednostki wojskowej. Okrutne i idiotyczne otrzęsiny. Całkowity brak komunikacji między szkołą lotnictwa morskiego a lotniskowcem oddalonym zaledwie o kilka kilometrów. Powszechna obojętność wobec tragicznej śmierci młodego człowieka, który pragnął poświęcić życie służbie wojskowej.

Di Greco nie wydawał się zaskoczony informacją o morderstwie i Erwan był pewien, że już o tym wiedział. Nie wyglądał też na przejętego licznymi uchybieniami w organizacji szkoły.

– Jakie zebrał pan dotąd dowody?

– O tym nie będę pana informował.

Admirał pokiwał głową. Lampka na biurku oświetlała jego twarz od dołu, jak w filmach grozy.

– Na pewno podejrzewa pan, że to był lincz. Że próba przybrała fatalny obrót.

– Delikatnie mówiąc.

– Czyżby ktoś dał wolną rękę osobnikom wymykającym się spod kontroli?

Erwan postanowił przyspieszyć:

– Ta instytucja nie tylko kryje przestępców, ale ich inspiruje.

– Nie rozumiem.

– Wyczuwam w Kaerverec kulturę przemocy i okrucieństwa, która wzmacnia sadystyczne instynkty studentów.

– Ma pan na to dowody?

– Nie. Tylko przeczucie.

– I kto pana zdaniem sączy ten jad?

– Pan.

– Jestem tylko szefem sztabu Kaerverec. Dowódcą bazy jest pułkownik Vincq.

- Vincę odpowiada za grafik lotów, ale to pan uosabia ducha szkoły.
- Czyli jestem diabłem? – Di Greco uśmiechnął się.

Erwan miał ochotę powiedzieć, że gębę ma już odpowiednią, ale wolał milczeć, zafascynowały go te zapadnięte oczy, podkreślone ciemnymi jak smoła podkówkami. Znam tę twarz, pomyślał. Gdzie mogli się spotkać? A może to było tylko podobieństwo do zombi z jakiegoś horroru?

- Czy w szkole zdarzały się już tego rodzaju wypadki?

– Nie.

- A bójkę? Jakies akty przemocy?

– Nigdy.

- Nawet podczas otrzęsin?

– Zwłaszcza wtedy. Przed takimi weekendami wszystko jest planowane, sprawdzane, kontrolowane.

- Słyszałem to już wiele razy, ale efekty znamy.

– Doszło do zaniedbań. Ukarzemy winnych. Ale domyśla się pan, że ograniczamy ryzyko do minimum.

W jego kajucie było tak gorąco, że Erwan zaczynał się dusić. Pot spływał mu po karku, mieszając się z kroplami deszczu, które wciąż jeszcze ściekały z kołnierza.

- Odpowiada pan za wszystkich swoich żołnierzy?

– Oczywiście.

- Za instruktorów, studentów, kontyngent, obsługę?

– Wszyscy przechodzą testy psychologiczne i rozmowy kwalifikacyjne. Powtarzam, że tu bardziej niż w innych miejscach musimy czuwać, żeby nie przyjmować przypadkowych osób.

Di Greco rozmawiał z nim bardzo spokojnie. Jego spojrzenie i głos zdradzały, że jest niezwykle zdyscyplinowany i opanowany. Nawet jego sylwetka w granatowym uniformie bez galonów wyrażała pewną formę ascetyzmu.

- Co sądzi pan o Brunie Gorce?

– To pański podejrzany?

- Proszę odpowiedzieć na pytanie.

– Dobry żołnierz. Świetny pilot.

– I sadysta. Gorce kieruje biurem elewów – podkreślił Erwan. – To on nadzorował w tym roku przebieg otrzęsin. W terenie odegrał rolę Kata Naczelnego.

Oficer splótł długie palce, których stawy wyglądały jak węzły marynarskie.

– Załóżmy, że porucznik ma osobliwe poczucie humoru, to jednak nie czyni z niego mordercy.

– Wydawał się szczególnie zainteresowany jednym z punktów programu – *no limit*.

– Ta próba nie istnieje.

– Wszyscy mi to mówili. Ale wystarczyło rzucić nazwę, żeby robili w portki.

– Ta próba nie istnieje z punktu widzenia dowództwa Kaerverec. Lisy nie muszą nam o niej mówić podczas wstępnej prezentacji swego planu.

– Przyznaje pan więc, że wiedza dowództwa o tych zabawach ma luki?

– W tym roku nie było *no limit*. Do czego pan właściwie zmierza?

Erwan wstał i podszedł do biurka.

– *No limit* pozwala młodym elewom dowieść odwagi i wytrzymałości. Jest apoteozą swoistej drogi krzyżowej. Przypuszczam, że po cichu uwzględnia się tu wynik tej próby, opracowując profil studentów.

Di Greco również wstał. Erwan wrócił na miejsce. To, co się między nimi działo, przypominało osobliwy balet. Ich cienie poruszały się po ścianach jak marionetki.

– Coś panu wyznam – szepnął admirał. – Ma pan rację. Przez ten weekend testujemy możliwości naszych elewów. Ale nie tych, o których pan myśli. Nie potrzebujemy otrzęsin, żeby się dowiedzieć, że nasi przyszli piloci są odważni i gotowi znosić ciężkie razy. Musimy natomiast poznać ograniczenia innych.

– To znaczy?

– Lisów. Tych, którzy urządzają otrzęsiny.

To było jak wystrzał. Erwan poczuł – poczuł fizycznie – że sygnały, które dotąd brał pod uwagę, nabierały nowego znaczenia. Jakby od początku przyjął błędny system odczytywania tych hieroglifów.

– Słyszał pan o teście Milgrama? – podjął di Greco.

– Coś tam słyszałem.

Stanley Milgram, amerykański psycholog, opracował w latach 60. słynny protokół. Na pozór testował wiedzę człowieka, któremu zadawano pytania. Po każdym błędzie inny uczestnik eksperymentu karał go impulsem elektrycznym. Te impulsy były coraz silniejsze. W rzeczywistości był to

instruktor i to on podlegał ocenie za siłę impulsów, a nie „testowany”, który był aktorem i tylko udawał ból. Cel testu był jasny: jak daleko można się posunąć, zadając cierpienie, kiedy ma się na to przyzwolenie władzy? Czy można kogoś zabić pod pozorem, że wypełnia się rozkazy?

Wyniki uzyskane przez Milgrama były przytłaczające. Większość zwolnionych z odpowiedzialności kandydatów pozostawała posłuszna aż do zabójstwa. Zapewne czerpali rozkosz z możliwości zaspokojenia popędu okrucieństwa bez obawy przed konsekwencjami. Był to doświadczalny pokaz tego, co w terenie sprawdza się podczas każdej wojny.

– Chce pan powiedzieć, że otrzęsiny odbywają się zgodnie z zasadą tego testu?

– Oczywiście. Nie mogę wchodzić w szczegóły, ale Lisy są nadzorowane przez całą tę dobę. Bada się ich reakcje, wybryki, sadyzm. Kształcimy w Kaerverec elitarnych pilotów, a nie oprawców. Nie możemy pozwolić, żeby nasze samoloty znalazły się w rękach osobników nie zrównoważonych, przy pierwszej lepszej okazji ulegających popędom.

Erwan pocił się teraz ze wstydu. Najchętniej wróciłby do pokoju, wziął prysznic, a potem schował się pod kołdrą. *Dobranoc*.

– Zdarzało się panu eliminować Lisy?

– Czasami. Chłopaków o zbyt dużym zapale, okazujących silne skłonności do przemocy albo niesubordynowanych.

– Co się z nimi potem działo?

– Nie wyjechali do Stanów na trzeci rok nauki. Przeniesiono ich.

– Pod jakim pretekstem?

– Robiliśmy to zawsze w białych rękawiczkach. Nigdy się nie dowiedzieli, że to ich zachowanie doprowadziło do dyskwalifikacji.

Policjant patrzył, jak admirał wraca do biurka i wciska pod nie tyczkowate nogi. Znów przeżył *déjà vu*.

– Paradoks polega na tym – podjął oficer, siedząc już przy biurku – że gdyby morderca był naszym elewem, zidentyfikowalibyśmy go po otrzęsinach.

– Gdybyście lepiej pilnowali żołnierzy, nie byłoby ofiary.

– Żaden mózg nie potrafi wszystkiego przewidzieć, w przeciwnym razie wojny kończyłyby się po kilku dniach.

Nie chcąc z kretesem tracić twarzy, Erwan skupił się na konkretnych faktach:

– Wiedział pan o porannych manewrach w sobotę?
– Mam tu biuro, ale nie jestem dowódcą sztabu generalnego.
– Nikt nie uważał, że taka operacja w czasie otrzęsin niesie pewne ryzyko?
– Przeciwnie. Weekendy integracyjne odbywają się na zamkniętym terenie K76. Żaden żołnierz nie może opuszczać bazy. Nie odbywają się loty. Jeśli już mówić o jakimś ryzyku, to raczej ze względu na turystów, ale wszystko jest sprawdzane. Niech pan wraca na ląd, komendancie, tam znajdzie pan winnych śmierci Wissy.

Erwan wstał, dziękując admirałowi, a kiedy ten chciał wydostać się z biurka, powstrzymał go – di Greco nie musiał się fatygować.

Archambault i Le Guen czekali na niego w korytarzu. Stojący nieco dalej kapitan z zadowoleniem spojrzął na zegarek – choć Erwan nie przejął się wyznaczonym mu czasem, to wcale go nie przekroczył.

Zresztą prawdę mówiąc, to admirał odprawił go, kiedy wybiła godzina.

Bez słowa wyjechali windami na pokład, gdzie powitała ich deszczowa noc. Helikopter szykował się już do startu. Na lądowisku Erwan zauważył, że warunki pogodowe jeszcze się pogorszyły.

– Sztorm? – Archambault roześmiał się. – To tylko drobny deszczyk. – Nie pytając o zdanie, założył mu przez głowę kamizelkę ratunkową. – A mówiąc poważnie, tym razem będzie nami trzęsło.

Godzina dwudziesta pierwsza. W siedzibie Firefly Capital wciąż jeszcze rozbrzmiewały głosy traderów – wszystko przez różnicę czasu z Wall Street. Kiedy Loïc wybrał sobie za symbol świetlika, brzmiało to całkiem dobrze: był sam, maleńki, a chciał błyszczeć pośród giełdowej nocy. Dziś, gdy zatrudniał trzydziestu pracowników i zarządzał kapitałem wynoszącym ponad pięć miliardów dolarów, świetlik wyglądał raczej na ogromnego lśniącego robaka.

Wstał i zamknął drzwi – nie znosił atmosfery podniecenia panującej w salach sprzedaży. Ludzie tam porykiwali, pokrzykiwali, wymachiwali rękami, ale i tak nie podnosili tyłków z krzesel. W wielkim mieszkaniu z czasów haussmannowskiej przebudowy Paryża, zajmowanym przez jego firmę przy alei Matignon, Loïc wydzielił sobie pokój w kształcie łuku, dzięki temu bowiem czuł się tu jak na mostku dużego statku. Oczywiście to była tylko iluzja, ale w niektóre poranki dodawała mu energii.

Od godziny irytował się po rozmowie telefonicznej z ojcem. To była kolejna kłótnia, ale nie posunęli się za daleko. Morvan nie znał się na rynkach finansowych, a ktoś najwyraźniej przekazał mu wiadomość, której nie potrafił dokładnie zrozumieć: akcje Coltano zwyżkowały.

Loïc pamiętał czasy, kiedy on i jego koledzy nie spuszczała z oka niektórych walorów – w Nowym Jorku nie patrzyło się na mecz baseballowy, nie śledząc notowań CAC 40 czy Dow Jonesa. Dziś trzeba było wciąż patrzeć w monitor laptopa, śledząc kurs tych czy innych akcji. Ale on już od dawna tego nie robił i od paru dni nie śledził pozycji Coltano. Akcje faktycznie skoczyły o dwadzieścia procent, co musiało wynikać z dużych zakupów po wysokich cenach.

To było niezwykle, więc Loïc sceptycznie podchodził do sytuacji. W zasadzie Coltano nikogo nie interesowało, przemysł wydobywczy to nie najlepszy interes – wymaga poważnych inwestycji, kursy są zmienne, kraje niestabilne, straszna korupcja. Nigdy nie wiadomo, ile dokładnie zarabiają te zagubione w buszu firmy, zwłaszcza że i one nie stawiają na przejrystość.

Coś o tym wiedział, przecież to on przekształcił Coltano w firmę działającą w dużej części „na czarno”. Udało mu się zmylić ostatnie kontrole SEC (Securities and Exchange Commission) i AMF (władze rynków finansowych). W ubiegłym roku postarał się nawet, żeby inwestycje pochłonęły cały jawny zysk.

Strategia gry na dwa fronty.

Dzięki temu płacili niższe podatki, a przede wszystkim ukrywali fantastyczne zyski na przyszłość – ostatnie poszukiwania w terenie zaowocowały odkryciem bardzo obiecujących złóż. Ale te perspektywy należało utrzymać w tajemnicy, zwłaszcza że w biednych krajach coraz trudniej było zbić fortunę.

Jednak prawdziwym powodem takiej strategii było to, że ojciec – Loïc był o tym przekonany – chciał wystrychnąć kogoś na dudka. Stary powiedział jasno – nikt nie może nawet podejrzewać istnienia nowych złóż, nie należało zwracać uwagi na Coltano. Nie trzeba być Machiavellim, żeby odgadnąć, że planował po cichu eksploatować te złoża – za plecami kongijskich władz i współników. Cichy handel z Rwandą? A może coś innego?

Pomijając wrogie przejęcie – pomysł był absurdalny – gwałtowny skup akcji mógł oznaczać, że ktoś wie o nowej sytuacji i chce dostać swój kawałek tortu. Taki wzrost musiał zwrócić uwagę generałów i skłonić ich do zastanowienia się, dlaczego Coltano tak nagle zyskało na wartości.

Loïc nie dysponował wszystkimi danymi potrzebnymi do oceny sytuacji, był jednak pewny, że śmierć Nseko, historycznego dyrektora grupy i uśmiechniętego dyktatora, także odegrała pewną rolę, ale jaką? Czy Kongijczyk wiedział? Czy zaczął mówić? Kto właściwie go zamordował?

Rysując trupie główki w notesie, przypominał sobie genezę kompanii. Kiedy w roku 1971 ojciec aresztował Człowieka Gwoźdźcia, marszałek Mobutu w podzięcie przyznał mu koncesję na wydobywanie na terenach zasobnych w magnez. Morvan, który ani trochę się na tym nie znał, założył joint venture ze spółkami belgijskimi, francuskimi, luksemburskimi i kongijskimi, żeby rozpocząć wydobywanie na terenach, do których miał prawo.

Przez dwie dekady wydobywanie przebiegało bez problemów i Morvan, wykonując we Francji zawód policjanta, miał oko na swój majątek. U schyłku lat 90. wyprzedził bieg wydarzeń. Po pierwsze, wiedział, że wkrótce może zabraknąć Mobutu, więc kwestia przedłużenia koncesji stanie

pod znakiem zapytania, po drugie, pojawiło się coś o wiele cenniejszego do wydobywania z kongijskiej ziemi: koltan. Tego minerału zaczęto używać do produkcji elektronicznych elementów telefonów komórkowych i konsoli do gier wideo, tak wówczas popularnych. Zanim stary Lampart, chory i opuszczony przez wielkie mocarstwa, został nakłoniony do wycofania się, Morvan zmusił go do złożenia jeszcze jednego podpisu, którego moc potwierdziły parafy ministrów górnictwa, finansów i planowania – ludzi opłacanych przez gliniarza od dwudziestu pięciu lat (przy wsparciu Francji) i także wkrótce odsuniętych od władzy. Zezwolenie dotyczyło terenów obfitujących w koltan, który występował w Katandze, daleko od regionu Kiwu, gdzie znajdowała się większość innych złóż i gdzie po ludobójstwie w sąsiedniej Rwandzie połała się krew.

W roku 1998 Morvan założył Coltano, holding z siedzibą w Paryżu. Ten holding skupiał fundusze francuskie, luksemburskie i kongijskie. Generałowie musieli zaakceptować układ: wydobywanie oficjalnie prowadziła spółka zarejestrowana w Kongu, ale przetwarzaniem i dystrybucją zajmowały się spółki europejskie. Morvan mimo wszystko uważał swoją pozycję w tym biznesie za niepewną. Kilka lat później, aby się umocnić, zaproponował wprowadzenie Coltano na giełdę. Ta decyzja pozwoliła zarazem na zastrzyk nowego kapitału i na zaznaczenie jego obecności w zarządzie. Szybko też doprowadzono do zniknięcia Morvana z jednej ze spółek kongijskich.

Nadzorowane przez Loïca wejście na giełdę przebiegło dobrze, ale ojcu nie udało się zyskać tyle, ile chciał – aktualnie posiadał tylko szesnaście procent akcji, luksemburska firma Heemecht miała osiemnaście procent, Kongijczycy podzielili między siebie dwadzieścia osiem procent tego tortu. Pozostała część akcji znalazła się w posiadaniu wielu podmiotów, wśród których były zaangażowane na tym rynku firmy belgijskie, Francja, która wniosła technologie, oraz nieznaną część drobnych udziałowców, uważana za „płynną”.

Dziś Coltano było jedyną firmą eksploatującą koltan notowaną na giełdzie, a przy tym jedyną wyposażoną w tak nowoczesny sprzęt – w Kiwu zmuszano miejscowych rolników do kopania surowca łopatą lub motyką, w atmosferze brutalności i niewiarygodnego terroru. Dlatego Coltano prezentowało się interesująco, nie miało jednak możliwości kompensowania swoich słabych punktów. Loïc przejrzał analizy, które – choć tego nie ujawnił – sam przygotował, żeby zniechęcić potencjalnych kupców. Zmienne, niepewne

zyski, wyczerpujące się złoża, starzejący się sprzęt: wszystko odstraszało.

Podniósł słuchawkę.

Mark Cesby był analitykiem w Blackrock, najpotężniejszym zarządcy aktywów na świecie – dziesięć tysięcy jego „żołnierzy” pracowało, by kapitał w wysokości trzech i pół biliona dolarów przynosił oczekiwane zyski. Loïc poznał go, pracując na Wall Street. Anglik był specjalistą rynku wydobywania, olbrzymem z bokobrodami w stylu Joego Cockera, ekscentrykiem gustującym w brytyjskich tradycjach odzieżowych, a dokładniej – w kraciastych i tylko kraciastych tkaninach.

– Zauważyłeś wzrost Coltano? – zaczął bez zbędnych uprzejmości Loïc.

Dzwonił na prywatną komórkę kolegi, ponieważ wszystkie rozmowy prowadzone na liniach Blackrock były nagrywane.

– To niezrozumiałe – odparł Anglik.

– Tylko tyle masz mi do powiedzenia?

– Chłopie, przecież to twoja firma, więc raczej ty powinieneś mi to wyjaśnić.

Cesby pochodził z Liverpoolu i nie wyzbył się robotniczego akcentu.

– Dobrze wiesz, że to znacznie bardziej skomplikowane – mruknął Loïc. – Kto kupuje?

Analityk rzucił drwiąco:

– Chłopie, nie obraż się, ale naprawdę nie wiem, kto mógłby się tak napalić na tę twoją dziurę w lesie. Pominię już jej szefa, który dopiero co dał się zabić. Trudno nie myśleć o tym w kontekście rynków wschodzących – pomysł jest dobry, ale dopóki toczą się wojny, szaleje korupcja, sytuacja polityczna jest niestabilna...

Loïc znał tę śpiewkę na pamięć.

– Nie dochodziły cię żadne pogłoski o wrogim przejęciu?

– Może od razu o trzeciej wojnie światowej?

– Akcje drożeją. Nabywcy kupują mimo wzrostu.

– Chcesz mojej rady?

– Nie krępuj się.

– Skoro znajdują się wariaci skłonni inwestować w twoje kamienie, wykorzystaj to. Sprzedaj akcje jak najdrożej i przerzuć się na coś, co ma przyszłość. Coltano śpi tak mocno, że wydupczą was, zanim się ockniecie.

– Dzięki za radę. – Loïc roześmiał się.

Odłożył słuchawkę, uspokojony takim wizerunkiem firmy: to on tak

skutecznie go psuł. Ale teraz nie udało mu się odkryć tajemnicy. Popatrzył na zegarek – na Wall Street było popołudnie. Znow sięgnął po telefon.

Arnaud Condamine był traderem, czyli kupującym. Przetrwał kryzys roku 2008 i nadal cieszył się zaufaniem wielu funduszy instytucjonalnych. Był dziwnym facetem, zawsze młodzieńczym, zadziornym. W ciemnym garniturze wyglądał, jakby przywiązano go do krzesła. Pracował, jadł i prawdopodobnie spał przed terminalem Bloomberga.

Condamine inaczej niż Cesby odnosił się do sprawy Coltano. Podejrzanie zorganizowanego ataku nie wydawało mu się tak absurdalne.

– Macie problem – wasze akcje są za bardzo rozproszone, nie ma lidera, nie ma twardej linii... A śmierć Nseko osłabiła grupę.

– Nie wiesz, kto kupuje akcje?

– Skąd miałbym wiedzieć?

Oficjalnie nazwiska nabywców i zbywających akcje na rynku były informacją poufną. W rzeczywistości poważniejsze operacje były tajemnicą poliszynela, maklerzy, chcąc ożywić handel, bez wahania ujawniali nazwiska „nabywców-wizjonerów”.

– Zadzwoń do brokerów. Sprawdź, kto kupił i na czyje polecenie.

– W biznesie tak się nie postępuje.

– A ja wciągam tylko w Boże Narodzenie.

– Co będę z tego miał?

Loïc powiedział tajemniczym tonem:

– Nie pożałujesz.

– Oddzwonię.

Loïc splótł ręce na karku i jeszcze raz porównał swoje dwie hipotezy. Wrogie przejęcie zainicjonowane przez konkurencję o silnej pozycji na rynku wydobycia minerałów. Drobnicy cwaniacy, którzy wiedzieli o złożach i złamali obowiązującą ich tajemnicę.

Inwazja albo zdrada – trzeba wybrać.

Najpierw jednak pozwoli sobie na małą kreskę dla rozjaśnienia umysłu.

– Może zje pan kolację?

– Nie, dziękuję.

– W mesie na pewno zostało trochę dorsza po baskijsku i...

– Naprawdę nie trzeba.

Dwudziesta trzecia. Erwan żałował, że ofuknął Archambaulta, ale w drodze powrotnej myślał tylko o jednym: przeżyć. Nie miał pojęcia, że choroba morska może dopaść człowieka w powietrzu. Podmuchy wiatru targały dauphinem, w którym siedział, jak gałęzią gruszy, przez co jego wnętrzności również się trzęsły. Teraz rozkoszował się kontaktem z ziemią i to mu wystarczało. Przemarznięty do szpiku kości i przemoczony marzył tylko o tym, żeby zaszyć się w swoim pokoju.

– Proszę powiedzieć Verny'emu, żeby przyszedł do mnie za kwadrans.

– O tej porze? Obawiam...

– Jestem przekonany, że jeszcze pracuje.

– Tak jest, komendancie. Czy mam być obecny przy tej rozmowie?

Erwan zrezygnował już ze zwalczania wojskowego stylu – dał się ponieść nurtowi.

– Nie. Briefing jutro o ósmej trzydzieści w jadalni. Gdyby jednak dowiedział się pan czegokolwiek tej nocy, proszę dzwonić na komórkę.

Pożegnał się i odszedł w kierunku bloku po lewej, gdzie mieściły się pokoje. Wciąż jeszcze miał mdłości i skurcze żołądka. Wszedł na piętro i w przytłaczającej ciszy dotarł do pokoiku. Zza żadnych drzwi nie dobiegały dźwięki radia ani telewizora. Tylko krzyki mew chwilami zagłuszały drżenie szyb, w które uderzał wiatr. Było ponuro.

Kripo zaciekle pracował. Dwie drukarki wyrzucały z siebie kartkę po kartce. Jedna pluća danymi z kartotek, druga protokołami z przesłuchań. Na obu biurkach monitory wyświetlały całe godziny zarejestrowane przez kamery monitoringu. Kripo pracował na swoim laptopie, jednym okiem zerkając na monitory. Erwan domyślił się, że to zapisy wideo z ubiegłego tygodnia, przeglądane na wypadek, gdyby utrwaliło się wtedy coś ciekawego.

– Jadłem w mesie – rzucił, nie patrząc na Erwana. – Mieli świetnego

kurczaka.

– To był dorsz.

Alzarczyk pokiwał głową, jakby właśnie to powiedział. Erwan zastanawiał się czasami, jak równie roztargniony facet może być tak skrupulatny i precyzyjny w pracy. Kripo zdążył się przebrać – teraz miał na sobie skórzaną kamizelkę i koszulę jak z westernów, sztruksowe zielone spodnie i żółte crocsy.

– Chcesz, żebyśmy podsumowali to, co mamy?

Erwan bez słowa chwycił przybory toaletowe i zamknął się w łazience. Wskoczył pod prysznic i poczuł, że robi mu się trochę cieplej. Nareszcie odzyskiwał pełną władzę w rękach i nogach.

– Lepiej ci? – zapytał Kripo, kiedy wrócił do pokoju.

– Myślałem, że zdechnę w drodze powrotnej. Czułem się jak w jakiejś łupinie na pełnym morzu podczas sztormu.

– A admirał?

– Kręci. Co u ciebie?

– Drepczemy w miejscu. Sprawdzanie telefonów niewiele dało. Sprawdzamy też GPS-y samochodów z bazy i ruch na morzu w tym rejonie. Ani śladu podejrzanych jednostek.

Na jednym z ekranów elew, żołnierz świeżej daty, szedł równym krokiem przez lotnisko, ubrany w białą koszulkę i szorty tego samego koloru: poranne ćwiczenia.

– Informatyk się nie odzywał?

– Ciężko pracuje, Wissa się zabezpieczył. Jego twardy dysk nie podda się tak łatwo. Branellec obiecał mi, że do jutra rana się z tym upora. Zamierza też sprawdzić komputery innych elewów, żeby ustalić, kto się z kim łączył i jak organizowano ten weekend integracyjny.

– Ile czasu mu to zajmie?

– Co najmniej trzy dni.

Erwan pokiwał głową, ale bez przekonania.

– Ale mam i dobrą wiadomość – ciągnął Kripo – potwierdzono, że jutro rano udamy się na Sirling. Płetwonurkowie ze sprzętem już tu są. Wypływamy o świcie. Wszyscy na statek!

Erwanowi zrobiło się niedobrze na myśl o podróży morskiej – instynkt podpowiadał mu, że to będzie jeszcze gorsze od helikoptera.

Sięgnął po telefon i zadzwonił do Muriel Damasse – zostawiła mu trzy

wiadomości, kiedy był na lotniskowcu. Mimo późnej pory prokurator odebrała po dwóch sygnałach. Zaczęła jednak od połajanki za tak długie milczenie i brak współpracy, ale Erwan zamknął jej usta informacją o tym, że Wissa został zamordowany. Stosunek sił gwałtownie się odwrócił: prokurator niemal błagała, żeby podał jej choć kilka szczegółów na jutrzejszą konferencję prasową. Erwan obiecał, że zadzwoni przed wyjazdem na Sirling, ale nie wyobrażał sobie, czego mógłby się dowiedzieć nocą. Odsłuchiwał wiadomości ze skrzynki głosowej – to rodzice Wissy dzwonili do niego dwukrotnie. W tej chwili nie miał siły na starcie z nimi.

Zapukano do drzwi – Verny przyszedł złożyć raport. Od niepamiętnych czasów w regionie nikt nie został bestialsko zamordowany. Po okolicy nie krążył żaden zbiegły ze szpitala psychiatrycznego wariat ani wypuszczony na wolność zabójca. Nie było też żadnych informacji o skradzionej łodzi ani statku widmie na horyzoncie.

Przed wyjściem żandarm zadeklarował gotowość udziału w wyjeździe na Sirling. Erwan zrozumiał, że będzie mu towarzyszyć jego własna banda trojga: Le Guen, Archambault i Verny. W gruncie rzeczy zaczynał ich nawet lubić.

– Mam ci zrobić trochę miejsca? – zapytał Kripo, wskazując biurko.

– Dam sobie radę, dzięki.

Sięgnął po plik wydrukowanych przesłuchań i przekartkował kilka z nich, jak zwykł to robić w „36”. Nie miał siły czytać ich od deski do deski. Wolał się skupić na wsuniętych do przezroczystych kopert zdjęciach. Było na co popatrzeć, zwłaszcza przed snem.

Kripo już wybrał łóżko: pokrowiec jego lutni znaczył terytorium. Erwan położył się na tym wolnym. Włosy miał jeszcze wilgotne, ciało rozgrzane po kąpieli – odnajdywał tu poczucie bezpieczeństwa, jakie pamiętał z dzieciństwa, z tych wieczorów, kiedy kładł się po kąpieli, wiedząc, że ojciec pełni służbę w „36”.

Otworzył pierwszą kopertę: szczątki Wissy rozrzucone po piasku. Nasunęło mu się absurdalne skojarzenie – sławna replika z filmu *Wujkowie zabijacy*, którego współscenarzystą był Michel Audillard: „Ja mu pokażę, kim jest Raoul. Będą go znajdować w całym Paryżu, poszatowanego na kawałki, i niech sobie układają te puzzle”. Przetarł twarz ręką, żeby odpędzić te niestosowne słowa, i skoncentrował się. Układ szczątków wydawał się przypadkowy, rozrzuciła je siła eksplozji, a z ich wyglądu nic nie wynikało.

Druga koperta: dziura po uderzeniu pocisku. Wypalona trawa. Osmalony mech. Zazieleniony piach. Odłożył dokumenty i zerknął na Kripo, który nadal pracował – postanowił przesiedzieć całą noc. Erwan sięgnął do torby i wyjął opaskę na oczy.

I właśnie wtedy doznał olśnienia. Już wiedział, dlaczego twarz di Greca wydawała mu się znajoma.

Admirał był podobny do Siergieja Rachmaninowa, słynnego rosyjskiego pianisty i kompozytora. Jako nastolatek Erwan przeżył fazę fascynacji klasyką. Spędzał wówczas wieczory, słuchając koncertów i symfonii i czytając biografie kompozytorów. Rachmaninow należał do jego panteonu. Wstał i wziął swojego laptopa. Kripo podał mu kod dostępu do sieci wi-fi bazy i po kilku sekundach, wygodnie leżąc, Erwan oglądał portrety muzyka.

Nie pomylił się – to była taka sama, pociągła twarz, oczy pod ciężkimi powiekami, takie same czarne obwódki w oczodołach. Wybrał zdjęcia, na których widać było całą sylwetkę. I znów upewnił się, że miał rację – ci dwaj chudzi i wysocy jak tyczki mężczyźni wyszli z tej samej matrycy.

Pod wpływem impulsu Erwan przeczytał szybko notę, jaką poświęcono muzykowi w Wikipedii. Pianista poświęcił życie koncertom i komponowaniu, podróżując między Rosją a Stanami Zjednoczonymi. Erwana od lat fascynował ten postromantyczny geniusz, który jako kompozytor słynął z preferowania czarnych klawiszy fortepianu, co nadawało jego muzyce nieco orientalne brzmienie.

Po chwili Erwan odkrył szczegół, o którym nie wiedział: Rachmaninow miał olbrzymie dłonie, dzięki czemu mógł objąć tercdecymę. Prawdopodobnie był dotknięty chorobą genetyczną – zespołem Marfana. Jednym kliknięciem Erwan przerzucił się na artykuł o tej rzadkiej przypadłości, która atakuje przede wszystkim oczy, kości oraz serce i naczynia krwionośne. Zewnętrznymi objawami są nadmiernie rozrośnięte kończyny, deformacja szkieletu i uderzająco wydłużona twarz.

Czytając listę sław „najprawdopodobniej dotkniętych” tą chorobą, dowiedział się, że cierpieli na nią Niccolò Paganini, Abraham Lincoln, Joey Ramone z zespołu Ramones, Bradford Cox (wokalista zespołu Deerhunter), Javier Botet (hiszpański aktor znany z horrorów), a nawet Osama bin Laden. Wszystkich łączyło podobieństwo: jakby wydłużone rysy, melancholijne spojrzenie, ponadprzeciętny wzrost. Tworzyli klan, który przez stulecia niósł pewien atawizm, a badania genetyczne wykazały, że na zespół Marfana

cierpiała już dynastia Tutenchamona. Wystarczyło usunąć bandażę, żeby ujrzeć te pająkowane sylwetki.

Erwan pomyślał o di Grecu. Zespół Marfana nie ułatwiał mu kariery wojskowej, pamiętał też, jakie wrażenie zrobił na nim admirał – był wyniszczony, zmęczony, osłabiony.

Wznowił poszukiwania, tym razem koncentrując się na admirałach. Nie znalazł praktycznie nic. Kilka oficjalnych ceremonii, nadane odznaczenia. I tyle. Nie miał swojego hasła w Wikipedii. Nie figurował w *Who's Who*. Nie pisano o nim jako o wojskowym. Di Greco pozostawał człowiekiem zupełnie nieznanym. Chyba że wszystko, co go dotyczyło, zostało uznane za tajemnicę wojskową i zabroniono rozpowszechniania informacji o nim w internecie.

Erwan poprzestał na tym. Powieki same mu się zamykały. Wsunął się pod kołdrę, jakby chciał się ukryć, i jeszcze tylko pomyślał, że zapomniał o aparacie na zęby. Znowu będzie zgrzytał zębami przez sen.

Teraz miał wrażenie, że świat drga, jak niedawno w dauphinie, a on kołysze się na materacu. Kiedy zapadał w sen i przez głowę przemykały mu coraz bardziej niespójne myśli, nagle gdzieś w tle zobaczył admirała.

Był na pokładzie swojego zamku na wodzie, ale długimi rękami sięgał korytarzy K76. Gdy jego palce znalazły się zaledwie kilka centymetrów od twarzy Erwana, kości zaczęły mu gwałtownie rosnać i przebiły się przez skórę, żeby dosięgnąć celu.

Różowa była na lato. A biała na zimę. Kreska koki ciągnęła się po niskim stole i odbijała się w majestatycznym oknie salonu, idealnie pokrywając się z linią wieży Eiffla. Loïc mieszkał teraz przy alei Président-Wilson, kilka kroków od poprzedniego mieszkania przy placu Iéna, zajmowanym nadal przez Sofię i dzieci.

Zrobił sobie na zamówienie aluminiową słomkę o zaokrąglonych końcówkach, żeby nie kaleczyć nosa i nigdy się z nią nie rozstawał. Wciągnął proszek, ale nic nie poczuł. Pomyślał, że w tej porcji koki jest na pewno za mało koki, ale przyczyna mogła przecież być inna – to on za dużo się naćpał i był tak otępiały, że uodpornił się na wszelkie doznania.

Wstał i przeszedł do drugiego etapu: rzut oka na ekrany i terminale w gabinecie. Coltano dalej pięło się w górę. Cholera. Gdzieś na świecie kupowano i sprzedawano te pieprzone akcje. Ale kto to robił? Pomyślał o ojcu, który będzie go beształ, jakby miał na to jakikolwiek wpływ, podczas gdy przecież sam bał się tych kongijskich generałów. Najchętniej zapomniałby, że jest związany z całym tym bajzlem!

Przeszedł na strony Reutera, gdzie już pisano o alarmie wywołanym przez Coltano. W kilku linijkach relacjonował nominację generała Trésora Mumbanzy na prezesa spółki w Katandze. Wywodzący się z tego regionu i należący do ludu Luba, Mumbanza niewątpliwie miał mroczną przeszłość, ale tu podretuszowano jego portret. Kariera, doświadczenie, tytuły – wszystko cuchnęło fałszem. W rzeczywistości był to jeszcze jeden krwiożerczy generał, a do tego oszust, który z błogosławieństwem Kabili siedział pod butem Morvana. Stary mawiał, że wybiera dyrektorów jak de Gaulle prezydentów w Afryce: „Zaufani ludzie, którzy umieją przynajmniej czytać i pisać”.

Loïc wszedł do otwartej na pokój kuchni, żeby zrealizować etap trzeci: zaparzyć gwatemalską kawę, którą dostawał bezpośrednio z Antigui. Do jej przyrządzania używał sprzętów godnych pracy chirurga, a funkcję sali operacyjnej pełniła kuchnia w marmurach i stali, projekt Boffi. I znów

spotkało go rozczarowanie: cudowny nektar był kompletnie pozbawiony smaku. Loïc poczuł się jak po znieczuleniu. Ale kwas, który cofnął mu się aż do gardła, niemal natychmiast rozwiął te podejrzenia. Loïc doszedł do wniosku, że to może być wrzód. Przez skojarzenie pomyślał o Sofii. Przez całą noc przewracał się z boku na bok, i to nie z powodu Coltano, tylko przez Włoszkę.

Byt człowieczy jest jak odwrócony proces alchemiczny: nie przemienia się ołowiu w złoto, ale z uporem zamienia się złoto w ołów. Jak miłość do Sofii mogła przeistoczyć się w rwący strumień nienawiści?

Znów poczuł pieczenie. Uniósł koszulkę i pomasaował brzuch na wysokości splotu słonecznego. Musi pomyśleć o przebadaniu się. Rentgen. Kolonoskopia. Cokolwiek, byle znaleźć źródło dolegliwości i lek. Już wyobrażał sobie medykamenty, które odtworzą florę bakteryjną jego układu pokarmowego. Więcej proszku...

Z drugą filiżanką kawy w ręce usiadł na kanapie – meblu z pianki i skóry zaprojektowanym przez pewnego Włocha. Słońce w asyście gwardii chmur wynurzało się w dali niczym potężna armia, olśniewając złotem tarczy i ognistymi pikami, które wdzierały się pomiędzy rzeźby pałacu Tokio. Przypomniawszy sobie, jak będąc dzieckiem, patrzył na peplum na filmach z lat sześćdziesiątych, których tak dużo miał ojciec. Wtedy marzył, że zostanie herosem.

Ani myślał się rozwodzić. Nie dlatego, że kochał jeszcze Sofię, bo nienawidził jej ze wszystkich sił, ale dlatego, że oficjalne rozstanie oddaliłoby go od dzieci. Sofia bez trudu dowiodłaby przed sądem, że jest uzależniony, a wtedy widywałby Millę i Lorenza tylko raz w tygodniu. Może nawet nie pozwolono by im nocować u niego w weekendy.

Trzecia kawa. Prawie dziesięć lat obracał się w świecie pieniądza, gdzie niepodzielnie panowało poczucie siły, a teraz znalazł się na łasce tej dziwki. Uznał, że to odrażająco niesprawiedliwe. Że to kłóci się z jego oszałamiającą karierą.

Wszedł do biznesu po roku 2000.

Pod skrzydłami swego mentora, Jamesa Thurnee, właściciela potężnego funduszu hedgingowego, zaczynał jako analityk. Najpierw przez kilka miesięcy siedział, czytając wszystko, co wpadło mu w ręce, a dotyczyło tej dziedziny. Ostrożnie opracowywał pierwsze analizy, potem zaczął zamieszczać w nich rady, które okazywały się trafne. Zwrócił na siebie

uwagę środowiska. Zaczęto iść za jego intuicją. I zarabiać dzięki niemu pieniądze.

Wkrótce jego słowo nabrało mocy wyroczni.

Po dwóch latach zaczął mieć dość udzielania rad, skoro nie czerpał z tego korzyści. Thurnee powierzył mu „book” – dwieście milionów dolarów, którymi miał zarządzać. I wtedy Loïc znalazł się w samym centrum finansowej maszyny. Widział, jak pieniądź co dnia przynosi zyski, rozprasza się, traci na wartości. Zaczął mnożyć fortuny, zgarniając przy okazji swoich dwadzieścia procent premii. Podziękowania osobiste...

Chciał więcej, pragnął stworzyć własny fundusz hedgingowy. Thurnee dał mu nową niszę w ramach swojej firmy i polecił go najstarszym klientom. Te grube ryby dały mu kilka miliardów, żeby wyrósł na rekina.

I wyrósł.

Decydował się na zaskakujące inwestycje, interesował się niedoszacowanymi akcjami, firmami, które wyszły z mody. Szperał na dnie szuflad i wygrzebywał stamtąd prawdziwe perełki. Płynął pod prąd, nie słuchając pogłosek, lekceważąc mody, zawsze pozostając outsiderem.

A Thurnee obserwował go rozbawiony – wiedział, że Loïc ma pewien sekret. Ten chłopak przybył z piekielnej krainy, która go zahartowała. Poznał alkoholizm, heroinę, śmierć w odległych zakątkach Indii. Rynki, bez względu na to, o jak zawrotne sumy toczyła się gra, nie robiły już na nim wrażenia. A przede wszystkim, tak samo jak Thurnee, był buddystą (właśnie Anglik skłonił go do przyjęcia tej religii). W świecie, którego jedyną zasadą była zachłanność, on pozostał bezinteresowny, wolny od namiętności i od materializmu. Ten dystans często pozwalał mu dostrzec trafne kierunki, których nikt inny nie zauważał.

Loïc spojrział na zegarek: dochodziła ósma. Słońce zalało już jego salon. Zmarnował dwie godziny na bujanie w obłokach. Poderwał się z miejsca, wciągnął jeszcze jedną kreskę i wszedł do łazienki. Chłodny prysznic. Ekspresowe golenie. Garnitur. Otworzył drzwi, włączając telefon komórkowy i zatrzymał się w pół kroku na widok paczki pozostawionej na wycieraczce.

Szare kartonowe pudełko oklejone było kiepską taśmą.

Ostrożnie wziął je do ręki – na oko ważyło około kilograma – i cofnął się do mieszkania. Już sam fakt, że pudełko się tu znalazło, był podejrzany, ponieważ budynek był twierdzą, a dozorca przechowywał pocztę

i przekazywał ją lokatorom. Do głowy przychodziły mu ponure hipotezy. Bomba, obcięty palec. List z węglikiem.

Czuł organiczny zapach bijący od paczki, coś zwierzęcego. Pomyślał, że lepiej jej nie otwierać i zadzwonić do ojca, ale ciekawość wzięła górę nad ostrożnością. Wziął z kuchni nóż do sushi, delikatnie przeciął taśmę, otworzył pudełko.

Odskoczył, dławiąc krzyk: owinięty w kawałek gazety ogromny ozór, najeżony potłuczonym szkłem. Na dnie pudełka stała krew. Loïc uniósł język czubkiem noża. To był zwykły ozór kupiony u rzeźnika. Pod spodem zobaczył złożoną na ćwiartki kartkę w plastikowej torebce. Nie zwracając sobie głowy szukaniem rękawiczek, wyjął ją i rozłożył. Wiadomość napisana była wielkimi literami, brunatnym tuszem – może krwią.

ZKOŃCZ Z KĄBINACIAMI W KONGO
ALBO CIEBIE GO UTNIEMY

Osunął się na taboret w swojej amerykańskiej kuchni, przeczytał jeszcze raz i jeszcze wiele razy wiadomość i poczuł potworny ciężar w piersi. Strach przenikał każdą komórkę jego ciała, zaburzał metabolizm, zakłócał postrzeganie świata zewnętrznego. Chwytał powietrze jak ryba, serce waliło mu jak młot, zalewał się gorącym potem. Woń krwi uderzała mu do głowy, czuł, że świat wiruje.

Teraz, kiedy zrobił już prawie wszystko, czego nie powinien robić, pozostało mu tylko wybrać jeden jedyny właściwy numer.

Czarne morze. Niebieska trawa. Zielone skały. Olśniewający pejzaż rysował się w porannej mgle. Czarodziejski prymitywizm. Przybicie do brzegów Sirling było jak przejście na drugą stronę lustra.

Dotarli do wyspy od zachodu, za grzebieniem czarnego granitu, bo – jak twierdził Archambault, tylko tam można było bezpiecznie zakotwiczyć. Erwan pomyślał, że musi przysłać tu ekipę z kryminalistyki – Wissa i jego zabójca na pewno także zostawili łódź w tej zatoce i znalezienie tu śladów było niewykłuczone. Szedł za współpracownikami – Archambaultem, Vernym, Le Guenem, bo Kripo poleciał do Paryża i tym razem mu nie towarzyszył. Przeszli przez plażę, a potem wspięli się na wzniesienie, skąd pole widzenia wynosiło sto osiemdziesiąt stopni.

Liczne, ale niskie wzniesienia sprawiały, że wyspa przypominała pofałdowany, szaro-rudy dywan. Na pierwszym z nich granitowe skały sterczały niczym żebra gigantycznego szkieletu porośniętego gęstym zielonym futrem.

Andiamo. Erwan był w doskonałym humorze. Spał tej nocy jak kamień, potem spałaszował w mesie śniadanie, siedząc wśród milczących żołnierzy, i wypłynął na morze jak rybacy z powieści Henriego Quefféleca. Tym razem nie miał już takich mdłości, więc rozweselony szedł w ten zimny ranek, doceniając ciepło, jakie zapewniało mu ubranie.

Prawdę mówiąc, nie było jeszcze z czego się cieszyć. Noc nie przyniosła żadnych nowych ustaleń. Postanowił nie dzwonić do pani prokurator – niech żandarmeria i urzędnicy sami sobie radzą, niech to oni ciągną zapałki, żeby ustalić, kto kontaktuje się z Sawirisami. On nie liczył nawet, że na Sirling uda się znaleźć coś istotnego.

Pokonali drugie wzniesienie. Kołyszące się trzciny rzucały cień na oczka czarnej wody, która zdawała się pulsować niepokojącym blaskiem pośród posępnego, monochromatycznego krajobrazu tundry.

Trzecie wzniesienie odkryło przed nimi inny pejzaż, który buchnął kolorami jak sztuczne ognie. Różowe, białe i żółte krzewy falowały, oddając

pofałdowanie terenu. Wrzosowisko ścielące się plamami w różnych odcieniach fioletu emanowało tajemniczą, pozytywną siłą.

– Co pan tam robi? – zniecierpliwiał się Le Guen. – To się stało tam.

Erwan zrównał się z grupą. Minęli kolejny pagórek i ich oczom ukazał się teatr działań: setki metrów zabezpieczonych poletek, trzydziestu ludzi uwijających się między brunatnymi kałużami a szarym piachem. Technicy w białych kombinezonach skupili się przy wyrwie o średnicy około pięciu metrów. Nurkowie osuszali ją, manipulując ciężkimi rurami.

„Trwoni pan pieniądze podatników”. To były ostatnie słowa, jakie wypowiedział pod jego adresem pułkownik Vincq, kiedy opuszczali szkołę.

Jeden z techników przeszedł pod taśmą, żeby z nimi pomówić. Nosił czapkę, w której wyglądał jak Kozak. Thierry Neveux, analityk kryminalistyki.

– Udany rejs? – zapytał z ironicznym uśmiechem. – Podejdźmy do epicentrum wybuchu.

– Bez ochraniaczy na obuwiu?

– To bez znaczenia. Przez czterdzieści osiem godzin na wyspie spadło ponad dziesięć milimetrów deszczu na metr kwadratowy. W tym bajorze odciski stóp na pewno nie przetrwały, tym bardziej nie zachowały się ślady organiczne.

„Trwoni pan pieniądze podatników”.

Dotarli do jamy, do której schodzili nurkowie. Mężczyźni pozostający na powierzchni podawali sobie szczelne pudła z czarnego polipropylenu.

– Przywieźli tu radary i sondy. Eksplozja przeorała ziemię i może coś pogrzebała. Ale powtarzam, że nie oczekiwałbym cudu.

– Co może pan powiedzieć o pocisku, który spowodował takie zniszczenia?

– Niewiele, a powiedziano mi, że to tajemnica...

– Ja pytam, pan odpowiada.

Neveux uśmiechnął się pod nosem. Długie nauszники z karakułowego futra smagały jego twarz. Teraz przypominał dingo.

– Bombę aktywowała reakcja chemiczna redoks albo rozkładu. To wyglądało jak ognista kula. Wszystko obróciło się w proch i spłonęło. Ale żeby powiedzieć dokładnie, co...

Erwan wziął z jego ręki poczerńiały kawałek metalu:

– Czy pana zdaniem bomba zawierała okruchy metalu?

– Ma pan na myśli DIME¹⁷? Nie, nie sędzę. Tutaj brak kawałków metalu, a poza tym nie sędzę, żeby nasza armia eksperymentowała z taką bronią. Jej użycia zabrania konwencja genewska.

Erwan zapamiętał rozdarte ciało, kawałki żelaza pod skórą. Myślał, że to szrapnele. Co to było?

– Lekarz sądowy wyciągnął okruchy metalu, które wbiły się pod skórę. Przypuszczał, że użyto szrapneli. Mógłby je pan zidentyfikować? Stwierdzić, czy to odłamki broni białej, narzędzi tortur?

Neveux uniósł brwi – takiej wersji zdarzeń nikt mu nie przedstawiał. Ukrywając pewne fakty, Erwan powodował właściwie spowolnienie śledztwa.

– Uważa pan, że chłopaka zabito przed wybuchem? – zapytał analityk.

Erwan nie zdążył odpowiedzieć – nad ich głowami przeleciał rafale. Technicy i nurkowie odruchowo wtulili głowy w ramiona. To nie był hałas – nie w skali odbioru dźwięków przez człowieka – ale raczej wycie rozdzierającego się nieba. Rozerwanie najtwardszej materii, jaką można sobie wyobrazić – pierwotnej magmy. Jakby górę można było rozerwać równie łatwo jak kartkę papieru.

Myśliwiec już zniknął. Erwan obserwował ludzi: zamarli w osłupieniu. Odległy huk jeszcze unosił się w powietrzu, rozpływał we wszechświecie. A potem skondensował się w nowym ataku. Skryształizował się w świst – gigantyczna smuga miała lada chwila przeciąć powietrze – i narastał aż do ryku.

Tym razem Erwan nie spuścił oczu. Zobaczył czarny trójkąt, który ciął chmury. Białe smugi na jego skrzydłach przypominały zmrożone płomienie. Wyjące paszcze reaktorów pluły ogniem tak intensywnym, że można go było porównać tylko do słońca. Rozpalona masa parzyła oczy, choć była tak oddalona.

I nagle, choć od przyjazdu ze wzdargą patrzył na pilotów i mundurowych, nagle poczuł bezgraniczny podziw dla ludzi umiejących zapanować nad takimi maszynami i poskromić moce kosmosu. Byli demiurgami.

Huk ucichł, wiatr oczyścił powietrze. A zatem manewry rafale’i trwały w najlepsze. Nikt na „Charles’u de Gaulle’u” nie myślał o żałobie. Erwanowi stanęła przed oczyma wysoka sylwetka admirała di Greco – zapomniał ustalić, jakie dokładnie były jego funkcje na lotniskowcu.

Podeszli do leja. Na jego dnie ludzie w neoprenowych kombinezonach

wyglądali jak duże, tłuste foki. Jeden z nich właśnie wchodził po linie na górę.

Przedstawił się. Był dowódcą podwodnej grupy techników śledczych.

– Na razie znaleźliśmy to – powiedział krótko. – Kojarzy pan to z czymś?

Przedmiot spoczywał w zamykanej torbie foliowej. Między przejrzystymi fałdami Erwan zobaczył pierścień. Ujął torbę palcami i unióśł do światła. Był to sygnet z metalu – może ołowiu, a może wytartego srebra. Spojrzał na zdobiący go celtycki herb.

– To nam coś daje? – zapytał nurek.

Erwan w milczeniu przekazał znalezisko Neveux. Nagle zabrakło mu tchu w piersi. Poznał ten sygnet, nie miał najmniejszych wątpliwości.

Należał do jego ojca.

Kiedy Morvan przeczytał adresowany do Loïca list z pogrózkami, natychmiast pomyślał o Kombatantach – Kongijczykach, którzy na wygnaniu we Francji toczyli walkę z reżimem Kabili. Sabotowali paryskie koncerty muzyków, którzy popierali rząd w Kinszasie, obijali pyski kongijskim notablom, którzy przybywali z oficjalną wizytą, zalewali internet swoimi żądaniami i organizowali w rejonie Dworca Północnego i placu Inwalidów manifestacje, które nikogo nie obchodziły.

Dlaczego zaatakowali Loïca? Czy uważali go za poplecznika Kabili? Jego syn był tylko jednym z zarządzających Coltano i na razie nie miał żadnych udziałów w firmie. Co więcej, nigdy nie był w Kongu.

Czy śledzili kursy akcji? Czy odnotowali wzrost? Co jeszcze mogli z tego wydedukować? Że klika Kabili knuje coś z białymi i z Tutsi, by jeszcze brutalniej rabować ich ziemię? Morvanowi trudno było wyobrazić sobie tych cwaniaków śledzących notowania giełdowe. Większość mieszkała w cuchnących squatach 18 dzielnicy i nie mogłaby zainwestować złamanego euro.

Było jeszcze coś, co mu nie pasowało – to pełne błędów zdanie. To nie było w stylu Kombatantów, w większości intelektualistów i absolwentów Sorbony.

Zobaczmy.

Po wyjściu Loïca wziął prysznic, ubrał się i zbiegł po schodach, nie spotykając żony. Zabrał ze sobą pistolet i zamierzał nawet wziąć zapasowy magazynek, ale się powstrzymał. Wybierał się do Château-d'Eau, nie do OK Corral.

Teraz czekał w Radiu Katanga przy bulwarze Strasbourg. Woń niedopałków, obskurny korytarz, odrapane ściany. Od czasu do czasu mijali go czarni. Olbrzymy o nabiegłych krwią białkach oczu. Wdzięczne gazele w skórzanych kurtkach, jadające kebab zamiast pierwszego śniadania, które dla nich było kolacją. Nikt nie odezwał się do niego ani słowem. Nikt nie zatrzymał na nim spojrzeń. A przecież biały sześćdziesięciolatek o wadze

ponad stu kilogramów, ubrany w garnitur i krawat, mógł wzbudzić zdziwienie w tej czysto afrykańskiej stacji.

Morvan usiłował zachować spokój, raz po raz przypominał sobie na pół komiczny, na pół tragiczny obraz syna, gdy wszedł do niego z zakrwawionym pudełkiem pod pachą. „Powiem matce, żeby przyrządziła go nam na niedzielny obiad!”.

Loïc nawet się nie uśmiechnął. Morvan zwykł o nim mówić: „Brawura nie jest jego mocną stroną, odwaga to nie jego specjalność”.

Sprawdził: w sprawie Coltano Deplezains mówił prawdę, a Loïcowi nie udało się tego wyjaśnić. On sam miał pewne domysły, ale wolał nie brać ich pod uwagę. Wczorajszego wieczoru zadzwonił do Bizota – prezesa grupy w Paryżu, rozlazłego urzędnika, którego posadził na dyrektorskim stołku. Na wzmiankę o wzroście cen akcji usłyszał: „Cena sukcesu!”. Co za dureń! W dodatku zaproponował, żeby wysłać na miejsce prywatnych detektywów, którzy przeprowadziliby śledztwo w sprawie zabójstwa Nseko. Kolejna głupota. Morvan szybko powściągnął jego zapał. Słusznie czy nie, był przekonany, że śmierć Nseko nie miała nic wspólnego z nieoczekiwanym skokiem wartości akcji.

Potem zadzwonił do dyrekcji spółek wydobywczych w Lubumbashi. Byli to biali nieszczęśnicy, wyniszczeni do granic wytrzymałości przez ten kraj. Żaden nie potrafił podać mu sensownego powodu – wydobywanie w kopalniach prowadzono w stałym rytmie, nie rysowały się żadne nowe perspektywy. Próbował też na wszelki wypadek skontaktować się ze współpracownikami Nseko, ale uciekli, przerażeni śmiercią szefa, bojąc się kolejnych kroków Mumbanzy, od którego można było spodziewać się zaskakujących wyrazów wdzięczności.

I wreszcie, późno w nocy, Morvan bezskutecznie próbował połączyć się ze swoimi ludźmi w buszu na północy. Nie miał z nimi żadnego kontaktu od tego telefonu z Lubumbashi; czy to zły znak? Zaczął się zastanawiać, czy ta zagadka ma coś wspólnego z pogrózkami, jakie dostał Loïc. Nie, bredził. Nikt w Paryżu nie mógł wiedzieć, co dzieje się w strefie walk, w rejonie Ankoro. Nawet ludzie na miejscu.

Jakiś głos wyrwał go z zadumy. Wysoki czarny pochylił się nad nim i powiedział, że powiadomiono o jego przyjeździe Thomasa Luzeko, zwanego Wielką Gorączką, lidera Bana Kongo, jak inaczej nazywano Kombatantów. Prowadził tu kronikę, która kończyła się o dziewiątej rano, miał więc wkrótce

wyść ze studia.

Morvan od dawna znał tego Kongijczyka, egzaltowanego Lubę, który studiował w Brukseli i w Paryżu, a następnie wrócił, żeby robić bałagan w kraju. Obecnie nie wolno mu było przebywać w Kinszasie, więc spiskował w 10 dzielnic. Intelktualista, cytował Hobbesa i Marksa, nawołując do przemocy jako jedynej możliwej drogi.

Po chwili pojawiło się dwóch cerberów. Kazali mu wstać, zrewidowali go i zabrali broń. Powolne ruchy, otumanienie po trawce, widoczne zmęczenie – nocna zmiana wkrótce będzie mogła iść spać. Morvan szedł za nimi labiryntem pokoików, których szklane ścianki były brudne, a potem znalazł się w dużej sali, gdzie zgromadzono CD, sprzęt hi-fi i stare komputery – wszystko pokryte grubą warstwą kurzu. W głębi czekał na niego Wielka Gorączka ze skrętem w ręce, wyprężony w fotelu.

Czarny jak zwykle nosił usztywniający gorset, który zamykał jego ramionami niczym w klatce. Twierdził, że był torturowany przez policję Kabili i że miał złamany – albo złamane, to zależało od dnia – kręgi.

Morvan podszedł, przysunął sobie krzesło i usiadł na wprost niego. Czuł, że ta sala została „okadzona” konopiami.

– Czemu zawdzięczam ten zaszczyt?

Luzeko miał głos niski i gładki jak skóra od Hermèsa. Przy każdym jego słowie czuło się niezwykle staranne wykształcenie. Na stare dni Mobutu związał się z siostrami bliźniaczkami, a Luzeko był ich bratankiem. Nieżyczliwi mówili nawet, że jest nieślubnym synem jednej z nich. Chłopak dorastał w pałacu Lamparta i odebrał najlepsze wykształcenie, o jakim można marzyć.

Morvan wyjął z kieszeni kartkę.

– Przeczytaj.

Wielka Gorączka jak automat rozłożył kartkę. Uwielbiał grać kalekę. Przez kilka sekund skupił się na tych paru słowach.

– Co to znaczy?

– Że twoi ludzie powinni się nauczyć pisać.

Czarny wolno złożył kartkę i oddał ją Morvanowi.

– Dobrze wiesz, że to nie my.

– Mój syn dostał to gówno dziś rano, razem z wołowym ozorem nafaszerowanym szkłem. To groteskowe. Czyżby sławni Kombatanci postanowili dobierać się do finansistów systemu?

– Nie schlebiaj sobie. To zawsze było twoją słabostką – myślisz, że jesteś pępkiem Konga-Kinszasy. Wybacz, ale pozwolę sobie przypomnieć, że jesteś tylko intruzem, brudnym białasem, który grabi naszą ziemię. Jesteś...

Morvan energicznie wstał i pochylił się nad człowiekiem w gorsecie.

– Postanowiliście dokuczać reżimowi Kabili, nie przebierając w środkach dostępnych w Paryżu. Róbcie, co chcecie, każdy ma własne bagno. Ale jeżeli mojemu synowi spadnie włos z głowy, wyrwę was z tych squatów jak spróchniałe zęby i słuch o was zaginie.

Jego słowa nie zrobiły wrażenia na Wielkiej Gorączce. Wolno uniósł jointa do ust i zaciągnął się.

– Powtarzam, że nie mamy z tym nic wspólnego – powiedział, dmuchając mu dymem prosto w twarz. – Toczymy walkę polityczną i...

– Zamknij się. Jak wytłumaczysz, że pisząc po francusku, zamiast *Congo*, ktoś wybrał formę „Kongo”?

– Nie mamy monopolu na tę pisownię. Cała środkowa Afryka powołuje się na stare imperium. Przyszedłeś, żeby zadać mi pytanie, więc udzieliłem ci odpowiedzi. A teraz żegnaj, Morvan. Nie mogę ci pomóc, a ty nie możesz nam zaszkodzić.

– Tak myślisz? Kiwnijcie tylko palcem, a zapakuję was wszystkich do czarteru ku radości Vallsa. Co ty sobie wyobrazasz? Że możesz pieprzyć Francję jak sukę, a potem wytrzeć sobie fiuta w firankę?

– Teraz cię poznaję, Morvan, cóż za klasa!

Stary glina chwycił go za gorset.

– Wciąż ci się wydaje, że twoje gówno pachnie fiołkami! Zobaczymy, jak będziesz śpiewał we Fleury, kiedy przeleci cię banda pedałów.

Na ustach Luzeko majaczył uśmiech. Heroina w połączeniu z charakteryzującym go marzycielstwem pozwalały mu odsuwać od siebie wszelkie emocje. Wolno ujął Morvana za rękę i oswobodził się. Gliniarz zresztą wcale mu w tym nie przeszkadzał. Chętnie rozkwasiłby czarnemu nos, ale przypuszczał, że Luzeko jest uzbrojony.

Cofnął się w obłoku dymu i czekał.

Tamten, wciąż sztywny jak kołek, wsunął rękę do kieszeni marynarki. Morvan się wyprężył, ale Luzeko wyjął tylko telefon komórkowy i zaczął coś pisać.

– Uważasz, że to dobry moment na sprawdzenie poczty?

– Nie o to chodzi, kuzynie. Sprawdzam twoje szwajcarskie konta.

I rachunki twojego syna.

– Daj mi to!

Wyciągnął rękę, ale Luzeko zrobił unik. Trzeba przyznać, że jak na kalekę, poruszał się z zadziwiającą zręcznością.

– Myślisz, że nikt poza tobą nie gromadził dokumentacji, *tubab*¹⁸? – Uważnie przeczytał dane z ekranu. – Wiesz, że Loïc wciąż ma wspólne konto z żoną? Biorąc pod uwagę ich obecne stosunki, to niezbyt rozsądne.

Morvan zacisnął pięść.

– Ty pieprzony czarnuchu!

Powstrzymała go oksydowana lufa .45. Wielka Gorączka wycelował w niego.

– A teraz siadaj i uważnie słuchaj.

Morvan osunął się na krzesło.

– My nie ograniczamy się do obijania paru gąb na Dworcu Północnym. Mamy swoją siatkę, sprzymierzeńców, zdobywamy informacje. Sam nas tego nauczyłeś, Morvan.

– Dlaczego grozicie mojemu synowi?

– Powiedziałem ci już – to nie my. – Lewą ręką chwycił złożoną kartkę i wcisnął ją gliniarzowi w twarz. – Wołowy ozór? Liścik napisany przez głupiego czarnucha? Za kogo ty nas uważasz? Kiedy twój syn zawiany zdawał maturę, ja kończyłem drugi fakultet!

Morvan schował list, jakby skapitulował. Wstał i wygładził garnitur. Ale nie minęła sekunda, kiedy wymierzył cios w stylu *shomen uchi* w nadgarstek durnia, który puścił broń, nawet nie krzyknąwszy. Drugą ręką Morvan podniósł .45 z podłogi. *Nieźle jak na twój wiek.*

Teraz to on wyjął komórkę, nie puszczając Luzeko, który nawet nie próbował się bronić. Gliniarz podsunął mu wyświetlacz pod nos.

– I ja mam swoje informacje. I co, dupku, wiesz, co to jest? Zaproszenie z Międzynarodowego Trybunału Karnego. Uśmiechnij się! Otwierasz listę gości!

– Co?! Co ty opowiadasz?!

– Nikt nie zapomniał o twojej przeszłości w buszu.

– To kłamstwa!

Gliniarz puścił go i parsknął śmiechem.

– Wiesz, że kanibalizm dodaje wigoru seksualnego? Słowo daję, po tym, co tam zjadłeś, musisz mieć w lesie stadko bękartów.

– *Nquilé*, ty...

– Zamknij się. Jeżeli nie wypełnisz moich rozkazów, z wielką przyjemnością pojedę zeznawać w Hadze.

– Czego właściwie chcesz?

– Znajdź mi tych świrów, którzy podrzucili mojemu synowi te pogrożki, i postaraj się dowiedzieć, kto za tym stoi.

Cofnął się dwa kroki. Nie mógł wykluczyć, że Wielka Gorączka znów spróbuje zaatakować, ten jednak po prostu poprawiał gorset.

– Daję ci czterdzieści osiem godzin. Jedno moje słowo wystarczy, żeby twoje nazwisko zniknęło z tej listy.

– Mam do ciebie zadzwonić?

– Jasne, żeby wpakować mnie w ten syf. Pojawię się tu osobiście, by wysłuchać twego „szlachetnego słowa” – uprzedził, idąc w stronę drzwi.

Kiedy znalazł się już na ulicy, otarł twarz i kark chusteczkami. Garnitur cuchnął mu potem i marihuaną. Musiał wrócić do domu, żeby się przebrać.

Na bulwarze Strasbourg wszyscy byli już na miejscach, pracowali, skupieni przy wejściu do metra. Handlarze prochów, cały ten światek. Wielu było na pewno uzbrojonych, bo przecież ktoś mógł próbować ukraść im towar. Nierozzerwalna zależność między przetrwaniem a kasą, przemysłem a nieróbstwem, przemocą a radością życia. Pieprzone czarnuchy.... W głębi ducha Morvan jednak ich lubił.

Jednym ruchem zamknął telefon, który podsunął pod nos Luzece. To była lista promocji i przydziałów w policji. Nie prowadzono międzynarodowego śledztwa w sprawie Katangi. Nikomu nie zależało na wszczynaniu tam jakichkolwiek spraw. Wyłącznym priorytetem pozostawała eksploatacja kopalni.

Teraz, kiedy nabrał dystansu, pomyślał, że Luzeko prawdopodobnie też blefował. Te dane to pewnie ostatni rachunek z pralni.

Dwóch hersztów na jednej scenie. Dwóch tchórzów, którzy mieli sobie tyle do zarzucenia, że wystarczyło, żeby jeden pomachał telefonem, a ten drugi ze strachu robił w gacie. Żałosne.

W tym momencie telefon zaczął wibrować. Erwan.

– Co ty opowiadasz?

Erwan powtórzył: dziura po pocisku, poszukiwania, znaleziony sygnet. Przez telefon nie mógł nim cisnąć w ojca, ale jego głos mówił sam za siebie.

– Uspokój się – powiedział dobitnie Morvan. – Jesteś policjantem. Twoim zadaniem jest analiza faktów.

– Nie każdy policjant znajduje takie dowody na miejscu zbrodni.

– To nie mój sygnet.

– Pamiętaj, że dobrze go znam. Herb rodowy. Orzeł i liść paproci.

– Swój mam na palcu.

– Naprawdę? Zawsze twierdziłeś, że istnieje tylko jeden taki. To znak naszego klanu!

– Kłamałem.

Erwan zamilkł. Nie ma tego złego, co nie wyszłoby na dobre. Tajemnica się wydała.

– To podróbka – przyznał się Morvan. – Szpargał, który można kupić na każdym targu w Finistère i Côtes-d’Armor.

– Dlaczego opowiadałeś nam tę historyjkę?

Erwan już się uspokoił – lepsze kłamstwo niż morderstwo.

– Bo drwiliście sobie ze swoich korzeni. Myślałem, że dzięki temu drobiazgowi uwiarygodnię nasze bretońskie pochodzenie.

Erwan rzucił ironicznym tonem:

– Chcesz powiedzieć, że dynastia Morvanów-Coätquenów nie istnieje?

– Istnieje, ale nigdy nie byliśmy rodem arystokratycznym, tylko prostymi rybakami. Co nie przeszkodziło nam uczestniczyć w szuanerii.

– Dlaczego miałbym ci uwierzyć teraz, skoro okłamujesz mnie, odkąd przyszedłem na świat?

– Powtarzam: mam ten sygnet na palcu. Możesz sprawdzić w internecie albo u któregośkolwiek sprzedawcy pamiątek – wszędzie takie mają. Kupiłem go, kiedy urodziła się Gaëlle, w latach osiemdziesiątych.

– Nie wierzę w przypadki.

– Twoją rolą nie jest wierzyć, ale znajdować. Przeprowadzisz badanie

DNA?

Morvan już się pokajał, teraz znów stał się władczy.

– Nie ma sensu. Wyciągnięto go z błota. Poza tym wszędzie była krew tego biedaka. Niczego się tam nie da znaleźć.

– Nie odzywałeś się. Czyli wypadku podczas otrzęsin nie da się obronić?

– Nazwałbym to raczej linczem. Wissa Sawiris został zamordowany. Torturowano go. Zmarł, zanim wybuchł ten pocisk.

– Co jeszcze ustaliłeś?

Erwan mógł mu przedstawić tylko domysły: student, nad którym pastwiono się na terenie szkoły, przeniesienie zwłok do bunkra przez jednego albo kilku sprawców.

– A podejrzani?

– Elewowie z Kaerverec. Albo ktoś, komu kompletnie odbiło, albo taki, który musiał się pozbyć niewygodnego świadka.

– Czego mógł być świadkiem? Czyżby to było morderstwo z premedytacją?

– Wszystko możliwe. Nie wykluczam zresztą, że zabójcą jest ktoś z zewnątrz, kto znalazł się tam przypadkiem. Coś w stylu Francisa Heaulme'a¹⁹.

– Poruszasz się po omacku.

Erwan nie odpowiedział, teraz musiał przede wszystkim wyjaśnić zagadkę sygnetu.

– Przygotowałeś raport wstępny? – podjął ojciec.

– Jeszcze nie, ale to nie zajmie mi dużo czasu.

– A konferencja prasowa?

– Dziś to niemożliwe, nie mamy czego rzucić na żer.

– Chcę mieć dziś wieczorem szczegółowy raport. Prześlij go mailem. Prokuratorowi nie dawaj niczego, z czym się nie zapoznam. A konferencja prasowa jutro rano. Najpóźniej jutro rano, bez względu na postępy śledztwa.

Erwan chciał zaoponować, ale w gruncie rzeczy stary miał rację – nie można było dłużej zwlekać. Rozłączył się i skupił na otaczającym go krajobrazie.

Zakotwiczyli na przystani, gdzie cumowały łodzie ze szkoły. Pomost tworzył zwyczajny ponton, przytulony do trzciny, pokryty glonami, i stare pale. Erwan oddalił się od techników, żeby zadzwonić do ojca – na Sirling praktycznie nie było zasięgu. Archambault spłukiwał pokład zodiaca. Verny

i Le Guen pomagali technikom w noszeniu sprzętu. Wyglądało to trochę jak powrót dzieciaków z kolonii.

Przeszedł kilka kroków w stronę morza i zobaczył turystyczną część wybrzeża z uroczymi białymi domami o niebieskich okiennicach. Przy każdym z tych domów kwitły bujne hortensje. Jak to możliwe, żeby przy tylu potencjalnych świadkach nikt „nic nie widział ani nie słyszał”?

Nie wierzył w ani jedno słowo, jakie padło, kiedy stary mu się tłumaczył, ale jego podejrzenia też nie miały sensu. Gdyby Morvan z jakichś niepojętych powodów był zamieszany w to morderstwo, nigdy nie zostawiłby na miejscu zbrodni rzeczy tak osobistej. A gdyby nawet, to zauważywszy jej brak, nie powierzyłby sprawy synowi. Czyżby ktoś próbował go zrobić? A może to po prostu taki sam sygnet, może ojciec ma rację?

Erwan poszedł na plażę, zdjął buty i poczuł pod stopami wilgotny piasek. Był odpływ i kilka statków osiadło na mieliźnie. Ten smutny widok przypominał o charakterze krainy: statki nie mogły tylko pływać po morzu, a ludzie chodzić po piasku – statki i ludzi łączyła głęboka więź. Była to jedność, pradawna przynależność do bretońskiej ziemi.

Przejrzał wiadomości. Muriel Damasse, Vincq, rodzice Wissy. Nie chciał już żadnych kontaktów, musiał skupić się wyłącznie na śledztwie.

Dotarł do zatoczki otoczonej piniami i cyprysami. Gromadziło się w niej wszystko, co wyrzucała woda: kawałki lin, plastik, drewno.

Znów zadzwonił telefon. Na wszelki wypadek zerknął na ekran. To lekarz sądowy, Clemente.

– Mam coś.

– A dokładniej?

– Chodzi o rany.

Erwan obserwował z daleka swoich kolegów, którzy wracali do samochodów. Kuferki i walizki zniknęły w bagażnikach.

– Zbadałem najlepiej zachowane szczątki – ciągnął Clemente. – Chciałem przeanalizować tkanki, rany, krwawienie. To przerażające, rany są dosłownie wszędzie. Większość zadano bronią białą, szpikulcami, ostrzami.

– Znalazł pan odłamki?

– W niektórych ranach tak.

– Udało się je panu zidentyfikować?

– Nie. W wysokiej temperaturze metal się stopił.

– Proszę przekazać materiał do badania panu Neveux, analitykowi

z laboratorium kryminalistyki. Co jeszcze?

– Potwierdzam, że tych bestialskich czynów dopuszczono się, kiedy chłopak jeszcze żył. Zaszokowała mnie przede wszystkim twarz, bo morderca się nad nią pastwił. Wydaje się, że używał ostro zakończonych narzędzi, może śrubokrętu albo czegoś podobnego, i przebijał ofierze policzki i dziąsła. Skupisko ran kłutych jest także na ramieniu.

Erwan czuł, jak zimno bijące od piasku, w którym zapadały się jego stopy, przenika coraz wyżej. Właśnie wtedy słońce przedarło się przez gęste chmury i zalało zatokę. Skały mieniły się w jego blasku, a igły sosen rozbłysły kropelkami wody i żywicy.

– Zdążył pan zbadać inne szczątki?

– Część jamy brzusznej. Wewnątrz znalazłem trochę dobrze zachowanych tkanek, więc mogłem wykonać dokładniejsze badania analityczne. Pobrano od niego narządy.

– Co?

– Zauważyłem bardzo precyzyjne cięcia nerwów, ścięgien. Ten, kto to zrobił, użył specjalistycznych narzędzi.

– Skalpel?

– Coś w tym rodzaju.

– Morderca jest lekarzem?

– Z pewnością dobrze zna anatomię. Ale nie potrafię określić, czy ukończył studia i praktykował przez wiele lat, czy był pielęgniarzem na froncie.

– Dlaczego na froncie?

– Tak mi się powiedziało. To ta wojskowa atmosfera.

Trzasnęły drzwi samochodów. Erwan odwrócił głowę. Wszyscy już powiadali. Prawie widział za szybami ich zwrócone na niego oczy. Skinął ręką, prosząc, żeby jeszcze chwilę poczekali.

– Jakie narządy zniknęły?

– Trudno ustalić to z całą pewnością. Wątroba, pęcherz, prostata. Niżej obrażenia były zbyt poważne, żeby powiedzieć coś bliższego, ale przypuszczam, że usunięto narządy płciowe. To pasowałyby do reszty.

– Jakiej reszty?

– Został zgwałcony.

– Skąd pan to wie, skoro ta część zwłok jest najbardziej zmasakrowana?

– Nie z tyłu. Przepraszam za te szczegóły, ale okolica odbytu nosi ślady

licznych obrażeń. Sądząc po wewnętrznych ścianach odbytnicy i zwieracach, Wissa został zgwałcony w sposób wyjątkowo brutalny.

– Za życia?

– Na pewno – tkanki krwawiły.

Erwan powracał na znane sobie terytorium: przemoc seksualna, śmierć jako substytut miłości, porażające bestialstwo człowieka.

– Znalazł pan spermę?

– Nie. Nie doszło do ejakulacji. Użyto jakiegoś narzędzia, instrumentu. Niektóre nacięcia na pośladkach wskazują na użycie narzędzia o wielu ostrzach, ewentualnie nabitego gwoździami. To mogło być coś w rodzaju średniowiecznych buław, które czasami miały bardzo ostre skrzydełka.

Wiedza medyczna, wycięcie narządów, narzędzia jak z horroru: scenariusz linczu, którego nikt nie planował, stawał się coraz mniej prawdopodobny. Witamy w świecie psychopatycznych morderców. Erwan pomyślał o rodzicach Wissy, którzy na pewno poproszą o protokół z sekcji.

Zwracając się do lekarza sądowego, skupił się na chirurgicznych aspektach zbrodni, nieprzystających do jej chaotycznego bestialstwa.

– W jakim celu sprawca mógłby pobrać te narządy? Na przykład do przeszczepu?

– Nie. Wszystko wskazuje, że nie zadbano o aseptykę, a nawet elementarną czystość, co byłoby konieczne, gdyby ten... materiał miał być wykorzystany do przeszczepu. Myślę raczej, że sprawca zabrał narządy do swojej kolekcji. Takie typki potrafią co wieczór onanizować się przy słoju pełnym szczątków.

Clemente znów stawał się cyniczny, ale w jego głosie wyczuwało się znużenie – nic nie męczy tak, jak bestialstwo ludzi.

Słońce schowało się za chmurami. Na plażę padał cień barwy ołowiu i ciążył na każdym szczególe. Wydawało się, że przyrodzie trudno oddychać.

– Czy może pan to napisać i przesłać mi mailem?

– Jeszcze nie skończyłem.

– Sądzi pan, że uda się jeszcze coś ustalić?

– Odpowiem jutro rano.

– Gdyby cokolwiek pan znalazł, proszę dzwonić nawet w środku nocy.

Wykonał pan świetną robotę.

– W pewnych wypadkach człowiek wolałby za bardzo się nie zagłębiać.

– Proszę nie zapomnieć o wysłaniu kawałków metalu Neveux.

Erwan schował telefon i podbiegł do samochodów. Znow zaczynało padać.

– Dzwoniła prokurator – powiedział Archambault. – Chciałaby, żeby...

– Później. Zawraca mi głowę.

Żandarm ruszył, rezygnując z dalszych prób przekazania wiadomości. Widoczność nie przekraczała trzech metrów. Ciężkie krople uderzały w szybę jak bomby wodne. Ta oślepiająca ulewa współgrała z nastrojem Erwana, który nie był w stanie sformułować jednej klarownej myśli. Dopiero po chwili zorientował się, że Archambault coś mówi.

– Co?

– Philippe Almeida czeka na pana w bazie.

– A kto to jest?

– To lekarz z Kaerverec, chciał się pan z nim spotkać.

– Tak, oczywiście. – Zupełnie o tym zapomniał. – Ale nie w szkole.

– A gdzie?

– Na „Narvalu”.

– Na wraku?

Erwan powiedział to bez zastanowienia. Chciał upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu – przesłuchać konowalę i obejrzeć ważne miejsce, scenerię *no limit*. Nie wierzył już, że otrzęsinowa próba okazała się tragiczna w skutkach, ale wrak mimo wszystko był miejscem sprzyjającym oprawcom.

– Za kwadrans.

Tyka sięgnął po telefon i spojrział w lusterko wsteczne. Za nimi jechali Le Guen i Verny, a dalej samochody techników i nurków.

– Co mam powiedzieć reszcie zespołu?

– Pracujemy dalej.

„Narval” wbił się w piach jak pokryty rdzą sztylet. Tylko część górnego pokładu wyłaniała się pod kątem dwudziestu, trzydziestu stopni.

Idąc po plaży, Erwan przypatrywał się bestii. Zwodowany w latach sześćdziesiątych statek miał około stu metrów długości. Za swoich najlepszych czasów ta jednostka „zwiadowczo-eskortująca”, jak zaznaczył Archambault, musiała być perłą w koronie marynarki – służyła do walki z okrętami podwodnymi. Dziś to już tylko stara, bezwartościowa skorupa. Ani jedno działo, ani żadne wyposażenie nie zachowało się na wraku, który wyglądał jak przerośnięta kolba kukurydzy w barwach jesieni. Najbardziej zdumiewało jednak, że pozostawiono go tu niczym pierwszy lepszy kamień na morskim cmentarzu.

Archambault uprzedził Erwana, że zbliża się przypływ i za półtorej godziny statek znajdzie się pod wodą.

Szukając wejścia, Erwan zauważył odciski stóp. Zabawił się w Tomcia Palucha i poszedł ich śladem aż do otworu w kadłubie: jama była do połowy wypełniona piachem. Wsunął się do stalowego brzucha, włączając latarkę, którą podał mu Archambault. Natychmiast osaczyły go błyszczące, przeżarte przez sól rury.

– Almeida?

Brnął w piachu i wodzie, wyprzedzany przez smugę światła. Woda stała na dnie i kołysała się, jakby pamiętała fale poprzedniego przypływu.

Erwan kierował smugę światła na zanurzone nogi – przechylenie statku czyniło ryzykownym każdy krok. Konstrukcje wokół niego wyglądały jak trawione przez straszliwą chorobę. Ściany, rury, włazy – wszystko było naznaczone trądem, straszliwie owrzodziałe, boleśnie poparzone.

– Almeida?

Ślady kroków mógł zostawić ktoś inny, kto zapuścił się tu wczesnym rankiem. Wszedł do kolejnego pomieszczenia. Usłyszał cichy śmiech strużek wody, pomruk większych szczelin, kapanie kropelek wpadających do kałuży.

Drabina. Droga do kajut albo na mostek kapitański. Wziąwszy latarkę do ust, Erwan chwycił się poręczy i wszedł na wyższy poziom. Przecisnął się

przez okrągły otwór, przypominając sobie wszystkie filmy o okrętach podwodnych, gdzie bohaterowie wciąż wsuwają się w takie studnie, zamykając za sobą luki.

– Almeida?

Jego głos ginął w plusku. Oświetlając ciemne wnętrza, wszędzie widział tylko zamknięte drzwi. Wreszcie znalazł nad głową otwór z resztkami zawiasów. I znów musiał się wspinać.

Pomieszczenie musiało być stanowiskiem strzeleckim albo komorą torpedową. Długie oszalowania, stojaki na broń. Przez okrągłe okienka przedostawało się szare światło pocętkowane kroplami deszczu. W tym pomieszczeniu trwała fascynująca gra światła i mroku, ruchliwa jak dno akwarium.

– Jestem tutaj.

Erwan zmrużył oczy i dostrzegł cień siedzący za przerdzewiałymi rurami. Szedł, kołysząc się na boki, opierając się i chwytając, czego się dało, byle tylko nie upaść.

Siedzący na metalowej płycie wąsaty lekarz był podobny do muzyka z lat siedemdziesiątych, Nicka Masona, perkusisty Pink Floydów. Miał około pięćdziesiątki, długie włosy i wyglądał jak pokonany wiking.

– Dlaczego wybrał pan to miejsce?

Nie krył agresji, ale przynajmniej oszczędził Erwanowi zbędnych wstępów. Policjant znalazł rurę, na której można było usiąść.

– Myślę, że to miejsce ma coś wspólnego z morderstwem Wissy Sawirisa.

– To morderstwo?

– Nic pan nie wie?

Lekarz spuścił głowę na znak uznania i zmierzwił sobie włosy.

– Nie traćmy czasu, niech mi pan powie, co pan wie – podjął Erwan.

– Nic nie wiem.

Nie najlepszy początek ważnego przesłuchania.

– Był pan przecież w ten weekend lekarzem dyżurnym K76?

– Owszem.

– Czy ktoś kontaktował się z panem w piątek późnym popołudniem albo w sobotę o świcie?

– Nie.

– A w sobotę rano, po zaginięciu Wissy?

– Też nie. Znaleźli szczątki na Sirling i przewieźli je prosto do Cavale

blanche.

– Po raz pierwszy pełnił pan dyżur w czasie otrzęsin?

– Nie. Opiekuję się jednostką od dziesięciu lat. Ze względu na cięcia budżetowe. A przede wszystkim dlatego że taka sytuacja pozwala wojskowym mieć czyste ręce.

– Co pan ma na myśli?

– Niektóre raporty mogłyby być dla nich kłopotliwe – wolą ich nie sporządzać i nie mieć w archiwum. – Almeida odrzucił włosy do tyłu i wtedy Erwan zauważył kolczyk w jego lewym uchu. – Niech pan przestanie kluczyć i powie wprost, co chce pan wiedzieć?

– Słyszał pan o *no limit*?

– Tak.

– Zdarzyło się panu leczyć obrażenia doznane podczas tych prób?

– Tak.

– Jakiego typu były to rany?

– Rozcięcia. Oparzenia.

Erwan miał szczęście: Almeida nie chował się za pustymi formułami. Mówił rzeczowo.

– Co pan pisze w zaświadczeniach lekarskich?

– Muszę wykazać się bujną wyobraźnią.

– Dlaczego nie podaje pan faktów?

– Prawda nikomu na nic by się nie przydała. Elewowie i tak wszystkiemu by zaprzeczyli, a ja byłbym jedynym świadkiem oskarżenia.

– Czy zdarza się panu leczyć elewów w ciągu roku?

– Oczywiście. *No limit* trwa przez cały rok. Próby, czyli właśnie zadawanie sobie ran, stanowią element szkolenia w K76 przez dwa lata. Są w programie tak samo jak sport i marsze.

– Chorzy elewowie leczą się u pana?

– Nie mają wyboru. W szpitalu żądano by od nich wyjaśnień, lekarze pisaliby raporty. Zresztą większość tych ran goi się bez leczenia.

– Dlaczego pańskim zdaniem żaden się nie buntuje?

– Zachowują się, jakby ktoś rzucił na nich urok.

– Kto?

– W Afryce mówi się, że ryba psuje się od głowy. Są uwarunkowani przez di Greca. Tutaj przeżywa się go Chorym Wielkoludem.

– Bo jest stuknięty?

– Dlatego że cierpi na chorobę genetyczną, która deformuje kości.

– Zespół Marfana?

Nick Mason kiwał głową, jakby wyznaczał rytm nowego kawałka:

– A jednak sporo pan już wie.

– Czy di Greco nadal jest zdolny dowodzić?

– Dwa lata temu odsunięto go na boczny tor. Nie dostaje żadnych zadań, nie ponosi za nic odpowiedzialności. Jest na pół ślepy, porusza się z trudem. W roku dwa tysiące dziesiątym choroba gwałtownie się nasiliła. To wrak człowieka.

– Jak udało mu się zrobić karierę w wojsku z taką przypadłością?

– De Gaulle także cierpiał na zespół Marfana i to wcale mu nie przeszkadzało.

Wzmianka o generale stworzyła wymarzoną okazję, by przejść do następnego pytania.

– Co di Greco robi na lotniskowcu?

– Pełni honorowe funkcje, wykonuje prestiżowe zadania. Jego obecność na tej jednostce świadczy o pewnej pobłażliwości wobec zasłużonego żołnierza.

– Czego dokonał?

– Nie mam pojęcia, ale moim zdaniem postanowił umrzeć na statku.

Di Greco najprawdopodobniej miał przed sobą zaledwie kilka lat życia. Żeby się czymś zająć, a przy okazji zemścić na losie, ten dewiant wciągnął elewów K76 w spiralę okrucieństwa.

– Leczył go pan kiedyś?

– Nikomu nie pozwala się do siebie zbliżyć. Nie godzi się na żadne badania lekarskie.

– Dlaczego?

– Słyszałem pewne plotki. Ludzie mówią, że kiedyś robiono mu w Cavale blanche tomografię komputerową. Maszyna o mało nie eksplodowała z powodu metalu, jaki jest w jego ciele.

– Ma pan na myśli protezy?

– Nie, igły. W jego ciele tkwią dziesiątki igieł. On też wie, co znaczy *no limit*. Ten facet nie przestaje się umartwiać.

– Jak fanatyczny kapłan?

– Można to tak ująć. Armia to jego religia, jego bogiem jest zło.

Medyk lubował się w emfazie, ale Erwan zrozumiał jego myśl. To, co usłyszał, skojarzył z igłami znalezionymi w ciele Wissy. Czy robił to samo

co jego przełożony? Nie, Clemente mówił o odłamkach broni białej, która miała okaleczać i zabić.

– Przyjeżdża jeszcze do Kaerverec?

– Czasami. Ponoć organizuje potajemne nocne spotkania ze swoimi uczniami.

– Gdzie?

– Tu. Na „Narvalu”.

A zatem wrak służył nie tylko jako sceneria *no limit*, ale i Góra Oliwna guru szkoły. Ta przeżarta rdzą katedra tworzyła idealną scenerię dla tego rodzaju gier.

– A jaką głosi... filozofię?

– Nigdy nie byłem świadkiem jego mów, ale studenci czasem mi o tym opowiadają. Jego wielka wizja opiera się na starożytnym pojęciu *furor* wojowników.

– Co to takiego?

– W greckich poematach epickich żołnierze wpadają w swoisty trans, który czyni ich niepokonanymi, ale są też poza wszelką kontrolą. Zapach krwi daje im boską siłę. Di Greco chce kontrolować ten trans. Chce, żeby jego żołnierze stali się waleczni, jak w stanie *furor*, ale pozostawali pod jego kontrolą.

– Ale przecież mówimy o pilotach?

– Pilotach, marynarzach, żołnierzach piechoty morskiej, to nieważne, bo liczy się przede wszystkim siła psychiczna. Chodzi o ludzi o spotęgowanej wytrzymałości.

– Nigdy nie radził im pan, żeby meldowali o tym zwierzchnikom?

– Powtarzam: to nie miałyby sensu. Oficerowie przymknęliby na wszystko oko, a ci chłopcy wylecieliby ze szkoły.

– Ale mogliby przynajmniej przeciwstawić się tym, którzy ich dręczyli.

Almeida dudnił placami w pokrywę beczki. Teraz jeszcze bardziej przypominał Nicka Masona.

– Nie rozumie pan. Najczęściej to oni sami się okaleczają. Przecież nikt nie zadba o człowieka tak dobrze, jak on sam.

Erwan czuł się nieswojo od pierwszych chwil w K76. To, czego się dowiadywał, uzasadniało jego niepokój: di Greco formował tu nowy rodzaj wojowników, którzy nie bali się ani bólu, ani śmierci. Może nawet czerpali swoistą przyjemność z ocierania się o niebezpieczeństwo i cierpienie. Czy

Wissa padł ofiarą tego szaleństwa?

– Dlaczego mi pan o tym wszystkim mówi?

– Bo te draństwa trwają już zbyt długo. Śmierć chłopaka to o jeden „wypadek” za dużo.

– Co tu pańskim zdaniem się wydarzyło?

– Nie mam pojęcia, ale piątkowa noc była prawdziwą *Walpurgisnacht*.

– Sądzi pan, że inni też byli torturowani?

Wiking wstał.

– Chodźmy. Zaczyna się przypływ.

Erwan nie ruszył się z miejsca.

– Proszę powiedzieć, co pan o tym myśli.

– Di Greco rozjuszył ich tak, jak rozjusza się psa, głodząc go albo bijąc.

Odegrali się na tym dzieciaku.

– Czy wśród elewów jest ktoś, kto ma wiedzę medyczną?

– Nie.

– A Lis cechujący się szczególnym sadyzmem?

– Nie potrafię powiedzieć.

– Byłby pan skłonny zeznawać przed sądem?

– Jakim?

– Sądem przysięgłych. Sądem wojskowym. Dla każdego znajdzie się praca.

Almeida zniknął w luku. Jego głos dobiegał jak ze studni:

– Nie ma problemu. Mam już tego dość.

Loïc wciąż jeszcze nie otrząsnął się po tym numerze z ozorem.

O piętnastej wyszedł z gabinetu doktora Lavigne’a na oddziale psychiatrii dorosłych w szpitalu Saint-Maurice. Na próżno starał się tego dnia pracować. Nieustannie trawił go strach. Rano wymiotował, wciągnął kilka dawek, połknął garść środków uspokajających. Ale to nic nie pomogło. Przy obiedzie, w obecności ważnych szkockich inwestorów, mobilizował siły, żeby jakoś wytrwać, ale w końcu zaczął się dusić, widział falujące ściany, wykrzywione w szyderczym grymasie twarze. Wybiegł bez słowa wyjaśnienia.

Najpierw ogarnęła go pokusa, żeby wrócić do dawnych miłości: *free base*, kwasu albo *brown sugar*. Narkotyki były najlepszym lekiem na jego strach. O ile nie były jego podłożem.

W końcu udało mu się wyjechać na wschodnią autostradę. Musiał mocno trzymać się kierownicy, żeby zapanować nad konwulsjami. Kierował się do Charenton – znanego szpitala psychiatrycznego, w którym przebywali markiz de Sade i Paul Verlaine – późniejszego Esquirol, a obecnie Saint-Maurice. *Welcome back to home*.

Lavigne zaaplikował mu natychmiast solian, neuroleptyk, który najlepiej tolerował, a potem kazał mu czekać przez godzinę. Loïc siedział w ogrodzie, drżał na ławce, a amisulpryd nie działał. Kiedy wreszcie poczuł się lepiej, zaczął spacerować po tarasowych ogrodach (instytut mieścił się na szczycie wzgórza Gravelle, nad doliną Marny), a potem marzył, leżąc na trawie. Lubił to miejsce, którego stare budynki wzorowane były na willi d’Este. Tu czuł się bezpiecznie – poza zasięgiem spojrzeń ludzi, którzy mogliby go osądzać. Tu nie miał szansy spotkać żadnego bankiera, przemysłowca, polityka. A jeśli już, to ubranego w piżamę i jadącego z nim na jednym wózku.

Ledwie wszedłszy do gabinetu Lavigne’a, wyrecytował wszystko jak pacierz: lęki, skomlenie, głupawe analizy własnego życia i mechanizmów strachu. Wyrzucił to z siebie jak ropę z rany. A potem wdał się w rozważania bez składu i ładu o paradoksalnym charakterze buddyźmu, który głosi

równocześnie współczucie i obojętność, miłość i wycofanie ze świata. „Proszę opowiedzieć mi o pana prawdziwym problemie”, przerwał mu psychiatra.

Loïc poprosił o szklankę wody, bo gardło paliło go żywym ogniem, a potem opowiedział o paczce. Tłumaczył swoje przerażenie, wspierając się psychoanalitycznymi kliszami: Afryka, kraj jego ojca, ziemia kastracji i... „Powiedziałem: o prawdziwym problemie”.

Zalał się łzami i zaczął mówić o swoich dzieciach, o Sofii, o groźbie rozwodu. Przetykając opowieść nowymi uwagami o swojej buddyjskiej wierze: jak mógł osiągnąć Drogę Środka, skoro kipiało w nim tyle emocji? Psychiatra nie odpowiedział.

Cisza pomogła mu to z siebie wyrzucić: Sofia miała rację. Był zwyczajnym byłym alkoholikiem, ćpunem uzależnionym niegdyś od heroiny, a teraz od kokainy. Człowiekiem chwiejnym, niestabilnym. Dzieci nie mogły na nim polegać, to raczej on na nie liczył. Płakał, wściekał się, odzyskał spokój. Wychodząc z gabinetu doktora Lavigne’a, jak zwykle czuł się lepiej. Niczego nie rozwiązał, ale wszystko głośno wypowiedział. *To już coś.*

Snuł właśnie takie refleksje, kiedy zauważył w dolnej części ogrodu dwóch mężczyzn. Nie wyglądali ani na pacjentów, ani na pielęgniarzy, ani tym bardziej na krewnych, którzy przyszli tu w odwiedziny. Było to dwóch potężnie zbudowanych zakapiorów w skórzanych kurtkach.

Skończ z tymi machlojkami w Kongu albo ci go utniemy.

I w ułamku sekundy strach skręcił mu trzewia. Kombatanci postanowili z nim skończyć. Utną mu język w tej grabowej alei. Albo, co gorsza, wykastrują go. Murzyni szli już w jego stronę alejką wijącą się między krzewami. Loïc wycofał się pod kolumnadę budynku i zaczął biec. Inna droga prowadziła na lewo, do warzywnika instytutu. Spędził tam długie tygodnie, spulchniając ziemię, siejąc, wyrywając chwasty. Okrążył budynek i zbiegł po ścieżce do uprawnego ogrodu.

W głębi rosły buki i kasztanowce. Za nimi wznosił się potężny mur klasztorny. Szybko minął aleję i dotarł do rzędu drzew. Nigdzie żadnej szczeliny. Na co właściwie liczył? To był dom wariatów, a nie ośrodek wczasowy.

Za plecami słyszał już, jak skóra ociera się o krzewy. Naszła go absurdalna myśl – zostawił dokumenty w samochodzie, więc jeżeli te łotry go zabiją i wrzucą do Marny, nikt go nie zidentyfikuje. I kolejna, jeszcze

dziwaczniejsza – ścianki nosa wzmocniono mu kiedyś tytanowymi płytkami, które zafundował mu Thurnee, a ojciec często opowiadał, że zwłoki można zidentyfikować na podstawie uzębienia, protezy stawu albo implantów piersi. Jego rozpoznają po tych płytkach.

Po jego ułomności.

Loïc szedł wzdłuż muru. Każdy bywalec Esquirolu wie, że instytut ma swoje podziemia. Obecnie większość z nich zamurowano, pozostały jednak studzienki prowadzące na ulicę Saint-Maurice. Tam odbywa się handel między dealerami a uzależnionymi pensjonariuszami.

Ominął poletko sałaty i skręcił za dęby. W rogu muru stała chatka, w której przechowywano narzędzia ogrodnicze. Klucz leżał przy świetliku, po lewej. Chwycił go i otworzył drzwi. Motyka zdawała się na niego czekać, jak kiedyś. Wziął ją, wyszedł, okrążył chatkę i znalazł żeliwny dekiel z inicjałami inspekcji kamieniołomów. Wbił ostrze w otwór i szarpnął – uniosła się pięćdziesięciokilogramowa pokrywa.

Loïc rzucił motykę w zarośla i przesunął pokrywę. Trawa wyciszyła zgrzyt metalu. Za jego plecami zabójcy szli alejkami. Było już za późno, żeby zamykać za sobą przejście. Wsunął się do kanału z nadzieją, że nie będą szukali go za chatą.

W ciągu kilku sekund zszedł po szczeblach i stanął na ziemi. Pierwszy korytarz, o łagodnym nachyleniu, prowadził do innych, położonych na głębokości trzydziestu, czterdziestu metrów. Zanim dotrze do tej sieci, znajdzie kanał, przez który wróci na powierzchnię. Szedł szybkim krokiem i czuł, jak przenikają go chłód i wilgoć. Z każdym metrem ciemność stawała się głębsza. Wcisnął przełącznik i rozpoznał miejsce – najpierw ogromną grootę w kształcie krzyża, potem sklepienie, które na poszczególnych odcinkach wykonane było z różnych materiałów: kamienia łamanego, skały, tłucznia.

Biegł. Żarówki wskazywały mu drogę. Kolejna sala i kilka korytarzy. Iść najszerszym, tym, który służył pierwotnie wózkom załadowanym kamieniami.

Ubita ziemia ustąpiła betonowi. Na ścianach pojawiły się ponure rysunki pozostawione przez robotników, którzy umierali przy pracy, albo zbiegłych pacjentów. Loïc wciąż biegł, gdy wydało mu się, że słyszy za sobą kroki. Przystanął, żeby oszacować dystans, jaki dzieli go od zbirów. Nic z tego – dźwięk odbijał się od ścian, a jego zmysły przytępiły strach, leki, obłąd.

Pomylił się – to, co słyszał, było dudnieniem deszczu. Burza, na którą się zanośli, w końcu się rozpętała. Właśnie mijał wymalowaną na ścianie skalę, która służyła do pomiaru głębokości wody. Na ten widok przypomniał sobie, że okoliczne tereny były podmokłe i gdy podnosił się poziom Marny albo opady były bardzo silne, korytarze wypełniały się wodą aż po sklepienie.

Zaczął biec. Do pierwszego kanału ściekowego było już niedaleko. Wejdzie po drabinie i powróci do świata ludzi. Ale pomruk stawał się coraz głośniejszy, jakby się zbliżał. Czy to omamy słuchowe? Zawrócił. Przypominały mu się legendy, opowieści o wariatach, którzy się tu zgubili i nie zdołali uciec przed żywiołem. Biedacy, którzy utonęli. Mówiono nawet, że wszyscy piją ich kości, roztopione w wodzie i płynące z kranów.

Przyspieszył. Był zgubiony. Ruszył w innym kierunku, nie wiedząc nawet, czy idzie ku ocaleniu, czy ku własnej śmierci.

Kolejna sala w kształcie krzyża. Przed nim trzy otwory. Zdał się na przypadek i pędził, ile sił w nogach, wciąż nie wiedząc, czy oddała się od niebezpieczeństwa, czy idzie pod topór. Cuchnął już wilgotnym betonem i saletrą, powoli gnił.

Uderzył twarzą w błoto. Kiedy wstawał, lufa przytknięta do karku przytrzymała go.

– Zabawa się skończyła, złotko.

Czarny pojawił się w polu widzenia Loïca, gdy był na kolanach i starał się złapać oddech. Żałował, że ta ohydna gęba to ostatnie, co zobaczy na tej ziemi. *Zła karma.*

Zamknął oczy i złożywszy ręce, odmówił modlitwę z *Bardo-Thödol, Tybetańskiej księgi umarłych*, aby ułatwić sobie przejście do świata pośredniego:

– „O buddowie i bodhisattwowie dziesięciu kierunków, wy, którzy jesteście pełni wyrozumienia...”.

Czarny parsknął śmiechem, któremu zawtórował drugi głos z tyłu. Tyle lat szukania Drogi, tyle wysiłków, by osiągnąć absolut, a wszystko po to, żeby umrzeć w tej norze, u stóp dwóch łajdaków. *Zła karma.*

Te rozmyślenia przerwał mu metaliczny szczęk. Był pewien, że zaraz padnie strzał, ale pobrzękiwania, które usłyszał potem, nie pasowały do tego scenariusza.

Otworzył oczy i osłupiał, widząc kajdanki na swoich nadgarstkach.

– Kim jesteście?

– A jak myślisz?

Jeden z nich przeszukiwał mu kieszenie. Wyciągnął z nich kilka gramów kokainy.

– Policja, tatuśku! – krzyknął mu do ucha czarny. – Antynarkotykowy ! – Z uśmiechem patrzył na torebkę. – O kurwa, to musi być ponad dziesięć gramów. Posiedzisz za to. Od tej chwili...

– Ale przecież... obaj jesteście czarni?

– A co ty sobie myślisz, łajzo? Że w policji biały chodzi z czarnym? Za kogo ty nas uważasz? Za jakichś pieprzonych Oreos²⁰?

– Ma pan osobliwy sposób prowadzenia śledztwa. I nie chodzi mi nawet o tę powolność!

– Sprawa jest bardziej skomplikowana, niż się wydawało.

W słuchawce rozbrzmiał okrzyk pułkownika:

– Ależ to pan wszystko komplikuje! Ściągnął pan na Sirling całą armadę techników i kazał im pan wykonywać prace, którą już wykonano, a potem zniknął pan sobie na całe popołudnie. Nikt nie mógł się z panem połączyć!

– Wracam do bazy.

– Kamień spadł mi z serca! – wycedził Vincq. – Jutro rano oficjalnie informujemy media o śmierci Sawirisa. Mam nadzieję, że będzie im pan mógł powiedzieć coś nowego.

Erwan postanowił przerwać tę połajankę i zaatakował:

– Niech się pan lepiej pomodli, żeby jego rodzice nie zwrócili się do mediów przed nami. Najwyraźniej nikt nie poinformował ich o dotychczasowych ustaleniach.

– Przecież to pan powinien ich informować.

Policjant milczał, pozwalając mu kontynuować kazanie, gdy samochód mknął nadmorską drogą. Wybrzeże widać było jak zielony wąż, tu i ówdzie cętkowany szarością i błękitem. Czasami zapadało się, brutalnie rozdarte. Kiedy indziej zataczało szeroki łuk, od tysięcy lat rzeźbiony i polerowany przez fale. Cały ten pejzaż tworzyły cykle przyprawów i odpływów.

Archambault skręcił w prawo, w głąb lądu. Erwan podziwiał teraz niebo, równie kamienne – chmury jak marmur z czarnymi żyłkami, ceglaste skały strzępiące się w świetle, kopalnie srebra plujące lśniącem metalem. Wznoszące się pod tym niebem skały, bardziej złowrogie niż zwykle, sterczały niczym wielusetletni szkielet potwora.

Uświadomił sobie, że pułkownik zakończył połączenie, więc szybko wybrał numer Verny'ego. Żandarm skontaktował się wreszcie z Sawirisami. Jego zdaniem zachowywali się dziwnie.

– Co znaczy „dziwnie”?

– Niepokojąco dziwnie.

Pułkownik siedział właśnie nad krótkim raportem dla prokuratora, przygotowywanym na jutrzejszą rozmowę. Tekst sprowadzał się do kilku linijek: na Sirling niczego nie znaleziono – ani odcisków stóp, ani śladów DNA; pokój Wissy także przeszukiwano na darmo. Reszta równała się zeru – same podejrzenia, poszukiwanie tropów, sprawdzanie tras statków i samochodów.

– A Branellec?

– Milczy. Wygląda na to, że laptop tego dzieciaka to twardy orzech do zgryzienia.

Pozostało im odkrycie dnia.

– Sygnet?

– Technicy mówią, że przeleżał w wodzie najwyżej trzydzieści sześć godzin, a to oznacza, że należy do zabójcy. Ale to bardzo popularny model, gadżet wyrabiany dla turystów i sprzedawany na wszystkich bretońskich bazarach.

– Znaleziono na nim materię organiczną?

– Nie. Fale i sól zrobiły swoje.

Erwan pomyślał o Bretanii, ojcu i jego kłamstwach. Patrzył na stacje drogi krzyżowej, które mijali, a które wyglądały jak czarne motywy na zielonej wstędze.

– Co to jest?

Pytanie adresowane było do Archambaulta. Erwan zauważył jakieś trzysta metrów od krzyży ludzi w połowych mundurach biegnących gęsiego z bronią w rękę. Wszyscy nieśli plecaki, a w hełmach i kamuflażu niemal stąpiali się z otoczeniem.

– Zaczęły się ćwiczenia.

– Zaraz oddzwonię – powiedział do Verny'ego i rozłączył się. – Wydałem polecenie: nikt nie ma prawa opuszczać pokoju!

Archambault milczał – wolał zachować ostrożną neutralność.

– To pierwszy rok?

Żandarm zmrużył oczy i poprawił okulary:

– Nie. Starsi. Grupę prowadzi Gorce. Wracają do bazy. W schowku jest lornetka.

Erwan sięgnął po nią. Archambault miał rację, Gorce biegł na czele. Twarz miał naznaczoną brunatnymi smugami, czoło aż po brwi osłonięte hełmem. Wyglądał jak żywcem wyjęty z gry komputerowej. Cały oddział był do niego

podobny – dwudziestu facetów wymazanych błotem.

– Niech się pan pośpieszy – rzucił, odkładając lornetkę. – Chcę dojechać przed nimi.

Erwan wszedł do pokoju, pobiegł do łazienki i zaraz wyszedł z ręcznikiem i kosmetyczką pod pachą. Zabrał ubranie na zmianę i szybko zbiegł po schodach.

Łaźnia znajdowała się na parterze budynku. Kiedy zbliżał się do szatni, usłyszał plusk wody i gwar. Elewowie byli już pod prysznicami, ale może to nawet lepiej.

Rozebrał się i wepchnął rzeczy do szafki. Wszystko tu cuchnęło szlamem i potem. Zasłaniając męskość kosmetyczką, z ręcznikiem na szyi, poszedł w stronę natrysków. Jego kroki odbijały się głośnym echem od wyłożonych kafelkami ścian.

Pchnął drzwi i poczuł falę gorącego, mokrego powietrza. Wilgoć osiadała na skórze, wchłaniała go. Kabiny otwierały się po obu stronach stojących na środku umywalek. Idealnie czysta posadzka wyglądała jak w laboratorium albo w rzeźni przemysłowej.

Jeszcze nikt nie zauważył policjanta w kłębach pary. Erwan wyciągnął szyję w stronę kabin i zobaczył dokładnie to, czego się spodziewał: muskularne ciała pokrywały blizny. Rany, nacięcia, strupy, świeże szramy.

Kiedy piloci poruszali się pod strumieniami wody, te piętna zdawały się ożywać. Erwan wyraźnie widział ślady przypalania papierosami, rany od kul, oparzenia prądem, pamiątki po zabawach z akumulatorem.

– Przyszedłeś się rozerwać?

Erwan drgnął: Bruno Gorce stał nagi tuż za nim, a koledzy otaczali go półkolem. Ich zaczerwienione od gorąca torsy lśniły w ostrym świetle. Grupa olbrzymów wykutych z czerwonej cegły.

– Nie wolno korzystać z prysznica?

Gorce pchnął go pod ścianę kabiny:

– Uważasz nas za idiotów?

– Moja łazienka... ma pewne kłopoty.

– To ty masz kłopoty.

Grupa skupiła się wokół przywódcy. Woda nadal płynęła.

- A może jesteś ohydny pedziem i wpadłeś tu, żeby się brandzlować, co?
- Skończ z tymi bredniami. – Erwan udawał, że się śmieje.

Zrobił krok w stronę wyjścia, ale żołnierze zagrodzili mu drogę. Łagodne metody na nich nie działały, ale i ostre nie dawały mu szans. Otworzył usta, żeby jakoś się dogadać, jednak Gorce doskoczył do niego, chwycił za szyję, uginając rękę, jakby szykował się do walki, a potem wciągnął go w wir i rzucił na szereg umywalek.

- Nie bądź idiotą, Gorce – ostrzegł Erwan, podnosząc się.

Kat Naczelny zbliżał się, a jego oczy lśniły jak łebki od szpilek. Można było zobaczyć pod jego skórą każdy mięsień, żyłę, kość czaszki.

- Powiem ci, co zrobimy: wyrównamy rachunki.
- Czego chcesz? – rzucił Erwan. – Pojedynku?

Gorce się uśmiechnął. Inni obserwowali Erwana. Na ich torsach, barkach, kończynach blizny rysowały groźne graffiti.

Nagle jakby ktoś strzelił z bata. Elewowie rozstąpili się. Erwan zobaczył dwie pary sabotów z ciemnego drewna ze skórzanymi paskami i okutymi żelazem czubkami.

– Chciałeś się dowiedzieć, jak wyglądają nasze próby? – powiedział Gorce, wsuwając stopy w saboty. – Teraz będziesz mógł się o tym przekonać.

Nogą podsunął drugą parę Erwanowi. Żołnierze się cofnęli – jedna grupa stanęła po prawej, druga po lewej stronie, kilku zatrzymało się przed kabinami prysznicowymi, jakby to były łoże teatralne.

Erwan znał *gouren*, uprawianą od pradawnych czasów bretońską walkę, ale nigdy nie słyszał o walce na kopnięcia sabotami. Czy to specjalność K76? Wsunął saboty, każdy ważący co najmniej dwa kilogramy, a potem zmierzył wzrokiem przeciwnika. Nie miał szans. Wprawdzie uprawiał kiedyś kick boxing i boks francuski, ale od dawna nie trenował.

Zdążył tylko się cofnąć, żeby uniknąć pierwszego uderzenia. Sabot napotkał jedynie parę, a elew z impetem padł na posadzkę w groteskowej pozie. Wyglądało to komicznie, jednak nikt się nie roześmiał.

Ten chybiony cios wcale nie dodał otuchy Erwanowi, który pomyślał, że skoro doświadczony zawodnik przewraca się przy pierwszym ruchu, to lepiej nawet nie próbować podnosić nogi.

Gorce już się pozbierał, ale grymas jego twarzy świadczył, że czuje się upokorzony. Erwan czekał, ugiąwszy obie nogi. Pilot znowu zaatakował. Erwan odskoczył do tyłu, ale tamten przewidział jego ruch – zatrzymał go,

atakując lewą nogą. Sabot uderzył kilka milimetrów od boku Erwana, który chwycił przeciwnika za rękę, łądując na środku ringu.

Pięść Gorce'a zmiotła mu nos. Z oczu polały się łzy, krew spływała do ust. Oślepiiony Erwan usiłował machać rękami, ale kolejny cios trafił w zębra, następny w prawą pachwinę, a czwarty w brzuch. Zgiął się wpół, plując krwią.

Otarł powieki i zobaczył sabot wzbijający się ku jego lewemu kolanu. Poczul się, jakby obcięto mu nogę. Padł na klęczki, porażony przenikliwym bólem. Pod czarną rurą zobaczył, jak tamten bierze rozpęd. W ostatniej chwili uchylił się przed ciosem, wiedział jednak, że najlepszym wyjściem jest dać się ogłuszyć – żeby położyć temu kres.

Kopnięcie w skroń spełniło jego modlitwy. Kontakt z zimną posadzką gwałtownie go otrzeźwił. Zobaczył swoje odbicie w różowej kałuży. Instynktownie przewrócił się na bok. Sabot Gorce'a przygniótł go do ziemi, wymuszając ułożenie na plecach. Erwan odruchowo uniósł głowę, równocześnie z całej siły wyrzucając prawą nogę w stronę przeciwnika. I stał się cud – tamten nabił się na czubek sabota, a otaczający go koledzy cofnęli się, żeby pozwolić mu upaść. Erwan wyczuwał ich bezgraniczny, niemal pobożny respekt wobec brutalnej siły.

W dwóch przebłyskach świadomości (tracił przytomność na ułamki sekund) doczołgał się do wroga, ale zamiast go zaatakować, usiadł i próbował ściągnąć sabot. Okazało się, że to niemożliwe – kostka opuchła mu tak mocno, że uwięzła w drewnianym bucie.

Gorce zdążył tymczasem wstać. W łaźni unosił się mdły zapach krwi, który mieszał się z parą. Dławiąc okrzyk, Erwan wyszarpnął stopę z okutego drewniaka i wsunął w niego dłoń, jak w rękawicę do baskijskiej peloty. Przeciwnik znalazł się na nim, a on z całej siły rozprostował rękę. Okuty but zdarł skórę z piszczeli Gorce'a, który osunął się na kolano. Wyszeptał coś, czego Erwan nie chciał usłyszeć.

Wciąż siedząc jak niemowlę w kojcu, policjant wziął zamach i zadał kolejny cios. Sabot trafił pilota w szczękę. Zalewając się krwią, Gorce poleciał w tył i uderzył potylicą o kant kabiny.

Znów wyszeptał jakieś słowo. Jego usta były jedną wielką raną, ale tym razem Erwan musiał przyznać, że przeciwnik mówił „dziękuję”.

Erwan dźwignął się na czworaki. Z jednym sabotem w ręce, drugim na nodze, ruszył do ataku. Unosił drewniany młot, kiedy Gorce wyprężył nogi

i uderzył go w pierś, nieomal wgniatając mu żebra do gardła.

Stojący wokół żołnierze powtarzali:

– Dziękuję... dziękuję... dziękuję...

Erwan poleciał w tył i wylądował tyłkiem w wodzie. Jego rozkwaszona twarz krwawiła, żebra były połamane, więc oddychał z wielkim trudem, ręce i nogi drżały każdym zbolalym mięśniem. Chociaż nie czuł już bólu, to drgał jak kurczak, któremu właśnie obcięto łeb.

Gorce atakował. Zanim zbliżył się do Erwana, ten zdążył kopnąć go nogą w sabocie w lewy bok. Zadarte ostrze wbiło się w brzuch i przesunęło się w górę jak ostroga. Żołnierz skulił się. Z ust ciekła mu krew, wymiociny, lepka ślina. Mimo to wybełkotał jeszcze:

– Dziękuję.

A inni powtórzyli chórem:

– Dziękuję... dziękuję... dziękuję.

Wydawało mu się, że cios, który zadał, oznacza zwycięstwo i nagle energia zaczęła go wypełniać niczym źródło studnię na pustyni. Odrętwiały, zdjął z nogi sabot i wsunął w niego palce, a potem szedł na czworakach, uderzając drewnianymi rękawicami o posadzkę.

Gorce cofał się, osłaniając się pięściami. Natarcie Erwana rzuciło go do kabiny, w której z prysznicą nadal płynęła woda. Posadzka błyskawicznie wypełniła się czerwoną cieczą. Toczyli teraz walkę w zwarciu – dwa embriony zanurzone w wodach płodowych.

A inni, pochyleni nad nimi, wciąż skandowali:

– Dziękuję, dziękuję, dziękuję.

Erwan bronił się przed Gorce'em, który usiłował przytrzymać jego głowę pod wodą i utopić. Oczy policjanta zasnuły się mgłą. Resztkami sił wyrwał się przeciwnikowi, który z impetem wpadł do wody. Erwan uniósł sabot, uderzył, ale chybił celu. Znów zanurzyli się pod wodą. Pilot złapał go za uszy i skręcił je, jakby chciał mu je oberwać. Erwan nie czuł już nic poza pulsowaniem pod powiekami, którego rytm układał się w słowo: zabić, zabić, zabić.

Znów pchnął łotra na ścianę i runął na niego. Zobaczył własne palce zaciskające się na szyi Gorce'a i zrozumiał, że w ferworze walki zgubił broń – saboty. Ale to nic – dokończy robotę gołymi rękami.

Zacisnął je z całej siły, jaka mu jeszcze została, a raczej – całą mocą wściekłości. Białko lewego oka Gorce'a stało się zupełnie czarne. Erwan czuł

w ustach metaliczny smak. Krew ich zalewała, bez końca wzbierając.

A potem, z pewnym opóźnieniem, zauważył, że wokół zaszła jakaś zmiana. Litania brzmiała inaczej, słowa się wydłużały, to już nie był zgodny chór, ale chaotyczna mowa.

Ulegając absurdalnemu impulsowi, Erwan puścił ofiarę i odwrócił się, nasłuchując, choć nie było to takie proste, bo naderwane uszy pulsowały, a każdy dźwięk musiał się przebić przez dokuczliwy szum. Żołnierze podbiegli i zanurzając się pod wodą, zabrali swojego czempiona.

Gorce'a trzeba było wynieść.

Gorce zniknął.

A od glazury echem odbiły się słowa:

– Rozejść się!

– A zatem chcemy grać w filmach?

Michel Payol, sześćdziesięciolatek w blezerze i jasnoniebieskiej koszuli miał posturę dromadera i takie jak on uzębienie. Oficjalnie był dyrektorem agencji prasowej zajmującej się kinematografią, w rzeczywistości luksusowym stręczycielem obsługującym pewne zamknięte paryskie kręgi i specjalizował się w turystyce seksualnej dla bogaczy – arabskich emirów, afrykańskich ministrów, azjatyckich finansistów, którzy należeli do jego stałych klientów.

Tyle dały owe kontakty Kevina, alias Keke, alias „Mam szerokie znajomości”. W sumie nie tak źle: siatka Payola mogła pomóc Gaëlle w realizacji planów. Dogadała się ze stażystą co do jego prowizji od zyskowych spotkań.

Odpowiedziała, wachlując długimi rzęsami niewinnej sarenki:

– To moja pasja.

– Mogę pani pomóc. Skontaktować panią z różnymi ludźmi.

Gaëlle lekko się uśmiechnęła, biorąc do ręki szklankę perriera – nie pijała szampana, uznając to za prowincjonalne. Siedzieli w barze Plaza Athénée, gdzie niestety już ją dobrze znano. Musiała też wymknąć się dwóm głupkom, którzy łazili za nią na polecenie ojca.

– Skąd ten sceptycyzm?

– W tym środowisku każdy myśli, że może kogoś wypromować, tymczasem kino to świat... autonomiczny, niezależny, rządzący się własnymi prawami. W rzeczywistości ten świat o wszystkim decyduje sam.

Payol uniósł filiżankę do ust. Zamówił *ristretto* – coś elektryzującego, co przystawało do jego nerwowości.

– Chyba nie nadażam.

– To nic. Zresztą mam zbyt małe doświadczenie, żeby pouczać innych. Poprzestańmy na tym, co jest realne. Może mi pan pomóc, ale w zupełnie innej dziedzinie.

Payol dopił kawę, nie odpowiadając. Z jego twarzy wyzierało napięcie, stał się nieufny. Milczeli przez kilka sekund.

- Ma pani narzeczonego? – zapytał.
- Nie.
- I nie szuka pani nikogo?
- Nie.
- Dlaczego?
- Powiedzmy, że moja wizja mężczyzn jest pesymistyczna.
- Dlaczego?
- Z powodu samych mężczyzn.

Payol przysunął się do niej. Miał długie ręce, które idealnie pasowały do jego kłów, i Gaëlle pomyślała o Czerwonym Kapturku i przebranym za babcię wilku.

- Ludzie się zakochują, zakładają rodziny! – zawołał, udając entuzjazm.

Musiała podjąć grę. On, alfons, bronił małżeństwa i ogniska domowego. Ona, mała kurewka, musiała zdobyć się na więcej cynizmu i arogancji. Trwał swego rodzaju casting, podczas którego testowano perwersyjne skłonności.

- Nie w moim otoczeniu – odparła.

Payol zamówił drugą kawę.

- Nie chce mi się wierzyć, że ma pani aż tak złe doświadczenia!
- Nie ja, ale moje koleżanki. Raz po raz trafiają na świrów.
- Na przykład? – zapytał rozbawiony.

– Istnieje model niezależny, który nie chce się przywiązywać. Są tacy, którzy kochają za mocno, żeby zostać, i tacy, którzy odchodzą, „bo zasługujesz na kogoś lepszego”. Tacy, dla których najpierw jest „za wcześnie”, a zaraz potem – „za późno”. Tacy, którzy w chwili zerwania oddają otrzymane od partnera prezenty. Mogłabym o tym mówić do jutra rana. Kłamcy, tchórze, egoiści gotowi powiedziec wszystko, żeby pieprzyć się bez zobowiązań. A najgorsze, że w większości to ci, którym nie wychodzi w łóżku, ledwie im staje i nie mają pojęcia o rozkoszy.

Stręczyciel lekko się nadał. Gaëlle miała znacznie więcej do powiedzenia niż typowe prowincjonalne miss i inne adeptki sztuki aktorskiej.

– Pani przyjaciółki mają pecha. – Roześmiał się dźwięcznym barytonem, spoglądając na nią ze współczuciem. – Są przecież mężczyźni, którzy chcą się żenić i mieć dzieci.

– Ostatnia z moich koleżanek, która zaszła w ciążę, poinformowała o tym przyszłego tatusia przez telefon, bo aż tak bała się jego reakcji. Kiedy wieczorem wróciła do domu, znalazła swoje rzeczy przed drzwiami,

wpakowane do toreb na śmieci.

I ona przysunęła się bliżej i poczuła zapach „Eau d’Orange verte” Hermèsa. Pewnie myślał, że ta woda toaletowa podkreśla jego osobowość, jednak wszyscy oni używali „Eau d’Orange verte”. Wszyscy, poczynając od jej ojca.

– A może pomówilibyśmy o sprawach poważnych? – Gaëlle wróciła do natarcia. – Szukam kontaktów. Niech mi je pan da. Dostanie pan swoją część.

Payol uniósł brwi. W tle słychać było słodkie aranżacje na pianino, brzęk szkła dobiegał z półmroku. W tym miejscu odciętym od świata niczym komora hiperbaryczna można było pomyśleć, że jest druga w nocy.

– Co właściwie jest pani gotowa zrobić? – zapytał w końcu.

– Prawie wszystko, o ile stawka będzie odpowiednia.

Payol uśmiechnął się i nagle zmienił styl rozmowy:

– Anal? Podwójna penetracja? Trójkąty? Bukkake? Fisting?

Odpowiedziała w podobnym stylu:

– Ten, kto wystarczająco dużo zapłaci, może mi wsadzić do cipki chomika. Alfons zmrużył oczy, jakby coś przeliczał.

– Zaczniemy, że się tak wyrażę, od drugiego końca. Gdzie przebiega pani granica?

– Nie dotykam kawioru.

W języku perwersji seksualnych kawior oznacza kał. Niemiecka wersja, *Kaviar und Klyster*, dorzuca do tego lewatywę.

– Złoty deszcz

– Żaden problem.

– Jakież uczulenia?

– To znaczy?

– Czarni, Arabowie, Japończycy...

Uśmiechnęła się.

– Tylko wariaci.

Payol dalej oceniał wachlarz możliwości Gaëlle.

– A SM?

Milczała – nigdy nie chciała igrać z bólem. Nie pozwoliłaby zrobić sobie krzywdy, nie chciała nawet udawać, że cierpi. Dlaczego miała taką blokadę, skoro robiła znacznie gorsze rzeczy? Przesądny lęk – cierpienie stanowiło element jej życia osobistego. Było kanwą jej losu, jej tożsamości. Strefą zastrzeżoną.

Nagle się otrząsnęła. Przecież wyznaczyła sobie cel i gotowa była użyć wszelkich metod, by go osiągnąć.

– Pod warunkiem, że nie będzie żadnego ryzyka – powiedziała.

To w środowisku SM dawało słowo klucz: można było robić wszystko, wszystko znosić, ale tylko jeśli miało się zapewnione bezpieczeństwo. Ból musiał pozostać powierzchowny, niegroźny. A wszystko można było przerwać skinieniem ręki.

– W takim razie możemy się nad tym zastanowić – odparł Payol.

Gaëlle czuła, że popada we władanie mocy, które dotąd trzymała na dystans. Pociły jej się dłonie. Kwasy żołądkowe paliły jej trzewia. Po raz pierwszy w życiu negocjowała kontrakt z diabłem.

Payol objął ją ramieniem. Zapach perfum mieszał się teraz z wonią potu. Bestia porykiwała, uwięziona pod cienką warstewką kultury. A może czuła własny pot.

– Posłuchaj uważnie, mała – szepnął wilczym głosem – jeżeli jesteś gotowa posunąć się daleko, to możesz zgarnąć dużo szmalu.

W odpowiedzi zanuciła piosenkę Shinedown: *I'll Follow You*. Śpiewała, żeby nie usłyszeć swojego prawdziwego głosu, żeby nie uświadomić sobie, jak się stoczyła. Ale alfons uznał to za kolejną ironiczną odpowiedź. Coś głęboko cynicznego, wyrażającego pełen dystans.

– Co byś powiedziała, gdybym zaproponował, żeby zacząć jutro wieczorem?

– A co jest w programie?

Cmoknął, wyjmując telefon komórkowy.

– Słyszałaś już o *no limit*?

– W ten sposób zdobywa pan przyjaciół?

Archambault niczym troskliwa matka przemywał rany Erwana. Przyniósł z ambulatorium wszystko, czego potrzebował. To on, słuchając głosu intuicji, zaczął szukać policjanta w szkole, a potem przerwał zabawę w łaźni. Wtargnął pod prysznicę, wywołując rejteradę elewów. Nikogo nie zatrzymał, nawet nie próbował znaleźć winnego, ale ocalił glinę z Paryża, a to było jego zdaniem najważniejsze.

Teraz można by pomyśleć, że cierpiał za Erwana. Dotykając wacikiem brzegów ran, zagryzał usta, jakby chciał powstrzymać się od krzyku. Sam Erwan nie mógł ani krzyczeć, ani niczego zagryźć, bo zamiast dolnej wargi miał teraz coś, co rozmiarami przypominało dętkę rowerową.

– To oni go zabili – wybełkotał nie swoim głosem.

Ręka Archambaulta zatrzymała się na jednej z ran i Erwan się skrzywił. Mimo że oficer podał mu środek znieczulający, ból nie ustąpił. Krzepnąca krew naciągała mu skórę jak morską wodą po długiej kąpieli.

– Aresztujemy ich?

– Nie mamy nic, to tylko domniemania.

– Ale te domniemania mocno krwawią.

Wyrwał mu się młodzieńczy śmiech. Erwan pokręcił głową. Był bardzo osłabiony, ale ręce wciąż mu drżały.

– Trzeba ich zostawić na wolności. W końcu popełnią jakiś błąd.

– Przede wszystkim załatwię pana. Znam tych chłopaków, oni nie żartują.

Zajął się zakładaniem opatrunków. Erwan doceniał spokój tej chwili, jednak w jego mózgu wciąż odradzały się obrazy przemocy – kopanie sabotami, kabina pełna krwi, rany. Za tym zdzieniem wyczuwał obecność Tamtego: di Greco. W księdze Hioba Bóg zapytał Szatana: „Skąd przychodzisz? Szatan odrzekł Panu: Przemierzałem ziemię i wędrowałem po niej”²¹. Ktoś zapukał do drzwi. Wszedł Branellec, Człowiek-Szczudło.

– I co?

– Zwyczajny laptop chłopaka, którego pasjonuje lotnictwo.

– Jakież portale społecznościowe?

– Wissa miał grupę kolegów z Mans i kilku z aeroklubu. Czytałem parę wiadomości. Rutyna.

Archambault, trzymając w ręce nasączony zielonkawym płynem limfatycznym gazik, szepnął do Erwana:

– Proszę się nie ruszać.

– Przewrócił się pan? – zadrwił informatyk.

– Owszem, pod prysznicem. Miał dziewczynę?

– Nic stałego.

– A porno?

– W granicach rozsądku. Daleko do zachowań kompulsywnych.

– W jakim stylu?

Branellec zasalutował, strojąc głupie miny.

– Hetero, panie generale! Morze jest spokojne, wszystko w najlepszym porządku!

Archambault przykleił plaster.

– Ograniczmy się do minimum – poprosił Erwan.

Zamknął oczy – w dotyku plastra przez gazę tkwiła jakaś sprzeczność. Był miły i przygnębiający, uspokajający i niepokojący. Jakby ten plaster murował jego twarz.

– To wszystko? – zapytał, zwracając się do Branelleca. – Od tylu godzin czekamy na twój raport...

– Nie. Jest jeszcze coś dziwnego.

Erwan otworzył oczy.

– Są dane, których nie udało mi się otworzyć. Są zabezpieczone. Byłem pewien, że do wieczora uda mi się złamać zabezpieczenia, ale...

– Chcesz, żebyśmy ściągnął specjalistów z Paryża? – prowokował Erwan.

– Zwariowałeś? Skończę do jutra rana.

– Wiesz, jakiego programu mógł użyć?

– Jeszcze nie. Ale jest zaawansowany. Prawdopodobnie coś ściągniętego ze Wschodu.

– To powszechna technika?

– Przeciwnie. Tego rodzaju zabezpieczenia stosuje się w wojsku albo w służbach specjalnych.

– Gotowe! – oznajmił Archambault, odkładając środki opatrunkowe z miną chirurga, który wykonał właśnie przeszczep serca.

Erwan wstał i podszedł do lustra w łazience. Plaster na prawym łuku

brwiowym, drugi na skroni, trzeci pod uchem. Spodziewał się, że jest gorzej. Nos miał opuchnięty, wargę rozciętą. Ale poza tym powierzchowne zranienia, po których wkrótce pozostaną tylko strupy.

Branellec wciąż mówił o „wysokiej klasy szyfrowaniu”, o „wojskowej cybernetyce”. Erwan pomyślał o scenariuszu, który dawno odrzucił – o motywie związanym z przeszłością Wissy albo jakąś jego tajemnicą. O czymś, co nie miało nic wspólnego ani z otrzęsinami, ani z kultem przemocy w K76.

Koptyjskie pochodzenie? Najnowsze wydarzenia dowodziły, że ta wspólnota może aktywnie działać w sferze terroryzmu. Właśnie nakręcono film *Niewinność muzułmanów*, godzący w Mahometa i prowokujący ostre protesty całego muzułmańskiego świata.

Wissa terrorystą? Kret wpuszczony do szkoły wojskowej?

To się nie trzymało kupy. Erwan wrócił do pokoju.

– A zauważyłeś coś związanego z religią?

– Nic. Nasz przyjaciel nie wyglądał na praktykującego.

Policjant pomyślał o krzyżu wytatuowanym na oderwanej dłoni.

– Okej, daję ci jeszcze tę noc.

– Tak jest, szefie!

Informatyk zniknął za drzwiami. Erwan uświadomił sobie, że bardzo szybko zaczął mówić na ty do informatyka, chociaż wciąż jeszcze zwracał się per pan do trzech pozostałych współpracowników. Połknął dwie tabletki dolipranu i zrobił sobie kawę. Pokój z komputerami, drukarkami, monitorami i czajnikiem elektrycznym coraz bardziej przypominał biuro w paryskiej „36”. Pomyślał o Kripo – poradzi sobie bez niego do jutra.

Archambault namawiał go, żeby poszedł z nim na kolację, ale Erwan nie był głodny, a poza tym nie zamierzał pokazywać się w mesie w takim stanie. Prawdę mówiąc, marzył tylko o jednym – pójściu spać. Podziękował za pomoc i usiadł przy komputerze. Cisza w pokoju otaczała go niczym kokon, podobnie jak znieczulenie. Dolipran też zrobił swoje. Na dworze zapadała noc, ryglując za sobą drzwi.

Nie myślał już o obłąkańczym bestialstwie w łaźni ani o zakazanej gębie Gorce’a (Gdzie teraz był? Kto opatrywał jego rany?). Przed oczyma miał admirała o pajęczych rękach, głowie zjawy i przerośniętych kościach. Tę szkołę opętała mentalność admirała.

Internet, dalsze poszukiwanie informacji o di Greco.

Po godzinie szperania, szukania powiązań i dedukcji zdołał stworzyć bardzo skąpe CV. Ojciec, Lombardczyk Piero Francesco, w latach pięćdziesiątych osiadł we Francji. Po latach służby na terytoriach zamorskich przyjął obywatelstwo francuskie i zakończył karierę jako major piechoty w Dżibuti. Jean-Patrick urodził się w roku 1943 i chował się na francuskich terytoriach zamorskich – w Gujanie Francuskiej, na Gwadelupie. Po ukończeniu szkoły sił lotniczych marynarki wojennej w Rochefort kształcił się w Saint-Cyr i w roku 1967 opuścił mury tej uczelni jako prymus swego rocznika. Od tego momentu informacje o nim stały się bardzo skąpe, jakby jego karierę spowijała tajemnica. Czy zajmował się strategią wojskową, czy może szpiegostwem? Może był tajnym doradcą? Pojawił się znowu w latach 80. jako kapitan dużego okrętu, a następnie doradca podczas poważnych operacji wojskowych – uczestniczył w wojnie w Zatoce, ale nie dało się ustalić, jaką dokładnie odegrał rolę.

O jego dokonaniach wojskowych: ani słowa.

O jego chorobie: ani słowa.

O jego filozofii wojennej: ani słowa.

Ze zdjęć Erwan zdołał znaleźć tylko jedno, z 1962 roku. Ujrzał na nim przystojnego dziewiętnastolatka, na którego twarzy malowały się żywe emocje. Ten młody mężczyzna wyglądał, jak żywcem wyjęty z kart opowiadań Edgara Allana Poeego.

Erwan przypomniał sobie, co na temat starożytnego wojennego *furor* powiedział Almeida. Kilka stron w internecie potwierdzało informacje przekazane przez lekarza: di Greco starał się rozbudzić w swoich ludziach waleczność, wyzwalał w nich wściekłość, nad którą potrafił zapanować. Robił z nimi to, co amerykańscy naukowcy z Los Alamos z energią jądrową. Marzenia schorowanego starca.

Zadzwoił telefon: Neveux z kryminalistyki.

– To się robi naprawdę paskudne – zaczął.

– Mów jasno – polecił Erwan i do tego rozmówcy zwracając się per ty.

– Zbadałem kilka ostrzy znalezionych dziś rano na wyspie, w pobliżu bunkra. Wykryłem na nich śladowe ilości mocznika, glukozy, kwasu moczowego i hormonów.

– Co to jest?

– Ślina. Prawdopodobnie zabójca ssał te ostrza albo kazał to zrobić ofierze.

– Te ostrza nie tkwiły w ciele?

– Nie. Wybuch musiał je wyrzucić. Zresztą jest na nich też krew. Grupa zgadza się z grupą krwi Wissy.

Ogolona głowa, wycięte narządy, rany zadane buławą, a teraz jeszcze ten niesamowity szczegół. To prawda, że w Kaerverec rządziła brutalna siła, tu jednak wszystko wskazywało na samotnego mordercę, na skrywany obłęd psychopaty. Czy był nim Gorce?

– Myślisz, że te ostrza mogą być elementami jakiejś broni?

– Nie mam pojęcia. Odłamki są zbyt drobne.

– A DNA ze śliny?

– Nie da się zbadać. Próbki są skażone.

– Dostałeś już ostrza od Clemente'a?

– Czekam na nie.

– Zadzwoń do mnie, kiedy się im dokładnie przyjrzysz.

– Jeszcze jedno: na dnie tej dziury znaleziono też odłamki lustra. Albo morderca używał ich, okaleczając ofiarę, albo potrzebował lusterka dla siebie.

– To znaczy?

– Może się malował, czesał. Nie wiem. W tym bunkrze wydarzyło się coś, co przekracza granice ludzkiej wyobraźni.

Erwan też tak uważał, ale powstrzymał się od komentarzy – w policji, jak wszędzie, na mądrzejszego wygląda ten, kto nie mówi za dużo. Podziękował i zakończył połączenie, ale zanim odłożył telefon, ten znów zadzwonił. Erwan zaczął się bać, że nabawi się parkinsona.

– To ja.

Padre we własnej osobie.

– Właśnie miałem dzwonić – powiedział Erwan. – Nie miałem czasu napisać raportu.

– Twój brat został zatrzymany.

– Co?

– Ten dureń dał się złapać z dwunastoma gramami koki. Nie wiem, kto za tym stoi, ale...

Zabójca, który chciał mieć narządy, ssał narzędzia tortur, gwałcił groźną bronią. Na tle takiej degeneracji szaleństwa młodszego brata-milionera wydawały się błahostką.

– Wysłałeś mu adwokata?

– Nie. Noc w celi dobrze mu zrobi.

Przejmujący śmiech. Rehot ogra, który od dawna nie jadł.

– Zadzwoń, żeby zapytać, czy znasz kogoś w antynarkotykowej?

– Już nie, ale mogę poproś, będę...

– Nie trać czasu. Musisz wracać.

– Żeby zmienić pieluchy braciszki?

– Mam złe przeczucia, wracaj.

– Muszę zamknąć sprawę.

– Masz już coś konkretnego?

– O otręsinach można zapomnieć. Nawet moja teoria linczu odpada. Mamy do czynienia z psychopatą. To na pewno najpotworniejszy morderca naszych czasów.

– Co to za gadanina? Jesteś gliną czy dziennikarzem? Do diabła, wykorzystaj dowody i znajdź tego świra!

– Daj mi jeszcze tę noc.

– Kiedy jutro zadzwonię, masz być na autostradzie.

Erwan przez chwilę patrzył na telefon, który trzymał w ręce. W przeciwieństwie do starego wiedział, kto doprowadził do akcji brygady antynarkotykowej.

Wybrał z pamięci komórki numer i zaatakował bez wstępnych uprzejmości:

- Co ty wyprawiasz z Loikiem?
- Uprzedzałam cię.
- Niszczysz rodzinę.
- Niezła rodzinka.

Przez telefon Sofia traciła cały urok – miała ostry, nieco piskliwy głos.

– Nie wiem, co chcesz osiągnąć, ale dzieci potrzebują obojga rodziców.
– Oszczędzaj siły na rozprawę – ścięła go. – Wasze zeznania wypadną błado na tle moich dowodów. Wy, gliniarze, mówicie chyba: „fakty i tylko fakty”?

Mimo woli podziwiał jej charakter – była dla Morvanów godną przeciwniczką.

– Dlaczego nie chcecie się dogadać? I na razie zrezygnować z rozwodu? Zastanówcie się, a może...

Wybuchnęła śmiechem:

– Zawsze uważaliście się za najlepszych, ale prawo dla wszystkich jest jednakowe, udowodnię wam to ja, Włoszka.

- Przecież możesz ułożyć sprawy z Loikiem.
- Nie. Chcę uregulować te sprawy należycie.

Rozważył w myślach argumenty, szykując na gorąco mowę obrończą.

– Po dwóch latach separacji od stołu i łoża i tak uzyskasz rozwód z powodu trwałego rozpadu pożycia małżeńskiego.

- Jesteś dobrze poinformowany.
- Wasza separacja wszystkich bardzo martwi.
- Chyba masz na myśli siebie i swojego ojca.
- Nieważne. Jesteście w separacji już od roku, więc jeszcze rok i...

– To za długo. Przez ten czas dzieci są przerzucane z domu do domu, nie mówiąc o tym, że u ojca nie obowiązują ich żadne reguły ani godziny.

– Demonizujesz. Loïc nie zajmuje się nimi sam, jest jeszcze Maggie, Gaëlle...

– Czyli stuknięta hipiska i ta...

– Lepiej się zamknij!

Zamilkła na moment. Słyszał, jak zaciąga się papierosem, i wyobrażał sobie jej twarz za sinym dymem.

– A czego konkretnie spodziewasz się po antynarkotykowej? – podjął.

– Jeżeli Loïc podpisze ugodę na moich warunkach, nie wspomnę słowem o jego aresztowaniu.

– To tylko zatrzymanie!

– Zdaniem mojego adwokata dwanaście gramów w kieszeniach to dość, żeby oskarżyć go o nielegalny handel i paserstwo.

– Ty też jesteś niezłe poinformowana. A jeżeli odmówi?

– Wystąpię o rozwód z jego wyłącznej winy.

– Czym różnią się dla ciebie te dwie opcje? I tak będziesz górą.

– Jeżeli się zgodzi, będzie mógł regularnie spotykać się z dziećmi. Ale jeżeli zaczniemy walczyć w sądzie, więcej ich nie zobaczy, bo nie oddaje się dzieci pod opiekę handlarzowi narkotyków.

Chciał odchrząknąć, żeby pozbyć się palącego smaku żółci.

– Ale jak można ci zaufać?

– Po pierwsze, nie macie wyboru. Po drugie, ja też uważam, że dzieci potrzebują ojca.

– Pomówię z Loïkiem.

– Powinieneś to zrobić, kiedy cię prosiłam.

– Nie czujesz się podle, postępując jak szantażystka?

Skwitowała to śmiechem.

– Machiavelli, mój rodak, powiedział, że trzeba dostosować się do przeciwnika. Loïc to słabeusz, ale twój ojciec jest człowiekiem groźnym i przed nim muszę się chronić.

O wiele groźniejszym, niż ci się wydaje. Jeżeli będzie nadal postępowała w taki sposób, Morvan może nie cofnąć się nawet przed wynajęciem płatnego zabójcy. Jej polisą ubezpieczeniową były dzieci, bo stary chciał, żeby jego wnuki dorastały przy matce.

Nagle ogarnęło go potworne znużenie. Niech robią, co chcą, to ich sprawa

– tej włoskiej czarownicy i zdegenerowanego buddysty. I właściwie po co przeciwstawiać się rozwodowi? Loïc chciał jak najlepiej, ale był żalonym ojcem. Nikt nie rozumiał, dlaczego oficjalne rozstanie syna z żoną jest dla starego nie do przyjęcia i doprowadza go do szału. Nigdy przecież nie zaakceptował Sofii, a do złomiarza z Florencji pałał nienawiścią.

Erwan zamierzał zakończyć rozmowę, kiedy Sofia zaproponowała:

– A może po powrocie wybrałbyś się ze mną na kolację?

– Po co? – zapytał ostrożnie.

Znów się zaśmiała – szczerze i drwiąco. Teraz jej głos był o kilka tonów niższy i słyszało się w nim chrapliwą barwę włoskich piosenek.

– Zazwyczaj mam większe powodzenie.

– Przepraszam, oczywiście, pójdźmy na kolację.

– Kiedy?

– Za kilka dni – rzucił.

– Zadzwoń po powrocie, a ja zapytam adwokata, czy wolno mi z tobą rozmawiać.

Rozłączyła się, zanim wyczuł, czy żartowała. Zdenerwowany, schował telefon do kieszeni i skupił się na śledztwie. Właśnie miał wybrać link do strony poświęconej okrętom admiralskim, kiedy jakiś hałas odwrócił jego uwagę.

Uczepiony parapetu człowiek obserwował go przez okno. Erwan chwycił broń, dobiegł do okna i próbował je otworzyć, ale upłynęło co najmniej pięć sekund, zanim zorientował się, jak odblokować kłamkę.

Tymczasem tamten zeskoczył i pobiegł w stronę lotniska. Erwan oszacował wysokość – ponad trzy metry. Kolejne wyzwanie dla młodego człowieka.

Mimo wszystko przeszedł przez futrynę i stanął na rynnie. To było wykonalne, ale po korydzie w łaźni nieco ryzykowne. Skoczył, starając się jak najbardziej skulić, wylądował na trawniku, przeturlał się i z trudem wstał. Był obolały. Nie miał chyba ani skrawka ciała, który nie przysparzałby mu cierpienia.

Kto to mógł być?

Biegnij. Odpowiedź czeka u celu.

Noc miała sucho w gardle.

Cała woda, cała wilgoć z równiny została wyssana. Wydawało się, że niebo, powietrze i ziemia mogą pęknąć jak szklana tafla.

Erwan wciąż znajdował się na terenie szkoły. Między dwoma budynkami ujrzał idealnie płaski obszar, z którego w ciągu dnia na pewno widać było morze. Sylwetka uciekiniera rysowała się niczym czarny płomień w świetle latarni.

Erwan nie zmniejszał dystansu między nimi, wręcz przeciwnie – coraz bardziej zostawał w tyle. Ścigany nie miał wyboru, musiał pędzić przed siebie, więc prędzej czy później zmęczony da się dogonić. Policjant zarzucił wprawdzie uprawianie sztuk walki, ale wytrwale trenował biegi. Tym razem nie zamierzał pozwolić, by intruz mu się wymknął.

Wyszedł poza strefę chronioną przez hangary jak statek opuszczający redę i nagle noc odsłoniła swoje prawdziwe oblicze. Wściekły wiatr pędzący od oceanu o mało nie powalił go na ziemię. Odzyskał równowagę i kontynuował pościg. Tamten wciąż się oddalał, walcząc z podmuchami, klucząc od lewej do prawej, ale był coraz bardziej wyczerpany. Miał na sobie mundur polowy i czarny anorak. To był człowiek z bazy.

Erwan utrzymywał stały rytm. Ustawił się pod kątem czterdziestu pięciu stopni do wiatru i rozrywał tę noc jak nóż płótno namiotu. Od czasu do czasu przenikał go ból, ale rozgrzane ciało wyraźnie go tłumilo.

Od uciekającego dzieliło go około trzystu metrów, ale nadal nie przyspieszał, pokładając wiarę w otoczeniu. Po prawej i po lewej samoloty drżały pod plandekami. Słyszać było podzwanie i trzask niewidocznych lin i haków, przypominających o obecności statków cumujących w portach.

Lotnisko. Tu nie było już latarni, tylko słabe światła rozmieszczone w trawie. Szpieg zaczynał zdradzać objawy zmęczenia. Erwan wydłużył krok. Wiatr go nie spowalniał, ale wspierał, dlatego wchłaniał jego powiewy, spijał ich rześkość.

Uciekinier był dwieście metrów przed nim. Biegli teraz w przytłaczającej

ciszy. Maszty i samoloty zostały daleko za nimi. Był tylko porykujący wiatr, niebo, które rzucało na ziemię lśniące smugi perłowego światła, podobne do zorzy północnej, i ich kroki na cemencie – tap-tap-tap...

Sto metrów. Teraz Erwan miał przed sobą kark i obcięte na jeża włosy. Za mało, żeby rozpoznać osobę. Pięćdziesiąt metrów. Zamknął się na bodźce zewnętrzne i przeszedł do sprintu.

Trzydzieści metrów, dwadzieścia.

– STÓJ!

Odruchowo obrócił się wokół siebie, nie zatrzymując się, ale szukając w ciemnościach źródła głosu. Z okopu wyłonił się żołnierz z FAMAS-em w ręce. Baza w Kaerverec była strzeżona. Jak mógł o tym zapomnieć.

Niechętnie zwolnił. To był fatalny błąd, bo tamten biegł w najlepsze, wtapiając się już w ciemności. Policjant chciał coś krzyknąć, ale zabrakło mu tchu. Pochylił się, opierając dłonie o kolana i jęcząc. Każda sekunda powiększała przewagę uciekiniera. Z radia VHF dobiegł jakiś głos i wartownik zwrócił oczy na pas.

Erwan bez namysłu pognał przed siebie.

– STÓJ! STÓJ, BO STRZELAM!

Dudnienie butów, bieganina wokół niego. Syreny, ryk silników. Ogłoszono alarm. Wciąż biegł. W pustce nocy rozległa się detonacja. Strzał ostrzegawczy.

Próbował przyspieszyć. Czuł, że trafia na mur – granicę możliwości. Jeszcze kilka kroków i padnie na beton. Kolejne strzały. Żołnierze wyskakujący z samochodów. Trzaski, hasła wykrzykiwane ze wszystkich stron lotniska. Rozpędził się – tak działał strach, najpotężniejszy z bodźców.

Kiedy znalazł się w lesie, bezwiednie zwolnił. Kwas mlekowy palił całe jego ciało. We krwi miał maksimum adrenaliny. Przez łązy widział zdeformowane drzewa, ciemność przelewającą się jak smoła pomiędzy pniami. Za plecami miał żołnierzy. Pomyślał, że i tak przepadł, ale wtedy las zaczął się przersedzać – tylko wąskim pasem oddzielał poligon od plaży.

Piaszczyste wzniesienie. Za nim szum fal rozbijających się o brzeg. Był blisko uciekiniera. Odzyskując cień nadziei, wdrapał się na wydmnę i zobaczył potężne fale przyływu. Białe grzywy rozbijały się kilkadziesiąt metrów przed nim.

Nikogo. Tylko krzyki za plecami. Erwan padł na kolana, kiedy biała błyskawica rozdarła niebo. Pocisk. Nie, raca, żeby oświetlić teren. Patrol

zbliżał się do plaży i potrzebował światła.

Omiótł wzrokiem brzeg. Po lewej, w odległości dwustu metrów, zobaczył uciekiniera. Wstał i ruszył w jego stronę, kiedy iskry ze świstem opadały na piasek.

Pięćdziesiąt metrów. I znowu ciemność. Trzydzieści metrów. Uciekinier zataczał się jak pijak, zbliżał się do wody, brnąc po piasku. Mało brakowało, żeby padł na plażę. Dziesięć metrów. Erwan runął na niego i powalił. Przez chwilę tarzali się w pianie. Policjant złapał tamtego za kołnierz i odwrócił.

– Kim jesteś?! – wrzasnął.

Milczenie. Widział tylko jaśniejszą plamę twarzy. Fale napierały, omiatając ich nogi. Wiatr uniósł woń siarki.

– Kim jesteś?

Erwan podniósł pięść, gdy rozbłysła nowa flara. W jej świetle poznał tę twarz – gdzieś już ją widział, ale nie potrafił sobie przypomnieć gdzie.

– Skąd jesteś?

– Nazywam się Frazier. Jestem z „Charles’a de Gaulle’a”!

Był to jeden z oficerów marynarki, których spotkał na lotniskowcu, idąc oświetlonymi na czerwono korytarzami.

– Dlaczego mnie szpiegowałeś?

Białe światło na niebie migotało nad plażą. Erwan chwycił marynarza za kołnierz i ścisnął, jakby chciał go udusić. Żołnierze wypadli ze wszystkich stron. Zostało już tylko kilka sekund, żeby coś z niego wyciągnąć.

– Gadaj, do diabła!

– W piątkową noc coś widziałem.

– Gdzie? Na „Charles’u de Gaulle’u”?

Znów wybuchła flara.

– Mów!

– Ktoś wypłynął na morze. Na ETRACO.

– Ale kto?

Żrenice chłopaka zapłonęły. Erwan widział, że drżą mu usta. Za nim piana nabierała barwy miedzi i wyglądała jak wrzący metal.

– Puść go! Ręce do góry!

– Kto wypłynął na morze? Kto?

– Puść go, bo strzelam!

Policjant podniósł ręce. Stracił szansę. Rozstawieni na piaszczystym grzbiecie, pod ścianą sosen o metalicznym połysku, żołnierze trzymali go na

muszce.

I wtedy Frazier usiadł, złapał go za kołnierz i szepnął mu do ucha:
– Di Greco! Di Greco wypłynął tej nocy w morze!

Bar nazywał się „W Stronę Wama”.

Zaczął poszukiwania wczesnym wieczorem. Pytał portierów, barmanów, groził właścicielom knajp, zmuszał do obietnic, że jeśli ktokolwiek zobaczy tej nocy Gaëlle, natychmiast do niego zadzwoni. Potem zajął się odźwiernymi w drogich hotelach, włóczył się po klubach, których bywalcami byli miłośnicy orgii, po obskurnych barach na prawym brzegu Sekwany, ale te były jeszcze zamknięte.

Nikt nie widział jego córki. Nikt nic nie wiedział. Albo nikt nie chciał mówić.

Może nie był już dość zręczny, może zatracił zdolność perswazji. Powtarzał to sobie raz po raz dla dodania otuchy, kiedy siedział za kierownicą wynajętego z wypożyczalni Balarda golfa. Metoda Couégo: wmawiać sobie, że Gaëlle gdzieś się bawi i że chciała to przed nim ukryć.

Fakt, że zniknęła, nie był niczym nadzwyczajnym – w końcu była dorosła i prowadziła bardzo swobodny tryb życia. Niepokoiło go jednak, że wymknęła się jego szpiegom. Morvan znał córkę, nie przeszkadzało jej, że jest śledzona, wręcz przeciwnie – myśl, że ktoś donosi ojcu o jej wybrykach, musiała być dla niej miła. Ale tego popołudnia zmieniła sposób działania. Czy chciała dowieść swojej niezależności? Iść na potajemną schadzkę? Uciec? Morvan na pewno za wcześnie wpadł w panikę. Gaëlle po prostu odzyskała wolność na jeden wieczór. Jednak ojciec bał się, że dziewczyna wpadnie w bagno, z którego się nie wygrzebie. Prostytucja może utorować drogę do udanego małżeństwa albo zaprowadzić na cmentarz.

Dzięki DCRI miał dokładne informacje o dniu powszednim córki. Nie zachowywała się jak profesjonalistka. Pracowała sama, od przypadku do przypadku, zawsze w pogoni za swymi marzeniami. Jej partnerzy niezmiennie związani byli ze środowiskiem filmowców albo mieli bardzo grube portfele, co wychodziło mniej więcej na jedno.

Jeżeli nie dowie się niczego do rana, przeprowadzi wielkie manewry, wykorzystując środki, jakimi dysponował z racji stanowiska. Jednak równie

dobrze mógł wejść na dach i krzyżeć: „Moja córka jest kurwą” albo: „Nie jestem panem we własnym domu”. A przecież żeby zapewnić bezpieczeństwo innym, trzeba najpierw zadbać o porządek u siebie.

Siedząc w barze, rozglądał się po ciemnym, na pół pustym wnętrzu. Nie potrafił pojąć, jak można zamknąć się w takim miejscu na całą noc i nazywać to zabawą. Zapłacił za wodę mineralną i wyszedł.

Wracając do samochodu, myślał o innych troskach. Okłamał Erwana – nie miał już sygnetu. Zgubił go w zeszłym miesiącu, a może ktoś mu go ukraść. Po co? Żeby zostawić go na miejscu zbrodni?

Sprawa z Kaerverec przybierała dziwny obrót. Najpierw ten telefon di Greca. Od lat nie widział admirała o głowie jak cykoria. Powinien był spławić tego tyczkowego łajzę, ale zamiast to zrobić, obarczył śledztwem własnego syna. Wydawało mu się, że to dobra okazja, żeby odsunąć go od samobójstwa Marota. Czyżby po raz pierwszy w życiu zawiódł go instynkt?

Teraz to śledztwo stało się sprawą osobistą. Ktoś zaatakował na terytorium jego dawnego współnika, w pewnym sensie zmuszając do interwencji Morvana, bo przecież nie mógł pozostać obojętny, skoro na miejscu zbrodni pozostawiono kompromitujący go przedmiot. Ktoś próbował nim manipulować?

Nie przejechał nawet kilometra, a już znalazł nowe argumenty, by podsycić swoją paranoję. Najpierw pomysł książki, która mogłaby ujawnić jego przeszłość, potem śmierć Nseko, mającego rozdać na nowo karty w Katandze. A teraz ta historia z wrogim przejęciem Coltano czy coś takiego. Wolał nawet nie myśleć o wiadomości od Loïca. Jutro musi jeszcze raz pogadać z Luzekiem – człowiek w gorsecie na pewno czegoś się dowie.

Zaczynał się zastanawiać, czy wszystkie te wydarzenia nie są ze sobą powiązane. Czy nie kieruje nimi człowiek albo grupa, żeby doprowadzić do jego zguby. Kto? Miał tyłu wrogów!

Odruchowo pojechał do swojej dziupli na plac Beauvau. Spędzić resztę nocy w biurze i rano kontynuować? Nie. Musiał podjąć dalsze poszukiwania, ale przedtem coś zjeść. Skręcił w stronę hotelu Bristol, oddalonego o kilkaset metrów od ministerstwa.

Zostawił kluczyki parkingowemu. Pchnął drzwi obrotowe. Kiedy szedł przez hol, recepcjonista cofnął się za kontuar. Morvan przypomniał sobie, że parę godzin temu go popchnął. Skinął przyjaźnie na powitanie, pokazując, że nie jest już w bojowym nastroju.

Zajrzał do sali restauracyjnej, gdzie sprzątaczkę właśnie odkurzały, potem skierował się do kuchni. Kilku pomocników kucharza poznało go i pozdrowiło. Usiadł przy stole w głębi – lśniącej metalowej ladzie dla znajomych szefa.

Podano mu kanapkę z łososiem – jego ulubione danie – a do tego wodę mineralną. Nie musiał się nawet odzywać. Na widok butelki pomyślał o środkach uspokajających. Czy przyjął je dziś wieczorem? Z tą skłonnością do depresji i problemami z pamięcią powinien chyba pomyśleć o wycofaniu się.

Teraz głowę zaprzętał mu rozwód Loïca. Nie mógł go zaakceptować. Z przyczyn osobistych, znanych tylko jemu, ale także dlatego, że rozpad rodziny uważał za niedopuszczalny. W pewnym sensie było to jedyne, co zdołał zbudować i co mógł uznać za sukces – o ile pominąć tę nienawiść, którą siał wokół siebie, choć wcale tego nie chciał. Rozwód? Wykluczone. Nie uważał negocjacji z Lodową Dziewicą za przegrane, wiedział jednak, że będzie to trudna rozgrywka.

Delektując się kanapką, pogrążył się w marzeniach. Zapatrzył się w dal, nie zważając na sprzątających kucharzy. Szczęśliwe wieczory, które zdarzały się przypadkiem. Kiedy Erwan przebywał w szkole policyjnej Cannes-Écluse i znajdował czas, żeby wpaść na kolację przy alei Messine. Kiedy nastoletni Loïc rozświetlał dom swoją niezwykłą urodą, nawet nie zdając sobie sprawy ze swojej wyjątkowości (w rzeczywistości chłopak był już wtedy alkoholikiem, a ślepcem okazał się Morvan senior). Kiedy Gaëlle, jeszcze rozsądnie szczupła, w pizamce frotté, wyprosiła pozwolenie, żeby razem z braćmi oglądać wieczorem telewizję...

Trybiki jego pamięci zatrzymały się na tym obrazie: Gaëlle bezpieczna, chroniona przez złem. Po latach zmieniła się nie do poznania, zrobiła się przeraźliwie chuda, wyglądała jak gigantyczny owad z horroru.

Morvan odsunął talerz. Gaëlle zawsze stanowiła zagadkę. Tej nocy znowu nie potrafił jej odnaleźć. Podpisał rachunek – miał w hotelu otwarte konto – a potem pobiegł do toalety, żeby doprowadzić swój wygląd do porządku. Pierwsza w nocy. Opłukał twarz wodą i wygładził garnitur, pomięty jak zużyta chusteczka. Patrząc w lustro, rzucił sobie jałmużnę uśmiechu, jakby dawał banknot kłoszardowi.

Dość tego, wracamy na ulicę.

Od godziny Erwan starał się przeżyć.

Z braku helikopterów zdołał zarekwirować tylko hurricane'a. Całkowicie czarny zodiac długości jedenastu metrów, z odbijaczem z hypalonu i kadłubem z żywicy – jeden z owych sławetnych ETRACO komandosów marynarki. „Sześćset koni” – oznajmił z dumą Archambault, stając za sterami. Le Guen wziął na siebie rolę nawigatora i skupił się na radarze i GPS-ie. Verny popłynął z nimi.

„Trzeba będzie dobrze się trzymać – ostrzegł, kiedy wypływali z przystani – bo prognozy są kiepskie!”. *Doprawdy...* Wzburzone morze porwało ich natychmiast, wciągnęło do czarnego brzucha. Ten brzuch był pełen, wzdęty, zdawał się kryć rozwścieczone życie. Ta siła była zarazem macierzyńska i złowroga, gniewna, destrukcyjna. Jak Medea, która chciała ich pożreć.

Erwan został z tyłu, w kamizelce ratunkowej, uczepony poręczą fotela, zwrócony twarzą do fal. Dla bezpieczeństwa przywiązano go do siedzenia. Po bójce pod prysznicami i pościgu na lotnisku ledwie żył.

Archambault kurczowo trzymał się drążka. Jego nadgarstek był połączony ze sterami, tak żeby w razie upadku do wody zodiac nie popłynął sam do Anglii.

– Już lepiej? – zapytał Le Guen, odwracając głowę.

Homar stał się tu zyczliwszy niż na lądzie. Pewnie kierowała nim wielkoduszność zwycięzcy. Erwan pochylił się, żeby wymiotować. Nawet to mu się nie udało. Czuł odrażający oddech morza, przesiąknięty solą. Brał antyhistaminę na chorobę morską, jednak nie tylko nie pomogła, ale w dodatku dała odwrotny skutek: słyszał, że tego typu leki mają czasem działanie pobudzające, on natomiast zrobił się senny, zwłaszcza że już środki przeciwbólowe, które połknął przed wyjazdem, trochę go otepiły.

Mimo wszystko starał się analizować nowe fakty. Kiedy w bazie zapanował spokój, honorowo przeprosił za naruszenie „godziny policyjnej”, którą sam wprowadził. Pułkownik Vincq okazał się wyrozumiały i pozwolił mu dokończyć przesłuchanie Patricka Frazia, „spontanicznego świadka”,

który stał się przyczyną nocnego rodea. Oficer marynarki nie miał jednak nic do dodania – widział w piątkowy wieczór, około dwudziestej pierwszej, jak admirał di Greco wsiada do ETRACO i odpływa w stronę lądu. Stary człowiek nie chciał – choć wymaga tego zarówno jego ranga, jak i stan zdrowia – by towarzyszył mu pilot, co zresztą pociągało za sobą podpisywanie stosu dokumentów. Wymknął się dyskretnie, przez luk otwarty na morze, gdzie czekało wiele łodzi. Zdaniem Frazier'a admirał był niezrównanym marynarzem i mimo niedomagań fizycznych mógł sam dopłynąć do brzegu.

Dlaczego żołnierz nie zeznał tego wcześniej? Po co ta nocna wizyta i absurdałna ucieczka? Ale pytania właściwie zawierały już odpowiedź: po kilku dniach wahania Frazier zdecydował się mówić, lecz chciał to zrobić jak najdyskretniej. A poza tym nawet w takich warunkach dopiero w ostatniej chwili zdołał się przełamać – tu nie zaczęła się komendanta.

Silniejsza fala wyrwała Erwana z zadumy. Poczł, że żołądek podchodzi mu do gardła i już wyobrażał sobie, jak wypluwa go na pokład, a potem patrzy na ten drgający niczym dusząca się ryba ochłap. Żeby uwolnić się od takich rojeń, uniósł głowę, ale widok także przypominał scenografię horroru. Czarne fale wznosiły się w deszczu potężne jak skały pulsujące oddechem olbrzyma, a opadając, mogły w każdej chwili ich pochłonać.

Spuścił więc wzrok, zacisnął zęby i skupił się na sprawie. Co tamtej nocy robił na łodzi di Greco? Czy jego wyprawa miała związek ze śmiercią Wissy? Albo z otrzęsinami? Czy admirał był zleceniodawcą morderstwa? A może chciał utemperować żołnierzy, czując, że atmosfera zrobiła się za gorąca? Kiedy wrócił na lotniskowiec? Te wszystkie pytania policjant zamierzał zadać samemu bożyszczu szkoły wojskowej.

Natomiast tak nagła wyprawa na „CDG” nie była dobrym pomysłem, bo po pierwsze, warunki meteorologiczne zupełnie jej nie sprzyjały, a po drugie, wezwanie admirała na ląd – nie do Kaerverec, ale na posterunek żandarmerii – byłoby znacznie lepszą strategią niż starcie z nim na jego własnym terytorium. Erwan postawił na inną taktykę – zaskoczenie. Nie powiadomili nikogo o swoim przybyciu i teraz pozostawało mieć nadzieję, że zostaną wpuszczeni na pokład.

Gwałtowne uderzenie fali położyło kres refleksjom. Spieniona kipiela wypełniła ETRACO niczym basen. Verny szybko się odpiął i sprawdził system odprowadzania wody umieszczony pod pływakami, pozwalający

pozbyć się jej w ciągu kilku sekund. Po minucie znów siedział przypięty do swojego miejsca.

Erwan nie bez satysfakcji, choć i lekkiego poczucia winy, stwierdził, że jego kompanów ta morska wycieczka też nie bawi. Ubrani w odblaskowe kamizelki ratunkowe, po sporej dawce środków zapobiegających chorobie morskiej, nosili nawet okulary do nurkowania, co zalecił Archambault, i wszyscy mieli zielonkawą cerę.

Kolejna fala przyszła, kiedy Erwan zapadł w odrętwienie bliskie drzemki. Potrząsany, huśtany, zalewany wodą, raz po raz tracił świadomość, gubiąc się na targanym sztormem morzu. Zaciśnięte na poręczy palce już do niego nie należały.

Czyjś głos przywołał go do rzeczywistości.

Nie umiałby powiedzieć, kto krzyczał, zrozumiał tylko nazwisko Verny. W końcu dotarło do niego, że żandarm zniknął. Ponieważ raz po raz wstawał, żeby wylewać wodę, najprawdopodobniej wypadł za burtę.

Upłynęła chwila, zanim Archambault wstał i przejął stery, krzyżąc na całe gardło:

– Niech nikt się nie odpina!

Le Guen wpatrywał się w ekran GPS-u, osłaniając go dłońmi, żeby lepiej widzieć. Erwan przypomniał sobie, że kamizelki ratunkowe są wyposażone w nadajnik lokalizujący. Należało mieć nadzieję, że Verny zdążył go uruchomić.

Archambault wykonał ostry skręt i zawrócił. Wszyscy przecierali okulary, wpatrując się w wodę. Nagle w odległości pięćdziesięciu metrów od łodzi w spienionej wodzie zamigotało światelko, jakby życie pulsowało w ogromnej gardzieli. Archambault podpłynął bliżej i ustawił się dziobem do wiatru. Verny utrzymywał się na falach, miotając się w sztormiaku i walcząc z własnym ciężarem, ciągnącym go pod wodę.

Zanim Erwan zrozumiał, co się dzieje, Le Guen odpiął pas, zrzucił kamizelkę ratunkową i ubranie. Pod spodem miał kombinezon płetwonurka. W ciągu kilku sekund założył maskę, płetwy i uprząż zabezpieczającą, którą zapiął w pasie. I wtedy Erwan zadał sobie pytanie, jak może twierdzić, że prowadzi śledztwo w tym świecie – przecież nic o nim nie wie.

Le Guen nurkował, połączony z zodiakiem liną. Głos Archambaulta był teraz słyszalny, co nie znaczy, że Erwan mógł zrozumieć słowa – po prostu dobiegał go głos. Ten gardłowy krzyk wciąż powtarzał dwie te same sylaby.

Le Guen ani na moment nie puszczał steru ani dźwigni silnika, niemal leżąc i próbując ustabilizować ETRACO.

– Lina!

Erwan wreszcie zrozumiał. Odpiął się, podpełznął na czworakach wzdłuż pływaków i dotarł do dziobnicy. W strugach deszczu i mgły zobaczył chłuszczącą pokład linę. Była połączona z bębniem. Niezdarnie stanął za nim, mocno oparł stopy o odbijacz, zacisnął ręce na uchwytach po obu stronach bębna i czekał na znak kapitana.

Archambault wciąż manewrował, utrzymując zodiaca w takiej pozycji, by nie zalewała go woda. Silniki wyły, jęczały, warczały, śruba napędowa była spienioną wodą. Archambault uniósł rękę: Le Guen miał już Verny’ego. Erwan obracał kołowrót, przełamując własny ból.

Wkrótce ich zobaczył: związani ze sobą, byli kilka metrów od łodzi, znikali i pojawiali się, zdani na łaskę fal, jakby bawili się w chowanego pośród białych grzywaczy. Erwan kręcił coraz szybciej.

I wreszcie wyłonili się zza burty i uczepili uchwytów. Homar coś krzyczał. Po chwili niepewności Erwan zrozumiał, że wciąż zwija linę, a zatem ciągnie ich i przygniata do burty. Szybko podszedł do nich.

Przyklękął, potem wstał, wciągnął Verny’ego, który poturlał się po pokładzie. Jeszcze trochę wysiłku i również Le Guen był po bezpiecznej stronie. ETRACO wciąż skakało jak szalone, a fale były tak wysokie, że mogły wywrócić łódź. Ale wszyscy byli cali i zdrowi, więc przez kilka sekund czuli wyraźną ulgę. Nie ruszali się, ciesząc się zwycięstwem nad żywiołem.

A potem znów usłyszeli ryk fal. Erwan otrzeźwiał. Verny kasłał, wymiotował, bełkotał słowa modlitwy i podziękowania. Le Guen w kombinezonie płetwonurka usiłował uwolnić się z uprzęży, jego nogi oplątała lina wijąca się jak nić z kłębka olbrzyma.

Erwan podjął decyzję. Na czworakach podszedł do sterującego Archambaulta, trochę się uniósł i krzyknął do niego:

– Wracamy!

– Co?

– Wracamy!

Archambault wyciągnął palec i odparł:

– Za późno! Dopłynęliśmy!

Gliniarz odwrócił głowę i ujrzał czarną ścianę. Za mgłą i wzburzonym

morzem widać było jednolitą, czarną powierzchnię, której nie rozjaśniało żadne światło. Ten okręt pośród sztormu tworzył isticie dantejską scenę. Ciemniejszy od mroku otaczającej go nocy, potężniejszy od nawałnicy, wydawał się niewzruszony, obojętny na panujący wokół chaos, nieruchomy jak skała, o którą roztrzaskują się gniewne fale.

Erwan przewrócił się na plecy, odbił od czegoś i rozłożył ręce jak bokser, którego uratował gong. I wtedy z przyprawiającym o dreszcz zgrzytem w ciemnościach otworzyły się wrota, odsłaniając platformę o żółtych brzegach. Erwanowi nasunęło się skojarzenie z budzącymi grozę skrzelami, z przesmykiem pulsującym w brzuchu morskiego potwora. Otwór obramowany dwoma masywnymi łańcuchami miał w sobie coś niesamowitego. Zmieściłyby się w nim potężne cysterny i całe eskadry żołnierzy. Śączące się z niego światło było czerwone.

Archambault dodał gazu. Le Guen, jeszcze chwiejący się na nogach, krzyczał do radia. Verny trzymał się poręczy, a wciśnięty w fotel Erwan patrzył jak zahipnotyzowany na światło, które padało na powierzchnię wody.

Platforma zdawała się leżeć na grzywach fal niczym stalowy peron. Zodiac podpłynął bliżej. Archambault przyspieszał, zwalniał, piął się w górę, opadał, pokonując ostatnie przeszkody, podciągając tył, ześlizgując się i zygzakując, aż pokonał grzbiet. W końcu wyciągnęły się bosaki, rozległ się metaliczny dźwięk kotwic, a liny opadły do czerwonej wody.

To był naprawdę kojący widok – jakby ktoś przywrócił ich do życia, wyrываяc ze szponów śmierci. Erwan miał łzy w oczach.

Tej nocy to nie rybacy złowili wieloryba, ale wieloryb połknął łódź śmiałków.

Kiedy zeszli na platformę, wcale nie wyglądali na oddział szturmowy, który przybywa przesłuchać podejrzanego. Przemoczeni do suchej nitki i brudni wzbudzali politowanie. Po Vernym widać było, że o mało się nie utopił. Le Guen wciąż miał na sobie nasiąknięty wodą kombinezon. Archambaultowi drżały ręce po zmaganiach ze sterem. Erwan zwiesił zakapturzoną głowę, pełen pokory wobec boga morza.

Tym razem witali ich nie tylko ludzie obsługujący platformę. Wokół stali komandosi z bronią gotową do strzału. Klapa za nimi podnosiła się powoli, zamykając stalową, świecącą na czerwono paszczę. Wszyscy schronili się już na lotniskowcu.

– Co wy tu robicie? – warknął kapitan komandosów.

– Przypłynęliśmy przesłuchać admirała di Greco – odparł równie ostro Verny.

Fale dudniły o kadłub i trzeba było krzyczeć, żeby się porozumieć.

– Macie jakiś nakaz, dokument?

– To zbędne, jesteśmy grupą dochodzeniową wyznaczoną przez prokuraturę w Breście do działania w ramach śledztwa w sprawie śmierci żołnierza Wissy Sawirisa. Jesteśmy uprawnieni do podejmowania wszelkich działań i prowadzenia przesłuchań służących dobru sprawy.

Żandarm wygłosił tę mowę bez zajknięcia. Całkiem nieźle jak na kogoś, kto przed chwilą patrzył śmierci w oczy. Ale na oficerze nie zrobiło to wrażenia. Wyjął spod sztormiaka radio, odwrócił się plecami do wiatru i mówił, pochylając się, jakby próbował zapalić papierosa.

– Musimy poczekać na kapitana – powiedział, zwracając się do nich.

– Idziemy – rzucił bliski szau Erwan. – Dołączy do nas.

Żołnierze zgodnym ruchem odcięli mu drogę, przeładowując broń. W tej samej sekundzie broń wyjęli Verny i Archambault. Napięcie potęgowała jeszcze szkarłatna poświata.

– Spokojnie.

Wszystkie oczy zwróciły się tam, skąd dobiegał głos, który zdominował

łoskot morza. Mężczyzna w ciemnej kurtce stał otoczony czerwoną poświatą. Niski, około pięćdziesiątki, był bez eskorty i bez widocznych dystynkcji. Erwan domyślił się, że to on dowodzi lotniskowcem.

– Kapitan Martin – przedstawił się, potwierdzając te domysły. – Wydaje się panom, że na „Charles’a de Gaulle’a” można sobie tak po prostu wejść? Za kogo się uważacie?

Erwan przedstawił się i krótko opisał sytuację, powtarzając z grubsza mowę Verny’ego, ale językiem bardziej powściągliwym i bardziej dostosowanym do okoliczności. Oficer nie odpowiadał. Komandosi skupili się wokół niego, nie opuszczając broni.

– Dlaczego chce pan przesłuchać admirała? – zapytał w końcu.

Przez otwarte drzwi dobiegał tak potężny świst wiatru, że głosy ludzi przypominały szmery rozlegające się w ciemnościach. Mimo to Martin nie krzychał. Był panem tego miejsca, panem zawieruchy.

– Tajemnica śledztwa – odparł Erwan. – Wydaje mi się, że admirał jest wystarczająco dorosły, żeby samodzielnie podjąć decyzję i porozmawiać z nami albo posłać nas do diabła, jeśli tak podpowie mu serce.

Używał potocznych zwrotów, żeby przełamać lody, ale ta próba spaliła na panewce. Człowiek w ciemnej kurtce zachował milczenie. Żołnierze wciąż trzymali ich na muszce.

– Czy to ma coś wspólnego z oficerem marynarki Frazierem?

A zatem ta wiadomość dotarła tu przed nimi. Młody oficer najprawdopodobniej wymknął się z lotniskowca, żeby złożyć zeznania. Ale Erwan był pewien, że nikt tu nie znał ich treści.

– Przykro mi, nie mogę odpowiedzieć na to pytanie. Musimy zobaczyć się z admirałem.

– Jest trzecia nad ranem.

– Skoro przyplłynęliśmy tu o tej porze, to najwyraźniej chodzi o...

– Stan jego zdrowia uniemożliwia spotkanie z panami.

– Mam propozycję, zrezygnujemy z przesłuchania, ale przedstawimy mu przynajmniej nasze oczekiwania. Zajmiemy mu najwyżej kilka minut, żeby go powiadomić o potrzebie zeznań, a on sam wyznaczy termin spotkania. Jeśli będzie mógł przyjąć nas rano, zaczekamy na okręcie.

– A jeżeli śpi?

Te prozaiczne szczegóły najlepiej oddawały sytuację: w oczach wszystkich di Greco był już tylko schorowanym starcem, dogorywającą legendą.

– Podczas naszej pierwszej rozmowy – zablefował Erwan – admirał wspomniał, że cierpi na bezsenność. Nie sądzę, żebyśmy mogli zakłócić mu odpoczynek. – Uśmiechnął się. – Prawdopodobnie obserwuje sztorm przez okno kajuty.

Kolejna próba ocieplenia atmosfery spełzała na niczym – nie mówiło się w ten sposób o przełożonym. Oficer spojrział na żołnierzy, wciąż trzymających broń w pogotowiu. Jeden jego gest wystarczył, żeby opuścili karabiny.

– Dziesięć minut. Z zegarkiem w ręku. Sam panów do niego zaprowadzę.

Korytarz. Winda. Czerwone światła. We wnętrzu statku zapominało się o sztormie, ale Erwan miał jeszcze słoną wodę na dnie kieszeni, a pokład kołysał mu się pod stopami. Wydawało mu się, że przesiąknął morzem, jego gniewem.

Druga winda. Kolejny korytarz. Przed drzwiami admirała eskorta zatrzymała się, pozwalając policjantowi zapukać: w końcu był to jego pomysł. Uczynił to jak woźny sądowy dostarczający wezwanie.

Cisza.

Zapukał jeszcze raz, głośniejsze.

Wciąż brak reakcji.

Erwan spuścił oczy. Spod drzwi wydobywała się smuga światła. Wymownie spojrział na kapitana. Zrozumieli się.

– Mamy klucz.

Na znak kapitana jeden z jego ludzi wyjął pęk kluczy, wybrał właściwy i obrócił go w zamku. Po chwili wahania Erwan wszedł do kajuty, trzymając rękę na broni.

Plafonierzy były zapalone. Wszędzie panował taki ład – a raczej nieład – jak za pierwszym razem. Piętrzące się dokumenty, rulony map, przepełnione szafy.

Siedzący za biurkiem, przy okienku, które stanowiło „jedyny przywilej” dowódcy, di Greco miał zmasakrowaną twarz. Kula roztrzaskała mu czaszkę i wyrwała z niej mózg.

Był ubrany w niebieski mundur bez dystynkcji. W ręku trzymał wciąż broń, której użył, żeby położyć kres swemu życiu – berettę 92G, tak dobrze znaną Erwanowi, mającemu taką samą w BRI. Policjant podszedł bliżej i stwierdził, że krew nie zdążyła jeszcze zastygnąć – do samobójstwa doszło w ciągu minionej godziny, kiedy już tu płynęli. Czy ktoś go uprzedził? Czy

wiedział, że prędzej czy później zostanie aresztowany?

Erwanem targały mieszane uczucia. To samobójstwo zostanie uznane za przyznanie się do winy. Będą naciski, żeby jak najszybciej zamknąć śledztwo. Straci szansę na uzyskanie odpowiedzi na nurtujące go pytania. Jakie były motywy zbrodni? Okoliczności? Jak mogło do tego dojść?

Pochylił się, żeby sprawdzić, czy di Greco zostawił list pożegnalny.

Leżał na stole – złożona kartka pokryta drobniutkimi plamami krwi. Erwan stanął obok zmarłego, żeby móc odczytać list i rozłożył kartkę. Wysokie Schorowane Ciało pozostawiło po sobie tylko jedno napisane wielkimi literami słowo:

LONTANO

Nam-myoho-renge-kyo... Nam-myoho-renge-kyo... Nam-myoho-renge-kyo...

Loïc szeptał cichutko *Sutrę Lotosu* w japońskiej wersji Nichiren. Najważniejsze zdanie, jakie zawierała ta sutra, często było dla niego natchnieniem w najtrudniejszych sytuacjach. Nie spał, a przecież to był dopiero początek kłopotów. Kiedy upłynie czas zatrzymania, stanie przed sędzią, zacznie się śledztwo i – dlaczego nie – może czekać na proces w więzieniu. Dwanaście gramów koki to nie błahostka, coś takiego wymagało działań prewencyjnych.

O prawdziwej karze wołał na razie nie myśleć – Sofia bezlitośnie wykorzysta ten zarzut, ta dziwka, która jest jej adwokatem, nie omieszka wystąpić o natychmiastowe ograniczenie jego praw rodzicielskich. Zabiorą mu dzieci, będzie mógł je widywać parę godzin w miesiącu, i to z policjantem w roli niańki.

Nam-myoho-renge-kyo... Nam-myoho-renge-kyo...

Choć bardzo się starał, w tej ponurej szklanej klatce nie umiał oczyścić umysłu. Żałośnie przyziemne pytania przyprawiały go o ból głowy. Kto go wydał? Ten ostatni dealer? A może mściwe czarnuchy? Ale to nie było w stylu ani jednego, ani tych drugich.

Idealną podejrzaną była Sofia. Przymknął oczy i przegnał wzbierającą w nim nienawiść. Dla buddysty nienawiść i miłość są sobie warte, toteż trzeba wyjść z kręgu pasji – i tych dobrych, i tych złych.

Chwilowo chętnie zadowoliliby się wyjściem z tej celi. Jego sąsiad – kloszard, który „znał swoje prawa” – muczał jak cielę i kopał szybę. Loïc zrezygnował z modłów.

Z braku lepszych zajęć skupił się na przeszłości. Na najlepszym okresie swojej złotej legendy.

Kalkuta, luty 2001.

Nigdy się nie dowiedział, jak znalazł się w stolicy Bengalii Zachodniego.

Prawdopodobnie usunięto go z jachtu, którego był skipperem, po tym, jak ktoś przyłapał go na wążaniu rozpuszczalnika w maszynowni albo czymś w tym rodzaju. Na Andamanach wsiadł na pokład statku handlowego, a potem popłynął z rybakami do Sundarbanów, największych na świecie lasów namorzynowych. Zapamiętał stamtąd tylko jedno, *maddock*, tani narkotyk uzyskiwany ze słomy makowej pozostałej po zbiorach. Palił go, leżąc na dnie łodzi.

Kiedy dotarł do Kalkuty, można było go wziąć za sadhu. Ubrany w gałgany, był tak brudny i spalony słońcem, że zrobił się czarny. Broda opadała mu na piersi, paznokcie zawijały się jak szpony, we włosach zagnieździły się wszy.

Wybrał sobie patronkę: Kali, groźną, złowrogą boginię, która czuwała nad miastem. Ubrana w tunikę bez rękawów, wyciągała krwawy język i niszczyła wszystko, co jej się nie podobało. Była dobrym symbolem stolicy. W tamtych czasach dziesięć milionów mieszkańców wegetowało w cieniu popadających w ruinę wiktoriańskich pałaców. Żebracy, trędowaci, kramarze, urzędnicy, sadhu, bramini, intelektualiści, niedotykalni – wszystko to płynęło ulicami nieprzerwanym strumieniem.

Loïc płynął z prądem, wydając ostatnie dolary na wątpliwej jakości heroinę i podrabiane opium. Mieszkał w bramach, jadł resztki ryżu, pił *chai* za jedną rupię. W rzadkich chwilach otrzeźwienia szedł do parku Maidan, niosąc pod pachą książkę o wyświechtanych kartkach, *The Gospel of Sri Ramakrishna* w wersji angielskiej. Rozumiał z niej co drugą linijkę, ale miło mu było myśleć, że umrze z tą książką w ręku.

Pewnego dnia, kiedy ukucnął na chodniku, zauważył, że jego nogi zaczynają gnić. Nie spanikował – dostał to, o co się prosił. Zdechnie w tych łąkach, rozdepczą go tysiące buciorów, sandałów, bosych stóp, a on do końca będzie marzył o bogach, których imion nie potrafił wymówić. Uśmiechnął się, gotów roztopić się w zapachu kwiatów i smrodzie gówna w Kalkucie. A po reinkarnacji powróci jako bóg albo jako kamień.

I wtedy usłyszał nad głową głos:

– Ty, czas wrócić do rzeczywistości.

Loïc usiadł i zobaczył zamazaną postać Europejczyka o okrągłej, szarej twarzy, pomarszczonej jak zadek słonia. Osobnik miał na sobie konopną szatę przewiazaną potrójnym sznurem bramina, symbolizującym trzy zobowiązania człowieka: wobec mędrców, wobec przodków i wobec bogów.

W półśnie pomyślał: „Jeszcze jeden biały, który za dużo wypalił”, a potem zemdłał. Późniejsze wspomnienia były poplątane. Wstrzyknięcia. Kroplówki. Delirium. Ale nie był na głodzie. Poza tym zapamiętał zapach kamfory, zwiędłych kwiatów i wilgotnej ziemi. Uporczywa gorączka. I dużo snu.

Kiedy Loïc się obudził, indyjski lekarz przedstawił mu sytuację: przewód pokarmowy zżarły mu pasożyty, w brzuchu wciąż trzęsie się od robaków, ciało ma pokryte ranami i bliznami, no i choruje na szkorbut. Jedyne dobre wiadomości – nie zaraził się AIDS i uniknął amputacji.

Przypomniał sobie, że wypadł z łodzi w rejonie Sundarbanów. Popatrzył na pokaleczone kolana i ropę sączącą się z ran.

– To się nazywa gangrena. Powstrzymaliśmy rozwój infekcji.

Powinien podziękować lekarzowi, ale nie był w stanie. Jego kończyny drgały, ciało było rozpalone. Prosił, a właściwie błagał, żeby mu coś wstrzyknięto, cokolwiek, byle wrócił do stanu nieświadomości i uwolnił się od czucia.

Śpiączka.

Kiedy odzyskał przytomność, nie mógł pozbierać myśli. Guru był przy nim, tym razem trójwymiarowy. Miał około sześćdziesiątki, wyglądał na bogatego i dobrze odżywionego. Ubrany w białą marynarkę ze stójką w stylu Mao, luźne lniane spodnie ze szkockimi akcentami. Opowiedział mu o koszmarach i halucynacjach. Wy tłumaczył mu, że ma to związek z uzależnieniem, z roślinami, które mu podawano.

– Tu?

Mówił o prawdzie, mądrości, jedności. Mówił obrazowo, posługując się parabolą.

– Czy my się znamy? – zdołał w końcu zapytać Loïc.

– Dwa lata temu byłeś skipperem na jednym z moich jachtów.

Niczego sobie nie przypominał. Mężczyzna wyjął nożyczki i zaczął obcinać mu włosy, paznokcie, brodę.

– Hinduizm nic ci nie da – powiedział, kiedy na pościel opadały włosy i paznokcie. – Nie sądzę też, żeby odpowiadał ci klasyczny buddyzm. Mam na myśli hinajanę i mahajanę. Dla ciebie odpowiednia będzie wadžrajana, Diamentowy Wóz. Buddyzm tybetański.

– Co to znaczy?

– Że jutro wyjeżdżamy.

Nie wylądowali w Lhasie, tybetańskiej stolicy, ale w Kunming

w prowincji Junnan, niedaleko południowo-wschodniej granicy kraju. Szkotowi zależało, by trzymali się określonego szlaku, zmierzając do podnóża Himalajów. Najpierw samochodem terenowym, potem konno.

Znaleźli się trzy tysiące metrów nad poziomem morza. Ujrzeni gliniaste klify. W dali rzeka, ona też czerwona – załazek Mekongu. Loïc miał wrażenie, że wędruje po łonie olbrzymki, płodnym łonie indyjskiej bogini, która przycupnęła u stóp lodowców. Drżał z zimna, siedząc na koniu. Opatulono go jak nomadzkie niemowlę, ubrano w skóry i futra, a potem przywiązano do siodła. Pozostawało mu tylko podziwiać pejzaże i cierpieć, nie mogąc zaspokoić narkotykowego głodu.

Minęło kilka dni, zanim zrozumiał, że przemierzają zakazany rejon pilnie strzeżony przez wojsko ze względu na bliskość Złotego Trójkąta. Nie pojmował, jakie są intencje i motywacja Szkota. Jadąc z nim ramię w ramię, Loïc próbował go sprowokować.

- Tylko nie licz, że po tym wszystkim się z tobą prześpię.
- Nie przejmuj się tym, już to zrobiłeś.
- Kiedy?
- Podczas rejsu.

Tego też sobie nie przypominał. Mężczyzna nazywał się James Thurnee, pochodził z Edynburga i zbił majątek w Europie. Wielokrotnie. Najpierw na produkcji gitar elektrycznych i konsoli nagrywających, potem na telekomunikacji i wreszcie na internecie. Teraz zarządzał majątkiem na odległość. Mógł modlić się tu i tam, poświęcać się zrozpaczonemu ludziorom, którzy szukali u niego pomocy.

Mijały tygodnie znaczone, pośród chaosu, utarczkami z chińską policją, piekielnymi ulewami, lawinami błotnymi, przeprawami przez rzeki przy użyciu lin, gradobiciami, widokiem wywróconych ciężarówek, porzuconych na poboczach dróg, eksplozją w kopalni miedzi, gdzie pierwsi pospieszyli z pomocą.

Teraz natykali się na olbrzymów z czarnymi kokami, noszących za pasem srebrne sztylety, na kobiety o całkiem płaskich twarzach umazanych ziemią i mlekiem, które ściekały ze strugami deszczu. To byli Tybetańczycy – granica znajdowała się już blisko.

Pewnego dnia ujrzeni rozległą dolinę, a w niej wioskę z pobielanymi domami, które wyglądały jak z cukru. Ponad te domy wystrzeliwały dwie prostopadłościennie wieże, białe i potężne, po których pięła się winorośl.

Klasztor. A wokół łany jęczmienia i pszenicy kołyszące się na wieczornym wietrze i wtulające się w cień rzucany przez ogromne chmury, które tańcząc, przesuwają się po niebie.

Loïc nigdy nie widział niczego równie cudownego. Do oczu napłynęły mu łzy wdzięczności, zwłaszcza że jego organizm już się oczyścił – pokonał głód narkotykowy.

Rok pośród mnichów. Pobudki przy dźwięku trąbek, modły, nauki, zbiory, mandale. W Indiach zaznał uduchowienia, które oszałamiało jak gorączka. Tu wiara była silna jak zaciśnięta pięść. Thurnee najpierw zadbał o oczyszczenie jego organizmu, potem otworzył mu oczy i wreszcie uzdrowił duszę. Loïc przechodził jeszcze czasem potworne ataki głodu. Leżąc w łóżku w konwulsjach, błagał, żeby posiekano jego ciało i rzucono je na żer sępom, zgodnie z tybetańską tradycją. Ale nikt się nie pojawiał, a kryzys mijał. Wtedy Loïc znów żył dniem powszednim świątyni: modłami, medytacją, naukami.

Czasami myślał o ojcu, przekonanym, że syn pływa po morzach. W gruncie rzeczy jego metody przyniosły dobry skutek. Loïc poznawał wadźrajamę – czytał, słuchał, medytował. Modlitwa stała się dla niego nowym narkotykiem, tyle że o przeciwnym działaniu – opuszczał ciało, żeby lepiej poznać swą duszę.

Wtedy, wbrew wszelkim oczekiwaniom, Thurnee zaproponował mu powrót do świata iluzji, samsary, na padół łez, czyli do tego, co inni nazywają „rzeczywistością”. Buddyzm nie jest ucieczką, tłumaczył podopiecznemu, ale wzlotem. Zabrał go do Nowego Jorku, wprowadził w świat finansów. Loïca pasjonował ten świat skrajnej próżności. To przypominało grę w szachy. Ale trzeba było wciąż pamiętać, że to tylko gra.

Jednak nie uwolnił się od uczuć. Spotkał na Manhattanie Sofię i zakochał się od pierwszego wejrzenia. Żeby dodać sobie pewności siebie przy tej Włoszce, znów sięgnął po kokę. Jedna kreska starczyła, by zniweczyć dwuletnie wysiłki. To nic – był dowcipny, czarujący, namiętny i uwiódł dziewczynę. Thurnee znowu interweniował – zabrał go do specjalistycznej kliniki, gdzie wszczepiono mu tytanowe płytki chroniące przegrodę nosa.

Nie wymyślał mu, nie prawił kazań – Loïc nie potrafił tego zrozumieć.

– Słabostką namiętności jest ich nietrwałość – wyjaśnił Thurnee.

Miał rację – po siedmiu latach Sofia i Loïc gorąco się nienawidzili. Wkrótce zapomną o sobie, staną się sobie całkowicie obojętni.

Drgnął, słysząc zgrzyt zamka. Drzwi klatki się otworzyły. Loïc zauważył, że roszczeniowy kloszard zasnął, a czterej pozostali towarzysze z celi też drzemali.

Odruchowo spojrzął na nadgarstek – zegarek odebrano mu podczas rewizji osobistej.

– Morvan, idziemy.

Wchodząc za policjantem po schodach, powtarzał sobie, że nareszcie zostanie przesłuchany. Pozwólą mu skontaktować się z adwokatem, a ten wyciągnie go stąd w ciągu godziny.

Jednak w biurze nie czekał na niego policjant, tylko Sofia. Już zacisnął pięści, żeby dać jej w mordę. Szykował się, żeby ją dopaść, ale ona tylko rzuciła:

– Siadaj.

Usłuchał bez zmrużenia oka.

Prawdę mówiąc, przy Włoszce życie stawało się proste.

– Jak się tu dostałaś?

– To moja adwokat.

– Będziesz musiała wyjaśnić mi, jakie powiązania z sekcją antynarkotykową może mieć adwokat od prawa rodzinnego.

– Potrafi sobie poradzić.

– Owszem, bo podała im syna Morvana na tacy.

– Faktycznie, nie jesteś tu na przyjaznym terytorium. – Sofia uśmiechnęła się. – Przekonałam się, że twój ojciec ma w policji nie tylko sprzymierzeńców.

Skrzywił się, ale głos uwiązł mu w gardle. Jego narządy ogarnął skurcz, fala gorąca zalała mu klatkę piersiową, przekształciła się w paniczny lęk. Głód. Sofia do niego mówiła, ale on jej nie słyszał.

Pot zalał mu twarz. Mrugał, jakby oślepiło go światło. Po chwili jakoś się pozbierał.

– Czego właściwie chcesz?

– Dogadać się z tobą.

Uniósł ręce – policjanci wcześniej go skuli.

– Faktycznie, jestem w położeniu wymarzonej do negocjacji.

– Za to w tym położeniu możesz mnie wysłuchać i pomyśleć.

Nie pamiętał już, żeby kiedyś kochał Sofię. Teraz była znacznie bardziej realna, znacznie bardziej wiarygodna w roli wroga. Obawiał się jej ataków, strategii, manipulacji. Stała się jego boginią Kali.

– Według mojej adwokat zostaniesz oskarżony o nielegalny handel narkotykami i paserstwo. Nawet jeżeli twój ojciec coś wymyśli, to pozostanie wzmianka o zatrzymaniu. A jeśli przedstawię takie dowody w sądzie rodzinnym, nigdy nie dostaniesz dzieci.

Zacisnęła szczęki. Zęby bolały go tak jak wtedy, kiedy żaden paryski dealer nie chciał sprzedać mu towaru.

– Co proponujesz?

– Co drugą środę i co drugi weekend.

– Nie ma mowy.

– Skoro nie chcesz, będziesz miał dwie godziny miesięcznie w obecności pani z opieki społecznej.

– Dlaczego to robisz? Nie nadaję się, żeby wychowywać własne dzieci?

– Nie, dopóki nie będziesz się leczył.

Leczyć się! Ile razy to słyszał? Jakby narkotyki były chorobą. Poważny błąd – one były remedium. Nigdy nie widział ćpuna, który byłby zrównoważony i szczęśliwy, zanim zaczął brać.

– Przyniosłam propozycję ugody na moich warunkach – podjęła Sofia. – Podpisz ją, a przysięgam, że podczas rozprawy nawet nie wspomnimy o tym incydencie.

– Dlaczego miałbym ci zaufać?

– Bo nie masz wyboru, a ja dotrzymuję słowa.

Otworzyła odwieczną torbę Balenciagi – staroć z miękkiej skóry, wielką jak torba myśliwska. Kupowała ten model systematycznie, bo wolała go od wszystkich innych. Wyjęła plik papierów i pióro w oprawce z masy perłowej. Każdy drobiazg przypominał Loïcowi, że była najelegantszą kobietą, jaką znał. A przecież nie była wcale lepsza od niego, bo oboje mieli ojców gangsterów.

– Musisz parafować każdą stronę.

Wziął pióro i zrobił, jak chciała. Przyciskana stalówka zgrzytała, kajdanki podzwaniały przy każdym ruchu.

– Nie przeczytasz?

– Nie.

Zanim nałożył skuwkę, diaboliczna chwyciła cyrograf i schowała.

– Podjąłeś słuszną decyzję.

– Dla kogo?

– Dla naszych dzieci.

Kajdanki wciąż pobrzękiwały – złożone na kolanach ręce Loïca ciągle drżały. Zapewne nie chcąc okazać, że to zauważyła, Sofia odwróciła głowę i zamknęła torbę. Wstała, przytłaczając nędzny pokój swą królewską postawą.

Ale jej uroda nie robiła już na nim wrażenia. Czuł się tak, jakby słuchał w radiu przeboju, który bardzo lubił: nuty, aranżacja i głosy pozostają dobre, ale czar nie działa. Czas wszystko zniszczył.

Dokładnie w tej sekundzie, kiedy wydawało mu się, że zagubił się na pustyni, gdzie nie ma ani nadziei, ani uczuć, wsunęła palce w jego włosy.

– Szkoda, że nie ma już z nami Jamesa – szepnęła.

Ta banalna uwaga dowodziła, że znała go jak nikt inny. James Thurnee, jego zastępczy ojciec, jego przyjaciel i kochanek, przed trzema laty zmarł na udar mózgu. Łoïc zalał się łzami. Gwałtownie, bez wstydu i opanowania, jakby ktoś ugodził go w serce. Po długiej chwili uświadomił sobie, że Sofia głaszcze go po głowie. To był po prostu przejaw czułości, za którym nie kryły się żadne zamiary.

Uniósł głowę i przejrzał się w jej oczach. Zobaczył przerażającą maskę rozpacz.

– Zastanawiałem się, czy coś masz – wybełkotał, pociągając nosem.

Sofia cisnęła mu torebkę koki prosto w twarz i wyszła.

Erwan nie kładł się spać.

Po odnalezieniu zwłok di Greca czekał razem ze współpracownikami na pokładzie lotniskowca na przybycie ekipy techników kryminalistyki. Odprawiono ich do mesy i mówiąc wprost – zamknięto. Spędzili kilka godzin na picciu kawy w milczeniu, próbując przetrwać katastrofę, która się wydarzyła. Erwan wiedział, że przeżywa tu jedną z najgorszych chwil życia, choć to już wiele razy stawiało go w trudnych sytuacjach. Postanowił nie dzwonić do ojca, dopóki nie będzie pewien okoliczności śmierci admirała.

Technicy dotarli na „CDG” helikopterem około czwartej nad ranem. Oficerowie, wysocy urzędnicy i politycy przybiegli za nimi spanikowani. Samobójstwo na pokładzie najważniejszego okrętu wojennego Francji musiało wstrząsnąć krajem. Równocześnie szukano bliskich krewnych admirała, aby powiadomić ich o jego zgonie. Nie miał nikogo, w każdym razie ani żony, ani dziecka. Di Greco, jak Drakula, żył samotnie w swoim zamku.

O szóstej rano, po briefingu z Neveux i współpracownikami, Erwan zarekwirował jeden z dauphinów, żeby wrócić na ląd. Zwłoki admirała miały zostać przewiezione po zakończeniu szczegółowych badań miejsca zdarzenia. Oficerowie, którzy z nim przyплыnęli, w ślad za nim opuścili pokład „Charles’a de Gaulle’a”, nie chcąc pozostawać ani minuty dłużej na tym nieszczęsnym okręcie (Archambault zostawił tu nawet swój ETRACO).

Podczas lotu Erwan nie odezwał się, tylko analizował fakty, żeby uzyskać prawdopodobne wyjaśnienie tego, co zaszło.

Hipoteza pierwsza: Jean-Patrick di Greco, winny śmierci Wissya Sawirisa, wiedząc, że został zdemaskowany, wolał położyć kres swemu życiu. Jego samobójstwo było formą przyznania się do winy i definitywnie kończyło śledztwo. Erwan nienawidził takich zakończeń swoich śledstw. Przypominały mu dowcip studentów medycyny: „Operacja się udała. Pacjent zmarł”. Czyn admirała nie rozwiązywał najważniejszych tajemnic morderstwa: braku motywu, słabości fizycznej...

W jego głowie rodziła się już jednak inna hipoteza, której, o dziwo, nigdy nie sformułował: Wissa Sawiris mógł być torturowany i okaleczony w samym „tobruku”. W takim razie zburzenie bunkra pomogło mordercy, ponieważ eksplozja zmiotła z powierzchni ziemi miejsce zbrodni i zatarła wszelkie ślady.

Wróćmy do di Greca. Kolejny scenariusz, który można nazwać odwrotnym, także był możliwy: admirał, czując, że Lisy grożą młodemu pilotowi, chciał go ochronić, a przynajmniej uspokoić elewów. Ponieważ mu się nie udało, zabił się, dręczony wyrzutami sumienia albo nieznośnym dla niego poczuciem klęski, ponieważ jego metody zawiodły, nie panował nad podwładnymi, a co gorsza – otworzył puszkę Pandory. Ta wersja także nie była satysfakcjonująca – po co było poświęcać tego elewa? Skąd tyle sadyzmu? Te niesamowite okaleczenia? Jak di Greco, najwyższy dowódca tej szkoły, mógłby nie poradzić sobie z Lisami?

Erwan rozważał także różne warianty tych dwóch hipotez. Di Greco nie zabił Wissy własnymi rękami, ale nakłonił swoich zbirów, by torturowali go, aż umrze. Uświadomiwszy sobie, że *no limit* posunęło się za daleko, popełnił samobójstwo. Albo pchnął Wisse do poddania się zbyt ciężkim próbom, a młody żołnierz, chcąc pokonać próg wytrzymałości, w pewnym sensie zgodził się na zaprogramowaną śmierć. Jednak żadna z tych hipotez nie przystawała do profilu mordercy – człowieka opętanego szaleństwem, mającego wiedzę medyczną, frustrata seksualnego o silnych skłonnościach sadystycznych.

Snuł te refleksje, ale zawsze powracał do tego samego punktu: piątkowa wyprawa na ląd w zestawieniu z samobójstwem di Greca przemawiała za tym, że to on był sprawcą, a co najmniej współwinnym morderstwa. Za kilka godzin to właśnie zostanie powiedziane podczas konferencji prasowej.

Najdziwniejsze było słowo pozostawione przez admirała: „Lontano”. Czekał na techników, szukał wskazówek w internecie. Uzyskał sporo odpowiedzi, ale żadna nie pasowała do sprawy ani do czynu di Greca.

Lontano oznaczało po włosku „daleko”. Di Greco był z pochodzenia Lombardczykiem, ale czy to coś wyjaśniało?

Lontano to także tytuł utworu dwudziestowiecznego muzyka György Ligetiego. Erwan poświęcił chwilę na wysłuchanie fragmentu – długie nuty wyłaniające się z dysonansu akordu, który trwał bez końca. Di Greco miałby myśleć o tej muzyce, strzelając sobie w łeb? Mało prawdopodobne.

Był to także tytuł pełnej ciepła melodii Ennia Morricone, która w latach siedemdziesiątych otwierała piękne wieczorne audycje jednej z francuskich stacji radiowych, *O brzasku piątego dnia*. Erwan nie wierzył, żeby admirał gwizdał *Lontano* Morricone, zanim nacisnął spust.

Lontano to także francuska firma muzyczna, angielski festiwal muzyczny, hiszpańska spółka spedycyjna, piosenka Luigiego Tenco, dystrybutor przypraw, marka džinsów i tak dalej. Jak zawsze w Google, okazało się, że to słowo oznacza wszystko, czyli nic.

Po powrocie do bazy Erwan pożyczył samochód, żeby pojechać do apteki – ból eksplodował w różnych punktach jego ciała jak fajerwerki. Do miasteczka było tylko kilka kilometrów. Przez czyszczące szybę wycieraczki zobaczył w końcu prawdziwe bretońskie miasteczko – domy z granitu i niebieskie okiennice, imponujące, lecz ponure.

Było jeszcze ciemno, ale Erwan wypatrzył plac otoczony czarnymi murkami, sklepiki, zdawałoby się, wykute w skale, dzwonnice wznoszącą się w tle niczym miecz. Znalazł w końcu zielony krzyż. Apteka była oczywiście zamknięta. Zapiął sztormiak i głośno zapukał do sąsiadujących z witryną drzwi mieszkania właściciela.

Legitymacja służbowa zastąpiła mu receptę.

– Proszę mi dać najsilniejszy środek przeciwbólowy, jaki pan ma.

Zaspany aptekarz wyciągnął pigułki, syrop, maści, zastrzyki, a potem udzielił kilku wskazówek – poinformował policjanta o porach i dawkach, o skutkach ubocznych. Przy każdym leku ostrzegwał:

–Tylko po zażyciu go proszę nie prowadzić auta.

Erwan zapłacił i zabrał wszystko. W samochodzie połknął rozsądną swoim zdaniem dawkę, posmarował się maścią przeciwbólową. Może zadziałał efekt placebo, ale w drodze powrotnej do K76 czuł się już lepiej.

Po powrocie do pokoju wszedł pod prysznic i zużył cały bojler wody. Otumaniony lekami, wciąż czując nudności, miał wrażenie, że łazienka wiruje.

Przebrał się i poszedł do Vincę, który też nie spał. Tej nocy dowiedział się nie tylko o samobójstwie admirała, ale także o zgodzie rodziców Wissy na wywiad dla gazety „Ouest-France”. Tekst miał pojawić się rano. Oficer miał już na biurku egzemplarz dziennika. Koptowie opowiedzieli o wszystkim. O brutalności otrzęsin, o bałaganie panującym w K76. O opóźnieniu, z jakim

wojsko poinformowało o dramacie. Nie kryli też, że możliwa jest inna wersja wydarzeń, które doprowadziły do śmierci ich syna. Morderstwo, a nie wypadek.

Vincę jechał na naradę sztabu kryzysowego, żeby przygotować konferencję prasową. Trzeba było uspokoić sytuację, podkreślić, że władze niczego nie ukrywają, wyznaczyć najważniejsze: obecnie śledztwo prowadzone jest w sprawie zabójstwa z premedytacją, w które z pewnością zamieszany był di Greco.

Pułkownik nie sprawiał wrażenia zasmuconego śmiercią admirała, który dla niego prawdopodobnie już od dawna był martwy. Stał się rodzajem zombi, zatruwał życie szkoły swoimi ezoterycznymi mowami i kultem siły.

Erwan streścił w kilku słowach to, co wydarzyło się na lotniskowcu. Na razie nie miał nic więcej do powiedzenia. Na pewno Neveux po przeprowadzeniu analiz potwierdzi tezę o samobójstwie, znajdując ślady prochu na palcach admirała, określając kąt strzału na podstawie rany i rozprysku krwi. Wspomniał też o słowie napisanym przez di Greca, ale Vincę nie wyglądał na zainteresowanego – spieszyło mu się i chciał zakończyć tę rozmowę, wytyczyć granice. Erwan nie został zaproszony ani na wewnętrzne zebranie, ani na konferencję prasową. Armii zależało, żeby pokazać, że radzi sobie ze śledztwem, współpracując tylko z żandarmerią. Sprawa zamykała się w kręgu galonów i kepi.

O 7.30 Erwan stał na dziedzińcu szkoły. Opadły mu ręce, czuł się tu nie na miejscu. Deszcz nie ustawał. Flagi były nadal opuszczone do połowy masztu – ciekawe, czy z powodu Sawirisa, czy może di Greca? To pytanie pociągnęło za sobą inne: czy elewowie wiedzieli już o śmierci admirała?

Żeby się o tym przekonać, postanowił iść na kawę do mesy. Przeszedł przez dziedziniec i zdążył przemoknąć do suchej nitki, a potem schronił się w półmrocznej sali. Widział tylko sylwetki elewów, którzy jedli w milczeniu. Linoleum na podłodze, ściany wykładane PCW, stoły z formiki – wszystko tu było rozpaczliwie nijakie.

To milczenie było wymowne – tak, wiadomość już się rozeszła. Erwan zrobił kilka kroków i natknął się na wczorajszych wrogów – Gorce'a i jego gwardię przyboczną. Przy bufecie nalał sobie kawy i wziął dwa ledwie rozmrożone rogaliki. Idąc z tacą, jak w stołówce pracowniczej, udawał, że szuka miejsca. Zatrzymał się przy stoliku wroga i zapytał:

– Mogę usiąść?

Nie doczekał się odpowiedzi, więc przysunął krzesło i usiadł, jakby go zaproszono. Wypił kilka łyków kawy, ugryzł rogalika. Żołnierze nie odrywali od niego oczu.

Odurzony lekami przeciwbólowymi Erwan także ich obserwował, ale z isticie niebiańskim spokojem. Miejsce na końcu stołu zajmował Gorce, cały w bandażach. On też ucierpiał, chociaż nie bardziej niż przeciwnik. Na jego twarzy zastygł ponury grymas, jakby pilot cierpiał na porażenie nerwów twarzy.

– Jesteś z siebie zadowolony, psie?

Lewe oko nadal miał przekrwione. W panującym tu półmroku wydawało się, że wcale go nie ma.

– Przykro mi – odparł Erwan.

Nieprzespana noc w połączeniu z lekami pozbawiła go odrobiny agresji, koniecznej w takich sytuacjach.

– Przykro ci? – powtórzył Gorce, uderzając pięścią w stół.

– Śledztwo trwa. Musimy...

– Jest ci przykro!

Pilot wstał, zaciskając pięści. Erwan lekko odsunął krzesło.

Rewanżowy mecz nie wchodził w grę. Gorce jednym ruchem zmiotł ze stołu nakrycia i rzucił się na Erwana, który zdążył tylko odskoczyć do tyłu. Był przekonany, że tamten go pobije, ale z nieznaney mu przyczyny koledzy unieruchomili swego przywódcę. Żołnierze siedzący przy innych stolikach pospieszyli im z pomocą. Rozjuszony pilot krzyczał i wymachiwał nogami, ale został poskromiony.

Erwan ruszył ku wyjściu, teraz już przekonany, że w Kaerverec rozgrywał się podwójny dramat – przeżywano tu i śmierć nowego elewa, i samobójstwo starego dowódcy. Wszystko to jednak nie pasowało do obłąkańczego bestialstwa zabójcy Wissy. Rozwiązania zagadki trzeba było szukać poza murami K76.

Zanim zdążył wyjść na zewnątrz, natknął się na Branelleca, który niósł pod sztormiakiem komputer.

– Udało mi się złamać zabezpieczenia! – oznajmił triumfalnie.

Komputer Sawirisa nie skrywał ani zaszyfrowanej korespondencji, ani sekciarskich materiałów, ani tajemnic wojskowych. W zabezpieczonej partycji Kopt miał po prostu czat i maile od doborowego korespondenta – samego di Greca.

Chronologia tej korespondencji była łatwa do ustalenia; kiedy Wissa dowiedział się na początku lipca, że został dopuszczony do testów, napisał list do admirała. Zapewne wyrażał w nim zadowolenie, podziw i entuzjazm, bo admirał odpowiedział mailem i tak zaczęła się prawdziwa korespondencja między nimi.

Początkowo dość chłodny, di Greco szybko stał się życzliwy wobec tego studenta – udzielał mu wskazówek i ostrzeżeń. Taki ton nie pasował do wyobrażeń Erwana o osobowości oficera, ale wiek i choroba z pewnością go zmieniły. Chyba że wciągnął Wisse w zasadzkę. Tak czy inaczej, policjant poznawał ten podniosły ton, który uderzył go, gdy rozmawiał z admirałem: di Greco pisał, by tak rzec, poważnym, sentencjonalnym stylem.

Erwan skupił się na wiadomościach z sierpnia. Zachęty przeradzały się w rozkazy, w wymagania. Wydawało się, że w ciągu kilku tygodni di Greco poddał chłopaka skutecznemu praniu mózgu. „Listy otwarte do młodego pilota” były czystą indoktrynacją, której cel stanowiło to, co admirał nazywał „chrztem”. Di Greco chciał wiedzieć, czy Wissa zgodzi się na równoległe szkolenie. Erwan nie miał czasu czytać wszystkiego, ale domyślał się, że mistrz wprowadzał już swego ucznia na ścieżkę bojowego *furor*.

W tej korespondencji było coś fascynującego. Po pierwsze, cechowała ją ogromna staranność – ani jednego błędu ortograficznego, składniowego, żadnych skrótów typowych dla SMS-ów. Po drugie, di Greco niczego nie ukrywał – ani nazwisk, ani miejsc. Wielokrotnie wspominał o „swoim zaufanym” Brunie Gorce, często mówił o *no limit* i wraku „Narvala”.

A zatem Erwan miał rację: od początku, jeszcze przed otręśninami, Wissa gotów był przejść rytuał znacznie bardziej ryzykowny. Chłopak najwyraźniej postanowił zaangażować się w tę grę „na śmierć i życie”, jak kamikadze.

– Robi wrażenie, co?

Erwan odwrócił głowę. Stojący za nim Branellec popijał kawę. Sala wykładowa, w której siedzieli, przypominała studio nagrań. Komputery pracowały pełną parą – sondowały, rozszyfrowywały, przetrząsały niematerialny świat internetu. Płatanina kabli leżała na podłodze. Drukarki trzeszczały na stolikach. Twarde dyski burczały pod ścianami, na których rozwieszono mapy sztabowe i przekroje samolotów. Człowiek-Tyczka nie poprzestał na złamaniu zabezpieczeń komputera Wissy, analizował zawartość całego sprzętu komputerowego na terenie szkoły, a także okoliczne połączenia z Internetem.

– Standardowe pranie mózgu. – Erwan starał się banalizować odkrycie. – Nie sądzę, żebyśmy znaleźli tu klucz do zabójstwa.

– Nie wiem, czego pan potrzebuje. – Informatyk podszedł i napisał coś na klawiaturze, stojąc za plecami gliny. – W ostatnim mailu di Greco wyznaczył Wissie spotkanie na „Narvalu” w piątek o dwudziestej drugiej.

Branellec miał rację. Przez moment Erwan gotów był uznać sprawę za zamkniętą – miał sprawcę: starego, zgorzkniałego człowieka, sadystę i manipulanta. Motyw: chęć czynienia zła i kult cierpienia. Okoliczności: *no limit*, które przybrało fatalny obrót i zakończyło się krwawymi bachanaliami. Dowody: wiadomość potwierdzająca, że di Greco zwabił Wissę na „Narvala”. Ponieważ jedynym budzącym wątpliwości punktem była fizyczna słabość admirała, można było dorzucić kilku współników tej zbrodni, jak choćby wiernego mu Bruna Gorce’a i jego kolegów. A wisienką na tym torcie było samobójstwo oficera.

Ale potem Erwan wrócił do rzeczywistości. Ani kradzież narządów, ani gwałt, ani rytualne zachowania nie pasowały do scenariusza hartowania siły ciała i ducha.

Nie wykluczał winy di Greca, ale należało dopiero ustalić, na czym polegała. Zresztą nawet pobieżna lektura wiadomości od oficera pozwoliła mu wychwycić aluzje do innej zagadki. Admirał wspominał o „niedawnym wstrząsie” życiowym, o „radykałnym zwrocie”, który „do głębi go zmienił”. O czym mówił? O chorobie i jej zaostrzeniu. Obiecywał powiedzieć o wszystkim młodemu elewowi, kiedy spotkają się na opustoszałej plaży.

Z tych słów di Greca wyzierała dziwna zażyłość z Wissą. Admirał – stary, ukrywający się homoseksualista? Wyobraźmy to sobie: di Greco wyznacza Koptowi spotkanie na „Narvalu”, w jakiś sposób go usypia, związuje,

a potem torturuje metalowymi ostrzami. Potem gwałci go buławą, wycina mu narządy wewnętrzne, przenosi ciało do „tobruku”.

To się nie trzyma kupy. Po pierwsze, czas: stary człowiek miałby dokonać tej masakry w jedną noc, a przed świtem spokojnie wrócić na lotniskowiec? Wykluczone. Po drugie, siła fizyczna: ten scenariusz wymagał energii, której stary wojskowy od dawna nie miał. I wreszcie profil: po sześćdziesiątce nie zostaje się nagle psychopatycznym mordercą. Chyba że admirał miał na koncie inne zabójstwa. Stary wojownik, który bezkarnie syci żądzę krwi.

Musiał szukać dalej, poprosić o pomoc wojskowych. Na tym etapie władze nie mogły już odmówić mu dostępu do pełnych akt admirała.

– Możesz sprawdzić, skąd były wysyłane maile di Greca? – poprosił, żeby jak najszybciej zająć się konkretnymi.

– Z technicznego punktu widzenia to łatwe. Trudniej będzie ze stroną prawną. Serwer używany przez di Greca to serwer lotniskowca, więc...

– To priorytet. – Erwan wstał. – Skopiujesz mi to wszystko?

– Nie ma sprawy.

Człowiek-Tyczka pogwizdywał, przygotowując się do zgrania danych. Komputer pomrukiwał. Pewność i zadowolenie z siebie, jakie okazywał Branellec, irytowały Erwana. Zapowiadały już, jakie przekonania zapanują wkrótce w bazie.

Tymczasem Erwan snuł już kolejny scenariusz: di Greco popłynął na „Narvala”, ale Wissa tam nie dotarł, bo na łodzi spotkał kogoś innego. Admirał nie potrafił ochronić ucznia. Wyrzuty sumienia także mogły doprowadzić do samobójstwa.

Ale co znaczyło „Lontano”?

Branellec wprawnym ruchem wyciągnął USB i podał je Erwanowi.

– *Help yourself!*

Kierując się do drzwi, Erwan zobaczył wiszący nad nimi zegar. Była ósma trzydzieści. Czy powinien przekazać nowe informacje Verny’emu i innym, aby wykorzystali je podczas konferencji prasowej? Za wcześnie. Najpierw musi spokojnie przeczytać wiadomości, przemyśleć je, a potem sporządzić informację.

Właśnie dotykał klamki, kiedy ktoś zapukał do drzwi. Otworzył. Michel Clemente, lekarz sądowy, stał w progu. Miał na sobie przemoknięty trencz i kapelusz szkocki w stylu Sherlocka Holmesa. Ten efekt komiczny był zapewne niezamierzony.

– Co się stało?

Lekarz zmarszczył brwi, widząc posiniaczoną twarz Erwana.

– Ma pan minutę? – zapytał w końcu. – Muszę z panem pomówić.

Policjant zerknął na Branelleca, który nawet nie oderwał oczu od komputerów.

– Chodźmy.

Bez słowa szli w strugach deszczu przez dziedziniec. Rozwidniło się już. Kałuże pod ich stopami robiły się coraz większe, szczelinami w asfalcie płynęły strugi wody. Erwan otworzył drzwi jednej z sal – miał do niej klucz – wszedł i zobaczył, że wszystko jest tak jak wtedy, kiedy opuszczał to miejsce. Pomieszczenie było ciemne, przestronne, przykurzone.

Wprowadził Clementa i poprosił, żeby dał mu chwilkę.

Ból wracał, nasilał się. Może należało jechać do szpitala, zrobić prześwietlenia, iść do lekarza. Albo po prostu pozwolić, żeby zbadał go Clemente. Ale nie tak zachowują się zdrowi ludzie, kiedy zdarza im się coś nienormalnego. Dlatego wybrał po omacku lek wrzucony do torby w apteczkę i szybko go połknął. Potem włączył komputer, żeby sprawdzić maile. Plunęły na niego z ekranu – zebrało się ich co najmniej siedemnaście. To musiał być efekt śmierci di Greca i wywiadu opublikowanego w „Ouest-France”. Wodził palcem po nazwiskach i godzinach. Muriel Damasse, Vincq, ojciec. Nie miał siły tego czytać.

Clemente siedział u szczytu długiego metalowego stołu. Nie zdjął płaszcza, a tylko kapelusz. Jego prawa noga podrygiwała, drżały mu kąciki ust. Nerwowy facet.

– Słucham.

– Przeprowadziłem dalsze badanie jamy brzusznej.

– To stamtąd pobrano narządy?

– Tak. Chciałem dokładniej obejrzeć obrażenia wewnętrzne. I znowu coś znalazłem.

Wyjął z kieszeni szczelnie zamkniętą fiolkę. W sali panował półmrok. Erwan wziął od niego przezroczyste naczynko i zwrócił się do okna. Zobaczył trudne do rozpoznania elementy.

– Co to jest?

– Odłamki paznokci, pasmo włosów.

Erwan, który sądził, że jest zahartowany, zadrżał.

– Znalazł pan to w brzuchu Wissy?

– Dokładnie.

– Kazał mu to zjeść?

– Nie. Umieścił tam *post mortem*. To naprawdę jakiś obłąd – te włosy i paznokcie pochodzą z innego ciała.

– Skąd pan to wie?

– Proszę spojrzeć. Włosy są rude.

Erwan zmrużył oczy i obrócił fiolkę w świetle. Jego uwagę przyciągnął inny szczegół – paznokcie były długie, szpiczaste, polakierowane na czarno. To były paznokcie kobiety, styl gotycki.

Położył fiolkę na stole i patrzył na Clementa, który najwyraźniej musiał przekroczyć swój próg tolerancji. Zrozumieli się – najprawdopodobniej były to włosy i paznokcie innej ofiary – już zamordowanej albo właśnie ginącej.

Erwan czekał na takie potwierdzenie swoich hipotez. Admirał di Greco nie zabił Wissy. Trudno było wyobrazić sobie, że zdobywa nie wiadomo gdzie paznokcie i włosy innej ofiary. Udając się na spotkanie na wraku, Kopt natknął się na mordercę, który nie miał nic wspólnego z K76 i z wojskiem. Ten zabójca już zamordował albo planował to zrobić po rozprawieniu się z Wissą. Zostawił swoistą wiadomość, wskazując następnego na liście.

– Co pan powiedział?

Clemente mówił do niego, ale Erwan przez kilka minut nie słuchał.

– Powiedziałem, że przeprowadzimy dziś rano rekonstrukcję ciała. Z Neveux.

– Dlaczego właśnie z Neveux?

– Ma przyjść po pozostałe ostrza, które wyjąłem. Spróbujemy określić dokładne ułożenie zwłok w „tobruku”.

– Da się to zrobić?

– Już mówiłem o stężeniu pośmiertnym ciała w chwili eksplozji. Kąt złamania kości pozwoli nam może określić pozycję ofiary.

Erwan zapytał, nie do końca rozumiejąc:

– Co to da?

Clemente uniósł głowę, zdumiony tym pytaniem, a potem powiedział jak prawdziwy śledczy:

– Coś sobie uświadomiłem. Mimo swego stanu te zwłoki są jak puszka Pandory – im szerzej się je otwiera, tym więcej złego się znajduje.

Cała noc na ulicy – na darmo.

Nigdzie ani śladu Gaëlle.

Chodził od baru do baru, zaglądał do klubów, nad rzekę, gdzie przesiadywały pary, sprawdził z listą w ręku miejsca, w których bywała jego córka. Miał dokładne informacje o każdym z nich. Gryzł się tym aż do świtu, udając, że pije, choć nienawidził alkoholu – udając, że się bawi, gdy nienawidził się bawić. W pewnym sensie nienawidził też kobiet.

O siódmej rano wpadł na krótko do domu, wziął leki i zimny prysznic – istny wstrząs, ale zbawienny. Gorzki pot, wonie nocy, istoty pędzące ku zatraceniu – wszystko to wreszcie zniknęło. Poczował, że znów jest gigantem, którym zawsze był, z pogardą odnoszącym się do ludzkich słabości i wykorzystującym je.

Ogolił się. Teraz całą nadzieję pokładał w Erwanie i liczył, że syn jest już w drodze do Paryża. Włożył nowy garnitur, nową koszulę i szelki, a potem zdecydował, że czas zająć się Loïkiem. Jedna noc w areszcie to dość.

Zadzwoił do kierowcy – swojego golfa zostawił przy parku Monceau – żeby ten zawiózł go na Quai des Orfèvres.

Jadąc tam, próbował – już po raz piąty – dodzwonić się do starszego syna, ale ten dureń nie odbierał. Od wczoraj nie dawał znaku życia. Gdzie się podziewał? Kiedy prokurator zdecyduje się podać do wiadomości śmierć Wissy? Już tego ranka on sam odebrał wiele telefonów z placu Beauvau – pytano o postępy śledztwa. Musiał przyznać, że nie wie nic nowego, i oberwało mu się jak w pierwszych latach pracy. Drobiazg. Był bezpiecznikiem, więc – jak na bezpiecznik przystało – znosił nagłe przeciążenia.

Wolał zachować dyskrecję, toteż poprosił kierowcę, żeby zatrzymał się kilkaset metrów od Quai des Orfèvres.

Nie znał komendanta Kursanoffa, który aresztował Loïca, ale znał policjantów z brygady antynarkotykowej i uważał ich za niebezpiecznych napaleńców. W policji spychano ich na margines i właściwie trudno było

powiedzieć, czy to agenci przenikający do struktur przestępczych, czy może narkomani, którzy udają gliny.

Kiedy wchodził przez bramę, wartownicy stanęli na baczność. Mógł zapomnieć o anonimowości. Na schodach zastanawiał się, jakie ma atuty w czekającej go potyczce. Miał tylko jeden, ale za to silny – prokurator dyżurny, stary przyjaciel, podpisał nakaz zwolnienia jego syna, podejmując równocześnie decyzję o „umorzeniu sprawy”. Ale to wszystko była lipa – prokuratura nie mogła z góry przesądzać o wynikach śledztwa, a policja mogła przedłużyć tymczasowe aresztowanie (do czterech dni w sprawach dotyczących narkotyków). Jednak dokument to dobry początek rozmowy.

Wchodząc do „36”, nie czuł najlżejszej nostalgii – korytarze, siatki zabezpieczające w oknach, żeby zapobiec próbom samobójczym, pęki kabli przymocowanych do sufitu, który zawsze był w jego oczach miejscem wchłaniającym napięcia i lęki rodzące się w tym gmachu.

Było jeszcze wcześniej, więc nie natknął się tu na wiele osób. I bardzo dobrze. Idąc ze spuszczoną głową, tak blisko ściany, że niemal ocierał się o nią ramieniem, znalazł w końcu gabinet Kursanoffa. Zapukał i wszedł, nie czekając na odpowiedź.

Niski czterdziestolatek w sztruksowej marynarce rozmawiał przez telefon, trzymając nogi na biurku. Skinął ręką, prosząc, by Morvan zamknął za sobą drzwi. Grégoire usłuchał, a potem uważnie przyjrzał się policjantowi. Chudy, z trzydniowym zarostem, miał podkrążone oczy. Zwężone źrenice jego oczu pałały niczym kasztany w piecu.

Kursanoff zakończył rozmowę, a potem z przesadną delikatnością odłożył telefon.

– No, no, no, a kogóż my tu widzimy? – powiedział teatralnym tonem. – Sam pan i władca placu Beauvau, Punisher we własnej osobie. Cóż sprowadza tu wielkiego mistrza?

Morvan położył na biurku nakaz prokuratorski i wycedził przez zęby:

– Możesz się tym podetrzeć, jeśli chcesz, ale teraz wyciągnij mojego syna z klatki, i to natychmiast, a ja postaram się zapomnieć, jak się nazywasz.

Komendant postawił nogi na ziemi, udając wielkie zmęczenie. Wysunął szufladę i wyciągnął z niej jedna po drugiej saszetki z kokainą, zabezpieczone w torbach na dowody. Na wszystkich napisano „Loïc Morvan”.

– Dwanaście gramów – powiedział, zmieniając ton – to trochę za dużo jak

na własny użytek, nie sądzisz? Uznałbym to raczej za nielegalny handel narkotykami. Zresztą można to podciągnąć pod paserstwo.

– I nie możesz pominąć paru gramów, co?

Kursanoff spojrział na niego z oburzeniem – jego ciemne oczy zapadły się jeszcze głębiej w podkrążone oczodoły.

– Odkąd to można się z nami targować o takie ilości?

– Odkąd całe piętro wpycha nosy w proszek! Kurwa, nie zgrywaj mi się tu na nieprzekupnego, bo zaraz naprawdę się zdenerwuję!

Policjant wstał i wyszedł z za biurka. Miał najwyżej metr siedemdziesiąt wzrostu i sześćdziesiąt kilo wagi. Mimo to wcale nie bał się olbrzyma.

– Czasy się zmieniły, tatuśku. Nie możesz już tu wpadać i rządzić. O wszechwładnych szpiegach poczytasz już tylko w książkach historycznych.

Grégoire dopiero teraz zrozumiał, że jego pozycja nie jest ani silna, ani wygodna. Po pierwsze, przyszedł po syna – grzech własnej krwi i ciała. Po drugie, czuł się nieswojo na terytorium narkotyków – jedyne go wroga, którego nie zdołał pokonać.

– Posłuchaj – powiedział spokojniej – ten trop do niczego cię nie doprowadzi, przez mojego syna nie dotrzesz do żadnej grubej ryby. Dlatego porwijmy akta, raport z przesłuchania i...

– Nie zgadzam się – odparł słodkim głosem Kursanoff. – Zamierzam kontynuować śledztwo i potrzymać go tu trochę dłużej. Mam już nakaz rewizji jego mieszkania.

– Kurwa, w co ty grasz?! – uniósł się Morvan. – To tylko finansista, od czasu do czasu wciąga dawkę, żeby wytrzymać tempo!

– Trafisz do drzwi. I to ja postaram się zapomnieć, że przyszedłeś mi grozić.

Morvan cofnął się o krok. Zerkał na okno i kraty wprawione po to, żeby nie dopuścić do samobójstw narkomanów: te kraty fantastycznie przytrzymują uparte gościa w ubranku khaki.

Już zamierzał go dopaść, ale w głowie zaświtała mu inna myśl. *Jaja, owszem, ale i rozum.* Niezawodna pamięć, która tak często mu pomagała, wreszcie się ocknęła.

Kursanoff – to nazwisko nie należało do pospolitych, a on już się z nim zetknął, i to właśnie tu, w „36”. Nosił je gliniarz z jego pokolenia, uprzejmie wypchnięty na emeryturę, kiedy wyszło na jaw, że po cichu prowadził sieć

łaźni dla pedałów. Żałosny gnojek z obyczajówki miał większe osiągnięcia w zarażaniu grzybicą na ulicy Sainte-Anne niż w aresztowaniach w swoim rewirze.

Przy odrobinie szczęścia okaże się, że to ktoś z jego rodziny.

– Znałem kiedyś Kursanoffa – powiedział w zamyśleniu. – Mam nadzieję, że nic cię z nim nie łączy.

Oficer milczał, ale jego twarz nagle stężała. Pobladł i cienie pod jego oczyma wydawały się teraz prawie czarne.

To musiał być jego ojciec.

– Czas były piękne – ciągnął perfidnie. – W tamtych latach każdy mógł uprawiać swój biznes i...

– Przeklęty łajdak!

Morvan był szybszy: złapał go za nadgarstek, nie pozwalając wyciągnąć broni. Drugą ręką chwycił go za gardło i uderzył jego głową o biurko. *Rozum, ale i jaja.* Zacisnął palce, aż uparty osioł pozieleniał, a potem spąsowiał. Kiedy jego gęba zaczęła sinieć, Morvan zwolnił ucisk i szepnął mu do ucha:

– Idź po mojego syna, durniu, albo jutro całe piętro dowie się, że twój ojciec obciążał fiuty niepełnoletnim chłopczykom w swojej łaźni tureckiej.

Po dziesięciu minutach do pokoju wszedł Loïc w pomiętym garniturze, zawstydzony jak dzieciak wypuszczony z kozy. Na jego widok Morvan poczuł, że złość znika bez śladu. Zawsze zachwycała go uroda syna, a duma, która przepęniała ojcowskie serce, przyprawiała go o miły dreszcz.

Bez słowa minęli bramę. Morvan skinieniem głowy wskazał czekający na nich nieco dalej samochód. Kierowca stał już na baczność.

– Tato...

– Wsiadaj.

– Nie, pozwól mi wytłumaczyć.

– Nie musisz. Nie potrzebuję raportu tych gnojków, żeby wiedzieć, w co wsadzasz nochal.

– Ale chcę z tobą pomówić o czymś innym.

Morvan zmarszczył brwi. Znów poraziła go regularność rysów twarzy Loïca i ta jej świeżość, której nie zaszkodziły ani narkotyki, ani alkohol, ani cała reszta.

– Tato, to Sofia...

– Co, Sofia?

– To ona mnie wydała. Ona i jej adwokatka przygotowały dokumentację, żeby mi zaszkodzić. Wynajęły detektywów. Nie znasz jej, jest zdolna do wszystkiego. W dodatku...

Morvan skinieniem ręki nakazał kierowcy wsiadać i sam otworzył synowi drzwi.

– Nie przejmuj się nią. Zatrę ślady twojego zatrzymania.

– Groziła mi, tato.

Znieruchomiał, zrozumiawszy wreszcie, że pojawił się za późno:

– Co zrobiłeś?

– Podpisałem ugodę. Chodzi o rozwód. Nie mogłem...

Loïc nie dokończył zdania, bo Morvan wymierzył mu siarczysty policzek.

Po raz pierwszy zdarzyło mu się podnieść rękę na jedno ze swoich dzieci.

– Do jasnej cholery, co ty wyprawiasz?

Głos rozwścieczonego Centaura. Taki, jaki dobiegał zza ściany kuchni, kiedy pieklił się z ich matką. Erwan zdecydował się w końcu zadzwonić do ojca.

– Kontynuuję śledztwo.

– Kurwa, naprawdę gównu pomieszało ci się z rozumem! Nie słyszałeś, że cała Bretania jest jak żagiew?

– Sprawy się skomplikowały i...

– Nadal nie dostałem żadnej notatki, nie mówiąc o raporcie.

– Mamy kolejnego trupa.

– Kogo?

– Admirala di Greco.

Głucha cisza. Erwan poczuł się, jakby wymierzył ojcu potężny cios w brzuch. Nagle zrozumiał coś, czego powinien był się dawno domyślić: dwaj panowie się znali.

– Jak to się stało?

– Samobójstwo.

– Niemożliwe.

Erwan uśmiechnął się; można było jeszcze liczyć na instynkt ojca, chociaż na początku lekko się zacinał.

– Znaliście się?

Cisza.

– To on do ciebie zadzwonił?

Wreszcie stary przemówił:

– Kiedy byłem gliniarzem w Gabonie, dowodził flotą ochraniającą szyby naftowe w Port-Gentil. Zadzwonił w weekend, po odnalezieniu zwłok na wyspie.

Drapieżcy zawsze trzymają ze sobą. Podczas spotkania na „CDG” di Greco o tym nie wspomniał. Lubił tajemnice. A może chodziło o coś gorszego.

– Utrzymywaliście kontakt?

– Właściwie nie. Czasami się widywaliśmy.

- Przy jakich okazjach?
 - Wręczenie medali. Oficjalne ceremonie. Same głupoty.
 - Jakie dokładnie funkcje pełnił przez te wszystkie lata w marynarce?
 - Nie mam pojęcia.
 - Nigdy nie pracował w wywiadzie?
 - Powtarzam: nie mam pojęcia. Nie współpracowałem z nim od powrotu z Afryki, jeśli o to pytasz. Ale wiem, jaki miał system wartości. On nie mógł odebrać sobie życia.
 - Dziś w nocy palnął sobie w łeb na pokładzie „Charles’a de Gaulle’a”.
 - Absurd.
 - Ja znalazłem zwłoki w kajucie. Ekipa techników jeszcze pracuje, ale potwierdzi tę wersję.
- Erwan słyszał ciężki, powolny oddech ojca. Tak dyszy bawół przemierzający rozpaloną ziemię Afryki.
- Sądysz, że miał coś wspólnego z tym morderstwem? – odezwał się po chwili Morvan.
 - Być może.
 - Policjant zna tylko dwie odpowiedzi: tak albo nie.
 - Di Greco kształtował elewów K76. Nakłaniał ich do okaleczania się, poddawania próbom, ćwiczenia waleczności. Mieli się stawać superżołnierzami. Może doprowadził do obłądu jednego z pilotów, a ten wyżył się na Wissie. – Nie wierzył już w tę wersję, ale chciał wysondować ojca. – Jest jeszcze coś: di Greco i Wissa prowadzili dość zaskakującą korespondencję.
 - To wszystko tylko poszlaki. Masz jakieś konkrety?
 - Byli umówieni w noc zabójstwa.
 - I co? Spotkali się? Gdzie twoje dowody?
- Erwan pominął to pytanie.
- Wiadomość o samobójstwie di Greca zostanie podana dziś przed południem. Jego czyn już uznano za przyznanie się do winy.
 - Czyś ty oszalał? Nie mieszaj go w to!
 - Dlaczego?
 - Bo nie ma nic wspólnego z tym bagnem. Sam do mnie zadzwonił. Chciał jak najszybszego zamknięcia śledztwa i prosił, żebym przysłał mu twardego glinę, który poprowadzi sprawę. Zbrukacie jego pamięć, podczas gdy prawdziwy morderca jest na wolności.

– Czy słowo „Lontano” coś ci mówi?

Tym razem zapadła grobowa cisza. Nie tak często zdarzało się zaskoczyć starego szpiega.

– Wiesz, co to znaczy, czy nie?

– Nie przez telefon.

– Podsuń mi przynajmniej jakiś trop.

– Nie. Musimy pomówić w cztery oczy.

Ten spokój, ta siła głosu – Erwan wiedział, że nigdy nie uzyska autorytetu, jaki miał jego ojciec. Tym różnili się prawdziwi zwierzchnicy od zwyczajnych wyrobników, do jakich należał.

– Wróćmy do istoty sprawy – podjął ojciec. – Masz jakiegokolwiek domysły co do tego, kim jest morderca?

– Nie.

– W takim razie wracasz do Paryża. Natychmiast. Zostawiasz im sprawę i wracasz.

– Wykluczone. Zacząłem to śledztwo, więc...

– Nie gadaj tyle. Mamy tu ważniejszą sprawę.

– Co znowu?

Ojciec głęboko westchnął, a potem rzucił:

– Twoja siostra zniknęła.

– Wydawało mi się, że kazałeś ją śledzić.

– No właśnie. Moi ludzie ją zgubili.

– Kiedy?

– Wczoraj po południu. Zmyliła ich. Niepokoję się.

– Próbowalesz namierzyć jej komórkę?

– Chcę, żebyś ty się tym zajął.

– Nie ma mowy. Dokończę to, co tu zacząłem.

Już miał wspomnieć o ponurym znalezisku z tego poranka – rudych włosach i polakierowanych na czarno paznokciach, zapowiadających prawdopodobnie kolejną ofiarę – jednak z niezrozumiałych dla siebie powodów przemilczał to.

Morvan chyba zastanawiał się, jak postąpić.

– Ta konferencja będzie jak iskra w beczce prochu – odparł spokojnie, ale kategorycznie. – Wojskowi i żandarmi rozpoczną wielkie manewry. Finistère znajdzie się pod ścisłym nadzorem. Wracaj do Paryża i zajmij się Gaëlle. Potem podejmiesz decyzję.

– Jeśli zmarnuję czas, stracę swobodę działania, wiesz o tym.

– A ty wiesz równie dobrze jak ja, że po upublicznieniu sprawy prokuratura wyznaczy sędziego śledczego.

Ojciec miał rację. Po konferencji nie będzie już mógł prowadzić śledztwa samodzielnie, z pomocą trzech muszkieterów. Politycy, media, opinia publiczna będą wywierać presję. To śledztwo stanie się sprawą państwową.

– Proponuję ci układ – ciągnął Morvan. – Wróc do Paryża, odszukaj siostrę. Potem, jeżeli morderca nie zostanie wykryty albo jeśli znajdą kolejną ofiarę, wrócisz tam. Uwierz mi, dzień czy dwa pozwolą ci spojrzeć na to z dystansu. Dobrze ci to zrobi.

Erwan stanął przy oknie i stwierdził, że pogoda znowu się pogorszyła. Wartownicy opuszczali flagi, zamykali okna i drzwi. To potwierdzało zapowiadany sztorm.

Nagle ogarnęło go potworne znużenie. Ta baza wojskowa, żołnierze, ten region... Zatęsknił za paryskimi mostami, zapachem asfaltu, wonią spalin, przestępstwami typowymi dla wielkiego miasta.

– A co z Loikiem? – zapytał, jakby chciał znaleźć dodatkową motywację do powrotu.

– Właśnie go uwolniłem.

– Jak?

– Nie twoja sprawa.

– Będzie ciąg dalszy?

– Nie, ale mleko się rozlało. Ten dureń podpisał ugodę z Sofią. Zmusiła go do tego, kiedy siedział.

Jej mongolskie oczy. Piegi. Indiańskie włosy. I to zaproszenie na kolację.

– To chyba dobra wiadomość?

– Problem naszej rodziny tkwi w tym, że nikt nigdy niczego nie rozumie.

– W takim razie poświęć chwilę cennego czasu i wytłumacz nam to.

– Wracaj. Pogadamy. Zachciało ci się zostać Bretończykiem czy co?

Erwan jeszcze raz ważył wszelkie za i przeciw. W Paryżu będzie mógł zapytać starego o Lontano i może zdoła usytuować di Greca na szachownicy.

– Przyjadę dziś po południu – powiedział w końcu. – Spotkamy się u ciebie w biurze, a zaraz potem wracam.

– Najpierw znajdziesz siostrę.

– Przyprowadzę ci ją wieczorem. Zajmij się nakazami, billingami i tak dalej.

– Czekam na placu Beauvau od piętnastej. A tamci niech radzą sobie sami!

I stary się rozłączył. Erwan nawet nie drgnął, wciąż trzymając telefon przy uchu. Wydawało mu się, że oczy przesłania mu woda, która strugami spływała po szybach.

Stary.

Gaëlle.

Loïc.

I nagle ogarnęła go chęć, by zadzwonić do matki, żeby rodzina była w komplecie. Domowy numer stacjonarny. Maggi zawsze zostawiała komórkę w torebce albo w szufladzie. Jako była hipiska z obawą podchodziła do urządzeń elektronicznych, ich rakotwórczego promieniowania i fal.

Usłyszał sygnał. Nikt nie odbierał. Dawniej zaczęłyby się niepokoić. Może Padre ją ogłuszył? Zranił? Zabił? Automatyczna sekretarka. Erwan zostawił wiadomość i zrozumiał, że „dawniej” trwa do dziś, bo już ścisnęło go w żołądku.

Wcale nie przestał się bać.

Di Greco samobójcą – nie mógł w to uwierzyć.

Morvan nie powiedział o tym synowi, ale podzielał jego opinię – wykluczone, żeby ten liścik u kresu drogi nie miał nic wspólnego ze śmiercią chłopaka. Równie nieprawdopodobne wydawało się, żeby spotkanie di Greca z Wissą nie miało związku z zabójstwem. Co znaczyła cała ta afera?

Stara Tyka zawsze miał skłonności do wpadania w tarapaty albo pogrążania się w stanach, które kwalifikowały się na dobrą sprawę do leczenia w wariatkowie. Kiedy di Greco zadzwonił, Morvana najzwyczajniej obleciał strach. Jeżeli człowiek w pewnym wieku słyszy głos przyjaciela, który prosi o pomoc, to ma prawo czuć się szantażowany.

Popęłił błąd, posyłając tam syna. Co to za pomysły, żeby mieszać w to własną rodzinę?! Czyżby podświadomie pragnął przybliżyć Erwanowi swoją afrykańską przeszłość?

I Lontano! Dlaczego admirał przywołał tamte przeklęte lata, patrząc śmierci w oczy? Co usiłował powiedzieć? Czyżby nad grobem dopadło go poczucie winy? W takim razie on nie musiał się niczego obawiać, bo nigdy nie zdołał uciszyć wyrzutów sumienia.

Kierowca zatrzymał się przy placu Iéna. Było już za późno, żeby zmienić poranne plany. Musiał złożyć wizytę Lodowej Dziewicy.

Sofia Montefiori mieszkała nadal w apartamencie, który kupiła wraz z Loïkiem, kiedy spodziewała się Lorenza. Już na sam widok fasady Morvan poczuł, że ożywa w nim determinacja – nie wolno niszczyć tej rodziny. On, który dzielił życie z istną gorgoną dla dobra dzieci, nie potrafił sobie wyobrazić, że para zepsutych, rozpieszczonych ludzi decyduje się na rozstanie z powodu banalnych sporów.

Użył swojego klucza uniwersalnego, żeby dostać się do holu, a kod do drugich drzwi podała mu dozorczyńni. Pamiętał, że Loïc mieszkał tu na czwartym piętrze. Winda była w starym stylu, z kutą kratą zamiast drzwi, wykładana lakierowaną boazerią – taka, jakie najbardziej lubił. Dotąd pozostał dzieckiem znikąd, któremu dyskretny luksus dodawał pewności

siebie.

Przeglądając się w wąskim lustrze kabiny, poprawił węzeł krawata. Chcąc stawić czoło dziedziczce Montefiorich, trzeba było dbać o każdy szczegół.

Filipinka, która otworzyła drzwi, poznała go i niechętnie wpuściła. O ile dobrze pamiętał, na pełny etat pracowały tu trzy służące, raczej dużo, jak na niepracującą matkę dwojga dzieci. Ale Sofia tak właśnie postrzegała rolę kobiety i pani domu.

Kiedyś usłyszał od niej: „Jestem wykończona, musiałam tłumaczyć wszystko nowej niani”. Sofia nie dostrzegała śmieszności takich zdań – urodziła się na jedwabiach, umrze w kaszmirach, krytykując ich jakość. Jednak Morvan lubił w niej pewną prawdę: ten wdzięk, elegancja i pewność siebie były dziełem jednego jedyne go mężczyzny, jej ojca. Prostaka, który zbił majątek na złomie i do dziś nie umiał pewnie dobrze czytać ani pisać.

Przeszedł przez przedpokój wielki jak salon, potem znalazł się w pokoju dziennym, który rozmiarami przypominał salę koncertową. Wysokie okna, ozdobny parkiet, stylowe meble. Słońce było tu wliczone w cenę. Zdawało się wpraszać przez duże szyby i z przyjemnością wędrować po tym wnętrzu, gdzie meble i podłoga tworzyły dla niego wyjątkowej jakości zwierciadło.

Morvan z satysfakcją patrzył na wystrój apartamentu. Pośrednio było to również jego dzieło. Śnił już o takim domu, będąc tylko nędznym wygnańcem w Zairze. Wtedy podawał się jeszcze za lewicowca, ale czytał *Piękne dzielnice* Louisa Aragona i marzył o tych miejscach, gdzie „dywany są grube”, a „małe dziewczynki biegają bosy w długich koszulach nocnych”.

– *Nonno!*

Zobaczył swoje wnuki w mundurkach szkolnych. Dwujęzyczne, lubiły używać włoskich słów, zwracając się do dziadka. Nie miał nic przeciwko temu.

Radośnie podbiegły do Morvana, a on chwycił je w ramiona. Całusy i uściski nagrodziły mu spaskudzoną noc. Przez sekundę czuł się silny i wartościowy.

– A co ty tu robisz?

Postawił aniołki na ziemi i spojrział na stojącą w progu Sofię. Miała na sobie pomietą piżamę z białego jedwabiu i tybetańskie kapcie na futrze. Morvan, podobnie jak inni członkowie klanu, miał takie same – wszyscy dostali je w prezencie od Loïca.

Zupełnie nieskrępowana tym, że zaskoczył ją w takim stroju, była wręcz

wyniosła.

– Jeżeli przyszedłeś w sprawie Loïca, to dziś go wypuszczą. Niedawno się z nim widziałam.

Świat stanął na głowie – ta Włoszka przekazuje mu nowinki z pudła!

– Nie poczęstujesz mnie kawą?

Sofia spojrzała na zegarek:

– Mam niewiele czasu, jestem umówiona.

– Pewnie pilates?

Nie dostrzegła uszczypliwości w jego głosie. Machnęła ręką.

– Chodźmy do kuchni.

Zawsze łączyła ich swego rodzaju zażyłość, na pozór niewytłumaczalna, ale rozumiała, jeśli dobrze się ich znało. Hrabianka odziedziczyła część brutalności i wątpliwej moralności ojca. Te atawistyczne cechy natychmiast zgrały się z charakterem Morvana.

Zostawiła dzieci pod opieką *pinay*, które stały przygotowane przy drzwiach, (tak Filipinki nazywano w ojczyźnie i tak mówiła na nie ona), i poszła z nim do kuchni, a raczej lśniącego, sterylnego laboratorium, w którym żywność chyba była przede wszystkim kwestią liczb, chemii i sknerstwa. Morvan usiadł na taborecie i oparł się łokciami o ladę z brazylijskiego granitu. Czuł się tu lepiej niż w innych pomieszczeniach apartamentu. Ponieważ ważył ponad setkę, wolał konfrontację z trwałymi materiałami niż z wyrefinowanymi meblami z salonu.

– Chodzą w środę do szkoły?

– Nie, na katechizację.

Sofia sięgnęła po włoski ekspres do kawy i naląła jej Morvanowi.

– O czym chcesz rozmawiać?

– O waszym rozwodzie.

– To już załatwione. Loïc podpisał...

– Wiem.

– No i?

Mieszał kawę łyżeczką – był to tylko symboliczny gest, bo przecież jej nie słodził.

– Jesteś pewna, że to słuszna decyzja?

– Kpisz ze mnie?

– Pomyślałaś o dzieciach?

– Znowu kpisz!

Podeszła do lady. Złocistobrązowy płyn z lekkim odcieniem zieleni lał się z chromowanego dzbanka do małej kamiennej filizanki.

– Loïc będzie się z nimi regularnie widywał – powiedziała, pijąc drobnymi łyżkami. – Zresztą na niewiele więcej go stać. Oboje dobrze o tym wiemy.

– A co... z waszym życiem? Ze wszystkim, co zbudowaliście? Nie chcecie dać sobie drugiej szansy? Przecież...

Gwałtownie odstawiła filizankę:

– Grégoire, nie przyszedłeś tu chyba o takiej porze, żeby rozmawiać ze mną o miłości!

– A wasz majątek?

– Mamy ograniczoną wspólnotę majątkową, obejmującą wyłącznie wspólnie zdobyty majątek. Zrzekam się wszystkiego, co mógł zarobić w okresie trwania małżeństwa, a on zostawia mi ten apartament. To uczciwy układ.

– Wiesz, co powiedział Arystoteles? „Całość to więcej niż suma jej składników”.

Westchnęła.

– Do czego zmierzasz?

– Pomyślałaś o dzieciach? O tym, co im zostawicie? Jeśli pozostaniecie małżeństwem, sami otrzymacie duży spadek i...

Sofia położyła dłonie na zimnym kamieniu:

– Do diabła, o czym ty mówisz? Mój ojciec i ty zawsze byliście przeciwni temu małżeństwu. Nienawidzicie się i zielenieliście ze złości na myśl, że wasze majątki mogą się kiedyś połączyć.

– Twój ojciec i ja należymy do przeszłości, a ja mówię o waszej przyszłości.

Jej eurazjatycka twarz naznaczona piegami pochyliła się nad nim. To miłe połączenie psuły tylko zwężone z gniewu źrenice, złociste jak grzbiet pszczoły.

– Dzieci na tym nie ucierpią. Są dla mnie najważniejsze.

Morvan wstał, kapitulując.

– Musiałem spróbować jeszcze ten raz.

Sofia przyglądała mu się podejrzliwie.

– Jesteś jakiś zmarnowany. Spędziłeś noc na ulicy?

Przed florentynką niczego nie dało się ukryć.

– Praca. Nie fatyguj się, trafię do drzwi.

Po wyjściu zaczął sumować swoje emocjonalne doznania: serdeczność dzieci, chłód matki. Nie zamierzał uznawać się za pokonanego. Musiał znaleźć jakiś sposób, żeby nie dopuścić do podziału dóbr. Jak każde dziecko bogaczy, Sofia pozbawiona była umiejętności radzenia sobie na krętych i niebezpiecznych ścieżkach świata, w którym żyła i którego była wytworem, choć nie zdawała sobie z tego sprawy.

Sprawdził komórkę. Dostał już kilka wiadomości – rutynowe skargi i reklamacje. Poszedł do samochodu. Czekał go samotny rafting po wzburzonych, mętnych wodach.

Ostatnie podsumowanie przed zamknięciem. Erwan, Verny, Le Guen i Archambault woleli spotkać się z dala od bazy. Szli teraz za zaspanym strażnikiem korytarzami małego merostwa Kaerverec. Wybrali salę, w której organizowano rozmaite imprezy – dość posępną, z szarymi firankami, o ile można je było tak nazwać.

– Siadajcie – rzucił Erwan.

Przestawili stoliki, żeby odtworzyć tu małą salę wykładową. Erwan odchrząknął i zaczął od podsumowania wszystkiego, o czym cała czwórka już wiedziała. Przypomniał o tym, co prawdopodobnie robił Wissa w tę piątkową noc, o potajemnej wyprawie di Greca i jego dwuznacznej korespondencji z Koptem, o kulcie przemocy w K76, niepokojącym profilu Lisów i specyficznych okaleczeniach, jakich doznała ofiara.

Potem zamilkł na chwilę, zostawiając innym czas na refleksję. Verny notował z myślą o konferencji prasowej. Le Guen rysował po stoliku, wcielając się w niemą rolę złego ucznia. Archambault pozwolił swoim długim nogom podrygiwać, jakby chciały się uniezależnić od nieruchomego ciała. W ciągu siedemdziesięciu dwóch godzin wszyscy ci faceci postarzelisi się o dziesięć lat. W jaskrawym sztucznym świetle ich twarze wyglądały ponuro.

Erwan znowu zabrał głos, żeby poinformować ich o znalezieniu w brzuchu Wissy paznokci i włosów, najprawdopodobniej kobiecych, które włożono niejako w miejsce usuniętych narządów. Wywołało to ogromne wrażenie – mężczyźni kręcili się na krzesłach, jakby próbowali obudzić się z koszmarne snu.

– Możemy właściwie założyć, że gdzieś jest już jakaś inna ofiara albo że morderca wie, kogo zabije w najbliższych dniach.

Verny podniósł rękę.

– Czy mam powiedzieć o tym dziennikarzom?

Erwan uśmiechnął się.

– To zależy od poziomu paniki, jaki chce pan wywołać.

- Pytam poważnie.
- Odradzam – im mniej będą wiedziały media, tym lepiej dla nas.
- A di Greco? – zapytał Le Guen.

Erwan nabrał tchu i przedstawił na pół realistyczny, na pół wymyślony portret oficera. Opisał go jako autorytarnego, chorego starca, który przesiadywał w swojej kajucie. Jako swoistego guru – złowieszczonego ducha K76, winnego zepsuciu panującemu w szkole.

Le Guen i Archambault zerknęli na siebie – mimo wszystko nie podobało im się, że ktoś mówi w ten sposób o Kaerverec i o ich duchowym przywódcy.

– Przejdźmy do sedna – wszedł mu w słowo Verny. – Uważa pan, że admirał jest mordercą?

Erwan rozmawiał przed tą naradą z Thierryem Neveux. Analityk potwierdził, że ślady prochu na dłoniach dowodzą samobójstwa. Poza tym analiza zawartości komputera ujawniła, że admirał otrzymywał raporty ze śledztwa, przysyłane przez Verny’ego dowództwu wojskowemu (Erwan nie miał pojęcia o tych raportach i powinien zwymyślać żandarma, ale to niczego by już nie zmieniło).

– Te dwa fakty go obciążają. Zwłaszcza że ze wstępnych oględzin denata wynika, że zgon nastąpił około pierwszej w nocy. Właśnie wtedy otrzymał wiadomość zawierającą obciążające go zeznania Frazia. Toteż samobójstwo można by uznać za przyznanie się do winy człowieka usidłonego – zakończył Erwan.

– Mam wrażenie, że nie wierzy pan w jego winę – powiedział Archambault.

– Nie wierzę. W zasadzie wszystkie ewentualne związki między śmiercią Wissy a otrzęsinami i osobą admirała należy odrzucić. Nowe dowody świadczą o tym, że mamy do czynienia z mordercą, który działa według przemyślanego planu. To człowiek bardzo inteligentny, obdarzony wielką siłą fizyczną. Jest jak drapieżnik, który dobrze zna teren, ma wiedzę medyczną i potrafi pozostać niezauważony. Gdyby nawet di Greco żył, nie przystawałoby do tego profilu.

Ponury Verny wziął na siebie rolę adwokata diabła.

– A elew z bazy?

– Nie wykluczam tego tropu, jednak nie wydaje mi się najbardziej prawdopodobny. Niestety, śledztwo w pewnym sensie cofnęło się do punktu

wyjścia. Wissa był nagi, wycieńczony, bezsilny – trafił na najpotworniejszego zabójcę, jakiego można sobie wyobrazić, i, moim zdaniem, zapoczątkował dłuższą historię.

– Co pan chce przez to powiedzieć?

– Że morderstwa będą się powtarzały.

Słuchając go, tamci trzej znów zaczęli się wiercić na krzesłach. Byli w długich pelerynach, tych, które nosili, kiedy po raz pierwszy spotkali się z Erwanem. Policjant pomyślał z żalem, że od tamtej chwili nie posunęli się ani o krok.

– Ale co konkretnie mamy teraz robić?

– Wkrótce trzeba będzie zmagać się z naciskami. Konferencja prasowa wywoła wstrząs. Przyślą tu posiłki. Będziecie musieli dzielić się tym, co dotąd ustaliliśmy, z nowym gronem ludzi, wszystkim przekazywać informacje, składać raporty, dopracować akta dla sędziego śledczego, którego wkrótce wyznaczą. To wszystko znacznie spowolni śledztwo.

– Dlaczego mówi pan „będziecie”? – zapytał podejrzliwie Le Guen.

– Ponieważ wracam do Paryża. Teraz wasza kolej. Musicie zadbać o śledztwo i współpracować z prokuraturą.

Wszyscy trzej patrzyli na niego w osłupieniu.

– Szczury uciekają ze statku – wycedził Le Guen.

Erwan poczuł wzbierający gniew, ale powściągnął emocje. Dzwonił już do zastępczyni prokuratora i do pułkownika Vincqą, żeby poinformować ich o swoim wyjeździe, ale byli tak oszołomieni tym, co się stało, że nie zareagowali.

– Nie powiedziałem, że nie wrócę. Wszystko zależy od moich paryskich przełożonych i rozwoju sprawy.

– Ma pan na myśli... kolejne zabójstwo?

– Dokładnie.

Le Guen wysilił się na uśmiech:

– Czyli co? Czekamy z założonymi rękami, aż znajdzie się nowy trup?

– Mam nadzieję, że zanim do tego dojdzie, morderca zostanie wykryty.

Erwan pomyślał, że zachowuje się jak polityk szafujący obietnicami, w które nie wierzy nawet on.

– Nie powiedział pan nic o tym zagadkowym słowie, które napisał di Greco: „Lontano”.

– Starłem się to wyjaśnić dziś w nocy, ale na razie nic nie wiem.

Natomiast w Paryżu znam kogoś, kto zapewne mi to wyjaśni.

Ich oczy rozbliły: policjant nie zamierzał porzucać śledztwa.

Homar zapytał z wyrzutem:

– Dlaczego tak szybko pan wyjeżdża?

Zaginiona siostra. Brat w areszcie. Milczący telefon matki. A ojciec być może w jakiś sposób zamieszany w cały ten chaos.

– Z powodów rodzinnych.

Kiedy wyszli, burza już minęła, a słońce wynurzało się zza czarnych domów, kładąc się jaskrawymi plamami na ciemnych uliczkach.

Erwan poprosił o podstawienie samochodu. Irytowała go myśl o prowadzeniu auta. Chciałby, jak Kripo, rozsiąść się w fotelu lotniczym i w ciągu godziny dotrzeć do Paryża. Pożegnał się ze wszystkimi, starając się uściskiem dłoni wyrazić sympatię, jaką darzył partnerów.

Potem ruszył, nie patrząc w lusterko wsteczne – nie chciał widzieć, jak muszkietierowie, niczym krewni z prowincji, których opuszcza się z żalem – choć nie bez pewnej ulgi – machają na pożegnanie. Byli uparci, ale w końcu ich docenił i zapamięta na długo.

Wrzucając trzeci bieg, poczuł się jak zdrajca. Zmroziło go: naiwnością było myśleć, że zdoła zostawić to śledztwo. Winien był prawdę Wissie i jego rodzicom. A także tej czy temu, którego włosy i paznokcie znalazły się w trzewiach Kopta.

Zresztą wracał do Paryża głównie po to, żeby wycisnąć z ojca informacje. Wbrew wszystkiemu, co powiedział, nie wykluczał, że śmierć Wissy i tej ofiary o rudych włosach, a także samobójstwo di Greca, miały związek z Morvanem.

Prawie dwie godziny Erwan pomnażał swoją kolekcję fotografii, uruchamiając wszystkie radary na N104. Zbliżając się do punktów pobierania opłat, ze złośliwą satysfakcją włączał syrenę i ledwie zwalniał przy bramkach. Nie różnił się od większości gliniarzy, których niezależność opornie poddawała się rygorom prawa. Najbardziej irytowała go tak zwana prewencja drogowa, a teorię zerowego ryzyka uważał za godną pożałowania. Któregoś dnia zakażą po prostu jazdy samochodami.

Do jedenastej trzydzieści pokonał ponad trzysta kilometrów. W tym tempie miał szansę dotrzeć do Paryża wczesnym popołudniem. Uprzedził Kripo, że może zostać i poczekać na niego, gdy pożegna się z komisją ISG, gdzie zapewne już wcześniej słyszano o ekscentrycznym lutniście i gdzie udało się wreszcie zakończyć żalosalną aferę z zaginioną bronią. W okolicach Rennes zatrzymał się na stacji benzynowej.

Tankując do pełna, rozmyślał wciąż o śledztwie. Spokoju nie dawał mu zwłaszcza jeden element: niedawne wydarzenie, o którym wspomniał w mailach di Greco, coś, co „wstrząsnęło jego życiem”, coś, co „odmieniło znaczenie wszystkiego”. Do czego nawiązywał? Czy to mogło uzasadniać jego samobójstwo? Albo mord na Wissie? Erwan pomyślał o igłach, które stary człowiek – zdaniem doktora Almeidy – wbijał w swoje ciało. Być może sam także szukał granic wytrzymałości, zadając sobie ból.

Kiedy zamykał bak, zadzwonił telefon.

– Mówi Maggie.

– Oddzwonię za pięć minut.

Zapłacił, wypił obrzydliwą kawę, kupił butelkę wody i połknął garść proszków przeciwbólowych. Potem podjechał na parking i tam się zatrzymał. Wysiadł z samochodu, głęboko odetchnął porannym powietrzem, słysząc za plecami ryk aut pędzących autostradą, i zadzwonił do matki.

Przed rozmową z nią zawsze starał się odprężyć. Bo Maggie była matką o dwóch twarzach. Kiedy stary krążył w pobliżu albo choćby o nim myślała, górę brał strach, a wytrzeszczone oczy Maggie (miała nadczynność tarczycy)

wychodziły z orbit. Mówiła wtedy szybko, szeptem, głosem pełnym napięcia. Ale była i druga Maggie – uśmiechnięta, wręcz uwodzicielska. Piękna kobieta o zmysłowych ustach, swobodna, zawsze wesoła. Ta kobieta czerpała przyjemność z zabawy życiem, kpiła sobie z burżuazyjnych wartości, zawsze dostrzegała element komizmu w banalnych, codziennych sprawach.

Dwie Maggie miały różne korzenie. Pierwsza przybyła z mrocznej Afryki, naznaczona piętnem przeszłości, której nigdy nie zdołało poznać żadne z trojga jej dzieci. Była istotą ulepioną ze strachu i ciężkiej gliny, ukształtowaną przez Morvana. Druga była czystym tworem ery hipisowskiej – wyzwolona, odurzona narkotykami, zbuntowana. Młoda kobieta z kwiatami we włosach i głową pełną utopii. Maggie była ikoną kontrkultury, pachniała paczulą, nosiła afrykańskie tuniki i tańczyła z obnażonymi piersiami do muzyki Pink Floyd z filmu *More*. Legenda głosiła nawet, że grała w żeńskim zespole rockowym w Afryce, Salamandrach.

Dziś dziecko kwiat przemieniło się w wyznawczynię ekologii. Maggie została wegetarianką, buddystką, przekonywała do porodów w wodzie i walczyła przeciw globalizacji i ociepleniu. Opowiadała się za tym wszystkim, czego nienawidził stary Morvan, apolityczny zabójca, który lubił porównywać świat do wielkiej rakarni, gdzie człowieka trzeba trzymać w klatce.

Syn nie wiedział jeszcze, z którą Maggie rozmawia. Na początek wygłosiła litanie poświęconą Loïcowi, który miał „kłopoty”, ale najwyraźniej nie wiedziała o ucieczce Gaëlle.

– A z tatą wszystko w porządku? – wszedł jej w słowo.

– Oczywiście. Co miałoby nie być w porządku?

To wystarczyło, żeby go rozdrażnić: przez całe życie negowała największy ze swoich problemów – brutalność męża, i zawsze stawała w jego obronie. Mówiła o nim jak o nierozumianym bohaterze.

– Kiedy wrócisz? – zapytała.

– Już jadę.

– Czekamy na ciebie w niedzielę.

Sławetne niedzielne obiady. Pomyślał, że jest całkowicie oderwana od rzeczywistości. No, chyba że to on, skupiony na mordercy rabusiu narządów i żołnierzach z paczki sado-maso, przeniósł się do innego świata.

Zamierzał zakończyć rozmowę, ale coś mu się przypomniało: ojciec poznał di Greca w Afryce, więc może Maggie coś o nim wiedziała?

– Pamiętasz może wojskowego, który nazywał się di Greco?

– Nie.

– To oficer marynarki, pracował w Port-Gentil.

– Nigdy nie byłam w Gabonie.

Erwan pomylił się co do dat: Morvan zaczął od formowania oddziałów prezydenta Bongo w roku 1968, a potem, w 1969, udał się do Zairu, gdzie prowadził śledztwo w sprawie Człowieka Gwoźdźcia.

Di Greco należał do okresu gabońskiego, Maggie do zairkiego.

– A może przyjechał do Katangi – zaryzykował.

Wspomnienia Maggie odżywały.

– To facet o specyficznym wyglądzie?

– Owszem: miał ponad dwa metry wzrostu i ręce wampira.

– Mówisz o nim w czasie przeszłym. Nie żyje?

– Zmarł tej nocy.

– To ma coś wspólnego ze śledztwem w Bretanii?

– W pewnym sensie – uciął. – Spróbuj sobie przypomnieć.

– Wydaje mi się, że pracował w buszu, w pobliżu kopalni.

– Kopalni taty?

– Wtedy ojciec nie miał jeszcze kopalni. Człowiek, którego pamiętam, odpowiadał za ochronę złóż Gécamines, dużej firmy wydobywczej z Katangi.

– To tata go ściągnął?

– Nie mam pojęcia.

– A co pamiętasz?

Mówiła jak w zamyśleniu:

– To było dawno... Twardy, brutalny, bardzo chudy, niespokojny duch. Z czarnymi obchodził się jak ostatnia szuja. Próbowалам założyć stowarzyszenie obrony robotników. Bardzo się zaangażowałam...

– A wiesz, jak układały się jego relacje z ojcem?

– Wydaje mi się, że były raczej przyjacielskie.

– Pracowali razem dla rządu francuskiego?

Zaśmiała się cicho.

– Uwierz mi, że gnić w Afryce to już bardzo „obywatelska” postawa.

Przybrała teraz ton, który lubił: lekki, zdystansowany. Ale portrety dwóch szpiegów malowały się w mrocznych barwach: jeden tropił seryjnego zabójcę, drugi prześladował armię niewolników. Tak wyrastały dwa potwory, by wkrótce rozkwitnąć w cieniu władzy.

– To wszystko, co możesz mi powiedzieć? – nalegał. – Zastanów się jeszcze.

Maggie szukała słów.

– Sprawiał wrażenie... szalonego, jakby owładniętego brutalnością.

– On i ojciec musieli tworzyć zgraną parę.

– Nie mów tak.

– Dobrze wiesz, co mam na myśli.

Głos Maggie niepostrzeżenie się zmienił, jakby do pokoju wszedł Morvan.

– Nie lubiłam, kiedy się spotykali. On miał zły wpływ na twojego ojca.

Erwan o mało nie wybuchnął śmiechem.

Wyrwało mu się pytanie nie na temat, pytanie, które od lat cisnęło się na usta:

– Co między wami zaszło w Afryce?

– Nie rozumiem, o co ci chodzi?

– Poznaliście się i natychmiast postanowiliście się pobrać?

Zaśmiała się dziwnie.

– Zakochaliśmy się w sobie.

– Ale to trwało bardzo krótko.

– Mylisz się. Nadal się kochamy. Po prostu – inaczej.

– Nigdy cię nie zrozumiem.

– Twój ojciec jest chory.

Erwan krążył po parkingu coraz szybszym, nerwowym krokiem. Warkot samochodów rozsadzał mu skronie. Niebo było niebieskie, ale miało zimny blask stali.

– Zawsze tłumaczysz wszystko jego nerwami – podjął jak dziecko, które szuka zaczepki. – A może to zwyczajny łajdak, który bije żonę, co? W „36” jest wielu takich jak on. Daję ci słowo, że te świry nie mają nic wspólnego z Artaudem ani z Althusserem.

Poeta i filozof byli bohaterami matki. Dwaj intelektualiści, którzy dokonali żywota w szpitalach psychiatrycznych. Ten drugi miał pewną przewagę – w 1980, pod wpływem choroby, udusił żonę.

– I to najbardziej mnie smuci, nigdy nas nie rozumiałeś.

– Przez prawie dwadzieścia lat byłem z wami na co dzień.

– Znasz tylko część prawdy. Nie wiesz, jak wyglądało nasze intymne, małżeńskie życie.

– Oszczędź mi szczegółów.

– Zawsze sypialiśmy osobno – powiedziała, zniżając głos. – Ale pod osłoną nocy brutalność pokazuje prawdziwe oblicze.

Zagłębiała się w te wynurzenia jak w bagno. Tembr głosu Maggie, tak cichy i bliski, hipnotyzował go.

– Muszę kończyć. Mam masę pracy.

– Znacie tylko banalną wersję jego choroby. A nocą wychodzi na jaw, że jest rzeczywiście... opętany.

Erwan podszedł do samochodu i otworzył drzwi.

– Maggie, zadzwonię później.

– Pamiętasz, jak przed posiłkiem kładł broń na stole?

– Jak mógłbym o tym zapomnieć?

– Pewnej nocy, kiedy byliśmy sami, strzelił do mnie.

Erwan oparł się łokciami o dach volva i ukrył głowę między ramionami. Przeszłość jego ojca była jak archiwa nazizmu – wystarczyło w niej poszperać, żeby znaleźć nowe draństwo, coś ohydneho, niewyobrażalnego. Źródło było niewyczerpane.

– Zranił cię?

– Strzelał ślepakami. Zemdlałam i zrobiłam pod siebie.

Poczuł się, jakby jego dusza skonała.

– Kończę.

– Poniział mnie, przez wiele miesięcy przypominając tę historię.

– Po co mi o tym opowiadasz?

– Żebyś zrozumiał, że on nie jest tylko brutalny, ale że jest obłąkany.

– Co to zmienia?

– Wszystko. Nie odpowiada za swoje czyny.

– W takim razie trzeba go zamknąć w szpitalu.

– Nie pleć głupstw.

Ten ton oznaczał: „Cóż poczęłaby Francja bez Morvana?”.

Kawa, którą przed chwilą wypił, podeszła mu do gardła. Nie wiedział już, kto wzbudza w nim silniejszą odrazę: ojciec czy matka albo może ich obłąkańcze porozumienie.

Kiedy miał się już naprawdę rozłączyć, postanowił zadać ostatnie pytanie:

– Czy mówi ci coś słowo „Lontano”?

– Oczywiście, to miasto, w którym tam mieszkaliśmy.

– W Katandze?

– To nowe miasto, wybudowane za zyski z kopalni. Miasto osadników.

Mieszkałam tam z całą rodziną.

Kiedyś ojciec powiedział: „Twoja matka jest bezkrwistą córką walońskiej rodzinki, która żeni się od pokoleń we własnym kręgu i od przeszło stu lat gnije w Zairze. Jest po trosze Belgijką, po trosze Kongijką. Dwie ułomności w jednym!”.

– Zanim di Greco odebrał sobie życie, napisał tę nazwę na kartce. Dlaczego?

– Nie wiem.

– To ostatnie słowo, wybrał je tuż przed śmiercią. Może w tej dziurze wydarzyło się coś bardzo ważnego?

– Może dla niego. Już ci mówiłam, że słabo go znałam.

– Zastanów się. Nie przypomina ci się żaden szczególny fakt?

Westchnęła, a może się uśmiechnęła, by dodać rozmarzonym głosem:

– Zapamiętałam tylko jedno bardzo ważne wydarzenie, ale nie dla di Greca.

– Jakie?

– Tam właśnie się urodziłeś, kochanie.

Morvan ocknął się nagle. Przez krótką chwilę czuł się, jakby dopadły go równocześnie amnezja i tężyczka, ale otrząsnął się i odzyskał kontrolę nad sobą. Zerknął na zegarek: dziesięć po dwunastej! Poznał swój gabinet na placu Beauvau. *Szlag by to trafił.* Pewnie usiadł rano na kanapie i najzwyczajniej zasnął. Jak stary dziad!

Nikt nie ośmielił się mu przeszkadzać, zwłaszcza sekretarka, która zawsze czekała na jego sygnał, żeby wejść. A on nie słyszał nawet dzwonka telefonu.

Ugryzł się w język, zanim znowu zaklął, i poderwał się z kanapy. Przede wszystkim odsłuchał wiadomości. Żadnych wieści od Gaëlle ani od Erwana. Sprawdził teleks sztabu generalnego – normalny napływ dokumentów. Będzie musiał zarządzić wielkie manewry.

Zadzwoiła komórka, ponieważ jednak wpadła między poduchy, zaczęła jej szukać. Maggie. Kurwa, dzień zaczynał się naprawdę fatalnie.

– Rozmawiałam przed chwilą z Erwanem – powiedziała, nie tracąc czasu nawet na „dzień dobry”. – Pytał mnie o Lontano.

Morvan przetarł twarz ręką.

– Do mnie też dzwonił. Trzymam rękę na pulsie. Co mu powiedziałaś?

– Że tam się urodził.

Podszedł do okna i zauważył, że dzień jest pogodny. Na myśl o tym ścisnęło mu się serce. Pragnął, żeby burza przetaczała ciężkie chmury nad dachami, a ulewny deszcz zalał miasto.

– A ty? – podjęła.

– Nic. Czekam, aż się spotkamy.

– Co to za historia z di Grekiem? Te kretynstwa z jednym słowem?

– Nie mam pojęcia, ale zajmę się tym.

– Czy to ma związek ze sprawą Erwana?

– Właśnie na niego czekam. Wszystko mi wyjaśni.

Maggie przez chwilę milczała. Potem oznajmiła:

– Przysięgam ci, że jeśli ten stary szaleniec napisał to, żeby obudzić przeszłość, rozkopię jego grób i własnymi rękami wyłupię mu oczy.

– Powtarzam: panuję nad sytuacją.

Gwałtownie odłożył telefon, uświadamiając sobie, że przed chwilą śnił o Lontano. Tego był pewien, nie pamiętał jednak żadnych szczegółów. Dlaczego tak nagle wypłynęły sprawy z Zairu? Co miał na myśli di Greco? Maggie się myliła – admirałowi nie chodziło o ujawnienie dawnych zbrodni. Chciał przekazać mu wiadomość, jemu i tylko jemu. Ale co to za wiadomość?

Wsadził głowę pod wodę, a potem ustawił klimatyzację na najsilniejsze chłodzenie. Odpędził od siebie przeklętą nazwę i skupił się na najpilniejszej sprawie – zniknięciu Gaëlle. Podniósł słuchawkę telefonu stacjonarnego i zaczął dzwonić do swoich ludzi. Wybierał w zasadzie tych, którzy nie mieli nic wspólnego z ucieczką smarkuli. Poleciał im odtworzyć połączenia telefoniczne i internetowe, zmiany na koncie bankowym, przemieszczanie się w systemie Vélib (panienka jeździła rowerem), telefony i maile od najbliższych, kontakty z firmami taksówkarskimi. Zażądał także, by lokalne paryskie media podały wiadomość o jej zaginięciu i wezwały tych, którzy ją widzieli, do kontaktu z policją. Nie mógł dłużej bawić się w zawstydzonego ojca.

Puściwszy maszynę w ruch, wrócił do Lontano. Sięgnął po okulary i włączył Google. Nie przypuszczał, żeby w tej zabitej deskami dziurze mogło się wydarzyć coś nowego, ale przecież nigdy nic nie wiadomo.

Ani linijki, ani słowa o „jego” Lontano. Zgliszcza dawno ostygły. Dziś po dawnym mieście zostało tylko rumowisko wchłaniane przez busz, w samym sercu strefy walk. Zresztą gdyby cokolwiek się tam stało, natychmiast by go o tym poinformowano.

Zatrzeszczał teleks. Morvan zerknął na wydruk i zaparło mu dech w piersi. Błyskawicznie oderwał kartkę i uważnie przeczytał: ciało młodej kobiety w wieku dwudziestu pięciu – trzydziestu lat zostało znalezione na dnie starej studzienki wentylacyjnej na nabrzeżu Grands-Augustins, naprzeciwko Quais d’Orfèvres. Ciało zauważyli turyści płynący statkiem spacerowym, jednym z pierwszych rejsów po rzece, około jedenastej rano. Zapanowała panika. Policja była już na miejscu zdarzenia. Ruch na rzece został tymczasowo zamknięty.

Z teleksu nie wynikało nic więcej. Nie zawierał rysopisu ofiary ani żadnych informacji o przyczynie zgonu. Nie było też takich szczegółów jak ułożenie zwłok ani hipotez dotyczących sposobu umieszczenia ich

w studziencie.

Morvan sięgnął po telefon. W niespełna pięć minut ustalili, że sprawą zajmuje się „wydelegowany do przeprowadzenia wstępnych oględzin miejsca zbrodni” kapitan Sergent – to nie dowcip, ten kapitan nazywał się Sierżant – i zdobył jego telefon.

Oficer policji śledczej odebrał po drugim sygnale. Ten żółtodziób z brygady kryminalnej nie wiedział, kim jest Morvan, znał tylko jego syna, Erwana. Wyglądało na to, że nie radzi sobie z tą sytuacją. Co gorsza potraktował prefekta z góry, odmawiając udzielenia mu przez telefon jakichkolwiek informacji.

Stary, zmuszając się do zachowania spokoju, dał mu do zrozumienia, że jeśli dalej będzie tak postępował, wkrótce wyląduje w wydziale analiz i statystyk w prefekturze, zamiast zajmować się budzącymi żywe zainteresowanie morderstwami.

– Udało się zidentyfikować tę dziewczynę?

– Jeszcze nie – wydukał policjant. – Jest naga, mocno poraniona i...

– Kolor włosów?

– Czerwony.

– Czerwony?

– To znaczy rudy. Ale została jej tylko połowa włosów.

Ciężar w klatce piersiowej zelżał.

– Znaki szczególne.

– Na razie nie zauważyliśmy żadnych. Ciało wciąż jest uwięzione, skulone, a skóra bardzo zniszczona. Sprawca pastwił się nad ofiarą...

– Tatuże?

– Kilka już widzieliśmy. Litery O-U-T-L-A-W na szyi...

Teraz mógł już odetchnąć: Gaëlle nie miała na skórze żadnego napisu. Uznała, że to mogłoby „ograniczyć pole możliwości zawodowych”. Uniknęli przynajmniej takiej głupoty, chociaż jedna jaskółka nie czyni wiosny.

Ale znów poczuł się nieswojo.

– Ma też coś na biodrze, to taka dziwna głowa brodacza – dodał policjant.

Znów zaparło mu dech w piersi.

Kwiecień 2009. Był wówczas członkiem komisji zwolnień warunkowych. Tamta dziewczyna odbyła już we Fleury karę trzech lat więzienia za napad z bronią w rękę, akty przemocy i przynależność do zorganizowanej grupy przestępczej. Zapytał ją przy innych członkach komisji i sędzim, kim jest

postać, którą widać spod przykrótkiego T-shirtu na lewym biodrze. Teraz jej schrypnięty, zmysłowy głos zabrzmiał mu w uszach: „Charles Manson”.

Morvan najchętniej dałby jej wtedy w twarz. Po pierwsze dlatego, że tatuowanie sobie wizerunku sadystycznego świra i nieuka nie jest przejawem buntu, ale zwykłej głupoty, a po drugie dlatego, że przyznanie się do tego przed ludźmi mogącymi pomóc w znalezieniu dachu nad głową i pracy to jeszcze większa bezmyślność. A jednak podczas narady przekonująco stawał w jej obronie. *Wyczuwał* tę małą. I uzyskał dla niej zwolnienie warunkowe.

„Powinnaś powiedzieć, że to Marks”, skarcił ją później, a ona odparła:

„Przecież to inny guru zbrodniarzy”. „Punkowa”. Znow palnęła głupstwo, ale i tak mu się podobała. Tryskała nieokrzesaną, prymitywną energią, źle ukierunkowaną, ale obiecującą. Znalazł jej mieszkanie, pomagał, poszukiwał pracy. Podczas kolejnych spotkań miał okazję zobaczyć inne jej tatuaże, wśród nich OUTLAW na szyi.

– Ekipa techniczna zakończyła pobieranie pierwszej próbki – ciągnął kapitan. – Mamy jej odciski, więc jeśli była notowana, z łatwością ją zidentyfikujemy.

– Dlaczego miałyby być notowana?

– Nie wiem... – wycofał się młody glina. – Te tatuaże, czerwone włosy. I ma pomalowane na czarno paznokcie.

Głos policjanta dobiegał z daleka. Morvan znow wrócił myślami do roku 2009. Chociaż dziewczyna miała dwadzieścia trzy lata, wyglądała najwyżej na szesnaście. To była w jego oczach dopuszczalna granica dla pożądania. I opieki, jaką mógł jej zapewnić. Od tego dnia co najmniej raz w miesiącu zapraszał ją na obiad, a przy okazji dawał pieniądze. Nigdy jej nie tknął, lubił po prostu bawić się w Pigmaliona. I czerpać siłę z tego źródła młodości.

– Czy strażacy ją wydobędą?

– Akcja trwa. Ale wylot znajduje się na wysokości dwóch metrów, więc...

– Zaczekajcie z tym na mnie.

– Ale...

– Przyjadę z komisarzem Fitoussim.

– Nie rozumiem?

Morvan przybrał dobrotliwy ton faceta wszechwładnego, ale sympatycznego.

– Jest wiele rzeczy, których nie rozumiesz, synu. Ta dziewczyna to Anne Simoni. Ma dwadzieścia sześć lat i siedziała za brutalny napad. Dziś jest,

a raczej była, całkowicie zresocjalizowana. Pracowała nawet w wydziale dowodów rejestracyjnych w prefekturze policji.

– Znał ją pan?

– Nic na razie nie róbcie. Będę na miejscu za pół godziny.

Odłożył słuchawkę i osunął się na fotel, który sam wzmocnił sprężynami i pasami włókna węglowego, żeby wytrzymał jego ciężar.

Ta straszna wiadomość ujawniła wiele prawd.

Pierwsza: w Paryżu uderzył ten sam zabójca, który zamordował Wisnę Sawirisa. Rude włosy i czarne paznokcie należały do Anne Simoni, nie było co do tego wątpliwości. Morvan nie chciał w tej chwili zastanawiać się nad konsekwencjami tego faktu – seryjny morderca, premedytacja, perfekcyjny plan działania, makabryczna lista, która się dopiero zaczynała.

Drugą prawdą było to, że próbowano wmieszać go w tę sprawę. Najpierw ten sygnet na Sirling (kto wie, może morderca zostawił także inne dowody, które uległy zniszczeniu w wybuchu), teraz wybór Anne Simoni jako inny sposób ugodzenia go.

Tym razem łatwo będzie powiązać go z ofiarą. Ktoś zauważy, że znalazł jej pracę w prefekturze, że poręczył, gdy wynajmowała mieszkanie. Przejrzą jej maile i połączenia telefoniczne. Cała masa drobiazgów będzie wskazywać na to, że dziewczyna była jego kochanką. Będą go przesłuchiwać, podejrzewać, obwąchiwać mu tyłek.

Był pewien, że na miejscu zbrodni albo w mieszkaniu dziewczyny znajdą się obciążające go dowody. To już nie była paranoja: ktoś się na nim mścił. Ale kto? Za co? Nie ma sensu łamać sobie nad tym głowy. Wystarczy zapamiętać, że ktoś chce go zniszczyć, stosując jego metody – ryszotkowe plotki i fałszywe dowody na ich poparcie.

Nie myślał jednak o sobie, ale o swoim dziele. O wszystkim, co zbudował. O władzy i majątku. I o swoich dzieciach. Bo nad tym królestwem zawisła groźba. Misterna konstrukcja kombinacji i cierpliwie kompletowanych dokumentów – praca, która zajęła czterdzieści lat – mogła lada chwila runąć. Już dostrzegał pierwsze pęknięcia. A teraz wszystko nagle się zawali.

Znów się rozebrał i otworzył szafę. Ciemny garnitur, szelki, dwukolorowa koszula, czarny krawat. Szacunek dla zmarłych. Od czasów afrykańskich nigdy nie stanął nad zwłokami w innym stroju.

Zanim wziął kluczyki, usiadł przy biurku, oparł się o nie łokciami i położył czoło na splecionych dłoniach. Modlił się półgłosem, wkładając w to całe

serce. Wydawało mu się, że pod zamkniętymi powiekami widzi Wielką Nierządnicę, która w Apokalipsie Świętego Jana symbolizuje Babilon, „macierz nierządnic i obrzydliwości ziemi”²². „Tajemnica Niewiasty i Bestii, która ją nosi, a ma siedem głów i dziesięć rogów”²³, była przed nim. To jego dzieło. Jego imperium. Jego grzech. Teraz przyjdzie mu zapłacić za swe winy.

Ale zamiast słów modlitwy powtarzał cicho, raz po raz, sławny werset Apokalipsy, ten, który zdawał się najlepiej ujmować jego rychłą przyszłość:

– „Bestia, którą widziałeś, była i nie ma jej...”²⁴

Sto kilometrów od Paryża rozdzwonił się telefon. Erwan prowadził już w takim skupieniu, że odebrał ten dźwięk, jakby zatrzęsała się ziemia.

– Mamy coś nowego.

Spodziewał się telefonu od ojca, matki albo Kripo, tymczasem dzwonił Thierry Neveux, analityk kryminalistyki z Rennes. Jego głos jakby dobiegał z zaświatów albo z odległej przeszłości.

– Udało nam się zidentyfikować te ostrza wyjęte z ciała Wissy.

– I co to jest? Igły?

– Gwoździe.

– Dotąd myśleliśmy o odłamkach broni białej, jakiejś buławy, szczątkach zbrojonego betonu.

– Myliliśmy się. Ostrza, które były na powierzchni, zostały wyrzucone przez wybuch. Zresztą były zdeformowane i osmolone. Ale te, które tkwiły w ciele, są w lepszym stanie. Ponad wszelką wątpliwość – to gwoździe różnej wielkości, różnego rodzaju. Mają jeszcze główki, a na nich rysy od dłuta.

Gwoździe. To słowo brzmiało jak klątwa. Automatycznie narzuciło mu się skojarzenie ze sprawą, która przyniosła sławę Morvanowi seniorowi i wpłynęła na losy ich rodziny.

– Mamy jeszcze coś – ciągnął Neveux. – Clemente zrekonstruował ciało i określił strefy, w których skupiały się rany, a więc i gwoździe. Jedno takie ognisko jest w policzku, drugie zaczyna się pod gardłem i biegnie w stronę ramienia, kolejne – na plecach. Clemente ustalił, że tam tkwiły także odłamki szkła, żelazne ostrza.

Erwan widział przez szybę plamy słońca na drodze.

– Sekcja zaczęła się trzy dni temu, a wy teraz mówicie mi o takich rzeczach?!

– Clemente prowadzi ją etapami. Przeszło jeden dzień poświęcił na jamę brzuszną, a...

– Dobrze, dobrze. Coś jeszcze?

– Prawdopodobnie kolejne skupisko zdobyło lewy bok, na wysokości bioder, ale tu ciało było poszarpane, więc...

– Co znaczy „zdobyło”?

– Tak mi się powiedziało. Nie wiem, jak by to ująć, ale ma się wrażenie, że to ciało uległo serii erupcji, jakby wyprysków trądziku, tyle że tu zamiast wykwitów są gwoździe.

W innej sytuacji Erwan uznałby, że to odrażające porównania, ale teraz uderzyła go zbieżność z relacjami Morvana, kiedy opisywał ofiary Człowieka Gwoźdza, mordercy z Zairu.

– Ale to jeszcze nie koniec. Pracowaliśmy cały ranek nad pozycją ciała, analizując złamania kości i uszkodzenia stawów.

– I?

– Nie mamy stuprocentowej pewności, ale sądzimy, że przed eksplozją ciało było skulone, w pozycji mumii Inków. Wysłaliśmy panu maile ze schematami.

– Chwileczkę.

Erwan włączył światła awaryjne i zjechał na pas awaryjny. Wyłączył silnik i otworzył komputer. Po chwili miał już dostęp do skrzynki mailowej. Wśród mnóstwa wiadomości wyszukał te od Clemente’a. „Załączniki”. Jeszcze kilka sekund oczekiwania w szumie autostrady. Tik-tak-tik-tak... Czuł pulsowanie w brzuchu, ale prawdziwy skurcz pojawił się na widok obrazów.

Ciało w pozycji siedzącej, nogi podkulone pod brodę, ramiona obejmujące kolana, głowa odchyłona do tyłu, wpatrzona w niebo. Ten szkic wyglądał jak *nkondi*, afrykańska figurka ze zbiorów ojca. Prawdę mówiąc, jeszcze bardziej przypominał ofiary Człowieka Gwoźdza. Widział w dzieciństwie kilka z nich na zdjęciach. Zmasakrowana twarz, skupiska gwoździ, pozycja płodowa – wszystko się zgadzało.

– Jest pan tam?

– Właśnie oglądam schematy.

– To niesamowite. Przypuszczamy, że morderca wbił w żyjącą ofiarę dziesiątki gwoździ, a ułożył ją w tej pozycji już po śmierci. Przemawia to do pana?

Kiedy Erwan był jeszcze chłopcem, ojciec często opowiadał mu o tym śledztwie, o „polowaniu na bestię”. O tym, jak morderca, młody inżynier belgijskiego pochodzenia, przebijał ofiary setkami gwoździ, odtwarzając święte posążki ludu Yombe z Dolnego Konga. Jak owładnięty szaleństwem

wierzył, że chroni się przed złymi duchami, zamieniając kobiety w fetysze. I jak po wielu miesiącach śledztwa Morvan zdołał ustalić, kim jest zabójca, a potem tropił go w buszu, przemierzając wycinane w nim ścieżki.

– Oddzwonię – powiedział głośno i natychmiast się rozłączył.

Otworzył drzwi i zwymiotował kawą. Przez chwilę podchodzący do gardła kwas utrudniał mu oddychanie. Potem nie miał już nawet czym splunąć, ale siedział nieruchomo, wpatrzony we własną żółć na asfalcie. Drżały mu nogi, krew pulsowała w skroniach.

Od początku wszystko biegło w niewłaściwym kierunku.

Jak morderca aresztowany w 1971 roku mógł teraz nagle wrócić? Zakładając, że jeszcze żył, musiałby wyjść na wolność. Tak czy inaczej byłby po sześćdziesiątce. Po co miałyby się rzucać na pierwszą lepszą ofiarę? I dlaczego akurat w Bretanii? Co wiązałoby go z K76?

Di Greco?

W ułamku sekundy Erwan powiązał ze sobą poszczególne elementy. Naśladowca, który dokładnie znał tamtą sprawę i przyjął *modus operandi* zabójcy. Problem w tym, że we Francji prawie nikt nie słyszał o tej historii sprzed czterdziestu lat, która wydarzyła się siedem tysięcy kilometrów stąd.

Inny możliwy scenariusz: ojciec się pomylił, nie zatrzymał prawdziwego mordercy z Zairu. Z niewiadomych przyczyn Człowiek Gwóźdź teraz postanowił znów się objawić. Drzemiący wulkan nagle się przebudził.

Bez względu na to, którą możliwość by wybrał, вина di Greca stawała się bardziej prawdopodobna. Poruszony działaniem mordercy – a przyszły admirał przebywał w Zairze, kiedy Człowiek Gwóźdź dokonywał zbrodni – zapragnął przed śmiercią podjąć jego potworne dzieło. Inna, jeszcze bardziej obłąkańcza hipoteza: to di Greco był mordercą z Katangi, a Morvan – świadomie lub nie – oszczędził go. U schyłku życia ożyła pierwsza miłość.

Była inna, bardziej wiarygodna ewentualność: poinformowany przez Verny'ego o szczegółach śledztwa admirał rozpoznał w zabójcy Wissy Człowieka Gwoździa, a może nawet widział coś tej nocy na lądzie. Pisząc „Lontano”, przekazywał po prostu śledczym wiadomość, bo – jak uświadomił sobie teraz Erwan, to w tym miejscu siał postrach morderca. Do kogo adresowane było to przesłanie? Oczywiście, do Morvana, jedyne, który znał tę sprawę. Przed odejściem admirał pragnął go ostrzec.

Tymczasem jednak to Erwan będzie musiał zacząć śledztwo od zera. Przeanalizować historię zbrodniarza z Katangi i go odnaleźć – żywego lub

umarłego. Rozszyfrować jego szaleństwo i ewentualny wpływ na inne umysły.

Sięgnął po butelkę wody, którą kupił, żeby popić pigułki, i wypłukał usta. Ruszył, paląc gumy na asfalcie. Błyskawicznie osiągnął prędkość „podróżną” – dwieście kilometrów na godzinę. Za trzy kwadransy dotrze do Paryża.

Wyłączył telefon komórkowy, podobnie jak laptopa. Okna auta były zamknięte. Teraz nikt nie mógł się z nim skontaktować. I nikt nie wiedział, gdzie jest. To go uspokoiło. Nareszcie był zupełnie sam i mógł pomyśleć, ale wiedział, że nie powinien myśleć, a wszystkie pytania i spekulacje pozostawić do czasu konfrontacji z ojcem.

CZĘŚĆ DRUGA
I W PROCH SIĘ OBRÓCISZ

Zrobiło się potworne zamieszanie.

Zamknięto bulwary. Wydawało się, że na ulicę wylegli wszyscy policjanci i wszystkie oznakowane wozy „36”. Ambulans i wozy strażackie blokowały lewy brzeg między dwoma mostami – Neuf i Saint-Michel. Cały ten odcinek przewiązano jak pudło z prezentem żółtą taśmą z napisem: WSTĘP WZBRONIONY.

Kierowca zatrzymał się na środku nabrzeża Grands-Augustins. Wszystko działo się poniżej, tuż nad rzeką. Schodząc nad Sekwanę po schodach, Morvan poczuł świeży powiew powietrza, łagodne promienie słońca, które tak mocno kontrastowały z atmosferą paniki panującą na tym skrawku ziemi. Kamienie lśniły jak srebro. Wszystko było rozgrzane, migoczące, lekkie. Brakowało tylko bosonogich praczek, wędkarzy, ludzi z gitarami, spacerowiczów snujących się w cieniu pomalowanych na zielono metalowych budek bukinistów...

Komisarz Jean-Pierre Fitoussi, szef brygady kryminalnej, przywitał go na nabrzeżu. Błady, wciśnięty w czarny garnitur, ukrył się za ciemnymi okularami pilota helikoptera.

– Dokładnie na wprost naszej siedziby – mruknął gniewnie, idąc przodem.
– Ten szaleniec ostro sobie poczyna.

Morvan szedł za nim w milczeniu. Przewyższał gromadę policjantów o głowę, więc mógł już obserwować, co dzieje się na miejscu zbrodni. Zwłoki znajdowały się mniej więcej pod numerem 35 nabrzeża Grands-Augustins. Praktycznie na wprost wejścia do gmachu pod numerem 36 nabrzeża Orfèvres na drugim brzegu Sekwany.

Wbrew jego rozkazom strażacy wydobywali już ciało ze studzienki. Anne Simoni została nie tylko okaleczona czy wręcz odarta ze skóry, ale też związana w pozycji w kucki i naszpikowana setkami gwoździ, a w gałki oczne miała wbite kawałki lustra.

Nagle zrozumiał sens przesłania di Greca: bestia wróciła. Koszmar, który prześladował ich w Zairze, znów się zaczynał. Jak to możliwe? I skąd

wiedział o tym admirał? Morvan drgnął, jakby niewidzialna pięść wymierzyła mu silny cios. Erwan mówił o żelaznych ostrzach, o usuniętych narządach, szczątkach organicznych ukrytych w ciele. Jak mógł tego nie skojarzyć? Wiek robi swoje, a w dodatku zaprzątnięty zniknięciem Gaëlle stracił zdolność analizy.

Strażacy bardzo ostrożnie opuszczali ciało. Wokół technicy zwani „wacikami” stali na drabinach, fotografując każdy szczegół. Kawałki lustra w gałkach ocznych zdawały się mrugać i puszczają oko do ludzi z „36”.

W pewnym momencie wszyscy cofnęli się z przerażeniem. Na miejscu znajdowali się wyłącznie fachowcy – doświadczeni policjanci, ludzie, którzy niejedno już widzieli, mimo to ta zmarła przepełniła ich zgrozą. Na pół ogolona głowa najeżona była gwoździami. Sterczały też z karku, prawego ramienia i lewego boku. Te skupiska nawiązywały do straszliwej choroby. Nadgarstki związane starym sznurem otaczały podkulone pod brodę nogi. Zwłoki tworzyły przerażający posąg.

– Widziałeś kiedyś coś takiego?– zapytał Fitoussi.

Morvan nie odpowiedział.

W grupie obecnych tu ludzi tylko on już to widział.

Ofiarę ułożono na noszach. Morvanowi chciało się płakać. Patrząc na te obrażenia, powracając do najmroczniejszych dni młodości, żegnał się z tą odartą z ciała dziewczyną. Nie była jego córką – nikt nigdy nie zastępował mu córki – ale należała do grona tych smutnych dziewcząt, które źle weszły w życie, które zaczynały od złych spotkań. Do grona tych, za które gotów był oddać życie.

I już, tak samo jak przed czterdziestu laty w Zairze, targały nim wyrzuty sumienia. Nie zdołał jej uratować. Nie przewidział tej masakry i nie potrafił uchronić dziewczyny przed godzinami niesamowitego cierpienia, przed obsceniczną śmiercią i wystawieniem na widok publiczny.

Nagle, kiedy strażacy ją układali, nogi wysunęły się spod związanych rąk i rozłożyły się jak nożyce. Świadcowie tego zdarzenia jęknęli przerażeni, bo zepsuta marionetka odkryła swój sekret: tam gdzie powinna mieć brzuch, została tylko ziejąca jama otoczona żebrami, które sterczały z ciała jak wielkie ości. Łatwo było się domyślić, że usunięto wiele narządów: żołądek, wątrobę, narządy płciowe.

I na pewno nerki. Morvan znał zasady. Nigdy ich nie zapomniał. Żeby ułatwić cyrkulację energii aktywowanej przez setki gwoździ, należało

„oczyścić” ciało fetysz. Wiedział też, że ta pusta jama skrywa kępki włosów, kawałki paznokci – zgodnie z afrykańską tradycją były to „kawałki” osoby, którą należało chronić, albo na którą chciało się rzucić czar. W tym przypadku – coś z kolejnej ofiary. To właśnie charakteryzowało Człowieka Gwoździa, który przemienił święty rytuał w potworny rebus.

Należało się spodziewać kolejnego morderstwa.

– Nie mogę na to patrzeć.

Fitoussi odwrócił się na pięcie, kiedy strażacy, z pomocą techników, którzy stali na drabinach i wysięgnikach, nieudolnie scalali szczątki ofiary. W końcu zespół kryminalistyków rozłożył płachtę, osłaniając te działania. Nagle kurtyna w teatrzyku kukielkowym opadła.

Wszyscy odetchnęli z ulgą. Ale nie Morvan. On sięgał wzrokiem dalej, wyżej. Widział obraz za miejscem zbrodni. Widział, jak wyłania się przeszłość, którą dawno temu zagrzebał. Lata nauki – najgorsze lata jego dorosłego życia – powracały z hukiem.

– Sergent powiedział mi, że to ty zidentyfikowałeś ofiarę.

Fitoussi już wrócił. Miał minę zdegustowanego grabarza, ręce trzymał w kieszeniach, a brzuch niósł przed sobą.

– Nazywała się Anne Simoni. Miała dwadzieścia sześć lat. Pracowała w wydziale dowodów osobistych.

– Jak ją zidentyfikowałeś?

– Na podstawie tatuaży.

Fitoussi, który bał się Morvana, ale i nienawidził go, uniósł brwi.

– Skąd ją znałeś?

Prefekt włożył ciemne okulary. Jego emporio armani niczym nie przypominały ray-banów komisarza, a przywoływały wspomnienie Bréhat i samotnych rejsów jachtem. Mimo to pomyślał, że teraz obaj wyglądają jak Blues Brothers.

– Wyciągnąłem ją z bagna, kiedy wyszła na warunkowe. Znalazłem jej mieszkanie i pracę w prefekturze.

– Rozumiem.

– Nic nie rozumiesz i radzę ci nie wyciągać pochopnych wniosków.

Fitoussi poczerwieniał, jakby ktoś wymierzył mu policzek.

– Co to za ton? – oburzył się, z wściekłością zdejmując okulary.

– Odpowiedni w tej sytuacji. Nie rozumiesz, co się dzieje?

– Mamy na głowie trupa...

– Nie. Mamy seryjnego mordercę, jakiego Paryż nigdy dotąd nie widział. Łotra, który będzie zostawiał ofiary jak puszki po piwie na stoliku podczas ważnego meczu.

– Skąd ten pomysł?

Morvan spojrzał na ludzi, którzy zamykali worek na zwłoki.

– Miałem kiedyś podobną sprawę.

– Kiedy? Gdzie?

– Nie pytaj.

– Powierzę dochodzenie wstępne Erwanowi. Uzgodniłem to już z prokuratorem.

– Wykluczone.

Fitoussi zrobił krok w jego stronę. Grégoire miał wprawdzie dużą władzę, ale to nie było jego terytorium. Komisarz sam decyduje o przydziale zadań w swojej brygadzie.

– Morvan, „36” jest moja. I tak wysłałeś go już diabli wiedzą dokąd bez mojej zgody. Zabawa się skończyła. Wracamy do domu. Twój syn załatwi nam to, jak należy. – Mrugnął do niego. – Zwłaszcza jeśli podrzucisz mu parę pomysłów.

– To nie jest dobry pomysł – warknął. – To...

Usłyszał sygnał komórki. Wyjął ją z kieszeni i spojrzał na ekran. *O wilku mowa!* Wysłał do Erwana wiadomość, umawiając się z nim na miejscu. Po chwili przeczytał: „Już tu jestem”.

Podniósł głowę i zobaczył go, torującego sobie drogę przez kordon.

W policji jest tak samo jak w mediach. Człowiek myśli, że ma genialną sprawę, a zwalają mu na głowę coś innego, świeższego, ostrzejszego. Erwan jechał z zadziwiającą nowiną: Człowiek Gwóźdź wrócił! Ale „jego” trup miał już pięć dni, a Morvan czekał na nabrzeżu Grands-Augustins ze spektakularnym potwierdzeniem hipotezy: nową ofiarą.

Schodząc nad rzekę, Erwan zadał kilka pytań znajomym gliniarzom. Wyciągnął z nich niewiele, ale i to wystarczyło, żeby zamarł. Ledwie przetrawił te informacje, a już stanął przed nim ojciec. Powitanie ograniczyło się do minimum, czyli do braku powitania. Morvan nawet nie zapytał, co z jego twarzą.

– Chodź ze mną – kazał.

– Chcę zobaczyć zwłoki.

– Już przygotowali je do transportu. Obejrzysz je w Instytucie Medycyny Sądowej.

Ruszyli w kierunku mostu Saint-Michel, a dalej w stronę Notre Dame. Ulica była opustoszała, ponieważ policja zamknęła wjazd. Natomiast nad nimi przechodnie gromadzili się, usiłując zobaczyć, co się dzieje. Z dala dobiegał gwar pełnych niepokoju głosów.

Erwan zrelacjonował ojcu najnowsze wydarzenia – rekonstrukcję ciała i próby ustalenia, jak było ułożone, a także ustalenie, że metalowe ostrza to gwoździe. Teraz powiedział również o pasemkach włosów i paznokciach. Ojciec potwierdził na podstawie tego, co widział, że obrażenia ofiary przystawały do sposobu działania zabójcy z Zairu. Ale zaraz potem dodał:

– To na pewno nie on.

– Dlaczego?

– Bo Thierry Pharabot zmarł trzy lata temu w specjalistycznym ośrodku dla trudnych chorych. To Instytut Charcota.

O dziwo, ta nazwa nie była Erwanowi obca.

– Gdzie to jest?

– W Bretanii.

– A dokładniej?

– W Finistère. Czterdzieści kilometrów od Kaerverec.

– I dopiero teraz mi o tym mówisz?

– Nie pleć bzdur, powtarzam: Pharabot zmarł i został pochowany.

Erwan pamiętał, że na liście okolicznych zakładów karnych i psychiatrycznych, które odwiedzał Verny, był także Instytut Charcota i że nie zgłaszano tam żadnych zdarzeń, które byłyby niepokojące.

– Mógł wpłynąć na kolegę z celi – rzucił. – Teraz ten wyszedł na wolność i...

– Nie. Izolowano go. Przez cały czas miałem na niego oko.

– Wiesz Sawirisa zamordowano kilka kilometrów od tego zakładu, to nie może być przypadek!

– To by było za proste!

Erwan gniewnie spojrzał na ojca, który szedł, wpatrując się w bluszcz rosnący na skwerze Jean-XXIII i oplatający brzegi wyspy Cité.

– Co ci chodzi po głowie?

– Jeśli ktoś naśladuje dziś Człowieka Gwoździa, to nie pod wpływem morderczego szaleństwa. A na pewno – nie tylko. Te zabójstwa są elementem szerszej zakrojonej spisku.

– Kurwa, skończ wreszcie z tą konspiracją!

Morvan przystanął. Składał i rozkładał ciemne okulary nerwowym ruchem, który wcale do niego nie pasował.

– Najpierw muszę ci o czymś powiedzieć, synu.

Erwan obawiał się najgorszego, bo ojciec nie zwracał się tak do niego od dobrych dwudziestu pięciu lat.

– Sygnet, który znalazłeś w Sirling, należał do mnie.

Zapomniał o tym szczególe, który teraz powrócił i znów nim wstrząsnął.

– Właściwie – poprawił się Morvan – przypuszczam, że to mój sygnet. Zgubiłem go trzy tygodnie temu.

– Zgubiłeś go czy ci go ukradziono?

– Nie wiem. Ale jeżeli ktoś go ukradł, to po to, żeby zostawić go przy zwłokach.

– Żeby cię w to wplątać?

– Nie ma innego wytłumaczenia.

– To znaczy, że nagle pojawił się ktoś, kto naśladuje Człowieka Gwoździa, mordercę, którego aresztowałeś czterdzieści lat temu, i próbuje cię zrobić.

To twoje wyjaśnienie?

– Zdarzyły się jeszcze inne rzeczy. I każda z nich dotyczy mnie pośrednio albo bezpośrednio.

– Na przykład?

Morvan nieco chaotycznie opowiadał o prawdopodobnym wrogiem przejęciu, wymierzonym w spółkę wydobywczą, której był udziałowcem. Erwan słuchał jednym uchem, ponieważ zawsze, kiedy była mowa o finansach, zawodziła go zdolność analizy.

– Czy to wrogie przejęcie jest faktem, czy tylko je podejrzewasz? – zapytał, żeby nie tracić czasu.

– Jeszcze nie wiem, ale na giełdzie pogłoski wystarczą, żeby narobić bałaganu.

– Jak to mogłoby ci zaszkodzić?

– Za długo by tłumaczyć. Poza tym są jeszcze pogrożki, które dostaje twój brat.

Stary zaczął mu opowiadać nieprawdopodobną historię o wołowym ozorze przysłanym pocztą. Erwan zostawił rodzinę tylko na kilka dni, a już tyle się stało.

– Najpierw myślałem, że to uchodźcy z Konga usiłują nas przycisnąć, ale to raczej nie oni.

– Więc kto?

– Wkrótce się tego dowiem.

To już nie były podejrzania, tylko jakiś jarmark. Nie było żadnych podstaw, żeby wrzucać wszystkie problemy do jednego worka. Erwan widział w tym raczej przejaw manii prześladowczej ojca, który z lubością cytował znane słowa Andrew Grove'a z Intela: „Przeżywają tylko paranoicy”.

Mijali zacumowane barki, które wyglądały na opuszczone. Na jednej z nich urządzono restaurację, ale karty, krzesła i stoliki zostały już pochowane. Potężne zodiaki brygady rzecznej pruły zielone wody Sekwany. W historii brygady kryminalnej nie zdarzyło się jeszcze tak rozległe miejsce zbrodni.

Pod mostem au Double bulwar się zwięzał. Znaleźli się w cieniu. Erwana przeszedł dreszcz. Poczł zapach stęchlizny i zimną wilgoć, która go przenikała.

– Kto mógłby cię aż tak nienawidzić? – zapytał ironicznym tonem.

– Lista jest długa – odparł Morvan, nawet się nie uśmiechając. Jego niski głos odbił się echem od sklepienia. – Na razie nie ma sensu szukać nazwisk, pilniejsze jest odnalezienie Gaëlle.

Erwana zaskoczył tak dziwny tok myślenia. Po chwili zrozumiał, do czego zmierza ojciec.

– Myślisz, że jej zniknięcie ma z tym wszystkim jakiś związek?

– Nie mam pojęcia, ale znajdź ją.

Nie zamierzał wpadać w panikę z powodu siostrzyczki. Zbyt często przemierzał Paryż przy wyciu syreny, z duszą na ramieniu, a wszystko po to, żeby znaleźć ją na pół pijaną w jakimś barze z „wpływowymi ludźmi”.

Ale przede wszystkim nie zdobył jeszcze informacji o Człowieku Gwoździu.

– Wróćmy do morderstw – powiedział tonem sędziego śledczego. – Twoim zdaniem zabójca ściśle trzyma się rytuału Pharabota?

– Nie potrafię tego jeszcze stwierdzić. Ciało twojego pilota jest poszatowane. Musimy poczekać na wyniki sekcji tej dziewczyny. Na razie wiemy, że użył gwoździ, ogolił jej głowę, usunął narządy i to się zgadza. Nie pasuje tylko gwałt analny.

– Belg nie gwałcił ofiar?

– To nie wchodziło w grę. Opowiadałem ci o nim. Był *nganga*, uzdrowicielem. Jego zabójstwa miały wymiar sacrum.

– Kto znał tamtą sprawę?

– Sęk w tym, że nikt.

– Oprócz tych, którzy brali udział w procesie.

– Odbył się Lubumbashi, w Katandze, ponad trzydzieści lat temu.

Znów wyszli na słońce. Erwan zastanawiał się, jakie teraz zadać pytanie. Miał ich tyle, że przypominało to wyciąganie losu z kapelusza.

– A ofiary? – zdecydował się w końcu. – Nic ich z tobą nie łączy?

Morvan potarł twarz. Miał bardzo suchą skórę, która wciąż się łuszczyła. Jako dziecko Erwan z fascynacją patrzył na płyty skóry, które ojciec wolno odrywał, oglądając telewizję. Zupełnie jak wąż podczas wylinki.

– O pilocie nigdy nie słyszałem. A tę dziewczynę znałem.

– Już mówiłeś, pracowała w wydziale dowodów rejestracyjnych.

– Znałem ją bliżej.

– Chcesz powiedzieć...

– Nie. Nie gustuję w takich zabawach.

A to niespodzianka! Zawsze miał wrażenie, że jego ojciec to aseksualny tyran. Aż dziwne, że udało mu się spłodzić dzieci.

– Dziewczyna wyszła z pudła. Pomagałem jej w ramach programu, który wdrożyliśmy. Doradzałem jej, zapewniłem wsparcie. Prawdę mówiąc, bardzo się do niej przywiązałem.

Erwan delektował się tym niezwykłym widowiskiem z przewrotną satysfakcją: stary, który czerwieni się, mówiąc o swoich uczuciach – tego się nie spodziewał.

– Myślisz, że ktoś mógł ją zabić, żeby cię w to wplątać?

– Albo żeby zadać mi ból.

Szli wciąż po srebrzącym się bruku. Strefa strzeżona już się kończyła, a snujący się w pobliżu turyści nie wiedzieli jeszcze o potwornym znalezisku. Wracali nad dumną rzekę, na skąpany w słońcu brzeg.

Erwan zadał kolejne przypadkowo wybrane pytanie:

– Po co Człowiek Gwóźdź wycinał narządy?

– Już ci mówiłem – walczył z czarownikami. Czuł się zagrożony przez czary i uroki. Dlatego przemieniał te kobiety w *minkondi*. Zwykle posążki rzeźbione są w drewnie. Każda jest schronieniem jakiegoś ducha, ma magiczną moc. Żeby ją obudzić, trzeba wbić gwóźdź albo odłamek szkła.

– I to robił Pharabot?

– W oszalamiającym rytmie. W ciągu jednej nocy aktywował swój ludzki fetysz setkami gwoździ, wzmacniając barierę chroniącą go przed wrogami.

– Nadal nie wiem, po co wycinał narządy.

– Uważał, że to ułatwia przepływ i wyzwolenie energii we wnętrzu ciała. Jeżeli ten morderca ściśle trzyma się rytuału Pharabota, to musi też poić ofiary miksturą, która wywołuje wymioty. Przed złożeniem w ofierze organizm musi zostać oczyszczony. Trudno to wszystko zrozumieć, zwłaszcza tu, siedem tysięcy kilometrów od Konga.

– Umieszczał też skrawki kolejnej ofiary w jamie brzusznej zamordowanego?

– Zawsze. To był rodzaj podchodów. Grał z nami, rozumiesz? Gotów jestem się założyć, że w ciele Anne również znajdują cudze włosy i paznokcie. Cykl się zaczął. I nie przerwie go nic poza aresztowaniem szaleńca.

Erwan znów zadrzał. Zadał kolejne pytanie:

– Di Greco był z tobą w Zairze. Czy to możliwe, że czterdzieści lat temu utożsamiał się z Człowiekiem Gwoździem?

– Wykluczone. Był stuknięty, ale nie do tego stopnia. Poza tym możemy uznać, że już nie żył, kiedy zamordowano Anne.

Punkt dla ojcowskiego zdrowego rozsądku.

– A słowo „Lontano”?

– Najprostsze wyjaśnienie: zrozumiał, co się dzieje, i chciał nas ostrzec. Ciebie i mnie.

Choć mogło się to wydać dziwne, Erwan nigdy nie słyszał tej nazwy, dopóki nie przeczytał listu di Greca. Miasteczko, w którym Człowiek Gwóźdź siał strach, było dla niego mitycznym miejscem bez nazwy i lokalizacji.

Ta refleksja nasunęła mu kolejne pytanie:

– Zawsze mi mówiłeś, że urodziłem się w Kisangani. Takie miejsce urodzenia mam w paszporcie.

– Postanowiliśmy z twoją matką, że tak będzie lepiej. Lontano dla wszystkich było złym wspomnieniem.

Zbliżyli się do kolejnych schodów. Na lewo od nich Wyspa Świętego Ludwika rysowała się niczym olbrzymi parowiec zwrócony dziobem do przodu. Platany i topole grały rolę pasażerów.

– Wracajmy, Fitoussi postanowił powierzyć ci tę sprawę.

– Co?

– To normalne. Zajmowałeś się pierwszym morderstwem.

– Nikt nie wie, że te sprawy coś łączy.

– Ale wkrótce się dowiedzą. Zresztą nie o to chodzi. Nikt nie nadaje się do tego tak jak ty. Jesteś w takich sprawach najlepszy. Zawsze miałeś wyjątkowy dar do znajdowania fiuta proboszcza w zadku kościelnego.

– Wyjątkowo wyszukany dowcip.

– Skoro chciałeś pić herbatkę o piątej, trzeba było zostać dyplomatą. I jeszcze jedna rada: na razie zapomnij o tych wszystkich starych historiach. Skup się na konkretnych elementach. Szukaj świadków, namacalnych dowodów. Trzeba wyjaśnić, jak udało się umieścić zwłoki w tym miejscu, nie zwracając na siebie uwagi. – Morvan oparł się o kamienną balustradę i odwrócił się. – Ale przede wszystkim znajdź siostrę!

– Mam dla ciebie informacje.

Głos należał do Arnauda Condaminego, a to oznaczało, że broker poważnie potraktował jego podejrzenia.

– Wygląda na to, że szykuje się jakiś ruch.

– Wrogie przejęcie?

– Niekoniecznie, ale pozycje są zmienne. Traderzy kupowali pakiety akcji Coltano i to spowodowało wzrost.

– Ile?

– Podobno dziesiątki tysięcy.

Skala zjawiska świadczyła o prawdziwej woli zmiany układu w przedsiębiorstwie, a prawdopodobnie o dążeniu do przejęcia nad nim kontroli.

– Kto kupuje?

– Nie mogę ci podać nazwisk, ale i bez tego te informacje są sporo warte.

Loïc udał, że nie słyszy:

– Kto wydaje polecenia?

Teraz to Condamine zignorował pytanie. Rozmawiali, jakby obaj byli przygłusi.

– Prosiłeś, żebym się zorientował w sytuacji, daję ci wskazówki. Spodziewam się, że ja też mogę na ciebie liczyć. Kiedy się dowiesz, co się u ciebie dzieje, daj mi fory.

Finansista się rozłączył. Loïc jeszcze przez chwilę stał z telefonem przy uchu. Patrzył na półkoliste biurko – swoją „kabinę pilota”. W tej chwili czuł się jednak jak na „Titanicu” – na horyzoncie pojawił się lodowiec i było już za późno na zmianę kursu.

Skąd nadciągnęło zagrożenie? Nikt się jeszcze nie ujawnił, ale dążył do uzyskania silnej kontroli – na przykład trzydziestu procent, które blokowałyby mniejszych udziałowców. Przy takiej dominacji nabywcy mogliby pozbyć się tych, którzy im się nie podobają, poczynając od Grégoire’a Morvana.

Loïc przypomniał sobie słowa starego, myśląc też o jego legendarnej już

paranoi. Tym razem jednak ojciec chyba miał rację – ktoś usiłował zabić założyciela, usunąć historycznego twórcę Coltano.

Komu jednak tak gruntowne porządki mogły przynieść korzyści?

Na czele listy znaleźli się Afrykanie. Przedstawiciele osobistego dworu prezydenta Kabili i większościowi akcjonariusze Coltano, dbający o sprawne prowadzenie wydobywania, więc i o to, żeby potężne źródło pieniędzy płynęło wartko, przynosząc korzyści grupie szczęśliwców. Czy odsunięcie Morvana leżało w ich interesie? Z ekonomicznego i logistycznego punktu widzenia – nie. Ale jak zwykł mawiać ojciec, „Afrykanin jest jak chorągiewka na wietrze”.

Poza tym był Heemecht, luksemburska grupa dysponująca osiemnastoma procentami akcji. Loïkowi nigdy nie udało się ustalić, kim są akcjonariusze grupy ani jakie mają zamiary. To nie wyczerpywało listy kandydatów – drapieźców z zewnątrz, zainteresowanych Afryką i surowcami. W tej grupie na czoło wysuwali się Chińczycy, zgarniający tam, co się dało, albo Amerykanie, którym ze względu na rozwój technologiczny koltan był potrzebny w dużych ilościach, nie wspominając o państwach europejskich oraz Korei i Japonii.

Kimkolwiek jednak byli nabywcy, musiał pojawić się jakiś impuls, zaszła jakaś zmiana. Przecieki dotyczące nowych złóż? Nikt poza nim i ojcem, no i pracującymi w terenie geologami, nie wiedział o obiecujących perspektywach. Prawdopodobnie wtajemniczony został także Nseko. Czyżby przed śmiercią zdradził komuś ten sekret? Morvan był przekonany, że nie. Plotki krążące na miejscu były mało wiarygodne – co prawda ojciec musiał rozpocząć już potajemną eksploatację złóż, ale działało się to w buszu, w strefie działań wojennych, gdzie nikt nie chciał się zapuszczać.

Chcąc się upewnić, Loïc wysłał banalne maile do trzech ekspertów, którzy prowadzili poszukiwania. Nie znał ich osobiście, ale ojciec zapewnił go, że można im ufać. Czy ktoś zdołał przechwycić ich raporty? Praktycznie niemożliwe, bo stary był tak ostrożny, że zabronił im używać łączności satelitarnej i elektronicznej. Geolodzy musieli ręcznie pisać raporty. Loïc miał ich kopie w domowym sejfie.

Wróćmy do nabywców. Na tym terenie czuł się najbardziej kompetentny. Sporządził listę brokerów, którzy jego zdaniem mogli przeprowadzić taką operację, i wybrał pięciu poważnych. Dodał też kilku traderów dość potężnych, żeby kupować na taką skalę. Nie mógł po prostu do nich

zadzwoić. Musiał się z nimi spotkać, skłonić ich do rozmowy, i to tak, żeby wszystko wyglądało na spontaniczne. Szesnasta trzydzieści. Najlepiej zacząć od razu.

Mógł znaleźć tych gości w ich agencjach albo w barach, do których zaglądali po pracy. Później widywało się ich w dobrych restauracjach i modnych klubach, gdzie trwonili pieniądze. Miał cały wieczór i noc na zbieranie informacji.

Przygotował sobie dawkę dla kurazu. Zero efektu. Trzeba będzie załatwić to potem.

Na parkingu wyjął pilota i otworzył astona martina. Zawsze przyprawiało go to o dreszcz, ale nikt nie rozumiał, co czuje. Nie cieszył się z posiadania tego samochodu, przeciwnie – napawał się marnością rzeczy. Kupował sobie najdroższe zabawki tylko po to, żeby przestać ich pożądać, żeby niszczyć złudzenia. Bawił się samsarą i czekał, aż się od niej uwolni.

Ruszając, postanowił zacząć od jednej z największych agencji w Paryżu, przy ulicy de la Paix. W drodze przypomniał mu się inny problem – Sofia, która zdobyła decydujący punkt w wojnie o opiekę nad dziećmi. Na myśl o tym, że miałyby je widywać co dwa tygodnie, poczuł, że coś w nim pęka i boli jak złamanie kości.

Kiedy dotarł na parking na placu Vendôme, uznał, że jeszcze jedna dawka dobrze mu zrobi. Na cichym trzecim poziomie parkingu, między dwoma innymi samochodami, wciągał z nadzieją biały proszek. Wciąż nic. Cholerne narkotyki wcale już na niego nie działały. Może to krok ku absolutnemu wyzwoleniu? Ku temu stanowi wymarzonemu przez buddystów? Tymczasem jednak mylił nirwanę z letargiem wykańczającego się ćpuna.

W windzie zelektryzowało go inne wspomnienie: wołowy język owinięty w gazetę. Czyżby Afrykanie znów zaatakowali? Ojciec obiecał, że odezwie się w ciągu dnia. Przemknęło mu przez myśl, że gdyby to Erwan dostał taką przesyłkę pogróżkę, zapomniałby o niej po paru godzinach. A on nie potrafił uwolnić się od tej myśli. Uśmiechnął się do swojego odbicia w lustrze. Był blady, nie panował nad tikami. Strach zawsze przypominał mu, że żyje.

Na placu Vendôme doszedł do odkrywczego wniosku: skoro koka już na niego nie działa, przerzuci się na heroinę. A jeżeli i hera nic nie da... *Nie bądź durniem!*

Przekraczając próg agencji, poczuł, że koszula lepi mu się do spoconych pleców. *Skup się, Loïc, skup się!*

Siedemnasta. Erwan z przyjemnością wracał na swoje piętro w gmachu przy Quai des Orfèvres. To był jego prawdziwy dom. Po długiej rozmowie z ojcem wpadł do mieszkania wziąć szybki prysznic. Wskoczył w czyste ciuchy i od razu poczuł, że myśli jaśniej. Już do niego dotarło, że nieprędko będzie miał okazję odetchnąć, a tym bardziej porządnie odpocząć.

Etap pierwszy – nieunikniona rozmowa z Fitoussim. Szef zwykle nie mieszał się w śledztwa, ale tym razem sytuacja była wyjątkowa – okrutny mord na Anne Simoni i prowokacyjna inscenizacja czyniły tę sprawę priorytetową. Nie co dzień policja znajduje zwłoki pod swoimi oknami. Fitoussi był tak wzburzony, że chyba nawet nie zauważył ran Erwana.

Erwan wysłuchał pustej i przewidywalnej mowy komisarza – sprawa nagląca, zachowanie dyskrecji, wyniki, media – kiwając głową i patrząc na zegarek. Nawet nie próbował mówić o prawdopodobnym związku sprawy z Grands-Augustins z tą z Kaerverec. Wolał, żeby nikt nie zaglądał mu do garnków.

Na zakończenie Fitoussi wspomniał o jego ojcu: stary zasygnalizował mu, że to morderstwo uderzająco przypomina schemat działania Człowieka Gwoźdźcia. Erwan zaczął się zastanawiać, czy komisarz liczy, że Grégoire dyskretnie mu pomoże. Nie. W tej chwili był lepszym specjalistą od spraw kryminalnych niż jego ojciec, zepsuty przez władzę i potajemne knowania. A nie łapie się przestępców tylko dzięki wspomnieniom sprzed czterdziestu lat.

Pięć minut później Erwan wszedł do sali narad brygady kryminalnej, gdzie czekała już jego grupa. Wszyscy wiedzieli, co się stało. Zanim zaczął, obserwował ich przez kilka sekund – od połowy sierpnia nie widział się z nikim poza Kripo.

Pomijając „dream team”, jego grupa była najskuteczniejsza na tym piętrze. W ubiegłym roku pobiła rekord „36”, osiągając dziewięćdziesiąt dwa procent wykrywalności. W Erwanie chyba wciąż wciąż tkwił mały chłopiec, bo lubił porównywać swoich ludzi do kompanów Robin Hooda.

W roli Małego Johna – rosły Kevin Morley, trzeci z grupy. Metr dziewięćdziesiąt wzrostu i sto dziesięć kilo wagi. Broda okalająca twarz i krótka grzywka, która sprawiała, że wyglądał jak w średniowiecznym kapturze. Morley nie nosił wprawdzie kija, ale nikt nie posługiwał się tonfą tak jak on. Nabierał wprawy na podparyskich osiedlach, gdzie jego sprawność w użyciu policyjnej pałki stała się legendarna. W tamtych czasach wszyscy nazywali go Pałkarzem, ale ten przydomek poszedł w zapomnienie, kiedy dostał się do policji śledczej. Dziś był już (prawie!) intelektualistą. Nosił czarne garnitury, pisał w maleńkim notatniku i ostrożnie podchodził do każdej informacji. Mimo to nikt nie zapominał o jego przeszłości zabijaki, więc w brygadzie kryminalnej nadano mu nowe przezwisko: Tonfa.

Szkarłatnym Willem, szalonym psem, był Nicolas Favini, czwarty z grupy. Dwudziestodwuletni marsylczyk dołączył do brygady kryminalnej dzięki osiągnięciom w służbie. Z wyglądu wypomadowany podrywacz, który chował się pośród śródziemnomorskich fiordów, lubił satynowe marynarki i złote łańcuchy. Inni, zazdroszcząc mu powodzenia u kobiet, nazywali go Sardyńką, czyniąc aluzję do lśniących jak oliwa włosów.

Rola Allana z Doliny, minstrela bandy, przypadła bezkonkurencyjnemu Kripo, który grał na lutni. Erwan spotkał go na Grands-Augustins. Wieczny porucznik z właściwą sobie flegmą obiecał sporządzić na użytek kolegów raport z bretońskiego śledztwa.

Co do Marion, ukochanej Robina, nie było wyboru – wcieliła się w nią jedyna w ich gronie kobieta, Audrey. Trzydziestolatka upodobała sobie niedbały, wyluzowany styl: stare trampki, wytarte dzinsy, doskonale maskująca kobiece kształty kurtka koloru khaki, a do tego torba myśliwska. I nikt nie byłby zdziwiony, gdyby pewnego dnia wyciągnęła z niej upolowanego rankiem w lesie królika. Twarz miała subtelną, ale pozbawioną wyrazu, blond włosy tak martwe, że aż szare, a uśmiech nieśmiały i może u kogoś innego byłby nawet czarujący, jednak nie w tym zimnym jak gładzie ciele. Audrey Wieniawski była, jak się to mówi, skromnego pochodzenia. Urodziła się w północnej Francji, a może nawet w Polsce albo którymś z państw bałtyckich, w górniczej rodzinie. Kształciła się krótko, potem zbratała się z punkami – sypiała na ulicy i odrzucała wszelkie struktury społeczne. W końcu, nie wiadomo jakim cudem, została policjantką. Kiedy Audrey prowadziła śledztwo, była twarda, zadziorna i ostra jak świder, wgrzyzała się, drażyła, dopóki nie skruszyła tego, co zdawało się nie do

skruszenia. Choć Erwan był macho i miał w sobie coś z mizogina, to musiał przyznać, że jest najlepsza w jego grupie.

Ten przegląd trwał tylko kilka sekund. Erwan przypomniał sobie, że czekają na przydział zadań, siedząc z kawą w rękach przy stole. Prawdę mówiąc, słabo ich znał, nigdy nie próbował się z nimi zaprzyjaźnić, jednak łączyło ich coś cenniejszego niż przyjaźń – praca. Ci gliniarze nie wybrali pracy w policji, kierując się poczuciem obowiązku obywatelskiego ani strachem przed bezrobociem. Nie zarabiali kroci, a w przyszłości mogli liczyć na awans o kilka szczebli, zanim przyjdzie czas na emeryturę. Byli tu dla tej dawki adrenaliny. Żeby poczuć przerażający dreszcz nad przepaścią, patrzeć w oczy mrocznej otchłani i Złu.

Mimo kiepskiego nastroju, w jaki wprawiła go porażka w Kaerverec, a potem kolejna ofiara i to, co usłyszał od ojca, jak zwykle zaczął briefing od żartobliwego:

– Są jakieś pytania?

Otrzymał już wstępny protokół kapitana Sergenta z miejsca zbrodni (Fitoussi prosił Erwana o włączenie żółtodzioba do grupy, ale ten nie miał na to ochoty, bo debiutant w takim bagnie tylko by im przeszkadzał). Przedstawivszy najistotniejsze fakty oraz nowe elementy – na przykład potwierdzenie tożsamości ofiary na podstawie odcisków palców – Erwan przystąpił do przekazania części zadań:

– Wszystko, co wiąże się z Sekwaną, powierzamy brygadzie rzecznej. Ustalą w kapitanacie, czy tej nocy albo nad ranem zauważono jakąś podejrzaną łódź.

Nie musiał tym razem snuć domysłów i szukać zaginionych łodzi jak w Kaerverec, był praktycznie pewien, że jeśli ten sam człowiek popłynął na Sirling i ukrył ciało nad Sekwaną, to był żeglarzem, i to doskonałym, obytym i z morzem, i z rzeką.

– Zasugeruję, żeby zastanowili się nad tym wyczynem, polegającym na niepostrzeżonym zacumowaniu łodzi i wciągnięciu zwłok do studzienki wentylacyjnej znajdującej się na wysokości trzech metrów, i to dokładnie na wprost Quai des Orfèvres.

– Mógł zrobić odwrotnie – zauważyła Audrey, bawiąc się trzymanym na kolanach notatnikiem.

– To znaczy?

– Przyszedł górą, od strony bukinistów, i spuścił ciało na linach. Przecież wartownicy z „36”, naprzeciwno, nie widzieli żadnej łodzi.

Erwana ogarnęły mieszane uczucia – irytacja, bo sam nie wpadł na ten pomysł, i podziw dla niepozornej kobiety, która zawsze najszybciej podejmowała współpracę.

– To niemożliwe – rzucił, żeby ją zgasić. – Za duży ruch. Jakiś kierowca by go zauważył.

– O czwartej rano? Jeśli miał samochód transportowy i dobry sprzęt?

– Albo przebrał się za pracownika wodociągów miejskich? – Erwan rzucił to, chcąc ją sprowokować, ale na tym etapie każda teoria była dobra. – Jeśli

czujesz ten trop, to powierzam ci odcinek od strony bulwaru.

Audrey coś zanotowała.

– Tonfa, jedź do Instytutu Medycyny Sądowej i pamiętaj, że masz być przy autopsji. Który lekarz sądowy się tym zajmuje?

Olbrzym szukał w notesie.

– Yves Riboise.

– Riboise, świetnie. Zapytaj go, czy nasz klient zna się na chirurgii. Możliwe, że zabrał narządy wewnętrzne.

Policjanci patrzyli na siebie – żaden z nich o tym nie słyszał. Erwan musiał jak najszybciej wprowadzić ich w historię Człowieka Gwoźdza i morderstwa w Kaerverec, na razie jednak wolał iść za radą ojca i skupić się na Anne Simoni, na analizie dowodów materialnych, a duchy i bretońską porażkę zostawić na boku.

– Chcę dostać szczegółowy raport o technikach, jakich użył.

Szczałki Wissy były jak puzzle, ciało Anne Simoni dawało solidną podstawę do pracy. Erwan poczuł mrowienie w żołądku i uświadomił sobie, że jest to dla niego źródłem niezdrowej satysfakcji.

– I poprosz lekarza, żeby sprawdził, czy w klatce piersiowej nie ma żadnych ciał obcych.

– Jakiego rodzaju?

– Paznokci i włosów, które mogą pochodzić od kolejnej ofiary.

Policjanci znów wymieniali spojrzenia. Nie mógł dłużej ukrywać przed nimi informacji z Bretanii. Podobnie jak pochodzenia śladów na twarzy, które wywoływały zdziwienie, odkąd wrócił. W kilku słowach opowiedział o dochodzeniu w Finistère, wspomniał o bójce i przedstawił listę tortur, jakim zabójca poddawał ofiary.

Kripo odważył się zapytać:

– Na co liczysz, jeśli znajdziemy te ciała obce?

– Że DNA jest już z jakiegoś powodu w naszych bazach danych. W takiej sytuacji mielibyśmy szansę zapobiec morderstwu albo przynajmniej moglibyśmy zacząć szukać zwłok.

Zapadła przytłaczająca cisza. Nikt na tej sali nie chciałby być takim wybrańcem. Erwan przeszedł do tego, na kim wzorował się morderca – Człowieka Gwoźdza z Zairu. Opowiedział o nim, ujmując w paru słowach wszystko, co istotne.

– Człowiek Gwoźdź – powtórzył Sardynka. – Czy to nie ten, którego

aresztował w latach siedemdziesiątych twój ojciec?

– Ten sam.

– Mamy do czynienia z naśladowcą? – podjął Tonfa.

Erwan westchnął. Nie znosił tych pochodzących z produkcji telewizyjnych amerykańskich terminów.

– Nie chcę wychodzić z żadnych wstępnych założeń. Skupmy się na konkretnych morderstwach. Dopiero potem będziemy je porównywać z pierwowzorem.

Mówiąc to, przypomniał sobie szczegół, o którym powiedział mu ojciec: dawniej morderca „oczyszczał” ofiary, doprowadzając je do wymiotów.

– Tonfa, poproś też o dokładną anatomopatologię i toksykologię. Chcę mieć pełny obraz.

– Muszę mieć to na piśmie.

– Załatwione. Kripo, zajmij się papierkami.

Alzacyjny skinął głową, ale Erwan zauważył, że zgrzyta zębami, prawdopodobnie zły, że dowiaduje się o wszystkim dopiero teraz, z innymi. Jako współuczestnik śledztwa w K76 uważał, że ma prawo pierwszeństwa.

– W takim razie jadę – powiedział Tonfa, wstając.

– Zaczekaj. Potem odwiedzisz naszych kolegów z laboratorium kryminalistyki. Gwoździe, odłamki szkła, kawałki metalu – wszystko trzeba dokładnie zbadać. Te rzeczy skądś pochodzą. A przy okazji poproś, żeby pobrali próbki DNA, zwłaszcza z gwoździ.

– Po co to? – zapytał Sarynka.

– Nasz klient lubi je ssać, zanim wbije w ciało ofiary.

Znow zapadła głucha cisza. Wszystkimi zdawały się targać sprzeczne odczucia: to mogła być sprawa ich życia albo koszmar, o którym trudno będzie zapomnieć.

– Nico – podjął Erwan – znałeś może Anne Simoni?

– Skąd ci to przyszło do głowy?

– Pracowała dwa kroki stąd, w wydziale dowodów rejestracyjnych. To chyba jeden z twoich terenów łowieckich?

Nico spojrział uważniej na zdjęcia pochodzące z archiwum.

– Nie, to nie mój typ – rzucił.

– Nie wiedziałam, że masz swój typ – wtrąciła się Audrey.

Ich koledzy skwitowali to drwiącym śmiechem. Erwan uderzył ręką w stół. Nie tolerował braku szacunku wobec zmarłych, zwłaszcza jeśli ofiara była

kobietą. Poza tym nie cierpiał podrywaczy i sprośnych, wulgarnych dowcipów, które jego zdaniem uwłaczały kobietom.

– Znasz dziewczyny, które tam pracują?

– Możliwe – mruknął Nico, obleśnie się uśmiechając.

Erwan najchętniej dałby mu w pysk.

– W takim razie idź do nich i zasięgnij języka. Chcę wiedzieć wszystko o Anne Simoni. Osobowość. Zwyczaje. Nastrój w ostatnich dniach. Miała kiedyś problemy z prawem, ale wróciła na dobrą drogę.

– Jakiego typu problemy?

– Siedem lat we Fleury za napad z bronią w ręku. Zwolniono ją po trzech latach. Później nie weszła już w konflikt z prawem.

Policjantka była dociekliwa:

– Można zostać urzędnikiem z taką przeszłością?

– Przy odpowiednim poparciu.

– Co to za poparcie?

Erwan zignorował to pytanie i zwrócił się do Favinięgo:

– Wydobądź jej akta i sprawdź dawnych współników. Na pewno zerwała z nimi wszelkie kontakty, ale nigdy nic nie wiadomo. Ustal, z kim się przyjaźniła, sprawdź jej przyjaciół, poszperaj w życiu.

– Coś podejrzewasz?

– Morderca może należeć do tych kręgów. Mogła go też spotkać w jakimś miejscu, gdzie bywała. Sprawdź to.

Strojnisz zapisywał wszystko w oprawnym w skórę notesie z elastyczną obwódką – jakimś modelu Hemingway, Picasso, Bruce Chatwin, bo Favini lubił rzeczy markowe, nawiązania.

Tymczasem Erwan myślał o pytaniach Audrey. Wiedział, że wkrótce wypłynie nazwisko jego ojca i nikt nie uwierzy, że nie sypiał z ofiarą. Ale niech stary sam sobie radzi. I nagle zaczął się zastanawiać, czy Kripo wspomniał w raporcie o sygnecie znalezionym w Sirling.

– I jeszcze jedno – dodał, zwracając się do marsylczyka – załatw na jutro rano przeszukanie mieszkania tej dziewczyny.

– Okej.

– Ale sam idź tam dziś wieczorem i dyskretnie się rozejrzyj.

– To nie do końca regulaminowe.

– A odkąd to policja przestrzega regulaminów? Nie mamy ani chwili do stracenia. – Spojrzał na Alzatczyka. – Kripo, zajmij się billingami,

komputerem i tak dalej. Zabierz też nagrania z monitoringu. Z informacji, które udało się już zebrać, wynika, że wyszła z biura wczoraj o osiemnastej. Nie dotarła do domu przy ulicy Avron w 20 dzielnicy. Albo była umówiona z mordercą, albo zaczepił ją i przekonał, żeby z nim poszła, albo jakoś ją uprowadził. Prześledź jej trasę od bulwarów przez metro, po jej ulicę. Przejrzyj wszystkie zapisy.

Kripo sceptycznie kiwał głową.

– Przeszukaj też nasze kartoteki, na wszelki wypadek.

– Czego mam szukać?

– A jak myślisz? „Gwóźdź”, „lustro”, „wycięcie narządów” to chyba dobre słowa klucze na początek. Może facet wprawiał się przed wielką premierą. I jeszcze jedno: skontaktuj się z prokuraturą i postaraj się ich urobić. Przez tydzień chcę mieć pełną swobodę działania, żadnego sędziego na głowie.

Minstrel skinął głową i wstał.

– Przy takiej sprawie – odezwał się Sardynka – zwrócimy się chyba do profilerów?

Od dziesięciu lat w Kwaterze Głównej Żandarmerii działała komórka zajmująca się psychologią, a zwłaszcza badaniem zachowań i tworzeniem portretów psychologicznych. Pracowała w niej grupa profilerów, głównie kobiet. Erwan nie był przeciwnikiem takich metod, ale na razie nie zamierzał poszerzać swojego zespołu. Praca w policji uczy, że lepiej nie robić wokół siebie dużo hałasu.

– Poradzimy sobie sami – odparł tylko.

Ja tu jestem profilerem, ojciec jest profilerem. Profilerem jest Afryka.

– Do roboty! – zakończył i klasnął w dłonie jak majster na budowie. – Widzimy się dziś o dwudziestej.

Policjanci ruszyli w stronę drzwi, nie mając odwagi zapytać, czym zajmie się on sam.

Erwan już pędził na plac Beauvau, gdzie ojciec zostawił mu dokumentację dotyczącą Gaëlle. Wszystko zostało zapisane na dysku, ale także na kartkach, które DCRI wciąż jeszcze gromadziła. Nie da się wymazać pamięci informatycznej, zawsze natomiast da się spalić albo połknąć kawałek papieru. Dosłownie, bo można go zwyczajnie przeżuć.

Szybko przejrzał raporty. Chłopaki tyrały jak woły. Najpierw sprawdzili jej telefon, ale od zaginięcia nie używała ani komórki, ani karty płatniczej, skupili się więc na jej otoczeniu – przyjaciółach, znajomych, ludziach, z którymi miała kontakty „zawodowe”. Na próżno. Przeszukali także jej mieszkanie i stwierdzili, że przed ucieczką zabrała komórkę i kalendarz, a z pewnością również gotówkę.

Był jednak bardzo prosty sposób ustalenia jej planów i castingów – wystarczyło zadzwonić do jej agentki, Barbary Soaz, właścicielki Cinénova przy ulicy Saint-Ambroise w 11 dzielnicy. A z nią nikt się jeszcze nie kontaktował.

Dziewiętnasta. Miał szansę jeszcze ją tam zastać, ale lepiej było jechać, niż dzwonić. Włączył syrenę i ruszył. Po drodze zastanawiał się nad planem własnego śledztwa, którym miał się zająć po odnalezieniu siostry. Człowiek Gwóźdz, Afryka, ojciec. Nie zamierzał pomijać tych tropów, ale zostawiał je dla siebie.

Najpierw sprawdzić, czy Thierry Pharabot naprawdę umarł. Potem dokładnie poznać jego historię, wykorzystując wiedzę Padre, ale także protokoły z rozprawy, które musiał zdobyć. Kiedy duchy inspirują żyjących, stają się dowodami w sprawie.

W uszach wciąż brzmiały mu słowa starego. Niestety, to były typowe wyznania Morvana – mętne, niezrozumiałe. Kiedyś wysoki oficer policji powiedział mu: „Twój ojciec tak kłamie, że nie można nawet wierzyć w przeciwieństwo tego, co mówi”. Erwan w pełni się z nim zgadzał: szpieg osiągnął mistrzostwo w mieszaniu prawdy z fałszem.

W niespełna dwadzieścia minut dojechał na Saint-Ambroise. Biura

Cinénova znajdowały się naprzeciwko kościoła, w pobliżu Bataclanu. Zaparkował w pasażu, odsłonił napis „policja” i przejrzał się w lusterku wstecznym. Wargi nie były już spuchnięte, a sińce bladły. Zerwał plastry – bez nich wyglądał lepiej.

Klucz uniwersalny. Domofon. Trzecie piętro. „Wcisnąć przycisk i wejść”. Mimo późnej pory w niewielkiej agencji panowało zamieszanie. Początkująca aktorka kserowała scenariusz, inna, zalewając się łzami, tłumaczyła roztargnionemu asystentowi, że wygryzła ją „dziwka, która każdemu włazi do łóżka”. Jeszcze inna stała nieruchomo, wpatrzona w dal. Jej usta bezgłośnie wypowiadały jakieś słowa. Prawdopodobnie uczyła się roli. Można się tu było poczuć jak w poczekalni u psychiatry.

W końcu pojawił się asystent. Mocno zbudowany, ale nieco zniewieściały. Kiepskie połączenie. Erwan się przedstawił. Właścicielka była w biurze, zaraz zostanie powiadomiona i... Ale policjant go nie słuchał – podszedł do drzwi i po prostu je otworzył.

Barbara Soaz nie wyglądała jak agentka, ale jak marna karykatura agentki. Miała około sześćdziesiątki i siedziała w fotelu niczym kuszycka królowa na tronie, spowita w czarny szal. Misternie ułożona fryzura, bujna pierś, ogromne rogowe okulary w stylu tych, jakie nosili piloci pierwszych dekad minionego stulecia.

Wtargnięcie Erwana nie zrobiło na niej wrażenia: niejedno już widziała. A on bez zbędnych wstępów zaczął pytać o Gaëlle. Chwył z zaniepokojonym bratem nie poskutkowało, legitymacja policyjna okazała się bardziej przekonująca.

Agentka wygłosiła monolog o „kryzysie w zawodzie”.

– Za dużo aktorów, za mało ról!

– Dobrze. Czy Gaëlle miała jakieś zaplanowane na ten tydzień castingi?

– Nie mam pojęcia – odparła Barbara Soaz tonem, z którego jasno wynikało, że nie zajmuje się podrzędnymi aktorkami.

– W poniedziałek przeszła casting do *Kto przegrywa, wygrywa* – dobiegł głos znikąd.

Okienko łączyło biuro władczyni z pokojem kulturysty.

– Co to takiego?

– Projekt programu telewizyjnego.

Pan Mięśniak podał im przez okno formularz, na którym widniało logo wytwórni Anagram.

– Nie dostała się – dorzucił ze współczuciem.

– Ta wytwórnia to przykrywka?

Asystent milczał, patrząc na królową matkę.

– Co pan chce przez to powiedzieć? – zapytała Barbara Soaz.

– Że takie agencje angażują prostytutki amatorki jako statystki. Chcę wiedzieć, czy zajmują się także drugą połową pracy.

– Ma pan dość osobliwe wyobrażenie o tym fachu – zaproponowała, śmiejąc się. – Czasy kurtyzan minęły.

Podszedł do biurka, groźnie na nią patrząc:

– Kto jest właścicielem wytwórni?

– Jest ich wielu. To bardzo duża firma, ma trzydzieści procent udziału w rynku emisji dla największych stacji telewizyjnych w kraju. Zatrudnia setki pracowników.

Zwrócił się do asystenta, przekonany, że w tym konkretnym wypadku lepiej rozmawiać ze świętymi niż z samym bogiem:

– Kto organizował ten casting?

– Niejaki Kevin. Wszyscy nazywają go Kéké. Słabo go znam. Pracuje jako wolny strzelec. Drobnny alfons.

To słowo podsunęło Erwanowi pewien pomysł:

– Gdzie odbył się casting?

– W ich siedzibie. Mają lofty przy Nation.

Erwan znalazł adres na formularzu: aleja Taillebourg w 11 dzielnicy. Spojrzał znowu na Barbarę Soaz, która już skupiła się na nowym scenariuszu. Dla niej ta rozmowa była zakończona.

Wyrwał jej kartki z rąk i zadał jeszcze jedno pytanie:

– Czy jest szansa, że Gaëlle zostanie zawodową aktorką?

– Mniej więcej taka, jak to, że zakrystian zostanie papieżem.

Wsuwając kartkę z adresem do kieszeni, Erwan z głębokim smutkiem myślał o młodszej siostrze i jej nadziejach.

Wskoczył do samochodu i w ciągu pięciu minut dojechał na plac Nation, a potem jeszcze szybciej pokonał aleję Taillebourg. Po raz pierwszy czuł narastający niepokój. Wciąż wyobrażał sobie Gaëlle siedzącą wraz z innymi na tym castingu, a raczej – targu bydła dla zdeprawowanych producentów.

Chwilami jego świadomość mąciła się jak obraz telewizora, który wyłapuje kolejny program. Przypomniawszy sobie małą dziewczynkę, która przychodziła do jego pokoju z lalkami i bawiła się, kiedy wkuwał prawo. Stale mu przeszkadzała, ale i rozczulała minkami i „makijażem” (smarowała się matczynym kremem Nivea). Potem wspominał, jak rosła, chudła i ślęczała nad lekcjami (chciała być „lepsza od chłopaków”). A potem widział ją w szpitalu – nieruchomą, ledwie oddychającą – szkielet ważący trzydzieści kilo. Przypomniawszy sobie, jak się bali, że przy głębszym oddechu żebra przebiją skórę. Ale przede wszystkim widział tę Gaëlle, która kryła się w jego ramionach pod kuchennym stołem, kiedy ojciec bił matkę.

Pod wskazanym adresem znajdowały się rozmaite odnowione studia otaczające brukowany dziedziniec. Erwan wszedł i zobaczył lofty o wysokich, zasłoniętych oknach. Pod progami biegły pęki kabli grubych jak węże, a wejść pilnowali ochroniarze. W pobliżu kręcili się młodzi ludzie z krótkofalówkami, sprzętem, narzędziami: cała armia pracowników pomocniczych.

Zapytał o Kéké, uzyskał odpowiedź, widział gesty, znaki. Robiło się gorąco. Poszedł dalej, na kolejny dziedziniec otoczony hangarami. Tę przestrzeń przemierzała szarańcza w słuchawkach i faceci ze sprzętem. Wszyscy zdawali się należeć do innego świata – świata milionów widzów, których karmili obrazami i słowami mrozącymi ohydą i głupotą. Kolejne pytanie o Kéké.

Kevin stał w drzwiach studia. Zrobił sobie przerwę na papierosa. Przerażliwie chudy, w brudnym T-shircie, śmiał się jak smarkacz, gawędząc z dwiema dziewczynami wystrojonymi jak tandetne dziwki i popisującymi się błyskotkami.

Erwan podszedł, uśmiechając się drwiąco i pokazując odznakę. Obie laleczki zniknęły jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

– Słyszałeś o Gaëlle Morvan?

– Nie.

Policzek.

– Zastanów się. Przyszła na casting *Kto przegrywa, wygrywa*.

– Tyle ich się tu przewija – mruknął, masując policzek.

Znów dostał w pysk.

– Młoda, bardzo ładna, blondynka.

Kevin zarechotał: żył w świecie „bardzo ładnych blondynek”. Erwan chwycił go za kołnierz i przycisnął do muru. Drugą ręką sięgnął po telefon i znalazł zdjęcie Gaëlle bez makijażu, w marynarskim ubraniu, w Bréhat. Wyglądała najwyżej na szesnaście lat.

– Ty dupku, to moja siostra! – wrzasnął, podsuwając mu zdjęcie pod nos. – Rozmawiałeś z nią czy nie?

Facet wyrwał mu się i wyprężył swój koguci tors:

– A co to za numery? Starszy brat gliniarz wpada tu i bawi się w obrońcę? Skąd ty się urwałeś? Naoglądałeś się seriali o policjantach? Ty...

Nie zdołał dokończyć zdania – Erwan skosił go ciosem w brzuch. Zanim tamten podniósł się z kolan, złapał go za szyję i walnął jego głową o mur.

– Zaczнеш gadać, kozi wypierdku? Jeżeli nie, to przysięgam, że się tobą troskliwie zajmę. Najpierw skuję ci pysk, a potem wsadzę do aresztu, gdzie spędzisz niezapomnianą noc.

Kevinem wstrząsały spazmy. Młode aktoreczki, które przechodziły obok nich, uciekły biegiem.

– Ta... pamiętam...

Erwan dla zachęty jeszcze raz uderzył jego głową o mur. Za słabo przyklejona tablica – „Casting” – spadła na ziemię.

– Co pamiętasz?

– Paliliśmy razem. Gadaliśmy.

– O czym?

– Szukała kontaktów. Ona...

– Podałeś jej?

– Jeden.

Erwan nawet nie zauważył, że zaciska palce na szyi tej mały, której oczy zasnuły się łzami. Puścił Kéké i cofnął się, gniewnie spluwając na ziemię.

– Payol...– szepnął Kevin. – Michel Payol.

– Kto to?

– Attaché prasowy. Facet z branży, zna mnóstwo ludzi.

Kopniak w brzuch.

– Alfons?!

Kevin zgiął się wpół i zwymiotował. Erwan czekał, aż nabierze tchu. Oswoił się z taką brutalnością. Niewiele różniła się od przemocy stosowanej przez di Greca i jego żołnierzy.

– My nie używamy takich słów, ale...

– On tu rządzi?

– Tylko pośredniczy między dziewczynami a nadzianymi gośćmi. Często to cudzoziemcy, dyplomaci, finansisci.

– Jego adres.

– Nie mogę powiedzieć. Byłbym spalony.

Erwan chwycił go za włosy i uniósł:

– Lepiej być spalonym niż hermetycznie zapakowanym.

– O czym pan mówi?

Wyciągnął broń i przytknął mu ją do głowy:

– Bo jeżeli rozwalę ci łeb, to potem będę prowadził tu dochodzenie, sukinsynu. Jestem z kryminalnej, *capisci*? Miałeś pecha, nie powinienes gadać z Gaëlle. Adres domowy tego gościa i znikam.

– Aleja Eylau osiemnaście.

– Ile dostaniesz za podesłanie mu Gaëlle?

– Zapłacą mi, jeśli ona... jeżeli coś się wydarzy.

Erwan chwycił go za włosy, odwrócił się i z całej siły pchnął na ścianę. Usłyszał trzask łamiącego się nosa.

– Już coś się wydarzyło.

Poszedł do samochodu, mijając dwóch ochroniarzy, którzy pędzili w stronę hangaru. Pokazał im odznakę i natychmiast o nich zapomniał.

Zmiana scenerii: aleja Eylau, krótka, królewska. Skupisko wielkiego bogactwa tuż przy Trocadéro, z widokiem na wznoszącą się na drugim brzegu rzeki wieżę Eiffla.

Teraz nie czuł już niepokoju, ale paniczny strach, a nawet przerażenie. W co wpakowała się ta smarkula?! Zaparkował przed wyjazdem z parkingu przy budynku, tuż przy chodniku.

Dozorczyni. Winda. Czwarte piętro. Jedne drzwi. Czuł się, jakby dzwonił do rodziców.

Wysoki i chudy jak tyczka sześćdziesięciolatek o wydatnych ustach, w kosztownych okularach, stał przed nim, ubrany w swobodny strój zdradzający człowieka, na którym spoczywa duża odpowiedzialność: sweter w kolorze bordo w serek, koszula bez krawatu, spodnie z miękkiej, lekkiej wełny. Brakowało tylko cygara.

– Jestem złą nowiną. Gdzie jest Gaëlle Morvan?

– Kto?

Erwan pchnął go mocno i wtargnął do przedpokoju.

– Payol, dam ci drugą szansę. Gaëlle Morvan. Młoda, ładna, arogancka. Kontaktowała się z tobą w połowie tygodnia.

Mężczyzna skrzywił się, odsłaniając zęby, którymi mógłby straszyć.

– To jakiś absurd – rzucił, poprawiając sweter Ralpa Laurena. – Wdziera się pan do mnie i...

Nie zdążył dokończyć zdania. Erwan wyjął już odznakę i zobaczył, jak Payol przetyka ślinę. Grdyka uniosła się i opadła jak kulka w bilbokiecie.

– Ja...

Stręczyciel dotknął ręką kołnierzyka i rozchylił go, jakby miał na szyi obręcz, a potem zerknął w stronę jadalni.

– Chodźmy do mojego gabinetu – powiedział półgłosem.

– Co tu się dzieje?

Pięćdziesięcioletnia kobieta z misternym kokiem, ubrana w beżowy kardigan, stanęła w progu dwuskrzydłowych drzwi: rodzinna kolacja

zapowiadała się nietypowo.

– Wszystko w porządku, kochanie.

Gniewnym krokiem podeszła do Erwana. Z biegiem lat nauczył się ostrożności wobec małżonek, które przy okazji rewizji i aresztowań często okazywały się twardsze od facetów. Znów uniósł lewą ręką odznakę.

– Radzę włączyć telewizor i siedzieć w salonie, póki pani nie zawołamy.

Obrzuciła go takim spojrzeniem, jakby chciała splunąć mu w twarz. U jej boku stanęła dwójka nastolatków, chłopak i dziewczyna. Wyglądali na zafascynowanych. Ich matka splótła ręce na piersi i jeszcze się wahała. Panowała pełna napięcia cisza.

Payol rozładował w końcu sytuację:

– Idź, kochanie. To nic poważnego. Zaraz do was przyjdę.

Tuląc do siebie potomstwo, wycofała się, pełna podejrzeń, piorunując intruza spojrzeniem. W końcu cała trójka zniknęła.

– Do gabinetu.

Payol skinął głową i ruszył w stronę korytarza. Erwan szedł tuż za nim. Położył rękę na wsuniętym do kabury pistolecie. Czuł się wykluczony. Czuł się jak parias. Czuł się silny.

Gabinet bez niespodzianek: wygodne meble, biblioteka wypełniona po brzegi starymi książkami, orientalny dywan. Lampa rzucała łagodne światło, w którym wszystko lśniło jak wywoskowane.

– Siadaj.

W swoim pojęciu dał skurwielowi szansę: najpierw przyciskał go jako glina, dopiero gdyby to nie poskutkowało, zamierzał użyć pięści. Nawet ustosunkowany stręczyciel z pewnością wolał uniknąć wizyty obyczajówki w swoim domu. Erwan nie zdążył sprawdzić jego kartoteki ani zadzwonić do kolegów z BRP²⁵. Popęnił błąd debiutanta. Payol nie śmiał usiąść przy biurku. Przysunął sobie krzesło z oparciem obitym welurem i osunął się na nie, kuląc ramiona i wsuwając długie ręce między zaciśnięte uda. Miał w sobie odrobinę kobiecości.

Erwan znów podsunął mu pod nos zdjęcie siostry na wyświetlaczu telefonu.

– Gaëlle Morvan – słucham cię.

– Ona? Widzieliśmy się wczoraj wieczorem.

– Gdzie?

– W barze Plaza, późnym popołudniem.

Ludzie z DCRI zgubili ją parę godzin wcześniej. Nie chciała, żeby śledzili ją podczas tego spotkania.

– O czym rozmawialiście?

– O pracy.

– Takiej, jaką możesz załatwić?

– Czyli szybkiej i dobrze płatnej. Uzgodniliśmy... warunki.

– To znaczy?

Erwan czuł się, jakby wbijali mu drzazgi pod paznokcie.

– Szukała dojścia... Musiałem się upewnić co do jej... kompetencji. – Policjant pomyślał o ostatnim zdaniu z *Kieszonkowca* Roberta Bressona: „Jeanne, jak krętą drogę musiałem pokonać, by dotrzeć do ciebie!”. Jednak droga Gaëlle nie miała nic wspólnego ani z tą, jaką podążał kieszonkowiec, ani z nawróceniem. Jej ścieżkę wytyczała wola samozniszczenia i nagradzanego występku.

– Od tej pory nigdzie jej nie ma. Dokąd ją posłałeś?

Payol pocił się jak świnia. Grdyka mu drgała, ale uporczywie milczał. Erwan chwycił go za sweter i potrząsnął nim, jakby chciał otrzepać dywanik w samochodzie:

– Do diabła, gdzie ona jest! Gadaj albo wybiję ci oko!

– Była chętna – pisnął tamten. – Nikt jej nie zmuszał!

– Chętna do czego?

– Do takiej... szczególnej gry.

– Mów jaśniej.

– To się nazywa *no limit*.

Erwan puścił go i cofnął się, kładąc rękę na brzuchu. Ognisko bólu wybuchło w jego organizmie. *No limit*. Jak ta nazwa, która pochłaniała go przez trzy dni w Kaerverec, mogła pojawić się tu, w mieszczkańskim salonie, w rozmowie o jego siostrze! Może to tylko przypadek, ale dla policjanta takie tłumaczenie zawsze jest jak nic, która w końcu pęknie.

– Co to jest? – zdołał zapytać.

– Nie chodzi o sam seks. To szaleństwo SM. Ale jest skrajne i...

– Nie uprzedzałeś jej, na jakie ryzyko się naraża?

– Powiedziałem jej to, co sam wiedziałem!

– Ten wieczór odbył się wczoraj?

– Nie. To dziś.

Ból jak przy wrywaniu chorego zęba. Ale może nie jest jeszcze za późno.

– Gdzie to ma być?

– Przykro mi, ale tego nie mogę panu powiedzieć. Obowiązuje mnie tajemnica.

Erwan wyciągnął broń i walnął go rękojeścią. Payol padł na podłogę, wijąc się i zakrywając usta dłonią.

– Gadaj, łajdaku. Trzeba było nie zbliżać się do Gaëlle. Jest bogatsza od ciebie i pochodzi z policyjnej rodziny!

Facet wyglądał naprawdę kiepsko. Żył na jego zmienionej twarzy nabrzmiały. Zgubił gdzieś okulary, krwawił z nosa i rozglądał się wokół przerażony.

– Jeśli nie znajdę jej dziś w nocy, odpowiesz za stręczycielstwo, a ja zadbam, żeby wyrobić ci opinię pedofila. Wiesz, co robią z takimi w pudle?

Payol wczepił się palcami w dywan, jakby bał się upaść jeszcze niżej.

– Jest w Bièvre – wybełkotał. – Aleja Saint-Hilaire czterdzieści dwa.

– Nazwisko organizatora?

– Nie wiem. Nie znam. Oni są... bardzo dyskretni.

Erwan schował broń.

– Jeśli skłamałeś, wrócę i puszcę to wszystko z dymem.

Zbliżał się do drzwi, kiedy Payol go zawołał. Wciąż jeszcze siedział na podłodze, podpierając się ręką, ale znalazł już okulary. Z jego oczu wyczierała zimna wściekłość.

– Nie wiesz, w co wdepnąłeś, psie – wycedził przez wielbłądzie zęby. – Nie masz pojęcia, kim są moi klienci. Niedługo to ty będziesz cienko śpiewał.

Przez chwilę Erwan patrzył na niego skonsternowany. Chętnie zapomniałby o tej żalostnej próbie ratowania twarzy, ale bydlak, unosząc się pychą, posunął się jeszcze dalej.

Wyciągnął środkowy palec i wymamrotał opuchniętymi ustami:

– Widzisz go? Wsadzę go w dupę twojej siostrze, kiedy już zabawią się z nią afrykańscy dyktatorzy, a...

Erwan zawrócił i wyciągnął broń. Z całej siły przydepnął rękę szui, odbezpieczył i uzbroił broń, a potem pociągnął za spust. Kawał palca odskoczył, trysnęła krew, w obłoku dymu widać było ścięgna.

Payol wył z bólu, wijąc się na irańskim dywanie, który prawdopodobnie kosztował roczną pensję przeciętnego policjanta. Erwan odszedł, nawet na niego nie patrząc. Otworzył drzwi. W progu stała żona. Teraz na jej twarzy

nie malowała się złość, ale bezkrwista panika.

Erwan uśmiechnął się, dając upust okrucieństwu:

– Radzę wezwać pogotowie. Wypadek przy pracy.

Morvan uśmiechnął się, odkładając telefon. Erwan wpadł na trop Gaëlle. Chodziło o seanse SM w Bièvre. Wiadomość nie była dobra, ale mogło być gorzej. Syn nie podał mu szczegółów, powiedział tylko, że już po nią jedzie. Za dwie godziny wszystko się wyjaśni.

Zszedł po betonowych schodach, po których wbiegł na górę, żeby spokojnie porozmawiać. Nareszcie mógł odetchnąć pełną piersią. Nawet krew zaczęła szybciej krążyć. Pchnął drzwi przeciwpożarowe i zobaczył miejsce, które opuścił parę minut wcześniej – ogromny parking, na którym rozbrzmiewała ogłuszająca muzyka. Zebrały się tu tysiące czarnych.

Sytuacja, która mogła się kojarzyć z Pandemonium z *Raju utraconego* Milona. Przynajmniej z punktu widzenia Morvana.

Tymczasem przystanął na najwyższym stopniu i patrzył z góry na parking. Miał wrażenie, że przygląda się falom na rzece gorącej smoły, która unosi się we wściekłym rytmie *ndombolo*.

A potem wszedł na arenę.

Ndombolo to hałaśliwa muzyka na gitary, dźwięczne bębny, skoczne basy, której wtórują radosne okrzyki i nawoływania: „Grzejcie, grzejcie!”. Tego wieczoru wszystkie te dźwięki wprawiały powietrze w wibrację. W miarę jak schodził, czuł nacisk na tchawicę i bębniaki uszne. Jakby wpadł do głębokiej wody, przepasany ołowiem.

Obszedł scenę, potem mijał tancerzy. Grupy VIP-ów zajmowały miejsca najbliżej wyjść. Luzeko powiedział mu tylko: „Będę miał stolik”. Morvan przyglądał się twarzom siedzących mężczyzn, którzy obracali głowy ku radosnym królowym piękności ubranym w markowe suknie. Odpierając plecami napór tłumu, czuł się zmęczony.

Nagle ktoś położył mu rękę na ramieniu. Odwrócił się, nie wiedząc, czy to jakaś zaczepka, choćby agresywnego pijaka, czy – co byłoby jeszcze gorsze – stary znajomy. Zobaczył twarz Luzeka.

– Chodź ze mną! – wrzasnął Wielka Gorączka.

Jego twarz błyszczała jak węgiel nad szarawym kołnierzem

ortopedycznym.

– Na dole da się jakoś pogadać, tu nie!

Wyglądał na naćpanego. Kiedy był pod wpływem narkotyków albo alkoholu, z intelektualisty przeobrażał się w nieokrzesanego czarnucha. Używał wtedy barwnego słownictwa z buszu i mówił z charakterystycznym akcentem.

Zatrzymali się piętro niżej, na pustym i cichym parkingu. Luzeko włączył światło, w którym to miejsce wyglądało jeszcze bardziej ponuro: neony i goły beton na tysiącach metrów kwadratowych. Kilka samochodów, wentylatory we wnękach, plamy oleju i benzyny. Morvan pomyślał, że to gotowy grobowiec dla całego plemienia. Ten żałobny charakter betonowej puszki dodatkowo wzmacniało dobiegające z dali dudnienie muzyki.

– Chodź – rzucił Luzeko, pokazując palcem wentylator. – Strasznie mi gorąco!

Powędrowali pod ogromne łopaty, które wirowały z maksymalną prędkością. Morvan miał wrażenie, że wpychają tu gorące powietrze, ale Luzeko nie narzekał.

– Nie mam dla ciebie dobrych wiadomości – uprzedził, wyciągając z kieszeni piersiówkę.

Podał ją Morvanowi, ale ten pokręcił głową. Kombatant miał na sobie czarny garnitur, błyszczący tak, jakby posypano go kryształkami bazaltu.

– To Kabongo wysłał ci ten wołowy ozór.

– Generał?

– On sam. Twój główny wspólnik w wydobywaniu koltanu.

Grégoire potrząsnął głową. W Kongo mawiało się: „Jednooki widzi tylko jednym okiem, ale i tak może płakać”. Tym razem Morvan najwyraźniej sam wepchnął sobie belkę w oko, a teraz przyszło mu lać łzy. Jak mógł na to nie wpaść? Kabongo, „Pan kopalń” w Kinszasie, dowiedział się, że cena akcji rośnie. Na pewno był przekonany, że to Morvan po cichu skupuje akcje, wykorzystując do tego syna. A od tego do ustalenia, że istnieją nowe złoża, był już tylko krok.

– Mówi, że zgarnianie wszystkich akcji z rynku to już przesada.

– Ale to nie ja!

Jego niski głos zabrzmiał tym razem piskliwie i zlał się z pomrukiem nawiewu.

– W takim razie lepiej, żebyś to udowodnił. Bo inaczej będą straszne

konsekwencje. Taki już jest ten Kabongo – jak zechce, to każe sobie przysłać twoją wątrobę pocztą albo zwali ci na kark stado adwokatów, żeby cię wyssali jak pijawki. Nie wiem, co gorsze.

Trudno mu było zrozumieć bełkotliwy głos Luzeka, ale jedno było pewne: czas wpaść do Kinszasy. Najpierw jednak musiał ustalić nazwiska faktycznych nabywców, żeby udowodnić generałowi, że może mu ufać.

Gdzie się podziewał Loïc? Pracował nad sprawą? A może wciągał kokę w jakimś podejrzanym klubie i dumiał nad swoim rozwodem?

Cofnął się pod kolumnę i otrząsnął, zastanawiając się, kogo przypomina mu Luzeko w tym czarnym garniturze. I nagle doznał olśnienia: w wysokim białym kołnierzu, na którym opierała się jego głowa, wyglądał jak figura gigantycznych szachów – król albo goniec – z hebanu i kości słoniowej.

- Jeżeli sobie ze mnie zakpięś, to zezresz własne jaja – zagroził.
- Lepiej spróbuj ocalić swoje, chociaż to nie będzie takie proste.

O dwudziestej trzeciej Erwan znalazł się w szerokim pasie mroku otaczającym Paryż i jego światła. To jakby negatyw pierścienia Saturna. Ta ponura wieś przerażała go. Gęstwina lasu. Ciemne pola. Podmokłe, smutne domy, kryjące tajemnice.

Opuścił autostradę i jechał teraz drogą krajową, oświetlając reflektorami szpaler drzew na poboczu. Pochylił się, żeby lepiej widzieć. Zarośla zdawały się robić to samo, wychodząc mu na spotkanie. To droga prowadziła go tam, dokąd chciała.

Już teraz żałował, że był tak brutalny wobec Kevina i że odstrzelił Payolowi kawałek palca. Miał gdzieś tych dwóch łajdaków, ale przypomniał sobie muzułmańskie przysłowie: „Co czynisz innym, czynisz przede wszystkim sobie”. Poczuł się zgubiony, potępiony, zdominowany przez własną brutalność.

Można powiedzieć, że spotkała go natychmiastowa kara, bo obudziły się bretońskie bóle. W natłoku zdarzeń tego dnia prawie o nich zapomniał. Teraz dały mu o sobie znać. Tępy i rozdzierający w klatce piersiowej, piekący w bokach. Nie wspominając o wściekłej migrenie, która cisnęła jego głowę jak ciasny stalowy hełm.

Minął Bièvres i znów wjechał do lasu. Droga wiła się jak ciemna wstęga, której końca światła auta nie były w stanie dosięgnąć. I znów drzewa pochylały się ku niemu, jak potwory pochylają się nad śpiącymi dziećmi.

Idealna chwila, żeby zadzwonić do podwładnych – i tak przeoczył już podsumowanie o dwudziestej, teraz był bliski przegapienia północy. Pewnie zastanawiali się, gdzie się podziewa. Właśnie brał do ręki komórkę, kiedy GPS oznajmił, że dotarł do celu podróży.

Jechał wzdłuż starego muru, omszałego i porośniętego bluszczem. Nie było tu chodnika, tylko zarośnięty chwastami rów. Nagle zobaczył czarną limuzynę stojącą przed bramą z kutego żelaza. Jacyś ludzie w garniturach palili, zgrywając przed sobą twardele. Erwan pomyślał, że cała ta historia okaże się zwykłą farsą.

Zwolnił i zgasił światła. Mógłby udawać, że pomylił drogę i zgubił się tu, ale z daleka cuchnął gliną. Mógł też wyciągnąć odznakę i kazać im otworzyć bramę, ale zanim dotarłby do dworu, zdążyliby uprzedzić uczestników zabawy.

Została mu trzecia opcja.

Zatrzymał się w odległości kilku metrów od nich, spokojnie zaparkował na poboczu, wyłączył silnik. Faceci obserwowali go podejrzliwie. Erwan wysiadł z volva, drapiąc się po głowie, jakby niezdecydowany, zrobił parę chwiejnych kroków. Wyglądał na pijanego.

Najwyższy z nich podszedł do niego, machnął ręką:

– Nie możesz tu zostać, tatuśku...

Erwan błyskawicznie wyciągnął broń i trzymając ją oburącz, wymierzył w pozycji Weavera.

– Ani kroku dalej.

Facet zamienił się w słup soli. Inny, który został przy samochodzie, także nie śmiał drgnąć. Z bliska wyglądali raczej na szoferów niż na ochroniarzy.

– Słuchawki i telefony na ziemię.

Potulnie wykonali polecenie. Nie spuszczać ich z oka, Erwan cofnął się, otworzył bagażnik i wyjął opaski zaciskowe Colsona. Wystarczyło kilka ruchów, żeby obaj mieli ręce skrzepowane na plecach.

– Pilot do bramy – rzucił, depcząc ich komórki.

– W kieszeni – szepnął najmniej wystraszony.

Erwan znalazł go, wyjął i otworzył bramę:

– Idziemy i żadnych głupstw.

Dwóch cerberów szło zwirową alejką, usiłując zachować godną postawę. Erwan był tuż za nimi. Dwór miał kształt litery L, a jego mury porastała winorośl. Współczesne rzeźby, podświetlane od dołu, zdobiły trawnik. Luksusowe auta stały pod zadaszeniem wspartym na belkach.

We wszystkich oknach na parterze paliły się światła. Białe błyski, złociste tony, krwiste pulsowanie... Wydawało się, że wewnątrz trwa dyskoteka, ale płynąca z dworu muzyka temu przeczyła: monotonna, rozdzierająca, jakby głos *ghaity*, tego północnoafrykańskiego, piskliwego oboju.

– Ilu ich tam jest?

– Setki.

– A jaki mają program?

– Nie wiemy. Nie wolno nam wchodzić.

– Idźcie do hangaru.

Posłusznie zatrzymali się naprzeciwko samochodów. Stojący za ich plecami Erwan zdołał się nieco odprężyć. To wszystko wyglądało po prostu na starą pocziwą orgię w gronie notabli.

– Jak nazywa się gospodarz?

– Nie mamy pojęcia.

Kłamali, ale nic go to nie obchodziło. Kiedy wyciągnie stąd siostrę, wezwie żandarmów, żeby zrobili tu porządek.

Jeden z cerberów ośmielił się rzucić uwagę:

– Nie wiem, po co tu przyszedłeś, ale ostro ci odbiło. Żaden z nich nie nosi przy sobie kasy, to grube ryby. Ryzy...

Erwan tak brutalnie kopnął go w nogę na wysokości kolana, że facet zawył i upadł. Niemal równocześnie policjant uderzył drugiego ręką w kark. Żaden nie stracił przytomności, ale obaj zostali na dłuższy czas wyeliminowani z gry.

Rozglądając się, zauważył pierścień zamocowany na kamiennej studni, wyciągnął kolejne plastikowe „kajdanki”, kazał obu facetom wstać, popchnął ich i przykuł do pokrytego rdzą pierścienia.

A potem pobiegł za głosem orientalnej muzyki.

Wchodząc do pierwszej sali, o mało nie wybuchnął śmiechem: wszyscy tu byli goli. To wyglądało jak *Gdzie jest Charlie?*, ale bez Charliego i bez pasiastego swetra. Erwan wślizgnął się do tej menażerii. Czerwone światło i tłum dawały mu spore szanse. Przesuwał się tuż pod ścianą, szukając Gaëlle, potem wszedł do drugiego pomieszczenia, gdzie sytuacja się skomplikowała.

Wystrój, kostiumy i ogólna atmosfera przypominały kiepski film odtwarzający pomysły markiza de Sade. Zdobione brokatem maseczki, jedwabne peleryny, spodnie ze skaju, pejcze i szpicruty... goście tańczyli, pili i wydawali się zadowoleni ze swojego wyglądu. W kątach pięćdziesięciolatkowie o gębach notariuszy świecili golizną, klęcząc z wypiętym zadkiem i psią obrozą na szyi albo kneblem w ustach. Poskramiały ich dominy w winylowych gorsetach i na wysokich szpilkach.

Nigdzie ani śladu Gaëlle.

Kontynuował poszukiwania. W innych pomieszczeniach zobaczył kobiety rozpięte na krzyżach świętego Andrzeja, niewolnice – związane albo ponizane w żalonych pozycjach. Bicz uderzały miękko, a jęki były mało

przekonywające.

I tu nie znalazł Gaëlle.

Rozpychając się łokciami, zapytał w końcu – jakby pytał o drogę do baru – gdzie można spróbować *no limit*. To jednak ściągnęło na niego podejrzliwe spojrzenia, a nawet oburzenie, które zdawało się mówić: „Nie wolno wypowiadać tej nazwy”. Miał wrażenie, że wszedł do domu groteskowej sekty.

Wreszcie zrozumiał, że ta próba odbywała się w suterenie. Odnalazł oświetlone pochodniami schody, po drodze natknął się jeszcze na paru gości w nabijanych ćwiekami pasach albo lateksowych uprzężach na przywiedłych ciałach. Ale kiedy wszedł do głównej piwnicy, śmiech nagle zamarł na jego ustach.

W głębi pomieszczenia, na scenie przystrojonej czarnym całunem, Gaëlle siedziała przywiązana do tandetnego tronu, którego oparcie wieńczyły głowy demonów. Była naga, a jej rozkraczone nogi przywiązano do oparcia fotela.

Gaëlle była cała we krwi.

Obok niej „pracował” ktoś w rodzaju kata – w masce na twarzy, skórzanym kaftanie na torsie, wymachiwał wielkimi nożami do sushi. Erwan nie tracił ani chwili. Odbezpieczył broń i kilkakrotnie strzelił w sufit. Posypał się tynk, a widzowie rzucili się ku schodom, zakrywając się pelerynami, popychając, poruszając się po omacku w przekrzywionych maseczkach. Erwan parł pod prąd. Po drodze oddał jeszcze kilka strzałów, podczas gdy przebrany za nazistowskiego oficera didżej brał nogi za pas.

Erwan został sam w cichej, zadymionej piwnicy. Sam na sam ze związaną siostrą, na której uwolnienie nikt nie tracił czasu. Wszedłszy na scenę, zrozumiał, jaka ohydna rozegrała się tu komedia.

Stał pomiędzy zaścieniającymi deski ciałami kur, którym obcięto łby. Obok leżało wypatroszone prosię. Ten seans był tylko parodią czarnej magii – zaklęciom towarzyszyło przelewanie kurzej krwi i wymachiwanie świńskimi wnętrznościami.

Podchodząc bliżej, poślizgnął się i o mało nie upadł. Gaëlle, wciąż rozkraczona, pokryta krzepnącą, brunatną krwią, piorunowała go wzrokiem. Jej tęczęwki syberyjskiego psa wydawały się jeszcze jaśniejsze na umazanej twarzy.

– Może byś mnie w końcu rozwiązał?

O drugiej w nocy Loïc nadal nie wiedział niczego nowego.

Rozmawiał z wieloma finansistami ze swojej listy. Dwóch odwiedził w pracy, dwóch znalazł w barach, jednego w restauracji w 8 dzielnicy. Ale wszyscy jak jeden mąż odprawili go z kwitkiem.

Nie miał żadnych argumentów, które pomogłyby mu pociągnąć ich za język. W podobnej sytuacji ojciec wyciągnąłby jakieś papiery, a brat spluwę. On mógł im tylko postawić drinka. Brokerów i traderów obowiązuje tajemnica zawodowa, którą naruszają dzień w dzień, ale pod warunkiem, że coś na tym zyskają. Jednak Loïc nie miał nic do sprzedania. I wszyscy wiedzieli, że pracuje dla ojca, a zatem nie należy z nim rozmawiać.

Morvan starał się regularnie do niego dzwonić i każdy telefon był dla Loïca jak gong po rundzie pojedynku, w którym wciąż przegrywał.

Najgorszy był alkohol. Z upływem nocy, podczas kolejnych spotkań, coraz bardziej zanurzał się w piekle podzwaniającego szkła, stuku kostek lodu, zapachów koktajli. Można sobie mówić, że skończyło się z alkoholem – on nigdy nie kończy z tymi, którymi raz zawładnął. Loïc czuł jakby wewnętrzne mrowienie, które drażniło jego nerwy.

Od godziny krążył po klubach. Zaczął od VIP-a, poszedł do Montany, a teraz do Parnassium, niedaleko ulicy Rennes. Był to lokal mały jak mysia nora, gdzie nasuwały się na myśl stare dowcipy w stylu „Ile osób wciśnie się do budki telefonicznej?”. Zwykły lokalik, którego wystrój tworzyły tylko ostre, migające światła. Żołnierze finansów ubóstwiają takie dziuple dla artystów, prezenterów telewizyjnych, cierpiących na bezsenność intelektualistów. To, czego nie dała im natura – talentu, czaru, sławy – kupowali za pieniądze, żeby przynajmniej żyć iluzją przynależności do seraju.

Loïc zamówił colę zero i wmieszał się w tłum. Przeszedł może dwa kroki, kiedy zauważył starego znajomego, Hervégo Serano. Za czasów Wall Street wszyscy nazywali go Jamón-Jamón. Świat giełdy to czysta finezja... Zresztą Serano słynął nie tylko z wyczynów giełdowych, ale także z erotycznych

akrobacji – helikoptera, samoobciążania i innych. Facet miał klasę...

Loïc podszedł do niego. Był na siebie zły, że o nim nie pomyślał – ten trader miał obiecujący profil. Zdziwienie i przywitanie. Niski, krępy Serano tkwił na ławie między dwiema lekko podchmielonymi laskami (w pierwszej chwili Loïcowi wydawało się, że jedną z nich jest jego siostra). Sam też był kompletnie pijany. Może należało wykorzystać taką okazję.

Jedna z dziewczyn przesunęła się, robiąc Loïcowi miejsce. Trzymał w ręku szklanekę, żeby inni myśleli, że pije whisky z colą (w rzeczywistości nie mógł sobie pozwolić nawet na dodanie octu do sałaty). Przybierając stosowny do okoliczności ton podpitego kumpla, zaczął mówić o biznesie. Serano zaczął rozprawać o milionach, które zarobił przez tydzień.

– A jak stoisz z minerałami?

– Wiem, do czego zmierzasz. – Serano zaśmiał się. – Nic ze mnie nie wyciągniesz.

– To chyba normalne, że pilnuję swojego terenu, co? Kupowałeś Coltano?

Zamiast odpowiedzieć, Serano napił się wódki prosto z butelki. Loïc wyraźnie czuł jej zapach. Równie dobrze ktoś mógłby brutalnie skrócić mu trzewia.

– Kupowałeś czy nie?

– Dobrze znasz odpowiedź.

Nie wolno puścić tej nitki.

– Wyobraź sobie, że nie ty jeden i dlatego zaczyna mnie to niepokoić.

– Próbujesz ratować tyłek! – rzucił Serano, wymachując butelką.

Kolejny łyk. Muzyka się nasiliła. Zamknięta przestrzeń wypełniła się nią, ściany były jak pęknięcia w kadłubie łodzi podwodnej: wyrzucały fale dźwięków, które lada chwila mogły ich po prostu zatopić.

– Prawdę mówiąc, tu nie ma nic do zrozumienia – dodał finansista, popadając w nagłe rozmarzenie. – Kiedy się patrzy na wasze wyniki... – Parsknął śmiechem. – Bez urazy!

Siedząca obok blondynka dyskretnie masowała mu krocze. Cała ta maskarada budziła w Loïcu odrazę. Pieniądze, które dawały temu Jamón-Jamón władzę. Pieniądze, które zarobił, gadając przez telefon. Chciwość tej małej dziwki, gotowej zrobić wszystko dla kilkuset euro. I zapach alkoholu, który uderzał mu do głowy.

Zaczynał odczuwać uderzenia gorąca, pierwsze objawy nadciągającego ataku paniki.

– Kim są twoi klienci?

Serano pochylił się do jego ucha, zwijając rękę w trąbkę:

– Nie jestem aż taki nawalony, żeby sypać nazwiskami.

– To jakieś fundusze? Spółki wydobywcze? Wolni strzelcy?

– Mogę ci tylko powiedzieć, że dzieje się coś naprawdę dziwnego, bo chcą wyłącznie Coltano.

W rytmie techno wstrząsającej tłumem jak bębniem pralki przy wirowaniu wyłaniała się prawda: doszło do wycieku informacji o nowych złożach. Czy to geolodzy? A może wspólnicy ojca majstrowali w terenie? Skąd mogliby znać bankowców i inwestorów?

Loïc postanowił zarzucić inną przynętę.

– Prawdę mówiąc, boimy się, że to wrogie przejęcie.

– Gadanie! – prychnął trader. – Chcą jedynie dostać swój kawałek tortu.

– Jakiego tortu?

Nie otrzymał odpowiedzi. Czuł się coraz gorzej. Pot zrosił mu czoło, miał mdłości, serce biło mu w rytmie stu dwudziestu uderzeń na minutę, wdając się w jakiś szaleńczy taniec.

Wstał i odstawił szklanekę.

– Możesz mnie zapewnić, że to nie jest żadne zorganizowane działanie?

– O ile mi wiadomo, nie.

Serano znów wlał w siebie strumień wódki:

– Za twoje imperium!

Loïc instynktownie wstrzymał oddech, żeby nie wciągać oparów trucizny. Nie pił prawie dziesięć lat, ale to nie znaczyło, że uwolnił się od nałogu. Stał, obserwując Serana, który mlaskał, gapiąc się na własny rozporek. Jego towarzyszka odskoczyła z odrazą – wyciągnęła jego fiuta, a ten dureń najzwyczajniej sobie ulżył – nasikał pod stół!

– No, no, no!

Loïc wymknął się, zerkając na tańczących na parkiecie ludzi, którzy nie zdawali sobie sprawy, że drepczą w powiększającej się kałuży moczu. Szybko mijał zdeformowane przez smugi kolorowego światła twarze, usta, które rozchyłały się jak krwawe rany, aż znalazł wyjście.

Geolodzy. Kiedy wreszcie zatrzasnął drzwi astona martina, drżący, przemarznięty i rozpalony równocześnie, pomyślał, że któryś z tych gnojzków musiał się wygadać. Afrykański trop nie trzymał się kupy. Jeżeli – a tak przypuszczał – ojciec zaczął wydobyć w kopalniach, robił to z pomocą

czarnych pracujących głęboko w buszu. Sprawdził, czy w poczcie ma jakieś odpowiedzi na maile wysłane do ekspertów, ale żaden z nich się nie odezwał.

Przy okazji policzył, że ojciec dzwonił do niego tej nocy osiem razy.

Nie miał innej możliwości. Wsunął rękę do schowka. Pergamin i biały proszek. Usypał na desce rozdzielczej trzy kreski i wciągnął je na jednym wdechu. Szarpnęło nim, uderzył potylicą o zagłówek.

Nareszcie przyzwoity towar.

Przez całą drogę nie powiedziała ani słowa. On też prowadził w milczeniu. Zupełnie jakby oboje należeli do klubu zaciśniętych zębów. Pokonując kolejne kilometry, łykał środki przeciwbólowe, żeby uwolnić się od cierpienia, a przy okazji wyciszyć wściekłość. Z tyłu owinięta kocem Gaëlle szachowała go tą ciszą jak lufą pistoletu przystawioną do skroni.

Cuchnęła rzeźnią, krwią zwierząt i odchodami, ale nie otwierał okien, bojąc się, że mógłby ją przeziębic. Cuchnęła też nienawiścią i rozpustą, ale to dostrzegąło się znacznie później, bo ta skorupa była twardsza, starsza, stanowiła podłoże całej reszty.

Kiedy doprowadził ją do domu, wepchnął ją pod prysznic i obiecał, że nie oszczędzi jej porządnej bury, gdy tylko zmyje z siebie całe to łajno. A teraz czekał, słuchając szumu wody spływającej na kafelki: jego gniew już się wypalał.

Coca-cola zero. Telefon komórkowy. Nareszcie mógł zadzwonić do swoich ludzi.

Zaczął od Tonfy, który wciąż jeszcze był w instytucie, gdzie trwała sekcja. Biorąc pod uwagę liczbę gwoździ, odłamków szkła i metalu, Ribeiro szacował, że upora się z tym przez noc i przedpołudnie.

– A znalazł paznokcie albo włosy?

– Jeszcze nie. Musi dokonać drobiazgowych oględzin zewnętrznych, zanim zajmie się jamą brzuszną.

Erwan nie mógł uczyć fachu lekarza sądowego. Zresztą słabły jego nadzieje, że da się w porę zidentyfikować kolejną ofiarę i zapobiec zbrodni. Uważał, że jeśli znajdą jakieś obce szczątki organiczne, to będą one pochodziły ze zwłok.

Wstępne ustalenia potwierdziły, że sposób działania zabójcy był zgodny z rytuałem Człowieka Gwoźdza. Sprawca ogolił Anne Simoni głowę, zostawiając kilka pasemek włosów, a to prawdopodobnie dlatego, że chciał wskazać na związek włosów pozostawionych na żebrach Wissy z drugą ofiarą. Do aktywacji fetysza użył gwoździ, kawałków szkła i metalu, a także

włókien, których dokładny skład i pochodzenie nie zostały jeszcze ustalone. W oczodoły kobiety wbił dwa kawałki lustra i usunął jej narządy wewnętrzne – sekcja miała wkrótce wykazać które. Riboise stwierdził też, że doszło do gwałtu z użyciem ostrego narzędzia, najprawdopodobniej o podwójnym ostrzu. Młoda kobieta jeszcze żyła, kiedy jej oprawca dopuszczał się tych makabrycznych czynów. Nie udało się na razie ustalić dokładnej godziny zgonu. Czy to na skutek krwotoku, pęknięcia krwiaka podtwardówkowego, czy też zawału serca, zmarła podczas tortur.

– Czy ofiara ma obrażenia, które powstały już po zgonie?

– Najprawdopodobniej tak i wydaje się, że trwało to jeszcze długo. Wiele ran nie krwawiło.

– Ile łącznie zadano jej ran?

Tonfa gwizdnął. Był silnym facetem, nie tylko fizycznie, i potrafił znieść widok potworności. Przypominał worek treningowy, który przyjmuje cios za ciosem, nigdy się nie uchylając.

– Setki. Są skupione jak... kępy zarośli. Takie kwiaty z gwoździ. Riboise twierdzi, że kości pękały od ich naporu. Szkielet jest w drzazgach. Co do mięśni, nerwów, naczyń krwionośnych, to wszystko jest w strzępach. Potworna jatka.

– Riboise powiedział coś o pochodzeniu tych gwoździ i szkła?

– Stwierdził tylko, że całe żelastwo jest przerdzewiałe, a szkło używane.

Wszystko z odzysku.

– Przekazałeś te rzeczy do laboratorium?

– Na razie tylko częściowo, do badań DNA, o które prosiłeś.

– Narządy płciowe zostały wycięte?

– Wydaje się, że tak. Jej łono to otwarta rana.

– Ale Riboise jest pewien, że doszło do gwałtu?

– Nie ma co do tego wątpliwości. Wziął ją od tyłu – tkanki odbytnicy są zmasakrowane.

Jak dotąd tylko ten element seksualny różnił nowe morderstwa od tych z lat siedemdziesiątych. Może właśnie ta specyfika sprawi, że morderca się zdradzi.

– No dobrze, stary – rzucił jowialnym tonem, żeby zmotywować Tonfę. – Odwagi! Widzimy się jutro rano w biurze. Mam nadzieję, że Riboise do tego czasu skończy.

– Dobrze, szefie.

Następny numer: Audrey.

– Na razie nic – oznajmiła. – Knajpy, sklepy – o świcie wszystko było zamknięte. Postawiłam na Citadines, bo jest tam portier.

– Co to jest?

– Rodzaj hotelu, apartamenty wynajmowane przyjezdnym biznesmenom. Ale nikt nic nie widział.

– Rozmawiałaś z patrolami z tej nocy?

– Oczywiście. Na razie też nic. Ale zostało mi jeszcze kilku chłopaków do przesłuchania.

Erwan spojrział na zegarek – była trzecia nad ranem. Pomyślał o przekazaniu jej tego, co zostawił sobie – brzegu Sekwany.

– Zadzwoń do rzecznej i poproś o raport.

– Nie załatwiłeś tego?

– Zadzwoń do nich i kończ z tym odcinkiem.

– Dobra – odparła.

– A potem idź się przespać. Widzimy się o dziewiątej w firmie.

– Sergent dzwonił kilka razy.

– Kto?

– Kapitan Sergent, ten, który pisał raport wstępny.

– I co?

– Fitoussi kazał mu do nas dołączyć.

Nie mógł dłużej trzymać go z dala od sprawy. Erwan czasami widywał tego żółtodzioba na korytarzu – facet wyglądał na nieśmiałego i przygnębionego.

– Znasz go?

– Trochę.

– Co o nim sądzisz?

– Nie robi dużo szumu, ale jest bardzo pracowity.

– Niech przyjdzie na naradę. Pomoże ci w rozeznaniu albo zwalimy na niego billingi.

Rozłączył się i zadzwonił do Sardynki. Ten zadziwił Erwana efektami: rozmawiał już z kolegami z pracy Anne Simoni, ustalił listę jej bliskich znajomych – tych obecnych i tych z burzliwej przeszłości. Wydobył też jej akta z archiwum.

– Zaczynaj od początku.

– Urodziła się w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym szóstym

w Montélimar. Ojciec nieznany, matka pochodzi z Quebecu. Zostawiła małą zaraz po urodzeniu. Domy dziecka, rodziny zastępcze. Bardzo wczesnie zaczęły się z nią kłopoty. Kradzieże, napady, narkotyki. Ale równocześnie dobre wyniki w nauce. Matura humanistyczna. Wkrótce potem stanęła przed sądem. Po raz pierwszy skazana w wieku osiemnastu lat na cztery miesiące w zawieszeniu.

– Za co?

– Wdała się w bójkę podczas manifestacji alterglobalistów. Potem dwa lata ciszy. Ani pracy, ani nic. W końcu dała się dwa razy złapać za posiadanie heroiny i za prostytutkę. Standardowa dziwka ćpunka. W dwa tysiące szóstym uczestniczyła we włamaniu i za to dostała siedem lat.

– Znasz szczegóły?

– Drobnie włamanie, które przybrało fatalny obrót. Jej współnicy wyciągnęli broń, zranili strażnika. Będzie kaleką do końca życia.

– Znalazłeś tych typków?

– Są z Vitry. Po trosze Cyganie, po trosze punki, a przede wszystkim łotry.

– Wyszli z pudła?

– Z tego, co wiem, tylko dwóch, ale...

– Sprawdziłeś ich alibi?

– Jeszcze nie. Jeden jest gdzieś na Lazurowym Wybrzeżu, a drugiego jeszcze nie zlokalizowałem. Ale sprawdziliśmy z Kripo billingi dziewczyny. Prawdopodobnie nie utrzymywała z nimi żadnych kontaktów.

– A teraz?

– Prowadziła uporządkowane życie. Koledzy z pracy, rozrywka, facet.

– Ktoś z prefektury?

– Zapomnij! – Sardynka zaśmiał się. – To didżej, który pracuje w kilku modnych klubach.

– Skontaktowałeś się z nim?

– Nawet osobiście przekazałem mu wiadomość.

– I co?

– Jest czysty. Zostawiłem go zapłakanego na zapleczu Rexa. Małe szanse, żeby dziś w nocy miksował.

Erwan zastanawiał się nad metamorfozą tej dziewczyny. Wydawałoby się, że przemiana z dziwki w urzędniczkę nie jest taka prosta.

– Opowiedz mi, co robiła po wyjściu z więzienia.

Sardynka lekko się zawahał, więc Erwan ułatwił mu sprawę.

– Wiem, że znali się z moim ojcem.

Usłyszał, jak marsylczyk odetchnął z ulgą. Sardynka przeszedł do rzeczy:

– Zdecydowanie opowiedział się za jej zwolnieniem warunkowym w dwa tysiące dziewiątym. Potem pomagał jej wrócić do normalnego życia: mieszkanie, robota... Poręczył za nią nawet, kiedy wynajmowała mieszkanie.

Stary w roli dobrego samarytanina – trudno było to przełknąć.

– Od razu zaczęła pracować w prefekturze?

– Nie. Najpierw męczyła się przez rok w merostwie Nanterre.

– To mój ojciec jej to załatwił?

– Nie udało mi się jeszcze z nim skontaktować, ale...

– Ale co?

– Będziemy musieli przesłuchać twojego ojca.

– Sam się tym zajmę. Kontaktowałeś się z jej kuratorem?

– Tak. Jego zdaniem ta mała naprawdę wyszła na prostą.

– Nigdy więcej nie miała konfliktów z prawem?

– Nie.

– A prostytutka?

– Nie siedziałem pod jej łóżkiem, ale raczej nie.

– A narkotyki?

– Też nie. Była czysta.

Doświadczenie z pracy w policji kryminalnej raczej nie skłaniało do optymizmu w sprawie powrotów na łono społeczeństwa. Jak mawiał Morvan: „Po co podlewać wydmę?”. A jednak pierwszy sięgnął po konewkę.

– A co mówili jej koledzy?

– Nic szczególnego. Sympatyczna dziewczyna.

– Czy ostatnio się zmieniła?

– Niczego takiego nie zauważyli.

– Nie wyglądała na wystraszoną?

– Nie.

Wszystko to skłaniało ku wnioskowi, że dziewczyna wpadła w zasadzkę albo została porwana. Morderca wybrał Anne Simoni albo ze względu na jej bliską znajomość z Morvanem, albo z jakiegoś innego powodu, choćby wyglądu czy przeszłości.

– Jej fora społecznościowe?

– Zabrałem komputer z jej mieszkania. Zrobię kopię twardego dysku, a potem oddam sprzęt ekspertom. Mam też jej notes z telefonami, ale w tej

chwili ludzie śpią.

– Jak wygląda jej mieszkanie?

– Jak reszta życia: ułożone i grzeczne.

Anne Simoni stawiała się zbyt doskonała, żeby to mogła być prawda.

– Masz zgodę na przeszukanie?

– Idziemy tam jutro z Audrey.

– Spróbuj się przedtem trochę przespać. Briefing u nas o dziewiątej rano.

Erwan odłożył telefon i nadstawił ucha. Z łazienki nie dobiegał już szum płynącej wody, a sądząc po odgłosach, Gaëlle kończyła toaletę.

Najlepszego zostawił sobie na koniec – Kripo.

Partner zdążył już ściągnąć z sieci wszystkie obrazy wideo, które mogły pomóc w odtworzeniu ostatniej drogi Anne Simoni.

– Mamy ją aż do mostu d’Arcole. Potem ani śladu.

– Jak to „ani śladu”?

– Nie wiem. Widać, jak wchodzi, ale nie dociera na prawy brzeg. Jakby zniknęła gdzieś na środku mostu. Tak czy inaczej nie wsiadła do metra na stacji Hôtel-de-Ville.

Szalona myśl: Anne Simoni zeszła na brzeg, a morderca zabrał ją na zodiaca.

– Billingi?

– Sprawdzamy każde połączenie. Na razie nic ciekawego.

– A archiwa? Zabójcy, którzy działaliby według tego samego schematu?

– Żadnego śladu użycia gwoździ. Kiedy podawałem różne słowa klucze, komputer podawał mi tylko jedną odpowiedź: Leroy-Merlin.

– Nie czas na wygłupy.

– Jedyne, co udało mi się znaleźć, to sprawy związane z przemocą domową z użyciem młotka i śrubokręta.

– Gdzie teraz jesteś?

– W domu. Piszę raport.

– Postaraj się sprawdzić, co można znaleźć o *no limit*.

– Wracamy do tamtego? – zdziwił się Kripo, myśląc o di Grecu.

Erwan przemilczał to pytanie i ciągnął:

– Sprawdź, czy nie ma specjalnych spotkań, które tak się nazywają, w Paryżu i poza nim.

– Masz na myśli SM, tak?

Erwanowi stanęły przed oczyma pokryte bliznami ciała pilotów z K76. *No*

limit nie zawsze oznaczało maskaradę.

– Szukaj na wszystkich frontach. Do zobaczenia o dziewiątej w biurze.

Odłożył telefon i stwierdził, że w łazience panuje cisza.

Ta jasnowłosa zaraza pojawi się tu lada chwila.

– I co, jesteś z siebie dumny?

Odwrócił się i zobaczył Gaëlle owiniętą białym ręcznikiem. Wyglądała, jakby wyparzyła się pod prysznicem. Na rękach i ramionach miała szkarłatne rysy, a jej oczy ciskały błyskawice.

Gorąca woda i równie gorąca wściekłość.

– Nawet bardzo – rzucił Erwan, uśmiechając się ironicznie. – Zniknęłaś na dwa dni, rodzice się zamartwiali, ja musiałem rzucić pracę, żeby cię szukać, i znalazłem cię wypačkaną podrobami i gównem, otoczoną przez notabli, którzy się brandzlowali w pelerynach Zorro. Czy mógłbym marzyć o czymś więcej?

– To moje życie.

– Już się bałem, że powiesz coś o karierze.

Poszła do kuchni po colę – cała rodzina Morvanów bała się alkoholu z powodu Loïca, który pił za nich wszystkich.

– Nie mogę już patrzeć na twoją wstrętną mordę bohatera – mruknęła, dotykając lodowatą puszką policzka. – Nie znudziło ci się bycie tak doskonałym? Trzymanie się zawsze dobrej drogi? Nie zmęczyłeś jeszcze samego siebie?

Na jej ręczniku widniał złoty znak firmowy jednego z drogich paryskich hoteli, w których się puszczała. Czasami miał wrażenie, że lubiła się nurzać w rozpuście jak świnia w błocie.

Mimo wszystko z podziwem patrzył na jej krągłe ramiona, zgrabne łydki, pupę, która skłaniała do grzechu. Jak wszyscy Morvanowie, Erwan widział, jak chudła, aż została z niej tylko skóra i kości. Dziś, cokolwiek robiła, cokolwiek wygadywała, dawała swym ciałem dowód radosnej nowiny: była uzdrowiona.

– Kiedy ty w końcu dorośniesz? – odparł. – Jak możesz pozwalać, żeby na oczach jakichś prowincjonalnych notabli gołą polewali cię krwią?

– Za sześć tysięcy euro, głupku, mogę na to przystać. Przy twojej gównianej pensji to dwa miesiące pracy.

– Zarabiam więcej. I nie mów mi, że robisz to dla pieniędzy. Wystarczy, że

skasujesz polisę ubezpieczeniową, a wypłacą ci dziesięć razy tyle.

Usiadła na kanapie i otworzyła puszkę.

– Nie chcę tej kasy. Mam zasady.

– Miło usłyszeć – syknął.

Piła wolno, wpatrzona przed siebie.

– Żyję w świecie, w którym toczy się wojna – powiedziała w końcu.

– Jaka wojna?

– Między mężczyznami a kobietami.

– Co jest w niej stawką?

– Pieniądze.

– A bronią?

– Pożądanie.

Usiadł obok niej jak obok dziecka, któremu zamierzał wytłumaczyć, że się myli. Czuł zapach mydła i kremu, który wtarła w skórę.

– Pleciesz głupstwa – powiedział spokojnie. – Po prostu sprzedajesz swoje ciało.

– Odrzucam mieszczańską logikę.

– Trwonisz życie w hotelowych apartamentach, popijając szampana, więc nie opowiadaj mi teraz o walce klas.

– Mieszczaństwo to co innego.

– Tak?

– Mieszczaństwo oznacza starzeć się, patrząc, jak rosną twoje dzieci. Poświęcać wszystko dla wygody i spokoju. Nudzić się, ale wiedząc, że nic ci nie grozi. Daję ci słowo: mój świat nie jest komfortowy. To świat wojny, wrogi, zmienny. Mężczyźni muszą w nim być bogatsi, kobiety piękniejsze. Sypiają ze sobą, ale w głębi ducha się nienawidzą.

– To świat łajdaków i dziwek.

– Erwanie, jesteś za mądry, żeby tak mówić.

Któregoś dnia odwiózł ją na ulicę Lincoln w 8 dzielnicy. Trochę za późno dotarło do niego, że miała schadzkę – jej zachowanie w samochodzie: podniecenie i wahanie, ta potrzeba poprawiania makijażu... Wyskoczył z samochodu, znalazł studio filmowe, w którym miała spotkanie, wpadł do recepcji z bronią w ręku. I szybko zrozumiał, że popełnił błąd. Wszyscy tam znali Gaëlle, przywykli, że spotyka się z szefem. To był wolny świat dorosłych ludzi, którzy robili, co chcieli. Wycofał się, prawie zawstydzony.

– Czym różni się matka rodziny od utrzymanki? – ciągnęła Gaëlle. – Ta

druga chodzi lepiej ubrana.

– A miłość? Dzieci? Stworzenie domu?

– Tak jak nasi rodzice?

W końcu padło to słowo. Odkąd zaczęła coś rozumieć, czyli odkąd nauczyła się bać, Gaëlle stała się buntowniczką. Najpierw przeciw własnej rodzinie, potem przeciwko hipokryzji systemu pozwalającego na takie kłamstwo.

– Nie mieszaj w to rodziców – powiedział głucho.

– Ale to właśnie sedno sprawy! Co mi właściwie zarzucasz? Że uprawiam seks bez miłości? Że pieprzę się, żeby przeżyć? Czy nie to samo przez całe życie robi matka?

– Nie, ona kocha tatę.

– Więc jest głupsza niż ja. Mnie przynajmniej płacą, no i mnie nie biją.

Wstał i przeszedł kilka kroków, pochylając głowę pod ukośnym sufitem poddasza. Brakowało mu celnych replik. Na półkach widział książki: *Człowieka jednowymiarowego* Herberta Marcusego, *Narodziny tragedii* Fryderyka Nietzschego, *Zgubne pożądanie* Pierre’a Klossowskiego. W młodości czytał te książki, pozycje z górnej półki. Gaëlle była w pewnym sensie intelektualistką.

– Gardzę mężczyznami – wycedziła przez drobne zęby. – Ale jeszcze bardziej gardzę kobietami.

– Ale jakimi kobietami?

– Nie muszę daleko szukać. Oczywiście, Maggie, ale też koleżankami, moimi rywalkami. Wstyd mi za nie. Te ich tandetne historie, to wczuwanie się w rolę ofiary. To przyniósł cały wiek emancypacji? Ruch Wyzwolenia Kobiet, Simone de Beauvoir, Nancy Fraser – wszystko po to, żeby uzyskać... no właśnie – co? Prawo do jeszcze większego sponiewierania, jeszcze gorszych zdrad? Bo w całej tej historii wyzwolenie zyskali tylko mężczyźni. Wciąż są takimi samymi łajdakami, tylko że teraz nie muszą już ani płacić, ani przestrzegać żadnych zasad. Nie muszą być dżentelmenami ani nawet dawać upominków, żeby się pieprzyć, ile zechcą. To właśnie nazywa się równością płci.

– Gaëlle, w jakim ty żyjesz świecie? To już nie jest osiemnasty wiek, kobiety same sobie radzą, niczego nie potrzebują od mężczyzn, decydują o sobie.

– To właśnie mówię. Straciły wszystko.

– Zmieniły się zasady. Kobiety są niezależne. Mogą spełniać swoje ambicje. Nie żyją już w cieniu męskich pragnień.

– To dlaczego nadymają się, kiedy facet nie płaci rachunku? Dlaczego wchodzi za darmo do nocnych klubów? Dlaczego mężatki chodzą na kursy tańca na rurze? Wciąż tkwimy w tym samym punkcie: po jednej stronie taniec brzucha, po drugiej kasa!

– Zapominasz o najważniejszym – o miłości, uczuciach.

– Naprawdę nic nie rozumiesz. Jedyнным więzieniem kobiety jest miłość. Kobieta zawsze pada ofiarą sentymentalizmu. Sto lat walki nie zdołało przełamać tej nieuleczalnej słabości. Simone de Beauvoir, mimo swojej „drugiej płci”, była największą rogaką na Saint-Germain-des-Prés. Możesz zmienić prawo, ale nie zmienisz kodu genetycznego. A jeśli nawet, to za parę milionów lat.

Gaëlle miała naturalną zdolność dialektycznego myślenia, co zawsze wzbudzało podziw jej brata. Paradowała w luksusowym ręczniku, ale mogłaby siedzieć za biurkiem w urzędzie, w sweterku i dużych okularach z lat siedemdziesiątych.

– Nie wyglądasz mi na wzór kobiety wyemancypowanej – odparł.

– Gram w te męskie gry i panuję nad sytuacją, a to co innego.

– Wytłumacz mi to.

– Kobiety mną gardzą, bo jestem kurwą, kobietą rzeczą, ale w rzeczywistości to ja kontroluję sytuację. Bo kobietę zniewala nie seks, tylko serce!

Miał już dość. Zrobił swoje – niebezpieczeństwo minęło, Gaëlle czuła się już dobrze.

– Dobra – rzucił, sięgając po marynarkę. – Odpocznij. Idę.

– Nic nie wiesz o życiu! – krzyknęła, podrywając się z miejsca. – Mężczyźni to wieprze! Potrafią wyciągnąć fiuta pod stolikiem w restauracji. Albo oprzeć cię o umywalkę i zerwać ci majtki. Wepchnąć łapę między nogi w pierwszym ciemnym zakątku!

Erwan zbladł. Jak prawdziwy facet, taki o bestialskich skłonnościach, które opisywała Gaëlle, nie mógł znieść myśli o tym, że ktoś mógłby źle potraktować jego młodszą siostrzyczkę.

Jakby czytając w jego myślach, powiedziała:

– Nie przejmuj się, powiedziałam ci, że kontroluję sytuację.

Poszedł w stronę drzwi. Gaëlle biegła za nim rozwścieczona.

– W tym tkwi moja siła! Kobieta, która pozwala sobie na orgazm, sama strzela sobie w stopę!

Wrzeszczała, mimo że drzwi były otwarte. Gniew Gaëlle wygasił złość Erwana. Uwielbiał ją, nie mógł na to nic poradzić. Uroda siostry go fascynowała, a gniew rozczulał. Teraz jej twarz odzyskała naturalną bladość. Miała buzię laleczki, okrągłą i gładką jak rzeźba Brancusiego. Jasne oczy przypominały ławicę lodową, która topnieje w czerwcowym słońcu i znów staje się morską wodą.

Odwrócił się i powiedział łagodnie:

– Uspokój się, Gaëlle, oboje nosimy te same blizny. Ja jestem gliną, ty oszustką. Parawanem mojej brutalności uczyniłem prawo, ty usprawiedliwiasz się, filozofując, ale prawda jest bardzo prosta – nikt nie odmieni już naszego dzieciństwa. – Chciała coś powiedzieć, ale ją ubiegł: – Mam czterdzieści dwa lata, a za sobą dziesięć lat psychoanalizy i dwa wrzody. Pomijając już problemy z kośćmi i aparat na zęby, w którym sypiam. Ty, mając dwadzieścia dziewięć lat, wciąż śpisz przy lampce nocnej.

– Skąd wiesz?

Po jej policzkach płynęły łzy – tak ciężkie i tak białe jak krople wosku na palącej się świecy.

Pochylił się i pocałował siostrę.

– Idź spać. Zadzwoń jutro.

Był u kresu sił, ale nie mógł zasnąć.

Kiedy z Parnassium wrócił do domu, w pierwszym odruchu otworzył sejf i przeczytał opracowany w roku 2010 raport o nowych złożach w północnej Katandze.

Na polecenie jego ojca dokument napisano odręcznie i tylko w dwóch egzemplarzach. Jeden znajdował się u Morvana, drugi u niego. Iście konspiracyjne metody – żadnych komputerów, żadnych kontaktów telefonicznych ani internetowych, żadnych śladów informacyjnych.

Wszystko utrzymywano w tajemnicy. Ludzie wiercili, pobierali próbki, dostarczali je, nikomu o tym nie mówiąc. Analiz nie przeprowadzano zresztą na miejscu, ale w krajach, z których pochodzili geolodzy. W terenie nikt nie miał podstaw podejrzewać, jak bogate były zasoby, ponieważ sam minerał był jeszcze niedostępny, tylko eksperci mogli szacować na podstawie budowy skały, jakie kryje skarby.

Czwarta rano. Spróbował skontaktować się telefonicznie z Kanadyjczykiem, Harrym Cookiem, mieszkającym pod Ottawą, ale ten nie odbierał. Nie zostawił wiadomości, tylko napisał kolejny niejasny mail, prosząc o pilny kontakt. Tak samo postąpił z geologami, Francuzem i Szwajcarem, Jeanem-Pierre'em Clau i Sylvainem Dumezat.

Potem zajął się szukaniem informacji o trzech ekspertach. Zaczął od Francuza i krew zastygła mu w żyłach – Jean-Pierre Clau zmarł przed dwoma miesiącami, pracując w Tanzanii. W depe szach pisano o wypadku helikoptera wracającego do bazy. Przyczyny katastrofy, w której zginęły trzy osoby, nie zostały dotąd wyjaśnione.

Praca w tych rejonach świata zawsze była ryzykowna, ale „wypadek” mógł mieć coś wspólnego z Coltano. Czy ktoś pozbył się geologa, uzyskawszy od niego informacje? Żeby mu nie płacić? Albo żeby zatrzeć wszelkie ślady transakcji?

Przeszedł do dwóch pozostałych. Nie znalazł nic szczególnego o Sylvainie Dumezat, poza oczywiście normalnymi informacjami LinkedIn czy Viadeo.

I nic szczególnego o Harrym Cooku. Obaj byli ekspertami w zakresie geologii złóż i badania złóż rudonośnych. I obaj włączyli się po całym świecie. Loïc wyłączył komputer. Za wszelką cenę musiał się przespać. Jutro odzyska jasność myśli. Wstał i podszedł do kuchennej lady, żeby połknąć środek nasenny. Właśnie odstawiał szklankę do zlewu, kiedy usłyszał dziwny dźwięk. Jakby coś drapało w okna balkonowe.

Nie poruszając się, obserwował białe zasłony. Drapanie dochodziło od środkowego zamka. Ptak? Złodziej? Mieszkał na trzecim piętrze, ale wejście po haussmannowskiej fasadzie było dziecinną zabawą.

Odruchowo zgasił jedyne światło – lampy LED nad stołem do pracy. Nie ruszał się z miejsca. Jak zahipnotyzowany patrzył w kwadrat zasłony, ale przez grubą len niczego nie widział.

Dźwięki były coraz bardziej różnorodne: szurnięcia, trzaski, zgrzyty. Ktoś pastwił się nad drewnem i metalem, ale odgłosy były wytłumione. Demontowano ramę. Loïc miał wrażenie, że jego ciało jest jak pusta skorupa, pudło rezonansowe skupione na biciu serca.

Mógłby jeszcze uciec drzwiami, ale nogi odmawiały mu posłuszeństwa. Drewniane listwy i drobiny tynku spadały na podłogę. Ten sygnał zadziałał i Loïc pobiegł do przedpokoju, wtedy jednak usłyszał inne dźwięki – piły, wiertarki, łomy... Pod drzwiami mieszkania też ktoś był!

Za późno na wzywanie policji. Loïc nie miał w domu broni. Osunął się na kolana. Ten warkot, stukanie, tarcie brzmiały w jego uszach jak huk diabelskiej maszyny.

Drzwi zwały się z hukiem eksplozji. Z tyłu doszedł go potworny trzask – runęło okno balkonowe. Loïc krzyknął, chociaż może tylko mu się tak wydawało. A potem pobiegł jak dziecko – na czworakach – ukryć się za bufetem. Zanim dotarł do kryjówki, zobaczył, jak unoszą się zasłony – nocny wiatr wdzierał się do salonu.

Otulił podkulone nogi rękami, schował głowę między kolanami i czekał, nasłuchując. Ale słyszał tylko ciszę. Może to strach go ogłuszył. Nie był w stanie podjąć żadnej decyzji, sformułować klarownej myśli.

Chwilę później niewidoczne ręce pociągnęły go w górę. Przeleciał nad bufetem i potoczył się na podłogę. Instynktownie zwinął się w kłębek, osłaniając rękami głowę. Zadziałał pierwotny strach przed uderzeniami. Minęło kilka sekund, zanim wzniósł oczy. Koszmar wdarł się do realnego świata.

Było ich pięciu albo sześciu. Czarni, z twarzami umalowanymi bielą.

Jeden z nich miał wymalowaną na twarzy czaszkę. Drugi upudrował się jak markiz. Trzeci przypominał halloweenową dynię z ogromnymi oczyma i zębami jak piła.

Mieli obnażone torsy, a na nich wyrysowane żebra, symbole ezoteryczne, szramy po nacięciach. Piekło ze śmiechem wypuściło swych posłańców. Loïc zauważył, że jedna z tych istot nosiła bufiaste spodnie, druga tylko slipy, a całość nasuwała skojarzenie z karnawałem w favelach. Pomyśleć tylko, że przestraszył się dwóch gliniarzy w Saint-Maurice.

Zaczęli rozmawiać między sobą. Mnóstwo głosek zębowych. To musiała być *lingala*, język używany w Kinszasie. Patrzył na nich spod skrzyżowanych ramion, przerażony ich wzrostem i muskulaturą.

Jeden z zombi podszedł do niego.

– Palnąłeś głupotę, szefie.

Miał czerwone szkła kontaktowe. Do salonu weszły inne zjawy. Jedna, w skórzanym płaszczu i cylindrze, trzymała w ręku topór. Inna, z twarzą na pół ukrytą pod damską peruką, miała odblaskowe tatuaże.

– O czym pan mówi?

– Dalej robisz głupstwa. A przecież uprzedzaliśmy.

Jego afrykański akcent był komiczny, ale Loïcowi nie było do śmiechu.

– Ale ja... nie mam tu pieniędzy.

– Tu nie, szefie... Ale forsy masz dużo, i to naszej.

– O czym pan mówi?

– Pogadamy, ale w jakimś spokojnym zakątku.

Zanim pozwolił sobie na kilka godzin snu, zajrzał jeszcze do „36”, żeby sprawdzić, czy uda się o tej porze zdobyć najnowsze informacje od ludzi, którym przydzielił zadania. Został tylko swojego zastępcę – wciąż przy pracy, w biurze sąsiadującym z jego gabinetem.

– Masz coś?

Kripo uniósł głowę znad komputera – za plecami, w charakterze dekoracji, rozpościerała się flaga z podobizną Che Guevary.

– Słyszałeś o Hakimie Beyu?

– Nie.

– To amerykański poeta i filozof. Naprawdę nazywa się Peter Lamborn Wilson. Spędził wiele lat na Wschodzie, został sufim, a następnie wrócił do Stanów Zjednoczonych. Jest znany przede wszystkim jako twórca koncepcji TAZ, *temporary autonomous zones*, stref czasowej autonomii.

– Co to jest?

– Niewidoczne grupy, które na pewien czas łączy wspólnota wartości – zawsze przeciwstawnych zasadom społecznym i obowiązującym normom. Anarchiści naszych czasów.

Erwan tylko machnął ręką.

– Nie widzę związku z naszą sprawą.

– W latach dziewięćdziesiątych takie zjawiska jak TAZ były rzadkością. Wolni ludzie, kierujący się własnymi zasadami, jak dzisiejsi hakerzy.

– Kurwa, Kripo, przejdź do rzeczy.

– TAZ organizuje *no limit*. Kobiety i mężczyźni zafascynowani fetyszami i sado-maso. Uważają się za seksualnych buntowników, podkreślają swoje prawo do odmierności.

Erwan nie wyobrażał sobie, jak di Greco ze swoją sadystyczną indoktrynacją mógłby przynależeć do tej kategorii. Tym bardziej nie widział w niej miejsca dla notabli z Bièvres. Ale nie chciał robić przykrości Kripo, który ciągnął:

– Informacje o tych grupach trudno uzyskać, bo hołduje się tam zasadzie

utrzymania sekretu. Wydaje się jednak, że mają lidera, kogoś w rodzaju guru. To Ivo Lartigues, współczesny topowy rzeźbiarz.

– Na razie nie skupiaj się na tym – powiedział Erwan, chcąc zakończyć ten wątek. – W tej chwili najważniejsze jest wyjaśnienie śmierci Anne Simoni.

– Wbrew pozorom te sprawy mogą mieć ze sobą coś wspólnego. Niektórzy członkowie TAZ posuwają się do tortur i kar, więc dlaczego nie do morderstwa?

Najwyraźniej zakładał, że dziewczyna nie została zabita przez samotnego mordercę, ale zginęła złożona w ofierze przez grupę. Ta socjologiczna interpretacja ożywiła hipotezę mrocznej ceremonii w Bretanii. Erwan w to nie wierzył, ale postanowił dać Kripo szansę:

– Może utrzymywała kontakty z ludźmi z marginesu. Pogadaj o tym z Favanim. Sprawdźcie, czy nie miała żadnych powiązań ze strefami tymczasowej anarchii.

– Autonomii.

– Wiesz, o czym mówię.

Kripo zanotował coś na kartce, a potem dodał:

– Dzwoniłem też do Instytutu Charcota.

– Co to takiego?

– Zakład psychiatryczny, w którym zmarł Thierry Pharabot. Sprawdzaliśmy to miejsce już podczas śledztwa w Kaerverec.

Zaczynał się w tym gubić, nie dość, że nie sprawdził podstawowej informacji – czy Człowiek Gwóźdź naprawdę nie żyje – to nawet nie zapamiętał nazwy zakładu. *Człowieku, obudź się.*

– Skąd to wiesz? – zapytał, żeby pokryć zakłopotanie.

– Trochę poszperałem. Thierry Pharabot nie jest zupełnie nieznan. Po jego śmierci pojawiło się kilka artykułów prasowych. Muszę przyznać, że jestem trochę zaskoczony – fakt, że ten zakład znajduje się kilka kilometrów od szkoły pilotażu, to nie przypadek.

– Też tak myślę. Ale wiesz na pewno, że facet umarł?

– Umarł i został skremowany. Tak przynajmniej twierdzi szpital. W dwa tysiące dziewiątym miał udar mózgu. Był sam w celi.

– I nic nie wzbudziło tu twoich podejrzeń?

– Facet miał sześćdziesiąt dwa lata. Podejrzane jest tylko, że trzymali go w celi do śmierci. Czekam na akt zgonu. Jeszcze jedno: prochy Pharabota zostały wysypane w specjalnej strefie cmentarza w... Kaerverec.

Kolejne powiązanie instytutu psychiatrii z K76. Czy naśladowca wybrał szkołę pilotów ze względu na bliskość cmentarza?

– A jak wygląda ta specjalna strefa cmentarza?

– To jakby studnie, do których wrzuca się prochy zmarłych. „Pamiętaj, że prochem jesteś i w proch się obrócisz”.

Erwan czuł, że dotknęli ważnej kwestii, ale poruszali się po omacku, podpierając się białą laską.

– Rozmawiałeś z dyrektorem Instytutu Charcota?

– W środku nocy nie mogłem rozmawiać z wieloma osobami, ale kupiłem ci bilet lotniczy do Brestu.

– Co takiego?

– Lecisz jutro o jedenastej dwadzieścia z Orly Ouest.

O mało nie wybuchnął gniewem, ale w porę przypomniał sobie, że taki właśnie był jego pierwotny pogląd: Thierry Pharabot mógł wpłynąć na innego pensjonariusza zakładu i przyuczyć go. Uwolniony uczeń zaczął popełniać zbrodnie.

– Zamówiłem tylko jeden bilet. Nie masz mi chyba za złe, że nie pojedę tam z tobą. Zadzwoiłem też do Muriel Damasse. Przyśle nam pełne akta sprawy.

Erwan wyobraził sobie lądowanie w Breście i spotkanie z trzema muszkieterami. Już na myśl o tym poczuł, że pada z nóg. Musiał się trochę przespać, choćby miał połknąć środki nasenne, bo uszła z niego cała energia.

– Jakies wiadomości od innych?

– Tonfa jest ciągle na sądówce. Sardynka włóczy się po nocnych klubach i szuka kumpli Anne Simoni. A nasza Miss Gałganiarzy włóczy się pewnie po bulwarach, czekając na otwarcie sklepów.

Kripo przeżywał tak Audrey, ponieważ nosiła ubrania, które wyglądały jak wygrzebane na strychu. Erwan zrozumiał, że wbrew jego radom żaden z jego ludzi nie poszedł spać. On sam postanowił więc nie kłaść się tej nocy, tylko odpocząć w samolocie.

– Dobra. Wezmę prysznic i poszukam czegoś o Człowieku Gwoździu. Spotkamy się o dziewiątej.

– Jasne. Tylko przynieś nam rogaliki.

– Co to za maskarada?

Kiedy już Morvan przetrawił wiadomość od Luzeka o tym, że przysłany jego synowi list z pogrózkami pochodził od Kabonga, a więc od władz centralnych w Kinszasie, zrobił przegląd wszystkich osób przebywających w Paryżu powiązanych z Kabilą. Dość szybko wybrał ze swojej listy podejrzanych Youssoufa Ndiaye Mabiאלę, zwanego Czarnym Khmerem, fanatycznego komunistę z ludu Luba, znanego z tego, że na cały dzień starcza mu kilka oliwek i że najchętniej wybiłby wszystkich bogaczy świata. To dziwne, że taki cwaniak zwał się z rządem Kabili, ale Morvan już dawno nauczył się nie zwracać uwagi na afrykańskie sprzeczności. Według jego informacji Czarny Khmer od czterech lat mieszkał w Paryżu i miał status uchodźcy politycznego (podawał się za przeciwnika klanu, któremu służył, i żył na koszt księżniczki). Gwałtowny, skłonny do tyranii, głupi, w walce wykazał się w regionie Wielkich Jezior, podczas dwóch wojen w Kongu.

Tyle wiedział o nim Morvan, kiedy zadzwonił do niego obiekt jego zainteresowań – cóż, o wilku mowa. Czarny Khmer wyznaczył mu spotkanie na podziemnym parkingu w Nanterre. Miał argument nie do odparcia – porwał Loïca.

Nie zdążył nawet odetchnąć i nacieszyć się odnalezieniem Gaëlle. Potulnie wsiadł do samochodu. Po drodze zastanawiał się, czy powiedzieć o wszystkim Erwanowi, ale zrezygnował – to byłoby niebezpieczne i nic by nie dało. Kiedy zjechał przy Défense na obwodnicę, telefonicznie poinstruowano go, jak krętymi uliczkami Nanterre ma dotrzeć do starej dzielnicy przemysłowej, gdzie czekał kongijski strażnik.

I w końcu, w obskurnej suterenie, zobaczył pomalowanych jak kościotrupy osiłków, którzy siedzieli, paląc i popijając. Morvan pomyślał o milicji, którą widział na granicy z Rwandą, w Kiwu – o uzbrojonych po zęby ludziach w perukach i kauczukowych maskach. *Gdzie jest Loïc?*

– Po co to błaznowanie? – zapytał.

Jeden ze szkieletów podszedł bliżej.

– Trochę pokory, Morvan. Doceń naszą dobroć – zadzwoniliśmy, zamiast

rzucić twojego bachora do Sekwany.

Nie odpowiedział – właśnie zauważył syna na tylnym siedzeniu czarnego mercedesa. Wkulił głowę w ramiona, a jego twarz – blada plama w kabinie – przypominała mleko rozlane po szybie.

Morvan odruchowo sięgnął po wsuniętą za pasek na plecach broń, ale zacisnął palce, powstrzymując się. *Nie ruszaj się, niczego nie próbuj. Rozegraj to delikatnie.* Żywych trupów było co najmniej sześciu, mieli broń automatyczną.

– Czego chcecie?

Czarny pokręcił głową. To na pewno był sam Mabilia.

– Wysłaliśmy twojemu synowi wiadomość, ale chyba nie umie czytać po francusku.

– A ty nie umiesz pisać.

Olbrzym zaśmiał się cicho i podszedł jeszcze bliżej: byli tego samego wzrostu. W Kongu postura otwierała drogę do kariery. Gdyby nie fakt, że Morvan miał prawie dwa metry, nigdy nie zdobyłby tak silnej pozycji w tej krainie olbrzymów.

– To było ostrzeżenie, szefie. A wy je zlekceważyliście.

– Do diabła, o czym ty mówisz? O Coltano?

– No, no... Musisz skończyć z tymi machlojkami.

Morvan odetchnął. To nieprzyjemne spotkanie mogło stać się okazją do wyjaśnienia sytuacji.

– Jeżeli uważasz, że działam nieuczciwie, powiedz dlaczego.

– Akcje, szefie, akcje... – mruknął czarny. – Próbujesz nas chwycić za gardło, *nquilé*.

To „nas” rozbawiło Morvana – bardzo wątpił, żeby Mabilia miał udział w przemyśle wydobywczym Konga. W ten sposób wyrażał tylko solidarność psa wobec pana.

– Wystarczy, jeżeli powiem, że to nie ja?

– Nie.

– A jak mam was przekonać?

Mabilia zerknął na samochód, aby przypomnieć, jakimi dysponuje argumentami, a potem zwrócił czarne jak węgiel oczy na Morvana. Z umączoną głową przypominał czarnych wojowników uwiecznionych przez Leni Riefenstahl.

– Musisz pomówić z generałem. Jutro o ósmej dwadzieścia jest lot do

kraju. – Skłonił się, małpując. – Siedemset trzynaście euro, mój panie. To marny grosik z twej sakiewki.

Na myśl o powrocie do tego bagna Morvanowi zrobiło się niedobrze. Kiedy te bambusy dadzą mu spokój?

– Co to zmieni? – warknął. – Nie znajdę tam lepszych argumentów, żeby przekonać Kabonga.

– Znajdź je. Skoro nie ty kupujesz, znajdź tych, którzy to robią. – Czarny potarł palec wskazujący kciukiem i w powietrze wzbił się biały proszek. – Szukaj forsy, szefie. I podaj nam wroga na tacy.

– Do jutra rana niewiele zdołam zrobić.

– Generał nie należy do cierpliwych. Co to, to nie. Poproś, żeby dał ci czas, ale bądź grzeczny. A my zatroszczymy się o twojego dzieciaka, dopilnujemy go. – Mabilia objął go ramieniem i wyciągnął komórkę. – Uśmiech! – rzucił i sfotografował się razem z Morvanem, wijąc się ze śmiechu. Potem wystukał coś na klawiaturze telefonu – prawdopodobnie wysłał wiadomość do Kabonga. – To uspokoi generała. – Spojrzał na zegarek: Jaeger-LeCoultre Loïca. – Pospiesz się, musisz się jeszcze spakować.

Grégoire wyobraził sobie, że chwyta za broń i zabija ich wszystkich, instynktownie przybierając pozycję strzelecką. Zaraz potem dość wyraźnie ujrzał sceny ze swojej najbliższej przyszłości: Paryż – Kinszasa, słuchanie bredni generała ubierającego się w stylu Mao, potem Kinszasa – Paryż i tropienie tego, kto stara się im zaszkodzić. Czy aby nie był na to wszystko za stary?

– Mogę z nim pomówić? – zapytał, patrząc na mercedesa.

– Sé, sé, sé. Idź się pakować. Jak na mnie, to i tak jesteście bardzo mili. Moglibyśmy po prostu upiec was wszystkich na rożnie, *nquilé* białasy!

Czarny Khmer teraz patrzył na niego jak kat. Prawdopodobnie z taką samą miną obcinał dłonie albo całe ręce – krótki rękaw, długi rękaw, jak zwykł mawiać – wyborcom, którzy źle zagłosowali.

Morvan pokiwał głową. Nie udało mu się spojrzeć Loïcowi w oczy, ale skinął mu ręką. Ten gest miał dodać synowi otuchy. Już miał wyjść, ale przystanął – nie zamierzał aż tak się poniżyć.

– Wiesz, jaka jest różnica między mną a tobą? Ja nie muszę pudrować sobie tyłka, żeby nastraszyć wrogów.

Szósta rano. Erwan zdążył już wziąć prysznic, ogolić się i ubrać. Miał dość energii, żeby poprowadzić briefing, a potem lecieć do Brestu. Najpierw jednak musiał wypytać ojca o Człowieka Gwoździa.

Kripo mimowolnie pomógł mu uporządkować myśli. Należało skupić się na tle tej sprawy. Co dokładnie wydarzyło się w Lontano w Katandze w latach 1969–1971? A także co działo się potem, przez prawie czterdzieści lat? Czy po prostu zamknięto bestię i wyrzucono klucz?

W dzieciństwie Człowiek Gwóźdź zastępował Erwanowi tradycyjnych czarowników i innych Sinobrodych. Nocami chłopca nie straszyły kościotrupy ani wampiry, ale młody belgijski inżynier ze skrzynką narzędzi i torebkami pełnymi gwoździ. Do grona potworów dołączały przerażające rzeźby z gabinetu ojca. Zawsze powtarzał sobie, że to te demony pożarły duszę ojca. Dlatego stary bił żonę.

Zaparkował pod platanami w alei Messine i wszedł po schodach kuchennych wiodących prosto do skrzydła Padre.

– A co ty tu robisz?

– Jakie miłe powitanie!

O dziwo, ojciec też był już gotowy – w standardowym uniformie, czyli z szelkami przy spodniach i w dwukolorowej koszuli.

– Wejdz – powiedział, patrząc na zegarek.

Drzwi wejściowe prowadziły do niewielkiego przedpokoju, z którego wchodziło się do gabinetu-sypialni. Erwan zauważył otwartą walizkę.

– Wyjeżdżasz?

– Tak, ale na krótko. To kwestia dwóch dni.

– Dokąd?

– Do Kinszasy.

– Chyba żartujesz?!

Morvan ułożył w kabinowej walizce stosik koszul.

– A wyglądam, jakbym żartował? Przy tym cholernym upale mógłbym się przebierać co dwie godziny.

- Po co tam jedziesz?
- W interesach. Kawy?
- Chętnie.
- W kuchni jest gorąca. Mnie też nalej.

Erwan poszedł do kuchni. Domyślał się, że ta błyskawiczna podróż do Konga miała coś wspólnego z Coltano i problemami, o których ojciec mu wspominał. Nie obchodziło go to. Mierziło go wszystko, co wiązało się z ojcowskimi pieniędzmi. Zastanawiał się natomiast, czy ta nagła wyprawa nie łączy się jakoś z nowym Człowiekiem Gwoździem.

W małej kuchni zastał w ekspresie dymiącą kawę. Mając prawie sześćdziesiąt lat, Padre prowadził tu studenckie życie. *A wszystko po to...*

Wrócił do sypialni z dwiema filiżankami.

- Dziękuję. Powiedz mi, co z twoją siostrą.
- Wszystko w porządku. Jest w domu i... uspokoiła się.
- Mam nadzieję. Dokąd ta idiotka tym razem pojechała?
- Oszczędzę ci szczegółów.
- Słusznie. Mam do niej prośbę, ale lepiej, żebyś ty jej to przekazał.

Erwanowi stanęła przed oczyma Gaëlle wrzeszcząca w progu mieszkania, owinięta ręcznikiem. Nie był pewien, czy jest osobą, która teraz powinna ją o coś prosić.

- O co chodzi?
- Dziś piątek. W ten weekend Loïc zajmuje się dziećmi. Nie będzie mógł tego zrobić.
- Dlaczego?
- Siła wyższa.
- Nie mów mi, że...
- Nie, ale po prostu nie będzie go w domu. Przynajmniej dziś wieczorem. Chodzi o to, żeby Gaëlle odebrała dzieci ze szkoły i zatrzymała je u siebie do jego powrotu.

- Gdzie jest Loïc?
- Przykro mi, nie mogę ci tego powiedzieć.

Morvan starał się zachować spokój. Choć doskonale potrafił maskować prawdziwe emocje, Erwan wyczuł, że ojciec jest niezwykle zdenerwowany. Z filiżanką w ręku kończył pakowanie – kosmetyczka, iPad, książki, ręcznik.

- Dlaczego nie poprosić Sofii o...

Stary rzucił golarzkę elektryczną i powiedział z wyrzutem:

– Naprawdę nic nie rozumiesz? Nie wolno nam popełnić żadnego błędu.

– O czym ty mówisz?

– Jeżeli dojdzie do sprawy rozwodowej, Loïc musi być bez zarzutu, bo ta włoska dziwka wykorzysta przeciwko niemu każdy argument.

– Przecież obiecała zapomnieć o jego zatrzymaniu?

– Owszem, ale nie zmarnuje żadnego innego atutu.

Otworzył szufladę sekretarzyka, wyjął pistolet w kaburze i wsunął go między koszule.

– Przejdiesz z tym przez kontrolę? – zdumiał się Erwan.

– Na szczęście po czterdziestu latach praktyki jeszcze sobie radzę.

– Wybierasz się na polowanie czy co?

– Nie twoja sprawa. Miałeś do mnie jakąś sprawę?

– Chciałem pomówić o Człowieku Gwoździu.

Ojciec wziął wypchaną gotówką kopertę, szybko oszacował zawartość – w samych setkach – a potem włożył pieniądze do kieszeni marynarki, razem z paszportem.

– Wybrałeś fatalny moment.

– Nie zmuszaj mnie, żebym przysłał ci wezwanie na komendę.

– Przyjechałeś samochodem? – Morvan uśmiechnął się. – W takim razie podwieź mnie na Roissy, pogadamy po drodze.

- Zanim przyjechałem do Lontano, zabił już cztery kobiety.
- Pracowałeś w Gabonie, dlaczego wysłali cię do Zairu?
- Ostatnia ofiara była Francuzką, więc chcieli, żebym przyjrzał się sprawie.
- Przybliż mi tło tej sprawy. Opowiedz o Lontano.
- To był olbrzymi teren mieszkalny, nowe miasto, w którym skupili się wszyscy inżynierowie, urzędnicy, mistrzowie z sektora wydobywczego. W większości Belgowie. Powstały tam szkoły dla dzieci, uniwersytety kształciły elitę. W tamtych czasach była to duża grupa ludzi, bo żaden czarny nie miał dostępu do stanowisk wymagających kwalifikacji.
- Kiedy doszło do tych morderstw, na pewno wybuchła panika?
- Nikt nie śmiał wyjść z domu. Właściwie nikt nie chciał dłużej tam zostać. Zaczął się prawdziwy exodus. Belgowie woleli wracać do kraju. Z czarnymi wcale nie było lepiej – święcie wierzyli, że to sprawka demona, i nie chcieli pracować w pobliżu miejsc, w których morderca zostawiał ofiary. Cały region po prostu zamarł.
- Erwan mimowolnie myślał o tym, że tam się urodził. Ojciec miał rację: to posępne miejsce mogło być postrzegane jako klątwa. Zamiast złej wróżki nad jego kołyską pochylał się seryjny zabójca.
- A co robiła policja?
- Zairskiej policji nie było, a Belgowie niczego nie mogli znaleźć. Usprawiedliwia ich to, że wtedy mieli tylko jedną metodę śledczą – zeznania. A nikt nic nie widział, a może panowała zmowa milczenia. Nie włączysz syreny?
- Erwan dojeżdżał do Porte de la Chapelle. Zjechał na E19 autostradą północną.
- Nie. Mamy czas, a ja chcę poznać szczegóły.
- Musielibyśmy iść na lotnisko piechotą.
- Zairski rząd pozwolił ci prowadzić śledztwo?
- Czarni czekali na mnie jak na Mesjasza. Wieść o zabójstwach dotarła do Mobutu, który niechętnie patrzył na ucieczkę z Lontano. Bał się, że w końcu

wszystkie tamtejsze kopalnie zostaną zamknięte.

– Czy Belgowie z tobą współpracowali?

– Mieli na głowie inne problemy. Najważniejsze było przywrócenie spokoju w mieście. Popełnili błąd, podejrzewając Afrykanów z powodu magicznych rytuałów mordercy. Wmieszali się w to czarni. Dochodziło do starć, linczów. Kiedy przyjechałem, niewiele brakowało do wybuchu wojny domowej.

– Od czego zacząłeś?

– Od początku. Belgowie dokonali ciekawego odkrycia. Praktyki Człowieka Gwoźdźcia były inspirowane magią, która nie miała nic wspólnego z Katangą. To były rytuały z Mayombe, regionu położonego nad rzeką Kongo, ale ponad tysiąc pięćset kilometrów na zachód od Lontano. Dlatego policja zaczęła szukać sprawcy wśród robotników należących do ludu Yombe.

– Byli tacy?

– Setki. Katanga to zairskie eldorado. Ludzie ściągali tam zewsząd w poszukiwaniu pracy. I tak Belgowie zabrnęli w ślepią uliczkę. W efekcie nie mogli nawet zbliżyć się do czarnych gett, bo groził im lincz. Tymczasem ofiar przybywało.

– Jaki był ich profil?

– Zawsze taki sam: młoda dziewczyna z dobrej rodziny, studentka albo urzędniczka zatrudniona w spółce wydobywczej. To były dziewczyny, które wszyscy znali, widzieli, jak w sobotnie wieczory tańczyły przy dźwiękach *I'm a Man* czy *Yellow River*.

– Pamiętasz je?

Stary bez namysłu zaczął wyliczać:

– Październik sześćdziesiątego dziewiątego: Ann de Vos, dwadzieścia jeden lat, studentka biologii; grudzień sześćdziesiątego dziewiątego: Sylvie Cornette, dziewiętnaście lat, sekretarka w tartaku Fyt Kolenmijn. Marzec siedemdziesiątego: Magda de Momper, dwadzieścia lat, studentka literatury. Maj siedemdziesiątego: Martine Duval, osiemnaście lat, uczennica klasy maturalnej.

– Pamiętasz wszystkie nazwiska?

– Nigdy ich nie zapomniałem. Ale te zostały zamordowane, zanim podjąłem śledztwo. Te, które zginęły potem, traktuję, jakby należały do mojej rodziny. – Wpatrzony w drogę, wymieniał dalej. – Listopad

siedemdziesiątego: Monika Verhoeven, dwadzieścia cztery lata, geolog z Mangan Corp. Luty siedemdziesiątego pierwszego: Anne-Marie Nieuwelandt, dwadzieścia jeden lat, tłumaczka z konsulatu belgijskiego. Kwiecień siedemdziesiątego pierwszego: Catherine Fontana, dwadzieścia trzy lata, pielęgniarka z ambulatorium. Maj siedemdziesiątego pierwszego: Colette Blockx, dwadzieścia dwa lata, matka czteromiesięcznego niemowlęcia. Listopad siedemdziesiątego pierwszego: Noortje Elskamp, dwadzieścia lat, zakonnica... Pospiesz się, bo spóźnię się na samolot.

Erwan przyspieszył. Minęli właśnie Stade de France w Saint-Denis.

– Zabójca zawsze działał w ten sam sposób – ciągnął Grégoire. – Porwanie, tortury, okaleczenia, ukrycie ciała w buszu. Nigdy nie udawało się znaleźć jego śladów ani odcisków. Zabijał zawsze w porze deszczowej. Jedna solidna ulewa i wszystkie ślady znikają.

– Dlatego czekał na deszcz?

– Nie. Zgodnie z jego wierzeniami deszcz powodował napływ duchów, a zatem niebezpieczeństwo. Wtedy musiał wzmocnić swoją ochronę, a do tego potrzebne mu były potężne fetysze, czyli ofiary.

– Te morderstwa wydają się zbyt odległe w czasie, żeby trzymał się jednej pory roku.

Morvan lekko się uśmiechnął.

– Rasowy policjant! W Katandze pora deszczowa trwa osiem miesięcy – od października do maja. Wyobraź sobie to błoto!

Erwan zauważył przy okazji, że nowy Człowiek Gwóźdź nie przestrzega tej zasady. Nocą z 7 na 8 września w Kaerverec nie padało, a we wtorek 11 września w Paryżu świeciło piękne słońce.

– A gwoździe, kawałki metalu, okruchy luster?

– Wszystko pochodziło z wysypisk przy kopalniach i fabrykach. Nigdy nie udało się ustalić ich pierwotnego źródła. Ale pamiętaj, to były inne czasy. No i Afryka.

Erwan zbliżał się do lotniska. Wiedział, że nie zdąży poznać całej historii.

– Jak go dopadłeś? – zapytał nagle.

– Miałem dwadzieścia pięć lat. To była moja pierwsza sprawa kryminalna. Nie miałem pojęcia, co powinienem robić, ale udało mi się wczuć w zabójcę, w jego obłąd. Zrozumiałem, że magia jest czarna, ale on – biały.

– Znajdziesz to w każdym podręczniku kryminologii – seryjni zabójcy na ogół atakują własny naród.

– Ale wtedy nie napisano jeszcze książek, o których mówisz. Zacząłem szukać Europejczyka, który wychował się albo mieszkał w regionie Mayombe.

– I tak wpadłeś na trop Pharabota?

– Nie. Wielu białych pracowało to tu, to tam w Kongu, często właśnie w Mayombe. Nie mogłem wszystkich przesłuchiwać. Próbowałem zawęzić krąg podejrzanych, opierając się na profilu psychologicznym zabójcy.

– Chcesz powiedzieć... że tworzyłeś portret psychologiczny?

– Nie do końca. Trzymałem się konkretnych faktów. Jakie umiejętności posiadał zabójca, jaką miał wiedzę, jakie wierzenia. Mój klient był biały, ale uprawiał magię yombe, czyli nie tylko tam mieszkał, ale i bywał wśród czarnych. Facet znał busz jak własną kieszeń, o czym świadczyły miejsca pozostawienia zwłok. Pracował w terenie, czyli był inżynierem, geologiem, mistrzem...

Widząc już budynki lotniska, Erwan zwolnił. Każda zyskana sekunda oznaczała dodatkową informację.

– Skonfrontowałem wtedy wiele danych – mówił Morvan. – Miejsca, godziny, alibi każdego z podejrzanych. Pracowałem nad każdym szczegółem, metodycznie. Naprawdę dowiodłem, że jestem pracowity. Ale najgorsze było to, że morderca wciąż zabijał. Doprowadzało mnie to do szaleństwa, ale nie mogłem przyspieszyć, zwłaszcza że przydzielono mi także służbę patrolową i nadzór nad utrzymaniem porządku w kopalniach.

– Di Greco też się tym zajmował?

– Owszem. Ale po znalezieniu piątej ofiary sam poleciałem samolotem po znajomego francuskiego lekarza z Gabonu, żeby przeprowadził sekcję z prawdziwego zdarzenia. Dzięki temu dowiedziałem się o pewnym szczególe: paznokciach i włosach w klatce piersiowej.

– Pomogło ci to?

– Nie. Potwierdziło tylko, że ten obłąkaniec dopełnia rytuałów yombe.

– Jak udało ci się w końcu go złapać?

– Jak zwykle pomógł mi łut szczęścia. Ostatnia ofiara, Noortje Elskamp, była zakonnicą i pracowała w ambulatorium dostępnym dla czarnych. Przesłuchiwałem inne pielęgniarki. Pytałem, czy zauważyły dziwnie zachowującego się mężczyznę, krążącego po okolicy albo po prostu białego, który leczyłby się u nich. W Lontano wszyscy Europejczycy korzystali ze szpitala, tak zwanej Białej Kliniki. Ambulatorium było dla czarnych.

– Coś ci to dało?

– Młody inżynier wielokrotnie przychodził na zastrzyki przeciwężcowe. To absurdalne, bo jeśli raz się zaszczepisz, zyskujesz odporność na lata. Zrozumiałem, że to jego szukam.

– To z powodu przerdzewiałych gwoździ?

– Owszem. Za każdym razem, kiedy dopełnił ofiary, przychodził na zastrzyk. Oczywiście, było to idiotyczne, bo tęczca można się nabawić od ziemi, a nie od żelaza.

– Aresztowałeś go?

– A za co? Za nadużywanie szczepionek? Pharabot idealnie przystawał do sporządzonego przeze mnie profilu, ale był powszechnie lubianym chłopakiem. Przełożeni go cenili, robotnicy szanowali.

– Co zrobiłeś?

– Wziąłem spluwę i poszedłem go zabić. Uciekł, ukrył się w buszu, ale go dopadłem.

– Ale go nie zabiłeś.

– Nie.

– Dlaczego?

– Do dziś zadaję sobie to pytanie.

Przed nimi pojawił się zjazd na Roissy 2E. Koniec pierwszej rozmowy. Erwan skręcił do strefy odlotów i pokazał legitymację, żeby podjechać jak najbliżej wejścia do hali.

– Myślisz, że go znasz?

– Kogo?

– Tego mordercę?

– On mnie zna. Albo dokładnie mi się przyjrzał. Dlatego wybrał Anne.

– A Wissa Sawiris?

– Tego nie potrafię wyjaśnić. Chyba że w powiązaniu z di Grekiem, ale wydaje mi się, że to za mocno naciągana teoria.

– Nic mi o nim nie powiedziałaś. Czy w tamtym okresie zaangażowałaś się w śledztwo?

– Nie. Kierownictwo francuskich spółek wydobywczych szukało twardego gościa, który zaprowadzi porządek w kopalniach. Zaproponowałem di Greca. Znałem go z Gabonu. Przyjechał i przez dwa lata pracował w Lontano.

– To wszystko?

Morvan dodał z wahaniem:

– Historia tego mordercy... go zafascynowała. Myślę, że stała się jego obsesją. Ale nie nabijaj sobie głowy domysłami.

– Kiedy spotkałeś się z nim we Francji, wspominał tamte czasy?

– Nigdy. To nie były miłe wspomnienia.

Stary kłamał, ale Erwan nie miał już czasu na drażnienie tematu.

– Musi istnieć jakiś związek między Instytutem Charcota i Kaerverec.

– Zapomnij o instytucie. Pharabot nie żyje od trzech lat. – Spojrzał na zegarek. – Muszę iść. Spóźnię się na samolot.

– Przez te wszystkie lata nigdy go nie odwiedziłeś?

– Nigdy.

– Spędził w Bretanii czterdzieści lat?

– Nie. Najpierw siedział w więzieniu w Kinszasie, potem w Belgii. Dopiero po roku dwutysięcznym Francja zaproponowała, że go przejmie. Instytut Charcota realizował nowy program czy coś takiego. A Belgowie z radością się go pozbyli.

Stary zabrał walizkę z tylnego siedzenia, potem położył rękę na kłamce, żeby wysiąść.

– Czeka! Mam jeszcze pytania!

– Ale ja nie mam już czasu – zaprotestował Morvan.

– Ofiary mają ogolone głowy. Dlaczego?

– Żeby podkreślić podobieństwo do drewnianych fetyszy, prawdziwych *minkondi*²⁶.

– A lustro w oczach?

– Symbolizuje dar jasnowidzenia. Tego rodzaju *nkondi* potrafi ujrzeć przyszłość.

– Spróbuj przypomnieć sobie te wszystkie rytuały. Może któryś z nich zdradzi dzisiejszego mordercę? Przy obecnych metodach badawczych?

Morvan zastanawiał się przez moment. Cuchnął wodą toaletową Hermèsa, cokolwiek jednak by zrobił, wydzielał przede wszystkim woń cichego zagrożenia, uśpionej siły.

– Żeby aktywować fetysze, *Nganga* na nie pluje, skrapia je winem palmowym. Pharabot posuwał się dalej: skrapiał głowę i ramiona ofiary własną krwią.

– To znaczy, że...

– Kobiety nosiły jego podpis DNA. Ale w tamtych czasach niewiele mi to dawało.

- Myślisz, że nasz morderca też tak robi?
 - Jeżeli ściśle trzyma się rytuału, to tak.
 - Zostawiałby na ciałach ślad genetyczny?
 - O ile jest równie szalony jak jego mistrz, to na pewno. Musi się przecież chronić przed duchami.
 - Wydawało mi się, że pragnie się na tobie zemścić.
 - Jedno nie wyklucza drugiego.
 - Kto zna te szczegóły?
 - Nikt. Pharabot wyznał mi to po latach, kiedy trwał proces. – Morvan wybuchnął posępnym śmiechem i poklepał go po plecach. – Masz nad czym rozmyślać!
 - Kiedy wracasz?
 - Jeżeli wszystko dobrze pójdzie, jutro rano.
 - A jeżeli pójdzie źle?
 - Wtedy przeczytasz o tym w gazetach.
- Erwan nie zareagował na ten żart – bo miał nadzieję, że to żart.
Ojciec otworzył drzwi, ale zatrzymał się jeszcze.
- O mało nie zapomniałem.
 - Podał mu niewielką kopertę.
 - Co to jest?
 - Lista kochasiów Gaëlle.
 - Skończ z tym!
 - Wolę, żebyś ty z tym skończył. Odwiedzisz tych panów, postaraj się zniechęcić ich do swojej siostry. Przynajmniej z nią nie chcę mieć już problemów.

W sali panowała niezwykła nerwowość.

Audrey siedziała skulona na krześle, trzymając w ręku notatnik. Znów ubrała się tak, jakby jej chęć uwodzenia ograniczała się do decyzji o oddaniu ciała na cele naukowe. Tonfa wyglądał, jakby szykując się do pojedynku wolnej amerykanki, zapomniał peleryny. Sardynka wybrał strój sportowy – czarny, w barwach angielskiego klubu piłkarskiego. Kripo jak zwykle przypominał o swych powinowactwach z bohemą – do karminowej marynarki ze sztruksu dobrał szarą jedwabną kamizelkę i związał włosy w węzeł na karku, przez co wyglądał jak rozbójnik czyhający na podróżnych.

Pomiędzy tych ludzi wśliznął się intruz: młody człowiek w białej koszuli i kiepsko skrojonym garniturze. Na ramieniu miał płaską płócienną torbę. Przypominał młodych urzędników, jakich widuje się rano na Manhattanie.

Kim był? Nowy, którego twarz wydała mu się znajoma, to Jacques Sergent. Erwan zaproponował, żeby usiadł z boku, co znaczyło: „ani słowa”.

– Mam coś z bulwarów – zaczęła Audrey.

– Od strony miasta?

– Nie, Sekwany. Rzeczna uzyskała zeznania marynarza, który widział zodiaca zakotwiczonego przy Grands-Augustins, około czwartej rano.

Zodiak przypominał mu o Kaerverec. Przez głowę przemknęła mu absurdałna myśl: zabójca przyplłynął tu z Bretanii.

– Ustalili dokładną godzinę?

– Nie, facet zauważył tylko, że łódź była zwrócona w stronę Bercy.

– A numery?

– Nie. Jego barka płynęła w przeciwnym kierunku.

– A model?

– Jeden z największych dostępnych. Takich używają komandosi z marynarki. Nazywają je ETRACO.

– Wiem.

– Już zebrałam informacje, pływają ich setki.

– Weź ludzi z innych grup i sporządźcie listę.

– Wiedziałałam...

Erwan zwrócił się do Tonfy:

– Co z sekcją?

– Riboise jeszcze nie skończył. Właśnie otwiera klientkę.

To znaczyło, że policjant opuścił stanowisko obserwacyjne, żeby przyjść na zebranie – złamał wszelkie zasady.

– Co dotąd mamy?

Olbrzym otworzył notatnik.

– Siedemdziesiąt cztery gwoździe, dwadzieścia dwa kawałki szkła i lustra, szyjki butelek, potłuczone szyby, a poza tym inne, różnorodne kawałki metalu.

– Mówiono mi o jakichś włóknach. Co to jest?

– Na pierwszy rzut oka końskie włosie albo rafia. Laboratorium to ustali.

– Ile zdaniem Riboise’a trwało zadawanie tych ran?

– Jeśli sprawca używał pistoletu do wbijania gwoździ, to zrobił to szybko.

Użycie takiego narzędzia nie pasowało do sakralnego charakteru ofiary. Erwan zastanawiał się też nad chronologią zdarzeń: Anne została uprowadzona około osiemnastej, jej zwłoki ukryto około czwartej nad ranem. Morderca miał więc prawie dziesięć godzin na zabranie ofiary do swojej kryjówki, torturowanie jej, usunięcie narządów, a potem przewiezienie w niemal to samo miejsce, z którego ją porwał.

– Podrzuciłeś próbki do laboratorium?

– Owszem, dostali drugą partię.

– Kto kieruje zespołem?

– Cyril Levantin.

Najlepszy w laboratorium – dobra wiadomość.

– A paznokcie i włosy? Ciągłe nic?

– Więcej będzie wiadomo przed południem, bo Riboise właśnie się do tego zabrał.

Erwan zwrócił się do Sardynki:

– Co z portalami społecznościowymi Anne Simoni?

– Na razie standardowo. Ale w komputerze część danych jest chroniona hasłem. Prosiłem już o pomoc informatyków.

Znów pomyślał o Kaerverec. Te dwa śledztwa zbyt szybko się zazębiały, a wspomnienia z pierwszego wciąż go nękały.

– I to wszystko?

- Rozmawialiśmy o trzeciej nad ranem.
- Sprawdź jej ewentualną aktywność polityczną.
- To znaczy?
- Antyglobalizm, anarchizm i podobne głupoty.
- Wydaje mi się, że z tym skończyła.
- I tak poszperaj. Przyjrzyj się też wszystkiemu, co się wiąże z seksem.
- Na razie twardy dysk wygląda na superpoprawny, pomijając to, do czego nie miałem dostępu. Masz na myśli coś szczególnego?

– Sado-maso.

W sali rozbrzmiały dźwięki mechanicznego pianina. Muzyka ze starego gangsterskiego filmu *Borsalino* z Alainem Delonem i Jeanem-Paulem Belmondo. Sardynka gorączkowo obmacywał kieszenie, szukając komórki, a potem dopadł do drzwi, mamrocząc jakieś słodkie słówka.

– Kripo, co z billingami?

Lutnista odpowiedział z wahaniem, jakby zażenowany:

- Ostatniego dnia dzwoniła kilka razy do jednej osoby.
- Co to za numer?
- Zastrzeżony. Poświęciliśmy całą noc na...
- Co to za numer?
- Twojego ojca. Jego osobista komórka.
- Wiadomo, że się znali.
- To nie wyjaśnia faktu, że dzwoniła do niego sześć razy w ciągu kilku godzin.

– Sam go o to zapytam.

Dopiero teraz uświadomił sobie, że w samochodzie zupełnie zapomniał pomówić z ojcem o Anne Simoni.

- Jakies nagrania z monitoringu?
- Nic nowego. Dziewczyna wyparowała na moście Arcole. Szukamy świadków.

– To wszystko?

– Wszystko.

Erwan klasnął w ręce, trochę po to, żeby rozładować własne napięcie, trochę po to, żeby zmotywować ludzi, którzy mimo najlepszej woli pracowali jakby w zwolnionym tempie.

- Audrey, zajmij się dziś przeszukaniem mieszkania ofiary. Idź tam z Favim, bo robił już oględziny.

– Jasne.

– Tonfa, wracaj na sądówkę i zostań do zakończenia sekcji.

– A ja?

Wszystkie oczy zwróciły się w stronę, z której dobiegał głos. Jacques Sergent siedział z podniesioną ręką. Jak uczeń. Najwyżej trzydziestoletni brunet o smagłej cerze, nijakiej twarzy – jeśli nie liczyć wydatnego, zakrzywionego nosa przypominającego dziób tukana – i wysokim czole.

– Ty? – powiedział Erwan. – Dołącz do Kripo, pomożesz mu z billingami.

Młody policjant skinął głową, dobre i to, włączono go do grupy, a to już dużo.

Erwan spojrzał na zegarek.

– Kripo, teraz zawieszysz mnie na lotnisko.

Kiedy Alzacyjnyk szybko instruował Sergenta, Erwan wpadł do swojego gabinetu zebrać rzeczy. Znalazł butelkę wody i wypił ją jednym tchem. Gardło miał rozpalone i wysuszone jak piec. Co za ulga! Mimo to miał sobie za złe, że uległ potrzebie – z zasady gardził ludźmi, którzy zaspokajali pragnienie, kiedy tylko ich ogarnęło. Postrzegał to jako prymitywną satysfakcję płynącą z jeszcze niższego instynktu. Niemal jako wadę.

Erwan żywił wiele tego rodzaju kompletnie absurdalnych awersji. W gruncie rzeczy często zachowywał się jak fanatyczny mnich, pałający nienawiścią do własnej natury, skłonny niemal do samobiczowania. Jego problemem było to, że nie miał boga, do którego mógłby się zwrócić.

Zerknął na zegarek: gdzie się podział ten Kripo?

Wykorzystał wolną chwilę, żeby zadzwonić do Levantina, koordynatora laboratorium.

- Mówi Morvan. Dostałeś nowe próbki?
- Mam je przed sobą.
- A te pierwsze coś wniosły?
- Ułatwiłbyś mi zadanie, gdybyś powiedział, czego szukasz.
- Po pierwsze – pochodzenie i skład chemiczny gwoździ, tłuczonego szkła itd. Na razie tylko to prowadzi nas do zabójcy.
- Na pierwszy rzut oka powiedziałbym, że całe to żelastwo może pochodzić z pierwszego lepszego śmietniska.
- Przyzwyczaiłeś mnie do większej precyzji. Ten morderca naśladuje seryjnego zabójcę z lat siedemdziesiątych, grasującego po Zairze.
- Co z tego?
- Możliwe są jakieś afrykańskie wątki. Poddaj analizie metale, szkło, rdzę, zależy mi na dokładnym składzie.
- Pod warunkiem, że dostanę pismo.
- Dostaniesz wszystko, czego tylko chcesz. Kiedy mogę liczyć na konkrety?
- Mam tu kilkadziesiąt dowodów rzeczowych. To zajmie co najmniej dwa

dni, a biorąc pod uwagę, jaką stawkę płaci Trzydziestkaszóstka za...

Erwan nie słuchał. Sprawy papierkowe, czas analiz, a przede wszystkim budżet – to wszystko działało mu na nerwy.

– Zrób, co się da. Chcę jeszcze dziś wiedzieć, skąd pochodzą te pieprzone gwoździe.

– Dobrze, szefie.

– Jeszcze jedno. Czy Tonfa mówił ci o ślinie?

– Nie.

– Zanim morderca wbił gwóźdź w ciało ofiary, trzymał go w ustach i ssał.

– Może się okazać, że nie tak łatwo będzie pobrać jej ślady. Powtarzam, że ciało jest zmalretowane.

– Potrafisz czynić cuda.

– Szukamy także spermy?

– Spermy nie, ale krwi. Jednym z obłąkańczych rytuałów mordercy mogło być skrapianie ofiary własną krwią, aby zyskać z nią... fizyczną więź.

– To jakieś czary?

– Możesz to nazywać, jak chcesz, ważne, żebyś szukał próbek, których grupa będzie inna niż grupa krwi Simoni. Zaczynij od czubka głowy.

– To ogromna praca!

– Zaangażuj całą ekipę, zwróć się do innych laboratoriów. Powiem krótko: pali się!

– A jeżeli zabójca i ofiara mają tę samą grupę krwi?

– To skomplikowałoby sprawę. Dostałeś materiał z Bretanii?

Erwan ściągnął do Paryża włosy i paznokcie znalezione w ciele Wissy.

– Materiał z Brestu to ponad wszelką wątpliwość włosy i paznokcie dziewczyny z Grands-Augustins. Nie wiem, co to oznacza, ale na pewno jest bardzo istotne.

Nowy Człowiek Gwóźdź zdobył więc włosy i paznokcie Anne, zanim popełnił morderstwo w Kaerverec. Ale kiedy? Jak?

– Zadzwon, kiedy ustalisz coś nowego.

Rozłączył się, czując nagły przypływ optymizmu: Levantin ustali, skąd pochodzą gwoździe, może wyodrębni próbki krwi nienależącej do ofiary, a przy odrobinie szczęścia DNA zabójcy pozwoli na jego wykrycie – wystarczy, że trafiło kiedyś do bazy FNAEG.

– Jedziemy?

Kripo stał przed nim ubrany w kurtkę.

– Raczej pędzimy.

Zbiegli po schodach. Erwan trzymał w ramionach teczkę wypchaną raportami swoich podwładnych – większość z nich pisała błyskawicznie, wykorzystując na to czas przejazdu samochodem i posługując się laptopami. Lektura ta miała mu wypełnić czas w samolocie.

Prawdę mówiąc, podróż do Bretanii jawiła mu się niczym droga na szafot.

Grégoire Morvan zdecydował się na lot bezpośredni. W ciągu ośmiu godzin miał dotrzeć do Kinszasy. Zajął miejsce w pierwszej klasie, wśród czarnoskórych dyplomatów i białych biznesmenów, i wiercił się, marząc, by udało mu się zasnąć – oprócz środków uspokajających połknął też tabletkę nasenną, nie był jednak pewien, czy któryś z tych leków nie wchodzi w interakcje z pozostałymi.

Martwił się przede wszystkim o rodzinę. O najstarszego syna, na którego barki spadła przerastająca go sprawa. O młodszego, który wpadł w łapy napalonych czarnuchów. O córkę, która uznała za swą misję samozniszczenie i destrukcję rodziny.

Usiłował się uspokoić. Erwan był – nie licząc jego samego – najlepszym gliną, jakiego znał. Porywacze Loïca nie kiwną palcem bez rozkazu Kabonga. A Gaëlle w końcu się uspokoi. Nawet płonący w niej gniew wypali się z biegiem lat. Jego zadaniem było chronić ją, dopóki to nie nastąpi.

Żeby oderwać się od tych myśli, otworzył komputer i jeszcze raz przeczytał mail otrzymany nocą od Loïca. Jean-Pierre Clau, geolog, dwa miesiące temu zginął w wypadku helikoptera. Między wierszami dostrzegał podejrzenia syna. Odnosząc się sceptycznie do hipotezy wrogiego przejęcia Coltano, Loïc skłaniał się raczej ku nieuprawnionym działaniom wtajemniczonych: informacja o nowych złożach wyciekła i jeden albo wielu finansistów postanowiło wejść do gry. W takim scenariuszu geologom przypadała rola informatorów. Ale Morvan w to nie wierzył. Po pierwsze, znał ich – byli profesjonalistami. Po drugie, śmierć geologa niczego nie dowodziła: praca w Afryce pociągała za sobą ryzyko. Inni musieliby coś wiedzieć i w końcu by to z nich wyciągnął. Przyjrzał się biegowi zdarzeń – zyskał dwa kolejne punkty. *Cholera!* Co ma powiedzieć Kabondze?

Myśli zaczynały mu się mącić – efekt środków nasennych. Pomyślał o pewnym szczególe: zadzwonić do agentów DCRI i polecić im, żeby zajęli się usunięciem zniszczeń, jakich narobiły u Loïca te bambusy. Milla i Lorenzo nie mogli zobaczyć mieszkania ojca z wyważonymi drzwiami

i oknami.

Zamknął komputer i nasunął na oczy opaskę, żeby zasnąć. Jeśli uda mu się załatwić sprawę z Kabongą w godzinę albo dwie, będzie mógł wracać wieczornym lotem i jutro będzie w Paryżu.

Pomyślał o Człowieku Gwoździu. Przypominał sobie, słowo w słowo, opowieść, którą zaserwował Erwanowi. Była to zręczna mieszanka prawdy, kłamstwa i przemilczeń. Wiedział, że syn znów będzie go wypytywał, musiał więc trzymać się swojej wersji, nie zmieniając ani słowa, bo wówczas otworzyłby bramy piekieł.

W półśnie powróciła obsesyjna myśl: obecne wydarzenia były owocem skomasowanej zemsty. Morderstwa w afrykańskim stylu, sygnet znaleziony w Sirling, wybór Anne Simoni, ataki na Coltano. *Kto się za tym wszystkim kryje?*

Popadając w stan nieświadomości, z uporem trzymał się pozorów jasnego myślenia.

I wtedy je ujrzał. Jedyne kobiety jego życia.

Nagie, o ogolonych głowach, były pogrzebane albo po prostu skulone w rozpadlinach suchej ziemi. Krzyczały, ale z ich ust nie wydobywał się żaden dźwięk. Ze swastyk na ich czołach sączyła się czarna ciecz, która wsiąkała w glebę, użyźniając ją.

Ich ciała, jakby naoliwione, przypominały zmysłowe, a zarazem odrażające kształty sławnych papryk z fotografii Edwarda Westona. Zresztą te istoty nie miały ani rąk, ani stóp, tylko haki albo korzenie.

Te potwory nie były jego partnerkami, ale matkami. Zawdzięczał im życie.

To było déjà-vu. Trzej muszkietierowie, tak jak za pierwszym razem, czekali na niego w kafejce na lotnisku. Tym razem nie mieli już na sobie długich czarnych sztormiaków i widać było, że cieszy ich to spotkanie. Przed wyjazdem do UMD wypili razem kawę. Erwan był im winien wyjaśnienia, najpierw jednak poprosił ich, żeby opowiedzieli mu o śledztwie w sprawie di Greca.

Oficjalnie uznano, że popełnił samobójstwo, nie pojawiły się jednak żadne nowe informacje na temat jego związku ze śmiercią Wissy. W kajucie nie znaleziono broni białej. W komputerze nie było żadnych planów zabójstwa. Di Greco nie kontaktował się ani z Gorce'em, ani z jego Lisami. Nie było żadnych dowodów, że admirał i elew widzieli się w tę piątkową noc. Sprawa została zamknięta i nie łączono jej ze śmiercią Kopta. Śledztwo w sprawie Wissy trwało, jednak nie przydzielono go żadnemu sędziemu śledczemu, a Muriel Damasse zażądała przekazania jej wszystkich akt – Verny nie rozumiał dlaczego.

Jakby ciągnąc tę opowieść, Erwan ujawnił pierwszą sensacyjną wiadomość o ataku mordercy z Kaerverec w sercu Paryża.

– Skąd pewność, że to on? – zdziwił się żandarm.

– Przywiozłem dla was krótki raport – powiedział, podając każdemu kilka kartek.

Jak zwykle życzliwy, Kripo szybko przygotował tę notatkę. Wojskowi czytali w milczeniu. Żeby ostatecznie ich przekonać, Erwan wyciągnął z teczki zdjęcia zwłok Anne Simoni.

– Sposób działania jest identyczny – gwoździe, metal, odłamki szkła, usunięcie narządów wewnętrznych. Do tego ogolona głowa i gwałt analny. Sekcja jeszcze trwa.

Le Guen, czerwony jak piwonia, sięgnął po jedno ze zdjęć.

– To jednak nie wyjaśnia, co zamierza pan robić w Instytucie Charcota.

Erwan zebrał zdjęcia, westchnął i krótko opowiedział o powiązaniach tej sprawy z przeszłością. Przedstawił historię Człowieka Gwoździa. Jego

sposób działania. Jego pobyt w szpitalu w Bretanii po roku 2000. I decyzja naśladowcy o dokonaniu zbrodni w pobliżu miejsca śmierci mistrza.

– A o tym zabójcy, tym z Afryki, dużo pan wie? – spytał Verny.

Erwan podał szczegóły z Lontano. Słowa takie jak „magia”, „źródło energii”, „duchy” wprawily ich w osłupienie.

– Jedziemy? – rzucił na koniec, żeby wyrwać ich z letargu.

Siadł z przodu, na miejscu pasażera. Prowadził Archambault, dwaj pozostali zajęli miejsca z tyłu. Wszystko to przypominało powtórkę z historii. Pomyślał o rodzicach Wissy Sawirisa, ale nie odważył się o nich zapytać.

Tym razem Bretania witała go wspaniałymi widokami – błękitem bezchmurnego nieba, promiennym słońcem, rysującą się wyraźnie, jakby wyrzeźbioną przez wiatr, linią brzegu. Czarne skały wznosiły się nad szarymi równinami, nasuwając skojarzenie z Wyspą Wielkanocną i jej bazaltowymi postaciami.

– Udało wam się dowiedzieć czegoś o Instytucie Charcota?

– W tym rejonie – powiedział Verny – wszyscy znają tę placówkę. Nazywa się ją tu klatką potworów.

– Faktycznie tak jest?

– Nie. To po prostu specjalistyczne więzienie. Jest tam część więzienna i druga, lecznicza. Trafiają do niej niebezpieczni pacjenci, głównie pedofile. Są poddawani kastracji chemicznej.

– To dozwolone we Francji?

– Nie mam pojęcia, ale przypuszczam, że byłyby reklamacje.

– Są uprzedzeni o naszym przyjeździe?

Żandarm, co do niego niepodobne, zachichotał.

– Wspomniałem nawet o rewizji!

– A po co?

– Żeby mieć pewność, że wszystko nam pokażą.

Pejzaż za przednią szybą nabierał kolorów. Pojawiały się rdzawe zarośla, połacie łagodnej zieleni, kwitnące wrzosy i hortensje. Erwan nie umiałby powiedzieć, czy cieszy go widok tego krajobrazu. Bretania emanowała siłą, która go niepokoiła i męczyła. W dali morze przeżyło grzbiet niczym baśniowy zwierz, którego migoczące łuski ocierają się o promienie słońca. Czuł ten potężny, miarowy oddech. Drzemiąca siła, która tylko czekała, by się rozbudzić.

Jego myśli błędziły, mimowolnie wracając do wczorajszego ponizenia –

jego siostra w roli zwierzęcia na jarmarku, rozkraczona na tym żalonym tronie. Nie pamiętał już argumentów Gaëlle, lepiej radzącej sobie z dialektyką niż utrzymaniem równowagi psychicznej. Dopiero teraz przypomniał sobie, że miał ją poprosić, żeby odebrała dzieci ze szkoły. Postanowił załatwić to SMS-em, nie czyniąc żadnych aluzji do tamtej nocy. Gaëlle nigdy nie odmawiała, proszona o opiekę nad bratankiem i bratanicą. O dziwo, uważała tę misję za jeden ze swoich obowiązków.

Wzniósł oczy: tablice informacyjne wskazywały Locquirec, na skraju Finistère i Côtes-d'Armor. Instytut znajdował się dwa kilometry dalej.

Usłyszał podzwanianie telefonu – SMS. Na pewno odpowiedź Gaëlle. Spojrzał na ekran.

Tego zupełnie się nie spodziewał: „Rozmawiałam z moim adwokatem: możemy iść na tę kolację. Może dziś? Wpadniesz po mnie o 20?” Zamiast podpisu tylko S.

Na pierwszy rzut oka placówka dla trudnych pacjentów – Instytut Jeana-Martina Charcota – nie różniła się od więzienia o zaostrowym rygorze. Otaczał ją mur wysokości pięciu metrów. Na czterech rogach wieżyczki z potężnymi reflektorami. Podwójne zasieki otaczały fortecę w sporej odległości od muru. Budynki wznosiły się na pozbawionej zarośli i drzew ziemi. Najbliższy las znajdował się kilometr od instytutu – łatwo było zauważyć, że ktoś się zbliża albo... ucieka.

Niebo już się zachmurzyło, ale tu i ówdzie przebijały jeszcze promienie słońca, rozświetlając pola uprawne, zarośla i łąki, na których pasło się bydło. Choć było południe, mgła unosiła się nad połaciami urodzajnej ziemi, która zdawała się oddychać.

Pierwsza brama i zasieki. Pod nią rów wypełniony wodą. Karty wstępu. Zdjęcia. Odciski palców. Ani oznakowany ford, ani mundury nie starczyły tu za przepustkę. Potem przejechali jeszcze kilkaset metrów, zanim znaleźli się na parkingu przed budynkiem.

Kolejna kontrola. Zostawiwszy samochód, ruszyli do opancerzonych drzwi. Klatka potworów: ta nazwa nie wydawała się już tak absurdalna. Przed pierwszym korytarzem musieli zostawić broń i wszystkie metalowe przedmioty, telefony komórkowe oraz dokumenty – wszystko pod czujnym okiem strażnika. I znów fakt, że byli policjantami lub żandarmami nie zapewnił im żadnych względów. Tutejsi strażnicy musieli mierzyć się z zagrożeniem znacznie przerastającym to, na jakie narażeni byli nadzorujący innych przestępców. Z obłędem.

W otoczeniu trzech strażników weszli na dziedziniec wewnętrzny. Zmiana dekoracji: świeżo strzyżona trawa, tereny sportowe, odnowione białe budynki, flagi francuskie i europejskie. Istny kampus uniwersytecki. Po lewej potężny blok – prawdopodobnie więzienie. Nieliczne okna, znowu wieżyczki i ogrodzenie – zapewne pod napięciem. Po prawej budynek o wyglądzie typowego szpitala: czerwone krzyże, ambulanse, na ziemi znaki wskazujące drogę do poszczególnych oddziałów. Pielęgniarze, którzy wyszli przed drzwi,

żeby zapalić, trzymali wolne ręce w kieszeniach, a na nogach mieli saboty.

Pojawił się mężczyzna, który szybkim krokiem szedł w stronę gości. Wysoki, dobrze zbudowany, był prawdopodobnie po sześćdziesiątce, ale jego promienny uśmiech beztrudnie cofał lata. Jego swobodna elegancja zaskakiwała u człowieka w tym wieku – marynarski blezer, jasne, luźne spodnie, miękkie mokasyny. Mimo siwej grzywy wyglądał, jakby wybiegł z sali wykładowej w Oksfordzie. Doskonale pasował do scenerii. Jego uścisk dłoni potwierdził pierwsze wrażenie: ten człowiek tryskał energią i radością życia.

– Profesor Jean-Louis Lassay, psychiatra i neurolog. To ja jestem tu szefem!

Erwan nie krył zdziwienia.

– Sądziłem, że psychiatrzy i neurologowie od dawna toczą ze sobą wojnę.

Profesor wybuchnął śmiechem.

– Dziennikarskie dowcipy! Zapewniam pana, że wobec złożoności chorób umysłowych wszyscy musieliśmy nauczyć się współpracy, zasięgania opinii innych specjalistów. W czym mogę panom pomóc?

Erwan przedstawił swoich kolegów, a następnie wyłożył w paru słowach powody tej wizyty. Lassay nie sprawiał wrażenia zaskoczonego, ponieważ jak wszyscy czytał poranną prasę. Zwrócił więc uwagę na podobieństwo sposobu działania mordercy do rytuału Thierry’ego Pharabota. Erwan nie wspominał jednak o śmierci Wissy – przyjechał tu, żeby zdobyć informacje, a nie ich udzielać.

– Zapraszam na kawę! – rzucił psychiatra.

Erwan przyjął tę propozycję bez entuzjazmu: kawa stała się swoistą chorobą społeczną, trucizną mającą ułatwiać kontakty międzyludzkie, prowadziła jednak przede wszystkim do nadkwasoty żołądka i wrażenia, że żółć podchodzi do gardła.

Po przejściu kilkorga drzwi i kilku kolejnych kontroli znaleźli się w sali zebrań, której ściany wyglądały na plastikowe. Długi stół otaczały krzesła z oparciami, na blacie stały termosy i plastikowe kubeczki. Lepiej, żeby Lassay miał dla nich ważne informacje – Erwan nie po to przemierzył kilkaset kilometrów, żeby wylądować w pokoju dostosowanym do rozmów biznesowych.

– Nie wiem niestety, jak mógłbym panom pomóc – odezwał się lekarz. – Thierry Pharabot zmarł przed trzema laty. W listopadzie dwa tysiące

dziewiątego.

– Wiemy o tym. Problem w tym, że zabójca czerpie inspirację z jego zbrodni. To stara sprawa sprzed czterdziestu lat. Praktycznie nikt o niej nie słyszał.

– Ma pan jakieś przypuszczenia?

Erwan nigdy nie odpowiadał na takie pytania świadków, zależało mu jednak na zdobyciu zaufania psychiatry.

– Zaczniemy od najprostszego – odparł, rozkładając ręce. – Pharabot mógł wywrzeć wpływ na innego osadzonego, który został niedawno zwolniony.

– My tu mówimy raczej o „pacjentach”. Nie, to nierealne. Miał oddzielną celę, z której bardzo rzadko wychodził. A my nie „zwalniamy” – jak pan to ujął – pensjonariuszy, którzy stanowią zagrożenie dla innych.

– Umieszczono go w izolatce?

– Skądże. Był samotnikiem, nie miał prawie żadnych kontaktów z innymi. W ciągu dziesięciu lat nikt nie zdołał w pełni go przeniknąć.

– A personel medyczny?

– Też nie.

– Kto był jego psychiatrą?

– Oczywiście ja.

– Rozmawiał z panem?

– Od razu przerwę: artykuł czwarty kodeksu zdrowia...

Erwan sprowadził go na ziemię.

– Doktorze, albo będzie pan zeznawał teraz i zyskamy cenny czas, albo zwrócę się do Rady Lekarskiej, żeby uzyskać zwolnienie pana z tajemnicy. Nikt nie zawaha się, czy ujawnić wyznania nieżyjącego mordercy, aby pomóc w zatrzymaniu żyjącego zabójcy.

Lassay odkaszlnął. Erwan zyskał przewagę.

– Jak streścić dziesięć lat rozmów, analiz, leczenia?

– Zadowolę się ogólnymi zarysami.

– Pharabot cierpiał na schizofrenię paranoidalną. Miał urojenia prześladowcze. Wierzył, że w dzieciństwie rzucono na niego czar. Przemawiały do niego potężne duchy, groziły mu, dręczyły go. Jego jedyną bronią było robienie rzeźb obdarzonych mocą ochronną, czyli *minkondi*.

– I przez wszystkie te lata jego stan się nie zmieniał?

– Niestety nie. Psychiatria często jest bezsilna, nie potrafi uzdrawiać, stara się tylko ulżyć.

- Słyszałem o nowych metodach leczenia. Na czym polegają?
 - Wypróbowaliśmy niestosowane jeszcze leki. Nazwy nic panu nie powiedzą. Poprzestańmy na tym, że jedne go uspokajały, inne pomagały odróżniać rzeczywistość od majaków. Ale efekty nie były zadowalające.
 - Verny, Le Guen i Archambault zaczęli notować.
 - Na co umarł?
 - Na wylew, we śnie. Albo na zawał serca, nigdy tego nie ustalono.
 - Nie było sekcji?
 - A po co?
 - Miał jakieś inne objawy chorób fizycznych?
 - Skądże. Był w doskonałej formie. Jego śmierć nas zaskoczyła.
 - Był agresywny?
 - Nie. Zawsze spokojny. Nawet bardzo łagodny.
 - Nie przysparzał problemów?
 - Nie, ale trzeba pamiętać, że przyjmował leki.
 - Ma pan jego zdjęcia?
 - Żadnego. Nie godził się na fotografowanie. To afrykańskie przesady.
 - A w dokumentacji antropometrycznej?
 - Prowadzimy dokumentację medyczną, nie kartoteki policyjne.
 - Ale szpital otrzymał przecież akta sprawy?
 - Te z lat siedemdziesiątych? Nie. Pharabot od dawna był po prostu pacjentem przenoszonym ze szpitala do szpitala.
 - Ulegając atmosferze skupienia, Erwan także wyjął notatnik.
 - Ktoś go odwiedzał?
 - Nikt. Przez tych dziesięć lat nie otrzymaliśmy ani jednego podania w tej sprawie.
 - Czy interesował się nim wymiar sprawiedliwości?
 - Nie. Przez cały ten czas nie kontaktował się z nami żaden sędzia.
- Wszyscy zapomnieli o Pharabocie. Pisane mu było umrzeć w tych murach.
- Ten współczujący ton zirytował Erwana.
- Wie pan chociaż, co zrobił?
 - Ma pan na myśli Lontano? Znam tylko najistotniejsze fakty.
 - Mam wrażenie, że to pana nie szokuje.
 - Myli się pan. Po prostu z biegiem czasu lepiej zrozumiałem jego szaleństwo i wydaje mi się, że zdołaliśmy je... rozbroić.
 - Nie rozumiem.

– Pharabot żył w lęku przed duchami. Poświęciłby każdego, byle się chronić. Ale tutaj ta obsesja stała się tylko jednym z wielu objawów. Przestał być dziką bestią, jaką pan sobie wyobraża.

– Mógłbym zobaczyć jego dokumentację?

– Nie. Tajemnica lekarska.

– Mam wrażenie, że już o tym mówiliśmy.

Psychiatra rzucił mu ostre spojrzenie.

– W tej kwestii nie ustąpię. Niech pan uzyska potrzebne nakazy i wróci z nimi. Tymczasem musi się pan zadowolić tą rozmową. Wydaje mi się, że ja wykazałem już dobrą wolę.

Naleganie nie miało już sensu.

– Wróćmy do terażniejszości: jakiś człowiek, morderca, czerpie inspirację z historii Człowieka Gwoźdźcia i atakuje według podobnego schematu. Wydaje się doskonale poinformowany, zna szczegóły i przypuszczam, że wiedział, iż Paharabot przebywa w tym ośrodku. Czy nie zauważył pan kogoś, kto kręciłby się w pobliżu? Czegoś nietypowego?

– Nie.

– Nie doszło do wykradzenia danych, aktu piractwa?

– Nie.

– Odbierał korespondencję?

– Też nie.

Erwan wstał.

– Moglibyśmy zobaczyć jego celę?

Profesor uniósł brwi.

– Spodziewa się pan coś tam znaleźć? Przecież ten człowiek nie żyje od trzech lat.

– Jest zajęta?

– Nie sędzę. Zauważyliśmy, że miała... negatywny wpływ na pacjentów.

– Sugeruje pan, że jest nawiedzona?

Lassay uśmiechnął się:

– Nie dajemy się wciągać w takie pułapki. Powiedzmy raczej, cokolwiek by pan o tym pomyślał, że nikt nie zapomniał o celi dwieście trzydziestej czwartej – lokum najgroźniejszego z naszych pacjentów. Chodźmy.

Wnętrze Instytutu Charcota było podzielone, pozamykane, zakratowane. Trudno było tu zrobić trzy kroki, nie używając karty magnetycznej, nie podając szyfru do otwarcia drzwi. Kraty i opancerzone ściany tworzyły ciąg. Żadne z okien nie wychodziło na zewnątrz. Wszystko było białe, gładkie, bez żadnego uchwyty ani wypukłości, jak monstrualna lodówka, której przegrody zamyka się na cztery spusty.

Pod sufitem zainstalowano kamery. Strażnicy w oszklonych pomieszczeniach pilnowali porządku, mając do dyspozycji imponującą kolekcję kajdanek i kaftanów bezpieczeństwa. Niewiele tu się działo. W ciągu dziesięciu minut nie natknęli się na nikogo poza dwoma pielęgniarzami w białych bluzach. W korytarzu panowała głęboka cisza. Podobnie jak za drzwiami.

Tylko jednego nie udało się wygłuszyć: zapachu. Mieszanina woni moczu i leków nasuwała skojarzenie ze szpitalem i z więzieniem.

Erwan pomyślał o ojcu – jego miejsce było w takim zakładzie. Żeby utwierdzić się w tym przekonaniu, wspomniął dzień, kiedy stary wyciągnął Maggie z domu i zamknął ją w rodzinnym grobowcu na Montparnasse. Strażnik uwolnił ją następnego dnia rano zziębniętą i przerażoną. Nie chciała wnieść oskarżenia. Erwan miał wtedy dopiero piętnaście lat i nie mógł nic zrobić, ale poszedł na miejsce zbrodni. Odkrył, że grobowiec jest pusty, że nie pochowano w nim żadnych przodków. Ani śladu Morvanów-Coätquenów.

Weszli na pierwsze piętro, tam gdzie znajdowały się cele, czy jak chciał Lassay – pokoje. Faktycznie, uczyniono wszystko, żeby łatwiej było zapomnieć o więziennym charakterze tego miejsca. Okienko w każdych drzwiach było ozdobione płócienną zasłoną, która zapewniała pacjentom prywatność.

- To zakład publiczny?
- Pół na pół.
- Uzyskujecie fundusze od osób prywatnych?

– Owszem, jest kilku takich.

Erwanowi trudno było wyobrazić sobie sponsorów tego rodzaju zakładu. Widząc jego zaskoczenie, Lassay dodał z uśmiechem:

– Zdziwiłby się pan. Mamy tu pedofilów. Rodziny ofiar przekazują pieniądze na badania. Zło to wypaczenie człowieka, patologia jego natury. Nic dziwnego, że tym, którzy go zaznali – rodzicom ofiar – leży na sercu finansowanie naszych prac w tym zakresie.

Erwan pozwolił mu mówić. Jego kod genetyczny nie przewidywał postrzegania morderców i gwałcicieli jako chorych, których należy leczyć. Natknęli się teraz na kilku pacjentów snujących się wolnym, chwiejnym krokiem po korytarzu. Z ogolonymi głowami i wytrzeszczonymi oczyma, ubrani w rozciągnięte dresy, wyglądali jak ludzkie cienie. Nikt ich nie pilnował, ale też wydawali się tak słabi, że dziecko mogłoby powalić ich na ziemię, podstawiając nogę. Przypominali mu zżarte przez termyty gałęzie, które przy lada dotknięciu zamieniają się w wióry.

Stanęli w progu jednej z cel. Lassay wyjął kartę magnetyczną i otworzył drzwi jak w hotelu.

– Proszę.

Puste pomieszczenie o powierzchni około siedmiu metrów kwadratowych. Ani umywalki, ani toalety. Stół przytwierdzony do podłogi.

– Nigdy nie zmieniał celi?

– Nigdy.

Erwan zaczął obserwować pokój tak, jak zwykł to robić Kripa, zatrzymując spojrzenie na rogach, listwach, szukając szczegółu, śladu życia.

– Co spodziewa się pan znaleźć? Rysunki, napisy?

– Coś w tym rodzaju.

Lassay znów się roześmiał.

– Nie ma pan pojęcia o warunkach życia naszych pacjentów. Tu wszystko jest zakazane – ubrania, sprzęt elektroniczny, przybory toaletowe. Nawet długopis i wszystko, co można zamienić w broń. Kiedy są sami, nie wolno im praktycznie niczego dotykać.

Stając na palcach, Erwan wyjrzał przez małe okienko, za którym widać było dziedziniec otoczony drutem kolczastym.

– Nienawidził tego widoku – powiedział Lassay, podchodząc.

– Ze względu na zasieki?

– Nie. Drażniły go zbiorniki z wodą. Mówił, że w takich miejscach czają

się duchy. Yombe obawiają się rowów, kałuż, źródeł.

Erwan przypomniał sobie, że ojciec opowiadał mu o znaczeniu wody. Pharabot zabijał w porze deszczowej, kiedy duchy wędrowały.

– Nie wychodził?

– Rzadko. Bał się, że zaśnie pod drzewem i zamieni się w mrowisko. Żył w tym, co Afrykanie nazywają „drugim światem”.

Erwan spojrzał na zegarek. Marnował tu czas. Pharabot był kompletnie obłąkany, Lassay miał rację: w Lontano był groźnym potworem, ale potem stał się szaleńcem jakich wielu, otępionym lekami, zahibernowanym do dnia śmierci.

Psychiatra chyba dostrzegł jego rozczarowanie.

– Chodźmy. Coś panu pokażę.

Znów korytarze. Przeszli przez luk prowadzący do dużej sali ze stolikami, blatami, pulpitemi. Teraz było tu pusto – pacjenci jedli obiad – ale zostały rysunki, wyroby artystyczne – bardziej lub mniej udane. Niektóre przerażały, inne wyglądały jak dzieła rąk nieudolnych dzieci.

– Stosuje się tu terapię sztuką?

– Trzeba ich przecież czymś zająć. – Podeszedł do metalowych drzwi. – Tu przechowujemy najbardziej udane dziełka z myślą o wystawie.

W długim, wąskim składziku zgromadzono prace z kartonu, papieru, plasteliny – wyłącznie lekkich i niegroźnych materiałów. Erwan spojrzał w górę i zamarł.

Dwudziestka *minkondi* wysokości najwyżej trzydziestu centymetrów, stała w szeregu – figurki takie, jakie zbierał ojciec, ale pochłapane czerwienią. Gwoździe i odłamki metalu i szkła zrobione były z wacików i kawałków folii aluminiowej.

– Pharabot robił ich wiele każdego roku. Miał zręczne dłonie i wykorzystywał dostępne materiały.

Erwan uważnie przypatrywał się statuetkom. Jedna, najeżona zwiniętymi papierkami, przypominała postać owiniętą cierniami. Inna wyglądała jak głowa strosząca kolce, trochę jak kaktus, który wyłania się z płataniny tropikalnych liści. Stojący człowiek, pod którym ugiwały się kolana, niósł na ramionach pęk dzid.

Lassay wyjął jedną z figurek: jajogłową, o oczach osoby dotkniętej mongolizmem i ustach jak brzytwa. Wysunięty z nich język czynił ją figlarną.

– Ten ma dar odbierania wrogom mowy. Dlatego zwisają im języki. – Na twarzy psychiatry pojawił się smutny uśmiech. – W Charcocie taki *nkondi* wydaje się szczególnie skuteczny, bo większość pacjentów pod wpływem leków chodzi z rozchylonymi ustami i wywieszonym językiem.

– Obawiał się innych pacjentów?

– Uważał ich wszystkich za czarowników. Musiał się przed nimi chronić tymi figurkami.

Erwan przysunął się i zauważył rzeźbę, którą zdobił miniaturowy naszyjnik z muszli ślimaków.

– Zgodnie z wierzeniami Yombe – wyjaśnił psychiatra – muszle ślimaków symbolizują płodność, rodzenie dzieci. Kiedy decydował się na spacer, szukał w ogrodzie szczątków zwierząt. W jednej z figurek umieścił oko ptaka, symbol przenikliwego spojrzenia, w innej łeb węża, który daje siłę.

– Wie pan może, czy umieszczał w tych fetyszach włosy albo paznokcie?

Lassay uśmiechnął się, kiwając głową:

– Celne pytanie. Tak. Thierry ukrywał w nich kępki włosów, kawałki paznokci innych pacjentów.

– Skąd je miał?

– Radził sobie. Zbierał pod natryskami, w łazienkach. Czasami nawet wymieniał je z zainteresowanymi za papierosy albo czasopisma.

– Obserwował go pan, kiedy robił te figurki?

– Tak, często.

– Czy ssał waciki albo papierowe rożki, zanim je umieścił w rzeźbie?

– Tak. Twierdził, że to wzmacnia jego więź z fetyszem.

– A te czerwone ochłapania? Czy to farba?

– Oczywiście.

– I nigdy nie używał własnej krwi?

Lassay znów się uśmiechał, jakby był szczęśliwy, że ma o tym komu opowiedzieć.

– Raz go na tym przyłapałem. Ale pozwoliłem mu kontynuować. Te figurki i moc, jaką im przypisywał, były dla niego najlepszą terapią.

Erwan pomyślał, że ta podróż nie była jednak stratą czasu. W pewnym sensie zbliżył się do Pharabota, jego wierzeń i obłędu.

– Mogę je zabrać?

– A zwróci mi je pan?

– Oczywiście, ale po zakończeniu śledztwa, a może nawet procesu, gdyby

do niego doszło. A to może potrwać.

– Kiedy się pan przedstawiał, pańskie nazwisko wydało mi się znajome.
Jest pan krewnym człowieka, który aresztował Pharabota w Zairze?

– To mój ojciec.

Psychiatra rozpostarł ramiona i uśmiechnął się szeroko.

– W takim razie proszę je zabrać. Wszystko zostanie w rodzinie.

– Gaëlle, od jak dawna jestem twoim lekarzem? To już dziesięć, dwanaście lat?

– Piętnaście. Nigdy nie miałam innego ginekologa.

– Piętnaście lat! W takim razie pozwól, że poproszę, żebyś to jeszcze przemyślała.

Milczała. Tuliła do siebie torebkę Fendi jak tobolek, w którym niosła całe swoje życie. Polska imigrantka na Ellis Island.

– Już przemyślałam.

– I zdajesz sobie sprawę, że to nieodwracalna operacja?

– Tak, wiem o tym.

Lekarz wzniosł ręce na znak bezsilnego oburzenia. Lubiała doktora Biguenau, uważała, że jest zabawny. Łysy, wąsaty, nosił fartuchy z krótkim rękawem, przedramiona miał owłosione i chodził w kowbojskich butach. Kiedy była nastolatką, przezywała go Bigorneau, Kowadło.

– Możesz mi wyjaśnić, dlaczego podjęłaś taką decyzję?

– Żeby z tym skończyć.

– Ale z czym?! – krzyknął. – Przecież ty nawet nie zaczęłaś! Na ogół kobiety chcą tego po jednej albo wielu ciążach. Taki krok, kiedy nie ma się jeszcze dzieci...

Gaëlle siedziała wyprostowana – Biguenau traktował ją wciąż jak smarkulę, tymczasem ona zawsze zastanawiała się nad sterylizacją. Prawdę mówiąc, nigdy nie snuła innych planów.

– Czy to długi zabieg?

Ginekolog sięgnął po planszę przedstawiającą żeńskie narządy płciowe.

– Trwa zaledwie pół godziny i można nawet poprzestać na znieczuleniu miejscowym, jeśli nie boisz się pozostać w tym czasie przytomna.

– Wręcz przeciwnie.

Westchnął, patrząc na nią z ukosa, jakby chciał zapytać: „Kiedy wreszcie skończysz z tą fanfaronadą?”. Dotknął palcem rysunku – na nadgarstku miał rolexa wysadzanego małąkami diamentami.

– Polega to na przypaleniu końcówek jajowodów, tu i tu. W ten sposób

zamyka się je na zawsze. Już nigdy nie dojdzie do spotkania jajeczka z plemnikami. I nie ma szansy na zapłodnienie.

– Zawsze się udaje?

– Odsetek skuteczności, a raczej porażki, przekracza dziewięćdziesiąt procent.

Pochylił się nad biurkiem i mocno chwycił Gaëlle za rękę. Jej drobne palce uwięzione w jego owłosionych łapach wyglądały odrażająco.

– Zastanów się jeszcze. To nieodwracalny krok. Może po prostu przeżywasz gorsze chwile, trudno ci znaleźć chłopaka albo...

Uwolniła swoje dłonie:

– To nie ma nic wspólnego z facetami.

– Coś tam chyba jednak ma. – Uśmiechnął się do niej.

– Nie. To wyłącznie moja decyzja.

– Skąd wziął się taki pomysł?

– Nie mam ochoty się rozmnażać.

– Dlaczego?

– Dobry dowcip to krótki dowcip.

Pogroził jej palcem jak rozgniewany nauczyciel.

– Wydaje ci się, że ten prymitywny cynizm pozwoli ci się z tym uporać? Że do końca życia będziesz się uchylała od odpowiedzi, posługując się replikami z telenoweli? Nie na tym polega życie, moje dziecko. Trzeba wziąć na siebie odpowiedzialność, trzeba się angażować. Nigdy nie zadawałaś sobie pytania, co robisz na tym świecie? I co napiszą na twoim nagrobku?

Nie odpowiedziała. Godziła się nawet z tym, że skończy w zbiorowej mogile, tak jak dawniej kończyli trędowaci i ladacznice. Bigorneau westchnął, prawie warknął, wręczając jej broszurę i formularz z nagłówkiem: „Zgoda na nieodwracalną sterylizację chirurgiczną”.

– Daję ci tydzień na zapoznanie się z tym dokumentem, a przede wszystkim na namysł! Nie dostaniesz drugiej szansy, Gaëlle.

Wstała, starając się zachować tak, by nie uścisnąć mu ręki, i uparła się, że zapłaci za wizytę, mimo że początkowo odmówił, patrząc na nią z wyrzutem.

Po wyjściu zaczęła szukać taksówki. Miała tylko pół godziny do wyjścia dzieci ze szkoły, przy ulicy Paul-Valéry, w 16 dzielnicy. To późne popołudnie było pełne gorzkiej ironii. Przed szkołą patrzyła na matki – tak dumne, tak szczęśliwe, że mogły przyjść tu po swe potomstwo.

Zauważyła dwie odrębne grupy – postępową burżuazję, która postanowiła

posłać dzieci do szkoły publicznej, oraz dozorcynie i inne gosposie, w lwiej części cudzoziemskiego pochodzenia, które mieszkały w tej eleganckiej dzielnicy, ale na jej marginesie – na parterze albo w służbówkach. Gaëlle nie pasowała do żadnej z tych kategorii. Była od nich wszystkich młodsza, ładniejsza i bardziej oryginalna. Przyszła tu w wytartych dżinsach, botkach Giuseppe Zanotti i wojskowej parce ozdobionej naszywkami ekologów. Na plecach naszyty był Union Jack, brytyjska flaga, jakby dla przypomnienia świetnej epoki swingującego Londynu.

Gardziła matkami, które aż piszczwały z niecierpliwości, wpatrzone w bramę szkoły. Czuła się mroczna, nie na miejscu w tym świecie. Jak złowróżbny ptak czyhający na gałęzi. Przemknęło jej przez myśl, że dwadzieścia metrów stąd, na ulicy Lauriston, podczas ostatniej wojny światowej mieściła się siedziba gestapo, a nieco dalej, przed synagogą przy ulicy Copernic, 3 października 1980 roku, w szabat, wybuchła bomba. Nawet długie ślepe mury zbiorników Passy przypominały jej więzienie, gigantyczny grobowiec.

I wreszcie drzwi obu szkół się otworzyły. Musiała być czujna: Milla, jeszcze w klasach przedszkolnych, opuszczała budynek tymi po lewej, Lorenzo, w podstawówce, tymi po prawej. Wbrew sobie poczuła, że liczy na te dzieci, oczekując, że pomogą jej pogodzić się z życiem, przywrócą wiarę w miłość i przyszłość.

Kiedy je zobaczyła – miała dla nich cukierki i bułeczki z czekoladą – zrozumiała, że to płonne nadzieje. Cóż z tego, że radośnie krzyczały, całowały ją i ścisnęły z całej siły – to nie działało. Ich żywiołowość i świeżość wcale jej nie pomagały. Trzymała w ręce dwie kostki lodu, a równocześnie płonęła piekielnym gniewem.

– Do diabła, to nie do przyjęcia, rusz tyłek!

Mokry od stóp do głów Morvan odnajdywał Afrykę, tę prawdziwą, oblepiającą spodnie, ściekającą po karku. Zanim zdołał oddalić się od lotniska Kinszasa N’Dzili o trzy kilometry, jego taksówka już utknęła wśród chaotycznie poruszających się samochodów osobowych, ciężarówek, wózków. „Utknęła” nie było najlepszym słowem, bo normalna droga nagle zamieniała się w rzekę. W strugach deszczu kierowcy patrzyli z troską, ale i rozbawieniem na unieruchomione pojazdy.

– Jeżeli nas z tego nie wyciągniesz – wrzasnął, zwracając się do swojego kierowcy – to przysięgam, że skopię ci dupę!

– Szefie, a co ja mogę?

Ile razy słyszał te słowa? A za nimi słyszał niezmienną, obezwładniającą śpiewkę: „A co mnie to obchodzi?”. Czarni nie wpisywali się w rzeczywistość, pomiędzy tym, co się działo, a ich świadomością, rozpościerało się morze, dystans powodujący najdziwniejsze reakcje. Morwan setki razy łamał zęby, obijał pięści, szargał nerwy, słysząc tę śpiewkę, i od dawna wiedział, że nie da się tego zmienić.

Rzucił rozmówcy kilka euro, wziął walizkę z tylnego siedzenia i brnąc w błocie, dotarł do pobocza drogi. Idąc szybkim krokiem, dostanie się w końcu do przejezdnego odcinka drogi. Była czwarta po południu, jego samolot wylądował punktualnie i przez moment Morvan wierzył – człowiek nigdy się nie uczy – że zdąży na spotkanie o piątej. Po kilkusetmetrowej przeprawie przez bajoro oderwał oczy od ziemi i nagle uświadomił sobie, gdzie się znalazł. Długi szereg powgniatanych autobusów, wyklepywanych dziesiątki razy samochodów, pływał w czerwonej wodzie. Tysiące czarnych gestykulowało albo spokojnie siedziało na wzgórkach z butami w rękach, zasłaniając się gazetami albo wręcz plastikowymi miednicami. Scena dantejska albo komiczna, jak kto woli, ale tak przejaskrawiona, że przyprawiała o zawrót głowy. Burza rozpałała niebo jak żagiew, wyrysowała na nim fioletowe żyłki. Malinowe obwódki wysuwały się spod ciemnych chmur jak wciąż jeszcze dopalająca się magma. W dole, aż po horyzont,

ciągnął się jednobarwny pas czystej sepii z odcieniem czerwieni z korydy i przysłaniał wszystkie inne barwy.

Morvan wybuchnął śmiechem. W głębi ducha lubił takie ulewę, taki chaos, „Prawdziwy Ład odradzający się w fałszywym porządku”, jak powiedział Flaubert. Potęga natury w ciągu kilku sekund burzyła sztuczne dzieła człowieka. Wbrew temu, co się sądzi, w Afryce nikt nie jest ponad prawem, bo chodzi tu o prawa natury. Panuje tu zdrowsza atmosfera niż choćby w Stanach Zjednoczonych, gdzie człowiek ma się za władcę. A potem przychodzi Katrina i wszystko wraca na miejsce. W Afryce Katrina zdarza się co rano, więc trudno uznać się za boga.

Snuł takie rozważania, gdy zorientował się, że minął skupisko karoserii i ludzi. Droga znów biegła nad nurtem rzeki. Wystarczyło machnąć ręką, żeby zatrzymać powgniataną terenówkę. Wóz był tak ubłocony, że nie dało się poznać, jaki to model.

– Dokąd jedziemy, szefie?

– Pokażę ci drogę – rzucił w lingali.

Czarny wydał usta, bo takie słowa w miejscowym języku oznaczały: „Nie nabierzesz mnie”. Niechętnie zabrał pasażera i postanowił nie strzepić języka, skoro i tak nie dałoby się wcisnąć mu przeznaczonego dla turystów kitu. Zresztą musiał się mocno skupić, żeby zobaczyć cokolwiek przez szybę, bo czerwony deszcz chłostał ją z siłą węża ogrodowego. Ogólnie wrażenie było takie, jakby na masce wozu zarzynano wołu.

Kinszasa jest ogromna, to plątanina szerokich alei przypominających, że powstały tu „projekty”, i maleńkich osiedli, skupionych jak termitiery i mówiących jasno, że dziś wszelkie plany poszły w zapomnienie.

– W stronę rzeki – polecił Morvan.

Wjechali na bulwar Lumumby. Trzymając się uchwytu na drzwiach – wozem trzęsło jak w sercu dżungli – Grégoire spojrzął na zegarek: już piąta. Ale tutaj godziny nie miały większego znaczenia. Kabongo na pewno też się spóźni. Problem tkwił w tym, że samolot powrotny startował o ósmej, a Morvan nie chciał czekać na następny lot. W Afryce niczego nie można było być pewnym – nawet opóźnień.

– Jedź aleją Ludu w kierunku portu.

W deszczu mijali niewykończone budynki, nędzne targowiska, błotniste uliczki, rozpryskując purpurowe kałuże i patrząc na przemoczonych przechodniów i na pstrokaczną sklepików.

Wreszcie dotarli. Morvan zapłacił kierowcy i pobiegł. Kabongo umówił się z nim w gospodzie nad rzeką, nieopodal Gombe, sztywnej dzielnicy Kinszaszy.

Jego wysokość już przybył: trzy czarne mercedesy sygnalizowały jego obecność. Dziesięciu ochroniarzy przechadzało się pod ociekającym wodą daszkiem. Słuchawki, broń, rozbiegany wzrok – wyglądali, jakby kazano im ochraniać samego Obamę. Ale Morvan nie był naiwny – ani krótkofalówki, ani broń nie były sprawne. A co do samych cerberów, to z daleka cuchnęli wódką palmową.

Po dwukrotnej rewizji pozwolono mu wejść.

Bar bez ścian był w rzeczywistości dachem na kilku słupach. O tej porze nie było tu żywego ducha. Tak zwany parkiet pokrywało błoto. Krzesła piętrzyły się w rogu. Obrzeża estrady osłonięto workami foliowymi. Deszcz dudnił o dach jak żwir.

– Witaj, Isidore.

– Witaj, Grégoire.

Morvan wyciągnął kciuk do tyłu, wskazując ochroniarzy:

– Ta armada jest ci naprawdę potrzebna?

– Lampart nie przechadza się bez cętek.

Kabongo miał pewną manię: z sensem i bez używał niezrozumiałych przysłów, ponoć kongijskich, ale w większości chyba jego własnych.

– Co sływać, generale?

– Bardzo źle, brrrrdo źle! I to przez ciebie!

Stał przy balustradzie, skąd rozciągał się widok na rzekę, i palił papierosa bez filtra, używając cygarniczki. Isidore Ntahwa Kabongo – mężczyzna średniego wzrostu, o siwych, kędzierzawych włosach – nosił strój narzucony kiedyś wszystkim aparatczykom reżimu: marynarkę ze stójką – jak w państwie Mao – i dopasowane kolorystycznie spodnie, co stanowiło alternatywę wobec europejskiego garnituru z krawatem i kwintesencję hasła: „Śmierć garniturom!”. Dziś ten ubiór był anachronizmem, Kabongo zaś wyrażał w ten sposób to, co myślał: choć służy dynastii Kabila, pamięta, że wszystko zawdzięcza Mobutu.

Droga, jaką pokonał, przypominała karierę Morvana. W stu procentach Luba (Kabongo to także nazwa regionu i miejscowości w Katandze) – ten zairski intelektualista budował karierę za Mobutu, a potem przetrwał kolejne rządy – zawdzięczał długowieczność znajomości ziemi. Dwukrotnie był

ministrem kopalni, przemysłu górniczego i geologii i utrzymał się na stanowisku eksperta – to on po cichu czuwał nad właściwym gospodarowaniem złożami Demokratycznej Republiki Konga. Nikt nie był w stanie go zastąpić.

Morvan szedł w jego stronę, ale nagle stanął. Zapomniał o pewnym oryginalnym drobiazgu: generał w roli zwierzęcia do towarzystwa trzymał hienę. Miał wiele żon i jeszcze więcej dzieci (plotka głosiła, że było ich trzydzieścioro, nie licząc oczywiście bękartów). Ale nic ani nikt nie mógł zająć w jego sercu miejsca Cocotte, paskudnej bestii, którą wszędzie ze sobą zabierał. Zwierzę wyglądało jak niewydarzony kuzyn lamparta, miało asymetryczne łapy i czarny pysk. Dreptało wokół swego pana, powarkując przez kaganiec – choć na pół ślepe, wciąż było gotowe skoczyć do gardła intruzowi.

– Przybywam w pokoju – oznajmił Morvan. – Ty i ja jedziemy na jednym wózku.

Kabongo zaśmiał się, puszczając kłęb dymu.

– Masz rację, ale to ty powozisz, a ja rozkazuję.

Morvan podszedł do balustrady. Stała na niej bateria butelek piwa – Kabongo nie czekał na niego z aperitifem. Przez chwilę wdychał powietrze płynące znad rzeki. Nie miał co marzyć o zobaczeniu dziś Brazzaville, stolicy drugiego Konga, znajdującej się dokładnie przed nimi. Woda, ziemia i niebo zdawały się spiskować pod osłoną mgły. Interesy deszczu i gleb aluwialnych...

– Przyjechałem, żeby pomówić z tobą o...

– Nie – przerwał oficjel. – To ja będę mówił, a ty mnie wysłuchasz. Siadaj.

Morvan zdjął ze stosu krzeseł dwa i ustawił je przy balustradzie. Kabongo stał – dominował i kropka. Wyjął ze skrzynki butelkę primusa, miejscowego piwa. Wprawnym ruchem zahaczył kapsel o pręt kagańca hieny i otworzył butelkę.

– Pij – rozkazał Morvanowi.

Grégoire wziął piwo, nie spuszczać z oka Cocotte. Przypomniał sobie o czymś: samica hieny ma łechtaczkę wielkości penisa samca tego gatunku. Taka potrafi chyba zadowolić nawet najbardziej zapalczego w sforze.

– W połowie sierpnia kupiono dziewięć tysięcy akcji Coltano – oświadczył Kabongo tonem telewizyjnego prezentera. Na początku września – dwanaście tysięcy, a w zeszły poniedziałek – siedemnaście tysięcy. Teraz prawie

czterdzieści tysięcy akcji zmieniło już właściciela. A my nie wiemy, w czyje wpadły ręce ani dlaczego.

Morvan wypił łyk ciepłego piwa. Zaskoczyła go ta precyzja liczb. Jego syn, chociaż to był jego fach, nie potrafił zdobyć żadnych informacji.

– Możesz mi to wyjaśnić? – zapytał Kabongo głosem Isaaca Hayesa.

– Nie.

– Maczałeś w tym palce?

– Nie.

– Nie próbujesz nas wystawić?

– Przysięgam, że nie.

– Bo mając to wszystko, uzyskasz mniejszość umożliwiającą blokowanie i staniesz się niepodzielnym panem naszej pięknej prowincji.

– Powtarzam, że nie mam z tym nic wspólnego!

– A twoi przyjaciele z Luksemburga?

– Sprawdzę, ale jestem pewien, że nawet o tym nie wiedzą. Co mogliby zyskać, burząc dawny stan? Jesteście panami w swoim kraju i żaden pakiet akcji tego nie zmieni.

Generał wolno kiwał głową.

– Udowodnij, że to nie ty.

– Znajdę nabywców.

Morvan próbował wypić jeszcze łyk piwa, ale nie był w stanie. I tak już poprzednia porcja podchodziła mu do gardła, co usiłował zamaskować, symulując gwałtowny kaszel.

– Niedobre?

– Wyśmienite.

– Myślisz, że masz za biały tyłek, żeby usiąść przy naszym stole?

– Pytasz po tym wszystkim, co zrobiłem dla Konga?

Kabongo nie odpowiedział. W rzeczywistości kongijskiemu rządowi bardzo zależało na Coltano – nawet jeśli kompania płaciła mniej podatków niż inne. Ze względu na swoje położenie geograficzne nie była narażona na rabunki i ataki milicji ze wschodu. Przynosiła zyski z koltanu, a te trafiały do kasy państwowej.

Kolejny paradoks polegał na tym, że Morvan, mimo że był Europejczykiem, znał te niespokojne regiony (północna Katanga to nie oaza spokoju) lepiej niż większość notabli z Kinszasy. Innymi słowy, był tu potrzebny.

Kabongo w końcu się odezwał.

– To twój problem, szefie. Wciąż myślisz, że Kongo to twój dłużnik. Ale jest dokładnie odwrotnie! To stary, poczciwy Zair ukrywał twoje zdzierstwa, kiedy...

– Wiem, wiem. Wróćmy do Coltano. Mam wrażenie, że jesteś dobrze poinformowany. Wiesz, przez kogo działali nabywcy?

– Trader nazywa się Serano.

– Jak się tego dowiedziałeś?

– A co ty sobie wyobrażasz? Że trawimy całe dni na pieprzeniu się i podjadaniu bananów?

Właśnie tak sądził Morvan, jednak obruszył się.

– Morvan, znajdź tych świrów.

– Wezmę się do tego natychmiast, ale pod jednym warunkiem.

Hiena zachichotała. Kabongo warknął.

– Jeszcze dziś uwolnij mojego syna.

– To jego robota, a wpakował nas w gówno.

– Ma problemy... osobiste.

– Znam jego problemy. I twoje też. Znajdź nabywców, Morvan, i przekonaj ich, żeby sprzedali akcje.

– A kto je odkupi?

– Jesteśmy gotowi – czas, żeby skupić nasze siły w Coltano.

Morvan pomyślał, że z całej tej afery wyjdzie goły. Albo ofensywa się powiedzie, a wtedy go wyrzucą, albo generałowie odkupią akcje i automatycznie uzyskają mniejszość blokującą, a wtedy nie będzie mu łatwo.

– Musicie uwolnić Loïca. Tylko on może mi pomóc w rozwiązaniu tej sprawy. On...

Hiena podeszła i kręciła się pod jego nogami.

– Przypadłeś do gustu Cocotte! – Kabongo cmoknął.

Gliniarz odsunął ją nogą.

– To dlatego, że cuchnę śmiercią. Wypuść mojego syna.

– Nie pędź tak. Mamy inny problem.

– Jaki?

– Ta historia ze skupem akcji to tylko drzewo, które przysłania las.

– Nie rozumiem.

– Prawdziwe pytanie brzmi: dlaczego w tej chwili wszyscy chcą mieć Coltano?

Ta uwaga wcale go nie zdziwiła – czarni potrafili kojarzyć fakty.

– Nie mam pojęcia.

– Może ci ludzie wiedzą o czymś, o czym ja nie wiem. Może są powody, żeby interesować się naszą starą firmą.

– Nie rozumiem, co masz na myśli.

– Na przykład nowe złoża.

Morvan wstał. Cocotte zachichotała.

– Co to za insynuacje? – oburzył się. – Że ukrywam przed tobą jakieś informacje?

– Wiesz, jak to się u nas mówi? „Wszystko ma swój koniec, poza bananem, który ma dwa końce”.

– Przestań gadać jak postać z kreskówki!

– Jeżeli próbujesz nas wykiwać, zrobi się ostro, Morvan.

To był moment, gdy trzeba było podnieść głos.

– Wypuść mojego syna, a podam ci tych kupców na tacy! W przeciwnym razie przysięgam, że wykończę wszystkich twoich ludzi, z tym durniem Mabilia na czele!

– Uspokój się. Uwolnię Loïca, bo jesteśmy jak bracia.

– Najwyższy czas.

– I dlatego, że dasz mi kasę.

– Jaką kasę?

– Chcę dostawać prowizję od eksploatacji nowych złóż.

– Nie ma żadnych nowych złóż!

Cocotte znów zachichotała. Szczekała za swojego pana!

– Nie zmuszaj mnie, żebym wtykał nos w twoje machlojki, Morvan. Nie zmuszaj mnie, żebym ujawnił twoje układy z Tutsi, Mai-Mai i innymi. Załatwmy to między sobą, po cichu, za plecami tego opętanego bękarta.

Krążyła cała masa plotek o Josephie Kabili. Mówiło się, że nie jest synem Laurenta-Désirégo. Niektórzy utrzymywali nawet, że jest z pochodzenia Tutsi. Tym, co najbardziej dziwiło Morvana, nie była niełojalność Kabonga, ale ta cudowna zasada: w Afryce można polegać na jednym – na korupcji.

Skapitulował i wyciągnął rękę.

– Będę cię informował.

– Twój syn wieczorem będzie wolny – zapewnił Kabonga.

Sprawa została załatwiona.

– Zaczekaj – powiedział generał, odwracając się.

W swoim chińskim garniturku pomaszerował w stronę zdewastowanej lodówki. Otworzył ją i wrócił z talerzem *cossa-cossa*, dużych krewetek w czerniejących skorupach. W drugiej ręce niósł naczynko z sosem *pili-pili*.

Podano przekąskę. Morvan zerknął na zegarek. Kwadrans po szóstej. Przy odrobinie szczęścia mógł jeszcze posiedzieć na tym pikniku i zdążyć na samolot.

Kabongo zmiażdżył zębami krewetkę i parsknął śmiechem, odsłaniając różowe dziąsła.

– Mabilia! Czarny Khmer. Jeszcze jeden durny Murzyn!

Stary gliniarz udał, że się śmieje, chwytając robala z papierowego talerza. Hiena poczuła zapach jedzenia i kręciła się w kółko, zastanawiając się, kto mógłby dać jej te łakocie.

– Rzuć jej krewetkę – powiedział Kabongo. – W Afryce zawsze trzeba się dzielić. A ten numer z nowymi złożami był dla ciebie po prostu za gruby. Jak to się u nas mówi: „Kto je orzechy kokosowe, musi mieć wielką dupę!”.

– Riboise ma coś nowego – ze słuchawki dobiegał podniecony głos Tonfy. – Skrawki paznokci i włosy w nadbrzuszu. Nie bardzo wiem, o co chodzi, ale...

– Zleciliście analizę DNA?

– Już trwa.

– Kiedy będą wyniki?

– Według Levantina, za godzinę. Potem trzeba jeszcze będzie przekazać je do FNAEG i...

Była już osiemnasta trzydzieści. Erwan przed chwilą wylądował. Samolot miał opóźnienie. Policjant próbował skontaktować się ze swoimi ludźmi, ale nikt nie odbierał. Popęnił błąd – zmarnował cały dzień, i to w pierwszych, rozstrzygających godzinach śledztwa, a wszystko tylko po to, żeby obejrzeć dom wariatów i przywieźć rzeźby z papieru, które w ciągu doby miał mu dostarczyć żandarm.

Opuścił lotnisko z telefonem przy uchu. Torbę przerzucił przez ramię i jej pas utrudniał mu oddychanie. Wszystko go bolało: jeszcze świeże rany, plecy, bo od dawna miał problemy z kręgosłupem, zęby, którymi zgrzytał. Próbował uładzić myśli, jak wygładza się pomięte kartki przedramieniem.

– Macie coś jeszcze?

– Levantin poddaje analizie gwoździe. Mówi, że każdy metal ma swoją specyfikę, a ta uwidacznia się, kiedy rdzewieje.

– I co?

– Jest taki jakby katalog. Gwoździe używane przez mordercę wykonano ze stopu, który zawiera wiele elementów typowych dla Konga.

Erwan odepchnął podróżnych, którzy czekali w kolejce na postoju i podsunął odznakę pod nos pierwszemu taksówkarzowi:

– Quai des Orfèvres trzydzieści sześć.

Ten adres uciął wszelkie komentarze.

– Pochodzą stamtąd? – podjął, wsiadając do samochodu.

– Najprawdopodobniej tak. Ale te wyjaśnienia Levantina są wstępne, jakby na gorąco.

Tonfa był ochroniarzem grupy, silnym punktem w razie potyczki. Niestety, w kryminalnej rzadko zdarzają się bójki, za to trzeba myśleć i pracować przez okrągłą dobę.

– Żadnych szczegółów?

– Levantin zaczął inne analizy. Wie już, że na gwoździach jest materiał, który może zidentyfikować. Dzięki temu będziemy wiedzieli, czy używano ich do budowy chat w lesie, czy zbijania skrzynek na narzędzia albo na owoce. Włączył do pracy biologów.

– Biologów?

– Badając mikroorganizmy, można ustalić, czy były przewożone drogą powietrzną, czy morską. Na przykład obecność soli albo planktonu, w przypadku cargo...

Te gwoździe mogły więc całkiem dużo wyjawić. Po raz kolejny rada ojca, żeby trzymać się konkretów, okazała się słuszna. Taksówka jechała dość szybko, za to jezdnią w przeciwnym kierunku praktycznie stała w weekendowych korkach.

– Kiedy będą wyniki?

– W nocy.

– Gdzie jesteś?

– W firmie.

Tonfa znowu wymigał się od obecności przy autopsji.

– Zaraz będę.

Erwan zakończył rozmowę i zadzwonił do Audrey.

– To ja. Jak rewizja?

– Nic specjalnego. Typowe mieszkanie młodej dziewczyny. Poważnej, ale i zbuntowanej. Znaleźliśmy tylko dziwaczne kostiumy.

– Co masz na myśli?

– Sama nie wiem. To pomarańczowe bluzy, maseczki medyczne, rurki i pasy. Wygląda jak kostiumy filmowe do horroru.

Zanotował ten szczegół w pamięci.

– A co ze zodiakami?

– Sprawdzamy ETRACO w Île-de-France, ale sporo tego. Wzięłam ze sobą Sergenta. Dzwoni do kapitanatów i właścicieli. Jak dotąd nic.

– A rzeczna? Co oni myślą o mordercy?

– Że to profesjonalista. Zacumował, wciągnął ciało – waga piórkowa, ważyła czterdzieści osiem kilo – a potem po prostu odpłynął. Jak na

manewrach wojskowych.

– Poza tym marynarzem nie macie żadnych świadków?

– Mnóstwo, ale to wszystko bzdury. Tak to jest, kiedy pomagają ci media. Każdy coś widział. Jest cała masa morderców Anne Simoni. Musiałam załatwić specjalne operatorki, żeby nad tym zapanować.

– Zaraz będę w firmie. Tam pogadamy.

– Nie zajmę ci dużo czasu.

Przy Porte d'Orléans ruch nagle się spowolnił. Już chciał polecić kierowcy, żeby włączył syrenę, kiedy uświadomił sobie, że to taksówka.

Został mu jeszcze Sardyńka. Aż chciało się powiedzieć, że Erwan w końcu wybiera sieci.

– Warto było przejrzeć te billingi – Anne Simoni zachowała pewne kontakty w dość podejrzanych kręgach.

– Na przykład?

– Pracujemy nad listą, ale są tam bezdomni, narkomani, dealerzy, byli więźniowie.

– Zlokalizowałeś ich?

– Jeszcze nie. W większości to squattersi, ludzie, którzy oficjalnie nie istnieją.

– Szukaj. Coś tu czuję.

– Mam nadzieję, że w nic nie wdepnąłeś.

Erwan nie zareagował na ten głupi żarcik, element policyjnego poczucia humoru.

– A mój ojciec?

– Z tego, co zgromadziliśmy, widać, że kontakty nie były stałe. Od czasu do czasu wspólny obiad i tyle. Ale nadal nie wiemy, dlaczego ta mała we wtorek dzwoniła do niego aż sześć razy. Pytałeś go o to?

Erwan pomyślał o starym, który pewnie taplał się teraz w kongijskim błocie.

– Wyjechał. Jutro z nim pogadam.

Aleja Maine była zatłoczona. Może zatrzymać się przy komisariacie centralnym i wziąć od nich wóz, żeby pojechać dalej na sygnale? – pomyślał. Nie, załatwienie tego zajęłoby jeszcze więcej czasu.

– Chwileczkę... – zwrócił się do taksówkarza. – Może pan przecież wyprzedzić!

– Może mi pan powie jak?! Nie zależy mi na łapaniu punktów karnych!

Erwan wyciągnął odznakę.

– Skoro tak, to radzę, żebyś dodał gazu, i to już! Poradzisz sobie!

Złorzecząc, kierowca zjechał na lewy pas alei, wyprzedził kilka aut, schodząc na przeciwny pas ruchu, teraz jakimś cudem pusty.

Erwan wrócił do rozmowy z Favinim:

– Jesteś w biurze?

– Zamierzałem właśnie jechać do dzikich krajów.

– Zaczekaj na mnie. Będę za pięć minut.

– Gadanie! – Kierowca zaśmiał się.

Erwan schował telefon. Jechali teraz ulicą Vaugirard, wciąż bardzo wolno.

– Jedź na czerwonym.

– Ale...

– Kurwa, nie zamierzam powtarzać dwa razy!

Kierowca przeciął ulicę Rennes przy dźwięku klaksonów. Erwan wybrał numer Kripo – w tym tempie jego ludzie nie będą mu już mieli nic do powiedzenia, kiedy dotrze do biura.

– Mam coś, co nie dotyczy bezpośrednio tej sprawy, ale jest interesujące – rzucił Alzarczyk.

– Co?

– Pamiętasz tego rzeźbiarza, o którym ci opowiadałem, Lartigues’a, mentora wspólnoty *no limit*?

– Właściwie nie.

– Sprawdziłem jego profil w internecie i zobaczyłem jego rzeźby. Radzę ci to obejrzeć.

– Po co?

– Wysłałem ci link, mozesz...

– Siedzę w samochodzie, mów.

– To gigantyczne wersje fetyszy, o których mi mówiłeś.

– *Minkondi*?

– Właśnie. Ogromne postacie naszpikowane gwoździami i żelastwem. Makabryczne twory, które sprzedają się za zawrotne sumy.

Erwan nie wierzył w wersję w rodzaju „Rzeźbiarz zaczął pracować na ludzkim ciele”, jednak potwierdzało to istnienie łańcucha, który sobie już wyobraził: zwolenników *no limit*, amatorów sado-maso, Człowieka Gwoździa, obecnych morderstw.

– Wydrukuj mi zdjęcia, zaraz będę w firmie. A czego się dowiedziałeś

o tym Lartigues'u?

– Zaistniał w latach osiemdziesiątych, po studiach w Paryżu i Rzymie. Odrzucił ówczesne nurty transawangardowe i podobne, żeby poświęcić się formie surowej rzeźby, której inspiracją była sztuka afrykańska. Facet jest dobry.

– Kartoteka?

– Nie był nawet świadkiem. Już jako dwudziestopięciolatek zaczął zarabiać fortunę. Pracownie w Paryżu, Rzymie, Nowym Jorku. Głośne wystawy. Światowe życie, ale w stylu bohemy. Jeden z tych, którzy jeżdżą na rowerze, ale mają jaguara i kierowcę.

– *A no limit?* Nigdy nie miał problemów z policją?

– Nie posuwa się chyba zbyt daleko, a jak dotąd za to, że ktoś daje się chłostać po dupie, nie grozi odpowiedzialność karna. A co tam w Instytucie Charcota?

– Ślepy zaułek. Później ci wyjaśnię.

Kiedy samochód skręcał w *quai des Orfèvres*, Erwan spojrzął na zegarek: dziewiętnasta dziesiąta. Jeszcze tylko krótka odprawa i wszyscy wrócą na noc do roboty. Wszyscy oprócz niego.

Był umówiony z Sofią. O dwudziestej trzydzięci w *Mimmo*, małej włoskiej restauracji na ulicy *Blanche*. Kiedy nie można żyć bogato, najlepiej wybrać prostotę.

Szedł po schodach „36”, kiedy dosłownie rzuciła się na niego młoda kobieta. Poznał sekretarkę Fitoussiego, dowódcy brygady kryminalnej.

- Chce pana pilnie widzieć – szepnęła. – Natychmiast!
- Ale mogę chyba zostawić rzeczy w moim gabinecie?
- Nie. To nie może czekać. Jest wściekły.

Był właśnie na piętrze dowódcy. Stojąca w półmroku klatki schodowej dziewczyna wyglądała na spanikowaną.

- Dobrze, idę.

Gabinet pana i władcy był największym pokojem, jakim dysponowała brygada, a zajmowało go wielu legendarnych policjantów, jednak na Erwanie nie robiło to wrażenia – Fitoussi w każdym wnętrzu pozostałby dupkiem. Grubasem, który karierę zrobił dzięki poparciu politycznemu i wszędzie dopatrywał się spisków.

- Do diabła, gdzie pan się podziewał?!
- Wyjechałem do Bretanii. W związku z poszukiwaniem elementów, które mogą przyczynić się do odkrycia prawdy.
- Nie czas na wygłupy. Co to za podróż?
- Zabójca Anne Simoni wzoruje się na mordercy, który został niegdyś umieszczony w UMD w Finistère. Musiałem zbadać ten aspekt sprawy.
- I co?
- Nic. Tamten człowiek zmarł przed trzema laty. Nie kontaktował się z innymi pacjentami. Ostatnio z placówki nikogo nie zwolniono, nie doszło też do ucieczki.

Fitoussi wstał i wsunął ręce do kieszeni. Patrząc na jego brzuch, trudno był nie zadawać sobie pytania, jak ciało mogło ulec aż tak poważnej deformacji.

- Dzwonią z prokuratury. Dzwoni też prefekt. Dzwoni Valls. A pan wraca sobie do Bretanii? Powiedziano mi, że ta sprawa ma coś wspólnego z tą z otrzęsin, czy to prawda?

– Wszystko na to wskazuje. Wissa Sawiris, ofiara ze szkoły pilotów, został niewątpliwie zabity w ten sam sposób. Jednak stan ciała rozerwanego przez

pocisk nie pozwala na uzyskanie pewności w wielu kwestiach. Na sto procent wiemy jedynie, że zabójca zostawił w jamie brzusznej pilota paznokcie i włosy ofiary znad Sekwany.

– To obrzydliwe.

– Nie, to religijne.

– Co takiego?

– Zapomnijmy o tym.

– Niech mi pan oszczędzi tych swoich dogłębnych analiz i rozważań! Morvan, myśli pan, że takie rzeczy doprowadzą nas do zabójcy?

– Nie, ale lekarz sądowy znalazł to samo w zwłokach Anne Simoni. Mogłyby nas doprowadzić do kolejnej ofiary.

Fitoussi podszedł do okna. Rozciągała się z niego najpiękniejsza panorama w „36”: rozległy widok na Sekwanę, nabrzeża, budynki z XVIII stulecia. Niestety, dzisiaj ten pejzaż kojarzył im się przede wszystkim z odnalezionym wczoraj ciałem.

– Coś jeszcze?

– Niewiele. Nasz klient nie zostawia żadnych śladów. Analizujemy gwoździe, kawałki metalu i szkło – prawdopodobnie pochodzą z Afryki. Czekamy na wyniki innych badań, bo być może gwoździ użyto do zbijania skrzyń na produkty organiczne albo...

Gruby gliniarz odwrócił się gwałtownie w stronę Erwana. Nosił przyciemniane optyczne ray-bany, w których wyglądał jak biznesmen mafioso z Lazurowego Wybrzeża.

– Chyba pan nie zrozumiał, Morvan: nie mamy czasu na hodowanie bakterii z muszych bździn. Tego rodzaju zabawy są dobre dla telewizji. Ma pan coś bardziej konkretnego? Zeznania? Podejrzanych? Kurwa, to jest pożar!

– Reportaże spowodowały lawinę zgłoszeń, ale to same bzdury. Ludzie chcą na siebie zwrócić uwagę, mają wybujałą wyobraźnię, kłamią.

– Do diabła...

Fitoussi krążył po biurze jak utuczony niedźwiedź po zbyt ciasnej klatce. Erwan fizycznie czuł upływ każdej sekundy. Chciał jak najszybciej spotkać się ze swoimi ludźmi.

– Obiecuję panu – zaryzykował, żeby jak najszybciej zakończyć tę rozmowę – że jutro rano przedstawię konkretne wyniki.

– Mam nadzieję. Muszę powiedzieć coś mediom.

Erwan postanowił iść na całość i sypanąć mu garść bzdur:

– Powiększyliśmy zespół – teraz sprawą zajmuje się ponad dziesięciu ludzi. Laboratorium kryminalistyki pracuje pełną parą. Przeszłość i otoczenie Anne Simoni zostały dokładnie sprawdzone i...

– Nie ma z tym żadnych problemów?

– Jakiego rodzaju?

– Dobrze pan wie.

Zrozumiał aluzję.

– Ojciec poparł zwolnienie ofiary i pomógł jej zaadaptować się do życia na wolności, to wszystko.

Fitoussi zerknął na niego, lekko zsuwając okulary.

– Grégoire dał mi do zrozumienia, że ta sprawa może mieć jakiś związek ze śledztwem, które kiedyś prowadził.

– To prawda. Aresztował mordercę, który jest wzorem naszego zabójcy.

– To ten, którego trzymano w Bretanii?

– Człowiek Gwóźdź. Ojciec dopadł go jako młody policjant w roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym pierwszym w Zairze.

Komisarz potarł czoło ręką, jakby zapragnął uwolnić się od natłoku problemów, które rozsadzały mu głowę.

– Znam tę historię. Boże, to...

– Przepraszam.

Zadzwoiła komórka Erwana. SMS. Ważny – sygnał od jego grupy.

Wiadomość wysłał Kripo:

„Rusz się. To pilne”.

W samochodzie, który pędził na sygnale do 12 dzielnicy, Erwan zapoznawał się ze wstępnymi informacjami zebranymi przez Ludovika Pernauda. Tajemnicze paznokcie i włosy przemówiły: należały do trzydziestodwuletniego polityka, ekstremisty, dwukrotnie skazanego. Jego dane genetyczne znajdowały się we FNAEG.

Na razie informacje na temat Pernauda składały się na niespójny portret. Działacz skrajnej prawicy. Skazany na rok więzienia w zawieszeniu na dwa lata za udział w napaści na czterech lewicowych studentów w roku 2002 na terenie kampusu uniwersyteckiego w Nanterre. Po roku skazany na trzy lata bezwzględного więzienia za przemoc wobec działaczy LDJ²⁷ i Betaru podczas proizraelskiej manifestacji i nieumyślne spowodowanie śmierci. Po odbyciu kary pojawia się w roku 2006 w Gujanie Francuskiej, podczas nieudanej próby wzięcia zakładników przez kreolskich bojowników na lotnisku w Cayenne. Tym razem – jeśli tak można powiedzieć – po dobrej stronie, bo jako jeden z interweniujących spadochroniarzy; zostaje ranny. Potem znów znika. Obecnie mieszkał w Paryżu na ulicy de la Voûte 45, w pobliżu porte de Vincennes. Bezrobotny i jego jedynym źródłem utrzymania była renta inwalidy wojennego. Nie miał telefonu ani samochodu. Nie miał konta bankowego ani karty kredytowej.

Taki był człowiek, którego paznokcie oraz włosy znalazły się w ciele Anne Simoni. Erwan był przekonany, że jadą do nieboszczyka, i nie wiedział, co o tym myśleć. Dlaczego morderca wybrał akurat jego?

Dojeżdżając do porte de Bercy, otrzymał nowe wiadomości od Kripo, który został w „36” – w terenie był raczej nieprzydatny. Zdjęcie potwierdzało pierwsze wrażenia na temat Pernauda, który wyglądał na faszystę o zdecydowanych przekonaniach. Ostre rysy, twarz pozbawiona ekspresji, kanciasta. Facet, który na co dzień lubi ubierać się w ciuchy koloru khaki, a w niedzielę – w panterkę.

Jadąc na miejsce, Erwan poprosił o wsparcie Tomasiego i jego osiłków z BRI. Nie cenił ich zbyt wysoko, ale byli to ludzie szkoleni do interwencji

zbrojnych. Być może Pernaud jeszcze żył i był w jakiś sposób zamieszany w morderstwa. Po prostu jego profil skłaniał do wzmożonej ostrożności. Kripo ustalił, że ma kartę Francuskiej Federacji Strzeleckiej i co najmniej pięć sztuk broni palnej.

Zatrzymali się na bulwarze Soult i stwierdzili, że ulica de la Voûte jest jednokierunkowa – GPS-y zawiodły. Zawrócili, zatoczyli szeroki krąg, by znów natknąć się na zakaz wjazdu. *Cholera!*

Włączenie syren było wykluczone, nie mogli też jechać pod prąd. Po wielu manewrach i kłótniach prowadzonych przez radio zatrzymali się na placu Vincennes, przed pasażem de la Voûte, czyli schodami prowadzącymi na ulicę o tej samej nazwie.

Vamos. Piechotą, bez widocznych odznak, biegli po schodach.

Zapadała noc. Okolice była wyludniona. Sprawne otwarcie drzwi. Erwan przepuszczał członków swojej grupy w poczuciu bezpieczeństwa: Tonfa był silnym facetem, Sardynka doskonałym strzelcem, Audrey prawdziwą sandinistką.

Nie było dozorczyń, ale za to w oszklonej gablocie nazwiska lokatorów, a na ich czele Ludovic Pernaud – trzecie piętro po lewej. Wsparcie z BRI znalazło drugie wejście z wewnętrznego dziedzińca. Szybka odprawa w ciemnym holu cuchnącym wilgocią, środkami do dezynfekcji i zsympem.

– Tomasi, ty...

– Żadnych nazwisk podczas operacji.

Erwan westchnął.

– Wchodzę z moimi ludźmi, ty zabezpieczasz parter, okna od strony podwórka i dachy.

Tomasi nie lubił, by ktoś wydawał mu rozkazy, ale zaakceptował ten ogólny plan. Bez słowa wręczył Erwanowi słuchawkę, a ten z trudem wsunął ją tak, żeby nie wypadła.

– Jesteśmy na tej samej częstotliwości – szepnął kowboj.

Różowy, ogolony gładko jak nowo narodzone prosię, bardziej przypominał pilotów z Kaerverec niż gliniarzy, którzy pojawiają się w „36”.

– Odezwę się, kiedy wejdziemy na górę – powiedział Erwan i usłyszał echo własnego głosu w korytarzu.

Wszyscy wyjęli broń, a charakterystyczny dźwięk wydał się w tej zamkniętej przestrzeni hałasem. Ludzie z BRI szli w kierunku podwórza, Erwan i jego grupa, poruszając się możliwie najciszej, zbliżyli się do klatki

schodowej. Na podeście pomiędzy drugim a trzecim piętrem wysunął się na czoło ekipy. Nie zapalali światła. Deski podłogi potwornie skrzypiały. W ciemnościach dostrzegli po lewej zarysy dwojga drzwi.

Erwan włączył latarkę i odniósł wrażenie, że ta lampa płonie jego własną energią. Dosłownie kipiał, serce biło mu jak dzwon. W snopie światła zobaczył nieznajome nazwisko na jednych drzwiach, tuż obok dzwonka. Na drugich nie było żadnej tabliczki. Przytknął do nich ucho – głucha cisza. Dał ludziom znak i cofnął się, szepcząc do mikrofonu:

- Jesteśmy na miejscu. A wy?
- Na pozycjach. Jakiś ruch wewnątrz?
- Kompletna cisza. Zaczynamy.

Erwan podszedł, trzymając się prawej, żeby nie znaleźć się na linii ognia. Czuł, że po zaciśniętych na rękojeści splotu palcach spływa mu pot.

Zapukał i krzyknął:

- Policja! Proszę otworzyć!

Brak odpowiedzi. Zresztą raczej oczekiwał, że otworzą się sąsiednie drzwi, jak to bywa w takich sytuacjach. Dał znak Tonfie, który podszedł, niosąc taran Monoshock. Pierwsze uderzenie – drzwi ani drgnęły. Po nim nastąpiło drugie i trzecie – drzwi były pancerne.

Przy każdym huku Erwan myślał o pozwoleniach, jakie prefektura wydała Pernaudowi: dwa karabiny kalibru .22, jeden pump action remington kalibru 12, automatyczny pistolet Glock kaliber 9 mm, sześciopalcowy rewolwer Smith and Wesson .357 Magnum.

W końcu udało się wyważyć drzwi, które z łoskotem wpadły do mieszkania. Wyrwane metalowe zawiasy i części futryny o mało nie uderzyły Tonfy, gdy z rozpędu wskoczył do środka. Erwan odepchnął go ramieniem na bok i odruchowo przybrał pozycję strzelecką.

- Policja! Po...

Słowa zamarły mu na ustach. Ściany mieszkania były pomazane krwią. Kreski, motywy, chlapnięcia, które przypominały bóstwa Yombe. Maski typowe dla sztuki prymitywnej. Sagaje w kształcie penisa. Krzywizny przypominające węże.

Kiedyś ten pokój był domem imającego się różnych zajęć pasjonata broni, skrajnego prawicowca, który miał na koncie rozmaite ohydne postęпки, jak choćby napaść na kibiców piłkarskich, o czym przypominały wiszące na ścianach wycinki prasowe. Ale teraz było to zdemolowane pomieszczenie,

pole bitwy – przetrząśnięte i wywrócone do góry nogami. A poza tym miejsce makabrycznej zbrodni. Połało się tu tyle krwi, że podłoga wyglądała jak w rzeźni. Ciężki, metaliczny zapach uderzał w nozdrza już od progu. Ludovic Pernaud został złożony w ofierze w ciągu dwunastu minionych godzin.

Bez słowa wchodzili do pokoju, odruchowo formując klin, którego ostrzem był uzbrojony Erwan. W uchu rozbrzmiał mu nerwowy głos:

- Do diabła, co z wami?
- Teren bezpieczny. Nie ma tu już żywego ducha.
- I co tam macie?
- Przyjdźcie, a zobaczycie.

Pośrodku – łóżko zostało podniesione i oparte o ścianę – ujrzeli ciało Ludovika Pernauda skulone w okrągłym wiklinowym koszu wysokości około metra. A na koszu zakrzepła krew. Wystawała z niego tylko głowa, zmasakrowana kiściami gwoździ, które sterczały z czoła, policzka i brody. Mimo takich okaleczeń spadochroniarz – ogolony, o ustach zastygłych w krzyku agonii – był rozpoznawalny. Wbite w oczodoły kawałki lustra wieńczyły potworne dzieło. Gdziekolwiek był teraz Pernaud, z pewnością widział świat duchów.

Policjanci okrążyli zwłoki. Z kosza wysuwały się poczerńiałe strzępy. Łatwo było je rozpoznać – to były pasy zakrwawionej skóry. Erwan zauważył, że to ciało było jakby reprodukcją figurki z gabinetu ojca. Przypisywano jej moc pożerania uroków i chorób. Taką figurkę z papieru zrobił także Pharabot.

Schował broń i powiedział szeptem:

- Ściągnijcie prokuratora, techników i zakład pogrzebowy.

Wszyscy bali się poruszać, żeby nie nadepnąć na żaden skrawek skóry. Erwan domyślał się, że nawet nie oddychali, przytłoczeni taką dawką makabry. Cała ta scena rozgrywała się jakby w zwolnionym tempie, w surrealistycznym świecie.

Ale on był w zupełnie innym stanie. Zapamiętywał każdy szczegół, patrzył na to chłodniej, jakby z dystansu. Oddychał w kontrolowany sposób, żeby nie wdychać smrodu tej jatki.

Ale jeszcze gorzej zrobiło się, kiedy na miejsce dotarli policjanci z BRI: ośmiu osłupiałych facetów w czerwonej od krwi norze.

Erwan wyjął z ucha słuchawkę i sięgnął po telefon. Powoli – miał

wrażenie, że każdy jego gest jest nienaturalny, rozłożony na poszczególne etapy – napisał SMS do Sofii: „Przepraszam. Spóźnię się”.

Kiedy czarni go zostawili, nie mógł nawet ruszyć ręką. Niemal dobę tkwił ze związanymi z tyłu rękami, skulony na podłodze samochodu. Dano mu dwie chwile wytchnienia – raz, kiedy mógł się wysikać, drugi, kiedy dostał coś do jedzenia. Wielokrotnie go przewożono, zakładając mu na głowę kominiarkę, którą zdejmowano lub nie po dotarciu do celu. Tak czy inaczej sceneria zmieniała się nieznacznie – z opustoszałego parkingu przejeżdżali na pustkowie, na teren porzuconego zakładu przemysłowego.

Mimo stałego zagrożenia Loïc czuł, jak strach słabnie. Domyślał się, że ojciec już zajął się jego losem i że z każdą chwilą, niepostrzeżenie, sytuacja się poprawia.

Problemem była jednak koka – jej głód doskwierał mu znacznie bardziej niż strach, brak powietrza czy odrętwienie ciała. Potrzeba narkotyku przejawiała się nagłymi, czasem przeszywającymi bólami. Zdarzało się, że nagły atak paniki męczył go aż tak, że zaczynał pragnąć śmierci. Dopadały go też przykre doznania fizyczne – trzął się z zimna, skręcało mu wewnątrzności, miał drgawki. Potem znowu widział tuż przed sobą białe kreski, piękne białe kreski, do których nie mógł się zbliżyć. Ten stan przemijał, a Loïc zgrzytał zębami, czekając na kolejny kryzys.

Teraz był sam na parkingu.

Tamci faceci ściągnęli mu kominiarkę i przecięli więzy, zanim wypchnęli go na zewnątrz. Ostatni samochód, którym jechali, miał tablice dyplomatyczne, co znaczyło mniej więcej: „Możesz je sobie zapamiętać, nikt nas nie ruszy”. Zresztą nie myślał wystarczająco trzeźwo, żeby cokolwiek zapamiętywać. Podniósł tylko swój telefon i portfel, kiedy rzucono je przez okno auta, a potem zaczął masować nadgarstki.

Siedząc na ziemi (jego garnitur – już drugi zniszczony w ciągu dwóch dni – był poplamiony tłuszczem), sprawdził telefon: jakimś cudem bateria jeszcze się nie rozładowała, ale w tej norze nie było zasięgu. Lekko się zataczając, doszedł do wyjścia. Był głodny, chciało mu się pić, chciało mu się ćpać, był podłamany. Słyszał odgłos własnych kroków w tym pustym,

betonowym pomieszczeniu. Gdzie ja jestem? – zastanawiał się. Postarał się uporządkować myśli i określić hierarchię spraw: po pierwsze, zorientować się, co to za miejsce. Mógł być tuż pod Paryżem albo na drugim końcu Île-de-France. Po drugie, znaleźć bankomat – tamci oddali mu tylko karty kredytowe.

Kiedy wyszedł na zewnątrz, jego oczom ukazał się przytłaczający pejzaż przemysłowego przedmieścia. Długa aleja najeżona latarniami, czarne bryły budynków, kominy fabryczne. To mogło być Nanterre, Gennevilliers albo Ivry-sur-Seine. Ruszył, szukając tablicy informacyjnej, gdy nagle przypomniał sobie o sprawie najważniejszej: Milli i Lorenzu. W przerwach między kryzysami nie przestawał o nich myśleć – był piątek, zaczynał się jego weekend z dziećmi. Kto odebrał je ze szkoły? Czy ktoś zadzwonił do ich matki? Czy stary zapanował nad sytuacją? Był pewien, że tak.

Zadzwonił do Gaëlle, która zwykle przejmowała opiekę nad dziećmi, kiedy on nie mógł. Szybko go uspokoiła – była u niego, Lorenzo i Milla już spali. Zażądała jednak wyjaśnień, a on zaczął się mętnie tłumaczyć. Z jeszcze większą powściągliwością odpowiedział na pytanie o trwający u niego remont.

– Będę za pół godziny.

W końcu zobaczył nazwę: „Stains”. Sprawdził wiadomości – w ciągu doby dostał ich prawie trzydzieści. Interesowały go tylko te od ojca. Morvan dzwonił już dwa razy. Na pewno wiedział, że go uwolniono, i chciał usłyszeć głos syna, żeby to sprawdzić.

Loïc oddzwonił. Usłyszał dziwny dźwięk.

– Jesteś na zewnątrz? – zapytał stary tubalnym głosem.

– Tak, przed chwilą mnie wypuścili. Co zrobiłeś?

– Wyjaśnię ci. Właśnie wchodzę na pokład.

– Dokąd lecisz?

– Do Paryża. Jestem w Kinszasie. Potrzebne były negocjacje na szczycie.

– Czyżbyś... zapłacił?

– Nie. Ale mamy mało czasu na udowodnienie, że działamy w dobrej wierze.

– W dobrej wierze? O co oni cię oskarżają?

Morvan uchylił się od odpowiedzi.

– Kabonga podał mi nazwisko tradera, który kupuje pakiety akcji.

– Jak to ustalili?

– Nie jest takim durniem jak ty. To niejaki Serano.

Loïc zaklął pod nosem. Tamtej nocy nie udało mu się wyciągnąć z niego prawdy.

– Znam go.

– Odwiedzisz tego kumpla i zmusisz do gadania.

– Dlaczego miałby cokolwiek powiedzieć?

– Przekonaj go. Musimy wiedzieć, kto jest nabywcą. To nasza jedyna szansa, inaczej czarnuchy nam nie uwierzą!

Loïc potarł twarz ręką. I poczuł się, jakby dotknął trupa.

– Nie poradzę sobie.

– W takim razie dzwoń do Erwana.

Wzmianka o bracie natychmiast go ożywiła.

– Pójdzie, wybije mu zęby, a ja zbiorę informacje? Tak to sobie wyobrażasz?

– Potrafi przekonywać.

– Nie wiem, w jakim świecie żyjesz, tato. Spraw, o które chodzi, nie załatwia się pięścią. To giełda, a nie saloon!

Minęło kilka sekund i Loïc sądził, że połączenie zostało przerwane, ale wreszcie rozbrzmiał głos ojca, ostry jak brzytwa.

– Wsiadam do samolotu. Wracaj do domu i weź kąpiel. Gaëlle zaopiekowała się dziećmi. Jutro rano pójdziesz do Serana.

– Powtarzam ci, że...

– A ja ci mówię, że świat to jeden wielki saloon. Twoi finansiści są jak kozie bobki pod butami moich kowbojów. Brat z tobą pójdzie i zapewniam, że Serano padnie na kolana, dziękując, że nadal ma zęby w gębie.

Obrus w kratę, karafka z wodą, tania świeca – Erwan wstydził się teraz, że zaprosił Sofię do takiej knajpy. Miejsce, które zapamiętał jako dobrą włoską restauracyjkę, stało się nędzną pizzerią. Na domiar złego pomyślał, żeby przyprowadzić tu rodowitą florentynkę, był równie idiotyczny, jak zaproponowanie lordowi ryby z frytkami.

Jakimś cudem udało mu się wymknąć, kiedy na ulicę de la Voûte dotarła ekipa techników kryminalistyki i furgon na zimne mięso. Dołączył do Sofii, która siedziała już przy stoliku – cierpliwa i uśmiechnięta. Tytułem wstępu pozwolił sobie na żarcik z własnych ran, a potem musiał wytłumaczyć bratowej, skąd się wzięły.

I wtedy zaczęły się prawdziwe problemy.

Nie mógł się skupić. Dwa morderstwa w ciągu dwóch dni. Trzy w ciągu tygodnia, jeśli liczyć Wiszę. To niemal na pewno była sprawa jego życia. Szansa, by za parę lat zostać nadinspektorem, albo – jeśli ją zmarnuje – perspektywa kiszzenia się na poddaszu prefektury. Erwan słyszał wypowiedane przez Sofię słowa, ale nie mógł uchwycić ich znaczenia, jakby mówiła do niego w obcym języku.

– Słuchasz mnie?

– Oczywiście.

Pernaud wpakowany do kosza i odarty ze skóry, która opadała jak makabryczne płatki kwiatów. Morderca, który funkcjonował w innym wymiarze, w innym świecie, gdzie panoszą się demony i tajemne moce. Erwan trzymał się myśli, że jedyną różnicą między dawnym i nowym mordercą był gwałt analny, co w przypadku Pernauda należało dopiero sprawdzić. Być może morderca walczył ze skłonnościami homoseksualnymi albo nekrofilskimi. Gwałcąc własne *nkondi*, nie zaspokajał pożądania, ale odprowadzał nad nim egzorcyzmy.

– Co o tym sądzisz?

– Słucham? – Drgnął.

– Pytam, co sądzisz o podziale opieki nad dziećmi: co drugi tydzień, czy

co drugi weekend i wszystkie środy?

– Chyba nie doszłście jeszcze do tego etapu, co? – uchylił się od odpowiedzi, nie miał najmniejszego pojęcia o tym wszystkim. – Na razie to ty masz opiekę.

– Ale nie jest to moim celem. Milla i Lorenzo potrzebują ojca.

Erwan postanowił ją sprowokować:

– W takim razie wróćcie do siebie.

– Nie ma mowy.

– Jesteś pewna, że nic już do siebie nie czujecie?

Odkroiła kawałek pizzy, a potem przeżuwała ją, zupełnie obojętna.

– Wiesz, co mówił o miłości Nixon?

– Prezydent Stanów Zjednoczonych?

– „Miłość jest jak cygaro. Jeśli dopuścisz, by zgasło, to możesz je wprawdzie zapalić, lecz już nigdy nie będzie miało tego samego smaku”. Po co sklejać rozbity dzban? Jesteśmy jeszcze młodzi. Czekają nas inne spotkania. Pamiętaj też o narkotykach – dopóki Loïc nie upora się z nałogiem, mam obowiązek chronić dzieci.

Nihil novi sub sole. Nowością tego wieczoru był tylko swobodny ton Sofii. Wydawała się spokojna, wręcz pogodna. Rozwód, jak każda wojna, ma także okresy zawieszenia broni.

– A ty? – zagadnęła. – Zawsze rozmawiamy o twoim bracie, o wygłupach twojej siostry, ale powiedz, co u ciebie.

– Pochłania mnie praca. – Jakby na potwierdzenie, spojrzął na zegarek. – Pracuję właśnie nad sprawą...

Zadrżał, gdy położyła rękę na jego dłoni.

– Nie. Pytam o twoje życie osobiste. Na co czekasz, dlaczego nie zakładasz rodziny, nie masz dzieci?

– To nie jest obowiązkowe.

– Ale nie jest też przekleństwem. Masz kogoś na stałe?

Pytała o to już w Ogrodzie Luksemburskim.

– Nie. Przelotne przygody.

– Uroczo.

Obawiał się, że się zaczerwieni.

– Nie to miałem na myśli, chciałem...

– Gdzie poznajesz te swoje laski?

Oczy Sofii rozbłysły – wreszcie zaczęli rozmowę o poważnych

sprawach.

– W pracy, przy okazji różnych śledztw.

– I jaki jest twój typ?

Odpowiedział bez wahania. Tego wieczoru nie potrafił kryć się za maską. Zresztą nie wiedział, jaką osobowość chciałby pokazać.

– Kelnerki, ekspedientki.

– Tak leczysz kompleks wyższości?

– Nigdy nie traktuję ich z góry.

– A o czym z nimi rozmawiasz?

– Nie bądź taka – zaoponował. – Ja naprawdę je lubię... bo są ładne.

– Bardzo oryginalne.

– Pytasz, więc odpowiadam.

– Nie wszystkie są ładne.

– Prawie. To element ich pracy.

Uniosła rękę, żeby przywołać kelnera.

– Zamówię wino. Ciebie nie namawiam.

Powiedział jej wcześniej, że dziś nie pije, bo chciał wrócić do „36” absolutnie trzeźwy.

– Ja też się napiję – zmienił zdanie.

Postawiono przed nimi drugą karafkę – czerwoną. Kiedy napełniał kieliszki, Sofia znów przystąpiła do ataku.

– Czyli są ładne. Ale to chyba nie wszystko?

– Mają też w sobie coś z istot zagubionych, a to mnie ekscytuje.

– W jakim sensie? – zapytała, popijając wino.

Spuścił oczy i wpatrywał się w pizzę. Nawet jej nie tknął. Nie był w stanie nic przełknąć. Sofia była tak blisko. I tamto ciało z ulicy de la Voûte...

– Mam pewną teorię dotyczącą urody kobiet.

– No, no, zaciekawileś mnie...

Uniosła pusty już kieliszek.

– Ładnym dziewczynom wiele się obiecuje, a one zaczynają żyć tymi kłamstwami. Kiedy są małe, opowiada się im, że będą księżniczkami. Kiedy rosną, przepowiada się im karierę modelek. A później aktorek. Stopniowo te dziewczyny pogrążają się w marzeniach, rozleniwiają się. I tracą wytrwałość i wolę walki.

– A mnie się wydaje, że nikt nie jest tak wytrwały jak początkująca aktorka. Popatrz tylko na swoją siostrę.

– Daj spokój. To wciąż tylko marzenia. Tym dziewczynom brak siły, żeby zmierzyć się z prawdziwym życiem: z gównianą pracą, wrednym szefem, nędzną pensją.

– Nie zgadzam się, wiele początkujących modelek i aktorek pracuje w restauracjach, chwytają się różnych chwilowych prac. W Nowym Jorku...

– Ale to wszystko jest tymczasowe, a one żyją nadzieją na prawdziwy kontrakt.

– Do czego zmierzasz?

– Ta prowizorka staje się permanentna. Tymczasem tak zwana sytuacja przejściowa to po prostu realne życie. Lata mijają, dziewczyny nie mają porządnego wykształcenia ani zawodu. Nie kończą szkoły, nie studiują, nie odbywają staży. Zostają gołe i bezbronne w walce o przetrwanie.

Obróciła uniesiony kieliszek i sama dołała sobie wina. Miała na sobie granatowy sweterek w serek, ażurowy, ale o bardzo drobnym splocie. Kiedy się pochyliła, zobaczył przypadkiem – o ile świadoma siebie kobieta pokazuje cokolwiek przypadkowo – ramiączko jej biustonosza. Natychmiast spuścił oczy, jak przyłapany na psocie chłopiec. W głębi ducha zawsze myślał, że Sofia nie ma ani piersi, ani łona. Nie była istotą z krwi i kości.

– A ty chcesz je uratować?

Zmarszczył brwi – nie powinien się jej zwierzać. W obszarze pożądania i uczuć psychicznie pozostawał na poziomie trzynastolatka. Nie bez powodu, bo jego doświadczenia były mniej więcej takie, jak nastolatka.

– Daj spokój.

Sofia zaśmiała się gardłowo. Była już lekko podchmielona, ale to sprawiało, że stała się jeszcze bardziej pociągająca. Skrzyżowała ręce na stole i przysunęła się.

– Opowiedz mi o tej, która najbardziej ci się podobała.

– Pracowała w perfumerii Sephora na Champs-Élysées – odparł spontanicznie. – Drobną, bardzo dumna, śliczną, ale nie lubiła seksu.

– Piekielna wada.

– Mnie to nie przeszkadzało.

– Też tego nie lubisz?

– Niezbyt.

Cmoknęła. Na pół pijana, stała się bliższa, bardziej rzeczywista. Wino zaróżowiło jej policzki. Oczy w kształcie migdałów lekko się zamgliły.

– Kilka lat temu – wyznał – miałem depresję.

– Nie wiedziałam. Zamówimy jeszcze wino?

– Nie, mam wrażenie, że dość już wypiałś.

Znów obudził się w nim jansenista. Skwitowała tę przemianę śmiechem. Chciała usłyszeć dalszy ciąg opowieści.

– Wyszedłem z tego dzięki środkom antydepresyjnym i uspokajającym. Te leki działały cuda, ale fatalnie wpłynęły na moje libido.

– To prawda, co się mówi? Powodują impotencję?

– Wystarczyło, że tak myślałem, żeby mnie to spotkało. Odtąd seks jest dla mnie źródłem stresu, powodem lęków i obaw.

– Trema artysty.

Zdecydował się wreszcie wypić łyk wina.

– Lepiej zaczynać skromnie, bo wtedy na mecie może cię czekać miła niespodzianka.

– Podniecające...

Poczuł, że lepiej na tym poprzestać. Podeszedł do kasy i zapłacił. Ta kolacja była kompletnym fiaskiem. Z pewnością nie przyniosła nic nowego. Gliniarz i hrabina – żadne z nich nie wyszło poza ramy swojej roli. Co z tego, pomyślał z czystego tchórzostwa, za pół godziny będę już w „36”.

Podał Sophie żakiet i odprowadził ją do drzwi. Wyszedł przodem, jakby chciał chronić ją przed tłumem.

– Przyjechałaś samochodem? Bo...

Nie dokończył zdania – usta Sofii przywarły do jego warg. Nic nie poczuł. Tylko zawrót głowy, gdzieś głęboko. Jego mózg jakby się zaciął – nie potrafił przeanalizować tego, co się działo.

Wielkim wysiłkiem woli przywołał obraz zwłok Pernauda, odartych ze skóry jak obrany owoc, rozpruty brzuch Anne Simoni, ochłapy Wissy Sawirisa. Wrócić do biura, zająć się śledztwem!

Oderwał od niej usta, ale natychmiast zmienił zdanie – objął Sofię, nagle wiotką w jego ramionach. Całował ją jak szalony, dając nareszcznie upust uczuciom, które towarzyszyły mu od lat, od chwili – uświadomił to sobie dopiero teraz – kiedy ujrzał ją po raz pierwszy.

Kiedy rozluźnił uścisk, uśmiechnęła się zażenowana, a on oparł się o maskę jakiegoś samochodu, ledwie trzymając się na nogach, czując w ustach smak wina.

Sofia pierwsza odzyskała zimną krew – siła kilku stuleci florentyńskiego szlacheństwa dała jej tę przewagę.

– Jak na mnicha, nieźle całujesz.

Gaëlle paliła papierosa, stojąc na balkonie.

Kiedy Loïc wrócił do domu, wykąpała go, ubrała w piżamę, uczesała, wyperfumowała. Ugotowała mu makaron, a potem położyła do łóżka jak małe dziecko. O nic nie pytała – tajemnicze zniknięcia były dla Loïca dość typowe.

Oto na co jej przyszło – w piątkowy wieczór, z przepelnioną skrzynką poczty głosowej, mnóstwem SMS-ów, zaproszeń – bawiła się w niańkę swojego głupiego brata.

Było jeszcze ciepło, a od ciągnącej się u jej stóp alei bił władczy, niebieskawy blask. Oparta o balustradę patrzyła na dziedziniec pałacu Chaillot, otoczonego dwoma skrzydłami z lat trzydziestych, mieszczącymi muzea: Narodowe Muzeum Morskie i Centrum Architektury i Dziedzictwa. W dali migotała światłami wieża Eiffla – dowód, że była dokładnie jedenasta. *Nieźle.*

Przez cały wieczór zmagala się ze wstydem, jaki przeżyła wczoraj. Ta niby-orgia, żałosna ceremonia, zdeprawowani notable... Dobijało ją jednak spojrzenie brata. Był osobą, którą kochała najbardziej na świecie i której zarazem głęboko nienawidziła.

Jedno i drugie z tego samego powodu.

Erwan – bohater bez skazy.

Ojciec był potworem, Maggie wariatką, Loïc strzępem człowieka. Ale z nimi wszystko było przynajmniej jasne. A najstarszy brat... Zastanawiała się jeszcze przez chwilę i w końcu zdołała uporządkować elementy w inny sposób – pięć lat filozofii też może się przydać. Chciała poniżyć swoją rodzinę, zdeptać wartości hipokrytów. Toteż w sumie dobrze, że braciszek przybył na miejsce, bo ile warte jest bluźnierstwo, jeśli nie dokonuje się przy prawowiernym świadku?

Odwróciła się i oparła plecami o kamienną balustradę. Ogromny pokój, w którym Loïc urządził salon, skąpany był w łagodnym świetle lamp MaMo Nouchies Ingo Maurera. Na ścianie na wprost okna tryptyk Anselma Kiefera,

zapewne wart kilka milionów euro. Kanapa, niski stół i różne meble kosztowały setki tysięcy.

Czyste piękno ich kształtu wzbudzało jej podziw, ale była jak ci barbarzyńcy, którzy patrzyli z zachwytem na architektoniczne piękno rzymskich miast, a potem je burzyli. Uwielbienie nie wyklucza nienawiści, ale ją podsyca. To mieszkanie, te meble i dzieła sztuki mogły lada chwila obrócić się w perzynę.

Nie chciała pieniędzy. Nawet kariera nie była dla niej aż tak ważna.

Chciała sprowadzić ich na ziemię.

I nagle powrócił jej dobry humor.

Myśleli, że już ją mają, kontrolują, ocalą. A ona właśnie ich niszczyła, stosując strategię, której nie zdołaliby sobie wyobrazić.

Otworzył oczy. Dzień jeszcze nie wstał. Przez chwilę nie mógł sobie przypomnieć, gdzie jest. Pokój był biały. W powietrzu unosiła się woń kadzidełek. Na ścianie przed nim niebieski człowiek wiosłował po morzu pośród czerwonych grzyw fal.

„Włoska transawangarda, szepnęła mu do ucha Sofia, kiedy padali na łóżko. Sypiałam ze wszystkimi malarzami tego nurtu”. W ciemnościach patrzył, jak jego marzenie o madonnie rozpada się niczym zamek z piasku, zmieciony przez szkarłatną falę z obrazu. Dalsze wspomnienia były mętne. Te emocje, tak, a przede wszystkim chaos, rozkosz, strach, przyjemność, wyrzuty sumienia.

Podeksytowany spojrział na zegarek – szósta rano. Nie był nawet pewien, czy tej nocy spał. Wstał z łóżka, wskoczył w slipy i koszulę, a potem wyjął z kieszeni marynarki telefon i wyszedł po cichu. Często tu przychodził – jeszcze „do Sofii i Loïca”, i ta świadomość wystarczała, by wszystko w tym domu wydawało mu się ostentacyjne i wulgarne.

Ale tego ranka sytuacja była zupełnie inna.

Zwiedzał pałac jako zwycięski wojownik. I wszystko wydawało mu się szlachetne i wspaniałe. Poszedł do salonu. Po lewej znajdowała się otwarta kuchnia. Udało mu się uruchomić futurystyczny ekspres do kawy. Potem stanął przy oknach balkonowych w pokoju dziennym. Przed sobą miał plac d'Iéna. W jego centralnym punkcie pomnik Waszyngtona, po lewej Sekwana i pałac Tokio, po prawej – las szarych dachów ciągnących się aż po zbiorniki Passy. Ten balkon był niczym łoża cesarska.

Szybko wypił kawę – mocną, bez cukru. Przepęłniała go zwierzęca duma. On, który zawsze opowiadał się za ścisłym rozdziałem między seksem a miłością, pożądaniem a uczuciem, on, który uważał się za faceta z zasadami, kochał się z Sofią, tą nieprzystępną boginią, żoną brata – i myślał tylko o jednym: dobrze sobie poradził, nie miał problemów z erekcją, nie okazał się niezdarny.

Po tym wszystkim bóle nagle zniknęły. Noc miłości podziałała jak

zbawienny balsam. Nie potrafiłby nawet powiedzieć, czy ta miłosna gra mu się podobała, i nie chciał zastanawiać się nad dalszym biegiem zdarzeń. W tej chwili ważne było tylko, że stanął na wysokości zadania.

Przypomniał sobie o śledztwie. Co on tu robił, jak mógł się lenić, patrząc z wysoka na Paryż i rozmyślając o swoim życiu seksualnym?! Zmarnował już jedną noc, uganiając się za Gaëlle, potem cały dzień na podróż do Bretanii, a teraz spędził kolejną noc w ramionach bratowej.

Szybko włączył telefon, zaczekał i wystukał kod. Jeszcze chwila oczekiwania i mógł przejrzeć wiadomości.

Pierwsza, z dwudziestej pierwszej trzydziści, brzmiała jak ironiczna przestroga. Loïc: „Oddzwon”. Przez ułamek sekundy był przekonany, że brat o wszystkim już wie. Bzdura, nie było powodu do obaw. Potem posypała się cała reszta: Morvan, Fitoussi, Kripo, Audrey. Szukali go przez całą noc. Kolejne zabójstwo, a kapitana nie ma na pokładzie. W „36” musiało to wywołać sensację.

Najpierw zadzwonił do Alzaczyka, który odebrał podczas śniadania.

– Gdzie byłeś? – wybełkotał, przełykając.

– Wyjaśnię ci to. Na jakim jesteś etapie?

– Walczę z masturbacją.

Powiedział to jowialnym tonem.

– Co?!

– Jestem w biurze i jem płatki. Wiedziałeś, że kornfleksy zostały stworzone przez doktora Kellogga po to, żeby ograniczyć skłonność do masturbacji u młodych?

Erwan westchnął – zmarnował już dość czasu.

– Kripo, proszę cię...

– Sekcja trwa. Riboise nad tym pracuje.

– Znalazł coś?

– Włosy w nadbrzuszu ofiary. Tym razem wiedział już, gdzie szukać. Wyniki badania DNA będą jeszcze dziś rano.

Czwarta ofiara na horyzoncie. Francja jeszcze nigdy nie przeżyła serii morderstw następujących w tak krótkich odstępach czasu. Że też stary musiał być w to wplątany!

– Lekarz sądowy dostał już pierwsze wyniki badań toksykologicznych – ciągnął Kripo.

– I co?

– W jelitach dziewczyny znaleziono śladowe ilości specyficznego cyjanku, jaki zawierają bulwy manioku.

– I to ją zabiło?

– Skądże. Ribeiro przypuszcza, że cyjanek miał tylko spowodować gwałtowne wymioty. Efekt jest natychmiastowy.

Ojciec mówił mu o konieczności oczyszczenia ciała przed rytuałem. Skąd nowy morderca znał takie szczegóły?

– Co robią inni?

– Technicy wrócili do jego nory, przeczesali każdy kąt, zajrzeli nawet do syfonów w łazience i kuchni. Audrey i Favini krążą po okolicy jego domu. Na razie wszystko przebiega jak na Grands-Augustins – żadnych świadków ani śladów. Ten gość jest jak duch.

– Co wiemy o Pernaudzie?

– Też nic. Nie miał abonamentu telefonicznego, żadnej karty na swoje nazwisko, żadnych śladów aktywności zawodowej. To nie śledztwo, tylko jakieś zmagania z duchami.

– Co o tym sądzisz?

– Pernaud najpierw był terrorystą, potem spadochroniarzem, w końcu przeszedł „na ciemną stronę mocy”.

– Nie rozumiem.

– Był szpiegiem.

Na dźwięk tego słowa Erwana przebiegł dreszcz.

– Pomyśl – nalegał Kripo – w dwa tysiące piątym facetowi z niezrozumiałych powodów zmniejszono karę. Po roku był już ze spadochroniarzami w Gujanie. Potem nie miał żadnego oficjalnego życia – tylko adres i renta inwalidy wojennego. Sprawdziłem to – rany odniesione w Gujanie nie spowodowały trwałego kalectwa. To była tylko droga przekazywania mu wynagrodzenia. Ekstremista był uspijonym agentem, któremu płacono za każde zlecenie i regularnie przekazywano rentę.

Każdy złotodziób domyśliłby się, że facet pracował dla Morvana. I dlatego Człowiek Gwóźdź wybrał go i zamordował. Kolejny element przemawiający za trafnością teorii zemsty.

– Warto chyba pogadać o tym z twoim ojcem – rzucił Kripo, podążając za tokiem myśli Erwana. – Może go znał.

– Zajmę się tym.

– Ale po tej Simoni to...

– Powiedziałem, że sam to załatwię! – wrzasnął. Poszedł do kuchni i zrobił sobie drugą kawę. – Kto robi przeszukanie?

– Są tam Sardynka i Audrey, ale pamiętasz, w jakim stanie była jego kawalerka. Zabójca przewrócił wszystko do góry nogami. Albo szukał czegoś, co go interesowało, albo znał ofiarę i chciał zatrzeć wszelkie ślady, które mogłyby do niego prowadzić.

Znów wypił duszkiem czarny, gorzki napój.

– Mógł coś przeoczyć.

– Nie robiłbym sobie takich nadziei – szepnął Kripo. – Mamy do czynienia z umysłem wyższym.

– Nie wygłupiaj się! To wszystko?

– Nie, Levantin wpadnie do „36” o dziewiątej. Chce nam pokazać coś, co dotyczy Anne Simoni.

– Co?

– Nie powiedział.

Erwan podszedł do balkonu, otworzył drzwi i wyszedł. Powietrze było tak ostre, że zapierało dech w piersi. W świetle budzącego się dnia sceneria wyłaniała się jak obraz na wywoływanej fotografii. Szczegóły, jeszcze niewyraźne, wyostrzały się pod delikatnym muśnięciem wilgoci świtu.

– Sprawdziłeś linki, które ci wysłałem? – podjął Kripo.

– Jakie?

– Rzeźby Ivo Lartigues’a.

– Nie miałem czasu.

– Coś ty robił przez całą noc?

Już miał odpowiedzieć, kiedy poczuł lekkie muśnięcie na karku. Odskokzył, jakby dotknął go skorpion. Sofia stała w progu ubrana w T-shirt Chloé i na pół przezroczyste figi obszyte koronką z Calais. W mgnieniu oka przypomniał sobie, że rozpoznawał te drobiazgi, bo jako dojrzewający chłopak masturbował się, oglądając podkradane w sklepach katalogi bielizny.

Lekko zawstydzony, nie mógł się jednak oprzeć pokusie grzechu, i to właśnie lubił najbardziej.

– Będę w firmie o dziewiątej – powiedział schrypniętym głosem.

Odłożył telefon i zauważył, że ma erekcję.

Sofia chciała się kochać na podłodze, ale nie zgodził się na to, wierny jakiejś dziwacznej zasadzie przyzwoitości, a może z szacunku – sam nie potrafiłby powiedzieć, co nim powodowało. Wylądowali w sypialni. Tym razem był przytomniejszy, bardziej pogodny i wciąż pełen wigoru. Wszystko działo się niemal bezszelestnie, bez wybuchów, choć wciąż oczekiwał, że nad jego głową rozpęta się burza z piorunami, że spadnie na niego kara boża, potępienie siły wyższej.

Po półgodzinie znalazł się dokładnie tam, gdzie stał, kiedy zaskoczyła go zajętego rozmową.

– Jeszcze kawy? – zaproponowała, stając przy bufecie.

– Nie, dziękuję. Wypiłem już dwie. – Spojrzał na zegarek. – Muszę pędzić.

– Nie zgrywaj mi tu policyjnego waźniaka! – Roześmiała się.

– Skąd. Ja tylko...

Podeszła do niego z filiżanką w ręce. Jej zapach zdominował aromat kawy. Tajemniczy metabolizm kobiety, który wytwarza zawsze tę słodkawą, oszałamiającą woń...

– Co do nas dwojga – powiedział trochę za głośno – to...

– Cicho. Posłuchaj mnie, zanim powiesz coś głupiego.

Bezradnie rozłożył ręce. Poły jego koszuli żałośnie zwisały. Nadal był tylko w slipkach i stał boso na parkiecie.

– Mogłabym ci powiedzieć, że wczoraj za dużo wypiałam i żałuję. Ale było odwrotnie: piłam, żeby odważyć się na to, co chciałam zrobić już dawno. Nadążasz?

– Chyba tak.

– Teraz idź do domu i przemyśl to sobie. Z mojej strony to poważne. I mam nadzieję, że ja też nie jestem dla ciebie dziewczyną na jedną noc.

Uśmiechnął się mimo woli.

– Naprawdę nie należysz do gatunku *one-night stand*.

– W takim razie pocałuj mnie.

Mówiąc to, odstawiła filiżankę i chwyciła go za poły koszuli. Obraz, jaki

stanął mu przed oczyma: jego własne serce, pulsujące, oblane miodem, nadziane na rożen obracający się nad ogniem.

Odetchnął jak po długim, zagrażającym życiu bezdechu.

– Jesteś dla mnie dziewczyną na wszystkie noce – wydusił.

I znów rozbrzmiał jej charakterystyczny, gardłowy śmiech i głos jak z włoskich piosenek.

– Tylko się za bardzo nie wysilaj.

– Chciałem po prostu powiedzieć...

– Później. Teraz uciekaj. Idź łapać morderców.

Usłuchał. Sypialnia: spodnie, marynarka. Sophie stała tuż za nim, z rękami skrzyżowanymi na piersi. Poczul, że musi się usprawiedliwić:

– Pysznic wezmę już w domu. Muszę się... doprowadzić do porządku.

Położyła rękę na jego przyrodzeniu.

– Obyś przy tych porządkach o niczym nie zapomniał.

Czar arystokratki: mogła pozwolić sobie na obsceniczne żarciki, na dowolny gest – cokolwiek robiła, zachowywała elegancję, wszystko wydawało się wyszukane, nabierało barw jak liście herbaty w gorącej wodzie.

– A Loïc?

To pytanie wymknęło mu się, kiedy wsuwał telefon do kieszeni i wkładał olster. Jeszcze nie oddzwonił do brata.

– Loïc to moja sprawa.

– Ale mój brat.

– Przypuszczam, że zgodzisz się ze mną, że na razie lepiej mu o tym nie mówić.

Pokiwał głową, wkładając marynarkę.

– W tej sytuacji ryzykuję bardziej niż ty – dodała. – Gdyby się dowiedział, co się stało tej nocy, zyskałby silne argumenty w sądzie.

– Zdrada kontra zatrzymanie – piłka w grze.

– Dokładnie.

Wyszedł i ruszył w stronę drzwi. Podążała za nim cichym krokiem, pełna wdzięku i gibka jak kot idący na łowy.

– Chciałam z tobą o czymś pomówić – odezwała się tuż przy drzwiach – ale wieczorem nie mieliśmy na to czasu.

– O czym?

– Moja prawniczka dokonuje właśnie szacunkowej wyceny naszego

majątku. Ze względu na rozwód.

– Mieliście przecież rozdzielność majątkową, nie?

– Nie. W pierwszych latach małżeństwa...

– To była wielka miłość, tak?

– Tak. Chcieliśmy połączyć wszystko, co mieliśmy. A przede wszystkim zrobić na złość naszym ojcom.

Poczuł ukłucie w dole brzucha. Zawsze był zazdrosny o brata, ale dziś wydawało mu się, że ma do tego pełne prawo. Ból wydawał mu się nie tylko ostrzejszy, ale i bardziej uzasadniony.

– Zgromadziła dokumenty, żeby oszacować majątek Loïca i przy tej okazji trafiła na coś dziwnego. Twój ojciec przygotował już testament.

– Mnie to nie dziwi.

– Zamierza oddać Loïcowi wszystkie udziały w Coltano. Ty i twoja siostra podzielicie się resztą jego majątku.

– Skąd możesz o tym wiedzieć?

– Mówiłam ci, że moja adwokatka wygrzebie wszystko. Ale nie znam szczegółów.

– Przypuszczam, że ten zapis wyklucza cię z testamentu?

– Otóż nie. Z dokumentów wynika, że ja również dziedzicę, zgodnie z zasadą ograniczonej wspólności nabytków.

– Widziałaś te papiery?

– Jeszcze nie. Ale przyznasz, że to dziwne?

Położył rękę na kłamce zbrojonych drzwi.

– Sprawdzę to. Zadzwoń.

W tym momencie przydałby się jakiś żart, żeby nadać temu pożegnaniu odrobinę lekkości. Sofia wybrała wersję bez słów – pocałowała go i oboje poczuli się lepiej.

Morvan wrócił o świcie z jedną myślą: wyjechać.

Ze względu na powagę sytuacji konieczne było zebranie na najwyższym szczeblu, we Florencji. O ósmej rano, wyczerpany, podłamany, dotarł do swojego mieszkania i zaraz zabrał się do pakowania nowej walizki. Wziął prysznic, ogolił się i pił kawę, próbując uporządkować swojej plany.

Ledwie opracowany projekt związany z nowymi kopalniami już legł w gruzach. Morvan wciąż nie rozumiał, jak doszło do przecieku. Ani jeden pracownik w terenie o niczym nie wiedział. Żaden inwestor nie mógł go zdradzić. Jego kopalniany blitzkrieg toczył się setki kilometrów od Lubumbashi, na terenach uważanych za niebezpieczne. Błyskawiczne wzbogacenie się przed oddaniem pola własnej spółce i wejściem w konwencjonalną fazę wydobywania. Mógł to zrobić.

Bo w Afryce można wszystko.

Ale teraz musiał się liczyć z Kabongiem i w sumie nie był to taki problem. Wtajemniczenie Afrykanina sprawi, że operacje terenowe staną się bezpieczniejsze. Przejmą za obopólną zgodą część należną rządowi i podzielą się łupem. Rozwścieczało go jednak, że nie wiedział, dlaczego pierwotny plan upadł.

Loïc nie miał racji, podejrzewając geologów. Clau nie żył i nic nie wskazywało, żeby do jego śmierci ktoś się przyczynił. Z dwoma pozostałymi udało mu się wczoraj wieczorem nawiązać kontakt z Kinszasy. Niczego nie zgłaszali. Informacja wyciekła inną drogą.

Ten trader, Serano, musi ujawnić nazwisko zleceniodawców. Potem trzeba będzie ich przycisnąć i dowiedzieć się, kto dał im cynk. A kiedy Morvan pozna nazwisko tego kreta, będzie wiedział, co robić.

Zadzwoił telefon. Erwan. Nareszcie.

- Wydzwaniałem do ciebie od wczoraj!
- Przepraszam. To śledztwo pochłania cały mój czas i...
- Nie w tej sprawie dzwoniłem. Musisz pomóc bratu.
- Co?

- Dziś rano ma iść wypytać tradera. Chcę, żebyś z nim poszedł.
- Naprawdę uważasz, że nie mam co robić?
- To bardzo ważne. W Coltano doszło do przecieku informacji i tylko ten gość może...
- Co mnie to obchodzi? Straciłem już całą noc na szukanie siostry i nie zamierzam marnować kolejnego przedpołudnia na...
- Zajmie ci to godzinę. Loïc będzie zadawał pytania. Twoja obecność wystarczy, żeby wystraszyć tego faceta.
- Erwan zaśmiał się sztucznie.
- Mam być tym złym, który nic nie mówi?
- Jeżeli tam nie pójdziesz, ta gra może się źle skończyć dla Loïca.
- Ma coś wspólnego z przeciekiem?
- Nie, ale nasi afrykańscy przyjaciele go podejrzewają. Pomóż mu. Jesteś mu to winien.
- Co chcesz przez to powiedzieć?
- Nawet przez telefon Morvan zauważył, że głos syna się zmienił, Erwan miał coś na sumieniu. Obiecał sobie, że ustali, co to takiego.
- Jesteś najstarszy – powiedział spokojnie. – Silne ogniwo w rodzinie. Czy tego chcesz, czy nie, odpowiadasz za brata.
- Zadzwońię do niego przed południem – skapitulował Erwan.
- Co ze śledztwem?
- Mamy kolejnego trupa.
- Co? Nie dostałem żadnego teleksu!
- Nie zredagowano jeszcze depeszy.
- Wy go znaleźliście?
- Dzięki materiałowi organicznemu w zwłokach Anne Simoni.
- Kto to?
- Niejaki Ludovic Pernaud.
- Morvan zacisnął zęby. Jego człowiek do wszystkiego. Ten, który zlikwidował Jeana-Philippe'a Marota. Dlatego się nie odzywał.
- Znasz go? – podjął Erwan.
- Nazwisko nie jest mi obce.
- Skończ z tymi wygłupami, tato. Facet był szpiegiem.
- Muszę to sprawdzić.
- Od czterdziestu lat kontrolujesz wszystkie tajne operacje w tym kraju. Powiedz, czy ten gość dla ciebie pracował, czy nie!

Po co było kłamać? Lepiej, żeby wszyscy zyskali na czasie.

– Tak.

– Co robił?

– Gość od brudnej roboty.

– Będziesz zeznawał w tej sprawie?

– Nie.

– Znasz jego rozkład czasu w ciągu ostatnich dni?

– Nie.

– Kiedy kontaktowaliście się po raz ostatni?

– Prowadzę rejestr. Sprawdzę i ci powiem.

– Nie próbuj mnie oszukiwać, tato. Oszczędziłem ci wezwania w sprawie Anne. Tym razem możesz u nas wylądować.

– Nie będę mógł nic powiedzieć. Tajemnica państwowa.

Erwan zaśmiał się drwiąco.

– Chyba nie zdajesz sobie sprawy, że masz poważny problem. Na miejscu pierwszej zbrodni sprawca zostawił twój sygnet. Druga ofiara była twoją protegowaną, a teraz ktoś załatwił jednego z twoich szpicli. Twoja teoria o zemście okazuje się prawdą. Lepiej bądź ze mną szczerzy.

– Jesteś dziś wyjątkowo wygadany i bezczelny. Zajmij się bratem i zadzwoń do mnie.

Zakończył połączenie i przez chwilę siedział nieruchomo. Syn miał rację. Pernaud po Anne i po tym sygnecie. W Mayombe *minkondi* to mściwe fetysze. Używa się ich, żeby powstrzymać czarownika albo zemścić się na nim. Najwyraźniej to jego, Grégoire'a Morvana, morderca uważał za demona, którego trzeba zniszczyć.

Zamknął walizkę. Kolejna katastrofa umocniła go w przekonaniu, że wyjazd do Florencji jest nieodzowny. Skoro groziło mu, że nie wyjdzie z tego cało, musiał załatwić jedyne sprawy, które były dla niego ważne: sprawy swoich dzieci.

Idąc po schodach kuchennych, pomyślał o Pernaudzie. Spotkała go okrutna śmierć, ale w przeciwieństwie do Anne był przygotowany na taki koniec. Morvan nigdy go nie cenił, musiał jednak przyznać, że ten faszysta nie wiedział, co to strach. Samotnik, kryminalista, po trosze szaleniec, był przydatnym wojownikiem.

To, że ustalą, iż dla niego pracował, nie było dramatem – funkcje państwowe zapewnią mu alibi. Ale Erwan może dotrzeć do wątku śmierci

Jeana-Philippe'a Marota. A nikt nie zlecił tego „samobójstwa”. *Sprawy prywatne...*

Pod domem zatrzymał taksówkę i wsiadł.

– Roissy. Terminal dwa G.

Erwan wszedł do „36” punkt dziewiąta. Musiał szorować się rękawicą z włosia i wyszedł z łazienki czerwony jak homar. Ogolił się, wtarł w policzki i szyję wodę toaletową, ubrał się w nowy garnitur, bo nie wiedział, kiedy będzie miał okazję znów wrócić do domu. Po drodze wpadł do piekarni, a jadąc do biura, pochłoniął w samochodzie trzy rogaliki. Mimo telefonu ojca, który go zirytował, nie tracił dobrego humoru i gotów był do dalszych podbojów. Kiedy ostatnio zdarzyło mu się uprawiać seks przed wyjściem do pracy?

W sali narad czekały jego orły. Tonfa był jeszcze w Instytucie Medycyny Sądowej, ale do grupy dołączył Levantin, koordynator policji badawczej, który wyglądał na bardzo zadowolonego. Był wysoki, barczysty, włosy miał jak Apacz, ale spod krzaczastych brwi patrzył na świat jasnymi, pogodnymi oczyma, a poruszał się jak dziarski gospodarz powracający wieczorem z pola. Wszyscy go lubili, tylko Sardynka, który mu zazdrościł, odnosił się do niego z niechęcią. To, co Favini otrzymywał od kobiet dzięki dowcipom, zaproszeniom i prezentom, Levantin dostawał za jeden uśmiech.

Rzucił na stół szczelnie zamkniętą torbę z materiałem dowodowym. Rozległ się szcęk metalu.

– Gwoździe Anne Simoni w końcu przemówiły – powiedział, wciągając lateksowe rękawiczki.

Ostrożnie otworzył torbę, wyjął jeden z gwoździ i wystawił go do światła.

Skinieniem głowy Erwan poprosił Audrey, żeby podała mu rękawiczki.

– Stop metalu jest specyficzny dla środkowej Afryki, ale to nie wszystko. Widać tu, że na główce jest znak. Tych gwoździ używano ponad pięćdziesiąt lat temu w firmie, która dziś już nie istnieje. To CBAO. Belgijska Kompania Zachodnioafrykańska, działająca głównie w Zairze. Dziś takie gwoździe to przedmiot... kolekcjonerski.

– Jak znalazły się we Francji?

– Analiza wykazała obecność soli oraz mikroorganizmów morskich na rdzy. Wszystko wskazuje na to, że przyplłynęły tu statkiem towarowym.

Erwan wziął do ręki jeden z gwoździ: zgięty, zużyty, skorodowany.

– Twoim zdaniem pochodzą z Konga, a zabójca zdobył je jakoś we francuskim porcie?

– To najbardziej prawdopodobne wyjaśnienie. Chyba że sam przywiózł je z Afryki.

Instynktownie wykluczał trop kongijskiego mordercy.

– Dokąd dopływają tego rodzaju towary?

– Do Marsylii. Pozwoliłem sobie wykonać kilka telefonów.

Levantin oglądał za dużo filmów o pracy policji. Takie prowadzenie śledztwa nie należało do jego kompetencji. Ale Przystojny Brunet nie dał im czasu na reakcję.

– Według służb portowych w Fos skrzynie ze starym żelastwem importowanym z Demokratycznej Republiki Konga są od czasu do czasu przewożone przez międzynarodową spółkę zarejestrowaną w Luksemburgu, Heemecht. – Zerknął do notatek. – Kilka kontenerów wysłanych z kongijskiego portu Matadi ma przyplłynąć dziś po południu do zachodniego basenu portu Fos.

– Są tam gwoździe?

– Nie mam pojęcia. Ale warto by to sprawdzić. Albo nasz drapieźnik zaopatruje się u źródła, w chwili rozładunku, albo robi to za pośrednictwem europejskiego handlarza. Najwyraźniej istnieje rynek takich metali.

– Masz jakieś nazwy, nazwiska?

– Myślę, że możecie dokończyć tę pracę – odparł, mrugając do nich.

– Zajmiemy się tym. Dobra robota. A odłamki szkła i metalu?

– Nic. Mogą pochodzić skądkolwiek.

– Włókna?

– To rafia. Ustalamy pochodzenie.

– Ślady śliny?

– Dotąd nic.

– A co z krwią?

Członkowie grupy patrzyli na nich zdziwieni: co to za historia z krwią? Erwan nigdy nie wspominał przy nich o tej sprawie.

– Pobraliśmy czterdzieści próbek z różnych obszarów ciała. Jak dotąd potwierdzono tylko grupę krwi Anne Simoni.

– Kontynuuj. Przeprowadzisz pełne analizy na zwłokach Pernauda?

– Już zaczęliśmy.

Erwan pomyślał o statku przybijającym do portu Fos. Można było założyć, że mordercy, w trosce o wierność wobec wzorca, albo ze względu na jakieś przesady, zależy na używaniu afrykańskich gwoździ, to jednak wcale nie znaczyło, że w dzisiejszym transporcie są takie gwoździe, a on przyjdzie po nie właśnie tego wieczoru.

Jednak nie wolno było zlekceważyć nawet najsłabszej szansy na dopadnięcie bestii.

– Kripo, zarezerwujesz mi bilet do Marsylii?

– Ty lecisz?

– Dziś po południu. Wrócę w nocy albo jutro rano.

Ludzie zaczęli porozumiewawczo mrugać, patrzeć na siebie. Od początku śledztwa Erwan praktycznie nie bywał w „36”.

– A co z ulicą de la Voûte? – zapytał Levantin.

– Żadnych obcych odcisków, wszystkie należą do Pernauda. Żadnego materiału organicznego. Morderca był ostrożny.

– Co wykazała analiza włosów znalezionych w ciele denata?

– Kobieta, Europejka, blondynka, ale nie figuruje we FNAEG. Genetycy kontynuują badania, DNA może ujawnić jakiś specyficzny szczegół – chorobę, anomalie chromosomalne... Ale to mało prawdopodobne.

Erwan zwrócił się do Audrey:

– Co z sąsiadami?

– Nikt nic nie widział ani nie słyszał. Większość sąsiadów Pernauda nie rozpoznała go nawet na portrecie. Był najdyskretniejszym człowiekiem świata.

– Macie jego fotografię?

– Portret cyfrowy wykonany na podstawie zdjęć ciała.

– Sprawdziliście rejestry?

– Numer ubezpieczenia społecznego i nic poza tym. Zupełnie jakby po służbie w oddziałach desantowych usunięto wszystkie jego akta.

– Kontaktowałeś się z DCRI?

– Jak zawsze szczerzy i prawdomówni! Oczywiście, że go znają, ale nie chcą nic powiedzieć.

Po co rozmawiać ze świętymi, skoro można się zwrócić do samego Boga!
Przysiągł sobie, że pociągnie za język ojca.

– Bierzecie się do przeszukania?

– Zaraz. I jeszcze jedno: Anne Simoni mieszkała na ulicy Avron,

a Pernaud na de la Voûte. To rzut beretem. Myślisz, że taka mała odległość między mieszkaniami ofiar może coś oznaczać?

– W stylu „morderca z dwunastej dzielnicy”? Nie. Motyw, jeżeli istnieje jakiś poza obłądem, jest inny. Nie ma nic wspólnego z dzielnicą. – Zwrócił się do Kripo: – Co z billingami Anne?

– Mamy do przesłuchania jeszcze ze dwóch facetów, ale dotąd nikt nie wygląda zbyt podejrzanie. Na pewno nie do tego stopnia. To samo z komputerem – z maili i portali społecznościowych nie wynika nic ciekawego. Zostają dokumenty zaszyfrowane, ale informatycy już nad nimi pracują.

Erwan miał nadzieję, że tym razem nie natrafią na podejrzaną korespondencję w stylu Wissa – di Greco.

– Tonfa mówił wam, kiedy zakończy się sekcja?

– Prawdopodobnie około południa.

– Sprawdź, czy zlecił analizy toksykologiczne.

Kripo skinął głową i podał Erwanowi szarą kopertę.

– Co to jest?

– Rzeźby Iva Lartigues’a.

Skryba najwyraźniej miał słabość do tego artysty. Erwan otworzył kopertę i natychmiast zrozumiał upór swojego zastępcy. Lartigues rzeźbił w brązie i żelazie, niezwyklej rozmiarów *minkondi* – najprawdziwsze.

Pierwsze zdjęcie przedstawiało olbrzymiego, dwumetrowego mężczyznę, którego ręce opadały wzdłuż ciała. Widać było każdy mięsień, każdą odkrytą tkankę, a na ramionach skupiska gwoździ przyprowadzające obserwatora o ból. Zastygła twarz – duże oczy, rozdęte nozdrza, wydatne usta – pozbawiona była wyrazu.

Przejrzał pozostałe obrazy. Wszystkie rzeźby były replikami posązków z Dolnego Konga, stylizowanymi i nowoczesnymi. Kobieta puklerz o ciele w aureoli gwoździ. Mężczyzna ze stopami z żelazek. Figura w kształcie jeżozwierzka o niezliczonych zębach. Erwan znalazł nawet człowieka kwiat, wynurzającego się z korony poskręcanych płatków w plecionym koszu, zadziwiająco podobnego do zwłok Pernauda, gdy znaleźli go w mieszkaniu.

– Przesłuchamy go? – zapytał Alzatczyk.

– Najpierw dowiedz się czegoś o tej wspólnotce, o *no limit* i tak dalej. Odwiedzimy go, kiedy będziemy mieli więcej danych.

– Mogę się tym zająć...

– Nie, chcę to zrobić sam. Badaj ten trop. Pójdziemy jutro rano, zaraz po moim powrocie.

Kripo skrzywił się, żeby zmanifestować, że nie zgadza się z Erwanem, ale w końcu schował zdjęcia do koperty. Erwan poczuł wibracje telefonu w kieszeni – SMS od Loïca: „Bulwar Courcelle 34. 75017”.

Po rozmowie z ojcem dzwonił do brata – dał mu godzinę na wspólną wizytę u tradera, ale kazał mu ustalić adres faceta. Umówił się z nim na dziesiątą i schował telefon do kieszeni marynarki.

– Wszyscy na stanowiska – rzucił, wstając. – Wracam za półtorej godziny.

– Za półtorej godziny? – zdziwił się Kripo.

– Mam pilną sprawę do załatwienia.

– Pilną sprawę?

– Zamiast bawić się w echo, załatw mi bilet do Marsylii, start z Orly. Pasują mi loty od czternastej.

Nie czekał ani na odpowiedź, ani na komentarz. Wyszedł z sali i ruszył w stronę schodów. Znów wziął do ręki telefon i zrozumiał, że czeka na wiadomość od Sofii.

Naprawdę nie miał głowy do pracy.

Grégoire Morvan miał szczęście, ponieważ mimo wiatru jego samolot wylądował we Florencji, a nie – jak to się często zdarzało – w Pizie. Poza tym jednak podróż była katorgą. Olbrzym przywykł na długich trasach do klasy biznes albo pierwszej, a nie do ciasnoty i trzęsienia.

Z torbą na ramieniu przeszedł przez budynek lotniska i wsiadł do taksówki. Powietrze migoczące złotem, łagodny wiaterek, idealna temperatura. *Ciesz się pobytom w tym rajom i zapomnij o całej reszcie.*

Nie było jeszcze dziesiątej. Spotkanie miał w południe w restauracji przy via degli Strozzi. Miał więc czas na powrót do cudownych wspomnień.

Dwie godziny – czas, który gdzieś indziej musiałby jakoś zabić – to we Florencji dwie godziny prawdziwego życia.

Kazał się zawieść w poblizze piazza della Signoria, ale nawet nie przystanął przy monumentalnych rzeźbach, które wznosiły się na jego obrzeżach. Nie zatrzymał się też w galerii po prawej, lecz skręcił w wąskie uliczki miasta. Tam gdzie było ciepło i bezpiecznie, najbliżej boskiej części człowieka. Florentyński renesans był czystym wyrazem tej iskry, ale także iskry diabelskiej. Człowiek przeszedł samego siebie we wszystkich dziedzinach sztuki, podczas gdy ręce miał zbrukane krwią. Morvan uwielbiał te słowa Harry'ego Lime'a z *Trzeciego człowieka*: „We Włoszech przez trzydzieści lat pod rządami Borgiów mieli wojowanie, terror, morderstwa i rozlew krwi, ale stworzyli Michała Anioła, Leonarda [da Vinci] i Renesans. W Szwajcarii mieli braterską miłość, mieli pięćset lat demokracji i pokoju, i co stworzyli? Zegar z kukułką!”.

Dotarł do piazza della Santissima Annunziata, który otwierał się na cudowną loggię sierocińca Niewiniątek. Architekt Brunelleschi stworzył w XV wieku tę doskonałą galerię wyrzeźbioną z subtelnych sklepień zwieńczonych medalionami z terakoty wyobrażającymi dzieci. Od roku 1987 Morvan przekazywał wsparcie finansowe na rzecz Spedale degli Innocenti, wciąż działający i współdziałający z UNICEF-em. Nikt nie wiedział, dlaczego francuski donator tak bardzo interesował się tym ośrodkiem.

Przypuszczano, że wiązało się to z faktem, iż sam bardzo wcześnie stracił rodziców (bo tak mówił). Jego hojność tłumaczono też pięknem budowli, perły Quattrocento.

Ale prawdziwą przyczyną była *ruota*.

Po lewej, przy szczycie fasady, pozostawiono obrotowe drzwi, tak małe, że można było przez nie wsunąć noworodka. Przez stulecia dziewczyny otwierały to „okienko”, by położyć w nim panięskie dziecko, a potem pociągały za dzwonek, powiadamiając mniszki. Wtedy drzwi się obracały i dziecko odbierano po drugiej stronie, nie widząc twarzy niegodnej matki.

Poranne słońce przypiekało już plac, a kamienie zdawały się pлавić w jego blasku. Morvan wyobrażał sobie niemowlęta, które za sprawą zwykłego ruchu dwóch skrzydeł drzwi przechodziły z chaosu do spokojnego świata klasztoru. Fascynował go ten mechanizm, symbolizujący w jego oczach ruletkę życia i jego własne przekleństwo. Gdyby ta, która go urodziła, zostawiła go w jednej z takich „wieżyczek odrzuconych”, jak mówiono w średniowieczu, jego życie mogłoby wyglądać zupełnie inaczej.

– *Va bene, signore?*

Morvan uniósł głowę i dopiero teraz zdał sobie sprawę, że klęczy przed tym drewnianym blatem, jakby miał przed sobą ołtarz. Jego ręce zaciskały się na kracie. Zakonnica pochyliła się nad nim, jej habit łopotał w przeciągu, który panował na galerii. Wstał. W oczach miał łzy. Boże, z wiekiem robił się miękki. Nie potrafił już znieść myśli o swoim dzieciństwie. Kupił w najbliższym kiosku chusteczki i wydmuchał nos. Potem przyspieszył kroku i zaraz dopadła go zadyszka.

Nie biegał już dość szybko, żeby uciec przed wspomnieniami. Sięgnął po nową chusteczkę i otarł spoconą twarz. Bał się, że serce wyskoczy mu z piersi.

– To moja krew ucieka – szepnął.

– Loïc? Nie bardzo rozumiem...

Serano stał przed drzwiami w płaszczu, marynarce i spodniach znanej marki. Za nim ciągnęły się ogromne pokoje, lśniące parkiety, nad którymi wisiały kolorowe płótna. Znając mieszkania Sofii i Loïca i patrząc na to, Erwan poczuł się jak człowiek z marginesu społecznego, wciśnięty do dwupokojowej dziupli w 9 dzielnicy.

– Musimy pogadać, przyszedłem z przyjacielem.

Serano nie odrywał oczu od intruzów, jakby miał w końcu powiązać ze sobą te dwie twarze. Szeroki w barach, krótkonogi, wyglądał jak Popeye w gorszej wersji i po użyciu samoopalacza.

– Czy to nie mogłoby poczekać?

– Pozwól, że wejdziemy – uciał Loïc.

Przed tą wizytą wciągnął jedną kreskę, żeby dodać sobie koniecznej determinacji. Erwan, który miał nadzieję ograniczyć swoją aktywność do roli złego twardziela stojącego za plecami Loïca, zaczął się zastanawiać, jak długo potrwa ta maskarada.

Wciąż bardzo podejrzliwy Serano cofnął się, żeby ich wpuścić. Przy beczułkowatym torsie ręce mężczyzny wydawały się za długie.

Loïc wszedł, a podążający za nim Erwan zamknął drzwi, opierając się o nie plecami.

– Jesteś sam?

– A cóż to za pytania? – oburzył się gospodarz. – Za kogo ty się uważasz?

Erwan stanął pomiędzy nimi, przyciskając Serana do ściany. Trzeba było przyspieszyć bieg sprawy. Finansista wrzasnął. Loïc promieniał.

– Wiem, że wszystkie zlecenia na Coltano szły przez ciebie – podjął głosem herszta bandy.

– Co z tego?

– Chcę poznać nazwiska nabywców.

– Wykluczone, ja...

Erwan przyciągnął go do siebie i pchnął jeszcze mocniej. W gruncie rzeczy rola milczącego uczestnika pozwalała mu się odprężyć.

– Nazwiska! – krzyknął Loïc.

W tym momencie piękna młoda kobieta – ukraińska modelka – wbiegła do pomieszczenia ubrana w bluzę joggingową, która ledwie zakrywała jej majtki. Erwan uśmiechnął się do niej, nie puszczając Serana. W korporacjach najprzyjemniejsze jest to, że stereotypy zawsze się w nich sprawdzają. W życiu finansisty na fali nie mogło zabraknąć modelki.

– *What's going on, here?*

Ta brutalność z samego rana wcale nią tak bardzo nie wstrząsnęła. W ojczystym kraju widywała pewnie ostrzejsze sceny. Serano nie odpowiedział – musiał złapać oddech. Loïc wzruszył ramionami, nerwowo prychnął.

– *Don't worry* – przerwał to milczenie Erwan. – *If this guy is behaving well, we will be gone in ten minutes.*

Wzruszyła ramionami i wyszła, prawdopodobnie chcąc wziąć kąpiel, a potem zatroszczyć się o młody wygląd twarzy albo gładką skórę.

Erwan przez chwilę podziwiał jej zgrabną sylwetkę. Tak jak ojciec lubił przyłapywać ludzi *in flagranti* na ich małości: dlaczego najpiękniejsze kobiety zawsze wiązały się z najbogatszymi mężczyznami? Dlaczego to, co tak szanował – piękno natury – łączyło się z tym, czym najbardziej pogardzał – z banalną pogonią za kasą? Pomyślał o Sofii, nie miał u niej żadnych szans.

– No jak, Serano, nie chciałbyś wrócić do swojej dupci? – podjął Loïc.

– Nie mogę nic powiedzieć.

Erwan uniósł pięść. Trader krzyknął, zasłaniając twarz rękami.

W zwykłym życiu przemoc nie pojawia się prawie nigdy. Erwan byłby zwolennikiem wprowadzenia do szkół ćwiczeń przygotowujących do cierpienia fizycznego, żeby zapobiec tak żalosnym scenom.

– Pierwszy to Richard Mason – pisnął finansista – zarządca hiszpańskiego banku Diaz. – Dał mi upoważnienie...

– W imieniu banku?

– Nie, własnym.

– Wiem, kto to jest. Nie zna się na minerałach. Czego od ciebie chciał?

– Coltano. Chciał tylko to. Wszystko, co zdołam zebrać.

– Powiedział ci dlaczego?

– Nie, ale było oczywiste, że ma... ważne informacje.

Loïc i Erwan popatrzyli na siebie.

– Kiedy to było?

– W połowie sierpnia.

– Ile akcji kupiłeś?

– Tyle, ile mogłem. Kilka tysięcy. To nie takie trudne, twoje walory są gówniane.

To był ze strony Serana, wciąż przygniecionego do ściany, dowód odzyskania pewnej przewagi.

– Dobra. Co dalej?

– Siergiej Borguisnow. Zajmuje się jednym z funduszy rosyjskich. Zbił majątek na własnych kopalniach. Nagle, nie wiadomo dlaczego, zachciało mu się udziałów w kopalniach afrykańskich. Coltano. Powiedział, że zrobią się gorące.

– Nic więcej nie powiedział?

– Nie, ale to i tak za dużo. Borguisnow to gaduła.

– Wspomniał o jakimś raporcie ekspertów?

– Nie.

– A nie powiedział, kto jest informatorem?

– Nie! Zażartował tylko, że zaopatruje się u źródeł.

Bracia znowu porozumieli się wzrokiem. Potwierdziła się teoria afrykańskiego wycieku.

– Ile tego kupiłeś?

– Nie pamiętam. Popracowałem nad wahającymi się. Kupowałem trochę drożej, ale znów zgarnąłem tysiące.

– Kiedy?

– Na początku września.

Erwan zupełnie się na tym nie znał, ale przypuszczał, że po takich transakcjach kurs akcji błyskawicznie podskoczył. Nie przyglądał się temu i nic go to nie obchodziło, podejrzewał jednak, że spowodowało to problem, który miał różnorakie konsekwencje. Po pierwsze, te zakupy stawiąły Morvana w trudnej sytuacji, bo Afrykanie na pewno myśleli, że to on je zleca; po drugie taka zmiana notowań opierała się na informacjach, które starał się ukryć. Znów te jego kombinacje.

– Słyszałeś o śmierci Jeana-Pierre'a Clau? – krzyczał Loïc, który uważał się już chyba za Tony'ego Montanę.

– Nie wiem, kto to jest.

– Byli inni nabywcy?

– Jeszcze jeden, w zeszły poniedziałek.

– Kto?

– Chińczyk, którego znam od lat. Johnny Leung.

Nazwisko w sam raz dla aktora z filmów kung-fu z Hongkongu. Całą tę sprawę otaczała aura nierzeczywistości.

– Nie znam! – wrzasnął Loïc.

– Pracuje w Hong Kong Securities, w dziale zakupów.

– Ile kupił?

– Prawie dwadzieścia tysięcy.

– I nie powiedział nic o swoim informatorze?

– Nie ma zwyczaju z niczego się zwierzać. Ale zrozumiałem, że chce zaimponować własnym klientom. Pokazać im, do czego jest zdolny.

– I nie zastanawiałeś się, dlaczego nagle ci wszyscy goście rzucili się na Coltano?

– Tyle różnych rzeczy już widziałem...

– A sam nie miałeś ochoty kupić tych akcji?

– Bo trzech durniów postanowiło się pograć?

– Jesteś pewien, że nic ich nie łączy?

– Nawet się nie znają, a zresztą żaden nie zdradziłby innym, że dostał cynk.

– Ale wszyscy pracują w Paryżu.

– Też nie. Mason krąży między Paryżem a Madrytem. Borguisnow przyjeżdża od czasu do czasu, a Leung nigdy nie bywa w swojej paryskiej filii.

Erwan na próżno starał się stworzyć z tych elementów spójny scenariusz. Zdrada geologów, o której mówił mu Loïc, jakoś go nie przekonywała, bo nie mógł ich sobie wyobrazić wkraczających na paryskie salony z raportem pod pachą. Jego zdaniem także afrykańskie źródło wycieku nie było prawdopodobne – gdyby nawet jakiś Belg, Francuz czy Kongijczyk dowiedział się o nowych kopalniach w terenie, to dlaczego miałyby kontaktować się właśnie z tymi trzema bankierami, którzy stale krążyli między kilkoma miastami?

– W porządku. Zbieramy się – powiedział, kładąc Loïcowi rękę na ramieniu.

Serano otworzył okrągłe ze zdumienia oczy: właśnie zrozumiał, że w rzeczywistości dowodził tu ten, którego uznał za płatnego goryla.

Loïc ciskał się jeszcze na zewnątrz, podrygiwał jak bokser na ringu.

– Nie ma się z czego cieszyć – sprowadził go na ziemię Erwan. – Nadal nie znasz źródła.

– Ale mamy nazwiska nabywców. Wystarczy ich zlokalizować, a potem... Erwan chwycił go za kark i zmusił, żeby się zatrzymał.

– Rób, co chcesz, ale ja wracam do pracy.

– Tata powiedział, że...

– Zamknij się.

Zaskoczyło go, jak chudą szyję ma Loïc. Zachował w pamięci brata, który skończył z ekscesami, ważył siedemdziesiąt pięć kilo i chodził w garniturach za tysiące euro. A teraz Loïc pływał w swojej koszuli. Narkotyki znowu zżerały go do kości.

– Kto miał raport o złóżach?

– Są tylko dwa egzemplarze – jeden u mnie, drugi u taty.

– Nie miałeś żadnego włamania?

Loïc zawahał się, ale milczał.

– Ktoś się do ciebie włamał czy nie?

– Nie. Sprawdziłem, raport leży w sejfie.

– A w Katandze? – rzucił Erwan, puszczając go.

– Nikt o tym nie wie. Nie ma nawet mapy tych stanowisk. Tata opowiadał, że helikopter zostawiał geologów wiele kilometrów od strefy. Mieli stamtąd kilka dni marszu, a towarzyszący im tragarze nie wiedzieli nawet, czego tamci szukają.

– Tata nie zaczął wydobywania?

– Nie wiem, ale gdyby tak było, musiałyby zatrudnić miejscowych, którzy nie mają żadnych powiązań z Paryżem.

– No to radź sobie. Obiecałem mu, że pomogę ci ustalić nazwiska i już masz przynajmniej trzy. Wybacz, ale prowadzę śledztwo.

Zostawił bezradnego brata niedaleko stacji metra Courcelles i wsiadł do samochodu. Południe. Musiał natychmiast jechać na Orly, żeby zdążyć na samolot odlatujący o czternastej do Marsylii.

Uliczka, której szukał, była upstrzona plamami słońca w zenicie. Morvan szybko wygładził marynarkę i poprawił kołnierzyk koszuli. Nie włożył dziś krawata. Restauracja witała go z otwartymi ramionami: odrapana fasada, poszarzałe firanki, menu przy drzwiach. Nieopodal spacerowali dwaj ochroniarze. Montefiori zawsze uważał się za ojca chrzestnego albo, przeciwnie, sędziego zwalczającego mafię – Morvan nigdy nie rozgryzł tej zagadki.

Nacisnął kłamkę, która stawiała taki sam opór jak zwykle – nie było nadziei, żeby ktoś pomyślał tu o naoliwieniu zawiasów albo naprawieniu progu. Z cichą satysfakcją popatrzył na niską salę, posadzkę z biało-czarnej terakoty, beżowe obrusy na stolikach. Szepty, szczęk sztukców, nieliczni klienci. W powietrzu unosił się zapach starej boazerii i mąki.

Wszedł w krąg przytłumionego światła – promienie słońca przygasały, przebijając się przez zasłony. Wszystko było tu wyblakłe i może dlatego czuło się dominującą w tym wnętrzu prastarą mądrość. Morvan zauważył ułożone w koszyczkach bułeczki, które jakimś tajemniczym sposobem zawsze miały ten ponadczasowy smak, tak jak hostia zawsze miała posmak kościoła.

Montefiori siedział w głębi sali. Trudno było prześcignąć go w punktualności. Jeśli nawet ktoś postanowił przyjść wcześniej, on to wyczuwał i pojawiał się tuż przed nim. W efekcie, ledwie człowiek usiadł, musiał go przeproszać.

Morvan poprzestał jednak na uśmiechu i usiadł, a potem przysunął krzesło, ujmując rękami siedzisko.

– Nie bój się – Włoch przemówił doskonałą francuszczyzną – to solidne meble.

Handlarz żelazem był prawie analfabetą, jednak perfekcyjnie mówił w kilku językach. „Mam dobry słuch”, powtarzał. Przed wszystkim jednak miał żyłkę handlowca i uczył się tylko tych języków, które mogły mu się przydać w interesach.

– Wiem – powiedział Morvan, zdejmując marynarkę (jedzenie w koszulach z podwiniętymi rękawami stanowiło element ich rytuału). – Dziękuję, że zgodziłeś się zjeść ze mną obiad.

– To dla mnie przyjemność.

– Kilka dni temu widziałem się z twoją córką.

– Szczęściarz.

– Udało jej się zmusić Loïca do podpisania ugody. Powiedziała: „To już załatwione”.

Montefiori uśmiechnął się. Miał ostry, grecki profil, rysy harmonijne, jeszcze bardziej wyraziste z powodu głębokich zmarszczek, które okalały także jego niebieskie jak laguna oczy, rozświetlające dno ciemnej groty. I zawsze był opalony. Kondotier zaczynał od zera, zawsze jednak miał książęcą twarz.

– W przypadku Sofii mam nad tobą pewną przewagę – powiedział, gryząc chrupiącą bułeczkę.

Morvan włożył okulary i skupił się na menu. Obiad w tym miejscu był dla niego prawdziwą fetą. Jego serce odzyskało prawidłowy rytm. Organizm zaznawał wytchnienia. *Ruota* była gdzieś daleko.

– Znam ją od trzydziestu sześciu lat. Widziałem, jak rosła, dojrzewała, stygła jak metal. Jest odlana ze stopu, który już nie drgnie.

– Mówisz jak złomiarz.

– *Sono ferrov vecchio!* – zawołał, lekko się unosząc i kłaniając wyimaginowanej widowni.

Morvan przypomniał go sobie z połowy lat dziewięćdziesiątych, z obozowiska w buszu, dowodzącego, że przyszłość to nie kobalt ani magnez, ani nawet złoto czy diamenty. Przyszłość to koltan. Morvan nie wiedział, co to jest. Kondotier wyjaśnił mu, że ten minerał zawiera tantal, pierwiastek chemiczny, który topi się w ponad trzech tysiącach stopni i jest powszechnie wykorzystywany w przemyśle elektronicznym. Morvan dalej nie rozumiał, o co chodzi. Wtedy tamten rozdeptał na jego oczach własny telefon komórkowy – duże urządzenie, jakie wtedy produkowano – i wyciągnął z niego płytkę, do której przymocowane były obwody i kości pamięci. Na każdym z tych elementów widać było małą kropelkę srebra. Montefiori zaczął drapać jedną z nich, odsłaniając inny, czarny metal. „Za kilka lat cały przemysł elektroniczny i kosmiczny będzie kupował ten metal. A jego największe złoża są właśnie tu, w Kongu”. Morvan nie znał się ani na

minerałach, ani na finansach, za to znał różnych ludzi – koltan miał się stać złotem schyłku wieku. Francuzi zawarli umowę ze starym Mobutu, a Włoch wniósł znaczące fundusze – Coltano zaczęło działać.

– Wezmę makaron z sardynkami – powiedział, wracając do teraźniejszości.

– Niech będą sardynki – przystał gospodarz. – Brakuje mi Sofii.

– Miewa się świetnie. Dzieci też.

– Ale ta dwójka głupców się rozwodzi.

– Co do tego nie ma żadnych wątpliwości.

– A nasze plany spaliły na panewce.

– W pewnym sensie tak.

Podszedł do nich kelner. Montefiori złożył zamówienie. Żaden z panów nie pił wina, tylko włoską wodę *frizzante*, która bardzo im odpowiadała.

– Nie jestem pewien, czy nasz pomysł był taki dobry – wyznał Morvan.

– Przeżyli kilka szczęśliwych lat. Milla i Lorenzo są wspaniali. Czego pragnie papież?

– Ludu.

– Wiesz, co mam na myśli. To rozpieszczone dzieci, ich priorytety różnią się od naszych.

Od czterdziestu lat byli wspólnikami, a ich silnym punktem było jedyne, na czym można polegać: tajemnica. Tajemnica spotkania w Zairze w roku 1970. Tajemnica paktu w sprawie kopalni magnezu, a potem koltanu. I tajemnica decyzji o przymierzu krwi dzięki Sofii i Loïcowi...

Morvan i Montefiori byli królami – zawarli przymierze i połączyli dzieci niczym dawni władcy. Ich plan byłby doskonały, ale dzieciaki nie kochały się wystarczająco, a może nie mogły się dogadać.

Podano makaron: *bucatini*, szerokie, wklęsłe spaghetti. Morvan znał ten przepis na pamięć: koper, cebula, anchois, rodzynki i orzeszki pinii. No i oczywiście świeże sardynki, które gotują się, w miarę jak paruje białe wino.

Podobnie jak Montefiori, wsunął serwetkę pod kołnierzyk, obcym mu wiejskim obyczajem. Przez chwilę nie rozmawiali, delektując się przygotowanym po mistrzowsku daniem. Koper, pomyślał Morvan, sekret tkwi w koprze. Trzeba go było najpierw obgotować w solonej wodzie i zachować tę wodę, żeby ugotować w niej *bucatini*. Wtedy ważyły się losy potrawy – pierwsze gotowanie miało wzmocnić drugie. W Paryżu Morvanowi nigdy nie udało się uzyskać tak wyrazistego aromatu.

- Doszło do wycieku – rzucił w końcu.
- Widziałem, że kurs rośnie.
- Łajdacy kupują, ile się da.
- Mam nadzieję, że nie podejrzewasz mnie o to.

Morvan milczał, obserwując rozmówcę. Twierdził, że o nowych złożach nie wie nikt poza nim i jego synem, ale kłamał: Montefiori też był wtajemniczony. Cisza się przeciągała. Niewiele osób cieszyło się szacunkiem Morvana, ale Montefiori należał do tego elitarnego klubu.

- Oczywiście, że nie.
- Jak ich powstrzymać?

– Mam pewien pomysł, ale nie w tym tkwi prawdziwy problem. Ten wzrost cen wzbudził podejrzenia Kabonga, który zaczyna mi zachodzić za skórę. Musiałem rzucić mu coś na żer.

Kondotier zamarł z widelcem w powietrzu.

– Dobiliśmy targu – uspokoił go Morvan. – Będziemy po cichu eksploatowali złoża, a on dostanie prowizję. W pewnym sensie tak będzie nawet bezpieczniej. Będzie nam chronił tyły.

Włoch wsunął widelec do ust, z rezygnacją kiwając głową.

- Słuchasz mnie jeszcze?
- Owszem. Jak wyglądają sprawy na miejscu?

– Nie mam nowych wiadomości. W zasadzie wydobyć się zaczęło, ale muszę najpierw rozwiązać problem akcji i znaleźć nabywców.

- A źródło?
- Wkrótce się dowiem, kto nim jest.
- Co zrobisz?

– Zmuszę gościa, żeby zrobił krok wstecz. Kupcy mu uwierzą i odsprzedadzą swoje udziały. Skoro raz mu zaufali, zrobią to znowu.

- A kto kupi akcje na giełdzie?
- Kabongo i reszta chcą wszystko zgarnąć, ale zadziałamy szybciej.
- Nie pozwolą nam przekroczyć pewnego pułapu.
- Potem odsprzedamy akcje. Nasz największy atut to rozproszenie.

Rozdrobnić, żeby skuteczniej rządzić.

Montefiori zjadł swój makaron. Oparł łokcie o stół – olbrzym uznawał byt mebli i innych rzeczy za przelotny i bez znaczenia.

- Nie jesteśmy za starzy na takie numery?
- Nazwijmy to naszą bitwą o honor. Możemy zarobić na tej operacji

jeszcze kilka milionów. A po naszej śmierci dzieci będą miały w Afryce silniejszą pozycję. Wchodzisz w to?

Włoch wyjadał sos z talerza, zbierając go kawałkiem chleba.

– Wchodzę. To wszystko?

Druga sprawa załatwiona. Pozostała jeszcze trzecia informacja do przekazania. *Najgorsze na koniec.*

– Nie. Człowiek Gwóźdź wrócił.

Po raz pierwszy rysy twarzy Montefiorego zastygły.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Poczytaj francuską prasę: od tygodnia ktoś zabija w ten sam sposób.

– Gdzie?

– W Bretanii. W Paryżu.

Montefiori chwycił szklankę pulchną, pokrytą bliznami dłonią. To nie była ręka, ale fresk. Wpisały się w nią gniew, walka, zwycięstwa pioniera.

– Pharabot nadal żyje? – zapytał, wypiwszy potężny łyk wody.

– Nie, ale morderca go naśladuje. Są już trzy ofiary. Wkrótce będzie czwarta.

– Domyślasz się czegoś?

– Waham się między karą bożą a szaleńcem rodem z belle époque.

– Musi być trzecie wyjaśnienie, bardziej... racjonalne.

Morvan przysunął się do niego i dodał półgłosem:

– Próbuje mnie w to wmieszać. Zostawia obciążające mnie dowody, wybiera ofiary, które znam. Mści się za swojego mistrza. Zauważyłeś w swoim otoczeniu coś podejrzanego?

– Nie.

Zadał to pytanie *pro forma*. Handlarz żelastwem nie miał nic wspólnego z tą historią. Jego oczy mówiły: *Arrangiati come cazzo vuoi* (Radź sobie, jak chcesz).

– Kto prowadzi śledztwo? – zapytał mimo to.

– Mój syn. Zajmuje się tym i dopadnie go.

Montefiori uniósł szklankę.

– Módl się, żeby nie znalazł więcej, niż szuka.

Morvan poczuł, jak strach chwyta go za gardło. Najgorszą zemstą byłoby sprawić, że dzieci poznają prawdę o nim.

– Deser?

– Nie. O szesnastej mam samolot.

– Wiatr jest łagodny, samolot wystartuje z Florencji. Informuj mnie na bieżąco. Chętnie wpadłbym do Paryża uściskać wnuki, ale nie wiem, czy znajdę czas.

Morvan wstał i znów ujrzał Montefiorego sprzed czterdziestu lat, wpychającego rękę robotnika do kruszarki za to, że ponoć ukradł kilogram żelaza.

Miał dla niego jeszcze jedną wiadomość.

– Di Greco nie żyje.

– Wszystkich nas to czeka.

– Popełnił samobójstwo.

– Zawsze był stuknięty.

– Myślę, że ma coś wspólnego z tą sprawą.

– Ale co?

– Tego jeszcze nie wiem.

Zarzucił marynarkę, nie proponując, że zapłaci za siebie – był gościem florentyńczyka.

– Zdążyłeś się chociaż przejść? – zapytał Montefiori, również wstając.

– Zajrzałem tu i tam.

– *Ruota*, co?

Uścisnęli sobie ręce.

– Przykro powiedzieć – uśmiechnął się Morvan – ale nikt nie zna mnie tak jak ty.

– Statek, o którym mowa, to „Apnea Gaillard”. – Pracownik nadzoru żeglugi rzecznej i morskiej trzymał w ręku tablet. – To kontenerowiec, dziesięciotysięcznik, kursuje między Afryką a Fos-sur-Mer. Właśnie przyplłynął, stoi prawą burtą do nabrzeża. Zaraz zacznie się rozładunek.

Znajdowali się w terminalu basenu zachodniego w porcie Marsylia-Fos. Mężczyzna był ubrany w granatowy sweter z epoletami. Równie dobrze mógłby służyć w Kaerverec albo na lotniskowcu „Charles de Gaulle”.

Po lądowaniu w Marsylii dwaj policjanci z komisariatu centralnego w Noailles odwieźli Erwana prosto do portu. Przespał cały lot i teraz miał wrażenie, że w głowie bulgocze mu woda. Właściwie nie bardzo wiedział, po co odbył tę podróż. Po półgodzinie znaleźli się przed dziwną aleją między dwoma murami z krainy wielkoludów. Po jednej stronie, przy nabrzeżu, cumowały kontenerowce jeszcze załadowane kontenerami, po drugiej te zdjęte z nich klocki ustawiono na nabrzeżu jak domino dla olbrzymów. Mosty przeładunkowe łączyły dwie strony tej ulicy, w zadziwiającym tempie przenosząc gigantyczne klocki. Kontenerowe wozy bramowe, gigantyczne równoległościenne fenwicki, przyjmowały je i odstawiały tak precyzyjnie, jak stały na kontenerowcu.

– Co najczęściej przewozi? – zapytał Erwan.

W eleganckim, czarnym garniturze nie miał szans zmniejszyć dystansu, jaki dzielił go od oficera marynarki, żyjącego świeżym morskim powietrzem i kalmarami, a także od tych dwóch gliniarzy, pyszałków, których obchodziło tylko, żeby zdążyć na mecz piłkarski.

– Towary trwałe. Drewno, skórę, przyprawy. Wyłącznie „suche”, czyli niestanowiące żadnego zagrożenia.

– Nic poza tym?

– W zasadzie nie importuje się z Afryki produktów wysokiej technologii. Erwan zlekceważył tę drwinę.

– Udało się panu odnaleźć ślad kontenerów Heemecht?

Oficer wziął do ręki pióro elektroniczne i wystukał nim coś na czytniku.

– Numer 89AHD34 oraz numer 89AHD35.

– Według informacji, jakimi dysponuję, jeden z nich zawiera złom żelazny
– zaryzykował.

– Nie miałem czasu przeczytać dokumentów przewozowych, ale zawierają dokładny spis zawartości każdego pudła. Trzeba by przejrzeć tysiące stron.

– Kontenery są już na nabrzeżu.

– Trzeba to sprawdzić z logistyką.

W ich kierunku sunął właśnie postawiony na boku sześciometrowy kontener – mały dom, którego waga wynosiła jakieś dwadzieścia, trzydzieści ton. Operator wozu bramowego siedział w kabinie na wysokości dziesięciu metrów. Musieli się odsunąć i przyłgnąć do czekających na ładunek wagonów. Wszystko tu działo się na wielką skalę, a człowiek był w tej scenerii jak niepozorny robak.

Tu i teraz plan, który obmyślił, wydał mu się absurdalny. A w każdym razie – oparty na nieuzasadnionych założeniach. Pierwsze – że morderca musi uzupełnić zapas gwoździ. Drugie – że zaopatruje się właśnie na tym nabrzeżu, przy ciężarówkach. Trzecie – że kontenery zawierają właśnie to żelastwo i wszystko wydarzy się dziś wieczorem.

– Czy kontenery są tu otwierane?

– Bywa i tak, ale są różne sytuacje. Część odjeżdża w takim stanie pociągami, inne ciężarówkami. Niektóre trafiają do magazynu i są tu rozładowywane.

Usłyszeli szczekanie. Celnicy z psami szli wzdłuż kontenerów, szukając podejrzanych towarów. Głośno krzyczeli, porozumiewając się z operatorami za pomocą krótkofalówek.

– Może mnie pan zawiadomić, kiedy kontenery znajdą się już na nabrzeżu?

– Oczywiście, ale nie ma mowy o ich otwieraniu.

Erwan zwrócił się do kolegów z Marsylii:

– Będziemy mieli niezbędne papierki?

Oficer zapalił papierosa. Płomień zapalniczki oświetlił jego dziobatą twarz.

– To nie takie proste. Na morzu wszystko podlega prefektowi morskemu, na lądzie – temu lądowemu. Ale tu jest strefa celna.

Erwan nie słuchał tej administracyjnej gadaniny. Widział to coraz precyzyjniej – złodziej gwoździ przychodzi tu, żeby je zdobyć dziś w nocy...

– Łatwo otworzyć taki kontener?

– Gdyby mieć coś do spawania... Prawdę mówiąc, nigdy nie zdarzyła się

nam tu kradzież. Jeżeli ktoś atakuje te pudła, to raczej od wewnątrz.

– Nie rozumiem.

– W Afryce ludzie dają się zamknąć w środku. Biorą piłę do metalu. Kiedy są dość daleko od brzegu, tną blachę. Czasem czekają, aż dopłyną. Ale wtedy znajdujemy ich w kiepskim stanie.

Erwan patrzył na kontenerowiec, który wyglądał jak faleza z ustawionych piętrowo, różnokolorowych pudeł z blachy falistej, które grzały się w śródziemnomorskim słońcu i pokrywały solą niesioną przez wiatr.

– Wie pan, jak długo „Apnea” zostanie przy nabrzeżu?

– Około dwunastu godzin. Jutro rano tej jednostki już tu nie będzie. Kontenerowiec, który nie pływa, to dla armatora duża strata.

– Jedna noc na rozładunek tysięcy kontenerów?

– Każdy z tych wozów przerzuca sześćdziesiąt sztuk na godzinę. Niech pan policzy. A w trakcie rozładunku napętnia się zbiorniki paliwa, no i ruszamy!

Erwan popatrzył na marsylczyków – mieli noc na załatwienie formalności, przekonanie urzędu celnego i prokuratury w Marsylii, że „Apnea” być może ma związek z toczącym się w Paryżu śledztwem w sprawie seryjnego zabójcy. Słowem: zadanie niewykonalne. W dodatku statek pływał pod antiguańską banderą.

– Mogę pomówić z kimś z Heemechtu?

– Oczywiście – powiedział oficer. – Ale to luksemburska spółka, więc nie są zobowiązani odpowiadać na pańskie pytania. Zorganizuję panu spotkanie na jutro rano. Teraz muszę wracać do pracy. – Zwrócił się do marsylskich policjantów. – Chłopaki, macie parę godzin na przejrzanie dokumentów.

Erwan cofnął się, żeby ogarnąć wzrokiem statek „Apnea Gaillard”: w świetle reflektorów te pstrokate stosy kontenerów przypominały mu sławne płótno Gerharda Richtera, *1024 kolory*, skomponowane wyłącznie z małych prostokątów.

Czy gwoździe mordercy kryły się gdzieś w tej masie?

Zaczął rozmyślać nad planem B i wpadł na pomysł, by przez całą noc obserwować kontenery.

– Ma pan mój numer komórkowy – powiedział. – Proszę zadzwonić, kiedy kontenery znajdą się na lądzie.

Dwudziesta druga. Trwał rozładunek statku „Apnea Gaillard”.

„Jego” kontener o numerze 89AHD34 wyładowano około dziewiętnastej trzydzieści, a oficer portowy natychmiast go o tym powiadomił. Po weryfikacji okazało się, że ten TEU – tak nazywano kontenery od „ekwiwalentu dwudziestu stóp” – zawierał, wśród wielu innych rzeczy, także „metale używane”. To już było wstępne potwierdzenie. Erwan nie dzwonił do marsylskich kolegów, uznając, że sam może obserwować kontener. Wziął broń służbową, odznakę policyjną i opuścił hotel w pobliżu portu. Minąwszy wejście, przysiadł obok gromady strażników przy magazynie. Stąd widział zarówno kontener, jak i prowadzone za zwartymi szeregami ogromnych skrzyń manewry.

Wszystko działo się w jaskrawym świetle potężnych reflektorów. Spektaklowi wtórowało wycie, pomruki, wirowanie, brzęk metalu, zgrzyty lin, głosy zniekształcone przez trzeszczące radia. Obecność ludzi pozostawała niewidoczna. Tylko maszyny poruszały się w blasku światła. Skrzynie wędrowały z pokładu na nabrzeże, z nabrzeża na parkingi. Wozy krążyły niczym olbrzymi służący z ogromnymi półmiskami. Potężne łapy chwyciły TEU jak monstrualne szczypce do cukru. Przypominało to miasto z klocków Lego w trakcie demontażu.

Początkowo Erwan obserwował te manipulacje z zainteresowaniem. Potem, ogłuszony hukami, zmęczony ostrym światłem, pogrążył się we własnych myślach o Człowieku Gwoździu, jego diabelskim rytuale, o ofiarach. Znowu wracał do dwuwątkowej hipotezy: po pierwsze, morderca mścił się na Morwanie, po drugie, odprawiał egzorcyzmy, by odpędzić własne demony – wśród nich homoseksualizm i nekrofilę.

Zastanawiając się nad tym, dorzucił jeszcze jeden element: impotencję. Bo przecież morderca gwałcił ofiary buławą albo podobnym przedmiotem, zastępując ciało żelazem. Być może nie mógł zrobić tego inaczej. Ale dlaczego naśladował Człowieka Gwoźdza? Skąd znał tę sprawę? Czy

zawział się na Morvana za aresztowanie swego idola? A może ojciec odegrał jakąś bolesną rolę w jego życiu?

Jeden z reflektorów obrócił się w jego stronę i oślepił go. Odruchowo odwrócił głowę i ujrzał własny cień padający na rząd kontenerów. Zadzwoiła jego komórka. Sofia, przemknęło mu przez myśl (wciąż czekał na jakiś znak od niej, bo duma zabraniała mu zrobić pierwszy krok). Ale dzwonił Kripo.

– Jesteś tam? Nic nie słyszę!

Erwan schował się między dwoma kontenerami.

– Jestem – powiedział, podnosząc głos.

– Odkryłem coś ważnego.

– Co?

– Anne Simoni utrzymywała kontakty z pewną społecznością. Osobliwą społecznością.

– Jaką?

– Sado-maso. Fetyszyzm.

– *A no limit?*

– Za wcześnie, żeby o tym mówić, ale według moich źródeł brała udział w specyficznych spotkaniach, na które wszyscy przybywali dziwacznie przebrani. Odbywały się tam seanse tortur i tak dalej.

Takie mroczne upodobania łączyły ją w pewnej mierze z admirałem di Greco. To był kult cierpienia, rozkosz znajdowana w bólu – oficer i dziewczyna mogli, każde z osobna, zetknąć się z Człowiekiem Gwoździem.

– Jak na to natrafiłeś?

– Dzięki billingom. Ponad miesiąc temu dzwoniła do sklepu z fetyszami w Halach. Zadzwoiłem tam. Sprzedają tam lateksowe kombinezony, kostiumy pielęgniarek, nazistowskie mundury.

– Zapamiętali ją?

– Nie. Ale przypomniał mi się pewien szczegół. Kiedy Audrey i Sardynka robili u niej rewizję, znaleźli dziwne rzeczy – maski medyczne, bluzy chirurgów, pasy, pomarańczowe kombinezony.

– Audrey wspominała mi o tym.

– Według faceta ze sklepu to jeden z trendów w świecie fetyszystów. Obsesja świata medycznego z dominacją koloru pomarańczowego.

– Dlaczego pomarańczowego?

– To kolor betadyny. Do tego te pasy i opaski zaciskające. Taki fetyszyzm

może polegać na upodobaniu do zastrzyków albo do inwazyjnych badań, wsadzania palca w odbyt, kolonoskopii i tym podobnych. Zresztą znaleziono u niej też specyficzne przybory, na przykład zestawy do unieruchamiania, wzierniki, sondy, kaniule, skrobaczki.

Erwan zaczął się zastanawiać. Młoda kobieta, która przebiera się i potrzebuje do tego opasek zaciskowych, kombinezonów uniemożliwiających oddawanie moczu albo wykonuje pozorowane aborcje, to szczególnie portret psychologiczny. I to powiązanie ze specyficznym półświatkiem.

– Te rzeczy pasują do innego znaleziska – ciągnął Lutnista. – Informatycy złamali kody w jej komputerze i znaleźli tysiące filmów, że tak powiem – instruktażowych: irygacje *per rectum*, rozszerzania cewki moczowej, zgłębniki odbytnicze. Daruję ci resztę szczegółów.

Jej czarne skrzynki psychiki...

– Jutro po powrocie pogadamy z Lartigues'em. To musi mieć z nim coś wspólnego.

– Cieszę się, że tak mówisz.

– Tymczasem pracujcie nad tym wątkiem. Sprawdźcie tych, którzy zadarli już z prawem.

– Uważasz mnie za stażystę?

– Oddzwonię do ciebie – przerwał nagle Erwan i schował telefon.

Zauważył jakiś cień na końcu alei kontenerów. Pobiegł w jego kierunku i dotarł do platform kolejowych. Nikogo. Strażnik? Nie, oni używali latarek, wielu chodziło z psami.

Jakiś intruz. Może nie morderca, ale ktoś, kto nie chciał zostać zauważony. Gliniarz poszedł w lewo, potem wzdłuż kontenerów. Pierwsza aleja – nikogo. Druga – pusto. Trzecia... Zaczynał się zastanawiać, czy to nie było złudzenie.

Już miał się wycofać, kiedy w czwartej alei zauważył jakąś sylwetkę. Ruszył pędem. Skręcił, pobiegł, znowu skręcił. Nie słyszał już nic oprócz dalekiego podzwania metalu. Instynktownie skręcił w lewo, a potem ruszył nowym korytarzem w prawo.

Zagubiony w tym labiryncie barw, nie wiedział już, gdzie jest. Nad jego głową przesuwaly się smugi ostrego światła, obracały się w rytm rozładunku. Jego pole widzenia ograniczało się do falistych ścian. Przypomniała mu się anegdota faceta z ZMFR – afrykańscy pasażerowie na gapę zamykali się

w kontenerach, uzbrojeni w piłę do metalu. Czy ścigał takiego uciekiniera? Im dalej zapuszczał się w gąszcz kontenerów, tym bardziej tracił orientację. Czuł się jak więzień, który się szamocze i tylko zaciska więzy. Wezwać pomoc? Ale pracujące wokół maszyny zagłuszyłyby jego wołanie.

Rozwścieczony, walnął pięścią w metalową ścianę, wyobrażając sobie, co może się kryć w tych przeklętych pudłach. Afrykańskie meble. Przyprawy. Rozmaite wyroby ze skóry. Owoce... Glina uwięziony przez banany i zboże – koń by się uśmieł!

I nagle padł na ziemię. Zanim zdążył odwrócić głowę, tamten odbiegł już w prawo. Wyskoczył z kryjówki, pchnął go i uciekł. Erwan wylądował na kolanach, oparty dłońmi o ziemię. Broń wyleciała mu z ręki. Wystartował jak sprinter, ile sił w nogach, chwytając po drodze broń.

Następne skrzyżowanie alei. Cel był sto metrów przed nim, po lewej. Jego cień przemykał po metalowych ścianach. Erwan odzyskał nadzieję. Zaczynał też orientować się w tym labiryncie. Pięćdziesiąt metrów. Odgłosy z nabrzeża się nasilały. Trzydzieści metrów. Sylwetka była ciemna, głowa też. Czarny? Biały w kominiarce?

Erwan nie wiedział, jak znalazł się na nabrzeżu. Ścigany pojawił się między dwiema maszynami. Każda sekunda potwierdzała to, co Erwan już zauważył: tamten biegł za szybko. Jak wytrenowany sportowiec. Ale Erwan też uprawiał biegi – przyspieszył. Tamten ominął maszyny, przebiegł za pociąg, zniknął w cieniu wagonów. Nikt inny go nie zauważył. Ani operatorzy w swych kabinach nad ziemią, ani ci z podnośników, ani kierujący rozładunkiem, skupieni na pudłach przesuwających się w górze w białym świetle.

Erwan przystanął, próbując odnaleźć intruza i zorientować się, jak przedostać się przez pas, na którym pracowały maszyny. I nagle go zobaczył. Około trzystu metrów dalej, za plamą światła, pomiędzy nogami dźwigów, które układały kontenery. Galopował w stronę wody.

Erwan bez namysłu rzucił się między suwnice i kontenery unoszące się kilkadziesiąt metrów nad ziemią. Gwizdy, pisk hamulców, przekleństwa. Nadzorujący kazał przerwać rozładunek, dokerzy złorzeczyli, alarmy wyły. Ale miał to gdzieś – teraz tamten szedł po trapie statku „Apnea Gaillard”, chcąc dostać się na pokład.

Erwan biegł zygzakiem, omijając maszyny na ogromnych kołach, aż dostał się na kontenerowiec. Uciekinier był już na końcu trapu. Teraz było go

wyraźnie widać: miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, szerokie bary. Był ubrany w szary kombinezon. Ale nie dało się stwierdzić, czy był czarnoskóry, czy po prostu zamaskowany.

Erwan biegł, odpychając robotników. Nadrobił kilka sekund. Kiedy chwycił rampę, tamten był już na pokładzie. *Jesteś w pułapce.*

Tylko że ta pułapka miała trzysta metrów długości.

Na pokładzie ustawione jeden na drugim kontenery ciągnęły się od burty do burty. Pozostawiono tylko wąski korytarz, aby umożliwić przejście. Erwan już nie biegł, lecz stawiał stopę przed stopą, jak linoskoczek. Ciężko dyszał, znów bolało go całe ciało.

A potem zobaczył tę otchłań: ogromne, już opróżnione ładownie, głębokie na sześć, może siedem pięter. I ani śladu uciekiniera. Zaczął schodzić po metalowej drabinie, zerkając przez ramię. Zobaczył, jak na drugim końcu statku metalowe skrzynie odlatywały jedna po drugiej w niesamowitym tempie.

Znów korytarz. Ciąg palet. Chwycił się rampy, gdy wypatrzył tamtego kilka pięter niżej, idącego na skos przez pustą ładownię. Erwan znalazł drugą drabinę, chwycił się jej i schodził szczebel po szczeblu. Tu nie dało się poruszać w szybszym tempie.

Gdy dotarł na dół, nikogo tam już nie było. Po prawej kołysały się drzwi. Pobiegł. Prowadziły do następnej ładowni, tym razem pełnej skrzyń czekających na otwarcie klap, aby także wznieść się w górę i wydostać na ląd.

Coś szcęknęło. Gdzieś otworzyły się, a potem zatrasnęły drzwi. Jeśli północ była przed nim, to ten dźwięk dobiegł z północnego zachodu. Ruszył korytarzem w lewo, potem skręcił w prawo. Te przesmyki były tak wąskie jak mostki na pokładzie i biegły pomiędzy solidnie sztauowanymi kontenerami, mocowanymi za pomocą stalowych ram przytwierdzonych do podłoża.

Znalazł drzwi, otworzył je i zobaczył jeszcze jedną kładkę nad na pół wypełnioną ładownią. Znów niczym ekwilibrysta poszedł wzdłuż ściany i dotarł do prowadzącego w dół luku. Potem zaczęło się schodzenie, ale tym razem Erwan dotarł do ciasnego, nitowanego pomieszczenia, skąpanego w czerwonym świetle. Nie było stąd innego wyjścia. Na ścianach dostrzegł gaśnice, siekiere, alarmy.

Doznał niepokojącego uczucia: był tu sam na sam z wrogiem, głęboko pod

pokładem, gdzie cuchnęło żelazem, tłuszczem i morzem. Albo nie wyjdzie stąd żywy, albo znajdzie niedożywnego uchodźcę, albo mordercę.

Pod stopami zauważył właz. Otworzył go mimo jak najgorszych przeczuć. Kiedy wsuwał się do wąskiej studni, bez jasnego powodu pomyślał o di Grecu, jego roztrzaskanej głowie i o tym, co napisał: „Lontano”. Po chwili dotknął nogami jakiejś czarnej mazi. Korytarzem, który się przed nim otwierał, można było iść tylko prosto przed siebie. Wędrówka po olbrzymich ładowniach była daremna i bezsensowna.

Intruz znał statek. Ściągnął go na swoje terytorium – w pułapkę, aby go tu uwięzić. Erwan nie słyszał już odgłosu kroków. Znajdował się na piątym albo szóstym poziomie pod pokładem, całkowicie zagubiony.

Kolejne drzwi. Znowu ogromna, pusta hala oświetlona czerwonymi lampami. Sejf rozmiarów basenu olimpijskiego. Stał i wstrzymał oddech, nasłuchując. W rzeczywistości nie mógł się już ruszyć. Jeden krok pozbawiłby go jakiegokolwiek osłony.

Tamten musiał być w pobliżu, czuł to. Kąty hali niknęły w mroku. Z bronią w ręku, trzymając się ściany, przesunął się w lewo. To miejsce nie było ładownią – nie dałoby się go opróżnić przed innymi, tymi z wyższych poziomów. Dlaczego było puste? Pomyśl, że „Apnea Gaillard” nie wzięła pełnego ładunku, nie był prawdopodobny. Więc co?

Zanim przeszedł pięćdziesiąt metrów, usłyszał, że zatrząskują się drzwi, przez które dostał się tu kilka sekund wcześniej. Podbiegł i zobaczył, jak koło błyskawicznie się obraca. System zablokował się ze złowieszczym szcęknięciem.

O mało nie wybuchnął śmiechem – po dwudziestu latach pracy dał się załatwić jak żółtodziób. Schował broń, chwycił „kierownicę” i próbował ją obrócić. Na darmo. Obejrzał zawiasy i system blokad. Idealnie szczelne. Ruszył biegiem wzdłuż ścian, szukając innego wyjścia.

Nagle ogłuszył go potworny huk. Wzniósł oczy i osłupiał: dziesięć metrów nad nim, przez otwory, do środka wdzierały się wodospady, przy których bladł Iguacu. Balast! Znalazł się w jednym ze zbiorników, które napełnia się, żeby statek utrzymywał równowagę i odpowiednie zanurzenie przy nabrzeżu podczas rozładunku.

Nie ulegając panice, Erwan trzymał się pierwszej myśli: znaleźć drzwi, które da się jeszcze otworzyć. Ruszył, brodząc w wodzie. Spusty, które kolejno się otwierały, torowały drogę tysiącom metrów sześciennych wody,

wpadającej do wnętrza z ogłuszającym łoskotem.

Ale to nie była zwykła woda, a raczej cuchnąca, ciemna magma podobna do mazutu. Czasem dominowała żółtawa ciecz przypominająca pianę wypływającą przez niektóre fabryki chemiczne.

Inne drzwi, jakby przyspawane. Erwan się odwrócił. Kaskady wody spadały na niego, sięgały mu już do pasa. Czy było mu zimno? Nie wiedział, bo ciało wciąż paliło go po szaleńczej gonitwie. Chwycił się metalowego koła, żeby nie dać się porwać w wir. Znajdował się w gigantycznej umywalce, do której wlatywała woda. Niestety jej poziom wciąż się podnosił. Ciemna ciecz sięgała mu już piersi. Wodne kaskady spadały z przerażającym hukiem.

Wycieńczony, oderwał się w końcu od drzwi i natychmiast został porwany na środek zbiornika – w oko cyklonu. Czuł smak soli na ustach, smak śmierci w gardle. Niezdarnie obrócił się na plecy – nigdy nie umiał leżeć płasko na wodzie – i uwolnił od wszelkich myśli, wpatrzony w coraz bliższy sufit. Dziwne uczucie: tańczył żałobny walc, wirując wokół własnej osi, zbliżając się do kresu.

Aż nagle pomyślał, że musi istnieć jakiś sposób włączenia alarmu. Zaczął szukać kamer, ale żadnej nie zobaczył. Czujniki przeciwpożarowe? W takim miejscu były zupełnie zbędne. Fale rzucały go teraz pod sam sufit, a on starał się utrzymać na powierzchni. Zrezygnowany, zamknął oczy. Wracił do wód pierwotnych, do...

Wskaźniki poziomu wody. Na pewno zainstalowano je w zbiorniku, nie tylko po to, żeby wiedzieć, ile się jej zebrało, ale też po to, żeby analizować jej skład. Gdzieś o tym czytał – zrzucanie balastu to poważny problem ze względu na skażenia. Spuszczając na pełnym morzu tysiące metrów sześciennych brudnej wody z portów, wielkie statki zakłócają ekosystemy mórz i oceanów. Przepisy nakazują więc, by analizowano skład tej cieczy, zanim zostanie wylana.

Erwan zanurkował. Czerwone lampy wciąż świeciły, nierealne w tym płynnym cieniu. Jeśli dopisze mu szczęście, to znajdzie urządzenia pomiarowe właśnie przy lampach. Schodząc głębiej, wyrwał się z wiru i podpłynął do pierwszej lampy. Po omacku szukał sondy albo czegoś w tym rodzaju.

Znalazł – nie wiedział, do czego służy ten przedmiot, ale wskaźniki i kable świadczyły o połączeniu ze światem zewnętrznym. Trzymał broń w ręku.

Odepchnął się nogami, żeby się trochę oddalić, załadował i strzelił.

Potem popłynął dalej, zmagając się z chęcią otwarcia ust. Płuca miał przepełnione dwutlenkiem węgla. W odległości trzydziestu metrów, za kipiela, błyszczała druga lampa. Znowu oddalił się od ściany i wystrzelił. Miał nadzieję, że w ten sposób włączy gdzieś alarm. Albo automatyczny system, który zacznie spuszczać wodę.

Odpłynął w prawo. Czas nie mijał, czas go dusił. Zrobiło mu się ciemno przed oczami. Już wiedział, że nie zdoła wydobyć się na powierzchnię, bo powierzchni nie było. Wiedział też, że nie powinien oddychać. Wiedział...

Chciał nacisnąć na spust, ale otworzył usta.

Kiedy Erwan odzyskał przytomność, wydawało mu się, że jest w piekle.

W rzeczywistości ocknął się na oddziale ratunkowym szpitala Timone, w środku nocy. Leżał na noszach, w osobnym boksie – rozebrano go i wystrojono w papierową koszulę – a przez rozchylone zasłony widział wędrujących po korytarzu pacjentów, którzy – każdy na swój sposób – flirtowali z chorobą, czasem nawet ze śmiercią. Wypadki w domu albo zapalenia oskrzeli u dzieci. Bójki, urazy, wypadki drogowe młodzieży. Zawały, udary, wylewy u ludzi starych. A wśród tych budzących grozę egzemplarzy odrębna populacja – zimnokrwista, w białych fartuchach, ruchliwa, zadająca mnóstwo pytań: numer ubezpieczenia zdrowotnego, ostatnio spożyte pokarmy, okoliczności wypadku.... Do tego ruchy, które niosły ratunek.

Erwan obserwował ten spektakl jak przez mgłę. Pierwszy kwadrans po odzyskaniu przytomności spędził, wymiotując, drugi – plując, trzeci – płuczając usta czystą wodą. W gardle, płucach, nawet w sercu czuł żrącą sól. Miał wrażenie, że poparzył się... od środka. Dowody jego topienia się – garnitur i koszula – wisiały tuż obok, sztywne i pokryte białawymi plamami. Skóra pod papierową bluzą, schnąc, pękała jak farba na starym obrazie.

Lekarz zlecił wykonanie zdjęć rentgenowskich, gdyż w potężnym wirze wielokrotnie uderzał w coś głową, miał obite biodra, poza tym wspomniał o ranach z Kaerverec. Na szczęście nie doznał żadnych złamań. Przybyło mu tylko siniaków, no i zapewnił sobie nowe strupy do kolekcji.

Zamknął oczy. Jego powieki opadły jak na rozgrzany piec. To niesamowita rozkosz odpłynąć tak w miejscu, gdzie krzyki, diagnozy i bieganina zlewają się w niezrozumiały tumult. Po rozwścieczonych wodach balastu Erwan czuł się tu, jakby pływał po jeziorze, wsłuchany w świergot ptaków.

Na razie nie myślał o człowieku, który wciągnął go w zasadzkę, ani o okolicznościach ataku – wróg znał system balastowy. Erwan był wściekły, bo tym razem naprawdę mało brakowało, by nie uszedł z życiem,

a jednocześnie czuł niewypowiedzianą wdzięczność dla strażaków, którzy go uratowali.

Zasłona się rozsunęła. Stali przed nim dwaj policjanci z Noailles w towarzystwie oficera ZMFR. Wszyscy trzej patrzyli na niego z wyrzutem. Po pierwsze, nikogo nie uprzedził o nocnej wyprawie. Po drugie, żaden z nich nie miał tej nocy służby, co oznaczało, że jego wycieczka zmusiła ich w piątkowy wieczór do opuszczenia rodzin albo rezygnacji z zakrapianej kolacji.

Erwan usiadł na noszach. Spodziewał się wyrzutów. Wtargnął bez zezwolenia do strefy frachtu. Poruszał się po zamkniętym dla osób z zewnątrz terenie rozładunku. Wtargnął na kontenerowiec pływający pod banderą Antigui. Stał się jednym wielkim problemem dla kapitana i załogi statku, kompanii transportowej, która wyczarterowała jednostkę, nadzoru basenu zachodniego portu Fos i tych trzech facetów, którzy do niego przyszli.

Jednak, patrząc na niego, owiniętego w ten zielony łańch jak sushi w wodorosty, najwyraźniej zmiękli.

– Przeszukaliśmy wszystkie baseny – powiedział jeden z policjantów. – Ani śladu tego pańskiego intruza.

– A robotnicy z nabrzeża?

– Przesłuchujemy ich, ale na razie nikt nic nie widział.

– To napastnik otworzył spusty?

– Nie. – Oficer marynarki pokręcił głową. – Balastowanie to proces automatyczny. Miał pan pecha, chyba że tamten wiedział, co się zaraz stanie. Podczas rozładunku napełnia się zbiorniki, żeby utrzymać poziom zanurzenia statku.

Erwan przez chwilę milczał. Wydawało mu się, że jego mózg gotuje się na wolnym ogniu w kotle pełnym słonej wody.

– A załoga „Apnei”?

– Przesłuchania trwają – odezwał się jeden z policjantów. – Ale nie należy robić sobie większych nadziei. Połowa załogi zeszła na ląd, pozostali poszli spać.

– Ilu ich jest?

– Szesnastu.

– Na statku długości trzystu metrów?

– W dzisiejszych czasach – podjął oficer portowy – wszystko opiera się na elektronice.

- Ci ludzie wydają wam się czyści?
 - Zwyczajna załoga – Filipińczycy, Nigeryjczycy, Chorwaci. Cargo wypływa jutro rano.
 - Po tym, co się stało dziś w nocy?
 - Kapitan nie zgodzi się tego przedłużyć. Prawdę mówiąc, padł ofiarą pańskich wygłupów i nie zamierza bawić się we wnoszenie oskarżenia, bo zmarnowałby jeszcze trzy dni.
 - A jeśli ja to zrobię?
 - Szczerze odradzam.
 - Celnicy pozwolą mu odpłynąć?
 - Jeżeli nie zrobi pan jeszcze większego bajzlu, nie będzie żadnych podstaw, żeby go zatrzymać.
 - A kontenery Heemecht?
 - Otworzymy je. Czego według pana szukał ten intruz?
 - Już mówiłem, starego żelastwa.
- Oficer marynarki z niedowierzaniem pokręcił głową:
- Nikt nie eksportuje używanego metalu. Na pewno nie z Afryki.
 - Dlaczego?
 - Bo tam nawet pogięte gwoździe bez łebków mogą się jeszcze na coś przydać.
- Erwan zgadzał się z nim, ale nie miał siły wyjaśniać, o co dokładnie chodzi.
- Rozmawiał pan z kapitanem „Apnei”? Z celnikami? Z kapitanem?
 - Rozmawiałem ze wszystkimi i od wszystkich mi się oberwało. Jeżeli ta pańska eskapada spowoduje jakieś opóźnienia, zrobi się zamieszanie. Nie wspomnę nawet o inspekcji morskiej, która spadnie mi na głowę jutro rano, żeby sprawdzić, czy przestrzegano wszystkich zasad bezpieczeństwa. Pańskie metody śledcze mogą kosztować tysiące euro.
- Musiał też spisać dokładny raport, a nie miał przy sobie Kripo, który pełniłby obowiązki skryby. Lepiej zabrać się do tego natychmiast. Chciał postawić nogę na podłodze, ale potworny ból w biodrze zmusił go do odwrócenia się i oparcia o łóżko. Przy tych manewrach jego koszula rozchyliła się na plecach, więc świecił gołymi pośladkami. Wszyscy parsknęli śmiechem, poczynając od niego samego.
- To była kompromitacja brygady kryminalnej.
- Nie znaleźlibyście dla mnie jakichś suchych ciuchów?

Jeden z policjantów rzucił mu plastikową torbę, pytając z uśmiechem:

– Nie ma pan nic przeciwko OM?

Erwan zobaczył czarny T-shirt z tymi literami, bluzę z kapturem w barwach drużyny Olympique Marsylia i szare spodnie joggingowe. Na drogę powrotną do hotelu przy Starym Porcie był to strój idealny. Tam odda garnitur do pralni.

Jego goście wyszli za zasłonkę, żeby mógł się spokojnie przebrać. Wykorzystał tę chwilę na stworzenie portretu pamięciowego napastnika: metr osiemdziesiąt pięć, atletyczna budowa, doskonały biegacz. Co do koloru jego skóry nie miał pewności. Poza tym mężczyzna znał świat statków transportowych, co doskonale pasowało do człowieka z zodiaca. Czy to był Człowiek Gwóźdź? Włożył bluzę z kapturem i zabrał kopertę, do której pielęgniarki wrzuciły klucze, telefon komórkowy i dokumenty, oczywiście mokre. Próbował włączyć telefon, ale bezskutecznie. Na pewno był już nie do odratowania. Włożył wszystko do torby plastikowej, a potem jeszcze raz sprawdził kieszenie garnituru.

W marynarce znalazł złożoną na czworo kartkę. Była posklejana, nasączona słoną wodą, więc bardzo ostrożnie ją rozłożył. Zobaczył nazwiska i wtedy przypomniał sobie o „klientach” Gaëlle, zidentyfikowanych przez agentów ojca. Przy każdym podano miejsce i porę ostatniego spotkania. Już miał wyrzucić mokry papier, kiedy jedno z nazwisk zwróciło jego uwagę. Richard Mason. Gdzieś już go spotkał albo tylko o nim słyszał. Poświęcił chwilę na przeczytanie całej listy. I znalazł kolejne znajome: Siergiej Borguisnow. Szperał w pamięci. Kontynuował. Trzeci „znajomy”: Johnny Leung.

Tym razem zrozumiał: to trzej wtajemniczeni, którzy dobrali się do akcji Coltano.

Poczuł się, jakby dostał obuchem po głowie. Oszołomiony, oparł się o nosze.

Ci ludzie byli kochasiami Gaëlle. To jego siostra stała się informatorką bankierów.

W jakiś sposób zebrała te dane – albo słyszała rozmowy telefoniczne, albo – co bardziej prawdopodobne – znała szyfr do sejfu Loïca. Ciąg dalszy łatwo było sobie wyobrazić: zdradziła informacje trzem klientom, bankierom. Erwana utwierdził w tych podejrzeniach pewien szczegół: według Serana ostatni zakup akcji nastąpił 10 września, a zlecił go właśnie Leung, który –

zgodnie z notatkami agentów DCRI – spotkał się z Gaëlle dzień wcześniej.

Erwan za dobrze znał siostrę, żeby podejrzewać, że sprzedała te informacje. Rzeczywistość była znacznie gorsza: ona podarowała je z pełną świadomością, żeby zaszkodzić ojcu i młodszemu z braci. Prawdopodobnie nie w pełni zdawała sobie sprawę, jak są ważne i cenne, ale domyśliła się, że ich ujawnienie może spowodować duże problemy. Wydała ich tak, jak piroman podkłada ogień we własnym domu, gdzie spokojnie śpi jego rodzina.

Borguisnow chwalił się, że czerpie wiedzę „u źródła”. Ale nie myślał o afrykańskiej ziemi, tylko o rodzinie Morvanów.

– Idziemy?

Erwan schował kartkę do kieszeni i wyszedł z boksu:

– Muszę zadzwonić.

– Gdzie ona jest? Zabiję ją!

Morvan wpadł do mieszkania, rycząc jak lew. Odepchnął Loïca, który nie rozumiał, skąd ta nieoczekiwana wizyta, bo Erwan go o niej nie uprzedził, ponieważ stary zabronił. Ojciec przebiegł korytarz, jakby nacierał na wroga. Miał wrażenie, że gniew ogranicza jego pole widzenia. Telefon syna zastał go w łóżku, gdy zmagał się z dręczącymi go lękami. To, co usłyszał, na pewno nie ułatwiło mu walki z bezsennością.

W gruncie rzeczy nie zdziwił się, bo potwierdziło się tylko to, czego już wielokrotnie doświadczył: najgorsze jest zawsze to drugie dno prawdy. Gaëlle, jego ukochane dziecko, jego aniołek, który wyrósł na kurwę, knuła, żeby go zrujnować, i niewykluczone, że tym razem odniosła sukces.

Znalazł ją w salonie, otuloną w wełniany koc Paoli Lenti, ten, który podarował Loïcowi i Sofii z okazji ślubu. Najzwyczajniej w świecie oglądała sobie telewizję w towarzystwie tego idioty, jej brata. Tak właśnie wyglądało życie Gaëlle – pilnowała dzieci Loïca, sypiała, z kim popadło, a w wolnych chwilach wbijała ojcu nóż w plecy.

Poderwała się z kanapy, gotowa przyjąć ciosy.

– Wdajesz się w machlojki z bankierami?!

Głucha cisza.

– Chcesz nas zrujnować, tak?

Znów głucha cisza.

Morvan podszedł do niej, zaciskając pięści. Krąg strachu, który wokół siebie wytwarzał, rozszerzał się jak fale magnetyczne. Gaëlle się cofnęła. Loïc skamieniał. Tylko to jedno autentyczne uczucie Morvan potrafił wzbudzać w swoich dzieciach: przerażenie.

– Za ile sprzedałaś im te informacje?

Gaëlle stała przy kanapie, milcząca. Panowała nad swoim ciałem, ale zdradzały ją lśniąco oczy – pełne paniki.

– Ty pieprzona idiotko, więc nawet ich nie prehandlowałaś, tak? Zrobiłaś to dla czystej przyjemności zniszczenia mnie?

Chciał ją chwycić. W tej samej sekundzie zrobiła unik, minęła go,

podbiegła do balkonu, otworzyła i skoczyła. W przepaść.

Ryk Morvana przerodził się w gardłowy wrzask:

– Nie!

Wybiegł na balkon, ale zobaczył tylko połamane gałęzie drzew, a pod nimi asfalt i samochody trzy piętra niżej. Z alei dobiegał pisk opon hamujących aut i krzyki ludzi. Odskoczył do tyłu, jakby sparzyła go balustrada, o którą się oparł, a potem pognął do drzwi. Kątem oka zauważył Loïca, znieruchomiłego jak wypchane zwierzę.

Morvan zbiegł po schodach na jednym wdechu. Słyszał tylko dudnienie swoich stóp na czerwonym dywanie wyściełającym schody. Czuł kutą z żelaza balustradę pod swoją ręką. Widział staromodny szyb windy, kraty i błyszczące boazerie na każdym piętrze. Nie oddychał, jakby w ten sposób mógł zatrzymać czas. Nie dopuścić do sceny, której bał się jak ognia.

O mało nie rozbił pierwszych przeszklonych drzwi, przebiegł przez hol, otworzył drugie i wypadł na ulicę. Na nic się nie nastawiał, wiedział jednak, że będzie tam krew, bezruch, śmierć. Tymczasem Gaëlle zataczała się między dwoma zaparkowanymi samochodami, bosa, nie widząc ani jego, ani innych ludzi, ze zmierzwionymi włosami. Usiłowała wrócić na chodnik.

Cud – choć wcale nie taki nadzwyczajny, bo przez czterdzieści lat pracy Morvan słyszał ze dwadzieścia podobnych historii o szczęśliwym zakończeniu defenestracji. Z pewnością gałęzie i liście zamortyzowały upadek jak siatka, potem ocaliło ją to, że wylądowała na dachu samochodu. Stoczyła się na maskę i wpadła między dwa zderzaki, a teraz próbowała się stamtąd wydostać, wyglądając bardziej jak trup niż żywa kobieta.

Morvan podbiegł, ale zatrzymał się dwa metry od niej. Była pod wpływem szoku, a mimo to emanowała nienawiścią i szaleństwem. Odsunął się, pozwalając jej podejść. Błyskawicznie stwierdził, że nie ma poważniejszych ran ani prawdopodobnie złamań. Poruszała się chwiejnie, ale w miarę pewnie.

Wokół zebrała się gromada gapiów, którzy cofali się, jakby przed nią uciekali. Wreszcie odetchnął, raz po raz szepcząc „dziękuję”, chociaż nie wiedział, do kogo właściwie się zwraca. Czuł się już nawet gotów zmierzyć się z tym, co nadejdzie: bankructwem, morderstwami, więzieniem – wszystkim, byle tylko Gaëlle wyszła z tego cało.

Właśnie wtedy mocno się zatoczyła i upadła. Zanim dotknęła bruku, Morvan chwycił ją w ramiona:

– Córeczko... Moja małeńka...

Obok niego stanął Loïc. Wyraz jego twarzy jednoznacznie określał miejsce tego chłopaka w świecie: zagubiony, żyjący poza czasem, na uboczu. Morvan znów spojrział w dół: Gaëlle była bliska omdlenia, ale walczyła, żeby nie stracić przytomności. Na jej trupio bladej twarzy pojawiał się siniak biegnący wzdłuż prawej skroni, rozwijający się niczym kwiat na tafli jeziora. Chciał pocałować ją w czoło, ale znalazła w sobie dość siły, żeby go odepchnąć.

– To ciebie powinnam była zabić – szepnęła mu do ucha.

Około szóstej rano nad portem Fos rozpętała się burza. Siedząc przy oknie w pokoju hotelowym, Erwan obserwował szare strugi smagające latarnie, zalewające niespokojną redę, pełną lśniących, kolorowych kontenerów, które czekały na rozładunek.

Nie spał – może tylko przez krótkie chwile, jakby zapadał się w błoto i zaraz wstawał. Błoto to była jego rodzina, jego przeszłość, wszystkie powody, które mogły skłonić młodą kobietę do poświęcenia całej energii na zniszczenie najbliższych. Do drugiej w nocy rozmyślał o brutalności ojca, o rezygnacji matki, strachu brata i siostry. O tym niewypowiedzianym niesmaku, który tworzył jego „życie rodzinne”.

Pewnie mógłby z tym nawet zasnąć, z czystego znużenia i rozpacz, ale wtedy Morvan zadzwonił, żeby powiedzieć mu, że Gaëlle usiłowała odebrać sobie życie.

– Znowu? – odpowiedział i zaraz pożałował tego cynicznego żartu.

Ojciec opowiedział mu głuchym głosem o tym, co się stało. To nie była już jedna z tych jej młodzieńczych prób przedawkowania leków, płukania żołądka i tym podobnych zabaw. Tym razem Gaëlle rzeczywiście chciała zejść ze sceny. Za sprawą cudu, który mógł pojednać wszystkich Morvanów z Bogiem, wyszła z tego cała i zdrowa.

– Gdzie teraz jest?

– W Szpitalu Amerykańskim. Robią jej badania.

W Paryżu, a przynajmniej w Neuilly-sur-Seine, choroba ma swój salon dla VIP-ów. Jeżeli chcesz umrzeć, nie czekając w kolejce, albo po prostu leczyć się za duże pieniądze, to ten specyficzny szpital z amerykańskim akcentem i zdjęciami pielęgniarek z lat czterdziestych zdobitymi ściany jest stworzony dla ciebie.

– Jak się czuje?

– Prosto stąd zabieram ją do Sainte-Anne.

To była specjalność starego, który wielokrotnie zamykał tam małżonkę, a także sam przebywał na leczeniu. Erwan nie dyskutował z ojcem. Powinien

jak najszybciej wrócić do Paryża, żeby ucałować młodszą siostrzyczkę, która napluje mu w twarz. Uspokoić ojca, który będzie go słuchał z palcem na spuście. I odegrać rolę arbitra w tej rodzinie wariatów wciąż znajdującej się na granicy implozji.

Ostatnie godziny nocy spędził na wpatrywaniu się w port Fos przez okno i walce z wyrzutami sumienia. Kiedy dotarło do niego, co wymyśliła i zrobiła Gaëlle, najpierw usiłował się do niej dodzwonić, ale nie odbierała. Wolał nie kontaktować się w tej sprawie z Loikiem, którego reakcja byłaby mniej lub bardziej właściwa – zależnie od poziomu kokainy we krwi. Został mu Padre: Erwan powiedział mu o swoich podejrzeniach, starając się zbagatelizować sprawę. Na darmo. Powinien był poczekać z tym do powrotu i iść z ojcem do Gaëlle.

I znowu okazało się, że klan zepchnął wszystkie inne wydarzenia dnia na dalszy plan. Cóż z tego, że Erwan miał za sobą szaleńczy pościg, że otarł się o śmierć, że (być może) był już bardzo blisko zabójcy, skoro bez reszty pochłaniały go teraz sprawy rodzinne?

Przez okno zobaczył, że nadjeżdżają jego miejscowi koledzy. Ta scenka miała w sobie urok starego filmu kryminalnego: terminal i lśniące w deszczu kontenery, kałuże na nabrzeżu pomalowanym w żółte i czerwone pasy, stary saab glińiarzy. Ten obraz bardzo mu się podobał, toteż powiedział sobie, że być może ten poranek przyniesie jeszcze inne miłe niespodzianki.

W samochodzie marsylczycy wszystko mu zrelacjonowali. Oni też nie zmrużyli tej nocy oka. Wbrew pozorom byli bardzo skuteczni: w ciągu kilku godzin spisali raporty, przeprowadzili przeszukania i przygotowali dokumenty potrzebne do otwarcia kontenera 89AHD34. Skontaktowali się z prokuraturą, prefektami i trafnie wybranymi zwierzchnikami urzędów celnych. Wszystko było już załatwione. Teraz okaże się, czy skrzynia zawiera zardzewiałe gwoździe.

Natomiast po stronie śladów i świadków nie było absolutnie nic. Przesłuchano wszystkich członków załogi, a także większość dokerów pracujących w pobliżu „Apnei” – nikt nic nie widział. Kryminaliści weszli na pokład, aby zebrać odciski i ewentualne ślady organiczne – czysta strata czasu. Trzeba by wielu dni, żeby uporać się z kontenerowcem, ale co by znaleziono? Zresztą po godzinie ich wyproszono. Policjant siedzący na miejscu pasażera westchnął.

– Statek wypływa dziś rano i już jest niedostępny. Pozostaje nam więc

tylko ten kontener.

– Czy już go otwarto?

– Właśnie to robią.

Erwan zamilkł, obserwując przesuwane się nabrzeża, całkowicie wyludnione. Kiedy podjechali do tych przy basenie zachodnim, ze zdumieniem przetarł oczy: nie dość, że na pokładzie „Apnea Gaillard” znowu piętrzyły się kontenery, to na nabrzeżu nie było już żadnego. Niewiarygodnie długi pociąg zabrał swój ładunek. Inne kontenery odjechały zapewne ciężarówkami albo trafiły do magazynów w strefie logistycznej.

Pozostał tylko kontener Heemecht – z otwartą paszczą, obok rozrzuconego po betonie ładunku, wyglądał jak przewrócony śmietnik. Celnicy szperali w środku. Wynosili mniejsze skrzynie, w których być może kryły się jeszcze mniejsze. Trochę jak w rosyjskich lalkach.

Podeszli. Wiatr nie słabł. Uderzenia kropli ściekających po nieprzemakalnych pelerynach celników układały się w marsz pogrzebowy.

– To pewnie panu zawdzięczamy ten burdel?

Erwan odwrócił głowę. Mężczyzna w czapce i ciepłej kurtce narciarskiej stał przed nim w rozkroku.

– Przykro mi.

– Mam to w dupie. Po prostu wykonuje pan swoją pracę, koniec, kropka. Dlatego pospieszmy się, żebym i ja mógł wykonać swoją.

Prezentacja. Uścisk rąk. Przedstawiciel Heemechtu nazywał się Xavier Schneider. Był tak masywny, jakby pod kurtką miał kamizelkę kuloodporną.

Erwan zaczął od pytania natury ogólnej:

– Czy to pańska firma kupuje złom w Kongu?

– Nie zna się pan na czarterach. Są sprzedawcy, którzy wysyłają swoje afrykańskie towary, i kupcy, którzy je odbierają. Między tymi dwiema stronami jest armator, który ekwipuje statek, zapewnia personel, zatrudniony zresztą przez inną firmę, a agent reprezentuje armatora w porcie. Cały ten bałagan jest nadzorowany przez koordynatora, czyli czarterującego.

– To pan?

– Nie. Heemecht odpowiada wyłącznie za własne kontenery i zajmuje się potem wysyłką każdej partii towaru do nabywcy. Na tym koniec.

– Zdarza się panu przekazywać niektóre bezpośrednio tu, na terminalu?

– Nigdy.

Nie było sensu dłużej kluczyć:

– Ma pan skrzynię z żelastwem?

Schneider zrobił krok w bok i kopnął drewnianą skrzynię długości około dwóch metrów. Erwan pomyślał, że wygląda to jak trumna. Wieko było już uchylone. Zsunął je obcasem. Skrzynia była wypełniona po brzegi zardzewiałymi gwoździami. Różnymi rodzajami gwoździ. Różnej wielkości. Wyjął ich garść: na większości widniała pieczęć CRAO.

Nareszcie jakiś trop!

– Zna pan adres dostawy?

– To poufne.

Erwan spojrział na marsylskich oficerów, milcząco prosząc o pomoc, ale Schneider sam zrozumiał, że taka gra nie ma sensu, i wyciągnął z kieszeni notes elektroniczny:

– Żartowałem. Skrzynia ma zostać wysłana na Bel-Air 19, 75012 Paryż. Adresat to Ivo Lartigues.

Drugi trafiony trop. Erwan obserwował przedstawiciela Heemechtu. Za nim widać było doki w strugach deszczu i kałuże, na których tworzyły się bąbelki. Miał ochotę ucałować tego faceta. Kto mógł kupować stare gwoździe, jeśli nie rzeźbiarz, który nabijał nimi swoje dzieła?

Wiedział już, że Lartigues nie był tym, kto na niego napadł – po co miałby tu przyjeżdżać i kraść coś, co za chwilę dostarczą mu do domu? Jednak Erwan był coraz bliżej mordercy.

– Miał pan już kiedyś kontakt z tym klientem?

– Nazwisko wydaje mi się znajome. Prawdopodobnie jest naszym stałym klientem.

– Czy wie pan, co najczęściej zawierają te przesyłki?

– Nie. Musiałbym sprawdzić w archiwum.

Jeden z marsylskich policjantów podszedł do nich i zapytał z niedowierzaniem:

– Naprawdę pan sądzi, że ten intruz wtargnął tu, żeby zdobyć gwoździe?

– Nie mam co do tego wątpliwości.

– To jakieś szczególne gwoździe?

Erwan patrzył na rdzewiejący kawałek metalu trzymany w ręce.

– Są zaczarowane.

Erwan wykorzystał czas lotu do Paryża, żeby przeczytać wreszcie dokumentację zebraną przez Kripo na temat Ivo Lartigues'a. Każda linijka utwierdzała go w przekonaniu, że winien jest Alzarczykowi przeprosiny – od początku to on i tylko on pracował nad najbardziej interesującym tropem.

Lartigues był to pseudonim artystyczny. Niejaki Franciolini urodził się w roku 1952 pod Bolzano, na pograniczu włosko-niemieckim. Syn robotnika metalurga, w dzieciństwie musiał znosić ciężką rękę ojca alkoholika i pacierze matki dewotki. Cierpiał głód i chłód, a to hartuje. Jako siedemnastolatek zapisał się do paryskiej Akademii Sztuk Pięknych. Pod wrażeniem nowego realizmu francuskiego (Yves'a Kleina i jego ognistych obrazów) oraz ruchu Fluxus (charakteryzującego się wykorzystaniem materiałów przemysłowych), własną drogę odnalazł w latach osiemdziesiątych, łącząc metalowe odpady za pomocą gwoździ, śrub i haków. Później odkrył tradycyjną sztukę afrykańską, zwłaszcza ludu Mayombe, i zaczął tworzyć te olbrzymy z blachy nabijanej ćwiekami, szkłem, włóknami. Rzeźbił także figury najeżone ostrzami, kawałki ciał torturowanych przez hordy odłamków szkła. Zamiast nazw nadawał im tylko numery, a czasami wyodrębniał serie, odnosząc się do użytego typu gwoździ, na przykład „Kongo nr 6, op. 13”.

Co się tyczy życia prywatnego, nie miał żony ani dzieci, ani nawet żadnego oficjalnego związku. Kripo nie znalazł też nic o aktywności Lartigues'a jako guru SM – zebrał tylko trochę pogłosek. Trzeba było w tym pogrzebać.

Erwan zanotował jednak pewne fakty. Po pierwsze, Lartigues był bogaty – niektóre jego prace osiągały cenę powyżej miliona euro i były kupowane zwłaszcza przez amerykańskich kolekcjonerów. Po drugie, używał afrykańskich gwoździ, głównie pochodzących z Dolnego Konga. Zauważył też, że nabijane gwoździami albo najeżone ostrzami prącia jego postaci kojarzyły się z narzędziem, które spowodowało rany odbytu u ostatnich ofiar.

Z pewnością istniał jakiś związek między rzeźbiarzem a zabójstwami,

jednak Erwan już wiedział, że trudno go będzie wykazać i że nie znalazł jeszcze mordercy.

Tuż po wylądowaniu, o jedenastej, spróbował włączyć telefon i stał się cud – wyświetlacz przejawiał oznaki życia. Erwan gorączkowo przeglądał wiadomości. W masie SMS-ów związanych z pracą znalazł perełkę, na którą czekał: wiadomość od Sofii. To zadziało na niego jak narkotyk.

Włoszka napisała tylko: „Dąszasz się?”.

Przejaw dziecinady towarzyszącej pierwszej fazie miłości, która ogłupia, odpręża i ożywia. Erwan poczuł, że teraz może przez cały dzień z zapalem pracować nad śledztwem. Kiedy zobaczył ojca czekającego w hali przylotów Orly, a zauważył przerastającego wszystkich o głowę olbrzymia natychmiast, jego zapal przysł.

Jednak umówili się wcześniej na to spotkanie. Erwan musiał jak najszybciej zajrzeć do Świętej Anny. Zapytał, jak czuje się Gaëlle, ale mina Morvana wystarczyła za wszelkie komentarze. Ojciec wyglądał, jakby schudł przez tę noc o dziesięć kilo i teraz jego podobieństwo do Erwana stało się wyraźniejsze. Miał tiki nerwowe, a jego zaczerwieniona, sucha skóra łuszczyła się, jakby szkodził jej każdy powiew wiatru.

Rozmowa szybko zeszła na techniczne aspekty działań na giełdzie, bo obaj starali się unikać najbardziej bolesnej kwestii: motywacji małej.

– Wystarczy, że pierwsza lepsza kobieta podszepta coś bankierowi, a ten ślepo w to wierzy?

– Twoja siostra nie jest pierwszą lepszą. To moja córka, siostra Loïca. Dziecko Coltano. Prawdopodobnie rzucała te informacje, udając idiotkę. A oni zasięgnęli języka i uznali, że to prawda.

– Co zamierzałeś zrobić z nowymi złożami?

– Nie używaj czasu przeszłego. Będę je eksploatował po cichu i szybko.

– Za plecami Afrykanów?

– Nie byłoby z tym problemów, gdyby kursy tak nie skoczyły.

– A skoro skoczyły?

– Poradzę sobie.

Morvan jechał spokojnie. Był sobotni ranek na paryskich przedmieściach. Pejzaż świadczący o niekwestionowanym triumfie betonu nad życiem. Dwaj faceci w ciemnych garniturach, jadący czarnym mercedesem, doskonale pasowali do tej scenerii – byli jak grabarze w drodze na cmentarz.

– Nie wiem, za czym jeszcze się uganasz w tym wieku. Wciąż chcesz

więcej pieniędzy?

– Forsą łatwo gardzić, kiedy się jej nie ma. A poza tym to przecież nieprawda, bo w głębi ducha wiesz, że pieniądze na ciebie czekają jako dodatek do kwiatów na mój grób.

– O ile będą jakieś kwiaty.

Morvan zdjął jedną rękę z kierownicy i życzliwie poklepał syna po plecach.

– Te rodzinne serdeczności!

Erwan milczał.

– Musisz porozmawiać z Gaëlle – podjął Morvan. – Trzeba dać jej do zrozumienia, że wszyscy jesteśmy przy niej i że ją kochamy.

– Problem nie polega na tym, czy ją kochamy, czy nie, ale na tym, że ona nas nienawidzi.

– W końcu dorośnie. Kiedyś wszystko zrozumie.

– A ty? Kiedy wreszcie ty coś zrozumiesz?

Cisza. Porte d'Orléans. Erwan czuł narastający gniew.

– Jak możesz bić żonę?! – wybuchnął.

– To nasze sprawy.

– Jak możesz bić kobietę?

– Maggie nie jest kobietą. Nie w tym znaczeniu, w jakim to mówisz. Jest silniejsza niż ja.

– Nigdy nie widziałem, żeby to ona była górą.

– Jej siła tkwi w czym innym.

Erwan z wściekłością walnął w drzwi:

– Zdajesz sobie sprawę, jakie było nasze życie? – Dotknął palcem skroni. – Każdy zadany cios tkwi tu, w pamięci.

– Skończ tę komedię. Zupełnie jakbym widział się w lustrze.

– Nigdy nie będę taki jak ty. Zniszczyłeś nas. Loïc uciekł w narkotyki, Gaëlle zije nienawiścią, a ja babrzę się w zbrodniach obcych ludzi, żeby zapomnieć o jedynych, które są dla mnie ważne, czyli o twoich.

Morvan gwałtownie zahamował i zjechał na pas awaryjny. Zaparkował. Erwan uderzył twarzą o tablicę rozdzielczą z drewna orzechowego. Bał się, że wystrzelą poduszki powietrzne.

– Zwariowałeś czy co?

Padre wyłączył silnik.

– Wyjaśnię ci tę sytuację.

– Alleluja! – zadrwił Erwan, ocierając krew z nosa. – Czekałem na to od czterdziestu dwóch lat!

– Różne dziwne rzeczy się stały, kiedy twoja matka i ja się poznaliśmy. Nasz związek żywił się... przemocą i strachem. Było...

Jakby się zawahał. Erwan jeszcze nigdy nie widział go tak poruszonego.

– Nie mogę powiedzieć nic więcej. – Morvan zmienił zdanie, już spokojniejszy.

– Czy to ma coś wspólnego z Człowiekiem Gwoździem?

– Nie mówmy o tym – odparł, podając synowi chusteczki.

Erwan już nieraz odbił się od tego muru, wiedział, że nie warto tracić czasu. *Wracamy do interesów.*

– Jak go aresztowałeś?

– Już ci mówiłem.

– Nie, opowiadałeś mi tylko, jak go zidentyfikowałeś.

Morvan przekręcił kluczyk i spokojnie włączył się do ruchu. Patrząc na niego, syn czuł, że dręczą go własne wyznania – te, do których się nie posunął. Być szczerym znaczyło dla niego być słabym.

– Kiedy zacząłem podejrzewać Pharabota, przesłuchałem go. To była strata czasu. Poznałem zwykłego, sympatycznego dzieciaka, marzyciela. Jak to mówią dziś specjaliści, „mordercze instynkty były ukrytą częścią jego życia psychicznego”. Także rozkład jego zajęć zaciemniał obraz, bo chłopak miał alibi na każdy dzień morderstwa.

– Jak mu się to udało?

– Pracował w lesie. Opowiadał, co chciał, a robotnicy to potwierdzali. Zacząłem go nękać, próbowałem wytrącić go z równowagi. Niewykonalne. W końcu postanowiłem go zabić. Już ci o tym opowiadałem. Uciekł. Wytropiłem go w lesie.

– Jak go znalazłeś? Dlaczego go oszczędziłeś?

– Przepraszam, synu, ale ten rozdział to tabu.

– Dla kogo?

– Dla mnie. Są pewne lęki, których nie należy rozbudzać. Nigdy w życiu nie bałem się tak, jak podczas tego polowania. On znał las jak miejscowi, ja byłem tylko białasem, który go ściga. On miał po swojej stronie wszystkie duchy, a ja byłem nagi...

– Duchy? – przerwał mu Erwan. – Wierysz w to?

– A ty już zwątpiłeś?

Ta rozmowa ujawniła przynajmniej jedną sensacyjną wiadomość – tamten świat nie był dla ojca ani iluzją, ani przesądem. W takich śledztwach to pewien atut. Być może Erwan nigdy nie zdoła zbliżyć się do nowego mordercy, ponieważ w przeciwieństwie do Padre, dla niego ten wymiar po prostu nie istniał.

Morvan zjechał z obwodnicy za kościołem Sacré-Coeur w Gentilly. Krążył po małych uliczkach w okolicy porte d’Orléans.

I znowu Erwan wiedział, że nie zdąży poruszyć wszystkich kwestii. Przeszedł więc do najpilniejszej:

– Mamy już pewność, że Pernaud był szpiegiem.

– Co z tego?

– Co robił dla ciebie?

– Powtarzam, że nie pracował dla mnie.

– Co o nim wiesz?

– Był specem od folii spożywczej.

– Co to znaczy?

– Mówię o folii, w której żywność dłużej zachowuje świeżość. Takiej, jakiej używa się w kuchni. Dusił swoje ofiary taką samoprzylepną warstwą. Po wszystkim zdejmował ją. Nie zostawiał żadnych śladów.

Wyrósł się przed nimi ślepy mur szpitala Świętej Anny, istnej fortecy. Erwan był pewien, że zdoła przycisnąć ojca w sprawie Pernauda, ale musiał poczekać, aż znajdzie jakiś trop. Przecież któryś z tych dwóch musiał kiedyś popełnić błąd.

Przypomniał mu się pewien szczegół i uznał, że lepiej rozciąć wszystkie wrzody za jednym zamachem:

– Z billingów Anne Simoni wynika, że w dniu śmierci dzwoniła do ciebie wiele razy.

– Zgadza się.

– Po co?

– Nie wiem, nie zdążyłem do niej oddzwonić. Może czuła się zagrożona, może...

Nie dokończył zdania, a Erwan uznał, że mówi prawdę, bo rzeczywiście wszystkie połączenia były zaledwie kilkusekundowe.

– Słyszałeś kiedyś o Ivo Lartigues’u?

– To chyba jakiś artysta.

– Nie wygłupiaj się, tato. To facet, który rzeźbi *minkondi* wysokości

dwóch metrów, nie przeoczyłbyś tego.

– Faktycznie, już kojarzę. Podejrzewasz go?

– Zamierzam go dziś przesłuchać.

– Co właściwie masz? I co znaczą te głupie popisy w Marsylii?

Erwan uśmiechnął się pod nosem.

– Posuwam się krok po kroku.

– Lepiej by było, żebyś zrobił ich kilka. Gazety rozpisują się o śmierci Pernauda. Wszyscy do mnie dzwonią, nie ro...

– Daj mi jeszcze jeden dzień.

Dojechali do bramy szpitala. Na znak Morvana podniesiono szlaban. Zawsze i wszędzie ta tajemnicza władza.

– Twoja siostra jest w pawilonie Broca.

Nagonka, najprawdziwsza.

Patrzyła na nich, skupionych wokół jej łóżka, i widziała myśliwych w czerwonych kubrakach, którzy ledwie zsiadli z koni, zarzucili strzelby na ramię i patroszyli sarnę. I ona była tą sarną. Wrywali wnętrzości z rozplatanego brzucha i rzucali je ujadającym, oszołomionym zapachem krwi psom.

Nie zabawiła długo w Szpitalu Amerykańskim – nie miała żadnych złamań, żadnych ran. Istny cud. Ale cud, do którego przyczynił się diabeł. Potem zawlekli ją do Świętej Anny – hospitalizacja na wniosek osoby trzeciej. Nie miała nawet dość siły, żeby się temu przeciwstawić. Była już pod wpływem środków uspokajających – gotowa do wykorzystania.

– Dobrze się czujesz, kochanie?

Maggie pochyliła się nad nią. Spłowiła rudość włosów, mnóstwo zmarszczek. A te wytrzeszczone oczy upodabniały ją do nocnych drapieźców.

Seryjnym mordercą matki było samo życie.

Gaëlle zauważyła w jej ręce ziarno maku kalifornijskiego (hodowała tę roślinę na balkonie, wierząc w jej właściwości przeciwłękowe). Mówiąc, łapczywie gryzła ziarenka, podobna do jednego z tych wyliniałych zwierzątek, które można zobaczyć w Ogrodzie Botanicznym. Właśnie takie małe manie najbardziej ją irytowały.

– Nic mi nie jest, Maggie – szepnęła. – Ale chciałabym odpocząć.

– Oczywiście.

Poczuła na policzku mokre cmoknięcie. Wielka Burżujka z Bohemy udzieliła jej rozgrzeszenia, mamrocząc pod nosem, jak żałuje, że córka nie przyjdzie na najbliższy niedzielny obiad. Co za błazenada!

Matka odsunęła się, więc Gaëlle mogła przyjrzeć się innym: Erwan i stary, wyprostowani, jakby połknęli kije, spoglądali na nią oczyma tak mrocznymi jak ich czarne garnitury. Za ich plecami półprzytomny Loïc zerkał tęsknym wzrokiem na wolne łóżko. Prawdopodobnie najchętniej zostałyby tu

i podkładał jej środki nasenne.

Zamknęła oczy, żeby przepędzić tę wizję.

Blues Brothers spiskowali szeptem:

– Nie mam do nich zaufania. Weź jednego ze swoich ludzi, żeby jej pilnował.

– Mam w ekipie nowego.

– Świetnie.

– Ale zostanie tu tylko na tę jedną noc.

– Oczywiście, jutro zobaczymy.

Uśmiechnęła się, nie otwierając oczu. Chcieli jej pilnować, niech sobie pilnują. Mówili też o kuracji snem, i bardzo dobrze. Każdy, kto przeszedł depresję, wie, jak to jest – sen to jedyna ucieczka.

Nie obchodziło jej niepowodzenie planu, który uknuła. Ani to, jak ją zdemaskowano. Ważne było tylko, że znów się pomyliła. Przez wiele tygodni, a nawet miesięcy, ten projekt trzymał ją przy życiu. Ale nienawiść to ślepy zaułek i ułuda. Ani sukces, ani porażka niczego tu nie zmieniają, bo ich smak zawsze jest taki sam – to gorzkość.

Uniosła powieki i nareszcie doznała miłego zaskoczenia. Musiała zasnąć, bo wszyscy – cała kochana rodzinka – już poszli. Rozkoszowała się ciszą ciężką od woni chemikaliów i zmęczenia – tą ciszą domu wariatów, zamkniętą, szepczącą, niemal dodającą otuchy.

O świcie, kiedy tu trafiła, przeprowadzono badania kliniczne i zrobiono jej elektroencefalografię, a potem dyżurny psychiatra, Rumun, oprowadził ją po piętze. Pokoje, jadalnia, dystrybutor napojów. Nic szczególnego, poza jednym drobiazgiem – nie można było stąd wyjść. Pierwszym dźwiękiem, jaki słyszała, był szcęk zamka. Ostatnim też.

Przypomniała jej się scena balkonowa, ale jakby przez mgłę, złagodzona działaniem leków. Poczwała, jak otwiera się przed nią pustka, jak ją wchłania. Myślała, że umiera. Ale nie to było najgorsze. Najgorszy był motyw. Wcale nie chciała odebrać sobie życia, po prostu bała się ojca – ten strach był zepchnięty tak głęboko, że dosłownie eksplodował w jej sercu. Miała dwadzieścia dziewięć lat, a jeszcze nie zdołała się z nim uporać. Tak jak mięczaki zbudowała sobie mocny egzozkielet, ale ciało w jego wnętrzu wciąż było równie delikatne.

Wcale nie potrzebowała psychiatry, tylko egzorcysty.

Odruchowo spojrzała na zegarek, ale przypomniała sobie, że odebrano jej

go, jak resztę rzeczy. Ubranie, biżuteria, telefon – wszystko leżało teraz w metalowej szafie w jej pokoju. To odarcie przyczyniało się do utraty punktów odniesienia. Prawdopodobnie było południe, a jej się wydawało, że to środek nocy. Albo na przykład szósta rano. Zatraciła poczucie czasu, a nawet bólu. Słodka chemia!

Czarna zasłona spowiła jej świadomość. Znow zapadała w sen, ale przecież kto kocha, nie liczy.

Zadzwoił do Sergenta i poprosił go, żeby stanął na warcie pod drzwiami Gaëlle. Młody policjant nic nie zrozumiał – trzeba było chronić siostrę szefa przed... nią samą. Erwan nie miał czasu, żeby czekać na funkcjonariusza w Świętej Annie. Wyobrażał sobie powitanie, jakie zgotowałyby mu Gaëlle po przebudzeniu.

Plac Nation ukazał mu się szary i smętny. Za rozległy, zbyt pusty, wyciągał ramiona do miejsc, które także nie emanowały radością – cmentarza Père-Lachaise, obskurnej okolicy Bastylli, na pozór malowniczego wiaduktu des Arts i alei Daumesnil.

Kripo wybrał Cours de Vincennes i obrzeża Paryża. Przyjechał po Erwana do Świętej Anny. Pracownia Lartigues'a znajdowała się przy starym, nieużywanym torze kolejowym, który opasywał miasto.

Erwan milczał. Przeszło siedemdziesiąt dwie godziny od znalezienia zwłok Anne Simoni i czterdzieści osiem od wejścia do mieszkania Ludovica Pernauda nie miał jeszcze żadnego sensownego tropu. Pseudozłodziej gwoździ w marsylskich dokach, włosy nieznannej kobiety, rzeźbiarz, który kupował zardzewiały złom w Kongu – to wszystko, czym dysponował.

Wszystkie tropy jeden po drugim wiodły w ślełą uliczkę, a nad Paryżem wiał wiatr paniki. Media mówiły już o „mordercy z gwoździami”, pojawiały się absurdalne relacje i najdziwaczniejsze opowieści, a ze strony zwierzchników nasilały się naciski. Od rana Fitoussi dzwonił już pięć razy i nie bez powodu – nikt nie rozumiał metod Erwana. Raz po raz znikał, nie zatrzymał ani jednego podejrzanego i od czterech dni nie przesłuchał żadnego świadka. Do diabła, co on właściwie robił?

Musiał obiecać, że od poniedziałku skoordynuje działania grupy i zwróci się o pomoc do żandarmów z fortu Rosny, angażując także specjalistów od opracowywania profili psychologicznych. Trzeba było przynajmniej narobić trochę szumu, ruszyć się, robić, co w ludzkiej mocy. I wreszcie móc powiedzieć coś dziennikarzom.

Kiedy oderwał się od tych myśli, Kripo zawracał na skrzyżowaniu bulwaru

Soult z aleją Courteline. Znow znalazli się w 12 dzielnicy, parę kroków od ulic de la Voûte i Avron. Czy to mógł być przypadek?

Alzarczyk skręcił w prawo.

– Jedziesz pod prąd – stwierdził Erwan.

– Na wojnie jak na wojnie.

Kolejny skręt: willa Bel-Air wznosiła się u podnóża nasypu kolejowego, w zaułku. Jezdnia była brukowana jak na kreskówkach Walta Disneya. Pod torami kolejowymi ciągnął się szereg niskich kamieniczek z ogródkami w stylu angielskim. Żadnego przechodnia w zasięgu wzroku.

Erwan wysiadł z samochodu i patrzył na ten zakątek: tory pod drzewami i chwasty tworzyły fascynującą zieloną wyspę, jakby ktoś odsłonił jeden z sekretów Paryża. Trochę zapomniany, pełen melancholii skrawek miasta nasuwał skojarzenie z powieściami Henriego-Pierre'a Roché i ze skrajem japońskiego lasu. Zza torów patrzyły na nich ślepe ściany budynków pokryte graffiti.

Pracownia Lartigues'a znajdowała się w podwórzu. Panujący tu spokój pozwolił Erwanowi odetchnąć. Zapomniał o napięciu i postanowił, że to spotkanie odbędzie się jak zwykła rozmowa. Pod numerem dziewiętnastym wznosił się dawny dworzec – wysoki, bez pięter, służący niegdyś za schronienie czekającym na pociąg pasażerom.

Zauważywszy plastikowe kontenery, przypomniał Kripo o celu tej wyprawy:

– Trzeba sprawdzić śmietniki.

Wywrócili pojemniki i przystąpili do zwyczajowego przeglądu. Lartigues jadł chyba wyłącznie jogurty i komosę. Nadużywał także produktów oddziałujących na potencję – viagry, cialisu, żeń-szenia i rozszerzających naczynia alkaloidów.

– Orgietka w domu – zadrwił Kripo.

W innym pojemniku znaleźli kawałki metalu, który pachniał jeszcze ogniem, jak ciała kochanków seksem, a także rozmaite chemikalia (zapewne kleje), pasy elastomeru (do odlewów).

– Szukają panowie czegoś?

Odwrócili się.

– Ivo Lartigues – rzucił mężczyzna, zatrzymawszy się na wąskim chodniku. – Domyślam się, że przyszli panowie do mnie?

Erwan wiedział, że rzeźbiarz nie będzie podobny do rabusia gwoździ,

którego ścigał, ale nie spodziewał się ujrzeć człowieka poza wszelkim podejrzeniem – Lartigues poruszał się na wózku inwalidzkim.

Policjant ukrył zaskoczenie, pokazując odznakę, co dało mu krótką chwilę na uporanie się ze sobą. Niepełnosprawny mężczyzna zerknął na trójkolorową plakietkę, a potem spojrzał badawczo na gości i powiedział:

– Stwardnienie rozsiane, komendancie. Wyczytałem z pana oczu, że nie miał pan na mój temat pełnych informacji. Zapraszam. Właśnie zaparzyłem kawę.

Sześć metrów wysokości, setki metrów kwadratowych powierzchni. Nad pracownią znajdowała się przestronna antresola, a jeszcze wyżej stalowe belki podtrzymujące szklane płyty na stalowej konstrukcji. Wpadało przez nie szare, zimne światło, jak przez witraże.

– To dawny dworzec Bel-Air – powiedział krótko artysta, stawiając trzy filiżanki na stoliku noszącym ślady wypalenia i farby.

Erwan i Kripo krążyli po pracowni, zafascynowani jej mieszkańcami: kilkumetrowymi olbrzymami, którzy odtwarzali niepokojący prymitywizm afrykańskich figurek. Rozkrzyżowane ramiona, torsy jak klocki, oczy okrągłe jak dziury po wielkich kulach, a wszystko w barwach rdzy, która tu była czymś więcej niż kolorem – raczej rozpylonym lękiem chwytającym za serce.

– Podejrzewam, że przyszliście panowie w związku z morderstwami, które popełniono w ciągu ostatnich dni? – dodał Lartigues, zachęcając gestem, żeby sięgnęli po napełnione już filiżanki.

– Dlaczego pan tak uważa? – zapytał Erwan.

– Czytam gazety. To oczywiste, że sposób działania mordercy kojarzy się z moimi pracami.

Ich rozmówca nie był głupcem, więc nie musieli tracić czasu.

– Zgodnie z informacjami, jakimi dysponujemy, jedna z ofiar, Anne Simoni, interesowała się pańską... grupą.

– O czym pan mówi?

– O *no limit*.

Lartigues pokiwał głową, jakby przytakiwał własnym myślom.

– Nie znam wszystkich. A gdybym chciał pana sprowokować, powiedziałbym, że nie znam nikogo.

– Gdzie się spotykacie?

– To zależy. W opuszczonych zakładach przemysłowych, na parkingach, czasami tu.

– I twierdzi pan, że nie zna ludzi, których tu zaprasza?

– Zasadą tych wieczorów jest anonimowość.

– A co z zaproszeniami?

Lartigues cmoknął. Jego sylwetka była długa, bardzo wąska, a wyprostowana cechowała się dużą elegancją. Ale w fotelu rzeźbiarz wyglądał na wyniszczonego. Jedno ramię za wysoko, nogi kabłąkowate, nadgarstki wykręcone. Wydawało się, że poraził go jakiś niezwykle, gwałtowny skurcz i że biedak już na zawsze zastygł w tej pozycji.

– Nie ma zaproszeń. Działamy tak jak terroryści. Żadnych śladów na piśmie, a przede wszystkim nic w internecie.

Erwan wypił kawę jednym haustem. Była pyszna.

– Uważa się pan za terrorystę?

– Jeżeli ma pan na myśli terroryzowanie burżuazyjnego ładu i nietolerancji mas, to tak.

Na razie to zostaw. Zauważył na ścianach czarno-białe fotografie i skupił się na szczegółach: tu głowa wciśnięta w zwierzęcą skórę, tam zbliżenia ust, palców u nóg albo motyle, strzelba leżąca między ampułkami morfiny...

– Jacques-André Boiffard – rzucił Lartigues, zbliżając się. – Lekarz i fotograf, niedoceniony geniusz surrealizmu. Znamy go wyżej od Man Raya.

W tych obrazach było coś niezdrowego i, o dziwo, zbliżającego je do dzieł Lartigues'a, a także do jego zdeformowanego ciała.

– Tej nocy – podjął Erwan – byłem w Marsylii.

– Wiem o tym. Dzwonili do mnie z Heemechtu. Przez pana dostawa, na którą czekam, opóźni się co najmniej o tydzień.

– Mogę sfotografować pana dzieła? – zapytał Kripo, bawiąc się iPhone'em.

– Bardzo proszę, ale pod warunkiem, że nie wrzuci ich pan do internetu.

– Po co kupuje pan te gwoździe, panie Lartigues?

Kaleka obrócił fotel, żeby patrzeć rozmówcy prosto w oczy. Jego wzburzone, hieratyczne rysy były ostre jak brzytwa. Erwan pomyślał o samurajskich mieczach, które powstawały dzięki umiejętnemu i mocnemu rozgrzewaniu, a potem gwałtownemu schładzaniu metalu. Wydawało się, że tak wykuwano twarz Lartigues'a.

– Zna pan odpowiedź – czerpię inspirację z magii Yombe, więc wydaje mi się... bardziej autentyczne, że używam gwoździ produkowanych w Kongu.

– Sądzi pan, że były używane przez *ngangów*?

Rzeźbiarz uśmiechnął się. Mimo kalectwa potrafił patrzeć na ludzi z góry.

Górne powieki, zbyt mocno opadające, przecinały jasnoszare oczy niczym brzytwa. Powinien wyglądać przez to na sennego, tymczasem te oczy upodabniały go do czyhającego na ofiarę drapieżnika.

– Widzę, że się pan podszkolił przed przyjęciem.

Erwan podniósł głos:

– Czy te pańskie gwoździe zetknęły się z magią Dolnego Konga?

– Oczywiście, że nie. Te, które uzdrowiciele wbijają w swoje fetysze, zostają tam na zawsze. Poza tym rytuały Yombe praktycznie nie są już przeprowadzane. Te, które kupuję, pochodzą ze starych zapasów pewnej belgijskiej kompanii.

Punkt dla niego.

– Czy ostatnio skradziono je panu?

– Tak, w ubiegłym miesiącu. Całą skrzynię.

– Zgłosił pan kradzież?

– To nie w moim stylu. Poza tym nie wierzyłem, że policja zajmie się szukaniem skrzynki zardzewiałych gwoździ.

– Ktoś włamał się do pańskiej pracowni?

– Nie. I to właśnie jest najdziwniejsze.

Erwan nie czuł się zaskoczony – zabójca z zodiaca, człowiek naprawdę niewidzialny, na pewno potrafił także przejść pod drzwiami.

– To tych gwoździ używa morderca? – zapytał Lartigues.

Policjant udawał, że nie usłyszał tego pytania. Zaczął znów przechadzać się pomiędzy olbrzymami – był w pracowni Hefajstosa, boga ognia, kowali i wulkanów, rzeźbiącego tytanów z brązu.

– Przez swe dzieło składa pan hołd kongijskim kultom animistycznym. Czy jest pan ich wyznawcą?

– Powiedzmy raczej, że moja sztuka to wyraz pogaństwa i mistyczna inkantacja. Rozumie pan taki język, komendancie?

– Wystarczająco dobrze, żeby wiedzieć, że nie uzyskałem odpowiedzi. Czy przypisuje pan swoim rzeźbom magiczne moce? Tak czy nie?

– Nie. Jestem artystą, nie czarownikiem.

Lartigues poruszał wózkiem, kręcąc ósemki na betonowej posadzce. Kontrast wielkości między tym skulonym na fotelu niepełnosprawnym a jego olbrzymimi dziełami był wstrząsający.

– Jak pan sobie radzi z rzeźbieniem takich olbrzymów?

– Chciał pan powiedzieć: przy moim kalectwie?

– Również.

– To proste – mam asystentów. Rysuję projekt, wybieram materiały, kieruję operacjami spawania. Mój zespół przygotowuje „surową” rzeźbę, a ja ją wykańczam, siedząc na swego rodzaju podnośniku.

Erwan pomyślał, że warto przesłuchać jego pomocników.

– Poda mi pan ich dane?

– Oczywiście.

– A gwoździe? To pan je umieszcza?

– Zawsze. To etap wymagający dużej precyzji, tu nie da się zastąpić ręki artysty. Słyszał pan o Aleijadinho?

– Nie.

– To osiemnastowieczny rzeźbiarz. Mistrz brazylijskiego baroku. Naprawdę nazywał się Antonio Francisco Lisboa, ale cierpiał na poważną chorobę, najpewniej trąd. Nadano mu przydomek Aleijadinho, czyli „mały kaleka”, Zdeformowany, o zmasakrowanej twarzy, pracował tylko nocą, żeby uniknąć ludzkich spojrzeń. Pomocnicy nosili go w zakrytej lektyce. Narzędzia przywiązywali mu do kikutów, a on wchodził na kolanach na drabinę. I tak rzeźbił fantastycznych proroków z sanktuarium Congonhas. Rozumie pan, dlaczego o nim myślę?

Erwan pokiwał głową – Lartigues był Aleijadinhem z 12 dzielnicy.

– Pomówmy otwarcie – powiedział. – Czy słyszał pan kiedyś o Człowieku Gwoździu?

– Trudno nie natknąć się na wzmiankę o nim, interesując się kulturą Yombe.

– Co pan o nim wie?

– To seryjny morderca, który siał postrach w Lontano, nowym mieście w Katandze, na początku lat siedemdziesiątych.

– Wie pan, co robił z ofiarami?

– Torturował i okaleczał młode kobiety, wbijając w nie setki gwoździ i tłuczone szkło. Na swój sposób odtwarzał rytuały Yombe.

– Jak pan.

– Owszem, jak ja. Tylko że ja rzeźbię w metalu i, o ile się nie mylę, ani jedno ludzkie życie nie zostało nigdy poświęcone w imię mojej sztuki.

– Czy wśród pana wielbicieli jest ktoś, kto interesuje się Człowiekiem Gwoździem?

– Nie. Ale mam znikomą kontakt z nabywcami rzeźb.

– Myślałem raczej o adeptach *no limit*.

– Nie chciałbym się powtarzać, ale nasze spotkania odbywają się z zachowaniem jak największej dyskrecji.

Erwan dołączył do Kripo, który fotografował właśnie giganta unoszącego jedną rękę, a drugą kryjącego pod peleryną z połatanej juty. Jego oczy migotały blaskiem odłamków lustra, które rzeźbiarz powbijał w tęczę. Obnażone ramię było naszpikowane gwoździami i ostrzami o rdzawym zabarwieniu, jakby chorował na ospę.

Przyszła pora, żeby przyspieszyć tę rozmowę.

– Gdzie pan był w ostatni weekend?

– W Martigny, w Szwajcarii. Pewna fundacja urządziła wystawę moich prac. Może pan to sprawdzić.

– A we wtorek jedenastego września o osiemnastej?

– Tu, w pracowni.

– Sam?

– Tak, sam. Wykańczałem rzeźbę, której się pan przypatrywał.

– A nocą ze środy na czwartek?

– Poszedłem na wernisaż do pałacu Tokio, a potem na kolację z przyjaciółmi. Pyta pan poważnie? Podejrzewa mnie pan?

– Wrócił pan sam?

– Nie. Nie wiem, czy pan zauważył, że nie jestem zbyt samodzielny. Młody Filipińczyk, Reuben, pomaga mi co wieczór. Jeżeli pan chce, złożę zeznania.

– Mieszka pan tutaj?

Lartigues wskazał ręką ścianę pracowni w jej drugim końcu:

– Urządziłem sobie mieszkanie na tyłach pracowni.

– A gdzie pan był tej nocy?

– Tu, z przyjaciółmi.

Niepełnosprawny artysta zaczął nagle okazywać zmęczenie. Erwanowi trudno było uwierzyć, że tych kilka pytań tak go wycieńczyło. A może po prostu znużył go ograniczony gliniarz? W oczach rzeźbiarza Erwan uosabiał zapewne idealny wzór drobnego funkcjonariusza o ciasnych, mieszczańskich horyzontach.

– Sprawdzimy to wszystko – oświadczył, jakby chciał dobrze odegrać przydzieloną mu rolę. – Wróćmy jeszcze do *no limit*: na czym to polega?

– To bardzo swobodne wieczory, każdy zachowuje się tak, jak każe mu

jego wrażliwość.

– W czwartek wieczorem byłem na takim spotkaniu w Bièvre.

– Nie słyszałem o tym.

– Może to naśladowcy?

– Cena sukcesu.

– Bez żartów. Ilu członków liczy wasza grupa?

– Już panu mówiłem, że nie znam wszystkich, a termin „członek” nie wydaje mi się...

– W takim razie proszę podać szacunkową liczbę.

– Setki.

– Jaki jest sposób funkcjonowania tej grupy?

– Ta grupa nie istnieje w tym sensie. Tylko kiedy postanawiamy się spotkać, nagle jednoczymy nasze pragnienia, a wtedy rodzi się energia. Fantastyczna energia.

– Co dokładnie robicie podczas tych spotkań?

– Każdy staje się sobą. Ubieramy się i zachowujemy zgodnie z tym, co podpowiada nam prawdziwe ja.

– Uprawiacie praktyki sadomasochistyczne?

– Nigdy nie używamy tego rodzaju słów. Ale rzeczywiście, podczas naszych spotkań ból i rozkosz nie wykluczają się wzajemnie.

– Czy w tych praktykach ktoś może posunąć się dalej?

– Co pan ma na myśli?

– Czy czasem leje się krew?

Lartigues znów patrzył na niego z góry, jak chytry lis.

– Jak głosi Nowy Testament, „błogosławiony mąż, który wytrwał w próbie”²⁸.

– Na przykład jakiej próbie?

– Najlepiej będzie, jeśli wpadnie pan tu dziś wieczorem, bo właśnie organizuję *no limit*.

Flesze Kripo raz po raz błyskały w półmrocznej pracowni. Chociaż była dopiero czwarta po południu, w ten pochmurny dzień zrobiło się już jak o zmierzchu.

– Obowiązuje jakiś *dress code*?

– *Dress code* to istota tego spotkania. Proszę przyjść tak, jak teraz, będzie idealnie.

– Proszę ze mnie nie drwić.

– Nie drwię. Jeden z silnych trendów w naszej wspólnocie to mundur.

Erwanowi stanął przed oczyma pewien obraz: Lartigues w swym fotelu na kółkach, władający wspólnotą nazistowskich oficerów i atletów w lateksowych kombinezonach. Pomyślał o di Grecu i jego żołnierzach. Dwóch guru, dwie społeczności. Czuł, że płonie, ale nie potrafił dokładnie zlokalizować źródła ciepła.

Rzucił bez namysłu, na chybił trafił:

– Czy słyszał pan kiedyś o Ludovicu Pernaudzie?

– To chyba druga z ofiar?

– Zgadza się.

– Dopóki jego nazwisko nie pojawiło się w gazecie, nigdy się z nim nie zetknąłem.

Kripo krążył wokół kobiety jeżozwierza, jakby się zastanawiał, jak się do niej zbliżyć.

– Potrafiłby pan określić, kto z waszej grupy byłby zdolny przejść do czynu?

– Nie rozumiem pańskiego pytania.

– Może ktoś potrafiłby wyjść poza granice zwykłej... zabawy. Może byłby zdolny zabijać, okaleczać, upajać się własnym okrucieństwem.

– Nasze praktyki wyrażają przeciwne dążenie – do spokoju poprzez zaspokojenie żądz.

– A jeśli to żądza mordu?

– Proszę przyjść wieczorem, sam wyrobi pan sobie opinię.

Erwan skinął na Kripo, który schował telefon do kieszeni, a po drodze zanotował nazwiska i telefony asystentów mistrza. *Na wszelki wypadek.*

– Do zobaczenia wieczorem – powiedział do Lartigues'a.

– Nie będę panów odprowadzał.

Na zewnątrz wpadli na śmiecie, które zostawili na chodniku.

– Pomóż mi – polecił zastępcy Erwan.

Naciągnąwszy sterylne rękawiczki, znów zaczęli grzebać w całym tym bałaganie jak wygłodzone gryzonie, które zapuściły się na przedmieście. Nie musieli nic mówić, obaj dobrze wiedzieli, czego szukają. Ani śladu lekarstw. Jak leczy się stwardnienie rozsiane? Czy w ogóle się je leczy? A może choroba Lartigues'a jest urojona?

Rzucili rękawiczki do kontenera i poszli do samochodu.

– Masz jak najszybciej zdobyć jego dokumentację medyczną.

- Dobrze, szefie.
- Twoim zdaniem to pedał czy nie?

Lubili takie idiotyczne gry po przesłuchaniach – zgadywali, jakie skłonności seksualne mają przesłuchiwanii ludzie. Nazywali to „różową ruletką”. Żałosne.

- Myślę, że wyszedł daleko za to stadium.
- Co ci chodzi po głowie?
- Już ja wiem co.

Erwan nie nalegał. W sumie nie był nawet pewny orientacji Kripa, nigdy nie słyisał o żadnej jego partnerce czy narzeczonej, ani o żadnym przyjacielu.

- Pójdiesz ze mną dzisiaj wieczorem? – zapytał.
- Pytanie! Nie zmarnuję takiej okazji!

– Mam coś – rzuciła drżącym głosem Audrey.

Wciągnęła go do swojego biura i zamknęła drzwi. W kurtce z oliwkowego drelichu jeszcze bardziej niż zwykle przypominała dziewczynę z partyzantki, i to w wersji wyblakłej i aseksualnej. Wyjęła z papierowej teczki ilustrację i pokazując mu lamparcią głowę zwieńczoną gwiazdą, zapytała:

– Wiesz, co to jest?

Erwan rozpoznał symbol znanej brazylijskiej szkoły walki, specjalizującej się w walkach w lesie. Dwa pasy, czerwony i niebieski, widniały nad tym rysunkiem, na nich zaś skrót CIGS, czyli Centro de Instrução de Guerra na Selva.

– Odznaka szkoły w Manaus, tak?

– Strzał w dziesiątkę, generale.

Podsunała mu drugą ilustrację. Zdjęcie zranionego ramienia i znów łeb drapieżnika.

Pernaud miał taki tatuaż na przedramieniu.

– Wiemy przecież, że służył w oddziałach desantowych w Gujanie Francuskiej. Nic dziwnego, że przeszedł szkolenie w CIGS.

– Wysłałam te skany dziś rano do naszych służb i uzyskałam nieoczekiwaną odpowiedź. Taki rysunek pojawił się w śledztwie, które nie ma nic wspólnego z naszym, bo dotyczy śmierci dziennikarza, Jeana-Philippe’a Marota. Popełnił samobójstwo.

Audrey podała mu akta. Marot wyskoczył w minioną niedzielę z dziewiątego piętra. Żadnych świadków. Żadnych podstaw, żeby wątpić w wersję samobójstwa. Był kompletnie spłukany i nie miał perspektyw na żadną pracę.

– W jakim kontekście pojawiła się tam głowa lamparta?

– Do weryfikacji wyznaczono grupę z Louis-Blanc. Pobrali odciski, przeprowadzili rozmowy w sąsiedztwie – czysta rutyna. Wiele osób zauważyło, że przez kilka ostatnich dni Marota śledził jakiś facet. Wspominali o tatuażu na jego ręce.

– Czy rysopis pasuje do Pernauda?

– Idealnie.

Erwan przeglądał akta, myśląc o ojcu. Czy to możliwe, że tuż przed śmiercią Pernaud zrealizował kontrakt? Właśnie dla starego?

– Rozmawiałam z ludźmi z Louis-Blanc – ciągnęła Audrey. – Oni nie widzą żadnego problemu: czyste samobójstwo. Ale w DCRI nie są już tak kategoryczni. Z ich punktu widzenia Marot mógł pracować nad książką, która narobiłaby niezwykłego zamieszania.

– Na jakiej podstawie tak twierdzą?

– Jego upadku z dziewiątego piętra.

– Pytam serio.

– Był znanym dziennikarzem. Pracował kiedyś w AFP, potem w „Nouvel Observateur”, napisał wiele demaskatorskich książek. Specjalista od francuskiej Afryki. Nie należał do osób, które siedzą z założonymi rękami, a w ostateczności rzucają się z okna.

– Kontaktowałaś się z wydawcami?

– Wiadomo, że nad czymś pracował, ale nikt nie zna tematu. Nie wziął nawet zaliczki.

– To wszystko?

– Jak na samobójstwo, to już bardzo dużo. Nie wspomnę nawet, że miał dzieci z dwiema kobietami i że bardzo kochał te maluchy. Obie kobiety twierdzą, że jego samobójstwo jest niezrozumiałe.

Erwan nie chciał dopuścić do siebie najgorszej myśli: ojciec, jego ojciec, znów znalazłby się w oku cyklonu.

– Szukaj dalej. Nic nigdy nie wiadomo.

Audrey odłożyła akta. Spojrzeli na siebie, nie musieli nic mówić. Wszystko, co miało związek z wywiadem, w Paryżu kojarzyło się z Morvanem, a jego powiązania z Afryką były oczywiste.

– Zajmij się tym – dodał z naciskiem.

Była już szósta wieczorem. Wyszedł z biura, żeby zajrzeć do Favinięgo, i właśnie wtedy natknął się na Levantina, specja od analiz kryminalistycznych, który nigdy nie pojawiał się w „36” z pustymi rękami.

– Chciałem pogadać o włosach tej Europejki.

– Coś nowego?

– I tak, i nie.

– Levantin, proszę, nie ma czasu na...

– Wpadłem na pomysł, żeby sprawdzić w kartotece wyłączonych.

Za każdym razem, kiedy na miejscu zbrodni pobierano odciski i materiał genetyczny, pobierano go także od pracujących tam policjantów i innych osób poza podejrzeniem, których ślady mogły się tam znajdować, żeby nie tracić czasu na fałszywe tropy. Wszystkie te próbki biometryczne i kariotypy gromadzi się w zastrzeżonej kartotece, ale wykorzystywanie zawartych w niej danych jest zabronione. FNAEG dotyczy wyłącznie przestępców i podejrzanych.

– Znalazłem w tej kartotece zgodny kod.

– Nie jest zaszyfrowana?

– Nie, ale zanonimizowana. Mój komputer wskazał, że kolejna ofiara jest spokrewniona z jednym z wyłączonych. Mam dostęp do próbki, ale żeby uzyskać nazwiska osób, o które chodzi...

– Potrzebujesz papierka, tak?

– Właśnie. I jeszcze coś. Nie jestem pewien, czy prokuratura...

– Chodź ze mną – powiedział Erwan, biorąc go za ramię.

Wszedł do jaskini Kripo i wyjaśnił mu, o co chodzi. Alzatczyk załatwiał takie sprawy kilkoma telefonami i formularzami.

Już wychodząc, Erwan zauważył leżącą na skraju stołu książkę: *Czarna magia Dolnego Konga Sébastiena Redlicha*. Pomyślał, że Kripo zaopatrzył się w materiały, żeby lepiej poznać temat, nad którym pracowali. Sam powinien dawno to zrobić. Sięgnął po książkę i przeczytał informacje z okładki. Redlich, etnograf, profesor Paris-Diderot, znawca ludu Yombe, relacjonował w tej książce badania prowadzone przez dziesięć lat. Erwan zlekceważył ważny trop: mieszkańców Paryża znających nie tylko historie Człowieka Gwoźdza, ale także rytuały tego specyficznego ludu.

Zaintrygowany, szybko przekartkował wydaną w 2002 roku książkę i z zaskoczeniem stwierdził, że trudno wyobrazić sobie pełniejsze opracowanie na temat *nganga*, *minkondi* i animizmu Mayombe. Co więcej, Redlich poświęcił cały rozdział Człowiekowi Gwoździowi. Erwan uznał, że etnograf był doskonale poinformowany. Czyżby rozmawiał z jego ojcem? Czy był w Katandze, kiedy to wszystko się działo? Mężczyzna z ostatniej strony okładki wyglądał na ponad sześćdziesiąt lat.

Erwan usiadł przy jednym z biurek – jego zastępca i technik walczyli o zezwolenie prokuratury – i włączył komputer. Przed spotkaniem u Lartigues’a chętnie odwiedziłby tego specjalistę. Błyskawicznie odszukał jego dane. Sébastien Redlich mieszkał w Nogent-sur-Marne... na barce.

Może to nic nie znaczy, ale może... Tak czy inaczej, właściciele barek często mają mniejszą łódź, tak zwany aneks. Dlaczego nie zodiaca?

Erwan poszedł do sąsiedniego pokoju, do Audrey.

– Czy na twojej liście właścicieli ETRACO figuruje niejaki Sébastien Redlich?

Dziewczyna wpisała nazwisko, patrząc w monitor:

– Mam, ale jeszcze go nie wezwaliśmy, na...

– Sam się tym zajmę.

Korytarz. Tam przypomniał mu się kolejny szczegół: marynarz zauważył, że tamten ruszył w stronę Bercy, czyli Marny.

Kripo odłożył słuchawkę, a jego mina świadczyła o zakończeniu misji sukcesem. Musiał jeszcze tylko wystawić upoważnienie dla Levantina.

– Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś? – zapytał Erwan, wskazując książkę.

Alzacyjny spojrzał na niego.

– Dbam o rozwój osobisty. Kupiłem ją wczoraj w księgarni L’Harmattan, ale jeszcze do niej nie zajrzałem. I...

– Facet mieszka w Nogent, na barce, i ma ETRACO.

– Co z tego?

– To, że tam jedziemy. Teraz.

Ironia śledztwa: kilka godzin temu jechali tą samą drogą. Nabrzeża. Instytut Medycyny Sądowej. Bercy.

Powinni zjechać na A4, ale Kripo znów skręcił w stronę placu Nation.

- Nie jedziesz autostradą?
- Nie, przez las Vincennes.
- Dlaczego?
- To przyjemniejsza droga.

Erwan nie spierał się z nim. Od wyjazdu męczył go inny problem, niemający nic wspólnego ze sprawą. Nie odpowiedział jeszcze Sofii. Te dwa dni pozwoliły mu trzeźwo spojrzeć na całą sytuację – ich związek był po prostu nierealny. Czy miał jej o tym powiedzieć, wysyłając SMS-a? Umówić się z nią i wszystko wytłumaczyć? Czy był zdolny do takiego wyrzeczenia? A może najbardziej bał się dalszego ciągu?

Zdecydował się na SMS-a, ale forma wiadomości też nastroczała mu problemów: jaki nadać jej ton? Poważny? Czuły? Dowcipny? Wybrał w końcu nagą prawdę, która dawała mu jeszcze trochę czasu: „Przepraszam za to milczenie. Myślę o Tobie”. Wcisnął „wyślij” i uświadomił sobie, że siedzi wyprężony na fotelu, jakby samochód zderzył się przeszkodą. Wyprostował się i próbował odprężyć.

Kripo miał rację – przejazd przez las o zmierzchu miał swój urok. Słońce zdecydowało się na chwilę wyjść zza chmur, zanim na dobre zniknęło, jak aktor, który wychodzi na scenę, gdy publiczność domaga się bisu. Ruch był płynny. Drzewa zamykały się nad ich samochodem jak karty książki skrywające sekret. Erwan otworzył okno. Zielono-żółty zapach wypełnił kabinę. Świeże powietrze odurzyło policjanta. Miał ochotę pozwolić swoim myślom swobodnie błądzić, ale otrząsnął się i skupił na człowieku, którego miał przesłuchać.

Przed wyjazdem wydrukował sobie jego stronę z Wikipedii. Sébastien Redlich urodził się w 1961 roku, ukończył w Paryżu antropologię, a kiedy tylko mógł, jeździł do środkowej Afryki. W roku 1989 obronił doktorat na

temat uzdrowicieli z Dolnego Konga, a potem zajął się badaniami naukowymi. Był autorem licznych artykułów naukowych, specjalistycznych książek, uczestniczył w konferencjach, a po roku 2000 został zatrudniony jako wykładowca na uniwersytecie Paris-VII. To wtedy wydał *Czarną magię w Dolnym Kongu* – popularnonaukową książkę, która przeszła bez echa. Z informacji wynikało, że od roku 2003 nie był w Afryce, jednak młodość spędził w buszu, zarażając się stopniowo wszystkimi chorobami, jakie panowały się w lasach równikowych – od malarii po śpiączkę, nie uniknął też ameb. Prawdziwy twardziel.

Nogent-sur-Marne. Miasto drzew i ukwieconych ogrodów leniwie drzemało nad brzegiem rzeki.

– Jedź do portu.

Dotarli nad Marne, kiedy zapadała noc. Porośnięte dzikim winem domki, wierzby płaczące, łodzie kołyszące się na falach. Znaleźli się w świetle oberży, kajaków, spokojnych wędkarzy. W nieco zafałszowanym świetle przedmieścia, które chce udawać wieś. Pomosty pachniały nowością, brzegi były umocnione betonem, łódki i barki wyglądały jak makiety ze scenografii. Rzeka wzdłuż drogi płynęła między szpalerami cyprysów, a potem zniknęła. Jechali, patrząc na numery na tabliczkach. Barki cumowały w dole.

– Zaparkuj tu. Dalej pójdziemy pieszo.

Zeszli ścieżką prowadzącą na brzeg Marny. Przy pontonach wisiały skrzynki pocztowe. Barka etnografa wyglądała jak okręt wojenny – pomalowany na czarno kadłub i pokład wtapiały się w mrok. Kiedy byli już przy mostku „Yombe” (tak się nazywała barka), zobaczyli ETRACO.

Kripo zrobił zdjęcie. Rozległo się szczekanie i policjanci aż podskoczyli – beżowy, rachityczny pies z dużymi uszami warczał, stojąc na pokładzie.

– Panowie do kogo?

Wysoki facet o wyglądzie wilka morskiego patrzył na nich z góry, mierząc ze strzelby. Erwan poznał model – to był sławetny remington 11-87 używany przez armię amerykańską – a także mężczyznę z fotografii:

– Sébastien Redlich? – zapytał, nie tracąc zimnej krwi. – Brygada kryminalna. Ma pan zezwolenie na tę zabawkę?

– A jak się panu wydaje? – Etnograf zaśmiał się, opuszczając broń. – Jestem u siebie i nikomu nie muszę się tłumaczyć. Jeżeli chcecie wejść na pokład, radzę zmienić ton.

Policjant uśmiechnął się i pokazał odznakę.

– Komendant Erwan Morvan. A to mój zastępca, porucznik Kriesler. Chcemy zadać panu kilka pytań.

Redlich wyciągnął rękę nad wodą, żeby chwycić trójkolorową odznakę, i uważnie na nią popatrzył. Wsunął broń pod pachę i wyjął z kieszeni drelichowych spodni latarkę. Żył tu po afrykańsku, bez prądu i jakichkolwiek wygod.

Erwan wykorzystał tę chwilę, obserwując go. O ile Lartigues był dla niego zaskoczeniem, o tyle Redlich dokładnie odpowiadał wyobrażeniom: brudny, niestaránie ogolony, w za dużej traperskiej koszuli w kratę, pod którą miał koszulkę z logo jednej z afrykańskich marek piwa. Mocnym punktem jego twarzy były faworyty, z którymi wyglądał jak zmoknięty Wolverine.

– Morvan – powiedział zatroskany – jak Grégoire Morvan?

– To mój ojciec.

– Zapraszam – powiedział, oddając Erwanowi odznakę. – Mam kawę.

Dokładnie to samo powiedział cztery godziny wcześniej Lartigues. Erwan zwrócił uwagę na jeszcze jeden zbliżający ich do siebie szczegół – Redlich utykał. Trzymał się poręczy, powłócząc nogą, jakby była sztywna.

Kolejny kandydat nie spełniał warunków do roli biegacza z Fos. Idąc po pokładzie barki, Erwan miał wrażenie, że zamiast posuwać się do przodu, wciąż się cofa.

– Proszę usiąść – rzucił rozkazującym tonem Redlich, krzątając się w głębi kabiny.

Pod stołem z ciemnego drewna znaleźli lepkie od brudu taborety. Wszystko tu wyglądało jak po pożarze: meble, ściany, firanki. Wystrój był czarny. Wyróżniały się tylko ustawione na półkach rzeczy z Afryki – oczywiście, fetysze Yombe, ale także figurki zdobione muszelkami, skórzane maski i sagaje, nawiązujące do prawdziwej estetyki śmierci. Wszędzie też było pełno książek – pod ścianami, wciśnięte w kąty, ułożone w stertach na podłodze, jakby pozatykano nimi szpary.

– Właśnie rozglądam się za miejscem, gdzie można by spędzić Halloween – szepnął Kripo.

Ale najgorszy był smród – mieszanina wodorostów, butwiejącego kartonu i zwierzęcych odchodów.

– Podać cukier do kawy? – zapytał gospodarz.

– Oby tylko nie kocie szczyny – mruknął pod nosem Kripo.

– Zamknij się. – Erwan zwrócił się do Redlicha: – Dziękujemy, nie trzeba.

Etnograf wrócił z włoskim ekspresem i wyszczerbionymi filiżankami, które postawił na stole. Półmrok, kuśtykanie, czarna woda za oknem: atmosfera jak w *Admirale Benbowie*, oberży z *Wyspy Skarbów*.

– Przyszli panowie w związku z morderstwami, o których piszą w gazetach?

Nalał im kawy i woń palonej ziemi dołączyła do i tak już kłócących się ze sobą zapachów.

– Co pan o tym myśli? – zapytał Erwan, dostrzegając bystrość rozmówcy.

– Zabójca naśladuje Człowieka Gwoźdźca, ale dziennikarze najwyraźniej nie znają tego wydarzenia z kroniki kryminalnej.

– O ile nam wiadomo, pańska książka, *Czarna magia Dolnego Konga*, jest jedyną przywołującą tę starą historię.

– I to czyni mnie podejrzanym?

Ani śladu zaniepokojenia w głosie. Raczej napastliwość typowa dla starego zrędy, któremu nie podoba się ani policja, ani ład, ani nic innego.

– Jakiś szaleniec mógł przeczytać pańską książkę i zaczerpnąć z niej pomysł.

– W takim razie – roześmiał się – liczba podejrzanych byłaby niewielka, sprzedałem około trzystu egzemplarzy w ciągu dekady.

– Czy któryś z czytelników kontaktował się z panem?

– Nie.

Wciąż stojąc, sięgnął do kieszeni koszuli i wyjął gitanes'a w kukurydzianej bibułce. Erwan myślał, że tych papierosów już od dawna nie ma w sprzedaży.

– I nigdy nikt nie pytał pana o Thierry'ego Pharabota?

– Niczego takiego sobie nie przypominam – odparł gospodarz, przypalając papierosa.

– Z kim prowadził pan wywiady, pracując nad rozdziałem o Człowieku Gwoździu?

– W latach dziewięćdziesiątych byłem w Katandze. Spotkałem tam ludzi, którzy przeżyli tę historię, a nawet znali Pharabota. Słuchałem ich wspomnień.

– Utrzymuje pan z nimi jakiś kontakt?

– Przede wszystkim z misjonarzami, którzy wrócili do Belgii.

Redlich okrążył stół i podszedł do komody. Kulał w specyficzny sposób, jakby tak dawał upust goryczy, która w nim tkwiła. Wysunął szufladę, przez chwilę szperał w papierach. Wrócił, trzymając w ręku wizytówki i kartki z odręcznie zapisanymi nazwiskami.

– Ci ludzie mieszkają teraz we flamandzkiej części Belgii.

Erwan podsunął wizytówki Kripo, który je sfotografował.

– A mój ojciec? Kontaktował się pan z nim?

– Oczywiście, ale nie zgodził się na rozmowę.

– Dlaczego?

– Niech go pan zapyta.

Redlich usiadł w końcu u szczytu stołu, z trudem wsuwając pod blat sztywną nogę. Teraz naprawdę wyglądał jak Długi John Silver.

– A czy spotkał się pan z samym Pharabotem?

– U schyłku lat osiemdziesiątych. Przebywał wtedy w zakładzie psychiatrycznym pod Courtrai w zachodniej Flandrii.

– Zezwolono panu na wywiad z nim?

– Bez problemów. Był bardzo spokojny, ale zachowywał się niespójnie. Zresztą i tak nie zgodził się wracać do morderstw i aresztowania. Wolał

opowiadać mi o swojej młodości.

– Nie znalazłem nic na ten temat w pańskiej książce.

– Ponieważ to książka o czarach Yombe, a nie biografia mordercy.

Erwan nie zdołał powściągnąć ciekawości.

– Czy w najmłodszych latach Pharabot przeżył jakieś wydarzenia albo traumy, które mogą tłumaczyć ten morderczy obłąd?

– Wydaje mi się, że tak. Pharabot urodził się w rodzinie zrujnowanych belgijskich osadników, w dolinie Lukaya. Ojciec pił, matka łajdaczyła się z kim popadło, także z czarnymi. Chłopak bardzo wcześnie musiał radzić sobie sam i żył wśród okolicznych robotników rolnych, w większości z ludu Yombe. Jako dwunastolatek przeszedł inicjację *khimba*, trwającą przez kilka miesięcy.

– Na czym to polega?

– Opisuję to w książce. Trzeba przeczytać rozdział o...

– Skoro już rozmawiamy, proszę opowiedzieć nam o tym w paru słowach.

Redlich odchrząknął – zabrzmiało to jak przesunięcie metalową szczotką po zardzewiałej kracie.

– Pierwszy etap to obrzezanie „na żywca”. Ból stanowi element próby. Potem chłopcu podaje się do wypicia truciznę, która go usypia. Symbolicznie umiera. Kiedy się budzi, golą mu głowę i smarują białą glinką. Dopiero później zaczyna się nauka. Chłopiec poznaje sztukę przemawiania do duchów, polowania, znoszenia ciosów. *Khimba* znaczy „wytrwać”, „stawić czoło”. Dziecko jest chłostane, wsadzone do dołu pełnego węży, pozostawiane na całe noce w lesie.

Erwan wyobrażał sobie wpływ takiej inicjacji na europejskie dziecko, które nagle zostaje samo, bez oparcia.

– Czy nikt wtedy nie zgłaszał jego zaginięcia?

– Nie wiem, ale jak już mówiłem, rodzice się nim nie przejmowali i mały przywykł do życia wśród czarnych, na placach budów i plantacjach.

– Sądzi pan, że to te przejścia doprowadziły go do obłądu?

– Nie, ale na pewno mu nie pomogły. Później zajęli się nim jezuici z Katangi.

– W Lontano?

– Najpierw w Lubumbashi. Zdał maturę i został wysłany do Lontano, gdzie kontynuował studia inżynierskie. To wtedy zaistniał w oczach ludzi jako *nganga*.

– Ma pan na myśli białych?

– Oczywiście, że nie. Nawet na uczelni Pharabot trzymał się z czarnymi, co wtedy było dość niezwykle. Uchodził za bardzo skutecznego uzdrowiciela. Po pierwsze, dlatego że wychował się w środkowym Kongu, bo tak kiedyś nazywano Dolne Kongo. Poza tym ze względu na kolor skóry. Wierzono, że potrafi nawiązać łączność z najstraszliwszymi duchami: Mbola Mvungu, garbatym, który karze złodziei, zarażając ich trądem, Nzazi, trzęsącym się szczeniakiem, który spada z nieba jak grom i potrafi zabijać ludzi, sikając na nich...

Erwan i Kripo popatrzyli na siebie – te informacje zdawały się dość daleko odbiegać od zebranej przez nich dokumentacji.

– Jest coś, co trzeba dobrze zrozumieć – ciągnął Redlich, coraz bardziej się zapalając. – *Nganga* to władca tajemnic, wróg czarowników i niesprawiedliwości. To najwyższy policjant, gwarant ładu. Rodziny „zjadane” przychodziły do niego, tak samo jak chorzy, którzy zwracali się o poradę, czy wodzowie plemion, którzy błagali o pomoc. Pharabot nie bał się tamtego świata, to było terytorium, na którym działał.

– Skoro był tak sławny, to chyba podejrzewano go o morderstwa?

– Wśród czarnych na pewno, ale nikt nie wspomniałby o tym Belgom. Upuszczać krew białym, żeby przyzywać duchy – to niezwykle czyn.

Erwan zauważył, że barka się kołysze. Ten ruch był lekki, ale wystarczający, żeby zaburzyć funkcjonowanie ucha wewnętrznego. W połączeniu ze smrodem sprawiło to, że zaczynał mieć mdłości.

– Co pańskim zdaniem mogło być iskrą, która doprowadziła do pierwszego morderstwa?

– Nie mam pojęcia. Statut *ngangi* powodował, że mu zazdrozczono, rywalizowano z nim. Musiał uwierzyć, że atakują go czarownicy, że demony zżerają mu duszę. Musiał zdobyć bardzo potężne *minkondi*. – Redlich wpatrywał się w dno swojego kubka. Jego twarz, okolona faworytami i wzburzonymi włosami, była idealną gębą zabójcy. – Pod koniec Pharabot wbijał sobie igły w ciało. Sam stał się *nkondi*. Kawy?

Erwan podziękował – zbierało mu się na wymioty. Siedzący w półmroku Kripo nie odpowiedział. Albo zasnął, albo dyskretnie robił notatki.

– Jak pańskim zdaniem dzisiejszy zabójca dowiedział się o Człowieku Gwoździu?

– Może z mojej książki. Może w Katandze. Tam ta sprawa wciąż jest

głośna.

– Czy informacje, które czytał pan w prasie, zaskoczyły pana?

– I tak, i nie. Historia Pharabota jest mało znana, ale może zafascynować. To młody chłopak, nieśmiały marzyciel, który w rzeczywistości był bardzo potężnym czarownikiem. Prawdziwym superbohaterem.

– Raczej superzłym.

– Rozumie pan, co mam na myśli.

Erwan czuł się coraz gorzej – odór moczu, wilgotnego drewna i ropy, a do tego drapiący w gardle posmak kawy.

– Anne Simoni. Słyszał pan kiedyś o niej?

– Nie. Czytałem gazety, jak wszyscy.

– Ludovic Pernaud?

– Też nie.

– Wissa Sawiris?

– Długo zamierza pan jeszcze wyliczać?

Erwan zadawał te pytania dla zasady. Ani to, że Redlich był znawcą yombijskiej magii, ani posiadanie zodiaca nie czyniło z niego podejrzanego. A sztywna noga dawała mu mocne alibi.

– Czy mogę otworzyć okno? – zapytał, wstając.

– Nie. Jesteśmy poniżej poziomu wody. Wyjdźmy na zewnątrz.

Erwan z ulgą odetchnął świeżym powietrzem. Kripo poszedł za nimi, dyskretnie trzymając telefon. Nie notował, ale nagrywał zeznania jak reporter.

– Od dawna ma pan to ETRACO?

Etnograf roześmiał się na cały głos i wyrzucił niedopałek papierosa za burzę.

– Czyli jednak podejrzewacie mnie, panowie?

– Dlaczego łączy pan zodiaca z morderstwami?

– O łodzi mordercy pisano we wszystkich gazetach. To hurricane.

Erwan nie przypominał sobie, by informowano o tym dziennikarzy, ale „36” była najlepszą rozgłosną plotek, jaką można sobie wyobrazić.

– Często go pan używa?

– Nigdy. Jest zepsuty. Jeżeli uda się panu go uruchomić, stawiam kolejkę.

– Gdzie pan był w weekend ósmego września?

– Tu, na barce. Ale mam sąsiadów, można ich o to zapytać. Czy wtedy doszło do morderstwa?

– A we wtorek jedenastego września o osiemnastej?

– Prowadziłem zajęcia na Paris-Diderot. Trzystu świadków. – Zaśmiał się w ciemnościach. – To się nazywa alibi!

Stojąc z boku, Kripo nawiązywał przyjaźń z potwornym psem o łbie lisa pustynnego.

– A nocą z dwunastego na trzynastego?

– Spałem. Tu. I niestety sam.

– A wczoraj wieczorem?

– Tak samo.

Erwan spojrział na zegarek. Było już po ósmej. Kolejna rozmowa, która nic nie wniosła. Głęboko odetchnął wilgotnym powietrzem, pachnącym drzewami.

– Zna pan Iva Lartigues’a? – zapytał na zakończenie.

– Oczywiście. To jedna z niewielu osób, które naprawdę przeczytały moją książkę. Interesuje się magią Yombe i Człowiekiem Gwoździem. Wielokrotnie odwiedzał mnie na uczelni. Stał się moim przyjacielem.

– Jak by go pan scharakteryzował?

– Dość szczególnie. W jego artystycznym umyśle te ofiary z kobiet, te rzeźby w ludzkim ciele mają znacznie większą wartość niż jego przerdzewiałe twory.

Erwan musiał się z nim zgodzić.

Zawołał Kripo i trzymając się liny, żeby wrócić na ląd, powiedział:

– Dziękuję, panie Redlich.

– Zapomniał pan jeszcze o coś zapytać.

– O co?

Redlich stuknął obcasem o pokład.

– O moją nogę!

– To ma coś wspólnego z Człowiekiem Gwoździem?

– Absolutnie nic. W latach dziewięćdziesiątych miałem wypadek lotniczy pod Muandą, u ujścia Konga. Wdało się zakażenie. Leczył mnie *nganga*. – Znów stuknął obcasem i uśmiechnął się ponuro. – Najwyraźniej magia Yombe musi się jeszcze doskonalić.

W drodze do firmy wykonał kilka telefonów. Tonfa zapuszczał korzenie w Instytucie Medycyny Sądowej. Favini uganiał się za zjawą – Pernaudem, a Audrey za lampartem z Guerra na Selva i za samobójcą Jeanem-Philippe’em Marotem.

Levantin też nie posunął się o krok. Wciąż czekał na kody, żeby dostać się do dokumentów i w końcu ustalić, kto jest spokrewniony z przyszłą ofiarą, a właściwie z kimś już zamordowanym. Co do próbek krwi pobranych z ciała, żadna nie należała do sprawcy. Przebadano ich już czterdzieści. Erwan kazał mu kontynuować, bo był pewien, że w końcu pojawi się grupa krwi niezgodna z grupą ofiary.

Na domiar złego Sofia nie dawała znaku życia.

– Nie masz nic przeciwko temu, żebyśmy cię tylko podwiózł? – zapytał Kripo. – Chcę wpaść do domu.

– Nie ma sprawy.

Też powinien tak zrobić – cuchnął potem i kocimi szczynami. Ale na myśl o tym, że miałby się znaleźć sam w czterech ścianach i czekać na telefon Włoszki, wpadł w popłoch. Wolał kisić się w swoim sosie w „36”. Wszedł w bramę, skręcił do schodów A i po ciemku wdrapał się na górę.

– Ktoś na ciebie czeka – powiedziała Audrey, mijając go na czwartym piętrze.

– Kto?

– Jakaś burżujka szukająca bardzo męskiego gliny. Klasyka. Posadziłam ją w sali narad.

Nigdy nie potrafił wpoić Audrey, że w policji obowiązuje hierarchia. Dał jej swobodę, bo brak manier kompensowała doskonałymi wynikami w pracy.

Wszedł do pustej o tej porze sali. Sofia paliła, siedząc w kącie. Ona też gardziła regułami. Drżąca, bliska płaczu, wyglądała jak przypięta do krzesła elektrycznego.

Erwan podszedł do niej. Słyszał własne serce, które waliło jak pięściarz w worek treningowy.

– Co się stało?

– Zamknij drzwi – powiedziała, rozgniatając peta czubkiem pantofla.

Kiedy to zrobił, wyjęła z torebki Balenciagi szarą kopertę formatu A4. Typowa preambuła do katastrofy.

– Mój adwokat zwrócił się do wywiadowni gospodarczej.

– Co to takiego?

– Prywatny detektyw specjalizujący się w sprawach finansowych. Odkrył, że twój ojciec posiada szesnaście procent kapitału Coltano.

– To nie jest sensacyjna wiadomość.

– A luksemburska spółka ma osiemnaście procent.

– Jak się nazywa ta spółka?

– Heemecht.

Kolejne powiązanie: firma, która transportowała gwoździe z Afryki, także należała do akcjonariuszy Coltano.

Sofia znów zapaliła papierosa i trzymała go w drżących wargach. Jeszcze nigdy nie widział jej tak spiętej.

– Przecież to powszechnie dostępne dane, prawda? – zapytał, żeby ją uspokoić.

– Publiczna nie jest tylko informacja o osobie, która stoi za Heemechtem.

– Kto to?

– Mój ojciec.

Chociaż Erwan próbował wytrwać w roli niewzruszonego gliny, nie potrafił ukryć zdumienia:

– Co powiedziałaś?

– Od założenia grupy ojciec posiada osiemnaście procent Coltano. Przedtem był też udziałowcem firmy twojego ojca, zajmującej się wydobyciem magnezu.

– Chcesz powiedzieć, że nasi starzy są rywalami w tych samych firmach?

– Nie. Chcę powiedzieć, że od początku byli w Afryce wspólnikami. Podzielili się udziałami, które Afrykanie zostawili im w spółkach wydobywczych, a przy okazji zrobili z nas idiotów.

Erwan pokręcił głową: to się nie trzymało kupy.

– Nie znasz tej historii – odparł. – Ojciec miał doskonałe relacje z ówczesnym prezydentem, Mobutu, a to ze względu na śledztwo w sprawie o morderstwa. Złapał sprawcę. Zair był daleko od Florencji, więc...

– Ojciec zawsze prowadził tam interesy. Twierdził, że pracuje w dawnych

włoskich koloniach, na przykład w Etiopii, ale kłamał – podstawą interesów było Kongo.

– Ale po co mieliby grać przed nami tę komedię?

– Żeby manipulować Loikiem i mną. Żeby doprowadzić do naszego spotkania i małżeństwa.

To już nie była nawet paranoja: Sofia kompletnie odleciała.

– Jaki mieliby w tym interes?

– Połączenie udziałów w Afryce po ich śmierci.

Z papierosem w ustach otworzyła szarą kopertę i podała mu plik drukowanych kartek. Złość ją odmładzała i przydawała jej urody.

– Tu jest wszystko. Według wywiadowni ani twój ojciec, ani mój nigdy nie mogli nabyć więcej akcji Coltano. To jednoznaczny kontrakt z afrykańskimi generałami. Nie ma mowy, żeby któryś z nich zgromadził ponad trzydzieści trzy procent.

– Dlaczego?

– Bo taki pakiet mniejszościowy daje możliwość blokowania decyzji, dzięki czemu staliby się prawdziwymi właścicielami. Kiedy można mówić „nie”, w zasadzie o wszystkim się decyduje.

– Nadal nie rozumiem, do czego było im wasze małżeństwo.

– Pobierając się, zawarliśmy umowę o ograniczonej wspólnocie majątkowej. Po śmierci starych ich udziały przypadną nam i zgromadzimy łącznie ponad trzydzieści trzy procent Coltano. Wspólnie uzyskamy więc mniejszość blokującą. Kongijczycy nie będą mogli tego podważyć: Coltano to francuska firma.

– Cóż to za zwycięstwo – wzruszył ramionami Erwan – skoro ich nie będzie już na tym świecie?

– Zjednoczą swoje królestwa poprzez związek dzieci. Za naszym pośrednictwem obejmą w końcu władzę.

– Nie będziecie jedynymi spadkobiercami Coltano. Masz siostry. Jestem ja i Gaëlle.

Gniewna i triumfująca, wyjęła z koperty jeszcze jeden dokument:

– Wyciąg z testamentu twojego ojca. Już ci mówiłam: zapisał wszystkie udziały w Coltano Loicowi.

Odruchowo odwrócił oczy, jakby chodziło o tabu, o święty tekst, którego nie wolno mu czytać. Było coś obrzydliwego w zaglądaniu do papierów, w których ojciec przekazywał swe decyzje z zaświatów. Równocześnie

powiedział sobie, że detektyw Sofii był niezwykle sprawny, bo wygrzebanie takiego dokumentu równało się niemal zdobyciu kodów do francuskiego arsenału atomowego.

– Mam też testament mojego ojca. Dokładnie to samo. Uwierz mi – to plan dograny pod każdym względem.

Erwan zdecydował się w końcu przeczytać testament. To był niepodważalny dowód manipulacji. Teraz rozumiał tę zdumiewającą wściekłość Morvana, jaką wzbudzała w nim każda wzmianka o rozwodzie Loïca. To rozstanie burzyło jego plany.

– Ale wtedy nie mogli mieć pewności, że się pobierzecie – próbował jeszcze bronić się przed prawdą.

– Gadanie. Wystarczyło, że się poznaliśmy. Loïc był półbogiem, mnie też niczego nie brakowało.

Znieś to jak mężczyzna.

– Mogliście spisać intercyzę.

– I mój, i twój ojciec żądali rozdzielności majątkowej, więc zaraz potem zrobiliśmy wszystko na odwrót. Problemem młodych jest ich buntowniczość, a trudno o bardziej przewidywalne zachowania.

Erwan bez słowa oddał jej dokument.

– To wrogie przejęcie przez więzy krwi – oświadczyła Sofia. – Chcąc dać mi wszystko, wszystkiego mnie pozbawił.

Jej włosy, zwykle gładkie, dziś były wzburzone. Mocno się pociła, a pory jej skóry, co nigdy się nie zdarzało, były rozszerzone.

– Zapomniałabym! Najlepsze na koniec.

Erwan zwrócił oczy na fotografię, którą mu podała. Uśmiechał się z niej mężczyzna około czterdziestki o twarzy czujnego drapieżcy i płowej grzywie. To był ojciec, taki, jakiego pamiętał z lat swojego dzieciństwa. Na kolanach trzymał grzeczną dziewczynkę, która wyglądała jak uosobienie długiej historii włoskiej arystokracji. Ale równocześnie ta czarnowłosa i skośnooka istotka mogłaby uchodzić za Azjatkę albo Indiankę. Poznał Sofię.

– Gdzie to znalazłaś?

– We własnym pudle ze zdjęciami. Ta fotografia musiała tam trafić przez przypadek. Pomyśleć tylko, że miałam u siebie dowód ich kłamstw! Twój ojciec znał mnie od kołyski.

Erwan nie był właściwie ani zaszokowany, ani zaskoczony. W przeciwieństwie do Sofii od dawna znał tę bestię, która go spłodziła.

– Powiedziałaś o tym Loïcowi?

– Jeszcze nie. Zresztą, odkąd... po prostu, odkąd wyszły na jaw świństwa twojej siostry, uciekł w swój świat. Powtarza mantry, medytuje i pewnie zaćpa się kokainą na śmierć.

– Co zamierzasz zrobić?

– To, co zamierzałam – rozwieść się. I jestem bardziej zdeterminowana niż dotąd.

Bez namysłu ujął ją za rękę, przy jej pełnym przyzwoleniu. To nie była najlepsza chwila na romantyzm, zresztą jego palce były lodowate.

– Twoja siostra ma rację – szepnęła. – Trzeba ich zabić. Trzeba ich zniszczyć.

– Strzeż się mojego ojca.

– Za kogo ty mnie uważasz? Za jakąś idiotkę, wychowaną na pensji dla panienek?

Zanim zdążył coś powiedzieć, dodała:

– Dorastałam przy Kondotierze, któremu nic nie brakuje do twojego starego.

Erwan już nie słuchał. Myślał o tamtej nocy. Nie – przeżywał ją na nowo. To była tajemnicza, gorąca siła, która go przenikała, rozsiewając cząsteczki szczęścia, ostre jak igły i niemal sprawiające ból. Brakowało mu słów, myśli, żeby wyrazić, a nawet pojąć to, co czuł w ramionach, w uścisku ud Sofii. To była fala, cudowny dar, którego głębi nie potrafił zmierzyć. Nie śmiałyby tego wyznać, ale wciąż zdumiewało go, wręcz wprawiało w osłupienie, że ta kobieta akceptowała go w sobie. Przeżył to jak wejście do świątyni, do sanktuarium niedostępnego dla śmiertelników.

Ktoś zapukał do drzwi.

Nie czekając na reakcję, intruz wtargnął do sali, ubrany zgodnie z modą XVIII wieku. Upudrowany, długie siwe włosy związał w koński ogon. Miał na sobie frak z purpurowego aksamitu, spod którego wysuwały się koronkowe rękawy koszuli, a do tego spodnie do kolan, białe pończochy i pantofle z klamrą.

Erwan dopiero po chwili poznał Kripo, który skłonił głowę, opierając dłoń o gałkę laski, a drugą ręką trzymając na biodrze.

– Co to za maskarada?

– Przebranie na nasz wieczorek.

– Jaki znowu wieczorek?

– Stoi przed tobą markiz de Sade, kamracie! Wracamy do źródeł!

Powinien był martwić się losami Coltano, bać się domysłów, jakie wzbudzała osoba Pernauda, albo zastanawiać się bez końca, kim jest ten przybysz z przeszłości, zdolny zniszczyć własnych zabójców.

Nic z tego.

Leżąc w łóżku, bujał w obłokach, jakby wypalił skręta albo połknął podwójną dawkę leków. Gaëlle żyła i tylko to się liczyło. Cała reszta to tylko interesy. Zwyczajne gówniane problemy, które niesie życie, więc nie warto się nimi przejmować.

Był sobotni wieczór, wpół do dziesiątej, a on słyszał w tle radio, kiedy wpatrywał się w sufit. Stan upojenia, w jaki popadł, był bezkresny, głęboki, ale lekki. Miał wrażenie, że kołysze się na łóżku i wspominał, jak przed czterdziestu laty słuchał małego tranzystora na łodzi na rzece Lualaba. Śledził wtedy Thierry'ego Pharabota.

W gruncie rzeczy nic się właściwie nie zmieniło. Do dziś czuł w sobie falowanie wody, nie zniknęło podniecenie pierwszym śledztwem. I oczywiście nie zniknęło umiłowanie Afryki. Ten, kto pozna tę czerwoną ziemię, te pejzaże, które rozdzierają serce i wypalają źrenice, tych wesołych mężczyzn i kobiety, brutalnych i naiwnych, zdolnych olśnić subtelnością, wrażliwością artystyczną, zadziwić niewiarygodną wiarą w przesady, nigdy nie zdoła otrząsnąć się z wrażenia. Afryka jest jak nawracająca malaria – człowiek sądzi, że wyzdrowiał, bo pasożyty na pozór zniknęły, ale one pozostają, ukryte głęboko w wątrobie i czekają na okazję, żeby znów się ujawnić.

Ktoś zapukał do drzwi.

Poderwał się, kładąc rękę na broni ukrytej w nocnej szafce. Opanował się. Ten sygnał oznaczał trzy rzeczy – gość znał kod wejściowy, miał klucz do drugich drzwi, tych z domofonem, a poza tym wiedział, że w sobotni wieczór trzeba wejść schodami kuchennymi i zapukać do tych drzwi, żeby się z nim spotkać.

Erwan.

Podszedł i otworzył.

– Masz pięć minut? – zapytał wyraźnie poirytowany syn.

Morvan rozłożył ręce, żeby zwrócić uwagę na swój strój – spodnie i bluza od dresów, kaptur na futerku. Zaprosił go do środka i zapytał, czy się czegoś napije. Erwan odmówił, kręcąc głową. Ten gest rozczył Morvana – w wieku czterdziestu lat syn wciąż był uparty jak osioł, a do tego dąsał się tak samo, co zdradzał jego specyficzny chód – jakby hamował jedną nogą.

Wyłączył radio i spróbował zagrać sentymentalizmem:

– Od dawna nie spędziliśmy razem sobotniego wieczoru. Pamiętasz, jak przesiadywaliśmy przed telewizorem? Albo...

– Przyszedłem, żeby przynieść ci pewną pamiątkę.

Erwan położył na łóżku fotografię. Morvan chwycił ją i od razu pociemniało mu w oczach. Libreville, 1978. Montefiori zaprosił go na kilka dni do swojej willi. Podpisał właśnie intratny kontrakt z Omarem Bongo na dostawę torów do budowy szlaku kolejowego.

Ta scenka rozdzierała mu serce nie z powodu Sofii – rozkapryszonej małej dziewczynki, której nigdy nie lubił – ani nawet tęsknoty za utraconą młodością, jego i złomiarza, ale z powodu tego snu o zmartwychwstaniu, którego aura biła od zdjęcia. Wtedy obaj myśleli, że zostaną ocaleni przez własne dzieci, których życie będzie odkupieniem ich grzechów, albo przynajmniej usprawiedliwi ich i pozwoli uzyskać wybaczenie. Stało się inaczej – dalej robili świństwa, a ich dzieci rosły w bogactwie i nieufności, przeczuwając, że karmią się zbrodnią. Wszyscy musieli utracić niewinność, która uleciała jak obłok, by powrócić jako brzemienna we łyzy chmura.

– Kto ci to dał?

– Sofia. Prowadziła własne śledztwo i dowiedziała się ciekawych rzeczy.

– Wiesz, co ci odpowiem, więc nie każ mi tego wciąż powtarzać. Wszystko, co zrobiłem...

– Robiłeś dla naszego dobra, rozumiem. Ale mam to gdzieś. Wasze kłamstwa i kombinacje to wasza sprawa.

– Loïc już wie?

– Jeszcze nie.

– Sofia rozmawiała z ojcem?

– Nie wiem. Ma ochotę dobrać się wam do skóry.

– A ty?

– Ja chcę tylko wyjaśnić pewne sprawy.

Stary nie mógł oderwać oczu od fotografii. Było to jeszcze przed narodzinami Gaëlle i kiedy patrzył na małą Montefiorich, modlił się w duchu, żeby kiedyś mieć córeczkę tak śliczną jak ona. Doczekał się tego cudu, ale był to dar od samego diabła.

– Sofia uważa, że jej małżeństwo to tylko pretekst do połączenia waszych udziałów w Coltano.

– To prawda.

– I że zaaranżowaliście ich spotkanie.

– To też prawda. To cię oburza?

– Nie, ale jest coś, czego nie rozumiem. Jeżeli się nie mylę, chcesz eksploatować nowe kopalnie za plecami Coltano.

– Zgadza się.

– Dlaczego próbujesz okradać imperium, które zamierzasz podarować dzieciom?

– Ponieważ są działania krótkofalowe i długofalowe. Dziś najlepszym rozwiązaniem jest zgarnąć łup jak najszybciej. Potem zobaczymy, do czego nas to doprowadzi i co zostanie z tego, jak powiedziałeś, „imperium” po wojnie i po naszej śmierci.

– Jak możesz stawiać na Loïca i Sofię, powierzając im zarządzanie taką spółką? Nie mają o tym pojęcia.

– I tak będą lepsi od czarnuchów.

– Musisz mi kiedyś wyjaśnić, czy kochasz Afrykę, czy nienawidzisz.

– Odpowiedź tkwi w pytaniu – moje serce przechyla się to na jedną, to na drugą stronę. Skończyłeś?

Syn sprawiał wrażenie bardzo pewnego siebie, więc na pewno coś przed nim ukrywał. Czy to dotyczyło śledztwa? Loïca? Sofii? Morvan czekał w milczeniu. To była jego ulubiona metoda – przycząć się w cieniu i obserwować ofiarę.

– Nie. Skoro tu już jestem, pomówmy o Jeanie-Philippie Marot.

Wiedział, że zabójstwo Pernauda wywoła reakcję łańcuchową. Morderca też o tym wiedział.

– O tym dziennikarzu, który odebrał sobie życie?

– Obawiałem się, że będziesz udawał, że o niczym nie wiesz.

– Wiem o wszystkim. Ale dlaczego o tym mówisz?

– Kilka dni przed śmiercią Marota widziano koło jego domu Pernauda.

– Co z tego?

– Pernaud był szpiegiem. Facetem, który „pomógł” popełnić samobójstwo niejednemu gościowi. Na ogół na twój rozkaz.

– Ostrożnie! Policjant nie może rzucać takich oskarżeń bez dowodów.

– Marot to twoja sprawka czy nie?

– Po co miałbym zlecać jego egzekucję?

– Wsadzał nos w cudze sprawy, węszył. Może przygotowywał coś, co nie powinno ujrzeć światła dziennego.

Morvan stanął przy oknie, odwrócony plecami do syna. Lubił tak stać, trzymając ręce w kieszeniach, jak kapitan na mostku. Przed nim rozciągała się aleja Messine, jak zwykle wyniosła, pełna dystansu, sztywna.

– Synu, to już nie te czasy. Już nie załatwia się tak ludzi. Żyjemy w epoce konsensusu, politycznej poprawności. Nikt nie wierzy już w nic poza sprawami, które nie są warte złamanego grosza – ekologią, alterglobalizmem. To jest miąłkie, odległe, a tymczasem trzeba biec do Colette, bo trwają przeceny.

– Przestań kluczyć. Odpowiedz mi.

Westchnął i podszedł do stołu, na którym obok czajnika elektrycznego stały gresowe filiżanki. Żeliwny czajniczek był już ciepły. Podniósł go i napełnił wrzątkiem.

– Na pewno nie chcesz tego ajurwedyjskiego naparu? To ten, który Loïc przywiózł z Tybetu.

Erwan nie raczył nawet odpowiedzieć. Morvan nalał płynu do filiżanki, wdychając korzenny aromat. Pił tę miksturę co wieczór przed snem.

– Prowadzisz to śledztwo? – zapytał.

– Nie ma śledztwa w tej sprawie. Przecież wiesz.

– Marot rozgrzebywał każde gówno. Był bezwzględny i nierzetelny – rzekł w końcu. – Jego analizy najczęściej były kłamliwe, wywoływał skandale tam, gdzie nic się nie stało.

– Kazałeś go zabić czy nie?

– Nie możesz obarczać mnie winą za każdą śmierć.

– Gdyby Marot zajął się czymś kłopotliwym, zwrócono by się do ciebie.

– Między dziennikarzami a władzą toczy się pozorna wojna. Władza pozwala im ujawniać pseudoskandale, a oni w zamian nie ruszają naprawdę drażliwych kwestii.

– Nad czym pracował Marot?

– Kogo to obchodzi? To już odległa historia.

– Nie mogę uwierzyć, że bez skrupułów kazałbyś załatwić tego faceta.

Morvan usiadł w fotelu obok kanapy, na której siedział jego syn:

– Wiesz, co mówił wietnamski generał Lê Dúc Tho? „Co sekundę na świecie umiera człowiek. Dobrze, jeśli od czasu do czasu czyjaś śmierć służy sprawie”.

– Lê Duc Tho był fanatykiem.

– To przecież laureat Nagrody Nobla.

– Której nie przyjął!

Morvan uniósł filiżankę:

– Celną riposta, synu.

– A jakiej sprawie mogłaby służyć śmierć Marota?

– Jedynej, która jest ważna: ładu w kraju. Pytanie, jakie powinieneś sobie zadawać, brzmi: skąd i dlaczego nowy Człowiek Gwoździe wie o tym wszystkim?

– Jestem wystarczająco duży, żeby prowadzić równocześnie dwa śledztwa. Jeżeli znajdę cokolwiek, co dowiedzie twojej odpowiedzialności w tej sprawie, zapłacisz za to. Przysięgam ci, że zapłacisz za swoje zbrodnie.

– Zapewniam cię, że na swój sposób płacę za to dzień w dzień. A co nowego w sprawie Człowieka Gwoźdź?

– Nie ma powodu, żebym rozmawiał na takie tematy ze świadkiem, chociaż powinienem powiedzieć – z podejrzanym. Bo to, że jesteś w tę sprawę zamieszany, staje się coraz bardziej oczywiste.

Synek zaczynał boleśnie wciskać palec w ranę. Ulga, jaką poczuł, wiedząc, że córka jest cała i zdrowa, ulatywała jak para z filiżanki.

– W takim razie bierz się do roboty, zamiast zawracać mi dupę! – rzucił z wściekłością.

– Sam radziłeś, żebym skupił się na faktach, na pochodzeniu gwoździ i tym podobnych.

– I co?

– Gwoździe importuje luksemburska spółka Heemecht. Słyszałeś o niej?

Morvan nie wiedział, że Heemecht sprowadza ten złom. Czy morderca próbował wmieszać w sprawę także Montefioriego? Jedno było pewne: motywu należało szukać w środkowej Afryce.

– Znasz odpowiedź. Kto kupił te gwoździe?

– Lartigues.

Czyli pewne niezwykle ważne fakty umknęły jego uwadze. To była lekcja

pokory dla wszechmocnego człowieka, za jakiego się uważał.

– Czy Montefiori był w Lontano? – podjął Erwan.

– Tak.

– Jak di Greco?

– Do czego zmierzasz?

– Co zrobiliście w Afryce, żeby wzbudzać taką nienawiść?

Morvan wypił łyk gorącej herbatki i odpowiedział w zadumie:

– To takie odległe...

Erwan bez słowa podszedł do drzwi.

– Erwan, bądź ostrożny. Tak dużo ścieżek nie tworzy drogi, ale labirynt.

– To zdanie dnia?

Zniknął na schodach, zostawiając ojca siedzącego w fotelu.

Morvan dźwignął się z trudem i zamknął zasuwę. Szuflada szafki nocnej nadal była wysunięta. Zanim ją zamknął, wyjął pistolet – Berettę 92 FS, mieszczącą piętnaście naboji 9 mm Parabellum plus jeden w komorze.

– *Si vis pacem, para bellum* – szepnął.

„Jeżeli pragniesz pokoju, szykuj się do wojny”. Od tej łacińskiej maksymy pochodziła nazwa broni. Odłożył pistolet na miejsce.

Przez całe życie szykował się do wojny, a nigdy nie zaznał pokoju.

– Stacja metra to Jacques-Bonsergent!

Młody policjant zaczerwienił się, powtarzając to zdanie. Na pewno miał już dość żarcików, jakie wywoływała ta homonimia. Gaëlle uważała, że jest całkiem przystojny. Pod wpływem środków uspokajających trwała w półśnie, a obecność tego dzieciaka odbierała jak dźwięk łagodnej kołysanki.

Nawet ubrana w dres i ciepłą bluzę narzuconą na ramiona wyglądała czarująco i zdawała sobie z tego sprawę. Zaproponowała mu, żeby przeszli się po korytarzu. Przy dystrybutorze napojów można było otworzyć uchylne okno, a Gaëlle miała ochotę zapalić. Żółtodziób też. Stali, paląc i zerkając w stronę, z której mogła nadejść pielęgniarka. Zachowywali się jak studenci w kącie korytarza na uczelni.

– To bardzo sexy, że zamknęli nas tu we dwoje, prawda? – zaczepiła go.

Znów się zaczerwienił, ale nic nie powiedział. Zaciągnął się jak skazaniec przed egzekucją.

– Powiedzieli ci, co zrobiłam? – nie dawała za wygraną.

– Powiedzieli mi o...– Zawahał się. – To znaczy... o alei President-Wilson.

– Pomyśl tylko, Kubusiu, to był naprawdę wielki skok.

Mówiła do niego jak do dziecka, czułym tonem osoby bliskiej, ale i z lekkim rozbawieniem. Wyglądał na dwudziestopięciolatka, a już chodził przygarbiony, jakby przytłaczał go ten tani garniturek.

Wyrzucił niedopałek przez okno, a potem uważnie na nią spojrział.

– Dlaczego posunęła się pani... tak daleko?

– Nie powiodły mi się pewne plany.

– Ale przecież... pani...

Nie dokończył zdania, ale jego oczy mówiły wszystko: jak mogła doprowadzić się do takiego stanu, skoro miała wszystko, czego trzeba do szczęścia? Bogatych podejrzewa się o wszystko, ale nie o to, że mogą wpaść w rozpacz.

– A wiesz przynajmniej, jaką mam pracę?

– Jest pani aktorką?

- To moja przykrywka. W rzeczywistości jestem kurwą.
- O?

Sergent spałowiał. Nie wiedział, co powiedzieć, a prawdopodobnie nawet co pomyśleć. Gaëlle była córką jednego z najpotężniejszych gliniarzy Francji, a w dodatku siostrą jego szefa.

– Początkowo – ciągnęła szyderycznym tonem – wmawiałam sobie, że to pomoże mi zrobić karierę, ale potem w tym zasmakowałam. To chyba zrozumiałe, skoro bierze się trzy tysiące euro za noc?

Nie zarabiała nigdy więcej niż tysiąc, ale bawiło ją, że może namieszać w głowie młodemu mężczyźnie. Pewnie marzyło mu się, by imponować dziewczynom opowiastkami o śledztwach i łapaniu przestępców. Ale Gaëlle wychowała się w tym środowisku, i to na najwyższych szczeblach, a teraz bawiła się w Antychrysta.

- Ja... To znaczy, tak – bąkał. – To interesujące.
- Ale nie chodzi tylko o kasę. Jest też przyjemność.
- Chce pani powiedzieć... że... to może być przyjemne?

Sergentowi trudno było zachować fason. Dławił się każdym słowem, najchętniej zapadłby się pod ziemię.

- W najgorszym razie ma się to gdzieś – odparła z przewrotną satysfakcją.
- A w najlepszym jest dobra zabawa. Ale to nigdy nie jest bolesne albo ponizające. Ja...

Rozległ się hałas w korytarzu. Równocześnie odwrócili głowy, spodziewając się zobaczyć pielęgniarkę. Ale nie zauważyli żadnego ruchu. Na zamkniętym piętrze panowała przejmująca cisza, która przyprawiała o duszności i kazała oczekiwać nieuniknionej katastrofy.

– Rozejrzę się – powiedział Sergent uszczęśliwiony, że może położyć kres tej rozmowie.

- Masz pilnować mnie, a nie innych.
- Mimo wszystko rzucę okiem. Proszę tu zostać.

Policjant odzyskał panowanie nad sytuacją. Odszedł. Gaëlle naciągnęła bluzę na ramiona. Było jej zimno. I gorąco. Czuła w ustach smak lekarstw. W innym życiu taki chłopak pewnie by jej się podobał: łagodny, uprzejmy, taki, którego chciałoby się pieścić i rozpieszczać o każdej porze dnia i nocy.

Środki uspokajające pozwoliły jej marzyć bez zawstydzenia. Leczenie antydepresantami musiało trwać co najmniej dziesięć dni, żeby efekty były zauważalne. Do tego czasu miała przyjmować końskie dawki środków

uspokajających.

Od lat nie przestąpiła progu szpitala. O dziwo, nigdy dotąd nie trafiła do Świętej Anny – we Francji umysłowo chorzy są kierowani do placówek zgodnie z adresem zamieszkania, a nie w zależności od objawów. Czuła perwersyjną dumę, że nareszcie znalazła się w tej mekce popaprańców.

Gdzie się podziewał ten Sergent? Nie słyszała już jego kroków, jakby pochłonęła je ciemność. Żeby zabić jakiś czas oczekiwania, zapaliła kolejnego papierosa.

Wciąż jeszcze nie widziała się z lekarzem prowadzącym, ale w ciągu dnia natknęła się na kilkoro pacjentów. Pewna kobieta miała paranoję i podejrzewała, że psychiatra wysyła jej fale niszczące jajniki, stary mężczyzna miał obsesję i święcie wierzył, że jedna ze szpitalnych alejek nosi jego nazwisko, a inny domagał się, żeby zrobiono mu tomografię, bo chciał policzyć fałdy swego mózgu. Rutyna!

Nagle lampy pod sufitem zgasły. Odruchowo zerknęła na nadgarstek. Nie miała zegarka. Na pewno nadeszła pora ciszy nocnej. Jej oczy oswajały się z mrokiem. Żadnych dźwięków, jakby nikogo tu nie było.

Gdzie się podział ten Sergent?

Rzuciła niedopałek i postanowiła iść go poszukać.

Erwan kazał Kripo iść się przebrać. Ten, urażony, odmówił i poradził przełożonemu, żeby sam wybrał się na wieczorek u Lartigues'a. On nie musiał – znajdzie sobie lepsze zajęcia choćby do świtu – billingi albo coś innego (Erwan polecił mu zdobyć dokumentację medyczną Redlicha). Teraz, stojąc w sznurze samochodów wzdłuż torów kolejowych, przed willą Bel-Air, Erwan uświadomił sobie, że naprawdę ocalił zastępcę przed ośmieszeniem: *dress code* wieczoru nie miał nic wspólnego z naśladowaniem markiza.

Nagi mężczyzna był pomalowany na czarno aż po nasadę włosów i nosił maseczkę w stylu Zorro. Inny miał lateksową pelerynę i szeroką, nabijaną ćwiekami obrozę. Jakaś istota – ni to kobieta, ni to mężczyzna – w butach na wysokich koturnach, wystroiła się w różową spódniczkę baletnicy i purpurowe body. Parada trwała, goście znikali pod platanami otaczającymi dom. Cała ta menażeria zdawała się czekać na pociąg w przerażające zaświaty.

Ale najbardziej fascynująca była cisza. Te nocne istoty nie odzywały się do siebie, nie śmiały się. Prawdopodobnie wszyscy tu trzymali się zasad i nie chcieli przeszkadzać sąsiadom.

Przyszła jego kolej.

– Źle cię poinformowano, nie możesz wejść w tym stroju.

W kagańcu i przepasce na lewym oku, cerber był łysym, wydepilowanym grubasem, a miał na sobie tylko rodzaj gorsetu wzmocnionego tytanem albo włóknem węglowym. W ten kubrak, który był zarazem zbroją i frywolną szatką, wsunięto plastikowe rurki.

– Jestem w przebraniu – burknął Erwan.

– Jakim?

– Policjanta.

– Bardzo śmieszne.

Erwan odchylił połę marynarki, odsłaniając broń:

– Odznakę też mam ci pokazać?

Wahanie. Erwan dorzucił:

– Jestem przyjacielem Iva. Możesz go zapytać.

Portiera nie obchodziło, czy to znajomy Lartigues'a, gliniarz czy jakuza. Interesował go wyłącznie kostium. Ostatecznie uznał, że ostrzyżony na jeża gość w garniturze może zostać wpuszczony. Wstęp był darmowy – pan domu z radością witał wszystkich w swoich progach.

Pracownia przeszła głęboką metamorfozę. Rzeźby zniknęły albo zostały zasłonięte ciemnym płótnem. Ich miejsce zajął niesamowity tłum, gromada wyjęta żywcem z *delirium tremens*, podrygująca w rytm stroboskopowych błysków. Głuche dudnienie słyszalne na zewnątrz tu brzmiało jak huk ognia i żelaza, nachalna muzyka płynąca z torturowanych maszyn i narzędzi.

Lateks był dominującym materiałem. Niektórzy zadowalali się jakimś akcesorium, inni ubierali się od stóp do głów w obcisłe kombinezony, które oblepiały ich ciało jak wosk do depilacji. Wdzięcznie kołysali biodrami, uwolniwszy się od płci i od nazwiska, i wtapiali się w muzykę, pozwalając, by ich rozpałała. Pojawili się także wojskowi i naziści, Fidel Castro, Czerwoni Khmerowie. Symbole ludobójstwa, tortur, seryjnych zabójstw tańczyły, drepcząc przed głośnikami, które pluły przenikliwymi i basowymi dźwiękami o takiej mocy, że czuło się drżenie własnej wątroby.

Erwan błyskawicznie zauważył wyznawców medycznego fetyszyzmu, do których należała Anne. Pielęgniarki – nieliczne, bo zbyt pospolite, ustępowały pierwszeństwa kalekom zakutym w żelazne okowy, panu Bétadine – gołemu, pomalowanemu pastą koloru ochry, pannom Garrotom, zesnurowanym kauczukowymi taśmami jak rostbef. Wyraźna mniejszość sado-maso zabawiała się, odgrywając scenki uległości: srodzy panowie w strojach notariuszy, z cygarniczkami w ustach, dziewiętnastowieczni dandysi opiumiści w bonżurkach, chodzący na czworakach, trzymani na smyczy przez dziewczyny ze szpicrutami, często przebrane za zwierzęta: zjeżone suki, lamparcice z długimi ogonami, lśniące pantery.

Torując sobie drogę, Erwan odkrywał nowe style, nowe szaleństwa – mumie w bandażach, żołnierzy, marynarzy wyglądających jak Querelle z Brestu²⁹, winylowe mniszki. Widziało się tam też piersi, języki, twarze z kolczykami, nacięcia na ramionach i udach. Co do tatuaży, to podtekst tego wieczoru wypisano w nich na szyjach, biodrach, ramionach, karkach.

To nie było SM. To nie była orgia. To nie było nawet przyjęcie – alkohol i narkotyki były tu zakazane, o czym informowały liczne tabliczki,

a w bufetach serwowano wyłącznie dania wegetariańskie. Erwan musiał przyznać, że to zebranie istot pozaziemskich, zresztą – o swoistym pięknie.

W drugiej, równie załoczonej sali z sufitu zwisały haki rzeźnicze. Na tych hakach dyndały ciała. Ciała pełnych życia ludzi ułożonych poziomo, spokojnie, z uśmiechem na ustach, unoszących się nad ogólnym chaosem, choć ogromne haki trzymały ich skórę. Na dole trwały tańce, ludzie wrzeszczeli i objali się o siebie w szalonym pląsie. Dźwięk gitar splatał się z wyciem wiertarek i dudnieniem basów. Dominowali tam połykacze ognia, na których zwracały się wszystkie oczy, a tłum witał głośnym *ole!* każdy kolejny gejzer płomieni.

W końcu Erwan znalazł mroczny korytarz, rozświetlony tylko przez ekrany, na których można było oglądać horrory. Młodej kobiecie wyrywano obcęgami zęby, chłopca o urodzie efeba żywcem odzierano ze skóry, w jaskrawym świetle odbywały się operacje chirurgiczne. Trudno było powiedzieć, czy te potworności były tylko kinem, czy może rzeczywistością.

Kolejna sala i zmiana atmosfery. Tu nie grała muzyka, nie migają światła. Wnętrze urządzone zgodnie z zaleceniami architektury japońskiej – drewno, wyłącznie drewno, bez gwoździ i bez cementu. Erwan domyślił się, że Lartigues otworzył przed gośćmi swoje prywatne apartamenty.

Przecisnął się przez tłum i jego oczom ukazało się widowisko. Pulchna naga Japonka zwisała głową w dół, wijąc się i jęcząc niczym uwięziona w kokonie larwa jedwabnika; mistrz z wielką ostrożnością kończył jej wiązanie. Erwan uciekł, czując zbliżającą się erekcję. Ten niesamowity wieczór wprawiał go w stan hipnozy. Spocony, podniecony, był jak naładowany pistolet w rękach dziecka. Łatwo w takiej sytuacji o wypadek...

Z punktu widzenia śledztwa marnował tu czas. Na co liczył? Że wśród tych świrów znajdzie nowego Człowieka Gwoździa?

Kolejny pokój. Powrót do świata dźwięków. Funk z lat siedemdziesiątych. Na ścianach rozświetlone swastyki. Zauważył grupę ludzi w kącie. Olbrzymia kobieta – powyżej dwóch metrów wzrostu – była zawieszona za ręce, a skórzane pasy trzymały jej rozsunięte nogi. Unosząc się metr nad podłogą, dominowała nad ludzkim skupiskiem. Była ubrana od stóp do głów w czarny lateks, tylko jej wydepilowane krocze pozostało odsłonięte. Jej wargi sromowe rozchyłały się jak płatki orchidei. Ulegając zbiorowemu szaleństwu, patrząc na tę kobietę, Erwan myślał o kształtach muszli i o podwójnej helisie DNA. Wpatrzony w rozchylone uda karzeł z nagim

torse, który – jak u gladiatora – przecinały, krzyżując się, skórzane pasy, tańczył, kołysząc ramionami i wywijając krótkimi rękami. Raz po raz obracał głowę, jakby zamiast szyi miał jakiś cudowny mechanizm. Wagina kobiety zdawała się czekać, podana jak na tacy.

Erwan słyszał już o fistingu, ale tego wieczoru zabawa najwyraźniej weszła w inne stadium. Odwrócił się i wspomagając się łokciami, zaczął przebijać się przez tłum, dopóki nie wpadł na rosnącego faceta w karminowym kombinezonie, wspierającego się o balkonik. Czerwony diabeł ściągnął kominiarkę – to był Redlich. Na szyi miał duży krzyż z uśmiechniętym Chrystusem, dla którego cierpienie zdawało się stanowić źródło rozkoszy.

– A co pan tu robi? – zapytał policjant, starając się powściągnąć zaskoczenie.

– To samo co pan: gapię się.

– Należy pan do tej społeczności?

– Nie ma żadnej społeczności. Kiedy się zbieramy, istnieje, kiedy się rozstajemy, już jej nie ma.

Redlich oddalił się od gości, a Erwan szedł za nim. Wtedy zauważył, że cały balkonik jest najeżony żyletkami.

– Jak się panu tu podoba? – zapytał etnograf.

– Całkiem niezły bal kostiumowy.

– Myli się pan. Dziś nikt się nie przebrał. Raczej w tygodniu, kiedy ludzie chodzą do pracy, w krawatach albo z torebkami na ramieniu, zachowują się, jakby był karnawał. Społeczeństwo zmusza nas do przebieranek, tu stajemy się nareszcie sobą.

Miejsce nie sprzyjało filozoficznym dyskusjom.

– A krew?! – wrzasnął Erwan. – Te horrory na ekranach?

– Ciało to tylko stadium przejściowe.

– A ci ludzie zawieszani na hakach, te skrępowane dziewczyny?

– Cierpienie uszlachetnia. Proszę pomyśleć o Chrystusie. Wszyscy jesteśmy mutantami.

– Czy ta maskarada ma coś wspólnego z magią Yombe? – zapytał, wyraźnie znużony.

Odsunąwszy się od kłopotliwego balkonika, Redlich ujął go pod ramię:

– Proszę mi pomóc. Chodźmy tu obok.

Erwan podtrzymywał go, jakby spacerowali po cichym ogrodzie domu starców. W miarę jak się oddalali, funk ustępował miejsca elektronicznym

drgawkom. Redlich oparł rękę na szyi Erwana, który poczuł parzący dotyk lateksu na karku.

Następna sala niewiele różniła się od poprzednich: obracające się reflektory, betonowa posadzka, dźwiękowy blitzkrieg. Tym razem jednak tłum podzielony był na dwie grupy. Gorsety, upręże, kagańce, protezy stały naprzeciw siebie w odległości pięciu metrów. Goście oceniali się wzajemnie, podziwiali, czekając chyba na znak, by ruszyć do tańca w dawnym stylu – menueta, a może kadryla.

Stało się jednak zupełnie co innego: w kłębach dymu łysi mężczyźni w długich skórzanych płaszczach wnieśli na ramionach drewnianą lektykę z czarnymi zasłonami. Salę wypełnił szmer, który narastał, zagłuszając pulsującą muzykę. Grupa Fantomasów, brodatych tancerek, wojskowych z wypomadowanymi wąsami zbliżała się, pragnąc ujrzeć bóstwo kryjące się za gęstą draperią. Erwan obserwował to poruszenie – znalazł się w sercu sekty, wreszcie miał ujrzeć jej guru.

Kiedy zasłony rozchyliły się przy wyciu gości, wszyscy się cofnęli. Na krześle siedziała naga kobieta. Siedziała w pozycji Anne Simoni, gdy znaleziono ją nad Sekwaną: z kolanami podciągniętymi pod brodę, rękami oplatającymi nogi. Całe jej ciało było najeżone gwoździami, odłamkami szkła i ostrzami.

Lektyka kołysała się w tłumie. Kobieta była naturalnej wielkości rzeźbą z żywicy, zwyczajnym manekinem, jak na wystawie. Gwoździe, potłuczone lustro i sznur pochodziły zapewne z najzwyklejszego sklepu z artykułami metalowymi. Było to żalosne i odrażające, ale podziw adeptów sekty był realny. Ręce się unosiły, szepty narastały, wpatrywano się w umęczoną Dziewicę.

Erwan odwrócił się, żeby uciec. Poczł silne uderzenie w prawą nogę. Spojrzał w dół: Ivo Lartigues wpadł na niego na swoim wózku inwalidzkim. Był cały zabandażowany, w przebraniu mumii. Tylko twarz zostawił odsłoniętą, umazaną popiołem. Wyglądał jak zwęglony.

– Szukał pan podejrzanego? – zadrwił. – Daję ich panu trzystu!

Przebiegła całe piętro – Sergenta nie było. Zrezygnowana wróciła do pokoju, żeby tam na niego zaczekać. Nie wyobrażała sobie, by mógł ją zostawić. Przede wszystkim nie złamałby rozkazów, a poza tym ten młody glina chyba polubił jej towarzystwo. W każdym razie miała taką nadzieję.

Znów ruszyła na poszukiwanie. Przeszła cały korytarz tylko dzięki słabemu światłu latarni, wpadającemu tu przez okna. Zatrzymała się w pół kroku. Z któregoś pokoju dobiegł hałas. Nasłuchiwała. Dźwięk przypominał plusk wody wypływającej wolno ze szlauchu. Uchyliły się drzwi, a zza nich chwilami błyskało światło.

Zdecydowała się zaryzykować i szybko zajrzała do środka. Dopiero po kilku sekundach zrozumiała, co właściwie widzi. Ktoś zaciągnął zasłonę wokół łóżka. Leżał na nim mężczyzna. Z jego szyi rytmicznie tryskała krew. U wezłowia łóżka stała nieruchomo jakaś postać w czarnym kombinezonie. Gaëlle z przerażeniem zauważyła, że blaski światła to flesze telefonu komórkowego, który mężczyzna trzymał nad konającym.

Zdołała uporządkować elementy tej sceny. Ofiara to na pewno Jacques Sergent. Fotograf to morderca. Był ubrany jak te bandy pajaców ze spotkań fetyszystów. Gaëlle wyszperała z pamięci nazwę japońskiego kombinezonu: *zentai*.

W tym momencie morderca odwrócił głowę w jej stronę. Bez namysłu rzuciła się do ucieczki.

Po dwustu metrach wpadła na drzwi piętra – oczywiście zamknięte. Serce podeszło jej do gardła, bo spodziewała się, że zabójca jest tuż za nią. Rozejrzała się: ani żywego ducha. A może jej nie zauważył? W tym samym momencie zobaczyła otwarte drzwi. Wsunęła się za nie i znalazła się w pustym pokoju. Dwa łóżka bez materaca. Metalowe szafy. Łazienka.

Weszła do niej i skuliła się w kabinie prysznicowej, za zasłoną z ceraty, ale natychmiast pożałowała tej decyzji, bo i morderca, szukając jej, najpierw przyszedłby właśnie tu. Potrzebowała jednak zamkniętej przestrzeni, żeby przemyśleć sytuację. Co robić? Wołać o pomoc? Wtedy zdradziłaby, gdzie

jest. Obudzić innych pacjentów? Odurzeni lekami, w niczym by jej nie pomogli. Mogła zacząć stukać w rury, kaloryfery – regułą szpitali psychiatrycznych było, że uderzenie metalem w metal wywołuje alarm. Wystarczy, że pielęgniarz dotknie rury kluczami, żeby wszyscy podrywali się na równe nogi. Ale nie miała przy sobie nic metalowego, bo wszystko jej odebrano.

Utknęła w mysiej dziurze, którą sama wybrała. Sekundy zdawały się jej rozpląwać w ciemnościach. Nie mogła powiedzieć, że drży, bo dostała po prostu konwulsji. Ponury chichot losu: jeszcze wczoraj próbowała się zabić, a dziś nie chciała umierać.

Nagle wpadła na pewien pomysł – Jacques Sergent na pewno miał klucz. Musiała wyjść z tej dziury. Wrócić do tamtego pokoju. Przeszukać jego kieszenie.

W najgorszym razie znajdzie telefon i zadzwoni do Erwana.

Odchyliła zasłonę, obawiając się zobaczyć przed sobą mężczyznę w *zentai*. I nóż w jego ręce. Nie. Wyśliznęła się z łazienki i wyjrzała na korytarz. Nikogo.

Może odszedł? Kim był? Wariatem, który uciekł z innego oddziału? Nie, ten strój, łatwość, z jaką dostał się na zamknięty oddział, dowodziły, że nie był więźniem tego szpitala. Przeciwnie – wziął szpital za zakładnika. A szczególnie ją. Była jego celem. Natknął się na Sergenta, więc go zabił. To proste.

Podreptała na miejsce zbrodni, trzymając się ścian, jakby to mogło uczynić ją niewidzialną. Na korytarzu panował bezruch, jakby wykuto go z zimnego kamienia. Z trudem chwyciła oddech. Wydawało jej się, że ciśnienie wzrosło, a w powietrzu brakuje tlenu.

Za plecami usłyszała kroki.

Powstrzymała krzyk i przycupnęła na piętach, mając nadzieję, że wtopi się w mrok. Kroki były coraz bliższe. Gumowe podeszwy na linoleum.

I nagle go zobaczyła.

Był pielęgniarzem. A może tylko nocnym stróżem w białej bluzie, z latarką w ręku. Strach spłynął po niej jak topniejący воск. Poderwała się i pobiegła do niego. Krzyczała, ale z jej ust nie wydobywał się żaden dźwięk. Ciemności nie przywróciły jej sprawności wszystkich zmysłów.

Dzieliło ich dwadzieścia metrów, kiedy za plecami pielęgniarza pojawiła się postać w czarnym kombinezonie.

Ujrzała ramię w lśniącym, czarnym lateksie, dłoń w rękawiczce, ostrze, które wbijało się w szyję. Kolejny obraz to już gejzer krwi tryskający z tętnicy pielęgniarki.

Gaëlle przywarła do ściany. Ofiara osunęła się i uderzyła o podłogę, targana gwałtownymi drgawkami. Morderca patrzył na Gaëlle. Tak przynajmniej jej się wydawało, bo maska na jego twarzy nie miała widocznych otworów. W nagłym przebłysku przypomniała sobie, że tego rodzaju maski wpływają na oddech, to zaś sprawia, że podczas orgazmu odczuwa się wzmożoną rozkosz.

Chciała uciec, ale zamiast coś zrobić, siedziała w osłupieniu, niezdolna kiwnąć palcem. Stalowa obręcz zacisnęła się na jej skroniach, nogi były jak z drewna, robiło jej się ciemno przed oczami.

A on wciąż na nią patrzył. Jego całkowicie czarna twarz przypominała skórzany kikut. Spodziewała się, że do niej doskoczy, on jednak pochylił się i bez pośpiechu ściągnął ze zwłok przemoczoną krwią bluzę. Ubrał się w nią jak w pieczętujący ciało jedwab i wtedy Gaëlle zrozumiała, że podniecał go ten nowy strój. Fetyszizm. Perwersja. Szał wypaczonego, odczłowieczonego umysłu.

Po co właściwie miała się ruszać. Stąd nie było żadnego wyjścia. Ktoś powiedział: „Kiedy wszystkie możliwości zostały wyeliminowane, pozostaje tylko jedno: niemożliwe”. Pomyślała o kluczach w kieszeni pielęgniarki leżącego pod nogami zabójcy.

Bez namysłu skoczyła ku zamaskowanemu mężczyźnie. Zanim zareagował, była już przy zwłokach i obmacywała kieszenie spodni. Kluczy nie było. Morderca uniósł rękę, chcąc zaatakować. Gaëlle uchyliła się od ciosu, rzucając się w bok, a zaraz potem ponowiła próbę. Podzwanianie przy pasku – już czuła metal pod palcami, ale klucze były przypięte.

Ręka tamtego oderwała ją od ziemi. Ociekający krwią nóż spadł na nią. Szarpnęła się do tyłu, przez co napastnik stracił równowagę. Wylądowała na podłodze, na tyłku. Nie zdobyła kluczy, jednak tamten ją puścił. Wyprężyła nogę, kopnęła go w kolano – bez widocznego skutku.

Dłoń w rękawiczce chwyciła ją za włosy. Szarpała się jeszcze, znów go kopnęła i trafiła w krocze – mierzyła w jądra. Tym razem olbrzym się cofnął i to już wystarczyło, żeby się poderwała i uciekła.

Wciąż tkwiła w pułapce, nie udało jej się zagarnąć kluczy. Minęła jadalnię, a raczej zwykły pokój, w którym stoliki zajęły miejsce łóżek. Dopadła do

okna – nie miało klamki.

Była w potrzasku, ale mimo paniki zauważyła pewną szansę: windę do transportu posiłków, z opuszczanymi drzwiczkami. Urządzenie, które z takim upodobaniem wykorzystywano w filmach z gatunku „złapali go i uciekł”, pojawiło się przed nią jak na zawołanie. Podniosła drzwiczki i stwierdziła, że może się wcisnąć do środka.

Kiedy morderca stanął w progu – Gaëlle zdążyła przedtem zrzucić grubą bluzę – już wśliznęła się do skrzynki i wyciągnęła rękę, żeby uruchomić mechanizm.

Ostatnią rzeczą, którą zobaczyła, była czarna dłoń między dwoma zamykającymi się skrzydłami. W zapadającej się w ciemności windzie na myśl nasunęły się jej słowa brzmiące jak idiotyczny żart: „Podano do stołu!”.

Antresola nad pracownią była oddzielona ścianą ze szkła. Prawdopodobnie kiedyś służyła za biuro naczelnika dworca. Teraz przypadła jej funkcja kabiny, gdzie dwie mniszki w habitach i słuchawkach na uszach zgodnie miksowały. Pomieszczenie najprawdopodobniej było wyciszone, bo dzikie hałasy z dołu docierały tu mocno wytłumione. Erwan miał wrażenie, że znalazł się w kokpicie samolotu: bezpieczny patrzył na szkody czynione przez zrzucone z luków bomby.

Po paradzie kobiety z gwoździami Lartigues poprowadził go do windy, żeby udać się w to spokojniejsze miejsce.

– A więc Człowiek Gwóźdź jest waszym przedmiotem kultu? – zapytał Erwan.

– To trochę za mocne słowo, powiedziałbym raczej, że stał się swego rodzaju legendą.

– I nikomu tu nie przeszkadza, że zamordował dziewięć kobiet? Mam na myśli dziewięć prawdziwych kobiet w prawdziwym życiu.

Niepełnosprawny obrócił się na wózku i podjechał do szklanej ściany z widokiem na morze białych głów, lśniących kominiarek, czapeczek wyszywanych złotą nicią. Lektykę ustawiono pod ścianą niczym uświęcony ołtarz.

– Mam wrażenie, że nie rozumie pan idei *no limit*.

– Muszę przyznać, że już od pewnego czasu przestałem się nawet starać to zrozumieć.

Lartigues uniósł głowę i popatrzył na Erwana. Tej nocy król był faraonem o oczach obwiedzionych czarną kreską.

– Proszę podejść i popatrzeć.

Erwan niechętnie zbliżył się do szyby.

– Są tu przedstawiciele wszystkich tendencji – medycznych, wojskowych, sado-maso... Za każdym razem chodzi o pokazanie mocy. W istocie ci ludzie chcą odznać własne dzieciństwo.

– Nie wpadłbym na to.

– Mówię o traumie, która położyła się cieniem na ich młodzińskich latach. Zastrzyk zrobiony przez lekarza, starcie z prawem, symbolizowane przez mundur, dominujący ojciec albo lęk przed kastracją.

Erwan zrozumiał, że teraz wysłucha wykładu z psychoanalizy.

– Świat fetyszystów pragnie rozliczyć się z przeszłością. Jeszcze raz przeżyć pierwotny uraz, ale już w skórze człowieka dorosłego, kontrolującego emocje i pokonującego strach. Za każdym kostiumem kryje się rewanż. Ktoś staje się lekarzem, ktoś przedstawicielem władzy albo zagrożenia. A jeżeli gra pacjenta, więźnia, subretkę, to robi to w pełnej harmonii z sobą. Te spotkania to katharsis.

Erwan zastanawiał się, jaki wybrałby strój, żeby pokonać lęki dzieciństwa. Z przykrością uświadomił sobie, że już go nosi – to mundur policjanta, mundur ojca.

– A lateks?

– Lateks – powtórzył Lartigues, wzdychając z zazdrością. – To wzmacniacz doznań. Wystarczy lada podmuch, żeby zadrzeć z zimna, kilka ruchów, żeby płonąć. Ci tancerze po zdjęciu kombinezonów będą mogli napęnić potem kilka szklanek.

– Odrażające.

– Nie, to rodzaj wyrafinowania. Jest pan zarazem nagi i ukryty. Staje się pan czystym narządem obleczonym w drugą skórę.

– To właśnie powiedziałem: odrażające.

Lartigues pokręcił głową. Jego zabandażowane ciało skojarzyło się Erwanowi z uschniętym drzewem zawiniętym w papier. Sam nie wiedział, czy to go rozśmiesza, czy przeraża.

– Słyszał pan o worarefilii?

Już samo słowo brzmiało obiecująco.

– To fantazjowanie o tym, że jest się zjadanym żywcem – ciągnął artysta – ale bez ugryzień ani ran. Człowiek nagle znajduje się w brzuchu węża. Lateks to właśnie to: powrót do trzewnych ciemności. Nie wspomnę nawet o rozkoszy, jaką daje ucisk.

– Prawie zapomniałem o tym drobiazgu.

– Proszę darować sobie taki sarkazm. Pożądanie zawsze opiera się na przeszkodach, na powściągnięciu. Zauważył pan, jak dużo jest tu pasów, upręży, protez? Ciało musi doznawać przymusu, być poskramiane, żeby pełniej rozkoszować się chwilą.

Erwan spojrział na zegarek – zbliżała się północ. Już dość czasu zmarnował, patrząc na tę błazenadę. Obserwując świrów, którzy podrygiwali, ściśnięci jak kiełbasa albo obwieszani plastikowymi medalami. Znowu marnował cenne godziny.

– Wciąż nie wiem, co to ma wspólnego z Człowiekiem Gwoździem i jego ofiarami.

– Człowiek Gwóźdź, ten prawdziwy, był fetyszystą. Próbował się chronić, lecząc własne urazy.

– Ale nie przebierał się za kabaczka, tylko mordował kobiety.

– W starciu z potworami, które mu zagrażały, doznawał niewyobrażalnych cierpień.

– Próbuje go pan usprawiedliwiać?

– Nie osądzam go. Jeżeli chce pan dopaść mordercę, to radzę wczuć się w jego psyche, odkładając na bok wzgardliwy racjonalizm.

– Dziękuję za radę. – Przed wyjściem wrócił jeszcze do konkretnych ustaleń. – Z informacji, które uzyskaliśmy, wynika, że Anne Simoni oddawała się... szczególnym praktykom. Lubiła inwazyjne zabiegi medyczne. Zna pan osoby o podobnych skłonnościach?

– Już mówiłem: nikogo nie znam.

– A czy jest jakieś forum, gdzie ci adeptci kontaktują się ze sobą?

– Nie. Powtarzam panu, że nigdy nie korzystamy z technik, które można wyśledzić. Żadnych nazwisk, żadnych powiązań.

Przez moment Erwan miał ochotę ściągnąć na miejsce oddział policji i zgarnąć wszystkich, ale szybko odrzucił ten pomysł jako bezsensowny. Zresztą nie miał do tego prawa: nie działało się tu nic sprzecznego z prawem, jeśli nie liczyć zakłócania ciszy nocnej.

Przypomniał sobie, że Anne Simoni zaopatrywała się w specjalistycznym sklepie. Lepiej więc po prostu posłać tam jutro kogoś, żeby przejrzał rejestr klientów, o ile taki istnieje.

– Co pan myśli o Sébastienie Redlichu? – zapytał na zakończenie.

– Redlich to mój przyjaciel. Dzięki niemu lepiej zrozumiałem mechanizmy magii Yombe i mogłem oprzeć moje dzieła na tajemnych energiach.

– Czy znał pan Jeana-Patricka di Greca albo słyszał o nim?

– Di Greco... Biedak. Ten przynajmniej rozwiązał już wszystkie swoje problemy.

Erwan pytał, nie licząc na taką odpowiedź.

– Znał go pan?
– Oczywiście, był jednym z nas, i to od lat.
– Jednym z was? Wydawało mi się, że ta wspólnota nie ma członków.
– Mam na myśli grupę przyjaciół zainteresowanych Człowiekiem Gwoździem i magią Yombe.

– Redlich także należy do tego fanklubu?

– Tak.

– Kto jeszcze?

– Powiedziałbym, że to już wszyscy.

Kolejne kłamstwo, ale może ten wieczór nie był całkowicie bezowocny. Na razie Erwan zapisał w pamięci to diabelskie trio niewątpliwie powiązane z serią zabójstw. Pożegnał się z mumią i poszedł do wyjścia.

Kiedy opuszczał willę Bell-Air, zadzwonił telefon. Na ekranie pojawił się Levantin.

– Nareszcie dostałem się do tej listy – rzucił bez wstępów technik.

– Kto jest krewnym kolejnej ofiary?

– Ty.

– Co ty bredzisz?

Levantin z iście olimpijskim spokojem przedstawiający zwykle każdą sprawę, tym razem mówił szybko, drżącym głosem:

– Nie ma co do tego wątpliwości. Twoje DNA było wielokrotnie pobierane i archiwizowane, żeby eliminować je na miejscach zbrodni. Włosy kobiety wykazały dużą zbieżność chromosomalną. Wydaje mi się, że masz siostrę?

– Oddzwonię do ciebie.

Erwan rozłączył się i natychmiast zadzwonił do Kripo.

– Wyślij najbliższe patrole do szpitala Świętej Anny. Sam też tam jedź z naszymi ludźmi. Ja już jestem w drodze.

– Co się dzieje?

– Pawilon Broca. Gaëlle została tam hospitalizowana. Wyślij kawalerię!

Kripo dotarł na miejsce pierwszy. Audrey i Tonfa dziesięć minut później. Kiedy dojechał tam także Erwan, trójka jego oficerów dowodziła akcją, a mundurowi zabezpieczali teren – całą aleję Maupassanta. Ludzie z kryminalistyki, w maskach i białych kombinezonach, wchodzili do budynku, jakby wkraczali na teren skażony i objęty kwarantanną.

Mimo że w Paryżu lekarzom medycyny sądowej nie wolno przebywać na miejscu zbrodni, Kripo wezwał Riboise’a. Pacjentów i personel ewakuowano do innych bloków, gdzie mieli zostać przesłuchani.

Zostały tylko zwłoki.

Zgodnie ze wstępnymi ustaleniami były dwie ofiary – Jacques Sergent i pielęgniarz, niejaki Philippe Battesti.

Żaden z nich nie przekroczył trzydziestki. Zarznięto ich nożem z ząbkami, jak na tępej stronie noży myśliwskich, albo bronią do walki wręcz. Zabójca w obu przypadkach zadał bardzo celne ciosy, przecinając tętnicę szyjną; skurcze serca wystarczyły, żeby ofiary wykrwawiły się w ciągu kilku sekund. Te ciosy, co zdarza się niezwykle rzadko, natychmiast pozbawiły obu mężczyzn zdolności poruszania się, choć zwykle nawet z raną serca konający przemieszcza się jeszcze kilka metrów.

– To były wykonane perfekcyjnie egzekucje. Morderca miał doskonałą technikę.

Erwan słuchał Riboise’a, stojąc na dziedzińcu, w blasku białych i niebieskich świateł wozów policyjnych.

– Jutro rano raport z sekcji Pernauda trafi na twoje biurko.

– Dziękuję. Zajmiesz się tymi dwoma?

– Nie. Idę spać. Nie zmrużyłem oka przez trzy doby, bo ślęczałem nad twoimi cholernymi gwoździami. Mam wrażenie, że spędziłem te trzy dni, depilując kaktusy. Kiedy skończysz z tym bajzłem?

Riboise zbliżał się do wieku emerytalnego i rozmawiał z Erwanem jak z dzieciakiem. Kiedy oddalał się już z torbą w ręce, Erwan zwrócił się do Kripo:

- Gdzie Gaëlle?
- Umieszczono ją w pawilonie Pinela, sto metrów stąd.
- Gdzie ją znaleźliście?
- W krzakach, tuż obok tego pawilonu.
- Jak się czuje?
- Biorąc pod uwagę to, co przeszła, całkiem nieźle.
- Przesłuchano ją?
- Nie. Czekaliśmy na ciebie.
- Jak udało jej się uciec?
- Jak w filmie – windą do transportu dań.

Kripo powiedział to bez cienia ironii – nigdy nie ośmieliłby się żartować w takiej sytuacji. Erwan rozglądał się na wszystkie strony. Szukał ojca, obawiając się, że zaraz zobaczy go w migających światłach wozów.

- Chcę mieć wszystko. Rozdzielisz zadania?
- Już to zrobiłem.
- Zamknęliście teren?
- Ściągnąłem całą policję z lewobrzeżnego Paryża.
- Kto prowadził oględziny wstępne?
- Oficer z pobliskiego posterunku na bulwarze de l’Hôpital, Rémy Amarson.

- Jest tu gdzieś?
- Zostawił nam sprawę i poszedł do biura napisać raport.
- A prokurator?
- To jakaś kobieta, pełniła właśnie dyżur. Już tu jedzie.

Erwan nie pytał nawet o nazwisko, nic go to nie obchodziło. Dał koledze wymowny znak, powierzając mu jak zwykle zajęcie się papierologią.

– Idę do Gaëlle – oznajmił i odszedł w kierunku pawilonu. W migotliwym świetle kogutów teren szpitala wyglądał jak małe miasteczko, którego mieszkańcy ze strachu zaszyli się w domach. Zauważył dzwonnice, jakiś budynek z ciosanego kamienia wyglądający na merostwo, domy kryte czerwoną dachówką. Widział także przerażone twarze w oknach. Wszyscy chorzy poderwali się ze snu. Pomyślał o dzieciach. Ktoś zaatakował je na ich terenie. Wbrew rozpowszechnionym poglądom chorzy psychicznie są na ogół niezwykle wrażliwi. Na początku listy znajdują się osoby napadnięte na ulicy.

Tej nocy znacznie groźniejszy obłąkaniec sprofanował ich terytorium.

Wilkołak, który przyszedł, żeby zabić jego siostrę – nie było co do tego wątpliwości – pokonał wszystkie przeszkody.

W drzwiach pawilonu wartownicy wskazali Erwanowi drogę. Gaëlle umieszczono na trzecim piętrze. Schody. Cały budynek wypełniał stłumiony gwar. Szaleńcy szeptali. Pielęgniarki stali na straży. Z ich twarzy wycierały strach i konsternacja. Jeden z ich kolegów zginął, padł ofiarą obłądu, o jakim w tym miejscu nikt nie słyszał. To był szok i Święta Anna miała na długo zapamiętać bezsenność.

Na trzecim piętrze kolejny punkt kontrolny. Zaprowadzono go do pokoju. Lamy pod sufitem były włączone, a blade ściany lśniły jak lustro. Napastliwy, obsceniczny strach zawładnął wszystkimi. Erwan nie zdążył jeszcze pomyśleć o Jacques'u Sergencie. Musiał wziąć na siebie odpowiedzialność za to, że postawił młodego policjanta pod drzwiami siostry, nie mając do tego prawa. Mógł oczywiście twierdzić, że Gaëlle wymagała ochrony w związku z wynikami badań włosów i paznokci znalezionych w zwłokach Pernauda, fałszując czas ich otrzymania. Tak czy inaczej ciążyła na nim odpowiedzialność za śmierć dwudziestosiedmioletniego mężczyzny. Wyobrażał sobie jego pogrzeb, rodziców, pośmiertne odznaczenie...

Zapukał do drzwi z numerem 322, nie usłyszał odpowiedzi, więc otworzył i zobaczył młodszą siostrę, która paliła papierosa, siedząc na łóżku bez pościeli. Zauważył, że na nogach ma baleriny podkreślające jej delikatność. Miał ochotę chwycić ją w ramiona i przytulić, ale u Morvanów tak się nie robiło. Skoro po próbie samobójczej i ataku zabójcy nie był w stanie okazać czułości ukochanej siostrze, to co musiałyby się stać, żeby otworzyć serca członków tego przeklętego klanu?

Wciąż sztywny, jakby kij połknął, podszedł bliżej i zapytał tylko: „Wszystko w porządku?”. Takim samym tonem powiedziała „Dokumenty proszę!”.

Gaëlle uniosła głowę: płakała jak dziecko.

– Przytul mnie – szepnęła.

Erwan przyklęknął i delikatnie ją objął – była jak spękana figurka z porcelany, mogłaby się rozpaść, gdyby ją ścisnął. Nie potrafiłby powiedzieć, jak długo tak trwali. Wiedział tylko, że tym razem skóra nie była już pancerzem żadnego z nich dwojga.

Po długiej chwili wstał i podszedł do okna, znów sztywny i oschły.

Powrócił niezłomny glina. Gdyby się na to nie zdobył, mogliby płakać do rana.

– Jak to się stało?

– Nie wiem – odparła, przypalając papierosa od papierosa.

Rzuciła niedopałek i zgmiotła go obcasem. Linoleum było już zasłane petami. I wreszcie zaczęła opowiadać mu tę historię, koszmar na jawie z zabójcą w lateksowym kombinezonie dokonującym rzezi. Erwan nie wierzył w zbieg okoliczności – to wszystko wydarzyło się, kiedy on był na balu wampirów w willi Bel-Air.

Gaëlle dodała głuchym głosem pewien surrealistyczny szczegół:

– Taki kombinezon nazywa się *zentai*. Część osłaniająca głowę łącznie z twarzą nie ma żadnych widocznych otworów. Jest z siatki, która wprawdzie umożliwia widzenie i oddychanie, ale mocno je utrudnia.

Przypomniał sobie przebranych za narządy ludzi, których widział u Lartigues'a. *Worarefilia*. Pomyślał też o zdjęciach na ścianach pracowni. Jedno z nich ukazywało twarz całkowicie zakrytą skórzaną maską. *To wszystko jest ze sobą powiązane*.

– Nosiałś kiedyś coś takiego?

– Nie pleć głupstw. Wystarczy czasem dokąś iść, żeby wiedzieć takie rzeczy.

Zakończyła relację groteskowym epizodem ucieczki windą kuchenną. Erwanowi trudno było się skoncentrować. Wydawało mu się, że wszystko rozgrywa się na odwrót. Gaëlle nie wypuszczała dymu, ale go łykała. Słowa nie wychodziły z jej ust, ale zwijały się głęboko w gardle.

Otarł czoło ręką, aby odpędzić halucynacje. Na koniec Gaëlle roześmiała się pomiędzy dwoma pociągnięciami papierosa. Powietrze w pokoju było ciężkie jak w palarni dworcowej. Erwan nie był przekonany, czy jego siostra zdaje sobie sprawę, jak wielkie miała szczęście. To był istny cud. Drugi w ciągu dwudziestu czterech godzin.

– Kim jest ten facet? – zapytała, poważniejąc w ułamku sekundy.

– Za wcześnie na...

– To mnie chciał dopaść?

Zawahał się, nie wiedząc, czy mówić jej prawdę:

– Myślę, że to ten morderca, o którym mówią wszystkie media.

– Morderca z gwoździemi?

– Tak.

- Ma coś wspólnego z tym, którego tata aresztował w Afryce?
 - To ten sam.
 - Tamten nie umarł?
 - Umarł, ale zabójca, który teraz morduje, robi to dokładnie tak samo. To jakby... reinkarnacja. A ja prowadzę śledztwo.
 - Masz jakiś trop?
 - Same gówna. Ta sprawa wymyka mi się z rąk.
 - Ale dlaczego wybrał mnie?
 - Chce się zemścić na tacie.
 - Z powodu tamtego pierwszego?
 - Coś w tym rodzaju.
 - A co mówi o tym tata?
 - Uważa, że morderca to tylko jeden z elementów szerzej zakrojonej zemsty. Bicz Boży. Znasz ojca.
- Uśmiechnęła się, obserwując żar na końcu papierosa:
- Czyli zapłaci w końcu za swoje grzechy?
- Pocałował ją w policzek – była rozpalona.
- Nie obchodzi mnie, za co zapłaci. Nie chcę tylko, żeby ktoś niewinny, taki jak ty, ponosił konsekwencje jego czynów.
 - Nigdy nie byłam niewinna.
- Znow ją pocałował, jakby odkrył dawno zapomnianą przyjemność, bez której teraz nie potrafił się już obejść.
- Przyjdę jutro rano.
 - Chcę się stąd wydostać.
 - Zobaczymy, co da się zrobić. Tymczasem spróbuj się przespać.
- W korytarzu zadzwonił jego telefon.
- Rozmawiałem właśnie z Amarsonem, oficerem policji śledczej z bulwaru de l'Hôpital – powiedział Kripo. – Zatrzymali podejrzanego typka, być może tego, którego szukamy. Aż trudno uwierzyć w taki przypadek – wpadli na niego na bulwarze Auguste-Blanqui, wracając ze Świętej Anny.
 - Dlaczego uważają, że to morderca?
 - Jest ubrany w lateksowy kombinezon, ma pełno kolczyków i...
 - Za dziesięć sekund będę na dole. Bierzemy twój samochód.

– Pozwolą panowie, że przedstawię wam doktora Hervégo Balagę – zaczął kapitan Amarson.

Przed konfrontacją z podejrzanym Amarson, zwyczajny glina w kamizelce odblaskowej, chciał przyjąć ich w swoim biurze, w towarzystwie dziwnaczego punka koło pięćdziesiątki w kwadratowych okularach i wytartej skórzanej kurtce.

– Biorąc pod uwagę pewne... osobliwe cechy zatrzymanego, sprowadziłem natychmiast specjalistę od body artu.

Erwan i Kripo popatrzyli na siebie: ta noc zapowiadała jeszcze sporo niespodzianek.

– Pracowałem z nim już nad jedną sprawą i miałem okazję przekonać się, jak wielką ma wiedzę w tej dziedzinie – kontynuował oficer. – Widział podejrzanego i...

– Przed panem?

– Nie rozmawiał z nim. To było zwykłe badanie lekarskie. – Zwrócił się do punka. – Pańska kolej, panie doktorze.

Balaga trzymał w ręku kartkę z notatkami. Poprawił okulary i zaczął mówić, przeciągając słowa jak krytyk muzyki rockowej:

– Mężczyzna ma metr osiemdziesiąt siedem wzrostu. Waży ponad sto kilo. Moim zdaniem to szkolny przypadek.

– Z jakiej szkoły?

Balaga uniósł głowę i spiorunował Erwana spojrzeniem, jakby mówił „nie przerywać”.

– *Body art, body hacking*. Transhumanizm. Fetyszyzm i sadomasochizm. Tu zmierza się zarówno do zdobienia ciała, jak i do jego modyfikacji. Doliczyłem się na nim trzydziestu siedmiu piercingów różnej wielkości, w najrozmaitszych kształtach, w tym także gwoździ tworzących pionową kreskę na środku czoła oraz metalowego grzebienia na plecach.

– Chwileczkę – przerwał Erwan. – Czy to znaczy, że widział go pan nago?

– Trafiał do aresztu – odpowiedział Amarson. – Te spostrzeżenia poczyniono podczas rewizji osobistej.

Takie działanie było niezgodne z prawem. Policjant czekał na swojego „eksperta”, żeby przeprowadzić rewizję. Dlaczego?

– Mężczyzna ma też podskórne implanty, które tworzą niezwykle wypukłości na skroniach – ciągnął Balaga. – Policzyłem, że ma też około czterdziestu nacięć i rysunków wypalonych żelazem, techniką *brandingu*. Nosi biało-czerwone szkła kontaktowe i zaostrome zęby z metalowego stopu. Mażowiny uszne ma zdeformowane, bo wstawił w nie tytanowe cylindry. Ale najdziwniejszy jest jego rozszczepiony język. Nazywa się to *tongue splitting*. W świecie body artu to wysoko ceniona ozdoba. Nie zdziwiłbym się, gdyby w podobny sposób naciął sobie prącie, ale podejrzany nie zgodził się rozebrać do naga.

Zatrzymany wyglądał, jakby właśnie wyszedł od Lartigues’a. Czy to naprawdę napastnik ze Świętej Anny? Gaëlle widziała tylko atletycznej budowy faceta w kombinezonie *zentai*.

– A tatuaże?

– Nie, z oczywistego względu.

– To znaczy?

– Jest czarny. Bardzo czarny.

Erwan spojrzał z wyrzutem na Amarsona – nikt nie poinformował go o tak istotnym fakcie.

– Jakiej jest narodowości? – zapytał kapitana.

– Nigeryjczyk.

– Poddaliście go badaniu alkoktekstem? Pobrano mu krew?

– Poprzestaliśmy na alkoteście. Czysty. Nie mogliśmy zrobić nic więcej, bo powołał się na *habeas corpus*.

– Czyli jest w areszcie czy nie?

– Sprawa jest dość skomplikowana.

Policjant położył na stole czerwony paszport z wytłoczonymi złotymi literami napisem „Diplomatic Passport”.

– To attaché kulturalny ambasady Nigerii w Paryżu. Nazywa się Joseph Irisuanga, ma czterdzieści osiem lat, mieszka w alei Raymond-Poincaré w szesnastej dzielnicy. Kawaler, przynajmniej we Francji. Wszystko sprawdziliśmy, niczego nie można mu zarzucić. Prawdę mówiąc, to my złamaliśmy prawo. Jego adwokat pojawi się lada chwila i natychmiast go stąd wyciągnie.

– A uchylenie immunitetu?

– Z jakiego powodu?

– Mamy przecież wiele poszlak, które...

– Nie mamy absolutnie nic i dobrze pan o tym wie. Możemy najwyżej jeszcze raz go przesłuchać, zanim papuga narobi hałasu i wyciągnie klienta z aresztu. Chwyta się pan tej szansy, rozumiem to, bo w końcu chodzi o pańską siostrę. A teraz życzę powodzenia – odkąd tu jest, nie otworzył ust.

Erwan wstał.

– Mam za mało informacji. Dlaczego go zatrzymano?

– Wyglądał na pijanego albo naćpanego. Zataczał się po bulwarze ubrany w kombinezon ze skaju.

– Mówiono mi, że z lateksu.

– Tak, właśnie.

– Próbował się pan dowiedzieć o nim czegoś więcej?

– O tej porze to nie takie łatwe, ale obudziliśmy oficera łącznikowego Nigerii w Paryżu. Był przerażony – ten Irisuanga jest tam ważną personą.

– Naprawdę pracuje w ambasadzie?

– Przede wszystkim jest właścicielem galerii sztuki na ulicy de Seine.

Kolejna zbieżność. Przy odrobinie szczęścia Irisuanga sprzedaje dolnokongijskie *minkondi* Lartigues'owi i Redlichowi.

– Ważne jest też – ciągnął Amarson, znacznie lepiej zorientowany, niż mogłoby się wydawać – że w ojczyźnie jest gwiazdą. To olimpijczyk, lekkoatleta.

– A dokładniej?

– Był chodźnikiem. Nie pamiętam, na jakim dystansie. Podczas igrzysk olimpijskich w Los Angeles w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym czwartym zdobył złoto albo srebro. Miał wtedy dwadzieścia lat.

Atleta, który tak szybko biegał po porcie w Marsylii. Galeria, gdzie być może sprzedawano posążki Mayombe. Fetyszizm i kombinezon *zentai*. I fakt, że kilka minut po ataku na Gaëlle pojawił się tak blisko szpitala Świętej Anny.

Erwan zwrócił się do lekarza punka:

– Zna się pan na zabawach fetyszystów?

– To leży w sferze moich zainteresowań zawodowych.

– Słyszał pan o *no limit*?

– W tym środowisku jest to na topie. Pod takim hasłem zbierają się najwięksi wariaci, żeby...

- Wiedział pan o imprezie, która odbyła się tej nocy?
Lekarz i kapitan zerknęli na siebie.
- Odbywała się u ich guru, Iva Lartigues’a, w okolicy porte de Vincennes.
- W takim razie Irisuanga chyba dopiero tam szedł – włączył się Amarson
- bo kiedy go zatrzymano, kierował się w stronę placu d’Italie.
Erwan nie spuszczał Balagi z oczu.
- Lartigues – zna pan to nazwisko?
- Tak. To rzeźbiarz. A poza tym, jak pan powiedział, „guru”. Jest bardzo znany w kręgach zainteresowanych modyfikacją ciała.
- A Sébastien Redlich?
- Nie słyszałem o nim.
- Czas zaczynać – przerwał Amarson. – Kiedy pojawi się tu jego adwokat, nie będziemy...
- Przesłucham go sam – zdecydował Erwan. – I niech nikt nie wchodzi do tego cholernego pokoju, dopóki nie skończę.

Joseph Irisuanga nie przypominał żadnej istoty żyjącej na planecie Ziemia. Na wysokości skroni miał dwa podskórne rogi, a rząd ćwieków rozdzielał jego twarz od nasady włosów po górną wargę. Brakowało mu brwi. Jego oczy miały czerwone tęczówki. Płatki uszu zostały rozciągnięte przez specjalne cylindry. Wszystko to powinno tworzyć wrażenie sztuczności, odstręczać albo rozśmieszać, a jednak Irisuanga zdawał się w ten sposób ujawniać swoją prawdziwą naturę – mutanta z ciała i żelaza.

Erwan usiadł naprzeciwko niego, starając się nie okazywać zdumienia.

– Czy to *zentai*? – zapytał, chcąc nadać rozmowie swobodny charakter.

Milczenie.

– Nie utrudnia to panu oddychania?

Milczenie.

Erwan zastanawiał się już, czy przesłuchiwany zna francuski. Zdawał sobie jednak sprawę, że w tym wypadku zeznania nie leżą w interesie podejrzanego. Wystarczyło po prostu, żeby poczekał na adwokata, a potem wyszedł wraz z nim, pogwizdując i trzymając ręce w kieszeniach – o ile ten kombinezon je miał.

Irisuanga uniósł kubek z kawą – dowód troskliwości komitetu powitalnego – jakby chciał przepić do Erwana. Pod lateksem widać było zarys szpiczastych paznokci. Nigeryjczyk był niezwykle kandydatem do roli bestii ze Świętej Anny.

– Wiem, kim pan jest – powiedział w końcu.

Wyglądało to na zaproszenie do dialogu.

– Znamy się?

– Ja pana znam. Spotkaliśmy się niedawno na imprezie.

– Więc pan tam był?

– Chyba nie wyglądam, jakbym wracał z opery?

Erwan nie spodziewał się takiej swobody i poczucia humoru po kimś o takiej twarzy. Głos Josepha Irisuangi był miękki i głęboki. Doskonale mówił po francusku, praktycznie bez obcego akcentu, a każda wypowiedziana

przez niego sylaba zdawała się otulona aksamitem.

Erwan już dostrzegwał zarys alibi.

- Tej nocy było tam dużo ludzi w kostiumach.
- A czy pan wie, że to one wyróżniają poszczególne światy?
- Owszem, wyjaśniono mi to. Lartigues i Redlich to moi znajomi.
- Mistrzowie ceremonii...
- Zna ich pan?
- Bracia krwi.
- Tak to nazywacie?
- Nie.

Erwan postanowił wrócić do dawno wypróbowanego tonu gliniarzy.

– Czy Lartigues i Redlich mogą potwierdzić, że między dwudziestą drugą a pierwszą w nocy przebywał pan w willi Bel-Air?

- Nie tylko oni. Potwierdzi to przynajmniej trzydzieści osób.
- W chwili zatrzymania szedł pan w przeciwną stronę. Dokąd?

Nigeryjczyk uśmiechnął się, Erwan już przywykł do wyglądu mutantów.

– Nie wiem, o co właściwie mnie oskarżacie, ale jeżeli jedynym dowodem jest to, w którą szedłem stronę, to nie macie dużych szans.

– Proszę odpowiedzieć.

– Wyszedłem z imprezy o pierwszej – mruknął znużony. – Na bulwarze Soult złapałem taksówkę. Wsiadłem z niej na rogu Glacière.

– Nadal nie wiem, dokąd pan szedł, bo z pana dokumentów wynika, że mieszka pan w szesnastej dzielnicy.

– Będzie się pan musiał zadowolić tą odpowiedzią. Nie zamierzam nikogo wplątać w tę awanturę.

– Do jakiej kompanii należała ta taksówka?

– Nie mam pojęcia. Ustalcie to, w końcu klienci tacy jak ja na ogół nie pozostają niezauważeni.

– Gdzie pan był nocą z piątku siódmego na sobotę ósmego września?

– W Lagos, w Nigerii.

– Kiedy przyjechał pan do Paryża?

– W sobotę o dziewiętnastej.

– Czy ktoś może to poświadczyć?

– Moja rodzina. Kilku ministrów. Proszę skontaktować się z liniami lotniczymi. Wydaje mi się, że niepotrzebnie tracimy czas.

Erwan zignorował tę uwagę.

- Jest pan właścicielem galerii sztuki.
- Ściśle biorąc, udziałowcem i zarządcą.
- Galeria specjalizuje się w sztuce afrykańskiej?

Mężczyzna znów się zaśmiał, obnażając zabójcze kły. Jego czerwone źrenice zwracały się na rozmówcę z precyzją celownika laserowego.

- Bo czarnuch może tylko sprowadzać z kraju tamtejsze statuetki, tak?
- Myślałem...

– Galeria Onyx wystawia prace kilku najbardziej cenionych obecnie malarzy i fotografów. I nie są to Afrykanie.

Body mod wyslizgiwał mu się jak mokre mydło. Mimo wyglądu, mimo powiązań z Lartigues'em i Redlichem, mimo faktu, że zatrzymany znalazł się tak blisko miejsca zbrodni, nie było możliwości postawienia mu zarzutów ani zatrzymania go w areszcie.

- Jaką wyznaje pan religię?
- Należę do Kościoła Zielonoświątkowców w Lagos.
- Nie jest pan animistą?
- Kolejna kalka! Czyżby polował pan na czarownika?
- Proszę o powagę.

Irisuanga tracił cierpliwość:

– W Afryce wszyscy są animistami. Może pan zmienić religię, ale busz pozostanie. A wraz z nim pozostaną duchy.

- Wie pan coś o kulcie Yombe?
- To Kongo, tak?

Niespodziewanie zmienił akcent na afrykański i rzucił, kpiąc:

- Szefie, to naprrrawdę daleko od nas.

Irisuanga był nietykalny i dobrze o tym wiedział.

- Co pan studiował?
- Ukończyłem Oksford.
- Jaki kierunek?
- Literaturę angielską i historię sztuki.
- A nie medycynę?
- Nie.

– I nigdy nie praktykował pan chirurgii? Nigdy nie wypatroszył pan żadnego kumpla fetyszysty?

Erwan wstał, patrząc na tamtego złym wzrokiem. To miała być jego runda honorowa. Na pewno po raz ostatni przesłuchiwał tego człowieka. Irisuanga

spoglądał na niego, przechyliwszy głowę. Był bardzo spokojny. Położył ręce na stole. Dwa podskórne pierścienie tworzyły na nich niepokojące wypukłości, jakby kryły się pod nimi okrężne żyły.

– Mam dość tych bzdur – powiedział znużonym głosem. – Jeżeli chce pan zwalić na mnie morderstwa Człowieka Gwoźdza, to będzie panu trudno.

– Nie wspomniałem ani słowem o żadnym morderstwie ani o Człowieku Gwoździu.

Nigeryjczyk parsknął szczerym, zimnym jak lód śmiechem.

– A zatem w końcu się zdradziłem? Po artykułach w prasie? Po tym widowisku u Lartigues’a? Co pan sobie wyobraża? Że czarni nie mają za grosz rozumu?

Erwan podszedł do drzwi, otworzył je i powiedział:

– Jest pan wolny, panie Irisuanga.

– Zawsze byłem wolny.

W korytarzu czekał zatroskany Amarson.

– Papuga już przyleciał – powiedział półgłosem.

Irisuanga stanął w progu i obrzucił obu policjantów pełnym pogardy spojrzeniem. Erwan odruchowo wsunął rękę do kieszeni, sięgając po telefon. Włączył go, sprawdził połączenia i wiadomości. Levantin. Oddzwonić.

– Okej – powiedział bez żadnych wstępów ekspert. – Siedemdziesiąta druga próbka pobrana od Anne Simoni i wykazała obecność krwi, która nie należy do ofiary.

– Gdzie dokładnie?

– Za lewym uchem, tak jakby to były perfumy. (Gorzko się zaśmiał). To pewnie na szczęście.

– A grupa?

– „0 Rh –”. Mamy szczęście, bo gdyby to było „0 Rh+”, nic by nam to nie dało – tę grupę mieli Anne Simoni i Ludovic Pernaud.

– W tej grupie jest coś szczególnego?

– Występuje stosunkowo rzadko, ale mimo wszystko daje miliony podejrzanych.

– A może jest typowa u ludów afrykańskich?

– Nie, nie sędzę, ale jeszcze to sprawdzę.

W końcu korytarza Irisuanga rozmawiał z adwokatem, również czarnoskórym. Adwokat w niczym nie przypominał typowych papug, wpadających do komisariatu w rozwianej marynarce, żeby wyciągnąć klienta

z tarapatów. Ten wyglądał, jakby przyszedł prosto z „Vogue homme”, chociaż była trzecia nad ranem.

- Czy możesz na podstawie tej próbki określić kariotyp?
- Analizy w toku.
- Kontynuuj badania próbek od Pernauda.
- Kpisz?

W tym momencie mężczyzna o czerwonych źrenicach odwrócił głowę i spojrzał na niego rozbawiony. Obok przeszli mundurowi. Erwan nie był pewien, ale wydawało mu się, że mutant mrugnął do niego.

– Jeszcze jedno. Może to bez znaczenia, ale mamy już w tej sprawie „0 Rh-”.

- Kto to?
- Sam Thierry Pharabot. Sprawdziłem w jego dokumentacji szpitalnej.

Erwan nie chciał ulegać irracjonalnemu strachowi: Człowiek Gwóźdź powrócił ze świata zmarłych.

– Pharabot został skremowany w dwa tysiące dziewiątym, a my mamy jeszcze kilka milionów podejrzanych. Zadzwoń, kiedy będziesz miał coś nowego.

Wyszedł, żeby znaleźć Kripo. Lutnista gawędził z wartownikami, zwijając sobie papierosa.

- I co? – zapytał od niechcienia.
- Zmęczenie pogłębiało jego naturalną nonszalancję.
- Lepiej nie pytaj. Co z tą dokumentacją medyczną Lartigues’a i Redlicha?
- Myślę, że dostaniemy ją jutro rano.
- Potrzebne mi też informacje o Josephie Irisuandze. Podadzą ci tu wszystkie jego dane. I uprzedzam cię, że będzie gorąco – to Nigeryjczyk z иммунитетem dyplomatycznym.

Nowe trudności chyba nie przeraziły Kripo. Wsunął papierosa w zęby i wyjął notes.

- Chcesz wiedzieć, czy ma wszystkie szczepienia?
- Chcę ustalić grupę krwi jego i tamtych dwóch. I chcę wiedzieć o wszystkich zabiegach medycznych, o całym leczeniu, jakiemu poddali się od urodzenia do dziś.

Nie mógł wybić sobie z głowy tej myśli: krew Pharabota naznaczyła zwłoki Anne Simoni. To nie mógł być zwykły zbieg okoliczności. Ale nie sposób było też wytłumaczyć ten cud.

- Irisuanga: myślisz, że to on był w Świętej Annie? – zapytał go zastępca.
 - Sądzę, że musimy wypuścić przynętę dla ducha.
 - Co masz na myśli?
 - Za całą tą sprawą kryje się Pharabot, i to nie tylko jako wzór do naśladowania.
 - Nie rozumiem, co ty pleciesz.
- Erwan parsknął śmiechem.
- Przyznaję, że ja też nie.

Gaëlle funkcjonowała w pełnej autonomii, jak komputery podczas silnej burzy albo w przypadku zwarcia. Nie czerpała ze świata zewnętrznego ani energii, ani wrażeń. Mimo to, trwając w półśnie, usłyszała, jak skrzypnęły drzwi jej pokoju, i zobaczyła, że się otwierają. Nie od razu rozpoznała postać w progu.

Musiała zapalić światło, bo tej twarzy nie spodziewała się tu zobaczyć: stała przed nią Sofia Montefiori we własnej osobie.

– Mogę wejść?

Była czwarta nad ranem – oddano jej już zegarek – a Sofia wyglądała olśniewająco. Wciąż tak samo świeża, miała w sobie witalność wiecznych śniegów. Nie istniały dla niej pory roku, nigdy nie składała broni – zawsze była piękna.

– Oczywiście – powiedziała schrypniętym głosem Gaëlle, przeczesując włosy palcami.

Włoszka przysunęła krzesło i usiadła tuż przy łóżku.

– Przyszłaś z Loikiem?

– Musisz się przyzwyczaić do widywania mnie bez niego.

– Jasne... – szepnęła cicho. – Gliniarze wpuścili cię tu o tej porze?

– Zapominasz, że ja też noszę nazwisko Morvan.

Gaëlle uśmiechnęła się słabo. Chciałaby schronić się za tarczą agresji, ale teraz nie miała już na to siły.

– Wiesz? – zapytała, unosząc się z wysiłkiem.

– Loïc do mnie zadzwonił.

– Pytam, czy... wiesz o wszystkim?

Sofia pokiwała głową, wyjmując paczkę papierosów.

– Chyba można tu palić?

Zapach unoszący się w pokoju mówił sam za siebie. Gaëlle obserwowała bratową przypalającą marlboro. Zawsze zazdrościła jej karnacji, ale dziś twarz Włoszki wyglądała jednak trochę inaczej – Sofia miała podkrążone oczy, a jej skóra świeciła jak kiepski tłuszcz. Gaëlle ze zdumieniem

zauważyła też zmarszczki w kącikach oczu – zwykle nazywa się je kurzymi łapkami, ale to były raczej orle szpony. Czyżby rozwód?

– Zapalisz?

– Nie, dziękuję. Za dużo już wypaliłam. Miło, że wpadłaś mnie odwiedzić.

– Chciałam z tobą o czymś pomówić.

Gaëlle nie miała nic przeciwko temu, wręcz przeciwnie, bo kiedy tylko pozwoliła powiekom opaść, wracał zamaskowany morderca, a kiedy w tym pustym pokoju otwierała oczy, było jeszcze gorzej, bo na beżowych ścianach widziała targane konwulsjami ciała Jacques’a Sergenta i pielęgniarza.

Sofia zaczęła opowiadać jej jakąś absurdalną historyjkę o tym, że ich ojcowie znali się od niepamiętnych czasów i w tajemnicy zaaranżowali małżeństwo córki jednego z synem drugiego, żeby połączyć udziały, jakie mieli w Coltano. Wydawała się tak zafascynowana tym odkryciem, że nie była w stanie nawet przypuścić, jak bardzo błahe były takie sprawy na tle wydarzeń mijającej nocy.

Gaëlle chciało się śmiać. Plany starych wcale jej nie zaskoczyły, za to myśl, że mogłaby zniszczyć także dziedzictwo małżeństwa doskonałego, miało swój smaczek.

– Co o tym myślisz?

Drgnęła: już dawno przestała słuchać. Była zmęczona. Nafaszerowana środkami uspokajającymi.

– To znaczy? – mruknęła tylko.

– Co sądzisz o moim planie stowarzyszenia?

– Jakiego stowarzyszenia?

– Trzeba ich rzucić na kolana. Musimy znaleźć sposób, żeby...

– Daj spokój. Już mnie to nie obchodzi.

– Co ty opowiadasz? Dlaczego?

– Może to ten lot z trzeciego piętra. Albo spotkanie z mordercą. Nie jestem pewna – odparła sennym głosem.

Sofia ujęła ją za rękę.

– Rozumiem cię – powiedziała tonem, w którym pobrzmiwało potępienie.

– Ale nie możemy pozwolić, żeby nami manipulowali, a ci opętańcy robią to, odkąd przyszliśmy na świat, więc...

– I co chcesz zrobić? Zrujnować ich? Nie jesteś na to wystarczająco silna, a poza tym zrujnujesz samą siebie. Wydasz ich? Ale co możesz im tak naprawdę udowodnić? Że zaaranżowali twoje małżeństwo? W świetle

francuskiego prawa nie jest to nawet występki.

Wyraźnie zawiedziona hrabina odsunęła krzesło.

– Nie poznaję cię.

– Ja też siebie nie poznaję, ale nawet mi się to podoba.

Sofia wstała, nie zadając sobie trudu, żeby wygładzić spódnice. Model od Chloé, Gaëlle zwróciła uwagę na ten fatalaszek, przechodząc obok wystawy sklepu w alei Montaigne. W sam raz dla Włoszki, ale nie dla mnie, pomyślała wtedy.

Sofia miała już wyjść, ale zatrzymała się i wróciła. Gniew i rozczarowanie zniknęły bez śladu z jej twarzy.

– Miałam ci powiedzieć o czymś jeszcze...

Nareszcie... Gaëlle od pierwszej chwili czuła, że Sofia nie wpadła tu tylko po to, żeby zapytać ją o zdrowie albo zawiązać spisek przeciwko ojcom.

– Przespałam się z twoim bratem.

– Przecież wciąż jesteście małżeństwem.

– Nie mówię o Loïcu, tylko o Erwanie.

Gaëlle wybuchnęła szczerym, dźwięcznym śmiechem. Wcale się nie zdziwiła: Włoszka i gliniarz zawsze się sobie podobali i pewnie czuli w sobie bratnie dusze, tylko sami o tym nie wiedzieli.

– Uważaj – rzuciła żartem. – On świetnie się maskuje, ale jest jeszcze bardziej stuknięty niż Loïc.

– To jedyne rozwiązanie.

– Na pewno?

– Inaczej nie uda nam się ich przekonać.

– Więc bierz się do roboty.

Była siódma rano. Morvan krążył po półksiężycowatym gabinecie Loïca. Kiedy tylko dowiedział się o ataku na Gaëlle, pojechał do Świętej Anny, ale z nikim się nie zobaczył: mała już zasnęła, a Erwan wyszedł. Odtąd nie miał żadnych wieści ani od jednego, ani od drugiego.

Pełen sprzecznych myśli przybiegł do Loïca i obudził go, żeby uporządkować przynajmniej bałagan w Coltano. Zrezygnował z pierwotnego zamiaru, żeby posłać Gaëlle do łóżka z trzema bankierami i przekonać ich, że wcześniejsze informacje były fałszywe. Mieszanie jej w to było wykluczone, dostała już za swoje.

Pozostawało mu zdać się na fachowców. Zdaniem Loïca jedynym sposobem na osiągnięcie celu było doprowadzenie do spadku cen akcji. Początkowo trzech nabywcy pomyślał, że to zwyczajne wahnięcie, po którym przyjdzie wielka zwyżka, potem jednak uznają, że źródło wprowadziło ich w błąd – nie ma żadnych nowych złóż. A wtedy zechcą jak najszybciej zbyć akcje. Operacja pociągała za sobą pewne dotkliwe konsekwencje – Morvan musiał tanio odsprzedać akcje, żeby sztucznie doprowadzić do obniżenia ich wartości. Innymi słowy, musiał się zrujnować, żeby ratować skórę.

– A jak dowiedzą się o tym czarni? – zaniepokoił się Grégoire.

– Jak zwykle, od doradców finansowych.

– Wpadną w panikę.

– Odkupimy później nasze własne akcje, ale już drożej. Kurs się ustabilizuje.

Morvan uśmiechnął się na myśl o tym finansowym seppuku.

– Kabongo wyrwie mi jaja.

– Uprzedź go, wciągnij w intrygę. A kiedy uspicie czujność pozostałych, będziecie mogli pełną parą eksploatować nowe złoża.

Stary pokiwał głową. Wolał nie wspominać, że to już się dzieje. Wciąż

spacerował z rękami w kieszeniach. Podświadomie bał się tego rodzaju planów. Odkąd zajął się biznesem, nigdy nie zdarzyło się, żeby przewidywania się spełniły. W żadnej dziedzinie. Życie zawsze przerasta ludzką wyobraźnię.

Prawdę mówiąc, ważne było co innego: udawali, że dyskutują jak twardzi ludzie interesu, ale przecież obaj byli jeszcze w szoku. W niespełna dwadzieścia cztery godziny Gaëlle usiłowała odebrać sobie życie i o mało nie zginęła z ręki mordercy. Zabójca pozostawał na wolności i atakował teraz członków rodziny. Ich sklepikarskie kalkulacje niewiele znaczą.

– A Luksemburczycy? – zapytał Loïc. – Też sprzedadzą?

– Zajmę się tym.

Dzwonił już do Montefioriego. Oczywiście, działali ręka w rękę, bez problemu. Przy okazji Morvan zapytał o te cholerne gwoździe przewożone przez Heemecht. Włoch twierdził, że nic o tym nie wie. Całkiem możliwe. W końcu jego kompania transportowała tysiące kontenerów rocznie. Ale policjant nie mógł nigdy wykluczyć przypadku, zwykłego zbiegu okoliczności i to była dodatkowa trudność.

– Kim są ci ludzie? – dopytywał Loïc.

– Powiedziałem ci, że to moja sprawa.

Loïc w końcu machnął ręką. Morvan obserwował go kątem oka. Syn wyglądał dziś bardziej świeżo niż zazwyczaj. Po nieudanej próbie samobójczej Gaëlle popadł w dziwną apatię. Stary obawiał się, że znów sięgnie po heroinę albo wróci do alkoholu. Ale najwyraźniej kokaina zdołała postawić go na nogi. Chyba że rozmawiał już z Sofią i gotował się od powściąganego gniewu na ojca i teścia, którzy ułożyli życie swoim dzieciom.

Tak czy inaczej, rozwiążemy problemy Coltano, a potem zajmę się tobą, kotku. Już postanowił, że jeszcze raz wyśle Loïca do specjalistycznej kliniki na porządny odwyk.

Skoro już mowa o klinikach, to zarezerwował także miejsce dla Gaëlle w instytucie w Chatou, Feuillantines, gdzie leczono bogatych pacjentów cierpiących na depresję. Znał to miejsce, bo sam wielokrotnie tam przebywał. Żeby zapewnić jej ochronę, umieści tam własnych ludzi. Nie policjantów czy ochroniarzy, ale facetów od zamachów stanu i ataków terrorystycznych.

No i jeszcze Erwan. Stary nie zdążył dotąd udzielić mu reprimendy, ale dostanie, na co zasłużył: zabójca coraz bardziej zbliżał się do ich rodziny, a on nie potrafił go ani złapać, ani nawet ustalić, kim jest.

– To znaczy, że mogę na ciebie liczyć? – podjął, zatrzymując się przy biurku.

– Ale ostrzegam – powiedział Loïc, unosząc ręce – ten plan nie daje stuprocentowego zwycięstwa! Nie wyjdziemy z tego bez uszczerbku i możliwe, że nie uda mi się odkupić wszystkich akcji. W dodatku trzeba będzie bardzo spokojnie je kupować, żeby nie doprowadzić do znacznego wzrostu cen. Jeżeli moje przewidywania są trafne, to kiedy będziemy składali raport roczny, cena akcji wróci do normalnego poziomu. I nikt się nie zorientuje.

Morvan pochylił się nad biurkiem.

– Najważniejsze, żeby czarni nie wykryli, że eksploatujemy nowe złoża. Odwróć ich uwagę, niech się skupią na giełdowych machinacjach i zapomną o terenie. I przede wszystkim zadбай, żeby nie przyszło im do głowy, że chcemy ich wykiwać. Jeżeli nawet na tym stracimy, to nie będzie duże zmartwienie – odbijemy to sobie na towarze.

Wypowiadając te zdania, precyzował własne myśli. Prawdę mówiąc, żeglował na wyczucie – między radami tchórzliwego syna, groźbami klanu Kabili i atakami „zabójcy z gwoździami”.

Loïc spojrzał ojcu prosto w oczy. Tęczówki miał tak niebieskie, że trudno było wpatrywać się w nie zbyt długo, jak nie można długo patrzeć w niebo, jeśli nie chce się doznać zawrotu głowy. Morvan znał już odpowiedź: Sofia jeszcze o niczym mu nie powiedziała.

– Nie będziesz żałował?

– Zadzwoń, kiedy już wszystko sprzedasz.

Loïc podniósł słuchawkę:

– Jest niedziela, ale spróbuję trochę podzwonić.

O ósmej trzydzięci Erwan wpadł do „36” i zwołał całą grupę. Spał tylko dwie godziny, wziął prysznic, fundując sobie brutalne i zimne przebudzenie pod silnym strumieniem wody, potem szybko się ubrał. O świcie otrzymał pierwsze dane medyczne podejrzanych. Żaden z nich nie miał grupy „0 Rh-”. Kolejny trop, który prowadził w nieznane. Rano powinna dotrzeć ich pełna dokumentacja medyczna.

Poprosił Amarsona, żeby nie spieszył się przygotowaniem raportu w sprawie Irisuangi – głównie i tak miało wypłynąć z drugiej strony, przez adwokata nigeryjskiego dyplomaty. Co do dwóch morderstw z tej nocy, to spodziewał się, że spadną na niego gromy, jakich jeszcze nigdy nie widział. Fitoussi dzwonił już sześć razy, prokuratura szalała, media zaczynały dzień od sensacyjnych wiadomości, ale miał nadzieję, że nie łączyły tych dwóch ofiar z poprzednimi.

Jednak Erwan uniknął najgorszego – kontaktu z ojcem. Udało mu się nie natknąć na niego w szpitalu, a potem wyłączył telefon. Rozmowa twarzą w twarz na pewno byłaby ostra. Stary niesprawiedliwie obwiniał go o to, że nie zrobił wszystkiego, żeby zapewnić bezpieczeństwo siostrze, a w dodatku żałośnie spała śledztwo.

Siedząc w swoim biurze, Erwan przeglądał protokół z sekcji Ludovica Pernauda i czekał na swoich ludzi. Człowiek Gwóźdź użył dokładnie tej samej techniki, dokonał identycznych okaleczeń, zdradzając te same obsesje. Jediną różnicę stanowiła dbałość przy oskórowaniu ofiary. Według Riboise’a potwierdzało to umiejętności chirurgiczne, bo nieszczęsny Pernaud został odarty ze skóry zgodnie z zasadami sztuki.

Wrócił jeszcze do kwestii gwałtu analnego: czy był to homoseksualizm powiązany z nekrofilia? A może impotencja? Jakiś związek z motywem zemsty? Erwan nie wierzył w trop doznanego dawno gwałtu ani nic w tym rodzaju – a już na pewno nie w molestowanie seksualne, w które wmieszany byłby ojciec. Odłożył raport na półkę z aktami przesłuchań i przeszedł do sali narad. O dziwo, miał jasno sprecyzowane myśli i czuł przenikającą go

gorączkową energię, istne wyładowania elektryczne.

Czekali na niego w komplecie, pogrążeni w żałobie. Sardynka ubrany w ciemny garnitur, Audrey w ciemnej opasce na włosach, Tonfa bardziej niż kiedykolwiek przypominający kata Londynu i Kripo w butelkowitzkiej marynarce ze sztruksu na kamizelce z ciemnej skóry. Wyglądem wyrażali to, co można by ująć w słowach – oni też czuli się odpowiedzialni za śmierć młodego Sergenta. Nikt nie był w stanie przewidzieć napaści, do jakiej doszło tej nocy, złotodziób miał przecież tylko pilnować Gaëlle, na wypadek gdyby jej samobójcze skłonności znów dały o sobie znać, ale oni, wiedząc, że stanowi słabe ogniwo łańcucha, powinni nad nim czuwać, ostrzec go.

Atmosferę zagęszczały dodatkowo dzieła Pharabota zwrócone przez laboratorium kryminalistyki i zalegające teraz w rogu sali, wszystkie w zamkniętych torbach foliowych: groźne, a zarazem prymitywne figurki z papieru.

Erwan postanowił nie nawiązywać do śmierci Sergenta. Najlepszym hołdem dla kolegi było schwytanie mordercy. Wymiana spojrzeń z Kripo zastąpiła więc epitafium. Erwan był to winien zastępcy, który wziął na siebie powiadomienie rodziców.

Starając się mówić zwięźle, Erwan przedstawił swoje podejrzenia. Padły nazwiska Lartigues'a, Redlicha i Irisuangi. Nie mogąc wyjaśnić, jaką rolę odgrywali ci trzej zboczeńcy w jego wizji sprawy, zlecił wykonanie szeregu pogłębionych analiz ich osobowości i życia, i przedstawienie ich do południa.

Od chwili przebudzenia nie dawała mu spokoju pewna myśl, ale na razie była zbyt mętna, żeby o niej mówić: klub zabójców. Ludzie, którzy przystępowaliby kolejno do działania według tego samego schematu, czerpiąc inspirację od wspólnego mistrza, Człowieka Gwoźdźca. Metoda była klasyczna – każdy z nich zdejmował podejrzenia z kompanów, uderzając wtedy, gdy dwaj pozostawali poza podejrzeniem. Nie miał nic na poparcie tego scenariusza, nie miał nic poza pewnym zbiegiem okoliczności – każdemu z podejrzanych brakowało alibi na jedno z morderstw. Lartigues mógłby zabić Anne Simoni, Redlich Ludovica Pernauda, a Irisuanga mógł pojawić się w Świętej Annie. A skoro już przyjąć taką hipotezę, to należało dorzucić di Greca jako zabójcę Wissy, bo Erwan nie wykluczał, że klub debiutował jako kwartet.

Historia nie znała żadnego seryjnego zabójcy, który okazałby się serią zabójców, a punktem odniesienia Erwana była rzecz tak mglista jak stary film

Henriego-Georges'a Clouzota, *Morderca mieszka pod 21*, w którym mordercze trio zapewnia sobie alibi. Pozostawało zresztą wiele zastrzeżeń związanych z wiedzą chirurgiczną i doświadczeniem żeglarskim mordercy, bo ani Lartigues, ani Redlich, ani di Greco czy Irisuanga nie pasowali w pełni do tego profilu, nie wspominając już o fizycznych niedomaganiach dwóch pierwszych i chorobie trzeciego.

Wolał więc milczeć i oddać głos współpracownikom. Ale usłyszał po raz kolejny tę samą śpiewkę. W szpitalu Świętej Anny niczego nie udało się ustalić, nie było ani śladów, ani świadków. Żadnych śladów włamania do pawilonu Broca. Żadnego zapisu z monitoringu, na którym intruz byłby widoczny. To wszystko zaczynało już trącić czarami.

Natomiast Sardynka i Kripo wpadli na coś ciekawego: jeden zajmował się Pernaudem, drugi Redlichem. Porównując wyniki, zauważyli niespodziewany związek między dwoma mężczyznami.

– Pernaud jest zarejestrowany jako właściciel wielu sztuk broni palnej – powiedział Favini. – Był członkiem klubu Galaney w Yvelines, gdzie Redlich przyjeżdżał w każdy weekend, żeby ćwiczyć.

Erwan dokładnie zapamiętał, że ten stary dziwak powitał go ze spluwą w ręce.

– Redlich trenuje strzelanie sportowe na szybkość – potwierdził Kripo. – Prawdopodobnie ma pięć sztuk broni. Według jego kolegów z Krajowego Centrum Badań Naukowych ma fatalną reputację. W młodości uchodził w Afryce za gościa, który łatwo pociąga za spust. Nie ma zresztą prawa wjazdu na terytorium Konga.

– Porównaliśmy dni i godziny ich pobytu w klubie – ciągnął Favini. – Wszystko jest odnotowane w komputerze. Te dwa ptaszki spotykały się tam przez całe lata. Moim zdaniem strzelali razem.

A zatem Redlich mógł zbliżyć się do Pernauda, nie wzbudzając jego podejrzeń (i może właśnie dlatego tak dokładnie przetrząsnął dom ofiary, żeby zatrzeć wszelkie ślady znajomości). Nawiasem mówiąc, był przekonany, że Lartigues znał Anne Simoni, prawdopodobnie nawet miał na nią wpływ jako mentor. Czy dość silny, żeby we wtorkowy wieczór nakłonić ją do wejścia na pokład swojego zodiaca? Pozostawał Irisuanga, przyłapany w pobliżu Świętej Anny, a poza tym wyprawa di Greca na ląd.

Fakty rysowały się z coraz większą precyzją, wciąż jednak pozostawała trudna do pokonania przeszkoda: trzech podejrzani nie byli fizycznie zdolni do

popęnienia takich czynów.

Kripo poruszył właśnie ten temat.

– Otrzymałem już dokumentację medyczną rzeźbiarza i etnografa – ich rachunki z ubezpieczeń. Lartigues nie poddawał się żadnemu leczeniu stwardnienia rozsianego, u Redlicha ani śladu zakażenia. Wydrukowałem listę deklarowanych przez nich kuracji za ostatnich dwadzieścia lat i wygląda na to, że Lartigues właściwie nie chorował, a Redlich leczył stare afrykańskie gorączki. To wszystko. Albo ich choroby to oszustwo, albo korzystają z darów medycyny alternatywnej i nigdy nie chcieli zwrotu kosztów z ubezpieczeń społecznych i dodatkowych, co byłoby bardzo dziwne.

Erwan musiał przyznać mu rację – we Francji żaden chory nie zapomina zapukać do kasy. Chyba że artysta i etnograf leczą się u *ngangi*. Albo po prostu wymyślili sobie choroby. Żeby odsunąć od siebie podejrzenia? Nie chciało mu się w to wierzyć, obaj byli zbyt inteligentni na takie prymitywne posunięcia.

– Draż ten wątek – powiedział do Kripo. – Rób, co chcesz, ale masz się dowiedzieć, czy są naprawdę chorzy i jakie przyjmują leki.

– Urządzić im rewizję?

– Nie, trzeba to rozegrać subtelnie.

Alzacyjny skrzywił się, bo to oznaczało ponowne grzebanie w śmietnikach rzeźbiarza i etnografa, ewentualnie szperanie w ich domach, ale ukradkiem.

– Uważasz, że mamy czas na takie subtelności?

– Nie wydaje mi się, żebyśmy mieli wiele innych zajęć.

– Może założyć im podsłuchy? – zaproponował Favini.

– Zbyt skomplikowane. Zresztą, jeżeli mają coś na sumieniu, nie będą rozmawiali o tym przez telefon.

– Obserwacja? Włamanie do komputerów?

– Ani jedno, ani drugie. Co najwyżej będziemy ich śledzić, ale bardzo dyskretnie. Ci faceci są wyjątkowo ostrożni, a poza tym nieprzeciętnie inteligentni. Kto wziął Irisuange?

Tonfa otworzył tekturową teczkę – świeże wydruki z internetu, prezentacje ostatnich ekspozycji Nigeryjczyka, dowody tego, jak mroczna i groteskowa potrafi być współczesna sztuka.

– Jeżeli chodzi o Onyx, wszystko jest jasne. Z informacji medialnych wynika, że to bardzo modna galeria. Czekam jeszcze na potwierdzenie jego alibi, ale linie lotnicze podały już zgodne z jego zeznaniami dni i godziny

lotów do i z Lagos.

Sardynka podniósł rękę.

– Coś jeszcze: proszę, żebym znalazł protokoły z procesu Thierry’ego Pharabota. Dokumentacja istnieje, ale zniknęła.

– Nie rozumiem.

– Nie ma wytłumaczenia. Archiwiści twierdzą, że często zdarzają się zaginięcia całych segregatorów.

Pomyślał o ojcu. Kiedyś nazywano go Czyścicielem. Czyżby posprzątał coś na własne zlecenie?

– A w Kongu?

– Kontaktowałem się z sądem karnym w Lubumbashi. Zapewnili mnie, że mają kompletne akta i że wyślą je nam „możliwie najszybciej”.

– Wierzysz w to?

– Ani trochę.

– A Belgia?

– Nasz oficer łącznikowy obiecał poszukać, czego trzeba.

– Uważasz, że można na nim polegać?

– Odrobinę bardziej niż na Kongijczykach.

Wybiła dziewiąta, a wszystko, czego Erwan mógł się spodziewać przez resztę dnia, sprowadzało się do wysłuchiwanie pretensji, zbierania ciągów, tłumaczenia się, wypełniania luk, których nie miał czym wypełnić. Miał tylko hipotezy, fantazje i wielką pustkę w kufrze „dowodów”.

– A zwłoki ze Świętej Anny?

– Sekcje trwają, ale...

– Levantin?

– Nie odzywał się.

– Kontynuujemy – powiedział, wstając. – Widzimy się w południe.

Policjanci patrzyli na siebie. Co właściwie mieli kontynuować? Pożegnał ich skinieniem głowy i wrócił do swojego biura.

Źle się czuł. Miał mdłości, był głodny, kręciło mu się w głowie. Ale i tak nic by nie przełknął. Otworzył małą lodówkę, wyjął colę zero i skupił się na lekturze dokumentacji medycznej Lartigues’a i Redlicha. Równie pasjonująca byłaby lektura farmakopei.

Pukanie do drzwi. Levantin wszedł do pokoju niczym pogodny oracz, otoczony aureolą, której blasku mógłby mu pozazdrościć *Anioł Pański* Milleta.

– Słyszałeś, że czasem można porozmawiać przez telefon? – powitał go rozdrażniony Erwan. – Nie musisz za każdym razem fatygować się tu osobiście.

Koordinator rzucił mu na biurko teczkę z wynikami analiz.

– DNA obcej krwi z ciała Anne Simoni to DNA Thierry’ego Pharabota.

Jedno z dwojga: albo Pharabot wciąż żył, albo – i to było bardziej prawdopodobne – przed śmiercią pobrano mu krew i przechowywano ją do dziś. Erwan nie był specjalistą w tej dziedzinie, ale na pewno istniała możliwość zamrożenia hemoglobiny tak, by jej budowa nie uległa zmianie.

Ta myśl sprawiła, że wrócił do hipotezy fanatyka, który zbliżył się do Pharabota, gdy ten przebywał w Instytucie Charcota. Jeden z lekarzy? Pielęgniarka? Lassay, szef instytutu, odrzucił taką możliwość, ale cóż właściwie mógł wiedzieć? A może nawet usiłował ukryć jakiś istotny fakt.

Był też inny prawdopodobny scenariusz – jeden lub kilku wielbicieli Człowieka Gwoźdźcia przekupiło pielęgniarkę z instytutu albo kogoś z zakładu pogrzebowego, żeby pobrał krew mordercy przed kremacją. To mógł być Lartigues albo inny podejrzany. Klub zabójców pragnących zachować pamiątkę po swym mentorze nie byłby niczym dziwnym. A szerzej – klub wielbicieli z willi Bel-Air, mógłby posunąć się w swym kulcie aż do tego. „Bierzcie i pijcie z niego wszyscy, albowiem to jest kielich krwi mojej...”.

Levantin odniósł się do tej hipotezy z rezerwą. Twierdził, że nie zamraża się krwi jako takiej, ale najpierw frakcjonuje się ją na krwinki, plazmę i inne elementy. Nie stało się tak z odkrytymi próbkami. Co więcej, zdaniem analityka, aby przechowywać krwinki, miesza się je z krioprotektorem, którego ślady byłyby wykrywalne. Chyba że usunięto je z krwi, to jednak wymagałoby prawdziwego laboratorium. Dlatego Levantin uważał, że Pharabot wciąż żyje. Erwan w to nie wierzył, a wizja mordercy zdolnego przeprowadzić skomplikowane operacje nie była jego zdaniem nierealna. Wiadomo było już na przykład, że sprawca miał wiedzę medyczną.

Tak czy inaczej, musiał jak najszybciej sprawdzić wszystko tam, gdzie narodził się problem.

– Kripo? – powiedział, trzymając słuchawkę przy uchu. – Mam dla ciebie dobrą wiadomość – wracamy do Bretanii.

– Co? Ale...

– Potrzebuję mojego ulubionego Skryby. Liczę, że uda mi się wydobyć z kogoś odpowiednie zeznania.

– Z kogo?

– Potem ci powiem. Zarezerwuj bilety na najbliższy lot do Brestu.

– Erwan...

– Bez dyskusji!

– Nie zamierzam dyskutować, chcę ci tylko powiedzieć, że przed chwilą dzwonił Michel Clemente, ten lekarz sądowy.

– Dlaczego nie skontaktował się ze mną?

– Twierdzi, że nigdy nie odbierasz telefonu.

– A czego chciał?

– Nie chciał mi powiedzieć.

Erwan zachował jego numer. Połączył się z nim.

– Doktorze? Mówi komendant Morvan z brygady kryminalnej.

Clemente uprzejmie go powitał. Z tonu głosu Erwan wyczuł, że wrócił już do codziennego rytmu i odzyskał godność prowincjonalnego lekarza sądowego. Czasy poćwiartowanych, rozczłonkowanych ciał były daleko.

A może wcale nie tak daleko.

– Chciałem pana poinformować o naprawdę... zadziwiającym szczególe.

– Słucham.

– Zbieram właśnie wszystkie dokumenty dotyczące sprawy z Kaerverec. O ile dobrze zrozumiałem, mamy to wszystko panu przekazać.

– Owszem...

– Przy tej okazji natknąłem się na wyciąg z dokumentacji medycznej Jeana-Patricka di Greco. Dostarczono mi ją, kiedy robiłem sekcję i...

– Nie cierpiał na zespół Marfana?

– Oczywiście, że tak. Skąd to pytanie?

– Drobiazg. Proszę mówić dalej.

– Zauważyłem istotną różnicę między tą dokumentacją a moimi ustaleniami z autopsji. Nie zgadza się grupa krwi. Według dokumentów, które otrzymałem, miał grupę „A Rh⁺”. Z moich analiz wynika, że było to „0 Rh⁻”.

– Czy możliwa jest zmiana grupy krwi?

– Tylko w jednym przypadku.

– Jakim?

– Dość trudno wyjaśnić to przez telefon, więc...

– Wyjaśni mi pan to osobiście. Będę w Cavale blanche około drugiej po południu. Proszę czekać w Instytucie Medycyny Sądowej.

– Nie będzie pan chyba przyjeżdżał tu tylko po to? Może to wcale nie takie ważne, mógłbym...

– Do zobaczenia wkrótce.

Rozłączył się i zauważył, że pot spływa mu z czoła. Przywykł do takich przyspieszeń w śledztwie. Po wielu dniach dreptania w miejscu fakty mnożą się nagle jak komórki nowotworowe.

Spojrzał na zegarek. Już dziesiąta. Nie zdąży wpaść do domu. Sprawdził, co z rzeczy osobistych ma w szafie biurowej. Przybory toaletowe, koszula, ładowarki. Niezbędnik podróżującego gliniarza.

Pukanie do drzwi.

– Proszę.

Audrey wślizgnęła się do biura, wciąż z czarną bandaną na włosach.

– O co chodzi?

– Chciałam powiedzieć ci o czymś, co dotyczy Pernauda. Zidentyfikowaliśmy jeden z numerów.

Erwan odstawił torbę podróżną i podszedł do niej. Kto powiedział, że Pernaud to szpieg? Kto to powiedział...?

– Używał specjalnego telefonu do kontaktów z jednym numerem.

Wsunął ręce do kieszeni. Już wiedział.

– To numer mojego ojca?

Audrey milczała. Jeszcze nigdy nie widział, żeby dała się zbić z tropu.

– Nie, twojej matki.

Samolot z Paryża do Brestu startował o 13.40. Erwan miał tylko chwilę, żeby wpaść do Maggie. O spotkaniu z Fitoussim, który wezwał go do siebie, nie było mowy. Poprzestał na wysłaniu przełożonemu SMS-a z przeprosinami: „Nagła sytuacja”.

Po drodze (prowadził Kripo) w jego rozpalonym mózgu rodziły się coraz bardziej absurdalne pomysły. Najgłupszy z nich: Ludovic Pernaud był kochankiem Maggie, albo inny, też niezły: była współniczką męża i razem z nim załatwiała kontrakty i szykowała tajne operacje w służbie państwu. Mógłby się nieźle uśmieć, ale chyba tylko lewarkiem dałoby się rozewrzeć jego zaciśnięte szczęki.

Trudno mu było stworzyć obiektywny portret matki. Myśląc o niej, zawsze odczuwał irytację, którą starał się powściągać. Oczywiście, kochał ją, ale jakby podświadomie. Kiedy naprawdę o niej myślał, czuł, jak narasta w nim nieznośna mieszanka współczucia i złości.

Dlaczego trwała przy tym stukniętym sadyście?

Przyjmowała swój los z zadziwiającą godnością. To była jej udręka, jej kruczata, znoszona dla dzieci i w imię burżuazyjnych zasad. Ona, która była radosną i wyzwoloną hipiską, ona, która w młodości pluła na wszystkie systemy wartości, dziś szanowała je i stosowała z benedyktyńską cierpliwością i skrupulatnością.

Wiele razy odchodziła od męża. Żądała rozwodu. Przysięgała, że więcej się do niego nie zbliży. Wystarczyło kilka obietnic, żeby zwabić ją do domu. Ich życie przypominało tragedię grecką, której bohaterowie, cokolwiek by uczynili, nie unikną losu, jaki wywróżyła im wyrocznia.

Aleja Messine, niedziela, godzina jedenasta. Spokój luksusowej dzielnicy. Promienie słońca przebijające się przez korony drzew. Przyjazna cisza parku Monceau spływała aż tu niczym rzeka i otulała bramę.

– Zaczekaj tu na mnie – powiedział, wysiadając. – Za chwilę wracam.

Nie chciał wsiadać do windy. Każdy stopień przynosił wspomnienie: matka w szpitalu po tajemniczym wypadku, on, dziewięćcioletek, siedzący

w poczekalni z poświęconym sztukom walki czasopismem, które kupił mu ojciec. Słyszał, jak tłumaczy lekarzowi, że żona spadła ze schodów. Docierały do niego słowa lekarza: mimo licznych złamań rękę da się uratować.

Erwan skupiał się na lekturze, zdziwiony, że nikt nie przedstawia innej wersji, pasującej do uderzeń i krzyków, a potem potwornego wycia matki, którą ten łajdak wypchnął na klatkę schodową. Widział tańczące przed oczyma litery i słowa. Zaciskał palce na kartkach. O ironio, numer specjalny poświęcono gwiazdom filmów kung-fu, jak Bruce Lee, Jackie Chan, Jet Li. Miał ochotę uciec. Albo zabić wszystkich. Ale nawet nie drgnął. Pomyślał wtedy, że jeżeli tym razem nic się nie wydarzy – jeżeli ojciec nie pójdzie do więzienia, jeżeli matka wróci do domu – to walka będzie z góry przegrana.

Po tygodniu Maggie wróciła z ręką w gipsie.

Zadzwoił i mokre od potu ręce wytarł o marynarkę. Matka otworzyła mu po minucie. Nosila fartuszek z materiału pochodzącego z recyklingu – nigdy nie chciała zatrudniać pomocy domowej. Jeszcze jedna podniosła idea, w imię której zrobiła z siebie kurę domową i kuchnię.

– Erwan? – powitała go zdziwiona. – Co się stało?

– Wszystko w porządku. Mogę wejść? Zajmę ci tylko chwilę.

Cofnęła się, wpuszczając go. Po jej twarzy, niczym znużony duch, błąkała się jeszcze dawna uroda. W dali grało radio. Salon wyglądał jak plac manewrowy: pozwijane dywany, odwrócone poduchy, krzesła ustawione jedno na drugim. W ciągu ostatnich dwóch dni jej córka skoczyła z okna, a potem ledwie uszła z życiem przed mordercą, ale najwyraźniej nic nie mogło odmienić mandali prac domowych.

– Dzięki temu odrywam się od tych kłopotów – usprawiedliwiała się. – A ponieważ w tym tygodniu nie robimy obiadu, korzystam i gruntownie sprzątam dom. Napijesz się czegoś?

– Nie, dziękuję. Wpadłem tylko na kilka minut. Muszę zdążyć na samolot. Nie miał czasu na zwyczajowe formułki ani wyjaśnienia.

– Prowadząc śledztwo, natknąłem się na twój numer telefonu.

– Jak to możliwe?

– Jedna z ofiar dzwoniła do ciebie trzy razy w przededniu śmierci.

Wytrzeszczyła oczy. Miał wrażenie, że dostrzega każdą nabrzmiałą krwią żyłkę na szklistobiałych gałkach.

– Kto?

- Ludovic Pernaud.
- Nigdy nie słyszałam tego nazwiska.
- Jak to wyjaśnisz?
- Pracował z twoim ojcem?
- Ty mi to powiedz.

Zestawił jedno z krzeseł i usiadł na środku spustoszonego salonu. Maggie pchnęła nogą odkurzacz i przysiadła na obitej welurem sofie.

- Czasami używa mojej komórki.
- Po co?
- Ludzie z jego pracy dzwonią do niego pod mój numer. Tylko po to, żeby dać mu sygnał, że ma się z nimi skontaktować.

To wyjaśnienie przystawało do danych z billingów, bo żadne z połączeń Pernauda nie trwało dłużej niż kilka sekund. A jednak Erwan czuł, że matka kłamie.

- Czy wiesz, co tata robi na placu Beauvau?
- Już od dawna nie chcę tego wiedzieć.
- Kiedy się... wyłączyłaś?

Pomachała ręką, jakby chciała powiedzieć: „Zapomnij o tym”. Obserwował ją, ale tego ranka nie mógł odnaleźć żadnej z dwóch znanych mu Maggie: ani tej zwiewnej, odcieleśnionej, która chrupała ziarenka z Meksyku, marząc o lepszym świecie, ani spanikowanej istoty, która trzymała się blisko ścian, kiedy tylko usłyszała, że mąż obraca klucz w zamku. I nagle zadał sobie pytanie, czy przypadkiem nie istniała jeszcze trzecia Maggie. Istota zimna jak lód, która swą siłę i sekrety ukrywała pod maską kruchości i delikatności.

- Co między wami zaszło w Lontano?
- Nie mieszaj wszystkiego z tymi starymi historiami.
- Odpowiedz.
- Poznaliśmy się, kiedy prowadził śledztwo.
- W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym? Urodziłem się w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym pierwszym.
- W sześćdziesiątym dziewiątym. To była miłość od pierwszego wejrzenia.
- Miłość od pierwszego wejrzenia? Między tobą a tatą?
- Już o tym mówiliśmy. Nasze... obecne relacje tego nie przekreślą.
- Powiedział mi, że na waszym związku odcisnęła się przemoc.

– Ale nie między nami. Chodziło mu o Człowieka Gwoźdza. Wciąż przybywało ofiar, wpędzało go to w chorobę.

Morvan też próbował się zasłonić takimi bzdurami. Policja nazywała to „uzgodnionymi zeznaniami”.

– A czy prowadząc śledztwo, maczał już palce w lewych interesach?

– Twój ojciec szukał mordercy i dbał, żeby w Lontano panował ład. Nigdy nie mieszał się w inne sprawy.

– Dopóki nie odziedziczył kopalni magnezu.

– To było znacznie później, kiedy sprawa była już rozwiązana.

– Co wiedziałas o jego śledztwach?

– Nic. Nigdy o tym nie mówił. Nikomu nie ufał.

– Nawet tobie?

– Przede wszystkim mnie. Był przekonany, że biali są gotowi ochraniać mordercę, bo jest jednym z nich, kolonialnym wyzyskiwaczem. Wiem, że to brzmi dziwacznie, ale wtedy miał lewicowe poglądy. Pragnął wyzwolenia Afryki.

– I nie zrobił niczego nielegalnego, prowadząc śledztwo?

– W Afryce nie ma rzeczy nielegalnych, a on miał pełnię praw. Liczyło się tylko jedno – schwytać mordercę.

Erwan chciał ją sprowokować.

– Mężczyzna, który do ciebie dzwonił, ofiara mojego mordercy, też był zabójcą.

Nie zareagowała. Zakpił w myślach, mówiąc sobie, że Maggie i Ludovica Pernauda coś jednak łączyło: wspólna pasja do folii spożywczej.

– Kilka dni przed śmiercią najprawdopodobniej zrealizował kontrakt. Sądzę, że działał na rozkaz taty.

Nie wyglądała na zdziwioną. W gruncie rzeczy wiedziała, że jej mąż to morderca. Jej samej po prostu udało się przeżyć.

– Kontrakt dotyczył człowieka, który pracował nad książką o francuskiej Afryce – naciskał.

– I tylko dlatego twój ojciec miałby nakazać jego... eliminację?

– Tamten mógł odkryć jakąś tajemnicę z jego życia.

– Chyba zwariowałeś.

Powiedziała to z autentyczną szczerością, ale przez całą tę rozmowę grała przed nim komedię. Doskonale wiedziała o tajnych działaniach męża. A dziś Erwan zaczął nawet wierzyć, że mogła być w nie zaangażowana.

Było już wpół do dwunastej. Musiał iść. Wstał i ruszył w stronę drzwi.

– Właściwie nie rozumiem, dlaczego zadajesz mi takie pytania – podjęła, idąc za nim.

Nagle się odwrócił.

– Od dziesięciu dni jakiś morderca udaje Człowieka Gwoździa. Mamy już trzy ofiary, a jeśli liczyć te ze Świętej Anny, zginęło w sumie pięć osób. Większość z nich miała coś wspólnego z ojcem. Morderca chce pomścić Thierry’ego Pharabota, rozumiesz? – Ujął ją za ramiona. – Jesteś pewna, że nie masz mi nic do powiedzenia? Może wiesz o czymś, co pozwoliłoby mi ustalić jego tożsamość, zapobiec następnym morderstwom?

– Nie, przysięgam...

Zamilkła niemal w pół słowa. Jej oczy patrzyły nieruchomo w dal, wyprężyła kark. W ułamku sekundy ukryła się pod maską potulnej ofiary, przygotowanej na przyjęcie ciosu. Puścił ją, czując niesmak – zachował się tak samo jak ojciec.

Po wyjściu na klatkę schodową zadzwonił do Audrey i kazał jej za wszelką cenę znaleźć coś, co łączy jego ojca ze sprawą Marota.

– Poza resztą? – zapytała, mając na myśli toczące się śledztwo w sprawie Człowieka Gwoździa.

– Poza całą resztą. Kurwa, zrzuć go z tego stołka!

Wychodząc z budynku, odtworzył w pamięci rozmowę z matką i powiedział sobie, że musi koniecznie zdobyć akta z procesu Pharabota. *To jedyny sposób, żeby dowiedzieć się więcej o tej sprawie.*

Po minucie siedział już w samochodzie.

– Jak ci poszło? – zapytał Kripo.

– Ruszaj. Mam już po dziurki w nosie marnowania czasu.

Nie był przekonany, czy w tym wyścigu z czasem dokonał słusznego wyboru.

Uwzględniając czekanie na lotnisku, wydłużone ze względów bezpieczeństwa, a także sam lot, znów stracił dwie godziny. Jakby tego było mało, zasnął w samolocie. To był sen epileptyka. Lęki, konwulsje, gwałtowne przebudzenie, potem kolejna faza nieświadomości zakończona kryzysem. Nie przeczytał nawet jednego zdania.

Kontakt z płytą lotniska obudził go na dobre. Lało jak z cebra. Za ścianą deszczu ujrzał ulubionych partnerów, jak zwykle w czarnych, nieprzemakalnych pelerynach: Archambaulta, Verny'ego, Le Guena.

Erwan nie powiedział im, po co on i jego zastępca tak nagle tu wrócili. Znów przejechali przez miasto, stłoczeni w samochodzie żandarmerii. Erwan w paru słowach nakreślił sytuację. Kolejne morderstwa. Podejrzenia wobec fetyszystów. DNA Pharabota na zwłokach Simoni.

Cisza, jaka zapadła w aucie, była wymowna. Albo nie zrozumieli, albo zrozumieli i to było jeszcze gorsze.

Cavale blanche. Sześciennie klocki budynków wznoszące się na pylonach. Rozległe trawniki. Rodziny odwiedzające bliskich. Na drugim poziomie sutereny zobaczyli posępne freski na betonowych ścianach.

Clemente przyjął ich w poczekalni, gdzie czerwone rybki i automat do kawy stały na dawnych miejscach. Z niewiadomej przyczyny nie działała górna lampa, więc jedynym światłem było to niebieskie i ruchliwe, sączące się z akwarium.

– Kawy? – zapytał stojący przy automacie lekarz sądowy.

Bez fartucha prezentował się jak uwodzicielski pięćdziesięciolatek o przyprószonych siwizną włosach i elegancji w stylu casual.

– Co to za historia o zmianie grupy krwi? – zapytał Erwan, nie zwracając uwagi na propozycję.

Clemente wskazał im fotele i małą kanapę. Brutalność policjanta nie zwalniała nikogo z przestrzegania dobrych manier. Usiedli, nie zdejmując

kurtek ani peleryn.

– Jest tylko jedno wyjaśnienie: przeszczep szpiku kostnego.

– W ten sposób leczono zespół Marfana?

– Nie. Takie przeszczepy wykonuje się głównie w leczeniu białaczek.

– Czy di Greco chorował na raka krwi?

– W jego dokumentacji nie ma o tym mowy. Nie odnotowano zresztą żadnego przeszczepu. To naprawdę bardzo dziwne.

– A zatem mógł przejść zabieg, który ukrywał?

– Niekoniecznie, być może leczył się za granicą.

– Dlaczego?

– Nie mam pojęcia.

Clemente nie odrywał oczu od automatu z kawą. W końcu nie wytrzymał. Wstał i wrócił z dymiącym kubeczkiem.

– To nie wszystko – podjął. – Tego rodzaju przeszczepy, nawet jeśli są dobrze tolerowane, wymagają ostrej kuracji, przede wszystkim przyjmowania leków immunosupresyjnych. Przeprowadziłem dodatkowe analizy i wykryłem w jego krwi znaczne ilości tych substancji. Di Greco faktycznie przeszedł przeszczep, jak sądzę – nie dawniej niż trzy lata temu.

– Znalazł pan bliznę?

– Takie operacje nie pozostawiają blizn. Wykonuje się je poprzez iniekcje.

– Usiadł i wypił kilka łyków kawy. – Kolejny dziwny element: zgodnie z raportem ze śledztwa w jego kajucie nie znaleziono ani jednego opakowania cyklosporyny – immunosupresora. Z jakichś tajemniczych przyczyn chciał utrzymać leczenie w tajemnicy.

Erwan spojrzał na Verny'ego, który potwierdził to skinieniem głowy.

– Dlaczego tego typu interwencje zmieniają grupę krwi?

– Szpik kostny odpowiada za wytwarzanie krwinek białych, krwinek czerwonych i płytek krwi. Innymi słowy, kiedy wymienia się szpik, krew zaczyna produkować inna maszyna.

– Czy w takiej sytuacji zmienia się też DNA osobnika?

– Oczywiście. Dochodzi przecież do wymiany całego systemu. Ale jest jeden warunek – przeszczep musi się przyjąć.

Erwan myślał o krwi znalezionej za uchem Anne Simoni. Być może nie było to DNA samego Pharabota, ale osoby, której przeszczepiono jego szpik kostny.

Nie tak szybko...

– Jak przeprowadza się przeszczep szpiku kostnego?

– Już mówiłem: wykonuje się go przede wszystkim u pacjentów cierpiących na białaczkę. Szpik chorego wytwarza anemiczną krew. Dlatego niszczy się go, stosując chemioterapię lub radioterapię, a potem zastępuje się innym, najczęściej pobranym od krewnego pacjenta. Zdrowy szpik wytwarza krew o prawidłowym składzie i prawidłowym poziomie krwinek czerwonych.

– Takie przeszczepy wykonuje się zawsze między osobami spokrewnionymi?

– Nie zawsze. Możliwa jest zgodność między osobami niespokrewnionymi. Z pewnością jednak, żeby przeszczep się powiódł, konieczne jest leczenie cyklosporyną. Pacjent musi pozostawać pod ścisłą kontrolą, ponieważ brak przeciwciał naraża go na inne choroby.

Erwan wchodził coraz głębiej w ciemny las, ale daleko, pośród płataniny liści, widać było światło.

– Czy to skomplikowana operacja?

– Technika bardzo się rozwinęła. Kiedyś transplantacje były mechaniczne. Pobierano szpik od dawcy grubą igłą, a potem podawano go bezpośrednio do krwi biorcy.

– A teraz?

– Dokonał się ogromny postęp w hodowli tkanek. Teraz pobiera się komórki macierzyste dawcy i hoduje się je przez odpowiedni czas, aby przemieniły się w szpik kostny.

– Taka operacja wymaga wysokospecjalistycznego sprzętu?

– Specjalistycznych narzędzi, które można zobaczyć w szpitalach.

– Jak dokładnie to przebiega?

– Pobiera się komórki macierzyste z określonych rejonów ciała, potem zamraża się je w temperaturze minus stu osiemdziesięciu stopni, i tak czekają, aż będą potrzebne. Obecnie to bardzo modne. Rysują się fantastyczne możliwości terapeutyczne. Dziś poważnie rozważa się ewentualność przechowywania pępowiny każdego dziecka.

– Dlaczego właśnie pępowiny?

– Bo jest pełna komórek macierzystych. Uznano, że można przechowywać ją w ciekłym azocie, a w razie problemów ze zdrowiem hodować. To rodzaj gwarancji na życie. Atutem tych komórek jest to, że są wieczne. Przechowywane w niskich temperaturach, nigdy nie umierają. To

„nieśmiertelna rodzina”.

Te słowa uświadomiły Erwanowi, że znalazł klucz do rozwiązania zagadki śledztwa.

Scenariusz: czterej mężczyźni darzą chorobliwym uwielbieniem starzejącego się seryjnego zabójcę. Po śmierci mordercy zdobywają jego komórki macierzyste. Znajdują specjalistę, który godzi się je hodować, aby uzyskać szpik kostny, a potem przeszczepiają go sobie. Po co? Po prostu po to, żeby stać się pod względem genetycznym Człowiekiem Gwoździem.

Jeżeli miał rację, to tę czwórkę tworzyli Jean-Patrick di Greco, Ivo Lartigues, Sébastien Redlich, Joseph Irisuanga. Od wczoraj słowo „reinkarnacja” unosiło się w powietrzu. Teraz wydawało się coraz trafniejsze.

Ale Pharabot był *ngangą* obdarzonym nadzwyczajną mocą. Komórki macierzyste nie wystarczały. Trzeba było także składać w ofierze ludzkie fetysze gwoździowe, aby odziedziczyć jego potęgę. Wszyscy po kolei zabijali więc, przestrzegając jego *modus operandi*.

To było istotą paktu.

Wybór ofiar z otoczenia Grégoire’a Morvana, aby ściągnąć na niego podejrzenia i urazić go psychicznie, pozostawał w zgodzie z tą logiką. Przecież za ich pośrednictwem zemsty dokonywał sam Pharabot.

Tylko jeden element nie pasował do tej układanki: przy założeniu, że di Greco zamordował Wissę Sawirisa, żeby zacząć grę, to po co kontaktował się z Morvanem? Czy to była prowokacja? Telefon musiał oznaczać wypowiedzenie wojny. Dlaczego w takim razie admirał popełnił samobójstwo? Może nagle ogarnęły go wyrzuty sumienia albo zdał sobie sprawę, że Erwan nie odpuści? A może przeszczep spowodował dolegliwości bólowe lub inne nieznosne skutki uboczne? Tak czy inaczej słowo „Lontano” było przestrożą dla ojca: Pharabot wrócił.

Erwan zapisał to wszystko w pamięci i wrócił do pytań praktycznych.

- Czy komórki można pobrać od zmarłego?
- Pod warunkiem, że zrobi się to w ciągu kilku godzin od chwili zgonu. Popatrzył na wciśniętych w fotele kompanów. Wszyscy osłupieli.
- Mówił pan o przeszczepach między krewnymi. Czy przeszczep od osoby obcej jest bardziej ryzykowny?
- Na ogół kończy się porażką.
- Jakie są widoczne objawy odrzucenia przeszczepu?
- Nie jestem specjalistą, ale wydaje mi się, że często są to choroby skóry.

– A problemy ze stawami?

– Nigdy o tym nie słyszałem.

– Czy stosując cyklosporynę, można nabawić się choroby kości?

Clemente wykonał niepewny gest. W niebieskim świetle akwarium wyglądał jak aktor na deskach teatru w modernistycznej inscenizacji.

– Musiałbym to sprawdzić. Ma pan na myśli jakąś konkretną jednostkę chorobową?

– Coś, co mogłoby przykuć biorcę do wózka inwalidzkiego albo spowodować, że kuleje.

– Przyjrzę się temu.

Goście wstali przy zgrzycie przesuwanych plastikowych foteli.

– Mam nadzieję, że udało mi się panom pomóc – powiedział lekarz.

– Za mało powiedziane – nie tylko mi pan pomógł, ale rozwiązał pan sprawę. Wskazał mi pan motyw, logikę serii i tożsamość zabójców.

Żandarmi wymienili się spojrzeniami: pociąg odjechał, zostawiając ich na peronie.

– Więc jest ich kilku? – odważył się zapytać Verny.

– Starają się być jednym.

Erwan nie miał już czasu na dyplomację. Zdecydował się na szturm Instytutu Charcota i wyruszył na czele dwóch pojazdów opancerzonych, z których każdy zabrał po dwa plutony żandarmów. Krótko mówiąc – czterdziestu ludzi zebranych w rekordowym jak na niedzielę tempie. O szesnastej jego batalion wyruszył w drogę.

Dowodzenie tymi manewrami pozostawił Le Guenowi i Archambaultowi – trzeba było zatrzymać pensjonariuszy, personel medyczny, strażników i rodziny na terenie do czasu przesłuchania i zamknąć wszystkie wyjścia. Zaletą zakładu psychiatrycznego było to, że i tak już wszyscy byli tu zamknięci.

Erwan zostawił sobie i Kripo podejrzanego numer jeden: Jeana-Louisa Lassaya, naczelnego psychiatrę i dyrektora placówki. Zapewnili sobie eskortę Verny’ego, gwaranta ładu i prawomocnych działań na ziemi bretońskiej. W rzeczywistości nikt nie miał prawa do takiej interwencji, ale mnogość mundurów stanowiła skuteczną przepustkę.

Lassay, i tym razem ubrany jak uczeń angielskiego college’u, sprężystym krokiem wyszedł im na spotkanie, kiedy siły policyjne wkroczyły już na teren.

– Co ma oznaczać to wtargnięcie? – spytał, dumnie unosząc brodę.

Po minucie weszli do sali zebrań, jak trzy dni wcześniej. Erwan pchnął Lassaya, zmuszając go, żeby usiadł, i równocześnie wyciągnął broń. Nie był pewien brzmienia swego głosu, ale zachowywał ostry ton, przykręcając śrubę:

- Ty i ja musimy poważnie porozmawiać.
- A odkąd to jesteśmy na ty? Co to wszystko ma...
- Stul pysk. Opowiadaj o śmierci Pharabota.
- Przecież już wszystko powiedziałem, ja...
- Żądam dokładnej daty, godziny, okoliczności.

Lassay wciąż był pełnym czaru szpakowatym panem, który ich przyjął, ale jakby napromieniowanym. Jego skóra miała barwę pieczeni, twarz wydawała

się opuchnięta. Otarł czoło i wybełkotał:

– Nie rozumiem... To wtargnięcie będzie pana drogo kosztowało, pan...

– Odpowiadaj – powtórzył Erwan.

Czuł się jak błazen z tą spluwą w ręce.

– Thierry Pharabot zmarł nocą dwudziestego trzeciego listopada dwa tysiące dziewiątego – zaczął psychiatra.

– Gdzie akt zgonu?

– W naszym archiwum. Został sporządzony tej samej nocy przez lekarza z Cavale blanche.

– A dlaczego nie przez ciebie?

– Działalem zgodnie z prawem. Śmierć musi stwierdzić lekarz spoza ośrodka. Nazajutrz komisarz z Brestu przyjechał potwierdzić okoliczności śmierci. Przechowujemy tu wszystkie dokumenty, mogę dać panu kserokopie.

Erwan spojrzał pytająco na Verny'ego, bo nie wiedział, czy w Breście jest komisariat. Żandarm potwierdził to skinieniem głowy.

– Wszystko zweryfikujemy – dodał, zwracając się do lekarza.

A zatem Pharabot naprawdę nie żył i nie było ryzyka, że doszło do oszustwa. Czy pobrania materiału dokonano przed jego śmiercią, czy też tuż po?

Erwan obserwował Lassaya: taki mógł przecież prowadzić po kryjomu eksperymenty psychiatryczne, ale sprawa przeszczepu szpiku albo pobrania komórek macierzystych wykraczała poza ramy tego typu doświadczeń. W dodatku czuł, że psychiatra jest głęboko zaszokowany i nie rozumie, co się wokół niego dzieje.

– A potem? Co zrobiliście z ciałem?

– Thierry Pharabot nie miał rodziny, więc... skremowaliśmy go.

– Gdzie?

– W krematorium w Breście. Jego prochy zostały wysypane na cmentarzu w Kaerverec. To wszystko także jest w dokumentacji.

Erwan znów zerknął na Verny'ego, a ten potwierdził. Zza jego pleców Kripo też dał mu dyskretny znak. Teraz Erwan przypomniał sobie, że Alzatczyk już to sprawdzał.

Ale mogło się zdarzyć, że między zgonem mordercy a jego kremacją czegoś nie dopilnowano i że właśnie wtedy doszło do pobrania materiału.

– Bądź precyzyjny – podjął. – Zatem od chwili stwierdzenia zgonu przez

lekarza do czasu wystawienia dokumentu przez komisarza zwłoki pozostawały w instytucie?

- Tak. Ale po co te pytania?
- Gdzie były przechowywane?
- W szpitalnej kostnicy.
- Nie działa się tam nic szczególnego?
- To znaczy?

Erwan wykonał gest, który jasno mówił, że nie zamierza się tłumaczyć.

- Kto odpowiadał za transport zwłok? Szpital czy zakład pogrzebowy?
- Zwłoki przewieziono ambulansem.
- Zna pan nazwiska pielęgniarzy, którzy się tym zajmowali?
- Można to sprawdzić. Ale po co panu takie szczegóły?
- Wiesz, co to jest przeszczep szpiku kostnego?
- Jestem lekarzem.
- Czy macie tu sprzęt potrzebny do wykonania takiej operacji?
- To zakład psychiatryczny!
- Kiedy byłem tu po raz pierwszy, opowiadałeś mi o waszym ośrodku badawczym.

– Skupiamy się na mózgu! To nie ma nic wspólnego z pobieraniem komórek.

– Ale niektóre narzędzia można wykorzystać niezgodnie z ich podstawowym przeznaczeniem, prawda?

– Prawdopodobnie tak, ale... – Lassay zmarszczył brwi. – Co pan insynuuje?

– Przeszczep szpiku może spowodować zmianę grupy krwi biorcy, a nawet jego DNA. Ciało Człowieka Gwoźdźca dawało niektórym fanatykom wymarzoną okazję.

– Okazję do czego? Pharabot spędził dwie trzecie życia w szpitalach psychiatrycznych. Kto chciałby dostać jego komórki? To, co pan mówi, to brednie.

Erwan chodził po sali, grając rolę złego gliny. Verny pilnował drzwi, a Kripo robił notatki.

- Nieśmiertelne rodziny, mówi ci to coś?
- To nowa moda. Zamraża się komórki macierzyste, żeby w razie potrzeby użyć ich do hodowli.
- Czy jest tu chłodnia, w której dałoby się je przechować?

Lassay nie czuł już chyba ani strachu, ani gniewu. Był po prostu skonsternowany tym, co mówił Erwan.

– Jak mam to panu wytłumaczyć, żeby pan zrozumiał? To placówka dla chorych, którzy wymagają ścisłego nadzoru. Co pan sobie wyobraża? Że prowadzimy tu eksperymenty w stylu doktora Frankenstein? Mamy wystarczająco dużo kłopotów z utrzymaniem ich w ryzach. – Wstał i obrzucił Erwana wzgardliwym spojrzeniem. – To wtargnięcie, ci uzbrojeni ludzie... Żałosne. Marnuje pan czas – swój, ale i mój.

– To wszystko, co masz mi do powiedzenia?

– Odpierdol się.

Erwan z całej siły uderzył go w twarz. Lassay musiał się chwycić stołu, żeby utrzymać równowagę. Otrząsnął się, zacisnął pięści i zrobił krok do przodu. Był kilka centymetrów wyższy od Erwana i równie potężny.

Istnieją dwie kategorie ludzi: ci, którzy boją się użycia siły fizycznej, i inni. Psychiatra czy nie psychiatra, Lassay gotów był obić Erwanowi mordę.

Verny przerwał tę grę, sięgając po broń.

– Dość tego. – Wyciągnął rękę, żeby przytrzymać Erwana i zwrócił się do lekarza: – Proszę wybaczyć komendantowi Morvanowi to niedopuszczalne zachowanie.

Tym banalnym zdaniem rozładował napięcie: psychiatra opanował się i powrócił do cywilizowanego świata, w którym obowiązuje kultura osobista. Erwan cofnął się, mrużąc pod nosem.

Nagle otworzyły się drzwi – do sali szedł Le Guen.

– Zniknął jeden z pielęgniarzy – powiedział. – Podobno uciekł, kiedy przyjechaliśmy.

– Jak się nazywa? – zapytał Lassay.

– José Fernandez.

– Plug³⁰? – powtórzył Lassay jak echo. – To jeden z naszych najstarszych pielęgniarzy.

Przezwiseka zawsze wiele mówią o człowieku. To przypomniało Erwanowi o porannym spotkaniu z lekarzem punkiem.

– Dlaczego go tak nazwano?

– Z powodu silikonowych cylindrów, które nosi w płatkach uszu.

– To miłośnik body artu?

Psychiatra roześmiał się cicho, masując policzek:

– Jest cały w tatuażach i piercingach.

Erwan minął Le Guena i wyszedł na korytarz. Verny i Kripo pobiegli za nim. Żandarm wciąż trzymał broń w ręku.

– Proszę to schować – rozkazał Erwan – bo w końcu strzeli pan sobie w stopę.

– Jest nienaładowany – odparł blady jak płótno Verny.

– Trzeba znaleźć tego pielęgniarza. To nasz priorytet.

Plug daleko nie zawędrował.

Zatrzymano go około siedemnastej w Porspoder, niespełna sto kilometrów od instytutu. Prawdopodobnie zamierzał uciec statkiem albo zrobić podobne głupstwo. Po godzinie znalazł się już w centralnych koszarach żandarmerii w miejscowości, której nazwy Erwan nie znał.

Pojechali za nim. Wpadli do nowiutkiego, zimnego i gołego biura, oświetlonego zainstalowanymi pod sufitem lampami (jak zwykle w Bretanii, choć było popołudnie, zrobiło się już ciemno jak w nocy).

José Fernandez był podobny do Josepha Irisuangi, chociaż w mniejszej skali. Całkowicie ogolony, zostawił sobie na głowie tylko czarny czub, który przecinał jego czaszkę jak siekiera. Miał też kilka innych efektownie rozmieszczonych ozdób: rozmaite kolczyki i kółka. Facet o sylwetce rugbisty z drugiej linii dyszał jak bawół, przykuty do rur. Sam przypominał kaloryfer napełniony bulgocącą wodą.

Erwan kazał wszystkim wyjść – chciał zostać sam z pielęgniarzem i Vernym, który sprawdził się jako wsparcie w napiętej sytuacji. Pozbył się nawet Kripo, pozbawiając go „deseru”.

Krążąc po pokoju, zaatakował bezpośrednio, nie odsłaniając się:

– Ty zajmowałeś się przewozem zwłok Pharabota?

– Co?

Erwan nie miał czasu na weryfikację swoich domysłów, więc blefował:

– Ty odwiozłeś je do krematorium w Vern?

– Co z tego?

– Co się stało po drodze?

– Po drodze? Nic. Nie wiem, o co...

Erwan chwycił silikonowy cylinder w lewym płątku ucha i wyrwał go. Pielęgniarz krzyknął, chwytając się za ucho. Policjant rzucił cylinder na podłogę.

– Kiedy pobrałeś komórki?

– Zwariował pan?

Człowiek z czubem jęczał, ale Erwan wyczuwał pobrzmiewającą w tych jękach rozkosz. Pewnie Plug należał do tych, którzy dawali się wieszać na hakach jak tusze wołowe.

– Co robiłeś z ciałem?! – wrzasnął, chwytając go za drugie ucho. – Kto ci kazał pobrać komórki? Gdzie je dostarczyłeś?

Improwizował, ale z oczu Plugę wyczytał, że pociąga za właściwy sznurek.

Wykręcił ucho pielęgniarza trochę mocniej. Fernandez wił się i skowyczał. Przez czerwone plamy, które tańczyły mu przed oczyma, Erwan widział Verny’ego, który znów szykował się do interwencji:

– Do kurwy nędzy, gadaj albo wyrwę ci to świństwo!

Fernandez uśmiechnął się i policjant był już pewien, że zadawanie mu bólu nie jest dobrą metodą. Skinął na Verny’ego, żeby ten dał mu swój pistolet. Żandarm spełnił prośbę, ale cały już drżał. Erwan wziął broń i przycisnął lufę do zdrowego ucha Plugę.

– Wiesz, co to jest afgańska ruletka? To jest rosyjska ruletka, tylko że z bronią automatyczną.

– Co pan wyprawia? Oszalał pan! Ja... nie mam żadnej szansy!

– Chyba że nie wprowadziłem naboju do komory.

I pociągnął zamek, żeby wprowadzić nabój, którego nie było, a potem nacisnął spust. Strumień moczu zalał spodnie pielęgniarza.

Erwan oddał broń skamieniałemu żandarmowi. Pielęgniarz ukrył twarz w skutykach rękach i zaczął szlochać.

– Noc dwudziestego trzeciego listopada dwa tysiące dziewiątego roku – powtórzył gliniarz. – Słucham.

– To było nazajutrz. Ja... przewoziłem ciało z jednym z kolegów do Vern.

– Nazwisko tego kolegi.

– Michel Leroy. Już tu nie pracuje. Przeszedł na emeryturę.

– On też był w to zamieszany?

– Nie. Zgodził się tylko, żebyśmy tego ranka wyjechali trochę wcześniej.

– Po co?

– Ponieważ chciałem zrobić operację w sali krematorium. Zanim pojawią się technicy.

– Co dalej?

– Byliśmy w krematorium o świcie. Ułożyliśmy ciało, a potem poprosiłem Michela, żeby zaczekał w samochodzie.

- Pod jakim pretekstem?
- Żadnym. Leroy nie kazał się prosić, poszedł się zdrzemnąć. Wyjąłem narzędzia, które przywiozłem ze sobą, i pobrałem materiał.
- Z jakiej części ciała?
- Z ud. To najlepszy obszar do pobierania fibroblastów.
- Czego?
- Komórek znajdujących się w skórze. Łatwo się je potem odróżnicowuje.
- Mów jasno.
- Te komórki można przywrócić do stanu embrionalnych. Zamienia się je w komórki macierzyste, a potem tworzy się kulturę, żeby uzyskać takie, jakich potrzebujemy.

Nieśmiertelne. Erwan wyobraził sobie zanurzone w oparach płynnego azotu wieczne nasienie Zła.

- To znaczy, że wiedziałeś, co robisz?
- Wiedziałem, że chodzi o komórki. I to nie były jakie. O komórki Człowieka Gwoździa!

Erwan pomyślał, że może kwartet obiecał podwykonawcy iniekcję na koszt zleceniodawcy.

- Mów dalej.
- Włożyłem fibroblasty do izotermicznego pojemnika i wyszedłem.
- Pracownicy zakładu pogrzebowego nie zauważyli ran?
- Przygotowałem Pharabota. Ubrałem go w najlepszy garnitur. Nie mieli żadnych zastrzeżeń. W ośmiuset stopniach ciało pali się tak samo w garniturze jak gołe.

Erwan ujrzał płomień. Po zamrożeniu komórek przyszedł najpotworniejszy żar w całym jego życiu. Ciało musiało się spopielić w ciągu dwóch godzin, bo taki był przewidziany na to czas, ale morderca nie umarł – przeżyły jego komórki.

- A potem?
 - To już wszystko.
- Erwan walnął go w kark. Fernandez upadł na kolana.
- Dokąd dostarczyłeś te komórki?
 - Do Szwajcarii. Wziąłem dzień wolnego. Miałem dokładne instrukcje. Przejść przez granicę w Vallorcine i udać się do kliniki pod Verbier.
 - Kto dał ci te instrukcje?
 - Choćby mi pan roztrzaskał głowę, nie podam żadnego nazwiska.

Erwan znał te nazwiska.

– Powiedz, gdzie jest ta klinika.

– Zapomniałem.

Jednym szarpnięciem rozerwał mu drugie ucho.

– Jaka to klinika?! – wrzeszczał, żeby zagłuszyć jęki przesłuchiwanego. – Jeżeli nie powiesz, to przysięgam, że powyrywam ci jeden po drugim te wszystkie kółka i kolczyki. A klinikę i tak znajdę. Gadaj. Ja zyskam na czasie, a ty ocalisz swoją błazeńską gębę.

Pielęgniarz szlochał przy wtórze podzwaniających kajdanek. Verny nie mógł już na to patrzeć.

Erwan chwycił Fernandezę za ramię i posadził go na krześle.

– Nazwiska, do kurwy nędzy!

– Klinika w La Vallée... Centrum leczenia nowotworów.

Erwan wyszedł z cuchnącej moczem i krwią sali. Drepczący za nim Verny chciał coś powiedzieć, ale głos drżał mu tak mocno, że słowa brzmiały jak gdakanie kury.

– Zamknijcie go na dłużej – rozkazał Erwan, skręcając do toalety.

Odkręcił zimną wodę, urwał kilka papierowych ręczników i zaczął usuwać ślady krwi z krawatu.

– Pańskie metody są naprawdę... – bełkotał żandarm.

– Niech pan o tym wszystkim zapomni – powiedział Erwan, zakręcając kran. – Proszę spisać jego zeznania i powiadomić prokuraturę w Rennes. I niech pan wyśle wszystko do Paryża. Jutro Bretania znów będzie oazą spokoju.

– A pan?

– Jadę do Szwajcarii.

Siedząc w sypialni, Morvan sprawdzał na ekranie operacje przeprowadzone przez Loïca. Potencjalnie prawie połowa jego udziałów znalazła już nabywców. Wolał jednak nie patrzeć na ceny, zresztą nigdy nie wiedział, ile dokładnie akcje są warte. Jedno było pewne – jego pieniądze płynęły jak krew na polu bitwy. Coltano. Ziemia. Minerale.

Ale przede wszystkim gdzieś w tle widział wciąż różne epizody z chaotycznego życia córki. To odrażające łajdactwo. Niezdarne próby pogrążenia go. Upadek przez konary jesiennych drzew. I napad w Świętej Annie.

Jak do tego wszystkiego doszło?

Był gotów pozbyć się reszty majątku, żeby naprawić błąd – w całym tym pogrążaniu się w życie przestępcy liczyło się tylko jedno: ojcowska odpowiedzialność. Nikt go nigdy nie rozumiał, a on był z tego na swój sposób dumny. Jego misja musiała pozostać tajna, niewidzialna, musiał być wszechwładny.

Znał tylko jednego człowieka, który był do niego podobny – brutalnego, nieustannie ryzykującego własny byt, ale zawsze i niezmiennie w jednym celu – dla szczęścia córek. Był nim Kondotier. Francuz zadzwonił do niego, żeby wyjaśnić mu sytuację. Kondotier nie wahał się nawet przez chwilę. Montefiori prawdopodobnie też sprzedawał akcje za pośrednictwem Heemechtu. Dwóch starych łajdaków wspierało się u schyłku życia.

Nagle otworzyły się drzwi i do pokoju wpadła nastroszona Maggie.

– Musimy porozmawiać.

Wszyscy myśleli, że Maggie żyje w strachu. Oni oboje wiedzieli, że to nieprawda. W strachu przed razami, owszem. Ale prawdziwe zagrożenie było zupełnie gdzie indziej.

– Bo pewnie uważasz, że mam za mało kłopotów? – warknął Morvan.

– Trafiłeś w sedno. To wszystko trwa już za długo.

Spokojnie zamknęła drzwi. Miała na sobie jeden z tych swoich żalonych strojów: tunikę marengo, powypychane dzinsy i całą masę breloczków.

- Erwan wciąż wypytuje o Lontano. W końcu się dowie.
- Tego chce morderca.
- Pytał mnie też o Pernauda.
- Z powodu telefonów?
- A jak myślisz? Mówiłam ci, że tym razem posunąłeś się za daleko.
- Gdybym tego nie zrobił, o naszej przeszłości pisaliby na pierwszych stronach wszystkich tygodników.

Maggie westchnęła. Nie czuła odrobiny współczucia dla zmarłych, nie bała się mordercy, który zagrażał ich rodzinie, ani afrykańskich generałów, którzy chcieli ich wykończyć. Drżała jednak na myśl, że ktoś mógłby odkryć prawdę o nich dwojgu.

- Kim jest ten morderca? – zapytała.
- Nie mam pojęcia.
- Dlaczego naśladuje Człowieka Gwoźdźca?
- Składa mu hołd, a poza tym chce go pomścić.
- Na kim się mści?
- Na mnie. Na tobie.

Przeszła przez pokój, podzwaniając brelokami.

- Erwan dopadnie mordercę, zanim zrobi się bajzel – powiedział.
- Gdzie on jest?
- Nie wiem. Wymknął mi się.

Na jej twarzy pojawił się twardy uśmiech. Jej wąskie usta wyglądały jak struna naprężona w rękach dusiciela.

- Zmieniłeś się.

Jakby chciał uciec od tematu, wskazał ekran komputera:

– Nasze dziedzictwo mocno na tym ucierpi. Możesz podziękować córeczce.

- Pieniądze mnie nie obchodzą.
- Bo zawsze je miałaś.
- Zawarliśmy pakt z diabłem – szepnęła. – Teraz chodzi o naszą duszę, a nie o forszę.

Teraz to on się uśmiechnął:

– To to samo. Nasza dusza to nasze dzieci, a ja chcę, żeby miały jakieś perspektywy na przyszłość.

- Wszystko zaplanowałaś, co?
- Rozumiesz po francusku czy nie? Powtarzam ci, że nasza kasa...

– Poradzisz sobie. Jak zawsze. Są nowe kopalnie. – I łagodnym głosem zacytowała Baudelaire’a: – „Lepiłem z błota i zrobiłem z niego złoto...”.

Ona też wydawała mu się coraz słabsza i bardziej krucha.

– Mamy również problem z Sofią – powiedział, żeby sprowadzić ją na ziemię. – Odkryła, że zaaranżowaliśmy ich małżeństwo. Chce się dostać do skóry i mnie, i Giovanniemu.

– Uspokoi się. To rozsądna kobieta.

Z niepojętego powodu Maggie zawsze stawała po stronie Włoszki.

– Jeszcze się nie uspokoiła, a ja wiem, że jest dość przebiegła, żeby...

– Przede wszystkim załatw problem z Erwanem. – Podeszła do drzwi i znów na niego natarła. – Jeśli tego nie zrobisz, sama z nim porozmawiam.

– Przynękałam mi...

Położyła rękę na sercu i obrzuciła go drwiącym spojrzeniem.

– Pamiętasz obietnice, jakie sobie składaliśmy, kochanie?

Zamierzał odpowiedzieć, kiedy usłyszał dźwięk teleksu ze sztabu dowodzenia. Odruchowo zerknął na tekst i zapamiętał godzinę emisji: dziewiętnasta dziesiąta. Oderwał kartkę i uważnie przeczytał.

– Co to? – zapytała Maggie, podchodząc do niego.

– Być może rozwiązanie naszych problemów.

Policjanci wrócili do Paryża późnym po południem. Podczas lotu Erwan starał się o niczym nie myśleć. Tym razem nie spał. Siedział wpatrzony w okno, jakby to mogło przyspieszyć lądowanie w Szwajcarii.

Około ósmej wieczorem udało mu się wsiąść na pokład samolotu do Genewy. Kripo pojechał do „36”, mając za zadanie zatrzymać trzech podejrzanych, zadbać, aby pobrano im krew i materiał do badań genetycznych. O dwudziestej drugiej Erwan był już w Genewie. Od razu zadzwonił do Alzacyjnyka, żeby się upewnić, że trzy ptaszki siedzą już w klatce. Okazało się jednak, że panowie się ulotnili.

Fernandez na pewno zdążył ich uprzedzić, zanim został aresztowany. Uczniowie Pharabota zrozumieli, że ich tajemnica wyszła na jaw. Wpadli w panikę i uciekli.

Głos Kripo wolno docierał do jego ucha.

– Według świadków przesłuchanych w sąsiedztwie przez Audrey, kalectwo Lartigues’a i Redlicha to sprawa całkiem nowa, kwestia najwyżej roku. Wcześniej obaj skakali jak kozy.

Chronologia. W listopadzie 2009 zmarł Thierry Pharabot. José Fernandez pobrał komórki i zawiózł je do kliniki w La Vallée. Tak zaczął się proces „leczenia” czterech fanatyków. Destrukcja ich szpiku kostnego. Odróżnicowanie komórek Pharabota, hodowla, a potem transformacja. To wszystko musiało zająć co najmniej rok. Iniekcje zaczęły się więc w roku 2011. Nie wszyscy z tych czterech panów dobrze znieśli przeszczep. Cyklosporyna obniżyła ich odporność. Jakaś infekcja wirusowa (lub coś w tym rodzaju) doprowadziła do choroby stawów Lartigues’a i Redlicha. Di Greco ucierpiał jeszcze bardziej. Tylko Irisuanga pozostawał w doskonałej kondycji fizycznej.

W końcu nadszedł czas mordowania.

Di Greco zabił Wissę Sawirisa, ale okoliczności tego czynu trzeba było dopiero wyjaśnić. Lartigues torturował i okaleczał Anne Simoni, postępując jak fetyszysta. Redlich wybrał Pernauda, którego znał z klubu strzeleckiego.

Irisuanga usiłował zabić Gaëlle. Te morderstwa tworzyły koncentryczne kręgi, coraz bardziej zbliżając się do faktycznego celu – Grégoire’a Morvana, człowieka, który schwytał ich mistrza i doprowadził do skazania go na dożywocie.

– W tej chwili – powiedział Kripo – są już na pewno w drodze do Brazylii albo w inne tego rodzaju miejsce.

– Nie. Są gdzieś we Francji albo w Szwajcarii. Któryś na pewno ma jakiś domek. Ustal to.

– Niezbyt sprytny sposób obrony.

– Ich system obrony to arsenał Redlicha.

Zapadła cisza. Kripo zrozumiał, co chodziło po głowie Erwana. Ufortyfikowany obóz, podobny do terenów zajmowanych przez sekty. A potem zbiorowe samobójstwo albo zbrojne starcie. Osiemnastego listopada 1978 roku w Gujanie pastor Jim Jones, znalazłszy się w potrzasku, rozkazał wyznawcom – niemal tysiącowi ludzi – zażyć cyjanek. W roku 1993 David Koresh i jego wierni przez niemal dwa miesiące odpierali szturm FBI. Zginęło prawie sto osób. W latach 1994–1997 Zakon Świątyni Słońca zabił albo zorganizował samobójstwa ponad siedemdziesięciu osób, gdy sekta była zagrożona.

Erwan domyślał się, że ci ludzie nie dadzą się aresztować. Duch Mistrza nie pozwalał im skapitulować. A poza tym teraz, kiedy posiadli moce Pharabota i umocnili się, składając ofiary, prawdopodobnie wierzyli, że są niezniszczalni.

– Znajdź ich i zadzwoń.

Poszedł do agencji wynajmu samochodów. Było ciemno. I zimno. Schronił się w wozie wyposażonym we wszystko, co dotąd wymyślono, i spojrzął na tablicę rozdzielczą migającą jak te ze statków powietrznych. Starter. Światła. GPS.

Z łatwością odnalazł adres kliniki w La Vallée, usytuowanej w pobliżu stacji narciarskiej w Verbier. Kripo przyjrzał się już temu ośrodkowi i przesłał SMS-a: „Nic podejrzanego”. Klinika była renomowanym ośrodkiem, zajmującym się przeszczepami szpiku kostnego, a zarazem hospicjum zapewniającym leczenie paliatywne na najwyższym poziomie. Ten adres przekazywano sobie w wyższych sferach jako dyskretną oazę, gdzie dokonywano cudów – o kilka komórek od wieczności.

Droga wiła się po ostrych wzniesieniach porośniętych sosnami, przecinała

czarne równiny. Od czasu do czasu, wtulona w dolinę, pojawiała się jakaś wioska – zupełnie płaska – lśniąca witrynami oświetlonymi jak na Boże Narodzenie. Latarnie przypominały kule z zimnego wosku o zamarłym w miejscu białym blasku.

Co czekało go u celu podróży? Około północy dotrze do uśpionej kliniki. Nie miał prawa tu działać, nie miał nawet dowodów, które uzasadniałyby jego podejrzenia. Nie zdecydował się na nawiązanie kontaktu ze szwajcarską policją i brakowało mu cierpliwości, żeby zaczekać do jutra i przyjść w ciągu dnia, kiedy lekarze będą w gabinetach, a pacjenci w poczekalni.

GPS przywołał go do rzeczywistości – nie wiedział, gdzie jest, ale zostało mu już tylko kilka kilometrów do pokonania. Klinika w La Vallée, jak wskazywała nazwa, znajdowała się w porośniętej świerkami dolinie. Gdyby teraz GPS padł, Erwan musiałby czekać do wschodu słońca, żeby odnaleźć drogę.

Budynki wyłaniały się z plamy światła: niskie, z tarasami na dachach, ścianami z drewna wyglądającymi jak deski ułożone jedna na drugiej. Z jakiegoś powodu wiele sal było oświetlonych. Dygotały w czarnej otchłani doliny. Wjeżdżając na parking, Erwan pomyślał o balu, z którego wszyscy wybiegli po ogłoszeniu alarmu – choć paliły się światła, nic nie zdradzało obecności ludzi. Podchodząc do podwójnych szklanych drzwi, wyjął broń i odbezpieczył. Absurd.

W holu było pusto. Wszystko, od podłogi po sufit, było białe. Plafonierzy przeglądały się w linoleum. Zielone ściany roślin dzieliły przestrzeń. Po chwili zobaczył drzemiącą za biurkiem telefonistkę, a może pielęgniarkę. Podszedł, a wtedy kobieta się wyprostowała.

– Nagły wypadek? – zapytała, okazując zaniepokojenie.

Erwan odłożył broń i wyjął odznakę.

– Chcę mówić z pani szefem.

– Jest pan Francuzem?

– Brygada kryminalna.

– Ma pan na myśli profesora Schlimé?

– Właśnie.

Widział to nazwisko na stronach, które przeglądał. Jean-Louis Schlimé. Międzynarodowe doświadczenie. Cenione publikacje w periodykach naukowych. Od roku 1993 właściciel kliniki, której udziałowcami byli szwajcarscy inwestorzy.

– Po co pan tu przyjechał?

Erwan odwrócił się w stronę, z której dobiegał głos: od razu zrozumiał, że ma przed sobą Schlimégo. *To zbyt piękne, żeby mogło zdarzyć się przypadkowo...*

Mężczyzna około pięćdziesiątki był krępy, rudowłosy i uśmiechnięty, z gatunku tych, którzy wzbudzają zaufanie – nawet, a może przede wszystkim wtedy, kiedy nie ma już nadziei. Nosił polar i spodnie narciarskie.

– Doktor Schlimé to ja. Co pana sprowadza o takiej porze?

Erwan znów pokazał odznakę.

– Chciałem tylko z panem pomówić.

Lekarz nie był sam. U jego boku stał spokojnie olbrzym w puchowej kurtce – raczej ochroniarz niż pielęgniarz.

– Chyba udzielono panu błędnych informacji – zażartował. – Ta odznaka tu nie działa.

– To przyjacielska wizyta.

– O północy?

– Właśnie o północy. O tej porze nawet na terytorium Francji nie mam prawa przychodzić do kogoś jako policjant. Proszę spojrzeć na to z innego punktu widzenia: pogadamy teraz, a za pół godziny sprawa będzie zakończona. Może pan wyrzucić mnie za drzwi, ale wrócę jutro albo pojutrze z oddziałem policji i sędzią, żeby, jak zwykle przy takiej okazji, wywrócić tu wszystko do góry nogami.

– Proszę nie robić ze mnie idioty. – Lekarz uśmiechnął się. – Miną tygodnie, zanim Szwajcaria, zgodnie ze wszystkimi procedurami, zgodzi się na coś takiego. A moi adwokaci zdławią to w zarodku. A zresztą może zechce pan powiedzieć, o co chodzi, bo nie mam sobie nic do zarzucenia.

Erwan odzyskał pewność siebie i wyczucie sytuacji: grać twardego, kierować się węchem, liczyć bardziej na samego siebie niż na akta sprawy.

– Listopad dwa tysiące dziewiątego. Jean-Patrick di Greco, Ivo Lartigues, Sébastien Redlich, Joseph Irisuanga. Za czterech dają zniżkę.

Schlimé skinął krótką, pulchną i różową ręką.

– Zapraszam. W pewnym sensie czekałem na pana od początku.

– Nieśmiertelne komórki!

Sala przypominała bibliotekę, która stopniowo przemieniła się w polarne laboratorium. Duże zamrażarki opatrzone były numerami. Biała glazura sięgała aż po sufit. Lampy neonowe idealnie współgrały z zimnym blaskiem metalowych pojemników z ciekłym azotem, którego temperatura wynosiła minus sto osiemdziesiąt stopni.

– Od lat gromadzimy tu komórki.

– Komórki macierzyste?

– Pierwotnie nie zawsze są to komórki macierzyste, ale nauczyliśmy się sztuki odróżnicowywania ich, czyli sprowadzania do etapu komórek neutralnych, które następnie programuje się genetycznie.

Byli ubrani jak kosmonauci. Prawie, bo ich kombinezony wykonano z papieru. Na głowach mieli przymarszczone czepce, na nogach ochraniacze na buty, a całości dopełniały okulary i maseczki chirurgiczne, mające zabezpieczać ich przed ewentualnym kontaktem z kroplami azotu, który jest tak zimny, że parzy żywym ogniem.

– Czyje to komórki?

– Zapobiegliwych pacjentów, którym w stosownej chwili będziemy mogli ocalić dzięki nim życie.

Szli wzdłuż rzędu lśniącego szaf. O dziwo, to miejsce wiecznego życia bardzo przypominało kostnicę.

– Kiedyś będzie się przechowywało fragment pępownicy każdego człowieka, by wykorzystywać go do celów terapeutycznych. – Lekarz oparł dłonie w rękawiczce o chromowane drzwi. – Każda istota ludzka będzie w posiadaniu zapasu komórek macierzystych, które pozwolą odbudować jej krew, szpik kostny, całą maszynę organizmu.

Erwan pomyślał o Środzie Popielcowej, dniu postu i abstynencji, kiedy to kapłan kreśli krzyż na czole wierzącego, wypowiadając te słowa Genesis: „Prochem jesteś i w proch się obrócisz”. Te czasy minęły, człowiek nie był już prochem, a komórki były nieśmiertelne.

– Proszę opowiedzieć mi o di Grecu, Lartigues’u, Redlichu, Irisuandze.

Schlimé nie kazał się prosić.

– Przyjechali tu i przedstawili mi niewiarygodny projekt, na który natychmiast się zgodziłem.

– Dlaczego?

– Przede wszystkim dla pieniędzy, ale także dla celów badawczych. Ich pomysł był fascynujący – chcieli stać się kimś innym dzięki przeszczepowi szpiku kostnego.

– Znał pan pochodzenie komórek? Wzorzec, jaki sobie wybrali?

– Nie, to nie miało dla mnie znaczenia.

Mężczyzna dokonał reprodukcji mordercy w czterech egzemplarzach, a mówił o tym jak o najzwyczajszym programie badawczym.

– Zdaje pan sobie sprawę, że mogę pana oskarżyć o nielegalne praktyki medyczne?

Chirurg ściągnął maseczkę i serdecznie się roześmiał. Z jego ust wydobywała się para.

– Jest pan nieoceniony. O nic nie może mnie pan oskarżyć i doskonale pan o tym wie. A już na pewno nie tu, gdzie jest pan nikiem.

– Działanie pozostawię szwajcarskim kolegom.

– A kto udowodni, że te zarzuty są prawdziwe? Pan? Jestem w stanie przedstawić dokumentację, z której wynika, że ci ludzie cierpieli na białaczkę. Promieniowanie całkowicie zniszczyło ich własny szpik, a przeszczep doprowadził do odbudowy organizmu. – Uniósł małe dłonie. – I szukaj wiatru w polu!

Erwan zaczynał już szczekać zębami w tej komórkowej chłodni.

– Nie mogę uwierzyć, że dał się pan wciągnąć w ten projekt.

– Grozili, że zarażą się chorobą krwi, żeby zmusić mnie do podjęcia leczenia.

– A pan w to uwierzył i pozwolił się szantażować?

– Nie, ale to świadczyło o ich determinacji. Dlaczego miałem nie zgarnąć kasy, przy okazji przeprowadzając eksperyment?

– Wiedział pan, że komórki pobrano od zmarłego?

– Nie pytałem o szczegóły.

– Jestem pewien, że ci pańscy „ochotnicy” zamordowali co najmniej pięć osób, uważając się za zabójcę, którego genetyczny kapitał im pan wszczepił.

Schlimé uniósł brwi, zaraz potem jednak odzyskał wygląd wesołego rudzielca. Trudno było to uznać choćby za minutę ciszy dla uczczenia

pamięci pięciu ofiar. Ale nie warto było rozmawiać o moralności i odpowiedzialności z człowiekiem zimnym jak jego szafy chłodnicze i stukniętym jak odmieńcy, którym pomógł.

– Proszę mi podać daty, nazwiska, okoliczności.

– A dlaczego miałbym to zrobić?

Erwan również ściągnął maseczkę.

– Cokolwiek pan sobie wyobraża, jutro mogę ściągnąć panu na głowę oddział szwajcarskiej policji. Nie docenia pan moich możliwości.

Schlimé wciąż puszczał z ust kłęby pary, które unosiły się wokół niego.

– Chodźmy stąd, nie ma sensu marznąć.

Wyrzucili kombinezony do worka i znów przeszli korytarzem. Olbrzym zniknął. Usiedli w małym gabinecie, pełnym książek i teczek z dokumentami. Pokoik przypominał ten, który Lassay zajmował w Instytucie Charcota.

– Zatem poznał pan tych przestępców, zanim przekazano panu materiał?

Schlimé nalał sobie zielonej herbaty. Widocznie trzymał ją w termosie.

– Jeżeli nie ma pan nic przeciwko temu, będę nazywał ich pacjentami. Oczywiście, wszystko zostało wcześniej przygotowane. Przy takiej terapii improwizacja nie wchodzi w grę.

– Komórki miały tu dotrzeć w określonym terminie?

– Od początku była mowa o końcu roku dwa tysiące dziewiątego. Kiedy otrzymaliśmy materiał, zamroziliśmy go i rozpoczęliśmy naświetlanie moich ochotników. Równocześnie prowadziliśmy prace nad odróżnicowaniem i hodowlą komórek.

Wynikało z tego, że śmierć Pharabota została zaplanowana. José Fernandez nie tylko pobrał materiał z jego zwłok, ale przedtem udusił go w nocy, pozorując zawał serca albo wylew. Fanatycy zlecili morderstwo, żeby skuteczniej wejść w skórę swojego idola.

– Kiedy wykonano przeszczep? – podjął Erwan.

– W październiku dwa tysiące dziesiątego.

– Tak długo trwały naświetlania?

– Procedura jest skomplikowana. Chodzi o całkowite zniszczenie szpiku kostnego.

– Wszyscy czterej przechodzili leczenie w tym samym czasie?

Schlimé skinął głową. Trzymał filiżankę oburącz, co, jak cała zmanierowana osoba tego doktoraka, wyprowadzało Erwana z równowagi.

– W końcu musieli spędzić jakiś czas w szpitalu, prawda?

– Tak, ostatni etap jest trudny, pacjent jest bardzo osłabiony, balansuje na granicy życia i śmierci. Wtedy podaje się nowe komórki i stopniowo organizm zaczyna się regenerować.

Erwan wyobrażał sobie tych czterech pośród szwajcarskich lasów, gdy przeobrażali się w Człowieka Gwoźdźcia. Kto za to zapłacił? Na pewno najzamożniejsi – Lartigues i Irisuanga.

– Jak mi wiadomo, u di Greca doszło do zmiany grupy krwi.

– U pozostałych też, bo szpik kostny wytwarza ciała krwi i płytki.

– Zmieniło się też ich DNA?

– Automatycznie. Teraz mają DNA dawcy.

– U wszystkich czterech występowała zgodność z materiałem dawcy?

– Nie. W tym cały problem. Uprowadzałem ich, że dawcy nie wybiera się w ten sposób. Musiałem podawać im duże dawki cyklosporyny, a to ich bardzo osłabiało. Dlatego Lartigues i Redlich cierpią teraz na zapalenie stawów.

Erwan miał więc rację. Schlimé przyznał to niechętnie, bo transplantacje, które były jego dziełem, okazały się dalekie od doskonałości.

– Jak długo mogą żyć?

– Nie jestem optymistą. Teraz żyją z dwoma zagrożeniami – z jednej strony to odrzucenie przeszczepu, z drugiej choroby, na które są bardziej podatni.

Erwan przypomniał sobie o przeszukaniu śmietników Lartigues’a.

– Nie znaleźliśmy u nich ani recept, ani leków.

– Zajmuję się wszystkim. To taka obsługa gwarancyjna.

– Przyjeżdżają tu?

– Jakoś sobie radzimy.

– Kiedy ostatnio ich pan widział?

– Przed miesiącem. Przyjechali we trzech. Di Greca z nimi nie było.

Wielkie Schorowane Ciało, uwięzione na lotniskowcu, trawione przez chorobę i okrutne gry...

– W jakim byli stanie?

– Mocno pobudzeni. Lartigues i Redlich uznali objawy odrzucenia za... sprzeniewierzenie się idolowi. Powtarzali, że przejdą do wyższego stadium, że wszystko wróci do porządku, że dokona się fuzja. Nic z tego nie rozumiałem.

Coś takiego. W swym szaleństwie myśleli pewnie, że trzeba złożyć ofiary

– fetysze – żeby dokonała się wielka symbioza. A może przeciwnie – mimo niepowodzenia transplantacji czuli się natchnieni duchem mordercy, jakby komórki sączyły w nich także cząstkę jego bestialskiej duszy.

Erwan wstał i popatrzył na niskiego człowieka w polarze. Nie umiałby powiedzieć, jakie emocje wzbudza w nim ten uczeń czarnoksiężnika. Czy powinien wybić mu zęby, doprowadzić do jego aresztowania, czy po prostu podziękować za szczerość?

Ostatecznie zdecydował się na kulturalne pożegnanie.

– Dziękuję, doktorze.

– Więc nie będzie aresztowania? Żadnych przesłuchań na posterunku?

– O tym zdecyduje szwajcarska policja.

– Jak to się mówi we Francji, każdy sprząta własne gówno?

– Właśnie.

Idąc przez hol, nie spotkał żywego ducha, zniknęła nawet recepcjonistka. Na zewnątrz, wystawiony na podmuchy lodowatego wiatru, czuł się, jakby płynął wpraw przez noc.

Zanim odjechał, sprawdził wiadomości. Dziesięć minut wcześniej dzwonił Kripo. Zaraz do niego oddzwonił.

– Coś się stało – usłyszał zadyszany głos Alzaczyka. – Około osiemnastej zabito dwóch żandarmów na N165, kilka kilometrów od Brestu.

– Co?!

– To była rutynowa kontrola. Dwóch facetów w samochodzie. Kierowca oddał sześć strzałów. Potem uciekli. Mamy numery rejestracyjne – samochód należy do Iva Lartigues’a. Z zeznań świadków wynika, że prowadził Redlich i to on strzelał. Lartigues siedział na miejscu pasażera.

– Dopiero teraz się tego dowiedzieliśmy?

– Rutynowe postępowanie. Żandarmi najpierw zarządzili blokadę i...

– Znaleziono ich?

– Tak. Po numerach rejestracyjnych dotarli do adresu w Finistère. To chałupa należąca do Lartigues’a pod Locquirec.

Wieś była oddalona o kilka kilometrów od Kaerverec. Do Instytutu Charcota było stamtąd jeszcze bliżej. Jak mogli to przeoczyć?! Na pewno tam zamordowano Wisę Sawirisa. Lartigues najprawdopodobniej kupił ten dom właśnie ze względu na bliskość instytutu. Rzeźbiarz chciał być przy swoim mentorze.

– Żandarmi pojechali na miejsce – opowiadał Kripo – ale tam powitały ich strzały z broni szturmowej. Wygląda to trochę jak stary dobry Fort Chabrol³¹. Zauważono tam także samochód na numerach dyplomatycznych, należący do ambasady Nigerii. Irisuanga na pewno jest z nimi.

Dwóch inwalidów i rogaty olbrzym. Trzech gości po przeszczepie, opętanych przez seryjnego mordercę. Trzech desperatów siedzących jak szczury w norze.

– Jest tam Verny?

– I reszta. Czekają na GIGN³².

Erwan nie mógł uwierzyć, że sprawa kończy się w ten sposób. W tym meczu o wszystko zamiast punktów będą zabici i ranni.

– Kto ich wezwał?

– Rozkaz z góry. Z Paryża.

– Kto dowodzi akcją?

Kripo kaszlnął.

– Twój ojciec.

I znów stary przejął stery. Ale jakim cudem zdążył się o wszystkim dowiedzieć?

Kripo, jakby czytał w jego myślach, dodał:

– Dostał teleks ze sztabu. I od razu wziął sprawę w swoje ręce. Nie znam szczegółów, ale zdaje się, że Valls osobiście oddał mu dowodzenie.

To dlatego od późnego popołudnia ojciec do niego nie dzwonił. Wolał sam zająć się sprawą, bez pomocy i współpracy z własnym synem.

– Kontaktował się z wami?– zapytał, słuchając podszeptu intuicji.

– Tak, przed chwilą, ze mną.

– Co ci powiedział?

– Że nie chce widzieć naszych pysków na miejscu akcji.

– To wszystko?

Kripo znowu się zawahał.

– Poprosił o szczegółowe przedstawienie wyników śledztwa.

– Zrobiłeś to?

– Oczywiście. Wszystko mu wyjaśniłem. Tę historię z przeszczepem, udział José Fernandez, rolę kliniki w La Vallée. Powiedziałem mu wszystko.

Erwan pokiwał głową. Ten finał był zgodny z głęboką logiką: Człowiek Gwóźdz odrodził się w ciałach trzech obłąkańców i znów, po czterdziestu

latach od pierwszego starcia, schwytanie sprawców przypadało Morvanowi.

– Za godzinę mogę być w Chamonix. Przyślij po mnie helikopter na posterunek żandarmerii.

Zaczynało świtać, a Morvan, ze strzelbą Ithaca w rękę, w gniotącej mu brzuch kamizelce kuloodpornej, powtarzał sobie, że takie wygłupy nie są dla faceta w jego wieku. Nie mógł jednak poprzestać na dowodzeniu operacją z daleka, ze swojego służbowego auta.

Ostatnie godziny nocy spędził przyczajony w jakiejś dziurze wraz z najbardziej doświadczonymi żandarmami. Analizował informacje, które zebrał, i w skrytości ducha podziwiał szaleństwo i brutalność tego zamysłu, który się z nich wyłaniał: czterej ludzie – wśród nich nieszczęsny di Greco – fanatyczni wielbiciel Thierry’ego Pharabota, postanowili wcielić się w to uosobienie Zła. Dokonując szaleńczych czynów, zniszczyli własny szpik kostny i kazali sobie przeszczepić jego komórki. *Kto da więcej?*

Ci trzej, którzy przeżyli, siedzieli teraz zamknięci w domu o niebieskich okiennicach, niemal takim samym jak ten, który on sam kupił u schyłku lat osiemdziesiątych w Brehat. Ironia losu na każdym kroku.

Szczyście mu dopisało, jeśli tak można powiedzieć, bo dowiedział się o śmierci dwóch żandarmów późnym popołudniem ze sztabowego teleksu. Oznaczało to, że do Erwana informacja dotrze dopiero za kilka godzin, a on będzie mógł sam kontrolować sytuację. Zresztą, gdy rubryki kryminalne skupiły się już wyłącznie na tych dramatycznych wydarzeniach – oblężonym domu i wymianie ognia przed kamerami – minister oficjalnie powierzył mu dowodzenie operacją. Wyleciał o północy z Bourget i przez dwie i pół godziny przechodził katusze w urocopterze Dauphin, pozostając w kontakcie radiowym z prokuratorem republiki z Rennes oraz prefektem z Quimper. GIGN leciał w ślad za nim do Finistère.

Miejscowi żandarmi nie czekali beczynn timer na jego przybycie. Ewakuowano pobliskie domy (okolica była turystyczna), teren w promieniu kilometra zabezpieczono, drogi zamknięto. Cruchoty sprawdziły też, czy teren wokół domu nie kryje żadnych pułapek, bo nikt nie potrafił określić, z jak groźnymi mordercami mają do czynienia. Żandarmi przygotowali również okopy, żeby ukryć w nich ludzi i sprzęt, ponieważ nieogrodzona

działka wokół domu była płaska, bez drzew czy skał, za którymi można by się przyczaić. Teraz, o siódmej rano, prawie wszyscy czekali pod osłoną okopów. Dwa plutony żandarmerii departamentalnej i brygada mobilna otoczyły podwójnym łukiem miejsce, zamykając strefę zagrożenia i uniemożliwiając próbę ucieczki.

Morvan skupił się na lekturze. Wśród dokumentów, które mu dostarczono, znalazł listę broni posiadanej przez Redlicha. Etnograf i rzeźbiarz prawdopodobnie wieźli cały ten arsenał, kiedy zatrzymał ich patrol żandarmerii. Kulawy spanikował i zaczął strzelać. Ich profil psychologiczny nie pozostawiał wątpliwości – zafascynowani śmiercią siewcy terroru.

Dzień wstawał pod białym jak kreda niebem. Ranek zapowiadał się ładnie. Morvan wysunął głowę i obserwował oddalony o dziesięć metrów milczący dom. Nie widać było żadnego ruchu, okiennice i drzwi pozostawały zamknięte. Wokół siebie dostrzegał wystające głowy żandarmów, w większości w regulaminowych czapkach z wyhaftowanym z przodu wybuchającym granatem. Domyślał się, jak rozwścieczeni są ci okazjonalni wojacy. Żaden nie miał ochoty oberwać z powodu morderstw popełnionych w Paryżu przez obłąkańców, których powinno się trzymać w domu wariatów. Wszyscy czekali na przybycie GIGN – ludzi przywykłych do tego rodzaju starć i lubiących adrenalinę.

Morvan usiadł, obserwując swoich kompanów z okopu. Zgodził się zabrać ze sobą policjanta z OCRVP³³ specjalizującego się w problematyce sekt. To było ustępstwo wobec ministra, któremu zależało na obecności eksperta. *Nie ma o czym mówić.*

Znalazło się tam także trzech kombatantów, o których Morvan sporo wiedział. Pułkownik Verny prowadził śledztwo w sprawie z Kaerverec wraz z Erwanem. Dwaj inni, którzy nie mieli tu nic do roboty, byli wojskowymi: Simon Le Guen, kapitan instruktor ze sztabu dowodzenia Kaerverec 76 i Luc Archambault, porucznik żandarmerii powietrznej, odpowiedzialny za bezpieczeństwo wojskowe bazy. Oni także uczestniczyli w śledztwie Erwana i ten ostatni etap był zwieńczeniem ich sprawy. Tylko oni nie trzęśli się teraz jak galareta i z determinacją patrzyli na obiekt. Sprawa di Greca była dla nich frustrująca, a teraz nareszcie mieli okazję wzięcia za to odwetu.

Siódma dwadzieścia. Gdzie się podział GIGN? Śledził przez radio przejazd oddziałów od Paryża. Zatrzymały się w Breście, żeby przeanalizować plan ataku. Mapa sztabowa regionu, plan domu wyciągnięty z archiwum, profil

psychologiczny podejrzanych, obróbka komputerowa danych itd. Morvan zrobił to samo, ale w swojej dziurze. Nie był pewny, czy doszedł do takich samych wniosków. GIGN stawiał na negocjacje. *Strata czasu*. Odkąd ci trzej opętańcy zabarykadowali się w domu, z nikim nie nawiązali kontaktu. Nie wzięli zakładników i z całą pewnością chcieli umrzeć z bronią w ręku.

Fort Chabrol też był samobójstwem *by cops*.

Morvanowi dopisywał humor. Stracił fortunę – Loïc potwierdził to jeszcze w nocy – teraz miał szansę dostać kulkę od nowego wcielenia swojego najgorszego wroga, a jednak czuł się lekki, pełen wigoru, z opartym o biodro karabinem kalibru 9 mm. Udało się zidentyfikować spiskowców – to nie była zemsta boża. Sprawa między ludźmi, których planował po cichu zabić w zamęcie bitwy. A wtedy będzie mógł spokojnie myśleć o tych paru latach życia, które miał jeszcze przed sobą.

Dopiero teraz uświadomił sobie, że cicho podśpiewuje:

– *Kto widzi Ouessant, krew swoją widzi, kto widzi Molène, widzi swój ból, kto widzi Sein, kres widzi swój...*

– Już są.

Verny wsłuchiwał się w głos w słuchawce. Morvan uniósł głowę i zobaczył w dali, na błyszczącej od rosy równinie, pochylonych wojowników, którzy szli w doskonałym porządku, zwinni jak tancerze. Kevlarowe kamizelki kuloodporne, hełmy z osłoną na twarz, u pasa Glocki, w rękach karabiny szturmowe – z tej odległości nie mógł rozpoznać modelu: Famas, Sig Sauer czy Heckler & Koch.

– Kto dowodzi operacją?

– Nazywają go „numerem jeden”. Podczas akcji nigdy nie używają nazwisk.

Zaczynała się błazenada.

– Proszę mu powiedzieć, żeby tu przyszedł.

Nawet w tej kominiarce od razu rozpoznał Philippe'a Gallois. Spotkał go podczas pokazu sił interwencyjnych w Wersalu i zapamiętał jako doskonałego strzelca i gorącego zwolennika Sarkozy'ego. Teraz, ubrany w kamizelkę kuloodporną, ze słuchawką w uchu i bronią w ręku, pułkownik miał ogromny atut: spokój.

Powitanie. Widoczne dziwne połączenie wzajemnego respektu i wzgardy.

– Jak pan to widzi? – zapytał z czystej uprzejmości Morvan.

– Kiepsko. Nie mam żadnego wyższego punktu na stanowisko dla strzelców. Nie ma jak zbliżyć się do obiektu pod osłoną.

– Nie miałem na myśli krajobrazu. Jak pan zamierza przeprowadzić operację?

– Zaczynamy od negocjacji.

– Zgadzam się – skłamał Morvan.

– Nasi eksperci psychologowie...

– Niech pan da spokój z ekspertami. Znam tych łajdaków. A w każdym razie znam mordercę, który ich zainspirował. Wierzą, że magiczne moce zapewnią im schronienie. Trzeba z nimi rozmawiać językiem, który...

– Nasz negocjator sobie z tym poradzi.

– To ja jestem negocjatorem.

– To jakiś żart? Znalazł się pan tu jako wysłannik ministra spraw wewnętrznych. W terenie nie ma pan nic do roboty.

– Znam akta. Znam ich psychikę. Ja...

Gallois spojrzał na zegarek.

– Czekamy na naszego człowieka.

W kominiarce wyglądał na zakutą pałę. Bardziej niż zwykle. Morvan poczuł się jak na naradzie z Fantomasem w okopach pod Verdun. *Super*.

– Z raportu, który dostałem, wynika, że nie słyszano żadnych dźwięków i od wielu godzin nie zaobserwowano ruchu. Może po prostu palnęli sobie w łeb.

– Nie robili tego wszystkiego po to, żeby tak skończyć.

– To czego chcą?

– Niech mi pan pozwoli nawiązać z nimi kontakt.

– Odpada. Nie płacą nam za to, żebyśmy wystawiali cywilów jak kaczki na polowaniu.

– Ja tam pójdę – powiedział Verny. – Dowodzę grupą śledczą w tej sprawie. Będę najbardziej wiarygodny. A wy zostańcie w ukryciu.

Gallois obserwował go przez chwilę, Morvan zastanawiał się nad taką możliwością: twarde, który nie rzuca słów na wiatr. Ci obłąkańcy ustrzelą go jak królika. Padnie rozkaz szturm. A wtedy on będzie mógł zrobić swoje.

Ale życie żandarma było zbyt wysoką ceną.

– Gdyby poszedł sam, bez broni, to jak może go pan osłaniać? – zapytał pułkownika.

– Ta chałupa opiera się o strome zbocze. Nie damy rady zejść ich od tyłu. Można najwyżej ich oskrzydlić. Potem użyjemy gazów łzawiących, zadymiania, granatów hukowych, żeby ich zneutralizować.

Nowa modna sztuczka – dźwięk. Granaty nie tylko rozpylały gaz, ale powodowały też detonacje o natężeniu ponad stu osiemdziesięciu decybeli, a to paraliżowało wroga.

Gallois zerknął na dom. W coraz jaśniejszym świetle dnia jeszcze wyraźniej widać było, jak trudny jest cel ataku, który znajdował się na odkrytym terenie.

– Będzie problem z tym murkiem.

Budynek był otoczony murem wysokości około metra. Po przejściu za to ogrodzenie Verny zniknąłby z ich pola widzenia. Zapewnienie mu ochrony było niemożliwe.

– Czy na pewno decyduje się pan na to? – zapytał szef grupy.

Pułkownik odpiął kaburę i uklęknął, szykując się do wyjścia z rowu.

– Pod bluzą mam kamizelkę kuloodporną.

– Uprzedzę moich ludzi. Dam panu sygnał przez radio.

I nie czekając na odpowiedź, Gallois wyszedł z okopu, żeby pójść do sąsiedniego.

– Znajdziemy inne rozwiązanie – próbował przekonać go Morvan, kiedy Verny zapinał kurtkę.

– Nie, i o baj doskonale o tym wiemy.

Morvan odwrócił się do Le Guena i Archambaulta. Ich twarze były napięte, mięśnie i kości drgały pod skórą. Za ich plecami, na równinie, było

coraz więcej ludzi z GIGN, którzy zalewali teren jak czarna deszcz.

Verny wykonał gest, który miał być uspakajający.

– Wycofam się w razie jakichkolwiek oznak agresji.

Pochylił się, żeby lepiej słyszeć dźwięk w słuchawce – operacja się zaczynała. Wstał i wyszedł. W tym samym momencie z innego okopu wyskoczyły dwa cienie i wślizgnęły się w trawę. Morvan założył wreszcie słuchawkę i usłyszał wskazówki numeru jeden – odtąd wszyscy zbliżający się do domu o niebieskich okiennicach podlegali jego rozkazom.

Verny znajdował się w odległości stu metrów od domu, kiedy zwałił go z nóg pierwszy strzał. Drugi przeciął powietrze ze świstem kryształowej strzały. Zaraz potem padła cała seria. Te łotry miały karabiny automatyczne.

Morvan chciał wyjść z okopu, żeby zabrać oficera, ale ludzie z GIGN już ruszyli. Rozległy się kolejne detonacje. Modlił się, żeby ci szaleńcy nie użyli amunicji z węglikiem wolframu, która może przebić kevlar.

Żandarmi pochylili głowy i ściągali Verny’ego za pasy kamizelki. Ze swojego miejsca Morvan widział, że ranny jest jeszcze przytomny. Nie zauważył śladów krwi. Celowali w osłoniętą klatkę piersiową. Czy była to oznaka dobrej woli?

Ekipa ratownicza wskoczyła do okopu. Verny się dławił. Rozpięto kamizelkę. Morvan był w błędzie – żandarm został ranny, krew spływała mu z szyi. Przyjrzał się ranie. Kula chyba tylko drasnęła szyję po lewej stronie. Zaledwie kilka milimetrów od tętnicy. Gdyby została uszkodzona, Verny już by nie żył. Wojna została wypowiedziana.

Głos Gallois w słuchawce potwierdził jego wnioski:

– Przystępujemy do szturm.

Te słowa brzmiały w słuchawce jak turbina.

– Najpierw przyślijcie mi tu lekarza! – warknął Morvan, kiedy Le Guen udzielał Verny’emu pierwszej pomocy.

Żandarmi będą padali jak muchy. Zabici, sankcje, wiele tygodni krytyki w mediach. Długo nie wygrzebią się z tego gówna.

Wyprostował się i zobaczył Gallois – właściwie przypuszczał, że to on – machającego rękami. Cienie ruszyły z czterech stron równocześnie. Co najmniej dwudziestu ludzi szło dwójkami. Jeden trzymał tarczę balistyczną, drugi karabin szturmowy.

Morvan nic już nie słyszał. Mowę zastąpił język znaków. Kiedyś znał ten kod, ale wszystko już zapomniał. Pozostało mu patrzeć na operację oczyma

niewtajemniczonego obserwatora.

Znów padły strzały. Obraz na chwilę się zatrzymał. Potem wszystko ruszyło, żandarmi odpowiedzieli ogniem. Rozbrzmiewały całe serie. Coś się odrywało, coś rozpryskiwało: grudy ziemi pod nogami komanda, granit, drewno i dachówki domu.

Morvan wychylił się jeszcze raz: ewakuowano Verny'ego. Wszędzie wrzało. Archambault i Le Guen strzelali z pewnością dobrze wyćwiczonych żołnierzy. Specjalista od sekt zamarł z przerażenia w głębi okopu, kurczowo zaciskając ręce na swojej dziewiątce. Morvan czuł, że ta sytuacja go przerasta. Po raz ostatni brał udział w zbrojnej akcji w latach osiemdziesiątych. Do diabła, co on tu robił?

Nie. Ciało jeszcze się rusza, panie generale. Wstał, wyrwał z ucha słuchawkę, wprowadził nabój do lufy i zaczął strzelać. W ułamku sekundy zintegrował się z walczącymi. Zabije albo zginie, ale sens tej chwili nie będzie już kwestionowany.

Strzelanina nie ustawała. Wydawało się, że niebo rozdziera się z przejmującym świstem. Zapach prochu drażnił nozdrza. Morvan właśnie zamierzał oddać kolejny strzał, kiedy zobaczył, że atakujący dotarli do muru otaczającego dom. Dwie pary zatrzymały się po obu stronach bramy. Ludzie przyklękali, trzymając broń w gotowości. Teraz trzeba było zrobić najtrudniejsze: przedostać się pod dom.

Zza uchylonej okiennicy sporadycznie ukazywał się płomień wylotowy, ale strzelca nie było widać. Trudno uwierzyć, że tak bronili się człowiek na wózku inwalidzkim, jego kulawy kompan i mutant z metalowym czubkiem.

Komandosi wturlali się do ogrodu. Szli parami, pierwsi biegli na prawo, drudzy na lewo. Sekundę później nad ogrodem, za murem, uniosły się kłęby dymu. Granaty łzawiące miały odstraszyć szaleńców, dając szturmującym czas na założenie plastiku na futrynę i gzyms.

Nagle wszystko zagłuszyła potężna detonacja. W górę wystrzeliły potężne płomienie. Mur otaczający dom zamienił się w lawinę kamieni i pyłu. W pierwszej chwili Morvan pomyślał, że któryś z ludzi popełnił błąd i plastik eksplodował mu w rękach. Ale wybuch był zbyt silny. Odłamki czarnych kamieni, odłamki szkła opadały z wysoka, przemieszane ze strzępami ludzkich ciał i kawałkami kevlaru.

– O kurwa! – wrzasnął Archambault, podrywając się na równe nogi.

Chwilę później kula rozerwała mu twarz. Runął na dno okopu. Zamiast

szczęk miał czarną miazgę. Morvan rzucił karabinek i przytknął ręce do rany. Jego palce poczerwieniały. Oczy żandarma wywróciły się białkami do góry. Skonał.

Morvan wysunął zalane krwią dłonie ze szczątków zębów i śluzówki i patrzył na nie. Wolno wracał do rzeczywistości. Le Guen padł na ciało kolegi, mamrocząc słowa modlitwy. Policjant z Paryża wymiotował.

Przede wszystkim jednak Erwan, jego własny syn, wynurzył się zza mgły i szczątków spalonej trawy. Stojąc nad ich okopem, oburącz trzymał broń, gotów skoczyć w dół. Właśnie wtedy powstrzymał go widok zmasakrowanego Archambaulta. Stał nieruchomo, rzucając się w oczy jak obelisk z placu Concorde.

– Pochyl się! – wrzasnął Morvan, chwytając go za połą marynarki.

Erwan wpadł do rowu, nie odrywając oczu od zwłok Archambaulta. Prawdopodobnie był w szoku. Morvan przycisnął jego głowę, a wokół wciąż świsnęły kule.

Szybko zerknął na dom – mur zniknął, w warzywniku buchały płomienie, które zaczynały już ogarniać winorośl i hortensje. Jakiś człowiek czołgał się w dymie, trzymając się za nogę zakończoną kikutem. Morvan dopiero wtedy zauważył, że Erwan zniknął.

Morvan chwycił broń, zebrał magazynki i wepchnął je do kieszeni. Po chwili pędził już na pomoc synowi biegnącemu w stronę domu.

Powietrze zmieniło się w mieszankę dymu i pyłu. Kule przeraźliwie miauczały, latając we wszystkie strony i tkając nad ich głowami niewidzialną sieć. Erwan przeskakiwał przez ruiny muru, gdy Morvan chwycił go za ramię.

– Co ty wyprawiasz? – krzyknął syn, odwracając głowę.

Morvan wsunął karabinek pod lewą pachę, wyciągnął berettę i strzelił, raniąc go tuż nad kostką – tak żeby wyeliminować go z gry do końca akcji. Erwan chwycił się obiema rękami za nogę i osunął się na kamienie.

Gaëlle.

Loïc.

Milla.

Lorenzo.

Nie można było zostawić ich bez mężczyzny w rodzinie.

Morvan wsunął berettę za pasek na plecach i odszedł, nie oglądając się. Jego ithaca była już gotowa do strzału. Wyrwa po drzwiach wejściowych wyglądała jak ogromna paszcza szczerząca kły. Przechodząc przez nią, powtarzał sobie: zero litości.

Ujrzał wiejskie wnętrza – charakterystyczna terakota, belki stropowe, meble z woskowanego drewna – kompletnie zdewastowane, zasypane tynkiem. Miał najwyżej dwie minuty, żeby zabić wszystkich albo umrzeć. Instynktownie obrócił głowę w prawo: czarny diabeł z FIM-92 stingerem na ramieniu stał w rogu izby.

Oddał strzał, rzucając się na ziemię. Jego broń miała funkcję *slamfire* – wystarczyło nie zdejmować palca ze spustu, żeby strzelać seriami.

Kiedy dotknął ziemi, magazynek był już pusty. Dokładnie wtedy pocisk wystrzelony przez Murzyna uderzył w mur za nim. Błysnęło, posypały się kamienie. Morvan poderwał się na równe nogi, bo płomienie parzyły mu już plecy. Zostawił strzelbę i sięgnął po berettę. Widoczność była zerowa. Pomachał lewą ręką, żeby rozproszyć dym, i ruszył w kierunku przeciwnika. Nigeryjczyk leżał bez głowy, z rozprutym brzuchem, z którego wypłynęły

jelita. Pył wchłonał już większość płynów.

Morvan przeładował broń.

– Gdzie jesteście, pojeby?! – wrzasnął, idąc do sąsiedniego pomieszczenia.
– Wyłaźcie!

Strzelił w powietrze, żeby poprzeć słowa siłą i o mało nie oberwał płatem tynku, który odpadł od sufitu. Ogłuchł na jedno ucho, ale nie zamierzał przerywać tej indywidualnej operacji.

– Kurwa, gdzie się pochowaliście?

Szedł, klucząc między gruzami i trzymając oburącz spluwę, kiedy za jego plecami padł strzał. Odwrócił się, wciąż z palcem na spuście, ale nikogo nie zobaczył. Strzał padł z jego ithaki. Nabój utknął w komorze, a płomień, które rozgrzały metal, doprowadziły do wystrzału. Zabity z własnej broni – to byłaby naprawdę piękna śmierć!

Ledwie ta myśl przemknęła mu przez głowę, a siwa zasłona rozdarła się na prawo od niego i ukazała Redlicha, który mierzył do niego z czterdziestkipiątki o paszczy szerokiej jak miotacz płomieni. Postawa i pewność ręki dowodziły, że jest to doświadczony strzelec.

Morvan pociągnął za spust, nawet nie myśląc o tym, żeby się pochylić – wyrobione odruchy następowały po sobie jak wystrzały z karabinu maszynowego – jeden po drugim. Siła odrzutu sprawiła, że cofnął się za próg, ale nie przestawał strzelać, choć robił to na oślep. Kiedy dym się rozproszył, Redlich leżał daleko, bardzo daleko, przysypany gruzem, zalany krwią.

Drugi. A zatem ci czarownicy wcale nie byli tak potężni.

Wokół niego tworzył się krąg ognia. Przekroczył go, żeby rozejrzeć się po kuchni. Pusto. Trzeci musiał być na górze. Biegł po schodach, macając kieszenie marynarki. Znalazł nowy magazynek. Broń była gorąca jak cegła wyjęta z pieca, a on sam dusił się już w kamizelce kuloodpornej.

Korytarz nad salonem. W dole huczał ogień, ale Morvan był na razie poza jego zasięgiem. *Vamos.*

Pierwszy pokój: pusto.

Drugi pokój: pusto.

Trzecie drzwi – łazienka i zaskakująco świeże powietrze.

Obszedł całe piętro: gdzie jest Lartigues? Wyobrażał sobie kalekę zaciskającego ręce na karabinie albo jakiejś innej broni. Zabić go, choćby trzeba było rzucić się razem z nim i jego fotelem w płomień.

Przed czterdziestu laty oszczędził Człowieka Gwoździa. Dziś wiedział już, do czego to doprowadziło.

Zawrócił. Łzawiły mu oczy, twarz zamieniła się w maskę gorącego pyłu. Otarł powieki i gwałtownie się zatrzymał: Lartigues był przed nim, w końcu korytarza, skulony na fotelu. Jego ręce zaciskały się jak szpony na strzelbie Remington. Na oko: trzy albo cztery strzały, ręczne przeładowanie. Zakładając, że potrafił się posługiwać tą bronią, mógłby strzelić raz albo dwa, zanim Morvan dobiegłby do niego.

Ruszył. Albo strzelba była nabita ołowianymi kulami i wtedy Lartigues miał szansę go trafić, albo tylko śrutem. Mogła być też nabita nabojami na dzika, a wtedy prawdopodobieństwo trafienia było minimalne, gdyby jednak Morvan dostał w głowę, nie przeżyłby.

Lartigues strzelił. Wózek odrzuciło w tył. Ze ściany na lewo od Grégoira posypał się gruz. Ołów. Rzucił się na kalekę, który mając oparcie w narożniku korytarza, przeładował broń i znów oddał strzał. Kolejne pudło. Rzeźbiarz śmiał się i płakał, kuląc się w oczach. Kiedy Morvana dzieliły od niego trzy metry, znów nacisnął spust.

Kula ugodziła Morvana w lewe ramię, ale nie upadł. Już zamierzał strzelić, kiedy w głowie zaświtała mu inna myśl. Odrzucił broń, doskoczył do Lartigues'a, chwycił fotel za oparcia i pociągnął do siebie, żeby ustawić go pod odpowiednim kątem. A potem pchnął go nogą, zrzucając na ogarnięte płomieniami schody. To było jak *remake* sławnej sceny z *Pocałunku śmierci*, w której Richard Widmark zrzuca kalekę na płonące schody. Lartigues wył, ale Morvan słyszał już tylko huk trawiącego go ognia.

Chciało mu się śmiać. Nie zdążył dać ujścia napięciu: runął razem z podłogą, która zapadła mu się pod nogami.

Wylądował na obszarze już spalonym, bardziej w popiołach niż na rozżarzonych zgliszczach, i poczuł chłodny powiew, który studził jego rozgorączkowane ciało. Znalazł się na klęczkach, ale był z grubsza cały i zdrowy, zdolny dźwignąć się przy zrębie muru, znad którego przepięknie uśmiechało się do niego czyste, błękitne niebo poranka. Nie wiedział, jak znalazł się na zewnątrz i zbiegł po kamienistym stoku za domem. Szara trawa, zielone skały, fiołkoworóżowe kamienie...

Zatrzymał się w ostatniej chwili, nad przepaścią.

Myślał o synu, który został z drugiej strony domu. Na pewno już się nim zajęli. Myślał o Gaëlle, bezpiecznej w klinice w Chatou, strzeżonej przez

uzbrojonych policjantów. I o Loïcu, który najprawdopodobniej spał po wyprzedaniu ze stratą rodzinnego majątku. Myślał o dwójce wnucząt – Milli i Lorenzu – pod skrzydłami matki, Lodowej Dziewicy, która dawała im całe ciepło, jakie była w stanie z siebie wykrzesać.

I dopiero tu, nad przepaścią, dotarło do niego, że płonie, a dokładnie – że jego kamizelka kuloodporna stanęła w ogniu i pali mu boki i ramiona. Wsadził rękę w płomyki, żeby zerwać rzepy kamizelki, a potem cisnął ją w otchłań, przypominając sobie certyfikat gwarantujący, że kevlar jest ogniotrwały. *Gówna prawda.*

Wybuchnął gromkim śmiechem – człowiek zawsze może liczyć tylko na siebie.

CZEŚĆ TRZECIA
TAMTEN

Z tego, co słyszała Gaëlle, Erwan został ranny podczas strzelaniny, o której od rana mówiły wszystkie media, nie wiadomo jednak, z czyjej ręki. Przetransportowano go helikopterem do paryskiego szpitala Salpêtrière, a wszystko to tylko po to, żeby stwierdzić, że rana jest zupełnie niegroźna. Kula otarła się o lewą nogę, tuż pod kolaniem.

Także ojciec, prawdziwy bohater tej operacji, wyszedł z niej bez większego uszczerbku. Skorzystał z pojawienia się helikoptera pogotowia ratunkowego, żeby wymknąć się po angielsku, zostawiając prokuratorowi republiki i regionalnemu prefektowi wyjaśnienie celu i wyników tego szturmu, który pochłonął wiele ofiar, ale Gaëlle nie zapamiętała, ile było ich po stronie siły porządkowej, wiedziała tylko, że zginęli wszyscy bandyci.

Najbardziej budujący był jednak widok klanu skupionego w szpitalnym pokoju, dokładnie tak, jak przed dwoma dniami, ale tym razem z Erwanem w roli rozpieszczonego pacjenta. Gaëlle mogła – *dziękuję, tatusiu* – opuścić klinikę Feuillantines, żeby ucałować brata i teraz obserwowała najbliższych – wiernych sobie, godnych piosenki Jacques’a Brela. Morvan z lewą ręką na temblaku rozmawiał przez telefon. Loïc wtulił się w fotel i czytał SMS-y, a matka, chyba bardziej stuknięta niż zwykle, siedziała tuż przy wezgielciu i szeptała coś do rannego, który królował w szpitalnym łóżku niczym kalif.

Gaëlle pochyliła się nad nim, cmoknęła go w policzek i zapytała:

– Jak się czujesz?

– Jak po meczu.

– Tak ostro kibicowałeś?

Czytała, że został ranny jeszcze przed szturmem, którym dowodził jego ojciec.

– Bardzo zabawne...

Gaëlle porzuciła wprawdzie plany ojcobójstwa, samobójstwa i wyrzekła się wszelkich podobnych rozrywek, trudno było jednak wymagać, żeby z dnia na dzień przeistoczyła się we wzorową młodszą siostrę. Uściskała go, przepraszając za tę bezsensowną złośliwość.

– Moi ludzie są z tobą? – rzucił na powitanie córki Morvan.

– Zostali na dole. Chcieli sobie zapalić. Ale przecież nie ma już żadnego zagrożenia?

Morvan posłał jej gniewne spojrzenie i skupił się na rozmowie telefonicznej.

– Masz rację – powiedział do kogoś po drugiej stronie. – Zwałą wszystko na mnie.

Był zdenerwowany, jakby miotał się w bagnie, które go wciągało, choć Gaëlle spodziewała się, że będzie odbierał gratulacje. Najwyraźniej sytuacja była bardziej skomplikowana, niż mogłoby się wydawać. Tak czy inaczej wielki Morvan znów udowodnił, że jest bohaterem zdolnym do najwspanialszych czynów i niecofającym się przed użyciem najpodlejszych metod.

Ojciec wymierzający sprawiedliwość, brat ranny na polu walki – honor rodziny został ocalony.

– Udało się, wszystko załatwione?

– Są martwi, jeśli o to pytasz.

– A ilu ich było?

Erwan w kilku zdaniach opowiedział jej historię czterech wielbicieli Człowieka Gwoźdza (media wymieniały tylko trzech, pomijając niejakiego di Greca), którzy zdecydowali się na przeszczep komórek macierzystych. Mówił o czarnej magii, o rytualnych zabójstwach, o zemście. Trochę trudno było się w tym połapać, ważne, że jej brat czuł się bardzo dobrze, gotów znowu bronić świata. A ona dopiero teraz, w wieku dwudziestu dziewięciu lat, przyznała się przed sobą, że coraz bardziej go potrzebuje.

– Czyli to koniec, już po wszystkim? – zapytała jeszcze.

– Nie dla mnie. Jeszcze się przy tym nazapieprzam.

– Bądź grzeczny.

– Po prostu muszę dopracować wszystkie akta, uporać się z mnóstwem papierkowej roboty.

– Żartowałam, przecież wiem.

Jak zwykle, Erwan uśmiechnął się z pewnym opóźnieniem.

– Nie będę cię już męczyła.

Gaëlle zwróciła oczy na matkę i dobry humor nagle ją opuścił. Ucałowała Erwana i wyszła bez pożegnania z innymi. Idąc korytarzem, wspominała to, co wydarzyło się w Świętej Annie. Gonitwa po zamkniętym piętrze, ucieczka

windą kuchenną... Sama już nie wiedziała: śmiać się czy płakać?

Wcisnęła guzik windy – obskurnej, towarowej. Drzwi się otworzyły. Pielęgniarz przesunął wózek, żeby zrobić jej miejsce. Na szczęście nikogo nie wiozł. Nie zniosłaby widoku na pół przytomnego starca transportowanego na blok chirurgii. Ale pielęgniarz miał na twarzy maseczkę i to już wystarczyło, żeby zaczęła panikować.

Im dłużej była w tej windzie, tym gorzej się czuła. Po kilku sekundach z trudem chwyciła oddech. *Do diabła, co się ze mną dzieje?* A może już nigdy nie będzie w stanie przekroczyć progów szpitala?

Na parterze wybiegła z kabiny i skręciła, kierując się ku przeszklonym drzwiom prowadzącym do ogrodu. Jej ochroniarz, czarnoskóry imieniem Karl, spokojnie palił w kręgu dymu.

– Wszystko w porządku? – zapytał, uśmiechając się promiennie.

Odpowiedziała skinieniem głowy. Miała wrażenie, że jej mięsień sercowy doznał kurczu. W gardle tkwiła jej gula.

– Daj papierosa – rzuciła, dysząc.

Erwan przypłacił dwie godziny spędzone z rodziną ciężką migreną, taką, jakie miewał jako początkujący policjant po dniach przesiedzianych w policyjnym wozie obserwacyjnym, cuchnącym potem i żarciem z McDonalda. Matka ze swoimi szamańskimi lekami, ojciec i te spojrzenia w stylu: „Wyrośniesz na prawdziwego mężczyznę, synu”, a do tego brat, który zmusił wszystkich do oglądania reportażu telewizyjnego o stosowaniu dopingu przez uczestników Tour de France...

Tylko Gaëlle zasłużyła sobie na jego przychyłność. Chociaż narobiła tyle głupstw, ona jedna wydała mu się istotą czystą, a zarazem skomplikowaną. Tak jak jej perfumy – mieszanka Chanel z czymś innym, bardziej drzewnym, z lekką nutką popiołu – sprawiające, że otaczała ją aura kobiety wracającej z opery i z pogrzebu zarazem. Perła w krainie cieni.

A potem zaczęły się jeszcze bardziej męczące chwile: komisarz Fitoussi przyszedł złożyć mu gratulacje w towarzystwie prefekta i kilku polityków, których nazwisk Erwan nawet nie zapamiętał. Pochwały, komplementy, obietnice awansu... Znalazł się w lepszej sytuacji niż ojciec: został ranny przed szturmem, więc niczego nie można mu było zarzucić.

Teraz został w końcu sam. Siedział na łóżku, wystrojony w kretyńskie szpitalne łachy i ledwie tknął paskudną kolację. Wyciszony telewizor wciąż pokazywał sceny, które rozegrały się w domu w Locquirec, i portrety zabitych.

To było idealne tło zadumy nad tragicznym przebiegiem tego śledztwa. Znów to samo: „Operacja się udała. Pacjent zmarł”.

Nie żałował tych trzech, chociaż ich śmierć pozbawiła go szansy na poznanie odpowiedzi na tak wiele pytań. Myślał przede wszystkim o Archambaultie, który konał na jego oczach ze zmasakrowaną twarzą. Archambault, tyczka w okularach, z tą wypłoszoną miną, urodzony marynarz, który w szczególności, właściwy sobie sposób przyczynił się do zamknięcia śledztwa. Człowiek, który ocalił mu życie w łaźni K76. Z pewnością zostanie pośmiertnie odznaczony, będzie miał wspianały

pogrzeb, a potem koledzy po prostu o nim zapomną, bo Kaerverec musi wrócić do normalności.

Erwan myślał także o Vernym, „którego życie nie było zagrożone”, jak donosiły media, i o Le Guenie opłakującym zabitego przyjaciela. Nie mógł bez końca analizować tych dramatycznych chwil. Był policjantem, powinien się cieszyć, że sprawa została zakończona, a zabójcy unieszkodliwieni.

O dziewiętnastej otrzymał mail zawierający raport z operacji Beg an Fry (tak nazywało się jedno z okolicznych wzniesień), podpisany przez Verny'ego, który najwyraźniej był niezniszczalny. Wśród załączonych dokumentów znalazły się między innymi świadectwa zgonu Iva Lartigues'a, Sébastiena Redlicha, Josepha Irisuangi, których sekcje jeszcze trwały. Była tam również lista poległych funkcjonariuszy GIGN: Arnauda Saveca (trzydzieści dwa lata), Nicolasa Granaudeta (dwadzieścia dziewięć lat), Philippe'a Astiera (trzydzieści lat). Rannych zostało też pięciu żandarmów, w tym dwóch ciężko. Jeszcze żadna policyjna operacja nie przyniosła równie dotkliwych strat.

Verny dodał informację o aktualnej sytuacji. Trwało przeszukiwanie zgliszcz domu. Na miejscu znaleziono potężny arsenał: colt .45, sześciopistoletowe .357 magnum, broń szturmową, nie wspominając o materiałach wybuchowych, zapalnikach granatów... Ekspertów balistyki czekało sporo pracy.

Pod względem proceduralnym pracę prowadziły różne struktury: grupa śledcza żandarmerii z Brestu, SRPJ z Rennes, policjanci z OCRVP, wyspecjalizowani w walce z sektami. Prokurator republiki z Quimper wyznaczył prokuratora odpowiedzialnego za ustalenie i weryfikację faktów na miejscu. Tymczasem prokuratura paryska wydelegowała prokuratora śledczego, mającego poprowadzić sprawę serii morderstw, o które byli podejrzani trzej szaleńcy z Locquirec, jak głosił tytuł artykułu z wieczornego wydania „Le Monde”.

Erwan oparł głowę o poduszkę i zamknął oczy. Uważał to śledztwo za sprawę swojego życia, za odpowiednik sprawy Człowieka Gwoźdźcia z Afryki w życiu ojca, jednak akta nie były tak jasne, a jego rola nie tak chlubna. Zdemaskował winnych, odkrył mutacje, o czym na razie nikt nie wiedział – ale wszystko to zostało zepchnięte na dalszy plan po zbrojnej interwencji Grégoire'a Morvana, który w wieku sześćdziesięciu siedmiu lat w pojedynkę, z bronią w ręku, rozprawił się z trzema mordercami.

Papiery były niczym w starciu z kulami. Erwan był funkcjonariuszem, jego ojciec – bohaterem.

Ani razu nie pomyślał o tym, co stary wyga zrobił, raniąc go, żeby ratować mu życie. Po raz kolejny nadużył władzy rodzicielskiej. Morvan nie potrafił postępować inaczej.

Pukanie do drzwi.

Uniósł powieki i zapalił lampkę przy łóżku. Audrey, Sardynka i Tonfa weszli gęsiego. Każde z nich niosło pod pachą gruby tekturowy segregator.

– Co to?

– Akta procesu Thierry’ego Pharabota streszczone przez belgijskich adwokatów – wyjaśnił Favini.

– Streszczone? – zdziwił się Erwan, ze zdumieniem patrząc na dokumenty.

– Proces trwał wiele tygodni. Wszystko zarchiwizowano w Namur i nie pytaj dlaczego. Nasz agent łącznikowy wygrzebał je wczoraj. Stał na głowie, żeby natychmiast je odebrać, wrzucił je do samochodu i osobiście dostarczył dziś po południu do Trzydziestkiszóstki. Brawo dla policji!

Kolejno odkładali segregatory na jedyne krzesło w pokoju, wnosząc więź w Pizie w wersji bardziej chwiejnej i grożącej zawaleniem.

– Pomyśleliśmy, że przyda ci się trochę lektury – powiedziała z uśmiechem Audrey.

– Dziękuję. A gdzie jest Kripo?

– Ślęczy nad raportami. Lada chwila wyznaczą sędziego, więc musimy porządnie odrobić lekcje.

Trudne wyzwanie – musieli powiązać nazwiska, daty i miejsca z podejrzeniami, nigdy nie wypełniając rubryki dowodów bezpośrednich i poszlak.

– Każde z nas wybrało sobie podejrzanego – powiedziała Audrey – i próbuje obciążyć go morderstwem, na które nie miał alibi.

– Ja zajmuję się di Grekiem – wtrącił Tonfa.

– A ja pracuję nad Lartigues’em – podjęła Audrey. – Nico wziął Redlicha, a Kripo Irisuangę.

Nigeryjczyk doskonale odpowiadał możliwościom Alzarczyka – z proceduralnego punktu widzenia był najtrudniejszym z podejrzanych, mającym immunitet dyplomatyczny, więc narażającym władze na konflikt z ambasadą Nigerii. Kazus dla Skryby.

Policjanci nie mieli wiele więcej do powiedzenia. Lampka nocna, szpitalne łóżko, zimne resztki purée ziemniaczanego i ryby w panierce – była dopiero siódma wieczorem, a pokój Erwana już zapowiadał rychłą ciszę nocną.

– Dobrze, pójdziemy już – powiedziała Audrey. – Kiedy cię wypiszą?

– Mam nadzieję, że jutro.

Porozumieli się wzrokiem – żadne z nich w to nie wierzyło, nie chcieli jednak denerwować szefa nazajutrz po jego nieudanej bitwie.

Zanim minęła minuta, znów został sam. Przymknął oczy, próbując pozbierać myśli. Wyciągnął rękę po jeden z segregatorów i aż krzyknął z bólu, tak duży był ciężar. Puścił dokumenty, które upadły na podłogę. Nie miał siły, żeby je podnieść.

A poza tym po co właściwie miałyby grzebać w przeszłości? Problem stanowiła terażniejszość. Za dużo pozostało niejasności. Jak poznali się ci fanatycy? Jak to wszystko zorganizowali? Jak wyjaśnić morderstwa, skoro morderca nigdy nie został przez nikogo zauważony ani rozpoznany? Jak człowiek na wózku inwalidzkim albo kulawy poradził sobie z takim wyzwaniem fizycznym? Jak mocno osłabiony di Greco mógł zamordować Wisę Sawirisa? A może nie działali w pojedynkę? Gdzie znajdowała się ich izba tortur, w której składali ofiary z ludzi? Co stało się z wyciętymi narządami?

Wiele innych pytań nie dawało mu spokoju: po co te gwałty nasuwające myśl o osobistej, skrywanej obsesji? Dlaczego di Greco odebrał sobie życie, nie czekając, aż dokona się zemsta? Kto usiłował zabić go w Fos? Do czego właściwie dążyli ci degeneraci? I czy zamierzali wymordować cały klan Morvanów?

Prawdopodobnie była to najzwyczajniejsza chandra gliniarza. Już planował protokoły, które napisze, i wiedział, że będzie musiał przy tym borykać się z takimi sprawami jak czas, analiza DNA, wspomnienia sąsiadów. W dodatku zdawał sobie sprawę, że nigdy nie dojdzie do procesu, ponieważ podejrzani nie żyli.

Przypomniał sobie o czymś jeszcze. Sięgnął po telefon i napisał wiadomość do Audrey: „Pamiętaj o Marocie”. Ojciec uratował mu życie i po raz kolejny rozwiązał po swojemu sprawę Człowieka Gwoźdźca. A jednak Erwan nadal pragnął go dopaść, chciał, żeby stary wreszcie dostał za swoje. Po chwili wahania wcisnął „wyślij” i poczuł silny niesmak.

Już miał zgasić światło, kiedy ktoś zapukał do drzwi. Zanim zdążył

odpowiedzieć, stanęła w progu, spokojna i władcza. Podkrążone oczy, pot, napięcie na twarzy – to była brzydsza wersja Sofii, wciąż jednak wyrzeźbiona w karraryjskim marmurze.

– Już straciłem nadzieję – powitał ją uśmiechem.

– Nie chciałam spotkać się z potworami.

– Z kim?

– Z resztą twojej rodziny, mój aniele.

Uśmiechnął się i wstydliwie naciągnął koc na szpitalną koszulę.

Aleja Matignon, godzina dwudziesta trzecia. Loïc spał, ale to on śnił. O drobnym, skutecznym zamachu stanu w Kongu.

Takie wydarzenie przeraziłoby wszystkich posiadaczy akcji Coltano, a on mógłby za sensowne pieniądze odkupić te, które sprzedał. Traderzy i brokerzy, z Seranem na czele, dzwonili, żeby potwierdzić, że doszło do zmiany notowań – akcje spadały, a portfel Morvana szybko się opróżniał. Czekano jeszcze na informacje z Heemechtu, ale stary był o to spokojny – Montefiori robi, co trzeba.

Teraz był więc posiadaczem sporej gotówki, jednak wobec potencjału kopalń i ich wartości przy utrzymaniu rozsądnych cen ta wyprzedaż graniczyła z finansowym samobójstwem. Tak przyszło mu potraktować dzieło swego życia.

Niczego jednak nie żałował. Generałowie wkrótce zauważą spadek cen i skontaktują się z nim, by uzyskać wyjaśnienia. Będzie udawał niewiniątko, zasłoni się chwiejnością rynku. Paradoksalnie, łatwiej będzie mu się bronić w tej niepokojącej sytuacji, bo nikomu nie przyjdzie do głowy, że mógłby świadomie się rujnować.

A do tego czasu trzech bankierzy, którzy doprowadzili do skoku cen, zaczną pozbywać się akcji i Kabongo je odkupi. Podobnie jak Montefiori. On sam odzyska, co się da, i kurs wróci do sensownego poziomu sprzed całej afery. Najwyżej. Kongijczycy zapomną o całej aferze, a Morvan będzie mógł kontynuować błyskawiczną eksploatację nowych złóż, tak żeby ani miejscowe milicje, ani regularna armia niczego nie zauważyły. Znow nabije kabzę i pomnoży schedę. W jego wieku pracowało się już tylko na to, co było po tamtej stronie.

Wstał (zdjął już temblak) i delikatnie poczochnął włosy Loïca, chrapiącego w fotelu. Przez cały dzień tyrali, sprzedając ze stratą akcje z biura Firefly Capital, jak pozbywający się za bezcen podgniętej sałaty kupcy z targowiska, a Morvan mimo wszystko był szczęśliwy, że mógł spędzić ten czas z synem. Czuł, że odradza się między nimi namiastka porozumienia, jak za czasów

regat i żagli.

Podszedł do okna i obserwował wyglądające jak rozciągnięty w dole miedziany drut sznury samochodów i grę świateł nocy. Musiał co pewien czas odrywać się od interesów, żeby udzielić odpowiedzi na pytania zwierzchników, zaniepokojonych przebiegiem akcji w Locquirec. Za swój bohaterski wyczyn usłyszał tyleż pochwał, co słów krytyki. Jak zwykle.

Przez całe życie dowodził słuszności swoich posunięć, tłumaczył każdą decyzję bandzie niedojdów z najwyższych stołków. Tym razem zabił z zimną krwią trzech ludzi. Byli mordercami, ale dwaj z nich byli też niepełnosprawni, toteż z pewnością znajdą się i dziennikarze, i politycy, którzy zechcą zarzucać mu, że mógł – i powinien – postąpić inaczej. W młodości takie komentarze go dotykały, potem zaczęły go irytować. Dziś pozostawał na nie zupełnie obojętny. Wiedział, że to cena, jaką trzeba zapłacić za to, że jest się człowiekiem czynu.

Jak zawsze, prawdziwy szok krył się głęboko.

Kiedy wyrasta się ponad rodzaj ludzki – czyli ponad masy – trzeba stać się potworem, i to w dosłownym tego słowa znaczeniu. Jak powiedział Nietzsche: „Chcesz łatwego życia? Trzymaj się więc blisko stada i zapomnij się w nim”. Morvan po raz kolejny pogrążył się w lodowatych głębinach, które tak dobrze znał. Dowiódł swej odmienności. Trzymał się tej ryzykownej granicy między życiem a śmiercią.

Jeszcze tym razem to byli oni. Ale przecież mogło się stać inaczej – mógł to być on. Wystarczyło wbić sobie do głowy tę myśl i trzymać się jej, żeby już nie doznawać rozterek. Kiedy otchłań jest w nas, nie słyszymy już, jak nas woła.

Pozostawał jeszcze jeden problem: milczenie Loïca. Od wczoraj ani słowem nie napomknął o zaaranżowanym małżeństwie. Z tyłu dobiegł go jakiś szelest. Zerknął przez ramię.

Cierpliwość przebija niebiosą...

Siedząc w fotelu, syn celował do niego z pistoletu.

Od powrotu z Salpêtrière wciąż czuła ten niepokój. Dokładniej – od tego epizodu z windą. Ta brudna, odrapana kabina i pielęgniarz w masce za jej plecami wciąż stały jej przed oczyma. W pierwszej chwili nie rozumiała źródła lęku, teraz jednak już wiedziała, że ten człowiek przypominał jej mordercę ze Świętej Anny, chociaż nie widziała twarzy żadnego z nich. Może to zapach. A może tylko sylwetka.

Ze szpitala kazała pilnującemu jej Karlowi przywieźć się do domu, a nie do kliniki w Chatou. Czarny zadzwonił do Morvana. Uzyskał zgodę. Kiedy znaleźli się przed drzwiami, poprosiła inspektora, żeby sprawdził mieszkanie, a potem dokładnie zamknęła drzwi, tak że oboje znaleźli się w „bezpiecznej strefie”. Karl prawdopodobnie zaczął sobie sporo obiecywać – niewątpliwie wiedział, jaką reputacją cieszy się córka szefa – ale musiał zadowolić się marzeniami, bo Gaëlle bardzo się zmieniła. Po prostu umierała ze strachu.

Zaraz potem wpadła na pomysł, żeby słuchać informacji. Przez kilka godzin bez przerwy oglądała wszystkie wiadomości i wydania specjalne poświęcone strzelaninie w Locquirec, przez niektórych nazywanej „masakrą na wybrzeżu Różowego Granitu”, jakby chciała przekonać samą siebie, że wszystko dobrze się skończyło. Widziała nosze, czarne worki na zwłoki, zgliszcza domu. Śledziła chronologię wydarzeń. Za każdym razem powtarzano, że Ivo Lartigues, Sébastien Redlich i Joseph Irisuanga zginęli w tym starciu z ręki jednego człowieka – jej ojca.

Ale czy śledztwo wszystko wyjaśniło? W rzeczywistości morderców było czterech (powiedział jej o tym Erwan), ale kto mógł ją zapewnić, że ta grupa nie była jeszcze liczniejsza? Próbowała dodzwonić się do brata – na próżno. Potem do ojca. Też bez efektu. *Łajdacy*. Mieli czas, żeby zamknąć ją w domu wariatów albo postawić pod pręgierzem, ale teraz, kiedy ich potrzebowała...

Poszła po kolejną puszkę coli zero. Była niesprawiedliwa, Morvanowie – ojciec i syn – zawsze byli przy niej, nawet kiedy ich nie chciała.

Żeby dotrzeć do kuchni, musiała przejść przez maleńki salon połączony z przedpokojem. To tam ulokował się Karl, by pełnić wartę. Skulony

w fotelu, grał w *Candy Crush* i wydawał się zdecydowany na jedno: nie odtwarzać kolejnej nocy *Bodyguarda* – filmu z Kevinem Costnerem i Whitney Houston.

Wzięła puszkę i wróciła do sypialni. Wypiła łyk lodowatego płynu, kątem oka patrząc na swego rosnącego anioła stróża. Niepokoiła ją nawet jego obecność, bo skoro było już po wszystkim, to co on tu jeszcze robił?

Stanął przy oknie i obserwowała opustoszałą ulicę. Wydawało jej się, że w poświęceniu latarni dostrzegła cień tuż pod swoją kamienicą. Szybko otworzyła okno i mocno się wychyliła. W tej samej chwili dwie ręce pociągnęły ją do tyłu i rzuciły na małą kanapę w sypialni.

– Odbiło ci czy co? – warknęła zdenerwowana.

Dopiero teraz przypomniała sobie, że Karl chroni ją przede wszystkim przed nią samą. Bez słowa zamknął okno.

– Na ulicy jest człowiek, który wygląda, jakby obserwował dom.

Karl spojrzał na nią podejrzliwie.

– Przysięgam, że to prawda! – krzyknęła, wstając. – Nie czuję się bezpieczna. Odkąd wyszłam ze szpitala, mam wrażenie, że ktoś nas śledzi.

Odwrócił się powoli, stając twarzą do niej. Miał sposób poruszania się i oddychania proporcjonalny do masy mięśniowej – a ta była potężna.

– Może zejdziesz, żeby się rozejrzeć?

– Nie ma mowy. Muszę zostać przy pani.

Słowa w jego ustach brzmiały tak, jakby wtórował im odgłos staczających się po zboczu kamieni.

– A co z facetem na dole? To nie twoja sprawa?

Karl pokiwał głową. Wiedziała, że rozkazy wydaje mu bezpośrednio Morvan, co miało pewną zaletę – błyskawicznie podejmowane decyzje. Ale miało też pewną wadę, bo Karl myślał dwa razy, zanim ośmielił się zakłócić spokój „szefa”.

W końcu, dość niechętnie, wsunął rękę do kieszeni i wyciągnął telefon.

Kiedy komórka zadzwoniła, Morvan wskazał palcem kieszeń marynarki:

– Mogę?

Syn wciąż jeszcze trzymał go na muszce. Od dziesięciu minut prowadzili beładną rozmowę, w której rolę mediatora odgrywał wyciągnięty nie wiadomo skąd pistolet.

Potwierdziło się najgorsze: Sofia rozmawiała już z Loikiem, który może obrał taką strategię, a może po prostu wydziwiał, ale aż dotąd ukrywał gniew. Ramię w ramię z ojcem wyprzedawał portfel akcji, a teraz nagle, odurzony kokainą, która parowała w jego mózgu, groził Morvanowi śmiercią.

Dzwonek, jak zawsze.

Ze strony Loïca niczego się nie obawiał. Jak każde dziecko, któremu nigdy niczego nie brakowało, jego syn nie skrzywdziłby muchy. Zwłaszcza teraz, kiedy żył zgodnie z zaleceniami buddyzmu. Poza tym, żeby strzelić do człowieka, trzeba przekroczyć pewną granicę, od której Loïc podświadomie trzymał się bardzo daleko.

– Mogę odebrać czy nie?

Loïc w końcu skinął głową.

Karl. Człowiek, któremu powierzył Gaëlle.

– Jakiś problem?

– Nie, a właściwie... pańskiej córce wydaje się, że coś widziała.

– Ale co?

– Mężczyznę... który obserwuje kamienicę... – Zawiesił głos. – Nie wiem, co o tym myśleć.

– Gdzie teraz jesteś?

– W mieszkaniu, razem z nią.

Morvan wyobraził sobie tę scenę i o mało się nie roześmiał: Gaëlle, wystraszona i wściekła zarazem, prawdopodobnie stała przed nim z rękami splecionymi na piersiach, wpatrując się w niego zimnymi jak lód oczyma, a on, były legionista, miotał się między zdumiewająco jasnowłosą dziewczynką a szefem, którego się bał.

- Drugi z was nie został na dole?
- Jestem sam. To pan zdecydował, że...
- Masz rację. A ty coś zauważyłeś?
- Przez okno nic, a nie chcę jej zostawiać, żeby wyjść i się rozejrzeć.
- Ktoś jeszcze jest teraz wolny?
- Ortiz.
- Powiedz mu, żeby podjechał. Jeden z was zostaje na górze, drugi obserwuje ulicę.

- Chce pan porozmawiać z córką?
- Nie. Zadzwoń, kiedy już to ogarniecie.

Rozłączył się i wbił oczy w Loïca, który przez cały ten czas nie ruszył się z miejsca. Jego twarz drgała, szarpana tikami, a powieki niepostrzeżenie mrugały. Było to zadziwiające połączenie napięcia nerwowego z sennością.

- Gdybyś chciał strzelić, zrobiłbyś to już dawno, prawda?
- Zamknij się. Chcę to zrozumieć.
- Ale co?
- Jak możesz posługiwać się własnymi dziećmi w swoich machlojkach.

Morvan przysunął się do niego. Palec Loïca zacisnął się na spuście. Stary stanął – z bronią łatwo o wypadek.

– Posłuchaj – powiedział spokojnie. – Byłeś alkoholikiem w wieku, w którym sięga się po pierwszego papierosa. Uzależniłeś się od heroiny, kiedy twoi rówieśnicy palili pierwszego jointa. Umarłeś, zanim osiągnąłeś pełnoletniość.

- Zapominasz o mojej podróży po Tybecie.
- Ten stary pedał wcale cię nie uratował.
- Nie mów tak o nim!

Morvan uniósł rękę, przeprasząc syna gestem.

– Chciałem po prostu powiedzieć, że nadal jesteś nadwrażliwy. Małżeństwo z Sofią miało zapewnić ci przyszłość, pozwolić na przejęcie dziedzictwa po mnie.

– I dlatego pozwoliłeś sobie decydować o moim życiu?
– To był dobry pomysł, żeby doprowadzić do twojego spotkania z Sofią. Najlepszym dowodem jest to, że się w sobie zakochaliście. To była idealna dziewczyna.

- I ty to mówisz?
- Byłeś z nią szczęśliwy.

– Za kogo się uważacie, ty i jej ojciec? Za bogów?

– Jakie to ma teraz znaczenie? Przecież się rozwodzicie, prawda? A ja nie mam już nawet akcji Coltano.

Ręka Loïca drżała. Przypadkowy strzał stawał się coraz bardziej prawdopodobny.

– Nie ujdzie ci to płazem. Nie tym razem!

Morvan, jakby nigdy nic, jeszcze bardziej przysunął się do syna. Kantem dłoni uderzył w uzbrojoną rękę. Loïc zawył z bólu – ojciec celował w kanał nadgarstka i nerw pośrodkowy: chłopak przez kilka dni będzie miał trudności z pisanem. Jego pistolet potoczył się po parkiecie pod ścianę. Morvan chwycił Loïca za gardło i zmusił go, żeby wstał.

– Posłuchaj uważnie, chłopcze. Odkąd przyszedłeś na świat, chronię cię, przede wszystkim przed tobą samym. Jeśli chodzi o Sofię, to zawsze oglądała świat zza szyby mercedesa. Nic nie wiecie, nigdy nie musieliście o nic walczyć, więc teraz jest już za późno, żeby mnie pouczać albo odgrywać przede mną twardziela.

Rzucił go na fotel. Loïc zwinął się w kłębek i zajął masowaniem nadgarstka.

– Mogę jeszcze popełnić samobójstwo, zabić Sofię i dzieci.

– Najpierw naucz się obchodzić z bronią. – Podniósł pistolet: broń była zabezpieczona, do komory nie wprowadzono kuli. – Postarajmy się zapomnieć o tym incydencie – powiedział ugodowo. – Od jutra trzeba zająć się kupowaniem akcji. Weź się do roboty i uzyskaj...

– Nic do ciebie nie dotarło? – krzyknął Loïc. – Mam w dupie twoje pieprzone akcje! W ciągu godziny zarabiam więcej niż wszystkie twoje kopalnie przez cały dzień. Masz mentalność właściciela niewolników, a to już wyszło z mody! Można zbijać majątek, nie przelewając krwi i nie katując całych pokoleń pracą pod ziemią, ty przeklęty kolonialny faszysto!

Morvan wysłuchał tych zniewag. Może zresztą syn powiedział prawdę – może należał do innej epoki. Ale przecież Loïc nie był tak głupi, żeby nie zdawać sobie sprawy, że za giełdą, za operacjami finansowymi, zawsze kryją się pot, krew i łzy.

– Uspokój się – powiedział, jakby kazał małemu chłopcu nie wtrącać się w sprawy dorosłych i wrócić do zabawy. – Kwestia Coltano jest zamknięta. Wasze spadki nigdy się nie połączą, ponieważ się rozwodzicie. Źle się to zaczęło i źle skończyło.

Loïc wstał i przeciągnął się, jakby już zapomniał o gniewie, broni i pogróżkach. Biedny dzieciak, bił wszelkie rekordy niekonsekwencji.

– Pamiętaj, że to mogłoby być twoje epitafium – wycedził przez zęby.

– Czy doczekam dnia, w którym przestaniecie mnie osądzać?

Loïc chwycił wieczorne wydanie „Le Monde”, które leżało na biurku, i cisnął je ojcu w twarz. Na pierwszej stronie pisano o strzelaninie w Locquirec i heroizmie Grégoire’a Morvana.

– Zrobiłeś chyba wszystko, co mogłeś?

Miał ochotę dać mu w twarz, ale przypomniał sobie, jak strzelił do Erwana i zrobiło mu się niedobrze.

Wsunął pistolet za pasek na plecach i włożył marynarkę.

– Prześpij się, a jutro rano sprawdź nasze rachunki. Zadzwoń do ciebie.

– Odpieprz się.

Pod domem Morvan głęboko odetchnął paryskim powietrzem – spalinami, wonią wilgotnego asfaltu, oparami benzyny. To była jego wersja świeżego powietrza. Wybrał numer Karla, żeby sprawdzić, czy Gaëlle była bezpieczna.

Marzył, by głęboko zasnąć i już nigdy się nie obudzić.

Erwan potrafiłby przystosować się tylko do jednego elementu szpitalnego życia: rozkładu dnia. Śniadanie o szóstej rano, zmiana opatrunków o siódmej – to mu nie przeszkadzało. Czekał na otwarcie biura administracji, żeby podpisać formularze i wypisać się ze szpitala na własną odpowiedzialność.

Poprzedniego dnia funkcjonariusz postawił na parking jego samochód, bo Erwan uznał, że mimo bandaży na brzuchu może prowadzić. O ósmej trzydzieści zmierzał już bulwarem de l’Hôpital w kierunku dworca Austerlitz.

W powrocie do zdrowia nie pomógł mu pobyt w klinice, a wyłącznie Sofia. Chwile, które spędzili wczoraj razem, były, jak mówią znawcy diamentów, *flawless*, „bez skazy”. Kochali się w jego łóżku, a on przy każdym ruchu jęczał z bólu. Czuł przy tym niewypowiedzianą rozkosz, być może taką, na jaką czekał przez całe życie. Rozkosz jansenisty, który nie potrafi doznać przyjemności bez jej młodszej siostrzyczki – męki, jaką niesie kara.

Po wyjściu Sofii nie mógł zasnąć, choć była już północ. Zagłębił się w aktach z procesu i czytał je przez całą noc. Na próżno, a właściwie – niemal na próżno. Czuł się za to oczyszczony, ogarnięty swoistym gorączkowym podnieceniem.

Jechał bulwarem Montebello, kiedy zadzwonił Kripo.

– Jak wam idzie? – zapytał Erwan, nie dopuszczając go do głosu.

– Niczego nie znaleźliśmy. Żadnych powiązań, żadnych konkretów, które łączyłyby tych czterech z zabójstwami.

– Mów jaśniej.

– W przypadku każdego z morderstw jeden z naszych podejrzanych mógłby być sprawcą, ponieważ nie miał alibi. Ale nie koniec na tym. Di Greco mógł popłynąć na łódź, żeby zarznąć Wissę Sawirisa, ale przecież mógł po prostu wybrać się na ryby. Lartigues był wieczorem jedenastego września sam, co nie znaczy, że poszedł pod most d’Arcole. Redlich znał Pernauda, jednak nikt nie widział go na ulicy de la Voûte. I tak dalej.

– A dowody materialne?

– Przeszukanie pracowni Lartigues’a i barki Redlicha nic nie dały.

Wybrzeże Grands-Augustins. Wybrzeże Conti. Wybrzeże Malaquais. Nawet nie spojrział w stronę „36” na drugim brzegu Sekwany, skąd mówił do niego Kripo.

– A co z Irisuangą?

– Chiński mur. Jego mieszkanie i galeria są chronione immunitetem dyplomatycznym. Z pewnością był tamtego wieczoru u Lartigues’a, ale o której wyszedł? Zagadka.

– To wszystko?

Kripo, co było do niego niepodobne – podniósł głos:

– „To wszystko?” Właśnie ci tłumaczę, że może wdepnęliśmy w gówno, a twój ojciec rozwalił trzech świrów, z których może żaden nie był Człowiekiem Gwoździem, i że prawdziwy morderca może być nadal na wolności, a ty pytasz, czy to wszystko? Naprawdę coraz trudniej cię zadowolić, jakbyś nigdy nie miał dość kłopotów.

Erwan nie odpowiedział. Te nowe fakty o dziwo współgrały z tym, co przeczytał w aktach z procesu. Faszerował się skrótami zeznań, obłąkańczymi odpowiedziami Pharabota, streszczeniami mów obrońcy i oskarżyciela – ale po co, skoro nie dowiedział się niczego ważnego?

W takich chwilach przemawiały do niego nie słowa, ale raczej strefy niejasności. *Coś tu nie pasuje*. Umknął mu pewien szczegół, a ten szczegół, mimo że dotyczył zbrodni sprzed czterdziestu lat, mógł ułatwić zrozumienie nowych wydarzeń.

– Słuchasz mnie? Co mamy robić?

– Szukajcie dalej, drążcie, grzebcie w ich przeszłości i znajdźcie jakiś pieprzony motyw.

– Ale to nie da nam dowodów bezpośrednich.

– Z tym nic już nie da się zrobić. Zamykamy sprawę, opierając się na poszlakach.

– Nie poznaję cię.

– To się nazywa poczucie realizmu.

– Okej, przekażę to ludziom.

Kripo się rozłączył, a Erwan pojechał mostem Royal w kierunku ulicy Pyramides. Okolice Opery, odmienna atmosfera. W szkole policyjnej uczono, że wielkie arterie Haussmanna – szerokie i proste – zaprojektowane zostały tak, by ułatwiać poskramianie buntów ludu, strzelanie z armat i szarże

kawalerii. „Najlepszy dowód, że Maj '68 rozpętał się po drugiej stronie Sekwany!” – potwierdzał te opinie ojciec.

Najwyższy czas potrząsnąć starym.

– Nadal jesteś w szpitalu? – zapytał pełnym niepokoju głosem Morvan.–

Wypisali cię?

– Przecież ledwie mnie drasnąłeś.

– Musimy o tym pogadać. To był...

– Nie mam już siły cię obwiniać.

– Zwycięstwo przez zmęczenie przeciwnika! – Morvan zaśmiał się. –

Powinieneś teraz porządnie wypocząć.

– Wybieram się w podróż.

– Mogę ci dać klucze do Bréhat.

– Jadę do Belgii.

Krótką chwilą ciszy.

– Dlaczego właśnie do Belgii?

– Przez całą noc katowałem się archiwalnymi aktami z procesu w Lubumbashi. Trzy segregatory po cztery kilogramy papierów każdy.

Znów zapadło milczenie. Erwan okrążył pałac Garnier³⁴, pompatyczny i wyzłocony, potem zjechał w stronę ulicy Lafayette. Kolejna arteria stworzona dla lekkiej jazdy.

– Jak zdobyłeś te akta?

– Z Namur. Przechowywano tam odpisy adwokatów.

– Czego właściwie szukasz?

– Pewne elementy wydają mi się mało przekonujące i nieudokumentowane. Żeby nie powiedzieć – dziwaczne.

– Co z tego? Przecież twoje śledztwo jest już zamknięte, a winni nie żyją.

– Może wcale nie. Pozostało jeszcze wiele pytań bez odpowiedzi. W końcu fakt, że ci kretyńscy poddali się przeszczepowi szpiku kostnego pobranego od trupa, nie dowodzi, że byli mordercami.

– Zabili dwóch żandarmów.

– Fakt. I zwieźli do Locquirec broń. Ale chcę mieć pewność, że to oni zamordowali Wissę Sawirisa i innych.

– Wciąż nie odpowiedziałeś na moje pytanie: dlaczego do Belgii?

– Chcę przesłuchać świadków tamtej sprawy.

– Kogo?

– Jeszcze nie wiem.

Wolał nie wymieniać nazwisk.

– Pogubiłeś się, synu. Bądź ostrożny, ja o mało nie oszalałem przez tę sprawę.

Postanowił podpuścić starego.

– Odniosłem wrażenie, że podczas procesu myślałeś bardzo trzeźwo.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Czytając twoje zeznania, nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że wygrałeś dzięki swoim talentom oratorskim.

– Czyżbyś wątpił także w winę Pharabota?

– Nie. Miałeś prawdziwe dowody i zeznania. Ale po stronie faktów i okoliczności jest sporo luk.

– Uparłeś się, żeby mi dopiec? Może źle wykonałem swoją robotę?

– Ja się tylko zastanawiam. Człowiek Gwózdź zabił dziewięć razy...

– Gdybym go nie aresztował, zabiłyby wszystkie studentki z Lontano.

– I właśnie o to chodzi. Jak to możliwe, że pozwoliły mu się do siebie zbliżyć w atmosferze strachu, jaki tam panował? Kiedy po Paryżu krąży morderca, to mimo że jest to dwumilionowe miasto, żadna kobieta nie wychodzi sama na ulicę. A w Lontano mieszkało zaledwie kilkadziesiąt tysięcy ludzi.

– Widziałeś jego podobiznę?

– Nie. Nie znalazłem żadnych dokumentów antropometrycznych.

– Pharabot bał się aparatów fotograficznych. To afrykański przesąd. Chłopak był blondynem o twarzy anioła i bujnej czuprynie. Łagodny, trochę zagubiony. Kto się takich boi?

Ta odpowiedź nie miała sensu. Erwan wyobrażał sobie, jaka panika musiała wtedy panować wśród studentek i sekretarek – nawet jednonogi starzec spłoszyłby każdą z nich.

Jechał ulicą Cadet, zbliżając się do Bellefond. Myślał już o czekającym go pakowaniu walizki.

– Może w Belgii znajdę odpowiedzi na te pytania. A jeżeli to nie wystarczy, pojedę do Afryki.

– Jakie odpowiedzi? Zwariowałeś?

– Nie, jestem tylko ranny. Pharabot i jego zabójstwa to drzewo, za którym kryje się cały las.

– Jaki znowu las? O tej porze...

Erwan zjechał na parking i stracił zasięg. W słuchawce zapadła cisza.

Beton miał swoje zalety. Takiego materiału trzeba, żeby pokrzyżować plany starego.

Półtorej godziny w pociągu. Erwan skserował najciekawsze fragmenty protokołów, żeby jeszcze raz je przeczytać. Przed sądem zeznawało całe Lontano – krewni, śledczy, pracodawcy, misjonarze, robotnicy... Nikt nic nie widział, o ile odpisy akt były kompletne. Oczywisty był tylko strach: każde odnalezione ciało wywoływało swoistą nabożną trwogę. Z tych zeznań wyłaniał się obraz społeczności, której życie zamarło w oczekiwaniu na schwytanie bestii.

Natomiast szefowie Pharabota opisywali go jako pracownika, który nie nastęczał żadnych problemów, był ceniony, zawsze gotów wyruszyć w busz. Inżynier był typowym psychopata, zimną bestią, doskonale umiejącą się maskować. Utrzymywał równowagę, z jednej strony targany lękami, z drugiej – dopuszczający się makabrycznych zbrodni. Doskonale zorganizowany, niemal pedantyczny i inteligentny zabójca, tworzył „dzieło” dowodzące ogromnej siły i wewnętrznego chłodu, który nie pozwalał mu rozpaść się na kawałki pod wpływem skrywanego strachu.

Oto niektóre z jego odpowiedzi: „Dlaczego zabił pan te kobiety? – Potężny atak wymaga potężnej riposty”;

albo: „Pozostawił pan zwłoki ofiary przy drodze do Ankoro? – Jedyne ścieżki, jakie przemierzam, to ścieżki duchowe. Poruszam się w innym świecie”;

albo wreszcie: „Czy kobiety, które pan zabijał, były fetyszami?” – We wnętrzu ciała *bilongo* jest rozgrzany. *Bilongo* jest potężny”. Po zasięgnięciu informacji dowiedziano się, że *bilongo* to duch, którego się aktywuje w statuetce, wbijając w nią gwóźdź, plując na nią i skrapiając ją własną krwią.

Belgijscy i francuscy psychiatrzy, dziś już nieżyjący, odbyli podróż, a ich sprzeczne opinie nie pozwoliły ustalić, czy inżynier mógł odpowiadać za swoje czyny ani nawet czy był chory z punktu widzenia psychiatrii, chyba że ta uznałaby za całkowicie niepoczytalnych świętego Jana Chrzciciela albo Kobo-Daishi. Z ich słów wynikało, że granica między wiarą a obłędem jest

bardzo cienka.

Erwana najbardziej interesował wątek procesu skupiający się na czarach. Najlepszym ekspertem w tej dziedzinie okazał się biały zakonnik, Félix Krauss, także psychiatra, który mieszkał w Dolnym Kongu i szczęśliwym zbiegiem okoliczności w roku 1969 sprowadził się do Lubumbashi. Ten młody misjonarz wyjaśnił, że *nganga* jest czyniącym sprawiedliwość, że karze za winy, tocząc walkę z czarownikami, którzy rzucają uroki, rozsiewają choroby, wzniecają namiętności, aż te przywiodą ofiarę do śmierci. Portret Pharabota jako „białego *ngangi*” w służbie czarnoskórych rodzin szokował, ale Krauss mówił prawdę – inżynier cieszył się szacunkiem robotniczej społeczności Lontano.

Erwan szukał Kraussa za pośrednictwem internetu. Obecnie człowiek ten wykładał etnologię i religioznawstwo na uniwersytecie katolickim w Louvain. Przed podróżą policjant uprzedził go o swoim przyjeździe. Ojciec mówił po francusku z akcentem twardym jak fasady Brugii i Gandawy. Zapewniał, że z przyjemnością pomoże. To był jedyny trop Erwana, który szukał także rodzin ofiar, ale Vosów, Mompersów, Verhoevenów było w Belgii na pęczki, a on nie miał ani czasu, ani możliwości kontaktowania się z każdym z nich i szukania ich afrykańskich korzeni.

Dojeżdżając, Erwan wpatrywał się w fotografię Thierry’ego Pharabota, którą znalazł w końcu wśród dokumentów – zdjęcie antropometryczne wykonane kilka dni po aresztowaniu. Ojciec mówił prawdę – to był przystojny młody człowiek o szczupłej twarzy i regularnych rysach. Wyglądał na subtelnego, wręcz słabego. Włosy i brwi miał jasne, marzycielski wyraz twarzy. Trudno było uwierzyć, że patrzyło się na władcę piekieł, których wrota być może nadal się nie zamknęły.

Bruksela, godzina osiemnasta. Taksówka. Na dojazd do Louvain trzeba było pół godziny. Erwan zawsze wyobrażał sobie Flandrię, ale nigdy dotąd tu nie był. Uważał, że ten region jest jak kufer pełen skarbów – dzieł malarzy, których podziwiał, od prymitywnej sztuki flamandzkiej po siedemnastowiecznych mistrzów jak Rembrandt czy Rubens.

Jak dotąd mógł nacieszyć oczy pejzażami, które też go nie rozczarowały. Równiny bez żadnych pofałdowań, ciągnące się aż po horyzont, mieniące się złotem i miedzią zmierzch, długie, leniwe cienie. Nie wspominając o domach i kościołach, które zdawały się wyciosane z jednolitego bloku barwy krwi. Zaślubiny złota i krwi...

– Nie zjechał pan w kierunku Louvain?

Kierowca minął zjazd na wschód, do „Leuven” i jechał na południe N3.

– Nie jedzie pan do Louvain.

– Przecież powiedziałem, że...

– Powiedział pan Louvain-la-Neuve.

– To nie to samo?

– Nie. To w strefie francuskojęzycznej.

Erwan rzucił ze źle skrywaną irytacją:

– Może mi pan to wyjaśnić, tak będzie szybciej.

– Belgia jest podzielona na dwie części – walońską, gdzie mówi się po francusku, i flamandzką, gdzie mówi się po flamandzku. To znaczy, nie do końca...

– Tyle to wiem.

– Do roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego uniwersytet katolicki w Louvain mieścił się w Louvain, w strefie flamandzkiej, ale połowa studentów mówiła po francusku. Dla fanatyków szafujących hasłem „każdy język w swoim regionie” stało się to nieznośne. Dochodziło do manifestacji, bójek. U was nazywa się to „kryzysem lingwistycznym”, ale tu najważniejsze było hasło: „*Walen buiten!* – „Precz z Walonami!”.

Erwan zadumał się nad wojną religijną, w której stawką był język.

– I co dalej?

– Zapadła decyzja o podziale uniwersytetu i błyskawicznie wybudowano nowe miasto we frankofońskiej Brabancji.

– Louvain-le-Neuve?

– Tak. Osobliwe miejsce. Wszystko tam powstało w ciągu kilku lat.

Erwan spodziewał się ujrzeć gotyckie budowle, frontony z niszami, strzeliste okna. Zobaczył natomiast szerokie pasaży, a przy nich budynki jak klocki i odstręczającą architekturę, typową dla nowych osiedli wznoszących się na przedmieściach, gdzie w przestrzeniach między obszarami mieszkaniowymi znajdują się kawiarnie, pralnie, supermarkety.

– Jestem umówiony na wydziale filozofii.

– Czyli w kolegium Erazma. Nie mogę tam wjechać.

Erwan wysiadł na skraju szarej esplanady, u stóp modernistycznej dzwonnicy. Jego buty stuknęły o chodnik. Budynek, do którego się kierował, wzorowany był z grubsza na stylu gotyckim – miał strzeliste, ostrołukowe okna, kolumny z kapitelami w kształcie litery V. Wrażenie było dziwne,

jakby użyto starej formy, by odlać nowy beton.

– Szukam ojca Kraussa.

Siedzący w recepcji student wskazał palcem sufit. Erwan wzniósł oczy i nad sobą ujrzał kilka otwartych pięter biblioteki. Półki ciągnęły się wokół centralnego patio. Architektura: białe kolumny, parapety z jasnego drewna, opierała się na powtarzalności motywów w dwóch kolorach.

Erwan rozglądał się, szukając schodów. Ojciec Krauss krążył prawdopodobnie po dziale psychiatrii albo etnologii.

Miał ponad siedemdziesiąt lat, ale siwe, ścięte na jeża włosy o dziwo dodawały mu niesamowitego wigoru. Drobny, w czarnym, źle skrojonym garniturze, nosił białą jak hostia koloratkę. Między dwiema stertami książek, pochylony nad rozprawą etnomedyczną, ojciec Krauss sprawiał miłe wrażenie stworzenia, któremu chce się zapewnić bezpieczeństwo, trzymając je w jego naturalnym biotopie.

Erwan był bardzo zmęczony po podróży, bezsennej nocy i wszystkim, co się ostatnio wydarzyło. Nie miał ani czasu, ani energii na długie powitania. Przedstawił się i poprosił, żeby usiedli w spokojnym zakątku, gdzie mógłby zadać rozmówcy kilka pytań.

– Oczywiście – powiedział misjonarz, odstawiając książkę na półkę. – Po pańskim telefonie przeczytałem notatki z tamtych czasów.

Mówił z niemieckim akcentem, który dodawał dobitności jego słowom.

– Mógłbym je przejrzeć?

– Nie. To tajemnica lekarska. Proszę ze mną.

Nieźle się zaczynało. Erwan ruszył w ślad za nim. O tej porze biblioteka świeciła pustkami. Jej drewniane półki miały w sobie dziwną kinetykę – kiedy się na nie długo patrzyło, zaczynały nabierać życia i tańczyć.

– Najpierw chciałbym panu coś pokazać.

Szli wzdłuż balustrady, potem Krauss otworzył kartą magnetyczną drzwi i wkroczyli do biegnących amfiladą małych sal bez okien, o ścianach z pomalowanej na biało cegły. Wszędzie stały afrykańskie figurki z drewna albo z gliny – ponabijane gwoździami, otoczone włóknami roślinnymi, sznurkami.

– To wystawa poświęcona Leo Bittremieux, misjonarzowi z kartuzji Scheut z początku dwudziestego wieku. Był badaczem kultury Yombe i wysyłał do Belgii mnóstwo tych sakralnych figurek. Czystej krwi Flamand, nie chciał mówić po francusku „nawet stojąc przed królem” i nienawidził kolonistów. Utrzymywał, że biali przybyli do Afryki nie po to, „żeby cywilizować, ale żeby zasyfić”.

Erwan chciał położyć kres tym dygresjom, ale powiedział sobie, że w pewnym sensie przyjechał tu, żeby nasiąknąć tą kulturą. Zatrzymał się przed fetyszem mścicielem w pelerynie z juty, z gwoździami sterczącymi z piersi, ostrymi zębami i czaszką w kształcie rombu.

– To jedna z najbardziej przerażających figurek, jakie mamy – powiedział Krauss, kładąc rękę na głowie rzeźby jak poskramiacz głaszczący oswojonego lwa. Takie *nkondi* ratuje opętane dzieci, które jedzą ziemię.

– Przy okazji śledztwa dowiedziałem się już sporo o tych wierzeniach i...

– To znacznie więcej niż wierzenia! To metafizyka. Kanwa bytu. Czarni nie wierzą w przypadek ani niewytłumaczalne zdarzenia. Między bogiem a człowiekiem istnieje antresola – piętro duchów i tajemnych mocy. Kongijczyk umiera na AIDS – to wersja Europejczyka, bo afrykańska prawda jest taka, że jeden z jego synów jest czarownikiem i zabił go, zsyłając na niego chorobę.

W kolejnych salach zmieniał się wygląd *minkondi*, które stawały się coraz mniejsze, w końcu zamieniały się w tylko pobieżnie rzeźbione kawałki drewna, płócienne woreczki zdobione grzechotkami, w oplecione sznurkami kamienie. Wystarczył jeden szczegół, żeby przeobrazić je w obiekty sakralne o wielkiej mocy i znaczeniu.

– Przypuszczam – podjął Krauss – że pański ojciec wprowadził pana w ten świat.

– Wie ksiądz, kim jest mój ojciec?

– Sprawdziłem w internecie, ta zbieżność nazwisk nie mogła być przypadkowa.

– Poznaliście się w tamtych latach?

– O dziwo, nie. Poznałem go znacznie później, po roku dwutysięcznym, kiedy wypożyczył nam swoją kolekcję na wystawę.

Erwan nie wiedział, że *minkondi* ojca podróżowały.

– Kiedy widzieliśmy się po raz ostatni – wyznał Krauss, uśmiechając się radośnie – dał mi do zrozumienia, że podaruje ją naszemu uniwersytetowi.

To była dobra wiadomość – ani Erwan, ani jego brat i siostra nie odziedziczą więc tych przerażających fetyszy gwoździowych pełnych złej energii. Erwan zatrzymał się znowu przy pędzie palmowym, do którego przymocowano muszlę, a wyobrażającym na pół roślinny, na pół mineralny sztylet.

– Co różni szaleństwo od wierzeń? – ciągnął Krauss. – Czyjaś wiara w to,

że Jezus Chrystus chodził po wodzie, mogłaby – z psychiatrycznego punktu widzenia – zostać źle oceniona.

– Pharabot dziewięciokrotnie zabił w imię swojej wiary.

– Ilu rzezi dokonano w świecie chrześcijańskim, muzułmańskim, buddyjskim w imię religii? Jesteśmy na miejscu.

Krauss otworzył drzwi sali i stanął z boku, żeby go przepuścić.

Światła jarzeniowe zapalały się kolejno, ukazując rzędy stołów.

– Proszę usiąść.

Erwan zajął miejsce, a zakonnik usiadł twarzą do niego. Przed rozmową policjant wyjął dyktafon.

– Pozwoli ojciec, że będę nagrywał?

– Bardzo proszę, przedtem jednak chciałbym o coś pana zapytać.

– Słucham.

Nie mógł sobie pozwolić na zabawy w gliniarza, który niczego nie ujawnia.

– Powiedział pan, że prowadzi śledztwo w sprawie serii morderstw w Paryżu.

– Zgadza się.

– Dziś rano czytałem, że ich domniemani sprawcy zginęli w strzelaninie, do której doszło w Bretanii.

Erwan zdecydował się na połowiczne kłamstwo:

– To prawda, jednak zanim napiszę raport, muszę opracować możliwie najdokładniejszy portret człowieka, który stał się ich wzorcem, Thierry’ego Pharabota.

– Chce pan powiedzieć, że szpera pan w przeszłości Człowieka Gwoźdza, szukając wyjaśnienia tego, co stało się teraz? Może czegoś pan nie zrozumiał?

Erwan lekko się uśmiechnął. Przywykł postrzegać duchownych jako ludzi zdumiewająco niewinnych, co w realnym świecie przekładało się na naiwność graniczącą z głupotą. Krauss nie należał do tej kategorii.

– Przyznaję, że sprawa okazała się bardziej skomplikowana, niż sądziliśmy. Trzej mężczyźni zabici w Finistère otaczali Człowieka Gwoźdza swoistym kultem i jesteśmy przekonani, że to oni są sprawcami morderstw popełnionych w ciągu ostatnich dwóch tygodni. Brakuje nam jednak konkretnych dowodów. Być może głębsza analiza ich wzorca działań pozwoli nam odkryć nowe tropy.

Belg przez cały czas patrzył na niego z uśmiechem.

– Proszę włączyć dyktafon.

Pierwsze pytanie:

– Czy pamięta pan spotkanie z Pharabotem?

– Oczywiście. Kiedy go aresztowano, prowadziłem punkt pomocy medycznej w Lubumbashi. Wezwano mnie, więc udałem się do Lontano, żeby przeprowadzić wstępne badanie psychiatryczne. Byłem do tego odpowiednio przygotowany jako lekarz i duchowny, a także znawca wierzeń Yombe.

– Jak się zachowywał?

– Był w szoku.

– Z powodu swoich morderstw?

– Z powodu polowania, jakie urządził na niego pański ojciec.

Erwan poczuł, jak jakaś dłoń ściska mu żołądek.

– Co może ojciec o tym powiedzieć?

– Niewiele wiem. To trwało kilka tygodni, na terenie, który nazwałbym... nieprzyjaznym.

Erwan pomyślał o zdjęciu Pharabota. Nie dostrzegł na nim żadnych obrażeń:

– Czy uważa ojciec, że Morvan torturował Pharabota, zanim ten trafił do aresztu?

– Myślę, że pościg i tropienie były torturą psychiczną. Dla nich obu. Pharabot znał busz, natomiast Grégoire Morvan nie miał doświadczenia w poruszaniu się po takim terenie. Mimo to nie poddał się i ścigał Pharabota. Zagłodził go, zapędził w ślepy zaułek, schwytał i doprowadził do Lontano.

W głosie starego misjonarza wyczuwało się pewien podziw. Ten człowiek, choć z pewnością przeciwny stosowaniu brutalnych metod (był psychiatrą) i wierny zasadom miłosierdzia (był kapłanem), z respektem odnosił się do odwagi i wytrwałości „myśliwego”.

– To nie tylko kwestia wytrzymałości fizycznej – dodał. – W sercu lasu Pharabot czuł się jak u siebie. To była kraina tajemnych mocy. Pański ojciec musiał samotnie zmierzyć się z potężnym, nieznanym światem.

– Tak ojciec uważa?

– Uważam, że Morvan znalazł się w fatalnym położeniu i że – przepraszam za wyrażenie – to facet z jajami.

Erwan nie przyjechał tu słuchać peanów na cześć starego.

– Leczył ojciec Pharabota?

– W miarę możliwości. Całkowicie się załamał. Pogrzyżył się w stanie duchowej katalepsji. Musiałem podawać mu środki uspokajające, które pozwoliły mu się odprężyć i wrócić do rzeczywistości. Równocześnie mogłem przesłuchiwać świadków.

– Wydawało mi się, że nie było świadków.

– Rzeczywiście – nie było świadków morderstw, ale atmosfery panującej w mieście. Mieszkańcy Lontano przez dwa lata żyli w terrorze.

Erwanowi znów nasunęło się stare pytanie: jak morderca mógł zyskać zaufanie ofiar? Być może właśnie tej odpowiedzi tak dotkliwie mu brakowało. *Później.*

– W protokołach z procesu czytałem, że Pharabot był znany jako *nganga*. W takim razie ludność musiałaby podejrzewać go od początku?

– Czarni na pewno, ale nikt nie chciał mówić, przede wszystkim ze strachu, a poza tym przez szacunek. Krążyły o nim legendy. Mówiło się, że nocami chodzi nagi, wysmarowany gliną po lesie i przemawia do demonów. Opowiadano, że potrafi się przemieniać w różne zwierzęta. Takie afrykańskie historie.

– Powinni go wydać.

– Nie. *Nganga*, który rzeźbi *minkondi* w białym ciele, wie, co robi i posiada potężne moce.

– Zdaje się ojciec usprawiedliwiać taką sytuację. Czy Pharabot nie był zwykłym szaleńcem?

– Czuł się zagrożony. Ze wszystkich stron – przez czarowników, przez okrutne moce. Jako psychiatra zdiagnozowałem schizofrenię paranoidalną. Ale moi koledzy po fachu nie podzielali tej opinii. Uznali, że to zwyczajna żarliwość religijna.

Jego akcent złagodniał i stał się miłszy dla ucha, gdy zdania rozkołysało rubato.

– Udało się ojcu z nim porozmawiać?

– Zyskałem jego zaufanie. Opowiedział mi swoją historię. Mam na myśli jego dzieciństwo. Zna pan koleje jego losu w najmłodszych latach?

– W ogólnym zarysie. Wiem, że zdany na siebie, chował się wśród robotników rolnych z Dolnego Konga i przez nich poznał podstawy magii Yombe.

– Właśnie. W wieku dwunastu czy trzynastu lat był już znanym

uzdrowicielem i potrafił wydzierać czarownikom dusze, które pożarli.

– Kiedy zdaniem ojca się pograżył? Kiedy popadł w obłąd?

– Nie da się tego określić. Ścierając się wciąż z duchami, poczuł się w końcu osaczony, atakowany. Słyszał głosy, cierpiał na halucynacje. Musiał zabić – nie miał wyjścia.

Erwan postanowił przejść do sedna.

– W tej sprawie mam czterech morderców i sporo ofiar.

– Gazety mówią o trzech.

– Gazety to nie policja. Problem tkwi w tym, że ci mordercy atakowali niepostrzeżenie. Nie zostawiali żadnych śladów, nie mamy też żadnych świadków. W zasadzie wygląda na to, że ofiary nie stawiały oporu.

– Co z tego?

– Tak samo było w Lontano. Nikt nic nie widział, a przede wszystkim kobiety szły za Pharabotem, niczego nie podejrzewając, co w sytuacji miasta ogarniętego paniką wydaje się nie do pomyślenia.

Félix Krauss milczał. Na jego twarzy majaczył uśmiech. Cisza była tak głęboka, że Erwan słyszał – albo tylko tak mu się wydawało – szum silnika wentylacji.

– Zna ojciec tajemnicę Pharabota? – nalegał. – Co robił, żeby zagadnąć ofiarę i nakłonić, by z nim poszła? Dlaczego nigdy nikt nie zauważył go z żadną z tych kobiet?

– Odpowiedź jest prosta: miał współnika.

– Co takiego?

– To nie był prawdziwy współnik, ale raczej asystent.

– Do diabła, o czym ojciec mówi?

Krauss nie obruszył się, słysząc te słowa. Przeciwnie, zaskoczenie Erwana bawiło go tak, jakby lada moment miał opowiedzieć mu, jak skończył się film.

– To był mały włóczęga, sierota w wieku około dziesięciu lat.

– Czarny?

– Biały.

– Żyje jeszcze?

– Nie mam pojęcia.

Erwan odchylił głowę do tyłu. Jego nastrój zmienił się w ułamku sekundy. Miał wrażenie, że wygrał na loterii.

– Proszę mi o tym opowiedzieć.

– Wiedzę *ngangi* przekazuje się z wtajemniczonego na wtajemniczonego. Pharabot musiał mieć ucznia, spadkobiercę, któremu powierzyłby swe umiejętności, zanim trafiłby do więzienia albo zginął, zlinczowany przez białą ludność. Znalazł Nono. Chłopca, który prawdopodobnie przypominał mu lata dzieciństwa.

Erwan nie znalazł żadnej wzmianki o tym dziecku w aktach sądowych.

– Prawdę mówiąc, nie interesowałem się szczególnie tym aspektem sprawy – ciągnął zakonnik. – Nono został natychmiast przewieziony do przytułku w Lubumbashi. Poprosiłem, by pozwolono mi z nim porozmawiać, ale nie uzyskałem zgody. Chciałem przejrzeć jego akta, ale i tego mi odmówiono. Podczas procesu nikt nie wspomniał o dziecku.

Erwan domyślił się już, że za zniknięciem chłopca krył się jego ojciec. Apostoł drugiej szansy, wyznawca idei: „Kto srogo karze, mocno kocha”! Erwan zawsze znał tego ojca, który wybacza, tuszuje winy, pomaga robić karierę w policji. I tak samo postępował z przestępcami.

– W jego sprawie zawarto swego rodzaju ugodę między policją, adwokatami, sędziami, którzy postanowili go pominąć – ciągnął Krauss. – Przeszedł swoje, nie warto było pogłębiać traumy.

– Co znaczy, że przeszedł swoje?

– Po pierwsze, przeszedł inicjację *kimba*. Wie pan, co to jest?

Erwan przypomniał sobie wyjaśnienia Redlicha: obrzezanie „na żywca”, surowe mięso – czasem ludzkie, samotne życie w lesie, kary cielesne...

– Owszem, słyszałem o tym.

– Do tego dochodziły obrzędy... magiczne.

– To znaczy?

– Wszystko wskazuje, że uczestniczył w morderstwach.

Erwanowi zakręciło się w głowie: ten dzieciak, o ile jeszcze żył, miał około pięćdziesiątki i doskonale pasował do roli Człowieka Gwoźdza numer dwa. Dlaczego ojciec nigdy mu o tym nie wspomniał?

– Czy zdaniem ojca ten chłopiec służył mu do wabienia ofiar?

– Oczywiście. Trudno o osobę równie niegroźną jak dziecko. Być może zadaniem chłopca było doprowadzanie ofiar w jakiś odludny zakątek, a może Pharabot już przy nim był: bracia – starszy i młodszy... A może przebiegało to jeszcze inaczej.

– Co jeszcze ojciec o nim wie?

Krauss szperał przez chwilę w kieszeni. W końcu położył na stole złożoną

kartkę.

– Byłem pewien, że ten trop pana zainteresuje. Chłopiec trafił do ośrodka, którym kierowała niejaka siostra Marcelle, Walonka. Zasięgnąłem informacji – obecnie mieszka w Courtrai, kilka kilometrów stąd.

Serce Erwana biło teraz szybciej. To było zbyt piękne, zbyt niesamowite, żeby mogło być prawdziwe: wspólnik Człowieka Gwoźdza, obecnie dorosły mężczyzna, który doznał silnej traumy, mógłby zostać przesłuchany.

Erwan rozłożył kartkę i przeczytał: „Siostra Marcelle. Beginaż w Courtray, numer 17”.

– Czym jest ten beginaż?

– To stara belgijska tradycja. Od średniowiecza w naszym kraju nabożne kobiety – wdowy lub panny – skupiają się w domkach wybudowanych przy kościołach. Tak powstawały jakby osady w miastach.

– Czy są zakonnice?

– Nie w pełnym tego słowa znaczeniu. To osoby świeckie i niezależne. Dziś już takich nie ma. O ile mi wiadomo, ostatnia beginka niedawno zmarła. Ale te osady przyjmują emerytowane zakonnice, takie jak Marcelle.

Erwan wstał. Z trudem powściągał emocje. Krauss spojrział na zegarek.

– O tej porze nikt pana nie przyjmie. Gdzie zamierza pan nocować?

– Nie mam pojęcia.

– Proszę zostać tutaj. Mamy pokoje gościnne.

Nie miał siły się sprzeciwić. A zresztą noc spędzona na terenie uniwersytetu katolickiego była chyba dobrą wróżbą. Może klucza do tej sprawy należało szukać gdzieś blisko Boga, jakkolwiek paradoksalne mogło się to wydawać.

Przeszli przez dziedziniec. W dali biły dzwony.

– Niech pan będzie miły dla Marcelle, jest bardzo wrażliwa.

– Nie zwykłem obchodzić się brutalnie ze starszymi paniami.

– Chciałem powiedzieć: naprawdę miły. Przebywa w Courtrai na rekonwalescencji. Choruje na pełzakowicę.

Erwan wyobraził sobie pasożyty wyniszczające udreńczonych kilkudziesięcioletnim życiem w Afryce. Pomyślał, że nigdy nie zdoła się wyrwać z tego kręgu.

Teraz ochraniali ją we dwóch: Karl, rosły Murzyn, i drugi, Ortiz – biały, z ogoloną głową, o kanciastej twarzy. Razem wyglądali jak żywcem wyjęci z kreskówki i trudno było sobie wyobrazić, żeby zdołali wyjść zwycięsko ze starcia z samotnym, podstępny przestępcą.

Z mordercą, który nękał jej umysł. Mężczyzną w obcisłym kombinezonie *zentai*. Tkwił w nim jak nóż w pochwie. Był idealną machiną napaści, wdzierał się w ciało, dopóki tliło się w nim życie.

Ledwie otworzyła oczy, a już go widziała. Wszędzie – na ulicy, na schodach, w każdym kącie mieszkania.

Zamykała oczy, ale wtedy było jeszcze gorzej. Był tam, między powieką a rozedrganą soczewką oka. Krążył wokół niej, a nawet tuż pod jej skórą. Ta rozproszona obecność elektryzowała i zaburzała jej postrzeganie świata zewnętrznego.

Miała za sobą okropny dzień, paliło ją w gardle, oddychała jak ryba wyjęta z wody. Nadal przyjmowała leki, jednak te miały leczyć choroby, zaburzenia psychiczne. A tym razem niebezpieczeństwo było realne. Czaiło się tuż obok, gotowe uderzyć. Mogło wyłonić się lada chwila, a wtedy wszystko by się skończyło.

Powtarzała sobie tę litanię jak dziewczynka grająca w klasy, tylko że zamiast z pola na pole, skakała po własnym sercu.

Raz, dwa, trzy: godzina mija już.

Cztery, pięć, sześć: u nieba stoisz wrót.

Ale to niebo było piekłem.

Przez kolejną godzinę wyrывała się z otchłani i wszystko zaczynało się od nowa.

– Dobrze się pani czuje?

Dwóch osiłków grało w karty, tkwiąc w jej saloniku. Ona sama siedziała w drugim końcu mieszkanca.

– Erwan – szepnęła ledwie słyszalnie – dlaczego nie dzwonisz?

Braź, czerń, czerwień.

Erwan spał jak zabity. Na pewno śnił, ale w jego świadomości nie zachowało się żadne wspomnienie. Chłodny prysznic o świcie – w porze modłów – potem śniadanie dla zahartowanych: czarna kawa, gliniasty chleb, metalowe kubki. Woń seminarium unosiła się tu nad wszystkim aż po refektarz i sprzęty, które przypominały stoły mnichów w starych opactwach.

Teraz jechał już do Courtrai. Leżące odłogiem pola rozciągały się pomiędzy budowanymi z cegły wsiami. Braź, czerń, czerwień.

„Łatwo znaleźć to miejsce. Proszę kierować się na stare Courtrai. Beginaż wznosi się u stóp kościoła Saint-Martin”. Znalazłszy się już w mieście, mijając Lys, Erwan zobaczył dzwonnice dominującą nad innymi budynkami. Nie wiedział, kiedy przekroczył granicę językową, ale nagle Saint-Martin przeistoczyło się w Sint-Maartenskerk. Teraz poruszał się w sieci *straat* i *steenweg*. Zanim zdążył włączyć GPS, przypadkiem natknął się na bramę beginażu. „Begijnhof Saint-Elisabeth” – przeczytał na wieńczącym ją łuku.

Wewnątrz można było poruszać się tylko pieszo, toteż zaparkował w pobliżu bramy i wszedł w uliczki biegnące między pobielanymi wapnem domami. Ogarnęło go poczucie osamotnienia w tej ciszy, która była jak lodowata sąsiadka dachów.

Idąc, dostrzegł kłójące się ze sobą szczegóły: białe mury, które przypominały hiszpańskie pueblo, bruk jak na uliczkach Montmartre’u, ciemne drewniane drzwi, a nad nimi czarne numery na białym tle, jakby importowane z Londynu. A jednak całość była flamandzka. Wyzierała z niej samotność, prostota i rzemieślniczy duch osady, unoszący się nad płaską jak stół krainą, niegdyś słynącą z manufaktur. Erwan dotarł na plac, gdzie charakterystyczne uskoki murów potwierdzały, że naprawdę jest we Flandrii.

Numery poprowadziły go w kolejną uliczkę. Było zimno, więc wtulił głowę w ramiona i postawił kołnierz. Nie spotkał tu jeszcze żywego ducha, miał za to wrażenie, że otaczają go zjawy kobiet, które tu mieszkały: żony średniowiecznych krzyżowców, wdowy z późniejszych stuleci, wszystkie

skupione na wierze i modlitwie.

Pod siedemnastką natknął się na domofon. Drzwi otworzyły się, kiedy tylko podał nazwisko – Krauss na pewno uprzedził siostrę Marcelle o jego wizycie. Erwan wszedł do przedpokoju, gdzie pełno było płaszczy, kaloszy, parasoli.

– Mógłby pan zdjąć buty?

Drżący, piskliwy głos – wkraczał w świat bajek Perraulta. Zdjął timberlandy z cholewką, które wybrał na tę okazję, jakby wyruszał na pieszą wycieczkę, i zobaczył klapki i papucie, ale nie śmiał z nich korzystać. Wszedł w skarpetkach do sali z innego stulecia, gdzie posadzka tworzyła szachownice, wysoki kominek wyłożony był kafelkami, a na półkach stały mosiężne naczynia. W powietrzu unosił się zapach kawy. Pod stopami czuł zimną terakotę, a ciepło bijące od kominka sprawiało, że już miał wypieki na twarzy.

Siedząca przy kominku siostra Marcelle była zwrócona plecami do niego. To nie była bajka Perraulta, lecz braci Grimm. Odwiedziny w domu czarownicy z *Jasia i Małgosi*.

– Napije się pan kawy?

– Z przyjemnością.

Kiedy się do niego odwróciła, wcale się nie zdziwił. Wyglądała jak misjonarki z grupowego portretu z minionego stulecia. Szary bezrękawnik na białej bluzce. Szary welon, proste okulary. Twarz męska, ciemna jak stara skóra, brwi jeszcze czarne, ale pod welonem siwe u nasady włosy. Mogłaby być egzemplifikacją tezy „Życie to pasmo wyrzeczeń”.

– Siostro, przyszedłem tu, żeby pomówić o historii sprzed lat.

– Przyszedł pan porozmawiać o Nono – powiedziała, podając mu filiżankę.

– Dzwonił do mnie ojciec Krauss.

– Czy przypomina sobie siostra jakieś szczegóły związane z tą sprawą?

– Pamiętam wszystko.

Wskazała mu krzesło przy stole nakrytym obrusem z ceraty. Erwan poczuł się jak w dzieciństwie, kiedy odwiedzał farmę sąsiadującą z wakacyjnym domem wynajmowanym przez rodziców. Wszystko tam miało w sobie szczyptę prymitywizmu i smutku, ale też autentyzm, do którego nie przywykł mały paryżanin.

– Kiedy dokładnie poznała siostra... Nona? – zapytał na początek.

– Kiedy pański ojciec aresztował Thierry’ego Pharabota.

– O tym też siostra wie...

Uśmiechnęła się, a na jej twarzy pojawiło się mnóstwo zmarszczek, które zamieniły brązową maskę w pajęczą sieć. Trzymała filiżankę oburącz, jak naczynie ofiarne.

– Czytuję francuską prasę. Wiedziałam, że któregoś dnia zapuka pan do moich drzwi.

Wypił łyk gorącej kawy. Jego gardło wydawało się zobojętniałe na wszelkie bodźce. Wyjął dyktafon i położył na stole.

– Mogę?

– Ależ proszę.

Uruchomił go. Przesłuchanie drugie.

– Pharabot miał chatę na uboczu, dwa kilometry od Lontano – zaczęła zakonnica. – To tam zairscy żołnierze znaleźli jego sprzęt, magiczne składniki, zapiski. A także jedenastoletnie dziecko w opłakanym stanie. Zachowali się po afrykańsku – spalili chatę, zamknęli cały teren wokół, a chłopca wsadzili do cuchnącej celi. Niewiele brakowało, żeby jego także spalili.

Jej akcent różnił się od tego, z jakim mówił Krauss. Był czysto waloński i w uszach paryskiego słuchacza brzmiał wręcz komicznie.

– Sądziłem, że wszyscy bali się Pharabota i szanowali go.

– Dopóki nie został aresztowany. Biała władza złamała jego moc. W tej sytuacji dziecko wspólnik było najgorszym, co mógł po sobie pozostawić – małym czarownikiem. Należało go zlinczować. Zaczęto pokazywać go

podczas mszy. Odprawiano egzorcyzmy. Kiedy go zobaczyłam, miał zginąć z płonąca oponą na szyi.

– Gdzie był wtedy mój ojciec?

– Zajmował się Pharabotem i jego przewiezieniem do Kinszasy. Nie wiedział o tej historii.

– Jest siostra pewna?

– Całkowicie. To ja się z nim skontaktowałam.

– Jak zareagował?

– Tak samo jak ja. Był przekonany o niewinności chłopca. Uważał go za zwyczajne ogniwo w tej sprawie. Uzgodniliśmy, że załatwi wszystkie papiery, a ja zatrzymam chłopca.

– Jak mógł to zrobić? Pytam o sprawy techniczne.

– Zair to nie Francja czy Belgia. Zresztą chłopca o nic nie oskarżono. Jeżeli nawet wabił dziewczyny w pułapkę, to żadna z nich nie mogła już tego potwierdzić. Pharabot nigdy nie powiedział ani słowa o chłopcu.

Erwan spuścił oczy – światełko dyktafonu błyszczało jak rozpalone żelazo.

– Proszę opowiedzieć mi o chłopcu. Proszę go opisać.

– Miał na imię Arno. Z „o” na końcu, po flamandzku. Arno Loyens. Był szczupłym blondynem. On także został sierotą i pochodził z Mons. Jak trafił do Lontano? Nigdy się nie dowiedzieliśmy. Pharabot go przygarnął i wszyscy myśleli, że to jego krewny, zwłaszcza że byli do siebie trochę podobni.

Erwan pomyślał o gwałtach:

– Czy myśli siostra, że Pharabot go wykorzystywał?

– W żadnym wypadku. Nono nigdy nie padł ofiarą molestowania seksualnego. Rozmawiałam z nim. Cel był inny. Pharabot chciał mu przekazać swoje moce, zanim dojdzie do aresztowania. Dlatego wtajemniczył Nona...

– Ojciec Krauss mówił o tej inicjacji.

Pokiwała głową, jakby chciała powiedzieć: „Mimo wszystko warto poświęcić na to jeszcze chwilę”.

– Nono spędził wiele miesięcy sam w lesie. Co dzień, a raczej co noc, Pharabot odwiedzał go i karmił. Zawsze pojawiał się w stroju *ngangi*.

Sięgnęła po metalowe pudełko po ciastkach, które stało na stole, otworzyła je i wyjęła stare, czarno-białe fotografie. Portrety czarowników, a raczej uzdrowicieli – niewtajemniczeni nie dostrzegliby żadnej różnicy. Byli to mężczyźni w pióropuszech, maskach rzeźbionych w drewnie, trzymający

w rękach topory albo ozdobne dzwonki. Ich stroje prześcigały się w potworności.

– Z tego, co mówił Nono – podjęła siostra Marcelle, wybierając jedną z fotografii – Pharabot nosił tego typu maskę.

Pokazała mu owal z jasnego drewna, wyobrażający pyzate dziecko. Duże czarne oczy, drobne usta, tak cienkie jak skaleczenie, okrutna mina przyprawiająca o dreszcz.

– Nono przeżył oczywiście traumę, miał jednak niezwykle silny charakter. Dzieci zawsze kryją w sobie rezerwę niewinności i to pozwala im wytrwać w starciu z podłością.

Siostra Marcelle odłożyła zdjęcia. Lekko zezowała zza szkieł, których oprawki wyglądały, jakby zrobiono je z grubych spinaczy. Czego człowiek nie chce, Bóg przygarnie – przemknęło mu przez myśl.

– Zostałam z nim niedaleko od Kinszaszy – ciągnęła. – Po pół roku zaczął już normalnie się odżywiać, posługiwał się sztućcami, a raz w tygodniu opowiadał o tych strasznych latach. To była prawie psychoanaliza. I dopiero wtedy zdobył się na wypowiedzenie tego, co najgorsze.

– Najgorsze?

– Zaczął mówić o morderstwach. Kiedy mistrz składał ofiary, on podawał mu narzędzia, zmywał krew, pomagał w przenoszeniu ofiar i układaniu ich przy leśnych drogach.

– Co powiedział o morderstwach?

– Wolę tego nie wspominać.

Wyobrażał sobie ich obu – mężczyznę i dziecko – umalowanych białą gliną i proszkiem z czerwonego drewna, nad torturowanymi ciałami.

– Nie ma siostra jego fotografii?

– Nie. Nigdy nie chciał robić sobie zdjęć. On... – Zamilkła, by po chwili oświadczyć kategorycznie: – To nie on teraz zabija.

– Na jakiej podstawie siostra tak twierdzi?

– Kiedy opuszczałam Arna, był całkowicie uzdrowiony. Dwa lata terapii, ciepła, nauki. Był zdolny, inteligentny, bardzo dobry. Po prostu padł ofiarą sytuacji.

– My, policjanci, musimy pamiętać, że takich przeżyć nigdy nie da się wymazać bez śladu.

– Zgadzam się z panem, ale oddaliśmy go od Afryki, czarów i przemocy. Nie zeznawał podczas procesu.

– „My”, czyli kto?

– Pański ojciec i ja. Grégoire miał w Brukseli wpływowego przyjaciela, który zadbał, by Arno trafił do instytucji opiekuńczych we frankofońskiej części Belgii. Wyjechał pod zmienionym nazwiskiem, wyrobiono mu fałszywe dokumenty.

– Dlaczego?

– Nie chcieliśmy, żeby ktokolwiek mógł do niego dotrzeć i powiązać go z tą sprawą. Pana ojciec mówił, że nowa szansa opiera się na pełnym odcięciu od przeszłości.

– Czyli nie zna siostra nazwiska chłopca?

– Nie. Ani ja, ani pański ojciec. Jego zdaniem liczył się tylko nowy świat, w którym chłopiec miał się odnaleźć. Arno nie mógł już nigdy wracać do przeszłości ani nawet kontaktować się z nami. My też nie mogliśmy mieć informacji, które pozwoliłyby nam do niego dotrzeć.

Erwan nie mógł uwierzyć w tę historię: uczeń mordercy pozostawiony na wolności, jego nazwisko i adres nieznane już nikomu? To nie była butelka rzucona do morza, ale tykająca bomba! A zresztą za dobrze znał ojca, żeby uwierzyć, że pozostawiłby bez kontroli takie zagrożenie. Czyściciel słynął z talentu do sprzątnięcia...

– Dziękuję, siostrze.

Kiedy wstał, staruszka chwyciła go za rękę:

– Proszę go nie szukać. Zostawcie go w spokoju. On nie ma z tym nic wspólnego. W ostatnim okresie mawiał: „Jestem *ngangq*. Mogę odlecieć na łupince orzeszka ziemnego. Mogę zniknąć z wiatrem po deszczu”. Jestem pewna, że został lekarzem, a może nawet księdzem. Człowiekiem, który przez całe życie czyni dobro.

– To smutna historia.

– Kpisz sobie ze mnie? – odparł Erwan.

Morvan zatrzymał się przy bramie – znajdował się na rogu ulicy Danielle-Casanova i placu Vendôme, który właśnie w tym miejscu tworzy krótką arterię, by parę numerów dalej przejść w ulicę de la Paix. Wyszedł od Charveta, gdzie kupił koszule. Musiały minąć lata, może nawet dekady, by oswoił się z myślą, że może wyskoczyć na zakupy w środku dnia. Teraz traktował to jak formę terapii: kiedy nie miał już nic, zostawało mu przynajmniej to.

Syn wrzeszczał w słuchawkę:

– Jak mogłeś przemilczeć całą tę historię?

– Nie mówiłem ci o tym, bo to nie miało sensu.

– Wspólnik Człowieka Gwoździa, dziś około pięćdziesiątki? Podczas gdy od paru dni szukamy podejrzanego, który zna jego metody? Czyżby dopadł cię alzheimer?

Morvan westchnął. Wiedział, że jeśli syn pojedzie do Belgii, wpadnie na trop dzieciaka.

– Arno Loyens nie może być tym mordercą.

– A to dlaczego?

– Bo zmarł w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym trzecim.

Głucha cisza w słuchawce. Może rzeczywiście powinien wspomnieć o tym synowi. Ale po co miał mnożyć fakty? Zbyt liczne tropy zacierają ścieżkę.

– Opowiadaj... – rzucił Erwan.

– Siostra Marcelle nie wie wszystkiego. W rzeczywistości nie zmieniłem mu nazwiska. Nie tak łatwo wyrobić fałszywe dokumenty. Po prostu umieściłem Arna we francuskojęzycznym sierocińcu w Belgii, w prowincji Hainaut. Wówczas był to dość znany instytut katolicki.

– Tam zmarł?

– W listopadzie siedemdziesiątego trzeciego, we Wszystkich Świętych, wybuchł pożar. Zginęła w nim grupa dzieci i wielu opiekunów.

– Co to za historyjka?

– To prawda. Możesz przejrzeć prasę z tamtych dni. Sprawa wywołała sporo szumu, ponieważ zapaliła się sypialniana część budynku, wykonana z prefabrykatów. Spaprali robotę, nie przestrzegając norm bezpieczeństwa.

Milczenie Erwana było jak gwałtownie wciśnięty hamulec. Jego sceptycyzm emanował ze słuchawki.

– Arno Loyens był wśród ofiar?

– Pojechałem na jego pogrzeb. Niepotrzebnie ożywasz te bolesne wspomnienia.

Wtedy myślał, że po schwytaniu Człowieka Gwoździa przeznaczeniem chłopca była przedwczesna śmierć, bo nic „zdatnego do życia” nie mogłoby ocaleć z tego dramatu.

– Ten chłopak uczestniczył w dziewięciu morderstwach – ciągnął niewzruszony Erwan. – Poddano go wpływowi magii Yombe. Trzymał młotek i przygotowywał gwoździe dla Pharabota. Byłby idealnym sprawcą ostatnich morderstw.

Morvan szedł przez olbrzymi plac Vendôme, którego głębokie witryny, niczym niemieckie bunkry, pełne były cennych klejnotów. Erwan i jego idiotyczne podejrzenia... Zaczynało go to naprawdę męczyć.

– Jeszcze wczoraj – przerwał kategorycznie – twoje śledztwo było zamknięte. Powinieneś przekazać już akta sędziemu.

– Muszę mieć absolutną pewność, że Arno Loyens nie żyje.

– Kurwa, nie rozumiesz, że czytałem raport z sekcji, widziałem zwłoki w kostnicy, rozmawiałem z policjantami, którzy prowadzili śledztwo?

– Odszukaj ten akt zgonu, akta, zeznania. Udowodnij mi, że ta sprawa jest naprawdę zamknięta. A jeśli nie, to zamknę cię za utrudnianie śledztwa!

Ojciec nie zwrócił uwagi na ten numer smarkatego policjanta. Dochodził do Rivoli. Warkot samochodów dobiegał tu z niesamowitym natężeniem.

– Widzę, że jesteś w świetnej formie – zakpił. – Skąd dzwonicz?

– Z Dworca Północnego. Wsiadam z pociągu.

– Musisz wpaść do Gaëlle.

– Co się znowu dzieje? Nagrała mi trzy wiadomości, ale nie oddzwoniłem.

– Zrób to. Nie może się otrząsnąć po tej historii. Pilnuje jej dwóch moich ludzi, ale ona i tak panicznie się boi.

– Ale czego?

Zawahał się, zanim odpowiedział, nie chcąc podsycać galopującej paranoi syna.

- Jest przekonana, że ktoś ją śledzi. Dostała bzika.
- Zajrzę do niej wieczorem.

Erwan rozłączył się bez pożegnania.

Morvan dotarł do Tuileries. Po kilku krokach wyrwał się ze zgiełku Rivoli i znalazł w łagodnej ciszy parku. Nagle uświadomił sobie, że zbliża się jesień: rześkie powietrze, rdzawe liście, gołe gałęzie, które wyglądały jak skamieniałe żyły.

Nie o wszystkim powiedział synowi ani – wtedy – siostrze Marcelle. To on doprowadził zairskich żołnierzy do chaty Pharabota. I on znalazł drżącego ze strachu dzieciaka, zagrzebanego pod fetyszami i narzędziami oprawcy. Wydawało mu się, że ujrzał anioła. Włosy tak jasne jak słoma, wysokie czoło, piękne oczy. W tej twarzy była niezwykła przejrzystość – widziało się w niej pierwotne czyste wody, a zaraz potem zbrukanie ludzkim żywotem. Najbardziej wstrząsające było jednak podobieństwo do Pharabota.

Nono.

Podczas gdy odbierał gratulacje za śledztwo, podczas gdy Mobutu szykował dla niego zatruty prezent konwencji o kopalniach, Morvan szukał miejsca, które mógłby uznać za bezpieczne schronienie dla tego małego. Znalazł je w Belgii, pod miastem Honnelles, w Instytucie Katolickim w Malapanse. Nikt o tym nie wiedział, ale wtedy to był jego jedyny triumf: ocalił dziecko ze szponów diabła i uchronił je przez całą procedurę sądową.

Przez następny rok rzadko widywał Arna – bał się, że takie odwiedziny przypominałyby chłopcu koszmar z Lontano. Kiedy dotarła do niego wiadomość o pożarze, był wstrząśnięty, ale i tym razem nie czuł zaskoczenia: od Człowieka Gwoźdźca i jego współników nie mogło pochodzić nic dobrego. Ogień był końcem na miarę tej sprawy. Bo to wszystko było nie do przeżycia.

Teraz deptał po dywanie suchych liści i miał wrażenie, że miażdży ręce dziecka. Widział te poczerńiałe zwłoki w kostnicy, protokoły z sekcji, świadectwa zgonu. Wszystko sprawdził – doszło do wypadku. A raczej do nieumyślnego spowodowania śmierci. Instalację elektryczną wykonano jak całą resztę, czyli byle jak. Wystarczyło, że coś się przegrzało, i sypialnia stanęła w płomieniach.

W tej chwili nienawidził syna. Babrał się w gównie, aż wreszcie udało mu się rozbudzić tragiczne wspomnienia. Morvan widział teraz za parkiem budynki muzeum d'Orsay zwieńczone ogromnym zegarem. Nie miał czego

szukać na lewym brzegu. To było miasto artystów, spacerowiczów, studentów. Musiał zawrócić, iść do siebie, do 8 dzielnicy.

Kiedy zmierzał w stronę wielkiego diabelskiego młyna na Concorde, oślepił go błysk. Ujrzał dziecko wciśnięte w róg chaty mordercy – chude, z głową pełną makabrycznych scen i nieopisanych czynów. Potem obraz przeskoczył i ukazały się zwęglone zwłoki dzieci w chłodni. Czy doszło wtedy do pomyłki? Nieporozumienia? Oszustwa?

Przyspieszył kroku. Być może podszepty intuicji syna były słuszne. Tak czy inaczej musiał jeszcze raz sprawdzić listę zmarłych tej nocy, a także listę ocalałych. Bo nie powiedział synowi, że wiele dzieci z grupy uszło z pożaru z życiem.

Czy to możliwe, że był wśród nich Arno Loyens?

Człowiek uczy się przez całe życie. Kiedy doszedł na plac Concorde, zatrzymał taksówkę, wyciągając odznakę policyjną.

Kiedy znalazł się na półpiętrze przed swoim mieszkaniem, ujrzał dziwną scenę: na schodach siedział wysoki, masywny czarny. Za nim, oparty o ścianę, stał drugi osiłek – łysy, biały, o gębie szpiega. Typowi ludzie Morvana. Ale najbardziej zaskoczył go eskortowany przez tych dwóch pakunek: Gaëlle, która na ich tle wydawała się dwa razy mniejsza i młodsza o dziesięć lat. Dziewczynka siedząca ze skulonymi kolanami, trzymająca torbę od Vuittona, służącą tym razem za walizkę.

– A co wy tu robicie? – zapytał bez cienia niechęci.

– Wprowadzam się do ciebie.

– Z jakiej okazji?

– Nie odsłuchałeś wiadomości?

– Wydaje mi się, że jesteś pod doskonałą opieką.

Doszedł do nich. Czarny poderwał się ze schodka, okazując mu taki sam szacunek, z jakim odnosił się do jego ojca. Erwan skinął mu na powitanie ręką. Drugi ochroniarz Gaëlle także stanął na baczność. Erwan poczuł do nich obu sympatię – na co dzień męczyli się ze starym, teraz musieli znosić jego córkę.

Gaëlle nie drgnęła. Patrzyła na niego wyzywająco, wcisnąwszy brodę w ramiona. Znów miał przed sobą małą, beztroską dziewczynkę, jaką dobrze znał – patrzącą na życie i na innych ludzi z niesmakiem.

– Jak weszliście do budynku? – zapytał cerberów.

– Użyliśmy podręcznych przyborów – odparł czarny, nie wiedząc, czy ma się chwalić takim wyczynem, czy może mu się za to oberwie.

Erwan wyjął klucze.

– Skoro tak, to trzeba było wejść od razu do mieszkania.

– A nie mówiłam – wtrąciła rozkapryszona pannica.

– Możecie wracać do domu – powiedział, otwierając drzwi.

Ochroniarze patrzyli na siebie niepewnie.

– Zadzwoń do ojca, o nic się nie martwicie. Teraz Gaëlle jest pod moją opieką.

Po krótkim wahaniu pożegnali się z Gaëlle, jakby była hiszpańską infantką, i lekkim krokiem zbiegli po schodach, nie starając się dłużej ukrywać, że im ulżyło.

Gaëlle weszła do mieszkania i rzuciła torbę w sypialni Erwana. Bez wahania pomaszerowała do kuchni, otworzyła lodówkę, wyjęła piwo i podsunęła je Erwanowi.

– Też się napijesz?

Skinął głową. Zręcznie rzuciła mu puszkę. Czuł, że nieco przesadza, grając wyluzowaną. Konała ze strachu, to się rzucało w oczy.

– Co się właściwie stało?

Otworzyła puszkę.

– Nie mam pojęcia. Po prostu się boję, i tyle.

– Ale czego?

Usiadła na kanapie i wypła łyk piwa. Milczała. Ze spojrzenia, jakim ogarnęła pokój, wyzierało potępienie dla starokawalerskiego stylu życia Erwana i jego kiepskiego gustu.

– Widziałaś coś? – spytał, przesuwając krzesło, żeby usiąść na wprost siostry.

Wzruszyła ramionami, patrząc prosto przed siebie.

– Nie. Sama nie wiem. Miałam fatalne przeczucia, kiedy wyszłam od ciebie z Salpêtrière i w windzie spotkałam pielęgniarza w masce chirurgicznej na twarzy.

– Jak wyglądał?

– Mocno zbudowany. Około metra osiemdziesięciu. Biała bluza.

– Odezwał się do ciebie?

– Nie.

– Wykonał jakiś gest, cokolwiek?

– Nie.

– I to wszystko?

– Potem wydawało mi się, że jakiś facet kręci się pod domem, ale ochroniarze nikogo nie zauważyli.

– Domyślasz się, kto to mógł być?

– Nie wiem. Człowiek, który napadł na mnie w Świętej Annie. Albo jeden z „morderców z gwoździami”, którzy podobno zostali zabici.

– Mówiłem ci, że wszyscy nie żyją.

– Wystarczy spojrzeć na ciebie i na tatę, żeby zrozumieć, że nic nie jest

jeszcze pewne.

Napił się piwa i wpatrywał się w siostrę, dopóki nie zdecydowała się zwrócić na niego oczu. Jej jasne brwi nie były podkreślone. Uroda tkwiła przede wszystkim w subtelnej budowie kości. Triumf rzeźby nad malarstwem.

- Nie potrafisz powiedzieć mi nic dokładniejszego?
- Nie. A ty?
- Co ja?
- Przysięgniesz mi, że nie ma już zagrożenia?
- Zamknęliśmy śledztwo.
- Mówisz jak policjant. A ja pytam o twoje wewnętrzne przekonanie.
- Ci szaleńcy z Locquirec zachowali się jak winni.
- Ale co mieli na sumieniu? Jesteś pewien, że byli mordercami?
- Powinnaś nam zaufać. Przyszłość pokaże, że mieliśmy rację.
- Co masz na myśli?
- Nie będzie więcej morderstw.
- Cholernie mnie uspokoiłeś.

Nagle pomyślał o Sofii – nie odzywała się od wczoraj. Obraziła się? Zobojętniała? A może aż tak skupiła się na złości?

- Chcesz coś zjeść?
- Nie. Chcę się tylko tu przespać. Przy tobie czuję się bezpieczna.
- Dziękuję.
- Nie ma za co.

Uśmiechnął się i wyjął z szafy pościel:

– Możesz spać w sypialni – powiedział, podając jej bieliznę. – Ja mam tu kanapę.

- A mogę skorzystać z łazienki?
- Czuj się jak w domu.

Zniknęła. Erwan zadzwonił do Kripa, bo to on miał zakręcić wszystkie kurki i zgasić światło po śledztwie:

- Wysłałeś akta sędziemu?
- Wydaje mi się, że w tej chwili zostało jeszcze wiele znaków zapytania i...

– Kripa, ujawnię ci wielką tajemnicę: dochodzenie nie jest końcem sprawy, ale jej początkiem.

- Sędzia będzie niezadowolony, jeśli...

– Zamknęliśmy dochodzenie czy nie?

– Brakuje twojego podpisu.

Poczuł się jak dyrektor przedsiębiorstwa, któremu codziennie podsuwają plik faktur, tyle że jego czeki i regulaminy liczyło się w dowodach, zeznaniach i przyznaniach do winy.

– Podpiszę rano i puszczaemy to.

– A co w Belgii?

– Opowiem ci.

– Mamy powody do obaw?

Ujrzał bladą maskę *ngangi*. Wyobraził sobie zwęglone ciała dzieci w kostnicy. Nie był w stanie teraz o tym mówić.

– Zawiadom ludzi. Odprawa jutro o dziewiątej rano.

– Co to?

Erwan rozłączył się i odwrócił głowę: Gaëlle stała przed nim w turbanie z ręcznika i dresie. Zdjęła z półki nóż bojowy, którego rękojeść i ostrze odlano z jednego kawałka metalu.

– Nóż, który wiele dla mnie znaczy – powiedział.

– To jakieś trofeum?

– Prawie. Dał mi go oficer GIGN po dość... trudnej operacji.

– Ocaliłeś mu życie? – zadrwiła.

– Tak – mruknął, wyjmując jej nóż z ręki.

– A co w nim jest takiego szczególnego?

– Został wykuty ze stali z World Trade Center.

– Ponure.

Patrzył na nóż, który delikatnie lśnił w jego rękach.

– To stal pamięci.

– Broń zemsty – szepnęła ironicznym tonem.

– Tylko pamięci. Nikt nie powinien zapominać o jedenastym września.

Odsunęła się od niego jak mała dziewczynka, którą nagle znużyła zabawa.

– Obejrzymy jakiś film?

Wątpił, żeby mieli podobne upodobania. Przez całe życie oglądał seriale kryminalne, które – wbrew temu, co mogło się komuś wydawać – pozwalały mu się odprężyć. Oderwane od rzeczywistości, czasem ocierające się o absurd, dodawały jego zawodowi fantazji, której w prawdziwym świecie był całkowicie pozbawiony. Miał też kolekcję kryminałów z lat 70.-80., po które sięgał od czasu do czasu – jak po dobre wino: *Bullitta*, *Brudnego*

Harry'ego, Francuskiego łącznika, Maratończyka, Rok Smoka...

Gaëlle wybawiła go z kłopotu – już kliknęła w klawiaturę komputera, żeby przejrzeć, co ostatnio nielegalnie ściągnęła.

– Widziałeś *Skyfall*? To najlepszy James Bond.

Twarz pochylała się nad nim.

Trupia twarz niemowlęcia, wyrzeźbiona w drewnie i wypolerowana, twarda jak porcelana. Rysy były afrykańskie, ale bladość czoła, skośne oczy, drobne usta szczerzące zęby przypominały maski z Japonii. Symbolizowała poronione życie, które miało się nigdy nie narodzić, była szczątkiem embrionu, który rozwijał się w otchłani śmierci. Błyszczała w ciemnościach jak lodowaty księżyc.

Erwan wiedział, że śni, ale to nie łagodziło jego lęku. Czuł się bezsilny wobec mordercy, który go obserwował. Nie mógł krzyknąć, a tym bardziej uciekać, bo spał tak głęboko, że sen stał się jego ołowianą trumną, przytłaczającą jego ręce, nogi, powieki.

Był teraz Nonem – dzieckiem *nganga*. Podróżował po innym świecie, a Pharabot prowadził go, szykując do ostatecznego wtajemniczenia. Trzymał zardzewiałe narzędzia – młotek, piłę, szczypce...

Teraz był nagi i pomazany gliną, w transie. Słyszał (i odrzucał) otaczające go hałasy: gwoździe przebijające czaszkę kobiety, odłamki lustra wciskające się w gałki oczne, piłę rozcinającą jej klatkę piersiową, wycie... Drżącą ręką podawał paznokcie, włosy – może własne – Pharabotowi, który brał je delikatnie, a potem wciskał w ranę na torsie.

Nagle jasna maska zaczęła gwizdać. A może to był krzyk ofiary.

Erwan się obudził: telefon dzwonił parę centymetrów od jego ucha. Po omacku szukał go pod kanapą. Zanim odebrał, zerknął na wyświetlacz.

Ojciec. Dziesięć po trzeciej nad ranem.

– Słucham?

– Jesteś z Gaëlle?

Upłynęła sekunda, zanim pozbierał myśli.

– Tak.

– U ciebie?

– Tak.

– Dobrze zamknąłeś drzwi?

– Oczywiście. Co się dzieje?

– Prześledziłem sprawę Arno Loyensa. Dotarłem do policjantów, którzy prowadzili sprawę pożaru, do świadków. A przede wszystkim zdobyłem listę dzieci, które ocalały.

– Czyli ktoś przeżył?

– Tak, kilkoro...

Erwan przemieścił się mentalnie – porzucił obraz *ngangi*, żeby spojrzeć na dymiące zgliszcza sierocińca.

– I co?

– Na tej liście jest nazwisko, które zwróciło moją uwagę: Philippe Kriesler.

– Co?!

– Nie przesłyszałeś się. Masz współpracownika, który tak się nazywa, prawda? Mówicie o nim Kripo.

Powiedział sobie, że wciąż śpi. Doznawał dziwnych odczuć: jego ciało przebiegały drgawki, miał wrażenie, że spada na plecach ze schodów. Philippe Kriesler. To nie mógł być zbieg okoliczności.

Porucznik z Alzacji. Skryba. Lutnista.

Ojciec wciąż mówił, ale Erwan zmagął się teraz z innym wrażeniem. Atmosfera w ciemnym pokoju zagęściła się, była ciężka.

I nagle zrozumiał.

– Oddzwonię do ciebie – szepnął i odłożył telefon.

Stała przed nim jakaś postać. Wszędzie rozpoznałby tę kurtkę, tę sylwetkę zmęczonego atlety, wytartą marynarkę ze sztruksu.

Kripo stał nieruchomo przed kanapą. W rękę trzymał pistolet. Ten, który miał ponoć zgubić w „36” i którym, też ponoć, ledwie potrafił się posługiwać.

Erwan pomyślał, że profil gliniarza marzyciela i muzyka nadawał się tylko do powieści kryminalnej. Natomiast gliniarz, który jest kompletnym świrem i prowadzi podwójne życie, bo jest czarownikiem, i tylko czeka na odpowiednią chwilę, żeby zniszczyć rodzinę, której poprzysiągł zgubę – to brzmiało cholernie realnie.

Policjant to zawód dla szaleńca. Szaleństwo może być pracą gliny.

– Kiedy pojechałeś do Belgii – powiedział półgłosem Skryba – wiedziałem, że jest źle.

Erwan pomyślał o śpiącej obok Gaëlle. Czy Kripo przeszukał mieszkanie? Czy już ją zabił? Zauważył koc, jasiek – całe to prowizoryczne posłanie na

kanapie w salonie?

– Nawet sobie nie wyobrażasz, jak bardzo źle – odparł, błyskawicznie analizując sytuację. – Mój ojciec ustalił, kim jesteś. Możesz mnie zabić, ale jutro, cokolwiek się stanie, będzie po tobie.

– Może. Ale ty będziesz już trupem.

Erwan postanowił go rozdrażnić.

– Mój ojciec będzie za to żywy.

– Krew nowych ofiar obudziła potężne siły, Erwanie. Nie muszę ci już tego tłumaczyć. Energia, która się uwolniła, jest fantastyczna: wystarczy, żeby zatruć twojemu ojcu resztę życia. Już nigdy nie zazna spokoju.

Oczy Erwana oswoiły się z ciemnością – widział rękę zaciśniętą na pistolecie. I nie miał cienia wątpliwości, że Kripo jest zdolny strzelić.

Zyskać na czasie.

– Jakim cudem uznano cię za zmarłego?

Kripo zaśmiał się cicho.

– A kogo obchodzą sieroty? Opiekunowie, którzy mogli nas rozpoznać, zginęli w pożarze. Kiedy zapytano mnie o nazwisko, podałem po prostu dane kumpla, który spalił się na moich oczach. Przeniesiono mnie do innego sierocińca, przy granicy z Francją. Nigdy więcej nie musiałem udowadniać, kim jestem.

– Ale... dlaczego?

– Już wtedy miałem swoje plany. Zniknąć, żeby się odrodzić. Podróżować po innym świecie, pozostając niewidzialnym. – Zaczął cicho podśpiewywać. – Mogę odlecieć na łupince orzeszka ziemnego. Mogę zniknąć z wiatrem po deszczu...

Erwan próbował sobie przypomnieć, gdzie zostawił pistolet. Poza zasięgiem ręki. Gdyby się poruszył, Kripo zdążyłby strzelić.

– Dlaczego zostałeś policjantem?

– Musiałem się trzymać blisko was, klanu Morvanów. W pewnym sensie jesteście moją jedyną rodziną.

Jego głos zdawał się dobiegać z daleka, jakby Kripo stał na drugim brzegu rzeki.

– Jak zdołałeś przez te wszystkie lata ukrywać prawdę? Twoje plany? Dlaczego...

Kripo gwałtownie zmienił ton.

– Zeznania są dla policji, spowiedź dla księży. Nie wydaje mi się, żeby

istniały między nami tego typu relacje. Spotkamy się w innym świecie i wtedy wszystko zrozumiesz.

Widział, jak palec wskazujący naciska spust. Przez całe życie obiecywał sobie, że kiedy nadejdzie taka chwila, będzie miał otwarte oczy. A jednak teraz mimowolnie je zamknął.

Głuche uderzenie, jakiś brzęk, potem stuknięcia i szelest tkaniny. Otworzył oczy, ale widział tylko głębokie ciemności. Dopiero po kilku sekundach jego wzrok dostosował się do warunków. Kripo nie stał już przed nim. Jego miejsce zajęła krucha i blada zjawa.

Poderwał się z kanapy, namacał przełącznik. Gaëlle stała za niskim stolikiem. Cała zalana krwią, patrzyła na niego wytrzeszczonymi oczyma. Jej słomiane, prawie białe włosy też ociekały krwią.

U jej stóp Kripo dogorywał w konwulsjach. Rana na szyi, dokładnie tam, gdzie znajduje się tętnica, kilkoma potężnymi falami wykrwawiła jego ciało. Leżał w wielkiej kałuży koloru terakoty.

Gaëlle okazała się szybsza od Lutnisty. Nóż wykuty ze stali z World Trade Center. Ugodziła Kripo tak, jak na jej oczach Człowiek Gwóźdź uderzył w Świętej Annie. Mała szybko się uczyła.

Mimo ciepła bijącego od krwi, która rozlewała się między nim a jego siostrą, na tę myśl ciarki przebiegły mu po kręgosłupie.

Arno Loyens urodził się 18 kwietnia 1960 roku w Mons w Belgii. Jego matka, Léonie Stutzmann, wówczas dwudziestosześcioletnia, dorywczo parała się prostytutką na granicy z Francją, w okolicach Maubeuge. Porzuciła dziecko, żeby zająć się własnymi sprawami. Ojciec, dwudziestoosmioletni Gérard Loyens, fryzjer, sutener i dzierżawca baru pod Tournai, postanowił spróbować szczęścia w Zairze. Wpadł na pomysł, żeby otworzyć lokal ze striptizem w którymś z miast kolonii, gdzie o rozrywkę nie było łatwo. Chciał być oryginalny i zatrudniać białe dziewczyny. Loyens dotarł do Lontano w roku 1965. Pół roku później zachorował na malarię i umarł. Arno został bez rodziny, wśród chorych tancerek, które wyniszczała gorączka i nieznośny upał. Patrzył, jak kolejno umierają, i chodził do szkoły z czarnymi. Kiedy miał siedem lat, trafił pod opiekę flamandzkich misjonarzy, którzy go wykorzystywali seksualnie – nie było dowodów w tak starej sprawie, ale badając przez długie tygodnie historię swego smutnego zastępcy, Erwan zebrał zeznania wielu świadków. W tym czasie Arno był rachityczny, anemiczny, chory. Słabo mówił po francusku, kaleczył flamandzki, a najlepiej radził sobie z lingalą.

W roku 1968 ślad po nim ginie. Prawdopodobnie mieszka z górnikami, wśród robotników wydobywających minerały, wśród rolników. Wciąż w świecie czarnych. To wtedy zwrócił na niego uwagę Pharabot. Odkarmił go, wyleczył, dał mu dach nad głową, uczył. Erwan nie tracił czasu na ten epizod, ponieważ już wcześniej rozmawiał z najlepszymi świadkami – Félixem Kraussem i siostrą Marcelle. Interesowało go, co się działo po serii morderstw Człowieka Gwoźdźcia i jego aresztowaniu.

Rok 1971. Wiele miesięcy resocjalizacji, rozmów, życzliwości. Marcelle poznawała jego losy i starała się wszystko ukryć. Grégoire Morvan robił, co w jego mocy, żeby po cichu odesłać chłopca do Belgii.

Powrót do punktu wyjścia. Arno trafił do zakładu w Malapanse pod Honnelles w prowincji Hainaut. Po roku w sierocińcu wybuchł pożar. Ośmioro dzieci zginęło, troje ocalało. Wśród tej trójki był Philippe Kriesler.

A w rzeczywistości Arno Loyens. Oczywiście Erwan podejrzewał, że pożar był dziełem Nona. Pojechał do Honnelles. Czytał prasę, odnalazł żyjących nadal zakonników. Nie doszukał się niczego, co przemawiałoby za celowym podpaleniem. Doszedł do wniosku, że czasem szczęście uśmiecha się do diabła.

Po kilkutygodniowym pobycie w szpitalu Philippe został wysłany do szkoły Notre-Dame-de-Sion pod miastem Overijse – francuskojęzycznego domu dziecka we flamandzkim regionie. Tam prawdopodobnie znów był molestowany. Wyzwolili go tocząca się wówczas wojna o język. Po podziale uniwersytetu w Louvain flamandzcy fanatycy kazali zamknąć dom dziecka – *Walen buiten!* Uczniów rozesłano do innych zakładów. Philippe przekroczył granicę i znalazł się w sierocińcu w Saint-Omer. Tu nikt nie szukał z nim zaczepki, bo trzynastoletni chłopak wyrósł i nabrał masy. Miał prawie metr dziewięćdziesiąt wzrostu.

Rok 1980. Kriesler zdał maturę, uzyskał ocenę dobrą. Po afrykańskim koszmarze i „opiece” katolickich zбочeńców odzyskał równowagę. Studiował, pobierał stypendium, miał obywatelstwo francuskie. Na uniwersytecie w Amiens uzyskał magisterium z literatury i filozofii. Zainteresował się muzyką, tu jednak był samoukiem. Zaczął od gitary, potem wybrał lutnię. Odbył wiele podróży do Afryki w ramach misji humanitarnych – wracał do miejsc ze swojej przeszłości. Chyba właśnie tam zdobył podstawową wiedzę medyczną.

Erwan pojechał na północ Francji i do Amiens. Szperał w archiwach, dotarł do nauczycieli, uczniów, wykładowców, zarządu kampusu. Opinie były zgodne: sympatyczny, marzyciel, miłośnik muzyki barokowej i instrumentów ludowych. A jednak zdarzały się dziwne rzeczy. W Saint-Omer ktoś okaleczył konie, znaleziono zabitego psa z kawałkami lustra wbitymi w ślepia. W pobliżu uniwersytetu w Amiens zarżnięto owce i wbito im w boki gwoździe. Sprawcy nie wykryto. Nic nie wskazywało, żeby studenta Krieslera, błyskotliwego, spokojnego samotnika, cokolwiek łączyło z tą sprawą. Zdradził się tylko raz. W wieku osiemnastu lat spotykał się z grupą młodych artystów – malarzy, rzeźbiarzy, fotografów. Podczas performance’u, w którym używano podrobów i krwi, stracił panowanie nad sobą i usiłował zabić kobietę, która nago uczestniczyła w inscenizacji. Powstrzymano go, a kiedy się uspokoił, twierdził, że brał narkotyki, którego działania nie zna. Nigdy więcej nie zaproszono go na żadne

spotkanie artystyczne.

Przez wszystkie te lata nie słyszano, by miał dziewczynę albo choćby przelotne relacje seksualne. Podejrzewano, że jest homoseksualistą, ale nieświadomym swoich skłonności. Miły, uśmiechnięty, do nikogo się nie przywiązywał, nie szukał bliższych znajomości. Regularnie brał udział w próbach zespołu muzyki barokowej.

Uzyskał dwa magisteria w roku 1987, a następnie wstąpił do oficerskiej szkoły policyjnej. W latach dziewięćdziesiątych pracował w policji, nie robiąc wprawdzie błyskotliwej kariery, ale zyskując szacunek. W roku 2001 trafił na Quai des Orfèvres. Ironią było, że Kriesler dołączył do brygady kryminalnej przed Erwanem, który był jeszcze wtedy w BRI. Z pewnością obserwował już wtedy przyszłego szefa, bo i brygady dzieliło tylko kilkoro drzwi.

Erwan postanowił też pokazać zdjęcie pielęgniarzom i salowym z zakładów psychiatrycznych, w których przebywał Thierry Pharabot, zwłaszcza w Belgii i we Francji. Wiele z tych osób rozpoznawało Krieslera. Uczeń wciąż krążył wokół swego mentora. Ale poza tymi kontaktami i wybrykami z młodości Erwan nie znalazł niczego, co zdradziłoby prawdziwą naturę Krieslera. Dobry policjant, doskonały lutnista, kolega, który nie zwraca na siebie uwagi. Dziecko *nganga* sprostało największemu wyzwaniu, z jakim musi się zmierzyć seryjny morderca – Arno wtopił się w tłum.

Za to mieszkanie Kripo było wyzwaniem. Kupił tę kawalerkę przy ulicy Bagnolet dziesięć lat temu i jeszcze spłacał kredyt. Pomalowane na czarno ściany – styl Redlicha. Rzeźby naszpikowane gwoździami, szkłem, żelazem. Ręczna robota, dzieło pana domu. Pokój zawałony był różnymi przedmiotami o „magicznej mocy”, które piętrzyły się w kątach. Wycinki prasowe, pieczołowicie gromadzone, opowiadały o dokonaniach nowego Człowieka Gwoździa – było się czym pochwalić... Formą wyznania było też jego własne ciało. Podczas sekcji ustalono, że tkwiło w nim około pięćdziesięciu igieł – krawieckich, do strzykawek, do akupunktury. Wbijał je sobie pod skórę, niektóre tak głęboko i tak dawno, że lekarz sądowy zrezygnował z ich wyjmowania.

Erwan i jego grupa nie znaleźli miejsca, w którym Kripo maltretował Anne Simoni. Nie odnaleźli też narzędzi tortur ani niczego, co wiązałoby sprawcę z ofiarami. Kiedy zdobywał włosy i paznokcie ofiar? Nigdzie nie było

również pobranych przez niego narzędzi. Izba tortur na pewno istniała, ale gdzie? Policja nie odnalazła ETRACO, którego używał morderca, okazało się jednak, że miał wszelkie potrzebne uprawnienia i zezwolenia.

Zdradzało go tylko DNA znalezione na rzeźbach Pharabota, które leżały zabezpieczone w sali narad „36”. Najwyraźniej Kripo umieszczał własne paznokcie i włosy w tych lalkach z papieru i plasteliny, kiedy już trafiły do ich brygady. Czy próbował zapewnić sobie ochronę? Czy chciał, żeby te ślady go zdradziły?

Kriesler nie miał alibi na czas morderstw. Mógł zabić Wissę Sawirisa, bo był jeszcze na urlopie. Był w Paryżu, kiedy zginęła Anne Simoni – rozmowa w IGS faktycznie się odbyła, Erwan to sprawdził. Z Peraudem też nie było problemu: prowadząc śledztwo, Kripo był wolnym elektronem; dzwonił, odbierał telefony, informował, ale nikt nie wiedział, gdzie jest. Erwan częściowo odtworzył jego rozkład czasu. Zastępca pojechał w ślad za nim do Marsylii i – o ironio – na pewno kupił oba bilety, swój i szefa, równocześnie. Zrobił sobie drobną przyjemność, uzyskując dla Levantina zezwolenie na dostęp do zastrzeżonych kartotek, żeby uprzedzić Erwana, że następną ofiarą będzie jego siostra. Przebrał się w ten groteskowy kostium markiza de Sade, żeby Erwan odesłał go do domu, a co więcej – odebrał telefon i rozmawiał z nim tej nocy, ze Świętej Anny, ubrany w kombinezon *zentai*, tropiąc Gaëlle, która uciekła przed nim windą kuchenną.

Pozostawało jeszcze jedno zasadnicze pytanie: czy Kriesler wiedział o istnieniu kwartetu? Na pewno. Czy wiedział, że pobrali tkanki Pharabota przed kremacją ciała? Najprawdopodobniej. To było jedyne wyjaśnienie obecności DNA pierwszego Człowieka Gwoźdźca na zwłokach Anne Simoni. Kripo w jakiś sposób zdobył krew jednego z fanatyków i umieścił ją na ofierze. Żeby zmylić tropy? Żeby przybliżyć się do pierwotnego rytuału? Żeby rzucić podejrzenie na biorców? Zabrał tę tajemnicę do grobu.

A skoro o tym mowa – Erwan zdecydował, że jego zastępca spocznie na cmentarzu Saint-Mandé, pierwszym, na którym znalazł wolny grób. O dziwo, Kriesler zapisał mu w testamencie swoją kawalerkę. Było to zgodne z prawem, bo zmarły nie miał żadnych znanych sobie krewnych. Ten gest wstrząsnął Erwanem, który przyjął spadek, ale zlecił notariuszowi sprzedaż nieruchomości i przekazanie pieniędzy (po uregulowaniu kosztów pogrzebu) sierocińcowi w Saint-Omer, gdzie mały *nganga* być może był najmniej nieszczęśliwy...

Erwan, który na ogół nie odczuwał empatii wobec morderców, miał wobec Kripo mieszane uczucia – spędził z nim tysiące godzin, uważał go za przyjaciela. Ta zdrada go poraziła, jednak uważał, że obłąd jest okolicznością łagodzącą, podobnie jak tragiczne dzieciństwo. Potworna przeszłość była jedynym motywem działania Kripo. Trzymał się przez całe dorosłe życie, ale śmierć Pharabota go załamała. Pogrzyżył się. Poczł się osamotniony, zagubiony w starciu z duchami, z demonami. Musiał przejść do czynu, wyrzeźbić sobie potężne fetysze, żeby chronić się przed wrogami. I musiał pomścić Mistrza.

Dlaczego wkroczył na scenę, mordując Wissę Sawirisa w Finistère? Erwan nie lubił tłumaczyć zdarzeń przypadkiem, ale nie miał innego wyjaśnienia. Kripo krążył po okolicach Kaerverec, szukając ofiary w pobliżu Instytutu Charcota, i natknął się na Wissę. Chłopak był prawie nagi i u kresu sił. Nadawał się idealnie. Kripo zabrał go na wyspę Sirling i złożył w ofierze, pamiętając, by zostawić na miejscu zbrodni sygnet Morvana, a prawdopodobnie także inne obciążające dowody. Policja miała ujrzeć izbę tortur z podpisem Morvana. Wybuch zatarł ślady, a równocześnie przyspieszył bieg spraw. Lutnista nie mógł wiedzieć, że „tobruk” stanie się celem samolotu, ale znajomość di Greca i Morvana nie była dla niego tajemnicą (doskonale wiedział, co działo się w Lontano) i domyślał się, że admirał wezwie starego na pomoc po zaginięciu Sawirisa. Wiedział też, że jeśli dopisze mu szczęście, Padre w imię przeszłości wyśle najlepszego gline – rodzzonego syna. A Erwan poprosi Kripo, żeby z nim pojechał.

Eksplozja oczywiście była dla niego zaskoczeniem, ale potrafił odpowiednio zareagować. Zrealizował swój plan do końca, składając w ciele każdej z ofiar paznokcie i włosy kolejnej i za każdym razem dbając, by wmieszać w sprawę Morvana, swego głównego wroga, albo przynajmniej przysporzyć mu cierpień. Perfekcja tych zbrodni, precyzyjnie opracowana chronologia, niewidzialny sprawca – wszystko świadczyło o premedytacji. Fakt, że był policjantem, wiele wyjaśniał – łatwiej mu było uspić czujność ofiar, uciec przed kamerami monitoringu, zlokalizować Gaëlle.

Erwan postanowił w konkluzji raportu skupić się na niesłychanej dwoistości sprawcy, nie wahając się zaznaczyć, że on sam, komendant brygady kryminalnej, znał mordercę prawie dziesięć lat i nigdy niczego nie podejrzewał.

W aktach pozostało wiele białych plam: jak wytłumaczyć niewiarygodnie

okrutne, bestialskie gwałty? Czy Kriesler tłumił w sobie homoseksualizm, a żądze, do których nie chciał się przyznać, dręczyły go aż tak, że używał ostrzy, żeby je zaspokoić? A może był impotentem? Co było jego ostatecznym celem? Zabić wszystkich członków rodziny Morvanów? Erwan nie szukał już odpowiedzi. Chciał tylko przygotować możliwie najpełniejszy raport i utopić wszystkie wątpliwości w natłoku faktów. I tu los także z niego zadrwił – pozbawiony swego znawcy procedur musiał sam przysiąc nad raportem, nie chciał bowiem, żeby mieszały się w to inni policjanci z jego grupy (wyjątek stanowiła Audrey, która przesłuchiwała jego i Gaëlle w sprawie śmierci Krieslera). Trzy tygodnie zajęło mu uporządkowanie wątków i motywów, wypełnienie luk i zgranie faktów z datami. W połowie października przekazał akta prowadzącemu sprawę sędziemu.

W zasadzie „śmierć oskarżonego kładzie kres postępowaniu”, a „ściganie staje się bezcelowe, kiedy kara nie może zostać wymierzona”. Innymi słowy, proces Krieslera nie mógł się odbyć, więc opasłe akta miały trafić do archiwów i pokryć się kurzem. Co więcej, brygada kryminalna i prokuratura doszły do zgodnego wniosku, że nie należy ujawniać mediom tożsamości prawdziwego Człowieka Gwoźdźcia. Psy dostały już swoją kość – tercet z Locquirec. Nikomu w policji nie zależało, by rozeszła się wiadomość o funkcjonariuszu brygady kryminalnej – cenionym przez zwierzchników i bliskim emerytury – który był mordercą.

Sprawa zamknięta. Ale jak uwolnić od niej psychikę? Erwan nie mógł pogodzić się z faktem, że przez tyle lat współpracował z groźnym mordercą. Przyjaciół, wróg – nic już nie wiedział. W dodatku ten pogrzeb, na który przyszedł tylko on i grabarze, kompletnie go przytłoczył.

Spokoju nie dawało mu też pytanie, czy naprawdę Kripo nie mordował aż do pięćdziesiątki? Pod koniec października poświęcił kilka nocy na analizę zgonów na obszarze Île-de-France, których przyczyn nie ustalono. Wybierał te przystające, choćby w drobnej mierze, do stylu działania zabójcy. Pod tym samym kątem przyjrzał się Bretanii. Znał artystę, szukał jego dzieł, ale nie znając okoliczności i nie mając żadnego tropu, poruszał się po omacku.

Po kilku dniach zostawił tę sprawę. W przededniu Wszystkich Świętych spakował walizkę i pojechał na wyspę Bréhat, do rodziny.

Dzień Zmarłych. Trudno o lepszą datę.

Obojętne, niebieskie morze, olśniewające mimozy, ciepło kamieni nagranych w słońcu. Erwan od zawsze nienawidził Bréhat. Patrzył na tę wyspę – materialne świadectwo bretońskich korzeni klanu – z cynizmem, rozmyślając o piaszczystych ścieżkach, granitowych zębiskach i domkach zbyt pięknych, żeby mogły być uczciwe. Wyczuwał w tym wszystkim oszustwo i maskaradę.

Był niesprawiedliwy i wiedział o tym, ale właśnie to przynosiło mu satysfakcję: ta zła wola stanowiła element jego odwiecznej walki z ojcem i wszystkim, co się z nią wiązało. Śledztwo nie poprawiło sytuacji. Grzebiąc w historii Człowieka Gwoźdźca, ujrzał jeszcze mroczniejszy wizerunek Morvana – jego jedyny heroiczny, błyskotliwy i niepodważalny czyn również krył wiele czarnych dziur.

Po śmierci Kripo Erwan wielokrotnie czytał akta z procesu Pharabota. Zabrał je nawet na wyspę. Nie było lepszego miejsca, żeby po raz ostatni przeżywać tamte wydarzenia, tuż obok głównego bohatera epopei. Tak jakby czytał *Odyseję*, siedząc u boku Odyseusza.

Wciąż szukał niespójności. Ani Audrey, ani on nie zdołali znaleźć niczego, co łączyłoby Morvana ze śmiercią Marota, albo choćby podważałoby wersję samobójstwa. Pozostawała tylko przeszłość i ewentualny błąd popełniony dawno temu...

Wszyscy byli w Bréhat, na swoim miejscu. Nie patrzył na nich: on ich wdychał. Łączył każde z nich z konkretną wonią.

Zapach rozpalonych skał południa – to Loïc. Ubrany w marynarską kurtkę, wysuwał z niej głowę jak ptak z gniazda. Wydawał się przeżarty przez narkotyki, wypalony przez pieniądze. W pewnym sensie rozwiązał problemy majątkowe klanu – Padre twierdził, że ich zrujnował – ale nie sprawiał wrażenia szczególnie zmartwionego. Chyba nie przejmował się też rozwodem. Patrzył na morze. Patrzył na przemijające dni. I prawdopodobnie usypywał w pokoju białe linie autostrad.

Zapach Gaëlle to zroszona trawa, która rośnie nocą. Czarny golf,

wzburzone blond włosy, lekka opalenizna – była wspaniała. Stoczone boje wyostrzyły jej rysy i wydobyły głębię urody. Oczyszczona przez sól, która unosiła się w powietrzu, nie miała już na sobie błota, w którym z takim samo zaparciem nurzała się w Paryżu. Przyczyniły się do tego także środki antydepresyjne – Gaëlle odzyskała spokój i równowagę. Któregoś ranka Erwan wybrał się z nią na spacer po plaży odsłoniętej podczas odpływu.

– Pamiętasz, jak powiedziałam: „Kobieta, która pozwala sobie na orgazm, sama strzela sobie w stopę”?

– Jak mógłbym zapomnieć? – odparł z uśmiechem.

– Nigdy nie przeżyłam orgazmu, ale strzelałam sobie w stopy całymi seriami.

– Uratowałaś mi życie.

– Mówię o czym innym.

Coraz więcej paliła, ale to do niej pasowało. To gorące tchnienie przydawało jej oschłości, która przenikała jej wciąż jeszcze dziewczęcą urodę. Erwan nie wiedział, do czego odnosi się aluzja: do utraconych marzeń o kinie, do prowokacji seksualnych, do lat poświęconych próbom zniszczenia rodziny. Wiedział tylko, że to morderstwo z zimną krwią go ocaliło, a ją wyzwoliło. Wbijając nóż w tętnicę Kripo, Gaëlle położyła kres swojej ucieczce do przodu. Wykrwawienie mordercy było jak oczyszczenie, chociaż nikt nie znał prawdy o śmierci Kripo, bo oficjalnie to Erwan zabił go w obronie własnej.

Zapach Maggie to wilgotne kamienie bretońskich ganków: wychodzisz przed dom, ślizgasz się na schodku i lądujesz pod domem, który wydaje się z ciebie śmiać. Prowadząc śledztwo, Erwan zrozumiał, że matka nie była niewinną ofiarą, a jej relacje z mężem były znacznie bardziej skomplikowane, niż przypuszczał. Podszedł do niej któregoś wieczora. Stała na chłodnym, twardym dywanie trawy i potrząsała sitkiem do sałaty – staromodną klatką, która sypała kroplami rosy.

– Niczego nie żałujesz?

– Co masz na myśli?

– Nie wiem – odparł. – Na przykład, że nie pomogłaś mi w śledztwie, że nie skorzystałaś z okazji, żeby powiedzieć mi prawdę o rodzinie albo Kongu, że milcząco, potwierdzałaś kłamstwa taty.

– Przestań pleść bzdury.

Dom znalazł się już w cieniu, a zmierzch rzucał na tajemnicze, posępne

formy skał plamy czerni, które zdawały się wylewać z samej ziemi. Przez chwilę patrzył na obracające się sitko, a potem zostawił Maggie z jej mrokiem. *Z niej nic nie da się wyciągnąć.*

Tego samego dnia, już po kolacji, podszedł do ojca, który stał na dworze, jakby czekał na przybycie osobistej floty. Morvan kupił domek korsarza na północnej wyspie, „najdzikszej, najbutniejszej” – tak właśnie powiedział. Dom stał daleko od morza, jednak widać było z niego latarnię morską, która łąpała na noc jednym okiem, jakby wyłupionym. Wiatr niósł zapach soli i wodorostów, zatykał nos i oczyszczał oskrzela. Erwan nigdy nie wierzył w bretońskie pochodzenie starego, ale woń jodu pasowała do niego.

– Jak się czujesz po całej tej ohydzie?

– Szczęśliwy.

Erwan zrozumiał, co ma na myśli ojciec: wszyscy członkowie klanu przeżyli, on uchodził za bohatera i nie dał się wmieszać w śmierć dziennikarza Jeana-Philippe’a Marota. Misja wypełniona.

Pierwszy listopada wypadał we czwartek. Francuzi mieli wolne do piątego.

Sofia przyjechała w sobotę rano, razem z Millą i Lorenzem. Można było pomyśleć, że wybrała się na Bréhat, żeby spędzić trochę czasu z Loïkiem i jego rodziną. Albo żeby zobaczyć się z tym drugim – z bratem męża, z którym miała potajemny, niemal kazirodczy romans. Erwan czuł, że nie przyjechała tu ani dla niego, ani dla Loïca, ale dla Komandora. Przyjechała przyjrzeć się przeciwnikowi, opracować plan ataku, jeszcze raz przemyśleć strategię.

Po obiedzie podszedł do niej, licząc choćby na drobny porozumiewawczy gest – nie zapomniał o ich namiętym spotkaniu w szpitalu. Ale dostał tylko zawiedzione spojrzenie.

– Jeszcze o tym nie wiesz, ale jesteś taki jak oni – szepnęła.

W pewnym sensie przyniosło mu to ulgę: Sofia pozostanie jego madonną. Była obiektem miłości, a jako taki, powinna pozostać nieprzystępna, niematerialna. Zresztą biła od niej woń marmuru z głębi krypty. Woń kadzideł przypominających o śmierci.

Erwan wrócił do opasłych akt z procesu Pharabota. Siadał nad nimi co popołudnie, jakby pochylał się nad świętym tekstem, nad Biblią Szatana.

Wciąż umykał mu jakiś szczegół. Jakaś anomalia, którą już dostrzegł, ale o której zapomniał. Nie szukał odpowiedzi, lecz pytania.

Znalazł je w niedzielę, kilka godzin przed wyjazdem z wyspy.

Ojciec ładował ręczny wózek, który był jedynym środkiem transportu na Bréhat (samochody nie miały wstępu na wyspę). Karczochy, buraki, rabarbar, pasternak zebrane w warzywniku.

- Jedziecie ze mną? – zapytał zdziwiony Erwan.
- Nie, ale wysyłam to już na ląd. Jesteś gotowy? Spakowałeś torbę?
- Wszystko w porządku.
- Pospiesz się, bo nie zdążysz na prom przy przypływie.
- Chciałem z tobą o czymś porozmawiać.

Morvan rozłożył osłonięte rękawiczkami dłonie:

- Słucham.
- Wiesz coś o Catherine Fontana?

Stary pochylił się, żeby podnieść kosz ostryg, który ustawił na wózku. Biła od nich woń morskiej wody.

- Skończysz z tym wreszcie? – warknął.
- Wiesz, kim była Catherine Fontana?
- Oczywiście. To siódma ofiara Człowieka Gwoźdza.
- Z protokołu wynika, że została zabita między dwudziestym dziewiątym a trzydziestym kwietnia tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego pierwszego roku. Jej ciało znaleziono dwa kilometry na południe od Lontano, w pobliżu tartaku SICA, w którym pracował wtedy Pharabot.

Morvan stanął twarzą do Erwana i wziął się pod boki:

- Przypominam ci, że to moje śledztwo.
- Trochę podzwoniłem. Wiesz, że ta firma nadal istnieje?
- To jeden z największych tartaków w Katandze. Do czego zmierzasz?
- W kwietniu tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego pierwszego roku Pharabota wysłano w rejon Mwanziga, wioski oddalonej o ponad sto kilometrów od Lontano.

– Zakończył pracę dwudziestego ósmego kwietnia. Nazajutrz mógł już być w Lontano.

Erwan uśmiechnął się.

– Może przejdziemy się po plaży?

– Lepiej mi pomóż.

Razem załadowali jeszcze kartony cukinii, kilka arbuźów i dynię. Na wierzchu Morvan ułożył bukiety chryzantem i lilii zebranych przez Maggie. Potem zdjął rękawice ogrodnicze i spojrzął na zegarek:

– Nie zdążysz na prom.

– Popłynę następnym.

Już po chwili szli po czarnych otoczakach na plażę. W dali, przez dziurę w chmurach, przeświecały szkarłatne smugi światła.

– Kontaktowałem się z SICA.

– Nie mów mi, że przechowują księgi z tamtych lat.

– Oczywiście, że nie, ale w ich pracy niewiele się zmieniło przez tych czterdzieści lat.

– Co z tego?

– Pharabot prowadził naprawy za Mwanziga. W takiej sytuacji najpierw karczuje się szlak, żeby przetransportować sprzęt.

Morvan nie krył irytacji.

– Kurwa, przestań opowiadać mi o życiu w buszu. Przejdź do rzeczy.

– W ciągu miesiąca Pharabot mógł pokonać około dwudziestu kilometrów, cofając się w stronę Lontano. Pod koniec pracy znajdował się więc w odległości osiemdziesięciu kilometrów od miasta.

– W porządku. Co dalej?

– Niemożliwe, żeby powrót zajął mu mniej niż tydzień.

– Mógł lecieć samolotem.

– W tym rejonie nigdy nie było lądowiska.

– Samochodem też pokonałby tę odległość w ciągu dwóch dni.

– Nie. Była pora deszczowa. Dziś jest tam asfaltowa droga, ale wtedy były tylko ziemne.

– Do czego zmierzasz?

Erwan postanowił go sprowokować:

– Nie będę ci „opowiadać o życiu w buszu”. W porze deszczowej po takich drogach da się przejechać najwyżej dwadzieścia kilometrów dziennie, oczywiście jeśli nie dojdzie do awarii samochodu, nie zwali się żadne drzewo, nie dojdzie do zarwania drogi. Pharabota nie mogło być w Lontano trzydziestego kwietnia.

Morvan pokiwał głową i przystanął, obserwując promienie słońca, które

cofały się za chmury jak palce zaciskającej się w pięść dłoni.

– To nie on zabił Catherine Fontanę – podsumował Erwan.

– Nie rozumiem nic z tego, co mówisz.

– A ja myślę, że doskonale rozumiesz. Ty pierwszy zdałeś sobie sprawę, że to nie on zabił tę kobietę. Podejrzewam nawet, że znałeś prawdziwego mordercę i kryłeś go.

Ojciec spuścił oczy, spoglądając na morze, na linię horyzontu, na cały ten surowy pejzaż, na skały i roztrzaskujące się o nie fale.

– Mówisz o wydarzeniach sprzed czterdziestu lat, uległy już przedawnieniu.

– Przedawnienie obchodzi sędziów. Ale nie zwykłych ludzi.

Przed oczyma mignął mu widok sali z metalowymi chłodniami w La Vallée. *Nieśmiertelne komórki*. On nie potrzebował azotu, żeby zachować swoje dziedzictwo: krew ojca płynęła w jego żyłach, azot zastępowała nienawiść.

– Wziąłem urlop – ciągnął. – Jadę do Afryki, żeby wrócić do sprawy Fontany.

– Jeżeli to zrobisz, pogrążysz nas.

– Kogo?

– Mnie, matkę, twojego brata i siostrę.

– Jeżeli tego nie zrobię, pogrążę siebie.

-
- 1 Armed Forces of the Democratic Republic of the Congo – Siły Zbrojne Demokratycznej Republiki Konga.
 - 2 Service d’Action Civique.
 - 3 Service Régional de Police Judiciaire – Oddział Regionalny Policji Śledczej.
 - 4 BRI – jednostki zwalczające przestępczość zorganizowaną, nazywane powszechnie Antigang.
 - 5 Direction Centrale du Renseignement Intérieur – Generalna Dyrekcja Bezpieczeństwa Wewnętrznego.
 - 6 Szkoły (Nauki polityczne i École nationale d’administration) elitarne, otwierające (zwłaszcza ENA) drogę do wysokich stanowisk administracyjnych.
 - 7 Eksplozja przed sklepem „Tati”, tanim domem towarowym, w środowe popołudnie na początku roku szkolnego, kiedy robiono związane ze szkołą zakupy w towarzystwie dzieci – jeden z serii zamachów w Paryżu w roku 1986. Tuż obok znajdowała się redakcja „Le Point”.
 - 8 Ludovic Cruchot – bohater cyklu komedii o żandarmach, grany przez Louisa de Funésa.
 - 9 Generalna Inspekcja Służb.
 - 10 Oddział Francuski Międzynarodówki Robotniczej.
 - 11 École nationale supérieure des officiers de police – Państwowa Wyższa Szkoła Oficerska Policji.
 - 12 Tribunal de Grand Instance – sąd wielkiej instancji.
 - 13 FAED, FNAEG – zautomatyzowane bazy danych daktyloskopijnych (FAED) i danych genetycznych (FNAEG).
 - 14 Mutuelle nationale des étudiants de France – studenckie stowarzyszenie wzajemnej pomocy.
 - 15 Przydomek Mitterranda, prawdopodobnie nawiązujący do jego pseudonimu z czasów drugiej wojny światowej.
 - 16 Rassemblement pour la République – Zgromadzenie na rzecz Republiki.
 - 17 Dense Inert Metal Explosive – materiał wybuchowy wypełniony obojętnym metalem ciężkim.
 - 18 Środkowoafrykańskie określenie białych, niekiedy pejoratywne.
 - 19 Francuski seryjny morderca.
 - 20 Termin, od nazwy ciasteczek, w żargonie oznacza czarnoskórych o mentalności białych.
 - 21 Księga Hioba, 1,7. Cytaty za Biblią Tysiąclecia.
 - 22 Św. Jan, 17,6.
 - 23 Św. Jan, 17,7.
 - 24 Św. Jan, 17,8.
 - 25 Brygada do zwalczania sutenerstwa (Brigade de répression du proxénétisme).
 - 26 *Minkondi* to forma liczby mnogiej *nkondi*.
 - 27 LDJ – Ligue de défense juive – Żydowska Liga Obrony; Betar – inaczej Związek Trumpeldora, skrajnie prawicowy ruch młodzieżowy, po powstaniu państwa Izrael włączony do partii Herut, a następnie Likud.
 - 28 List św. Jakuba, 1, 12, Biblia. Brytyjskie i Zagraniczne Towarzystwo Biblijne, Warszawa 1979
 - 29 Bohater J. Geneta z powieści pod tym samym tytułem.
 - 30 (Ang.) zatyczka, korek, czop.
 - 31 Fort Chabrol – określa się tak paryską kamienicę przy ulicy Chabrol, w której Jules Guérin, antydreyfusowski polityk i dziennikarz, przez 38 dni bronił się z 12 ludźmi przed szturmami sił rządowych, obawiających się wybuchu zamieszek monarchistycznych i nacjonalistycznych podczas toczącego się procesu Alfreda Dreyfusa.
 - 32 Groupe d’Intervention de la Gendarmerie Nationale – Grupy Interwencyjne Żandarmerii Narodowej.
 - 33 Office central pour la répression de la violence faite aux personnes – Centralne Biuro do Zwalczania Przemocy wobec Ludzi.

[34](#) Gmach Opery.